



NUALA O'FAOLAIN

Mój sen o tobie

W weekendy większość czasu spędzaliśmy w łóżku, Hugo i ja; mieszkaliśmy wtedy na poddaszu rozsypanej się kamienicy, ozdobionej wieżyczkami i przycółkami, stojącej wśród kasztanowców na skraju parku w południowym Londynie. Mieliśmy szeroki materac na podłodze pod wypaczonymi drzwiami prowadzącymi na zapleśniały balkon. Tej wiosny gołąb uwił sobie gniazdo wśród gałęzi na wysokości naszych poduszek. Smugi zielonkawego światła przedzierającego się przez listowie padały wprost na nasze ciała. A w ciągu tygodnia pracowaliśmy. Ja wstawałam wcześniej, gdyż miałam do sprzątnięcia dwa puby; zarabiałam w ten sposób na życie i miałam z czego opłacić chesne na studiach dziennikarskich. Hugo zasiadał do nauki przy biurku ustawionym na podwyższeniu w końcu pokoju; studiował prawo, a wieczorowo robił dyplom dziennikarski. Za to w weekendy korzystaliśmy z życia.

Żyliśmy na tym materacu jak na tratwie. Na podłodze dookoła gromadziliśmy wszystkie potrzebne rzeczy, aby łatwo i szybko sięgnąć po nie spod kołdry, gdy było zimno, latem zaś rozkładaliśmy je wprost na zalanym słońcem prześcieradle. Hugo szykował w kuchni kanapki i parzył kawę. Ale chleb tostowy zawsze trzymał w pokoju, bo inni studenci mieszkający w tym domu pożerali wszystko, co im wpadło w ręce, gdy w piątkowe wieczory wracali z pubów i dyskotek. Jego matka podarowała mu prawdziwy ciśnieniowy ekspres do kawy. Mało kto miał taki na początku lat siedemdziesiątych, nawet w Londynie. Przywiozła go z podróży zagranicznej - nie wiem dokładnie, skąd, gdyż bardzo rzadko o niej mówił i nigdy jej nie poznałam. Zawsze dostawał od niej jakiś kosztowny prezent, ilekroć jadał z nią wieczerę.

Właśnie tak je określał. Dopiero na pewnym etapie życia zaczęłam jadać wieczorne posiłki, które zwykle nazywamy kolacją, toteż poczułam się bardzo zmieszana, gdy po raz pierwszy powiedział o wieczerzy. W Irlandii, gdzie się wychowywałam, w ogóle nie jadaliśmy wieczorem, podobnie jak nie piliśmy prawdziwej kawy. Po powrocie ze szkoły zjadało się obiad - a w naszym domu bywał wtedy, gdy mama miała go z czego zrobić. Później pijało się tylko herbatę. Słowa „wieczerza” używaliśmy wyłącznie w odniesieniu do Ostatniej Wieczerzy. Nie umiem jednak wyjaśnić, dlaczego poczułam się aż tak zakłopotana, wręcz upokorzona, gdy Hugo w ten sposób określił wystawną kolację, na którą matka zaprosiła go do restauracji.

Obserwowałam go bez przerwy, gdy tymczasem on rzadko spoglądał w moją stronę. Wiedziałam jednak, że za mną szaleje. Nie mógł wytrzymać godziny nad książkami, żeby nie przesunąć ręką po moim biodrze albo unieść mi głowę do pocałunku czy naprowadzić dłoni do pieszczoty, jaka mu właśnie przyszła do głowy. Ciągłe udowadniał, jak bardzo jestem mu potrzebna, jak bardzo mnie pragnie. Niemniej, gdy zamieszkaliśmy razem, zwróciłam uwagę, że choć prawi komplementy na temat mojego ciała czy włosów, nigdy nie mówi nic o mojej twarzy. Stąd też czułam się dużo pewniej, baraszkując z nim po ciemku, niż wtedy, kiedy na mnie patrzył.

Kiedy mieszkaliśmy w tym pokoju wечно wypełnionym gruchaniem i gulgotaniem gołębi, był na ostatnim roku studiów i szykował się do pisania pracy magisterskiej. Między innymi miał zajęcia z historii prawa, w ich ramach musiał poświęcić trochę czasu sprawom rozwodowym z przeszłości. Któregoś dnia rzucił na łóżko kserokopię protokołu z rozpatrywanej przez Izbę Lordów sprawy „Talbot kontra Talbot” z 1856 roku. Było to w niedzielę wieczorem, gdy szykowaliśmy się do zajęć w nadchodzącym tygodniu. Uwielbiałam tę porę. Krzątałam się po całym pokoju, zbierałam stare gazety i strząsałam okruchy z materaca. Hugo zwykle był podenerwowany - na dobrą sprawę jakby zmęczony moją obecnością - już duchowo nastawiony na obowiązki.

Ale ja odczuwałam wielką satysfakcję, gdy skończywszy porządki, mogłam wreszcie usiąść: za oknem pano-
wała ciemność, lecz my byliśmy tu bezpieczni.

Dość krótko mieszkałam w owej kamienicy wśród kasztanowców. Zostałam wygnana z tamtego raj, gdy miałam dwadzieścia trzy lata, a teraz dobiegam pięćdziesiątki. Mniej więcej rok temu, gdy siedziałam w świetlicy hoteliku na Maderze - a może na Malcie? - w każdym razie gdzieś, gdzie było gorąco i potwornie nudno w typowo angielskim stylu, i przeglądałam notatki do artykułu, rzuciłam okiem na kilka ściszonych te-
lewizorów pod ścianą. Z niewiadomego powodu wszystkie były ustawione na ten sam kanał transmitujący ob-
rady kanadyjskiego parlamentu. Ponad ramieniem przemawiającego barczystego mężczyzny dostrzegłam przez
chwilę szczupłego zamyślonego człowieka siedzącego z brodą opartą na splecionych dłoniach. Odniosłam wra-
żenie, że to Hugo. Aż ciarki przeszły mi po plecach. Te palce...

Obecnie jestem mu przede wszystkim wdzięczna za ten dokument, który przed laty od niechcenia rzucił
na łóżko. Nie znałam nikogo innego, kto byłby na tyle ambitny, żeby studiować prawo, i na tyle sumienny, by
przynosić do domu skserowane materiały wykładowcy, a jeszcze w dodatku poukładać je starannie, spiąć ra-
zem i pokazać mnie, zamiast cisnąć do śmieci, kiedy stały się niepotrzebne.

- To cię zainteresuje, Kathleen - powiedział. - Coś dla feministek. Poza tym to irlandzka sprawa. W
każdym razie rozegrała się w Irlandii.

W jego ustach zabrzmiało to jak „Jelandii”.

- W tamtych czasach o rozwód występowało się do Izby Lordów - dodał. - To jest protokół ze sprawy
rozwodowej.

*Petycja złożona przez niejakiego pana Talbota z Mount Talbot w Irlandii, upraszającego Wasze Lor-
dowskie Moście o wydanie rozporządzenia w kwestii rozwodu od jego małżonki i orzeczenia jej winy bądź nie-
winności od zarzutu cudzołóstwa*.*

* Kursywą przedstawiono cytaty z oryginalnych dokumentów, dotyczących sprawy rozwodowej Talbotów, będącej wyda-
rzeniem autentycznym.

- Tak zachowują się Anglicy w podbitych krajach - odparłam. - Dopuszczają się cudzołóstwa. Bez prze-
rwy popełniali je w Kenii czy w Indiach, wszędzie tam, gdzie nie mieli zbyt dużo roboty poza rozdawaniem
tubylcom kopniaków.

- Tu jednak chodzi o zdradę z tubylcem - rzekł Hugo. I przeczytał na głos:

*Czcigodni Lordowie, zarzut cudzołóstwa ciężący na pani Talbot tyczy mniemanego cudzołóstwa popeł-
nionego z jednym ze służby w Mount Talbot, mężczyzną nazwiskiem William Mullan, który rozpoczął służbę u
pana Talbota w roku 1848. Choć nic nie wskazuje, aby pan i pani Talbot kiedykolwiek mieli to, co powszechnie
nazywa się karetą, to z pewnością mieli powóz, jaki ma większość rodzin w Irlandii; i kiedy wyruszali tymże
powozem, Mullan go prowadził, jako też opiekował się koniem...*

Jeśli dobrze pamiętam, wtrąciłam wówczas:

- Bardzo mi się podoba określenie „większość rodzin w Irlandii”. Jak mówiłeś? To było w czterdziestym ósmym? „Większość rodzin” wtedy albo wymarła podczas klęski głodu, albo zwała z Irlandii gdzie pieprz rośnie.

- Na miłość boską! - mruknął cicho. Przez kilka minut przeglądałam *Protokół*.

- Boże! Oni naprawdę byli kochankami! - odezwałam się w końcu i przeczytałam na głos:

Obydwaj świadkowie mówią, że widzieli Mullana i panią Talbot leżących razem na sianie w jednej ze stajni. Zechciejcie zauważyć, że on był w ubraniu stajennym, a świadkowie mówią, że wyglądał jak brudny obdartus; co w żadnej mierze jej nie przeszkadzało. Kiedy uważa się za niemożliwe, by jakaś dama dopuściła się aktu współżycia seksualnego w stajni, gdzie, jak się powiada, kopulują zwierzęta, to należy pamiętać, że jeśli tego rodzaju płaska namiętność zrodzi się u kobiety w stosunku do pospolitego sługi, jakże inaczej może ją zaspokoić? Okazje nie zawsze się nadarzają: trzeba ich szukać...

- Chodź tutaj - przerwał mi Hugo. - W końcu w Irlandii też musieli jakoś spędzać czas.

Usiadł w wielkim fotelu na biegunach i poklepał się po kolanie. Nosłam wtedy włosy do połowy pleców. Pochylił się, wplótł w nie palce i delikatnie przyciągnął mnie do siebie.

Zawsze interesowałam się historiami wielkich namiętności, dlatego zaciekał mnie romans pani Talbot i Williama Mullana. Wierzę w życiowe pasje mniej więcej tak samo, jak inni ludzie w Boga: już sama wiara wystarczy, żeby wszystko układało się, jak należy. Jeszcze nim w wieku czternastu lat zaczęłam włóczyć się z chłopakami, zrozumiałam, obserwując matkę, że to właśnie żarliwa namiętność jest tym, czego całe życie szukała, pochłaniając jedną powieść za drugą. Ponadto wydało mi się niezwykle, że sprawa Talbotów wydarzyła się tuż po najbardziej dotkliwej klęsce głodu wywołanej zarazą ziemniaczaną. Był to jeden z okresów irlandzkiej historii, który działał mi na wyobraźnię. Kiedy miałam dziewięć czy dziesięć lat i któregoś dnia bawiłam się wśród porośniętych mchem głazów przy drodze, zatrzymał się przy mnie przejeżdżający tamtędy nieznajomy, zsiadając z roweru. Był historykiem z Anglii. Powiedział mi, że głód dotknął tu wszystkich, nawet mieszkańców Shore Road, gdzie, jak mi się zdawało, nigdy nic się nie dzieje. Opowiedział o niesamowicie biednych i wynędzniałych ludziach, którzy w czasie klęski zamieszkali w istniejących do dziś pieczarach i jaskiniach w skałach nad plażą, gdzie sami nieraz bawiliśmy się w dom, i po których nie został nawet ślad, jeśli nie liczyć kamiennego kopca na brzegu, znaczącego masowy grób. Zapytałam wtedy w domu: co spotkało naszą rodzinę w czasie wielkiego głodu? Jak zwykle nie uzyskałam odpowiedzi. Znalazłam jednak własny sposób na powiązanie tego, o czym opowiadał historyk, z życiem, jakie znałam. Mój ojciec niemal bez przerwy był rozjątrzony, a matka chodziła otoczona szczelnym kokonem milczenia. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak doszło do tego, że mieli dzieci. Ale gdy skojarzyłam ze sobą te dwie rzeczy, rodzinną atmosferę i klęskę głodu, przyszło mi do głowy, że coś, co się stało ponad sto lat wcześniej i niemal całkiem zapadło w niepamięć, mogło być tak strasliwym doświadczeniem, że na zawsze pozbawiło ludzi szczęścia.

Z tych dwóch powodów - mojego zainteresowania wielkimi namiętnościami oraz pochodzeniem dokumentów z lat, o których sporo rozmyślałam już w dzieciństwie - zachowałam *Protokół* ze sprawy Talbotów i jeszcze zanim uważnie przeczytałam go w całości, często po ciemku kładłam dłoń na tych papierach.

1

Zanim osiągnęłam wiek średni, nauczyłam się nieźle znosić wszelkie przeciwności losu. Przez długi czas prowadziłam ustatkowane i bezbarwne życie. Ponad dwadzieścia lat mieszkałam w mrocznej suterenie do połowy zagrzebanej w ziemi na tyłach Euston Road. Nie przepadałam specjalnie za Londynem, a zwłaszcza za siedzibą „TravelWrite”, ale na szczęście nie musiałam jej zbyt często oglądać. Tworzyliśmy z Jimmym parę głównych autorów sekcji podróżniczej syndykatu „NewsWrite” i niemal bez przerwy byliśmy w rozjazdach. Nie zaliczaliśmy się do korespondentów, nigdy nie bywaliśmy na terenach objętych wojną czy głodem, nigdy nawet nie cierpieliśmy niewygody. Poza tym o wszystkich odwiedzanych stronach pisaliśmy ciepło i sympatycznie: taka była niepisana reguła. Mieliśmy ponadto wspaniałego szefa. Nawet gdy chodziło o piątą „Paryż wiosną” lub trzecią „Sri Lanke: korzenną wyspę”, Alex nigdy nie dopuścił, byśmy pisali nudnie i schematycznie. Niekiedy Jimmy zarzucał mi idiotyczny perfekcjonizm, ponieważ tak czy inaczej wszystkie reportaże „TravelWrite” sprzedawały się na pniu. Niemniej zadowolenie Aleksa przynosiło nam korzyści. Poza tym ludzie czytują reportaże podróżnicze w pogodnych nastrojach, w czasie wypoczynku, zadowoleni z siebie i całego świata. Stąd też muszą to być teksty napawające optymizmem. To również był jeden z powodów, dla których lubiłam swoją pracę, głównym jednak pozostawała troskliwość Aleksa.

W końcu na swój sposób polubiłam nawet moją suterene. Chyba na palcach jednej ręki mogłam policzyć ludzi, którzy mnie tam odwiedzili przez cały czas mieszkania w Londynie. Moim najbliższym przyjacielem był Jimmy, trafił do „TravelWrite” z Ameryki, mieszkał o dwadzieścia minut drogi ode mnie, w Soho, a mimo to nigdy nie byliśmy u siebie nawzajem. Oboje świetnie rozumieliśmy, że jeśli ktoś z nas mówi, iż wraca do domu, nie należy zadawać zbędnych pytań. Kiedyś, na początku znajomości, Jimmy powiedział, że jedzie do domu, a ja z górnego piętra autobusu zauważyłam, że zatrzymał taksówkę i odjechał w przeciwnym kierunku. Od tamtej pory starałam się nie oglądać po naszym pożegnaniu. W każdym razie ciszy w moim pokoju nigdy nie zakłóciła żadna z tych miłych rozmów, które doprowadziliśmy do perfekcji przez lata znajomości. I przez bardzo długi czas nie było obok mnie nikogo, gdy budziłam się rano we własnym łóżku. Seks był nieodłącznie związany z hotelami. Sądzę, że nawet nie miałam ochoty zakłócać idealnej pustki wypełniającej miejsce mego zamieszkania.

Nadszedł jednak czas, kiedy zaczęłam tracić kontrolę nad ustatkowaniem i bezbarwnością mojego życia.

Czekając na swoje bagaże w hali przylotów lotniska w Harare, nawiązałam rozmowę ze stojącym obok mnie biznesmenem w eleganckim garniturze. Zaczęło się od wymiany zdań na temat ulubionych linii lotniczych.

- Klasa business Royal Thai jest pierwszorzędna - powiedział.
- Tylko proszę nie mówić, że dlatego, iż stewardesy przybiegają na każde skinienie - odparłam ze śmiechem.
- Stewardesy dobrze wiedzą, czego człowiekowi potrzeba - rzekł z pełną powagą, jakby mnie wcale nie słyszał.

Na pasie transportera spał skulony bosy bagażowy i kiedy taśma ruszyła z szarpnięciem, biedny staruszek spadł na podłogę u naszych stóp. Biznesmen cofnął się o krok, z wyrazem obrzydzenia na twarzy wyjął chusteczkę i przeciągnął nią po błyszczących czubkach butów, jakby zostały czymś skażone. Mimo to przyjąłem jego propozycję podwiezienia do miasta. W pewnym momencie czerwone światła zatrzymały nas na wprost baru, z którego dolatywało dudnienie bębnów i głośne śmiechy.

- Ci Afrykanie są bardzo muzykalni - powiedział. - Mają niezwykle poczucie rytmu.

I co ty robisz w towarzystwie tego tępaka? - zapytałam siebie w duchu.

Znałam pół, no, może ćwierć odpowiedzi. Gdyby jednak do niczego więcej nie doszło, nawet na chwilę nie wróciłabym myślami do tej znajomości.

Mężczyźni stronią od takiej nieokreśloności. Kiedy zajechaliśmy przed hotel, spytał:

- Nie zechciałaby pani wejść na drinka? A może wolałaby pani poczekać w moim pokoju, aż się odświeżę? Mam w torbie butelkę dobrej słodowej whisky.

Rozsiadłam się, wygodnie oparta o zagłówek łóżka, i sącząc szkocką, przyglądałam się, jak porządkuje swoje rzeczy - papiery, radio tranzystorowe, przybory toaletowe. Kiedy wyszedł z łazienki rozebrany do pasa, w rozpiętych spodniach, byłam w pełni przygotowana na pocałunki i pieszczoty. Odczuwałam skrajne zmęczenie. Poza tym trochę wypiałam. I czułam się osamotniona w obcym kraju. Gotowa byłam z prawdziwą przyjemnością oddać się w czyjeś ręce.

Nie minęło jednak wiele czasu, gdy zmarszczyłam brwi, mając przed sobą jego trupioblade plecy.

Przyszło mi do głowy, że nie mam zielonego pojęcia, jak nad tym zapanować. Gdybym sama czuła się pewnie, mogłabym go zabrać ze sobą...

Prawdę powiedziawszy, nie umiem wytłumaczyć, dlaczego mężczyźni tak niewiele potrafią wydobyć z żywego ciała. Mimo moich usilnych starań nie wydał z siebie nic poza głośniejszym westchnieniem. Później jednak sprawiał wrażenie zadowolonego. Tak mi się przynajmniej zdawało. Zaprosił mnie na kolację następnego dnia i zgodziłam się, chociaż nie miałam specjalnej ochoty na parogodzinną próbę podtrzymywania uprzejmej konwersacji. Dopisywał mi świetny humor, gdy odprowadzał mnie do taksówki. Ostatecznie nawiązałam kontakt z drugim człowiekiem, prawda? Poza tym okazałam się wspaniałomyślna, nie mówiąc już o innych sprawach. Nuciałam pod nosem, rozwieszając ubrania w szafie wynajętego domku, będącego marną imitacją stylu Tudorów i stojącego w cieniu rozłożystych dalbergii, których purpurowe kwiaty w mętym świetle ulicznych latarni sprawiały wrażenie całkiem czarnych. To jedna z moich ulubionych rzeczy: pierwsza noc w pokoju hotelowym.

Zadzwoił telefon. Alex oświadczył, że tekst o faunie Zimbabwe jest mu potrzebny na pojutrze.

- Czy tobie się zdaje, że słonie i żyrafy spacerują po śródmieściu Harare tak jak ludzie po ulicach Londynu?! - wykrzyknęłam ironicznie do słuchawki. - A może myślisz, że ten domek z pokojami gościnnymi, do którego dopiero co przyjechałam, stoi na skraju parku safari?!

Kiedy telefon zadzwonił ponownie, ze złością podniosłam słuchawkę, gotowa do kłótni o termin oddania reportażu. Ale tym razem dzwonił mój biznesmen.

- Jak się miewa mój mały irlandzki kociak? Przez cały czas myślę o tobie.

- Naprawdę? - mruknęłam zmieszana. Kociak? Miałam czterdzieści dziewięć lat.

- Niestety, tak się składa, że muszę wyjechać z miasta. No, proszę. Za ledwie godzinę po naszym rozstaniu!

Nie chciał nawet zaczekać do następnego dnia.

Uświadomiło mi to jedną rzecz - że moje serce jest wciąż zdumiewająco żywotne. Poczulałam się do głębi zraniona. Co złego zrobiłam? Z trudem przełknęłam łzy.

- A później - ciągnął - muszę od razu wracać do biura. Przecież w gruncie rzeczy nic między nami nie było.

Nic. Nawet nie zdążyliśmy się polubić. I teraz, z powodu poczucia niespełnienia czy może nadziei na pełniejszy relaks, miałabym zrezygnować z własnych planów i pędzić z powrotem do hotelu, żeby znów wskoczyć do jego łóżka.

Dosyć! Tak dalej nie można żyć - rzekłam stanowczo. I wybuchnęłam płaczem.

Kilka dni później udałam się dalej na wschód, żeby naprędce przygotować reportaż o gorących źródłach leczniczych na Filipinach. Pojechałam prosto pod słynny wodospad i mimo że szarawe od wilgoci powietrze śmierdziało tam wodorostami gnijącymi w mule, a po wszystkich alejkach między kwitnącymi drzewami kręcili się chłopcy, czy to żebrzący, czy oferujący usługi przewodnika, można było dostrzec, że to naprawdę wspaniałe miejsce, pełne kolibrów spijających wodę z zielonych sadzawek w tych miejscach, gdzie na krótko zastygała nieruchomo, zanim z cichym szumem spadała po gładkich skałach tworzących krawędź kolejnej kaskady. Uznałam, że bez większego trudu i tę turystyczną atrakcję uda mi się przedstawić w pozytywnym świetle. Zrobiłam trochę notatek i zdjęć ptaków, żeby je później zidentyfikować, po czym wróciłam autobusem do Manili. Miasto powitało mnie smrodliwym skwarem popołudniowego szczytu. Mój hotel stał po drugiej stronie ruchliwej dwupasmowej alei. Ruszyłam przez ulicę. Gdy znalazłam się na rozdzielającym jezdnię pasie zieleni z niskim zakurzonym żywopłotem, nagle zza krzaków wysunęła się drobna dziecięca dłoń. Zajrzałam za żywopłot. Siedziały tam dwie dziewczynki, siedmio- lub ośmioletnie, a w kartonowym pudle spało niemowlę.

- Dolar! - pisnęła ta, która wyciągała rękę.

Nagle wstała i na środku tego pasa, między strumieniami aut pędzących w obu kierunkach, zadarła wystrzępioną sukienkę i wypchnęła do przodu swe drobne nagie łono zakryte szarymi od brudu majteczkami. Nie wiem, o co jej chodziło. Może w ogóle o nic.

Dałam jej wszystkie drobne, jakie miałam w kieszeni, a potem, zamiast się zameldować w hotelu, złapałam taksówkę i na nic się nie oglądając, pojechałam na lotnisko.

- Widziałam dzieci, które żyją na ulicy - powiedziałam do kierowcy.

- Zgadza się. Przyjeżdżają ze wsi i mieszkają na ulicach - odparł.

Zapadło milczenie. Wcisnął do odtwarzacza kasetę Petuli Clark.

A gdy przed terminalem zapłaciłam za kurs, rzucił: - Ale niepotrzebna nam pieprzona litość żadnej starej suki.

Lot powrotny do Europy strasznie się dłużył. Siedziałam po ciemku z szeroko otwartymi, piekącymi oczami, gdy inni pasażerowie spali. Mężczyzna w sąsiednim fotelu przechylił się na bok, pod brodą miał jeszcze serwetkę z obiadu, wyglądającą jak dziecięcy śliniak.

Początkowo palił mnie wstyd za egoistyczną reakcję na widok dzieci mieszkających na ulicy. Przez nie znów zaczęłam myśleć o sobie - jak zwykle ja, ja, i jeszcze raz ja - zamiast o niesprawiedliwości na tym świecie. Później jednak zadałam sobie pytanie: A cóż w tym złego, jeśli silne przeżycie otworzy człowiekowi oczy, choćby tylko na kilka godzin, nawet gdy musi się z tą prawdą borykać w samotności? Siedziałam w dusznym półmroku samolotu i rozmyślałam: Gdyby ktoś przez te wszystkie lata zapytał cię, czy interesujesz się seksem, odpowiedziałabyś wyniośle, że nie. Interesują cię namiętności. Namiętności. Aż powtórzyłam to słowo półgłosem. Jakie namiętności? W gruncie rzeczy nigdy nie szłaś z nikim do łóżka naprawdę podniecona. Pchała cię tam nadzieja, tkwiąca w tobie jak uparte podziemne kłącze nie dającego się wyplenić chwastu. Tylko sobie przypomnij, ile to razy, poczynając od pierwszego muśnięcia męskiej dłoni po twojej piersi, odżywała w tobie wiara, że szczelnie osłaniający życie klosz właśnie się unosi i zza niego wyłania się oszałamiający rozgwieżdżony firmament. Ale nigdy tak się nie stało. Przez tyle lat jednonocne przygodne znajomości nie przyniosły ci tego, czego oczekiwałaś. Co więcej, zaczynasz je traktować coraz bardziej patetycznie. I powiedz sobie otwarcie: prawdę mówiąc, im jesteś starsza, z tym większą wdzięcznością przyjmujesz zainteresowanie swoją osobą, nieważne, z czyjej strony, i nieważne, na jakich warunkach.

Lecz gdybym całkiem z tego zrezygnowała, w jaki inny sposób mogłabym kogokolwiek poznać? Gdyby nie to szarpane życie seksualne z doskoku, nie miałabym przecież żadnego! Potem uprzytomniłam sobie: czy to w ogóle można nazwać życiem seksualnym? Przypomnij sobie chociażby tego biznesmena z Harare. Już nawet nie potrafisz dać mężczyznom rozkoszy, nie mówiąc o tym, że sama niewiele z tego masz.

Uśmiechnęłam się na myśl o Harare, gdyż wydarzyło się tam coś jeszcze. Nawiązałam rozmowę z tęą sympatyczną kobietą, która na podwórzu rozwieszała wypraną pościel z pokoi gościnnych, kiedy siedziałam na ganku przed tylnym wejściem z laptopem na kolanach. Pomogłam jej rozkładać prześcieradła. Później poszłam z nią przez miasto, żeby zobaczyć pokój, w którym wychowała swoje dzieci. Siedziałyśmy na brzegu łóżka, opowiadając sobie nawzajem o swoim życiu, a ona pochylała się od czasu do czasu i mieszała zupę gotującą się w wielkim kotle. Zdjęła plastikową torbę wiszącą na drzwiach i pokazała mi swoje skarby: tranzystorowe radio dwuzakresowe i różowy stanik o stożkowatych miseczkach, na specjalne okazje. Poszłam też z nią, kiedy przełała gotową zupę do wiadra, żeby pod olbrzymią wiatą sprzedawać ją ludziom siedzącym nad piwem przy stołach zbitych z surowych desek. Robiła z tego wspaniałe przedstawienie, żartowała i ponętnie kręciła biodrami, więc po pewnym czasie zapomniałam o wstydzie i dołączyłam do niej. Mężczyźni zaśmiewali się do łez, widząc te podrygi dwóch starszych kobiet, i chętnie zamawiali miseczki zupy, które upychali na stołach obok butelek z piwem. Tańczyłyśmy po całej wiacie, trącałyśmy się ramionami i biodrami, głaskałyśmy się żartobliwie i potrząsałyśmy biustem przed nosami rozradowanych facetów. Zanim zupa została sprzedana, za nami po sali wędrowała spora gromadka dzieciaków, a nas brzuchy bolały od śmiechu.

A więc nadal umiem się cieszyć życiem - pomyślałam.

W samolocie śpiącemu obok mnie mężczyźnie głowa zsunęła się z zaciśniętej w pięść dłoni, aż zamruczał przez sen z niewygodny. W półmroku zabłysła gruba obrączka na jego palcu. Najostrożniej, jak umiałam, poprawiłam go w fotelu. W końcu sama także zasnęłam.

W Londynie próbowałam złapać Jimmy'ego pod numerem jego telefonu komórkowego. Chciałam mu powiedzieć, że któregoś dnia będziemy musieli wspólnie stawić czoło wszystkim okropnościom tego świata. Jeśli mi na to pozwoli, bo nie znosił, gdy stawałam się zbyt poważna.

- To jasne, że Jimmy wolałby wszystko brać na spokojnie - powiedziałam kiedyś do Roxy, sekretarki w biurze.

- Może i tak, ale ty z pewnością do wielu spraw podchodzisz nazbyt emocjonalnie - odparła.

Ona z kolei wszystko traktowała z wyjątkową obojętnością, nie wzięłam więc do serca tej uwagi, ale zapamiętałam, żeby później dokładnie ją rozpatrzyć. Poza Roxy i Jimmym nikt nigdy nie mówił mi wprost, co o mnie myśli - czasami robił to jeszcze Alex, ale zazwyczaj bardzo ogólnikowo. Pod tym względem te trzy osoby, z którymi pracowałam, były dla mnie jak najbliższa rodzina.

Jimmy nie odbierał. Dopiero po jakimś czasie przypomniałam sobie, że jest w Nowym Jorku. Wysłałam mu więc wiadomość pocztą elektroniczną.

Muszę z tobą porozmawiać, Jimmy, napisałam. Chyba mi się przejadła praca dla „TravelWrite”. Starzeję się, skarbie. Wreszcie z tej roboty wynikło dla mnie coś dobrego.

A pół minuty później wysłałam następną wiadomość.

To dobre wcale nie wynikło z mojej roboty, Jimmy - ono wyszło ze mnie.

Był właśnie u Mercera, ale odebrał pocztę elektroniczną. Kiedy w końcu nadarzyła się sposobność do rozmowy, powiedział, że w gromadzie młodych, elegancko ubranych ludzi czuje się wyjątkowo staro. Miał wracać okrężną drogą, przez Miami, umówiliśmy się więc za kilka dni po pracy w winiarni niedaleko biura - dawniej olbrzymim wiktoriańskim pubie, który zapadł na rozdwojenie osobowości: maleńkie chromowane krzeselka i stoliki gryzły się optycznie z ciężkimi przepierzeniami zrobionymi z sosnowych desek zbijanych wielkimi ćwiekami. Kiedy ujrzałam, jak Jimmy wchodzi do lokalu, przypomniałam sobie jego uwagę, że czuje się staro. Był postawny, szczupły i tryskał energią! Czy kiedykolwiek zastanawiałam się nad tym, że przystojny mężczyzna, może odczuwać skutki starzenia się inaczej niż ja? Zamienił parę słów z barmanem w wypłowiałym fraku, który zaśmiał się głośno. Wszyscy lubili Jima, zawsze uśmiechniętego, z okrągłą puciołowatą twarzą i strzechą słomkowoblond włosów upodabniających go do Rin Tintina. Rzecz jasna, wcale nie chciał wyglądać jak Tintin, a raczej jak James Dean z *Buntownika bez powodu*.

- Dzisiaj wieczorem rzeczywiście jesteś trochę podobny do Deana - powiedziałam, gdy usiadł przy stoliku. - Masz takie same półprzymknięte błyszczące oczy. Tylko czemu podkrążone? Po wczorajszych ekscesach?

- Zmęczenie podróżą - odparł. - A niby dlaczego jesteś dzisiaj dla mnie taka miła, moja droga Dame Freya? To przejaw kryzysu wieku średniego? Mam nadzieję, że jakoś sobie z nim poradzisz.

- Co porabiałeś w Miami, najdroższy panie Chatwin? Na pewno nie poleciałeś tam tylko z powodu dobrych win.

- Nie sposób kupić butelki porządnego sancerre na południe od linii Masona-Dixona - przyznał ze smutkiem. - To samo dotyczy chińskiego żarcia.

- Najlepsze chińskie zarcie jest w Seattle, gdzie główni gracze z Pekinu za swoje odprawy otwierają restauracje, ale wykorzystują świeże amerykańskie produkty. To wszystko, czego trzeba, by przygotowywać doskonale chińskie potrawy.

- Wiesz, co mi się nie podoba w Seattle? - mruknął. - Jest za daleko.

- Za daleko, jeśli startujesz stąd.

- Nieprawda - rzekł z powagą. - Niektóre miasta są za daleko, nawet jeśli już w nich jesteś. I Seattle właśnie do nich należy.

Przez dłuższy czas prowadziliśmy takie pogaduszki. Roxy orzekła kiedyś, że ją to doprowadza do szału. Ale po dwudziestu latach współpracy nawet nie musieliśmy się z Jimmym nawzajem słuchać. Więcej odczytywaliśmy z uśmiechów czy zmarszczenia brwi, z tego, czy chcieliśmy jak najszybciej zakończyć spotkanie, czy też je przedłużać, z tego, czy ze zwieszoną głową wbijaliśmy wzrok w stół, czy śmiało patrzyliśmy sobie w oczy, pociągaliśmy łyk wina z obowiązku, czy z przyjemnością. Któregoś razu, gdy byłam naprawdę wkurzona podczas takiego spotkania, Jimmy zapytał:

- Co cię dręczy, skarbie? A Alex zbaraniał.

- Skąd wiesz, że coś ją dręczy? - zapytał zdziwiony. - Bo ja odnoszę wrażenie, że wy zawsze jesteście tak samo pogodni.

Mieliśmy swoje metody na to, by odgadnąć, że drugą osobę coś nurtuje - tylko winiarnia nie jest odpowiednim miejscem, by o tym mówić. Na przykład to, że Jim zamówił całą butelkę wina, a nie dwie lampki, dla mnie oznaczało, że jeśli będę nalegała na poważną rozmowę, jest gotów mnie wysłuchać. A sposób, w jaki go uścisnęłam przy pożegnaniu, powinien mu dać do zrozumienia, że tak naprawdę niewiele mnie obchodzi, po co poleciał do Miami.

- Dlaczego nigdy nie chcesz mnie zabrać ze sobą? - spytałam. - Byłoby przyjemnie popływać w basenie na materacu i zamówić u przystojnego śniadego kelnera Cuba Libre oraz porcję mrożonego biszkoptu cytrynowego.

- Jeszcze przyjdzie na to czas, skarbie - odparł - gdy przeniesiemy się do South Beach, żeby na słońcu wygrzewać reumatyzm.

- Nie boisz się, że będę zazdrosna o twoje geriatryczne podboje sercowe? - zażartowałam, targając dłonią jego sprężyste włosy.

To był ostatni raz, kiedy go dotknęłam.

- Nie będzie żadnych sercowych podbojów - odparł - bo wtedy wszyscy chłopcy będą już martwi.

Kiedy następnego ranka zjawiłam się w biurze, chciałam mu opowiedzieć o zabawnej przygodzie. No, może nie tak bardzo zabawnej. Wychodziłam właśnie ze stacji metra Euston Road w drodze powrotnej z winiarni do domu, gdy ujrzałam na zaśmieconym chodniku biegnącą w moim kierunku parę nóg. Zatrzymały się nagle, a z góry spadł na mnie dziewczęcy głos:

- Cześć!

Podniosłam głowę. Zobaczyłam najpierw szeroki uśmiech, potem wycelowany we mnie obiektyw kamery.

- Fashion Channel Plus! - oznajmiła radośnie dziewczyna. Stała obok mnie i odwróciła się do kamery.
- Tu Vox Pop Shop! Cześć! Nadajemy relację na żywo z ulic Londynu, by pokazać wam, jak są ubrani przypadkowi przechodnie!

Kamera na męskich nogach oddaliła się nieco, żeby uchwycić mnie całą w kadrze. Spojrzałam w dół. Miałam na sobie czarny wełniany żakiet, który leżał na mnie idealnie, kiedy jeszcze paliłam, ale gdy rzuciłam palenie, przybyło mi parę kilogramów, co było aż nadto widoczne. Przypominałam sobie o tym, ilekroć go wkładałam, teraz jednak powiedziałam sobie w duchu: I co z tego? Przecież ubieram się tak jedynie do pracy. I wtedy dopadła mnie inna myśl: To sposób rozumowania kobiety zestresowanej. Muszę być w poważnej depresji.

- Nie rozumiem, dlaczego wybór padł właśnie na mnie - powiedziałam do kamery, uśmiechając się sztucznie i wciągając brzuch. - Niestety, w ogóle nie znam się na modzie.

Oczywiście spodziewałam się, że dziewczyna temu zaprzeczy.

- Cięcie! - krzyknęła do kamerzysty ku memu zaskoczeniu. - Nic z tego nie będzie. - Wysunęła się przede mnie i po chwili rzuciła przez ramię: - Przepraszam, ale nagrywamy wywiady wyłącznie z ludźmi, którzy tu mieszkają, z londyńczykami.

To wszystko. Nic specjalnego. Ale wróciłam do swojej sutereny dotkliwie upokorzona. Przecież i ja tu mieszkam! - protestowałam w myślach. Przeniosłam się do Londynu, gdy miałam dwadzieścia lat! A ten żakiet kupiłam w firmowym salonie mody! Prawdę mówiąc, kosztował kupę forsy!

Wreszcie otworzyłam gazetę na żółtych stronach, wybrałam z ogłoszenia numer psychoanalityka i nagrałam na automatycznej sekretarce prośbę o zapisanie mnie na wizytę.

O tym wszystkim chciałam opowiedzieć Jimowi.

Tego ranka odbywało się comiesięczne zebranie. Razem z Aleksem i Roxy długo na niego czekaliśmy. W końcu zadzwonił telefon. Kiedy Alex odłożył słuchawkę i odwrócił się do nas, był blady jak ściana.

- Jimmy nie żyje - wyjaśnił. - Zmarł w nocy na atak serca.

Nie płakałam. Moja siostra, Nora, której udało się osiągnąć stan permanentnego nierozumienia mnie już od chwili moich narodzin, po pewnym czasie oznajmiła przez telefon:

- Wyjątkowo szybko pogodziłaś się ze stratą Jimmy'ego, nieprawdaż? A ja sądziłam, że był twoim najlepszym kumplem.

Nie lubiła go, bo prawie na samym początku naszej znajomości, gdy na parę dni razem zatrzymaliśmy się w jej mieszkaniu, podziękował jej za gościnę, wręczając karnet na koncerty sonat Beethovena w Carnegie Hall; zażartował przy tym, że czasami warto udowodnić całemu światu, że człowiekowi zależy w życiu nie tylko na pieniądzu. Nora jest osobistą asystentką jakiegoś biznesmena, zarabia kupę forsy i szalenie się pilnuje, by nie popełnić żadnego błędu. Ale i ona chyba nie wie, na czym jej w życiu najbardziej zależy, ponieważ zapytała wówczas:

- A co złego w tym, że człowiekowi zależy na pieniądzu?

Jednakże po śmierci Jima nie płakałam dlatego, że zabrakło mi odwagi.

Nie wiedziałam, co z sobą począć. Pierwsze trzy lub cztery dni spędziłam zamknięta w swojej suterenie. Słyszałam, jak Alex nawołuje mnie przez szczelinę na listy; dwa dni później tak samo postąpiła moja przyja-

ciółka, Caroline. Odkrzyknęłam jej, że jestem zajęta, pogrążona w lekturze. Wyszłam z domu dopiero wtedy, gdy nie miałam już nic do czytania. A przeczytałam najpierw wszystkie kieszonkowe wydania powieści z górnej półki regału, od lewej do prawej; potem cały *Protokół* ze sprawy Talbotów - dlatego, że też leżał na górnej półce; następnie wszystkie przewodniki turystyczne z dolnej półki. Po pogrzebie przestałam czytać i zaczęłam pisać, ile tylko się da. Oprócz swoich reportaży robiłam także te, którymi miał się zająć Jimmy. Bez przerwy podróżowałam i pisałam, dopóki w jakimś sypiącym się ze starości ośrodku turystycznym w Tatrach nie uświadomiłam sobie, że nic nie pomaga - ani niezwykle widok wołów zaprzężonych do zabytkowego żeliwnego pługu na maleńkim poletku na stromym zboczu, ani swąd dymu z ognisk, czy odór zwierząt pasących się za ogrodzeniami wzdłuż błotnistych górskich dróg, ani też mgła otulająca ubogie wioski w dolinach, gdy wieczorami robiło się zimno. Nie potrafiłam sobie znaleźć miejsca, skoro nie mogłam zadzwonić do Jimmy'ego, by mu powiedzieć, że jeszcze nie widziałam tu młodych jarzyn albo że przeczytałam nową książkę Theroux i coraz bardziej go nie lubię. „Cześć! To tylko ja”. „Cześć, tylko ty. Gdzie jesteś?” „Właśnie czekam przed prywatnym gabinetem ministra w jego złoconej willi”; „Jem śniadanie w barze mlecznym w miejscowości, której nazwy nie potrafię wymówić”. „Dobrze się czujesz? Masz tam do kogo otworzyć usta?” „Wczoraj wieczorem wybrałam się na koszmarny pokaz tańców ludowych. Tutejszy bonza od spraw turystyki załatwił dla naszej grupy luksusowe pokoje gościnne. Jak się miewa Alex? Samolot zawrócono na lotnisko. Zapomniałam spakować ciemne okulary. Miałaś już kiedyś kaca po winie z czerwonych porzeczek? Tu jest taki nieurodzaj zbóż, że wystąpili o pożyczkę z Banku Światowego. Rozboleł mnie ząb”.

Po powrocie do Londynu nie powiedziałam jeszcze, że zrywam z pisaniem reportaży. Nie chciałam rzywać tych kokonów spokoju, jakimi oddzieliliśmy się od świata zewnętrznego. Alex siedział w gabinecie, Roxy przy swoim biurku, a zarządzająca biurem Betty w pokoiku po drugiej stronie korytarza. Wcisnęłam się w swój kąt i pogrążyłam w pracy, starając się nie robić najmniejszego hałasu. Szanowaliśmy nawzajem swoje uczucia. Nikt nawet słowem nie wspomniał o Jimmym. Pod jego biurkiem leżał jeden z jego sportowych butów. Nikt nie zamierzał go stamtąd wyciągnąć.

- De Burca - przedstawiłam się recepcjonistce psychoanalytyka, gdy nadszedł termin umówionej wizyty.

- Kathleen de Burca.

Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym popełniła gafę, wymieniając inne nazwisko niż Smith lub Jones, po czym odłożyła długopis. Zaraz jednak chwyciła go ponownie i podniosła z wysiłkiem, jak gdyby ważył kilogram.

- Może to pani przeliterować? - zapytała, najwyraźniej podejrzewając, że jest to całkiem niewykonalne.

I co miałam zrobić?

- To odpowiednik angielskiego Burke. Proszę tak zapisać, będzie łatwiej.

Szybko pochwaliłam kwiatową kompozycję na jej biurku, w stylu New Age - przymilałam się ze strachu. Na pewno zdradzał to rumieniec płonący na moich policzkach. Zanim weszłam do gabinetu umeblowanego antykami połyskującymi w nastrojowym oświetleniu, może jeszcze nie płakałam, ale już chlipałam. Miałam nadzieję, że w jednej chwili wszystko się wyprostuje i już nie będę musiała z nim rozmawiać. Sprawy toczyły się własnym torem. Zajęta pracą, dopuściłam, żeby mnóstwo rzeczy się nade mną spiętrzyło. Obawiałam się teraz, że facet otworzy jakąś furtkę w mej pamięci i to wszystko zwali mi się na głowę.

- Chusteczki są na stoliku przy fotelu - mruknął. Próbowałam mu wyjaśnić, jak bardzo czuję się osamotniona po nocach, i to odkąd pamiętam.

- Tak, rozumiem - mruknął.

Powiedziałam, że mój najlepszy przyjaciel był amerykańskim gejem, a po jego śmierci nie mam nikogo bliskiego.

- Rozumiem.

Szloch przybierał na sile, aż kłuło mnie w piersiach. Mimo woli jęknęłam.

- Starzeję się! Zmarnowałam całe dotychczasowe życie!

- Rozumiem. Ma pani jakichś krewnych?

- Brat został w domu rodzinnym, ma żonę i dziecko. Najstarsza siostra, Nora, mieszka w Nowym Jorku. A najmłodszy braciszek, Sean, zmarł, gdy miał sześć i pół roku. Może gdybym została z rodziną, uratowałabym mu życie! - Szlochałam coraz głośniej. - Poza tym troje lub czworo niemowląt zmarło tuż po urodzeniu.

- Dlaczego pani o tym wspomina? - zapytał.

- Nie wiem. Chyba... Moja biedna matka...

Jeszcze pisnęłam i chlipnęłam, ale nawałnica szlochu zaczęła stopniowo przycichać. Próbowałam mu wyjaśnić:

- Jestem tak przygnębiona, że nie potrafię się nawet odpowiednio ubrać. Kilka dni temu włożyłam żakiet, który od dawna na mnie nie pasuje!

- Dużo pani pije? - zapytał.

Czułam się bezpieczna w tym elegancko urządzonej gabinecie, przy specjalistycznie siedzącym z dłońmi na krawędzi biurka, w którym odbijało się przyćmione światło lamp. Nie wyprostowałam się jednak i nie podniosłam głowy, choć wstrząsały mną już tylko sporadyczne spazmy.

- Gdyby mogła pani to wszystko spisać - rzekł - w zarysach, abym zyskał ogólny obraz, proszę podać wiek rodzeństwa w chwili śmierci pani matki, i tak dalej. Podczas następnej wizyty poproszę panią...

Nagle usłyszałam jakiś szelest. Na pewno bym go nie złowiła, gdybym nie przestała szlochać.

Coś się poruszyło za parawanem rozstawionym w mrocznym kącie gabinetu.

Zerwałam się na nogi jak przestraszony zając na polu i spiorunowałam analityka wściekłym spojrzeniem.

- To dość powszechne - rzekł. - Pozwalamy stażystom śledzić przebieg wstępnej konsultacji, gdyż ich również obejmuje zasada całkowitej poufności.

Nogi się pode mną trzęsły, gdy szłam do wyjścia.

- W pani ojczyźnie postępuje się tak samo! - zawołał za mną. - Mogę panią zapewnić!

- To mnie przekonało - powiedziała Norze przez telefon - iż podjął ryzyko tylko dlatego, że jestem Irlandką.

Siostra milczała. Ślepo wierzyła w trafność własnych opinii. Od lat usiłowała mnie namówić na rozpoczęcie terapii. Raz nawet przysłała mi czek in blanco na ten cel.

- Może faktycznie jest to w zwyczaju - zaczęła niepewnie.

- Nie chrzań. Dobrze wiesz, że to nieprawda. Nie jestem uniwersyteckim wykładowcą z Hampstead, żeby na spotkanie ze mną zapraszać kolegów po fachu.

- Przyjedź do mnie! - poprosiła. - Choćby jeszcze dziś! Albo jedź do domu! Nie rozumiem, jak mogłaś wytrzymać tyle lat w snobistycznej starej Anglii.

Tego też już próbowałam. Po ostatnim przewrocie w moim życiu pojechałam do Nory, rozważając pomysł zamieszkania gdzieś blisko niej w Nowym Jorku. Wytrzymałam tydzień. A w Irlandii... Cóż, pod żadnym pozorem nie zamierzałam się tam osiedlać. Przyznaję, że myślałam o ojczyźnie o wiele częściej niż kiedykolwiek dotąd. Może faktycznie wizyta u psychoanalityka rozwiała nieco mrok spowijający moją pamięć, a może podziałała lektura *Protokołu* ze sprawy Talbotów - chociaż nie zdawałam sobie z tego sprawy, bo tak niewiele czasu minęło od śmierci Jimmy'ego.

Niemniej coś drgnęło w moim sercu. Uzmysłowiłam to sobie w małym prywatnym zoo pod Londynem, gdy szykowałam dla Aleksa artykuł o dzikich zwierzętach jako atrakcji turystycznej. Prawdę mówiąc, stało się to nie w samym ogrodzie, lecz w wydzielonym ośrodku dla wymierających gatunków, gdzie prowadzono akcję ratowania miniaturowych pazurkowców. Małpki o rudawozłocistym futerku podobnym w kolorze do sierści spaniela miały drobne pyszczki o melancholijnym wyglądzie, otoczone gęstą grzywą niczym lew z czołówki filmów wytwórni MGM. Stałam z nosem przyklejonym do szyby, chcąc poznać ich zwyczaje. Obserwowałam je z wielką przyjemnością - to zwisały z gałęzi na jednej łapce i kołysały się w przód i w tył, jakby w zamyśleniu, to znów kucaly pod wielkimi mięsistymi liśćmi osłaniającymi gniazdo, gdzie czochrały się i iskały, całkowicie lekceważąc moją obecność. Zaczęłam obserwować pospieszną bieganinę grzywiastej małpki rozmiaru pięści z uczepionym jej brzucha jeszcze mniejszym maleństwem. To była matka z dzieckiem. W ich drobnych błyszczących oczkach czaił się smutek.

Właśnie wtedy poraziła mnie myśl: Nigdy dotąd nie patrzyłam na swoją rodzinę w taki sam sposób, w jaki obserwowałam zwierzęta. Nigdy nie przyjrzałam się dobrze ludziom, którzy mnie ukształtowali, takim wzrokiem, jakim spoglądam chociażby na ptaki - podziwiając je, a nie próbując dopasować do utartych schematów. Wciąż postrzegałam swoją rodzinę tak samo jak wtedy, gdy opuszczałam Irlandię. Matka? Ofiara. No, ja, Danny i biedny mały Sean? Zaniedbane istoty jej uzalania się nad własnym losem. Winowajca? Ojciec - staroświecki katolicki patriarcha, niemiły dla żony, nie kochający dzieci, szorstki dla małej Kathleen, ilekroć próbowała z nim rozmawiać.

Nagle poderwałam głowę, jakby doleciał mnie nieprzyjemny zapach.

Czemu wciąż odczuwałam gorycz, skoro minęło prawie trzydzieści lat od czasu, gdy po raz ostatni widziałam ojca, i pięć czy sześć od jego śmierci? Przecież nie mogłam się nie zmienić. Nie mogłam nadal być tą samą osobą, która uciekała z rodzinnego domu. To niemożliwe. Jeśli nawet przez te wszystkie lata, zwłaszcza mieszkając w suterenie, pozostawałam w stanie sztucznego ożywienia, to w końcu jednak żyłam. A wszystko, co żywe, ustawicznie się zmienia.

Matka z uczepionym jej piersi małpiątkiem zniknęła mi z oczu, chyba ukryła się za olbrzymimi liśćmi tropikalnego drzewa.

- Gdzie jesteś? - szepnęłam i lekko postukałam palcami o szybę.

Przypomniałam sobie nagle wiersz, którego nauczyliśmy się na pamięć w szkole. Kilka oderwanych strof okazało się tak natarczywych, że nie mogłam się od nich uwolnić przez całą drogę powrotną do samochodu.

„Czy jest tam ktoś?” - zawołał Wędrowiec, pukając do zalanych księżycą blaskiem drzwi...

W wyobraźni ujrzałam samotnego podróżnika dobijającego się do drzwi porzuconego domu w sercu lasu. Zdaje się, że mieszkały tam jedynie duchy, które czekały na schodach, przysłuchując się tym nawoływaniom.

„Powiedźcie im, że wróciłem, choć nikt mi nie otworzył - że słowa dotrzymałem...”

Próbowałam sobie przypomnieć cały ten fragment.

„Czy jest tam ktoś?” - zawołał Wędrowiec, pukając do zalanych księżycą blaskiem drzwi,

A jego rumak w ciszy - czegoś tam - tratował trawę w pasmach leśnej mgły;

I z wieży nad Wędrowca głową poderwał się samotny ptak;

Ten w drzwi uderzył po raz drugi, zawołał znów: „Czy jest tam ktoś?”

W wyobraźni ujrzałam gromadę duchów czekających w milczeniu i siebie, Wędrowca, zbliżającego się na rumaku i nawołującego je. Wołałam jednak nie roztrząsać, czy są to duchy Marianne Talbot i Williama Mullana spoglądających na siebie w blasku lamp naftowych na schodach posiadłości w Mount Talbot, czy też moich rodziców - ojca z połyskującą bransoletką zegarka na rękę i matki z pobladłą twarzą, zerkającej ponad jego ramieniem. Bo nie ludzie byli najważniejsi w tej wizji, ale jej kształt, zamazany obraz - ja, zagubiona gdzieś na zewnątrz i nawołująca, oraz tragiczne duchy, nasłuchujące i czekające, żebym je uwolniła. To on wrył mi się głęboko w pamięć.

2

Zapukałam do drzwi pokoiku Aleksa.

- Kochany szefie, jesteś zajęty?

Bez wahania powiedziałam mu, że odchodzę z „TravelWrite”.

- Nie możesz odejść - zareagował odruchowo.

Przez chwilę myślałam, że zacznie mnie prosić we własnym imieniu, bym została. On jednak rzucił:

- Na uroczystym lunchu w przyszłym tygodniu stowarzyszenie turystyki wręczy ci nagrodę za całokształt osiągnięć. Nie powinienem ci zdradzać niespodzianki.

- Dlaczego mnie? - zdziwiłam się. - Taka nagroda należała się nam razem z Jimmym. Wspólnie szykowaliśmy reportaże.

- To prawda. Początkowo miała być dla was obojga. Zapadło niezręczne milczenie. Wreszcie Alex dodał:

- Żałuję, że nie zdążyłem mu powiedzieć. Pal diabli niespodziankę.

Po chwili wybuchnęłam:

- Za całokształt osiągnięć! Specjalna Nagroda Stowarzyszenia Turystyki za Całokształt Osiągnięć! Słyszałeś kiedyś równie kiepskie słowa pochwały, Alex? Przecież ten „całokształt” to moje życie! Moje całe i je-

dyne życie, które na to poświęciłam i nawet nie spostrzegłam, kiedy przeleciało! Dobiegam pięćdziesiątki i co miałabym teraz ze sobą począć?

- Twój wiek ma jedną sporą zaletę, Kathleen - rzekł ostrożnie. - Zarząd przydziela całkiem niezłe emerytury ludziom, którzy skończyli...

- Mam dopiero czterdzieści dziewięć lat i sześć i pół miesiąca! - warknęłam groźnie. - Emerytura?! Jeszcze nie jestem nią zainteresowana.

- Tak, wiem - odparł. - Mnie również wydajesz się młoda i pełna energii. Masz jej zdecydowanie za dużo, żeby nic nie robić.

Nastała cisza.

- Szkoda twojego talentu - wtrącił. - Powinnaś dalej pisać. Zastanów się nad powieścią. Może historyczną?

- Za mało wiem z historii - burknęłam nadąsana.

- Jeśli to prawda, byłabyś pierwszą znaną mi osobą z Irlandii, którą nie interesuje historia.

- Alex, nie wiem, czy starczy mi zapału, żeby zaczynać coś od początku. Prawdę mówiąc, przeraża mnie pustka, jaką odczuwam po śmierci Jimmy'ego.

- Wcale nie otacza cię pustka, Kathleen - rzekł śmiertelnie poważnie. - Żaden człowiek nie żyje w pustce. Jimmy cię naprawdę kochał. I Bóg ciebie kocha. Bóg kocha cię bardziej...

- Och, na miłość boską! - huknęłam. - Daj mi lepiej spokój ze swoim Bogiem!

Wyszłam, trzasnąwszy drzwiami.

W dniu uroczystego lunchu, w hotelowym foyer, stanęłam tuż za nim i przyjrzałam mu się dokładnie. Dobrze znałam to lekkie pochylenie głowy znamionujące niepokój. Zawsze go przejawiał w towarzystwie wpływowych ludzi. Był ubrany w swój najlepszy dwurzędowy garnitur - ten sam, na który Jimmy nie mógł patrzeć - stał z rękoma splecionymi za plecami i lekko kołysał się na piętach. Włosy, na czubku głowy mocno już przerzedzone, nad skroniami wciąż połyskiwały jedwabistą czernią. Na nogach miał skórzane sznurowane pantofle, chociaż przysięgłabym, że większość mężczyzn wolałaby tego dnia chodzić w sandałach. Gdyby Jimmy stał obok mnie, na pewno by mruknął: „Przynajmniej nie są to te brązowe bezkształtne nie-wiadomo-co”.

- Wyglądasz olśniewająco.

Powiedział to całkiem szczerze, chociaż dla wszystkich musiało być jasne, że nawet opasujący mnie gorset nie był w stanie zamaskować wydatnego brzuszka. Poza tym fryzjerka spryskała mi włosy czymś, co nadało im czerwony odcień. No i miałam na sobie czarne spodnie zdecydowanie zanedo opinające się na pośladkach. Jednakże Alex pod względem ubioru wykazywał beztroskę niemowlęcia.

- Tylko się nie denerwuj, Kath - szepnął, gdy szliśmy w kierunku szczytu stołu. Znałam zaledwie kilka spośród siedzących przy nim osób.

- Nigdy się nie denerwuję w miejscach publicznych - odparłam.

Było to jawne zaproszenie, by zapytał, co przez to rozumiem. Wyjaśniłabym mu wtedy, że obawiam się wyłącznie tych ludzi, których znam. On mógłby mi wyznać, co sam czuje, i tak dalej. Tyle że Alex w ogóle nie potrafił prowadzić tego typu rozmów.

Przewodniczący przedstawił mnie jako nestorkę reporterskiej profesji. Skrzywiłam się. Innymi słowy, byłam najstarsza wśród autorów. Później powiedział, że jury stowarzyszenia po raz pierwszy zdecydowało się przyznać nagrodę komuś piszącemu teksty podróżnicze na zlecenia, ale ponieważ nieodżałowany Jimmy Beck i Kathleen de Burca przez ponad dwadzieścia lat pracy dla „TravelWrite” wyrobili macierzystej firmie nadzwyczaj dobrą reputację... ble, ble, ble. Zauważyłam, że Alex aż pobladł z wrażenia. Kiedy przyszła pora na mnie, wygłosiłam krótką mowę zakończoną przypomnieniem, że przyjmuję tę nagrodę także w imieniu drogiego Jimmy'ego, którego wielu spośród obecnych powinno jak najlepiej wspominać, jak również Aleksa, naszego kierownika z „TravelWrite”, prawdziwego geniusza edytorskiego. Następnie przewodniczący wręczył mi wielki kryształowy puchar z Waterfordu. I wtedy Alex, który nie skąpił sobie wina, zawył niczym rasowy kibic piłkarski, podczas gdy cała reszta nagradzała mnie skąpymi oklaskami, i krzyknął:

- Podnieś go wysoko nad głowę, Kathleen! Niech wszyscy widzą, co znaczy „TravelWrite”.

Oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę. Wyprostował się na krześle i spłonął rumieńcem.

Pragnąc odciągnąć uwagę od biednego Aleksa, powiedziałam półgłosem, schodząc z mównicy, do ludzi siedzących u szczytu stołu:

- Wspaniale! Zakończę karierę, będąc na szczycie. Wycofuję się. Zamierzam napisać coś zupełnie innego.

- Co? - padły zaciekawione pytania.

Kobieta siedząca obok Aleksa musiała mu dotrzymywać kroku w błyskawicznym opróżnianiu lampki wina, gdyż zapytała:

- Jest pani Irlandką, prawda?

Pochyliła się nad talerzykiem i jaskrawoczerwonym paznokciem pstryknęła w moim kierunku gotowanego ziemniaka. Żółtawy owalny kartofelek potoczył się po śnieżnobiałym adamaszkowym obrusie.

- Ziemniaki to chyba jedyna rzecz - powiedziała - na której Irlandczycy naprawdę się znają.

Przy stole zapadła pełna konsternacji cisza.

- Ma pani rację - odparłam, uśmiechając się anielsko. - Cóż za godna podziwu przenikliwość!

I wtedy oświadczyłam publicznie, jakbym miała co do tego absolutną pewność, że właśnie w tym momencie przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł.

- Zamierzam napisać powieść o głośnym skandalu, jaki wydarzył się w odludnej części Irlandii, kiedy to pewna dama, Angielka, zapłonęła gorącym uczuciem do jednego ze stajennych. Nazywała się Marianne Talbot. Nie wiem dokładnie, co się wydarzyło, ale zamierzam tam pojechać i poznać prawdę.

- Kiedy to było? - zapytał ktoś.

- W połowie ubiegłego wieku, gdy Irlandia została straszliwie wyniszczona klęską głodu wywołaną przez zarazę ziemniaczaną, o czym tej pani najwyraźniej doskonale wiadomo. -

Ruchem głowy wskazałam babę z krwistymi pazurami.

- Właśnie to jest najbardziej interesujące w owym głośnym skandalu: okres, w którym do niego doszło.

- Ach, nie wiedziałem - mruknął Alex, wciąż jeszcze speszony, że zrobił z siebie widowisko. - Nie jestem też pewien, czy łatwo znajdzie się odbiorca tego rodzaju powieści. Poza tym, możesz mieć kłopoty z zebraniem materiałów, skoro zamierzasz wypytywać Irlandczyków o najbardziej bolesny dla nich okres historii.

Spiorunowałam go wzrokiem, ale nic nie powiedziałam, wychodząc z założenia, że przy obcych muszę być wobec niego lojalna.

Po powrocie do sutereny, ledwie zdążywszy się uwolnić od ściskającego mnie gorsetu, zadzwoniłam do Caroline w jej wielkim domu na wzgórzu.

- Muszę się wyrwać z tej piwnicy - oświadczyłam. - Jeszcze dzisiaj zawiadomię gospodarza, że się wyprowadzam. Nie wiem, gdzie zamieszkać, ale muszę się stąd wynieść, Caro. Dłużej tu nie wytrzymam. Niedługo wyjeżdżam do Irlandii, żeby zbierać materiały. Chciałam zapytać, czy mogę zostawić u ciebie parę kartonów, gdy spakuję swoje rzeczy? A po powrocie z Irlandii zatrzymać się u ciebie na kilka dni, dopóki nie urządzę się na nowo?

- Ależ oczywiście! - wykrzyknęła. - Wspaniale nam będzie razem. Wybrałaś do tego najlepszą porę. Niedługo mam egzamin magisterski. Nieźle się zabawimy. Będzie tak, jak za dawnych dobrych czasów.

W typowy dla siebie sposób Caroline spychała w niepamięć te aspekty „dawnych dobrych czasów”, które ani trochę nie były zabawne. Kiedy miałyśmy po dwadzieścia parę lat i mieszkałyśmy razem w jej słonecznej dziupli, wcale nie szło nam jak po maśle. Zresztą, może zanadto brałam do serca rolę jej opiekunki. A może teraz, po śmierci Jimmy'ego, bardzo mi zależało na towarzystwie kogoś, z kim mogłabym być szczęśliwa.

Na myśl o Jimmym położyłam się do łóżka, chociaż za oknem było jeszcze widno.

Przez cały dzień mówiłam butnie o swoich planach na przyszłość, jakbym rzeczywiście była tym zainteresowana. A przecież w gruncie rzeczy zależało mi teraz jedynie na przetrwaniu obecnego kryzysu.

Następnego dnia przystąpiłam do działania. Nawet z ochotą. Pojechałam taksówką na Fleet Street i podążając za znakami w korytarzach, przedarłam się przez sądy okręgowe do wewnętrznej świątyni. Mężczyzna siedzący przy biurku zakomunikował, że osobom postronnym nie zezwala się na korzystanie z sądowej biblioteki, chyba że chodzi o unikatowe książki bądź dokumenty, niedostępne w innych bibliotekach.

- Nie mam pojęcia, czy te materiały są dostępne gdzie indziej! Wiem natomiast, że na pewno macie jakieś dokumenty ze sprawy Talbotów, których nigdzie indziej nie znajdę.

Skwitował uśmiechem ten mój wybieg.

- Proszę zaczekać - rzekł. - Zajrzę do katalogu.

Usiadłam przy stoliku pod oknem, w wąskim przejściu między wysokimi regałami, i zaczęłam się przyglądać prawnikom w czarnych togach, biegającym we wszystkie strony po brukowanym dziedzińcu w dole. Od lat nie siedziałam w bibliotece - po skończeniu studiów rzadko z nich korzystałam. Dlatego nie pamiętałam, jak bardzo to kiedyś lubiłam. Na samą myśl o tym, że będę mogła tu siedzieć przez cały dzień i w nowym notesie robić notatki do sprawy Talbotów, spłynął na mnie błogi spokój. Dzięki Bogu, że udało mi się rzucić palenie.

Bibliotekarz wrócił, niosąc tylko jedną książkę. Okazało się, że jest to oprawiony zbiór protokołów z indywidualnych spraw rozwodowych zawierający *Protokół* sprawy Talbotów - oryginał dokumentu, którego kopię już miałam. Najwyraźniej wykładowca Hugona skserował go właśnie z tej książki.

- Powinny być jeszcze jakieś dokumenty w Irlandii - rzekł. - Mąż prawdopodobnie musiał wystąpić o proces separacyjny przed tamtejszym Sądem Eklezjastycznym. Poza tym w *Protokole* jest mowa o materiale dowodowym, który także mógł się zachować w Irlandii. Sprawdziłem jednak w komputerze i nie znalazłem żadnej innej pozycji w angielskich bibliotekach prawniczych.

Nie poddałam się. Pojechałam metrem aż do Colindale, weszłam do British Library i wykupiłam bilet do sekcji prasowej. Jeśli nawet prawnicy nie byli zainteresowani skandalem, to czytelnicy gazet z pewnością tak. Znalazłam tylko parę irlandzkich tytułów z tamtego okresu i wybrałam ten, który wydawał mi się najbardziej obiecujący.

Ledwie zaczęłam przeglądać mikrofilm „The Northwestern Herald”, kiedy serce zabiło mi mocniej. Od razu natknęłam się na nazwisko męża Marianne Talbot!

1850, wrzesień. W miniony poniedziałek zastępca szeryfa John O'Hara wyprawił się przez Ballygall do Mount Talbot, posiadłości Richarda Talbota, by przy pomocy policjantów z okolicznych posterunków dokonać eksmisji 83 rodzin i nadzorować zniszczenie 75 domów, przez co liczba zburzonych i zrujnowanych zabudowań w różnych częściach miasta przekroczyła 600. 7-go tegoż mies. ponad 100 ludzi powiększyło szeregi bezdomnych nędzarzy. Wiele z tych nieszczęsnych istnień, nie mogąc znaleźć gościny u sąsiadów, zostało zmuszonych do szukania schronienia pod starym mostem...

Po raz drugi nazwisko Richarda znalazłam w notatce z następnej jesieni:

1851, listopad. 16 sztuk słońek, trzy zające, para królików i kilka bekasów zostało ustrzelonych przez Richarda Talbota i towarzyszącego mu dżentelmena. Myśliwi opuścili zagajnik dopiero późnym popołudniem, a upolowane ptactwo, mimo niesprzyjającej pogody, było w doskonałym stanie.

Później, w artykule dotyczącym opróżniania dworskich czworaków, natknęłam się na odrobinę krytycyzmu:

...Nędzarze stający przed Radą Unii mieli niegdyś wyśmienite warunki, będąc dzierżawcami pana Talbota, zostali jednak doprowadzeni do ruiny, podobnie jak setki innych, których domy zburzono, a ziemię oddano klasie uprzywilejowanej. Zatem instytucja dzierżawy obciąża podatników ze względu na liczbę biedoty, jaką tworzy.

Czyżby redakcja „Heralda” była nieprzychylna ziemiaństwu? Jeśli tak, to z pewnością musiała opublikować obszerne relacje ze sprawy rozwodowej Talbota. Zaczęłam przeglądać wstępniaki redakcyjne, chcąc poznać nastawienie wydawcy gazety. Szybko jednak uświadomiłam sobie, że opowiadanie się po stronie mieszczaństwa i kupiectwa, z którego podatków utrzymywano czworaki, wcale nie musiało oznaczać nieprzychylności wobec ziemiaństwa. Ani nawet szeroko rozpowszechnionej w Irlandii dzierżawy ziemi. Ani też procederu eksterminacji Irlandczyków.

Maj 1-szy, 1852. Irlandzki dzierżawca uprawiający kilkuakrowe poletko będące własnością wspólnoty ziemskiej, mieszkający w chacie bez podłogi i komina, bez okien oraz mebli, w jednej izbie z gospodarską trzodą, jest zwykłym dzikusiem. A wobec katastrofalnych wydarzeń, które doprowadziły do takiego stanu rzeczy, winniśmy dziękować Niebiosom, że przeżyliśmy, by w ogóle móc teraz pisać o klasie jako klasie, która niegdyś...

A ja się ludziłam, że redakcja może być wroga miejscowemu establishmentowi! Nie miałam szans na znalezienie żadnej notatki krytycznej o rodzinie Talbotów. Chcąc się jeszcze upewnić, spędziłam dwie następne godziny na przeglądaniu „Heralda”, nie znalazłam jednak najmniejszej wzmianki o prywatnym życiu Talbota. Wszelkie publikacje miały charakter służalczy, może z wyjątkiem dość ogólnikowego głosu w dyskusji o tym, kto powinien płacić na utrzymanie bezdomnych nędzarzy.

Zajrzałam do spisu bibliotek Wielkiej Brytanii i Irlandii, gdzie znalazłam telefon biblioteki miejskiej w Ballygall. Sprawdziłam też w pochodzącym z 1842 roku przewodniku, że tę angielską nazwę nosiło niewielkie miasteczko na skraju ziemskiej posiadłości Mount Talbot. Kiedy zaś wieczorem dodzwoniłam się do Irlandii, powiedziano mi, że pomoc może mi tylko panna Leech, emerytowana była kierowniczką biblioteki, zajmująca się obecnie gromadzeniem materiałów dotyczących historii tego regionu. Ale panna Leech wyjechała z miasta i wróci mniej więcej za tydzień.

Zadzwoiłam więc do Aleksa, by mu opowiedzieć o pracowitym dniu.

- Niczego jeszcze nie znalazłam, ale czy mógłbyś mi dać dwa lub trzy tygodnie urlopu? Wybieram się do Ballygall, żeby rozejrzeć się na miejscu. Zadzwonię, jak tylko się gdzieś urządzę. Nie biorę ze sobą telefonu komórkowego, żeby nikt nie zakłócał mi spokoju. A przed wyjazdem chcę się też wyprowadzić z sutereny. Możesz mnie zawsze złapać za pośrednictwem Caroline. I jeszcze jedno, szefie. Czy mógłbyś w moim imieniu wystąpić do sekcji administracyjnej, by przygotowała papiery emerytalne? Naprawdę kończę z „TravelWrite”, Alex. Właśnie odkryłam dzisiaj, jak bardzo lubię przesiadywać w bibliotekach.

Nie wyjawiałam, że biblioteka była jedynym miejscem, gdzie moja matka zawsze czuła się pewnie. Ale od razu to skojarzyłam. Pamiętałam, z jaką ochotą i energią chodziła do biblioteki publicznej w Kilcrennan i przesiadywała tam, zapomniawszy o całym świecie, jak inne kobiety w sklepach z odzieżą. To jedyne wspomnienie o niej, które sprawiło mi prawdziwą przyjemność.

W dzień wyjazdu do Irlandii spędziłam trochę czasu w opróżnionej suterenie. Rozłożyłam czysty obrus na wygniecionym fotelu przy stole i usiadłam. Włożyłam garsonkę z salonu Mani na powrót do domu - no, może nie do domu, ale jednak powrót. Spódnica ścisnęła mnie w pasie, ale pod żakietem nie było tego widać.

Wychyliłam się z fotela i zgasiłam światło w kuchni. W pokoju zapadł przyjemny półmrok.

Jak sięgam pamięcią, lubiłam to mieszkanie tylko rano po powrocie z podróży, kiedy krzątałam się w ciszy, depilowałam nogi i malowałam brwi, z doskoku kończąc czytać książkę rozpoczętą w samolocie, segregowałam brudne rzeczy do prania w domu i w pralni, robiłam porządek w torebce, odkładałam na miejsce paszport. Czerpałam przyjemność z tych drobnych, mało znaczących prac, bo były konieczne. Nie robiłam ich z pobudek egoistycznych jak wszystko inne w moim życiu.

Jimmy powtarzał, że ilekroć wchodzę rano do biura, bez trudu potrafi odgadnąć, czy przychodzę z mojej sutereny, czy nie. Utrzymywał, że tutejszy półmrok na długo się do mnie przykleja.

- Taka bogini jak ty, Kathleen - rzekł któregoś razu - powinna spływać na Londyn, a nie wdrapywać się do niego po schodach.

Zawsze mnie traktował niczym królową piękności. Jeszcze tego samego dnia, gdy po raz pierwszy zjawił się w „TravelWrite”, oświadczył, że szare oczy i czarne włosy to dla niego najbardziej elegancka kombinacja kolorów. A kiedy wrócił z pierwszej podróży do Irlandii, zakomunikował, że jestem bodaj jedyną wysoką i postawną Irlandką na świecie.

- Dlaczego więc zagrzebujesz się w tej piwnicy jak twoje przysadziste wieśniacze rodaczki?

Mówił to z autentyczną troską w głosie. Miał mi za złe, że nie przejmuję się tym, gdzie mieszkam, choć powinnam. Ale ja czułam się dziwnie dopasowana do mrocznych wnętrz. Przez trzydzieści lat, które spędziłam w Londynie, mieszkałam tylko w trzech miejscach, nie licząc akademików w okresie studiów. Najpierw z Hu-

gonem na południu miasta. Potem we włościach Caroline. Wreszcie tutaj. Skojarzyłam śmieszną rzecz - z Hugonem mieszkałam na poddaszu, z Caro na parterze, a ostatnio w suterenie. Za każdym razem coraz niżej.

- Widzisz? - rzuciła Caroline i odkleiwszy wreszcie palec od dzwonka, z szerokim uśmiechem wskazała nim swój samochód. Bogaci mają wszystko w nosie: zaparkowała na zwirowanej ścieżce przed domem. - Widzisz? Może przestaniesz się krzywić na mój wóz z napędem na cztery koła, skoro i tobie może się na coś przydać.

- Jesteś pewna, Caro, że potrzebny mi wóz terenowy do przewiezienia dwóch kartonowych pudeł na drugi koniec Londynu?

- Tylko dwóch?

Zatrzymała się w przejściu do kuchni. Jasne światło chyba pierwszego w tym roku słonecznego dnia, wpadające ukośnie znad szczytu schodów, rozświetliło czubek jej głowy. Byłyśmy dokładnie tego samego wzrostu, co przed laty bardzo mi odpowiadało, gdy razem ruszałyśmy na miasto. Uwielbiałam przebywać w towarzystwie pięknej przyjaciółki.

- Wyglądasz tak dystyngowanie, Kath - powiedziała mi kiedyś - jak prawdziwa irlandzka dama. I jeszcze te czarne loki...

Ten komplement na długo zapadł mi w pamięć, chociaż szybko się przekonałam, że lubi mówić podobnie miłe rzeczy wszystkim ludziom, z którymi się spotyka. Jak w *Ostatniej księżniczce* Browninga:

Zawsze się uśmiechała, ilekroć ją mijalem; ale któż nie odpowiadał takim samym uśmiechem?

- Szkoda, że nie chcesz zamieszkać ze mną już dziś - powiedziała. - Egzaminy zaczynają się w przyszłym tygodniu i może byłabym choć trochę mądrzejsza, mając obok siebie kogoś tak inteligentnego jak ty. Trochę mnie zdziwiło, że nagle zainteresowałaś się Irlandią. Zresztą nie wiem jeszcze, czy umieścić cię w pokoju gościnnym, czy odszykować ostatnie piętro...

- Na razie odstaw te pudła gdziekolwiek, byle ci nie przeszkadzały. Zastanowimy się wspólnie, gdy wrócę z ojczyzny. I bardzo się cieszę, że zdecydowałaś się wrócić do college'u...

- Od kiedy to nazywasz Irlandię ojczyzną? Kiedy jeździłyśmy razem do Belfastu na szampana, nigdy nie wspominałaś o ojczyźnie.

- Bo dla mnie Belfast to nie Irlandia. Belfast jest wasz. Staracie się to za wszelką cenę udowodnić.

- Och, lepiej nie zaczynaj. Przecież wiesz, że nie znam się na polityce.

- To ty nie zaczynaj i nie udawaj głupiutkiej blondynki. Wyniosła pudła do samochodu i wróciła.

- Jak tylko zdam mieszkanie i wręcę gospodarzowi klucze, jadę prosto na lotnisko - powiedziałam. - Zadzwoń do ciebie, Caro, gdy znajdę sobie jakiś ką. W Ballygall jest hotel o nazwie The Talbot Arms, zatrzymam się w nim, ale nie wiem, jak długo zostanę. Tam może być okropnie. Mała irlandzka miejscina... Diabli wiedzą.

- Zadzwoń koniecznie!

Pochyliła się i szybko cmoknęła mnie w policzek.

- Od kiedy to obdarowujesz ludzi całusami, niczym królowa matka albo ktoś jej pokroju. To śmieszne. Mamy dopiero po czterdzieści dziewięć lat...

- Dlaczego dopiero? - spytała, siadając za kierownicą. - Co będzie dalej? Pięćdziesiątka! A więc mamy prawie po pięćdziesiąt lat!

- *Nel mezzo del cammin...*

- Nie popisuj się! - rzuciła z szerokim uśmiechem. - Myślisz, że jesteś taka mądra?

- Pewnie, że jestem!

Zakołysałam się tanecznym ruchem, idąc powoli za samochodem wyjeżdżającym na ulicę. Po chwili podbiegłam do rogu.

- Ja jestem mądra, a ty piękna! - krzyknęłam.

Caroline zaśmiała się w głos i odjechała. Zauważyłam jednak cień smutku na jej twarzy, gdy się wygłupiałam przed maską wozu. Jak zwykle nie dała nic po sobie poznać. Zawsze była nadzwyczaj grzeczna, nie reagowała na ewidentne zaczepki nawet gdy wyczuwała jakiś podstęp. Przypominała mi słynnych angielskich tenisistów, którzy nigdy nie wchodzi do finałów rozgrywek - nie brakowało im umiejętności, ale sprytu.

Wróciłam do kuchni, żeby poczekać na pana Vesteya. Od zewnątrz na parapecie okna siedział kot sąsiadów i w całkowitym bezruchu przyglądał mi się badawczo. Kiedyś, gdy odchyliłam się do tyłu na krześle, by nie wstając, ściągnąć walizkę z górnej półki w szafie, i grzmotnęłam na podłogę, tenże kot po raz pierwszy wszedł do mojej sutereny, usiadł mi tuż przed nosem i po chwili delikatnie dotknął łapką mego policzka. Wstał dopiero wtedy, gdy podniosłam się z podłogi. Nawet Jimmy'emu nigdy nie zdradziłam, że często wspominam tamto zdarzenie i wracając z podróży, podświadomie staram się dotrzeć do domu przed zmrokiem w nadziei, że zobaczę kota za oknem. Ani razu nie pozwolił mi się dotknąć, choć czasami tak bardzo chciałam go pogłaskać, że aż zbierało mi się na płacz. Nie wiedziałam, czy to kot, czy kotka, dlatego przywoływałam go różnymi imionami. Przez jakiś czas najbardziej pasowało mi Beth, ale potem był Ferdy albo Inigo. Najczęściej jednak nazywałam go Pangur, od imienia kota zakonnika ze starego irlandzkiego wiersza. Przedtem nie odczuwałam specjalnej sympatii do kotów, ale ten sprawił, że bardzo go polubiłam. Tak więc chyba dopuszczałam się drobnej zdrady, wyjeżdżając stąd na zawsze.

Nie przesadzaj! - ofuknęłam się w myślach.

Tylko raz dziękowałam niebiosom za tę suterenę. Kiedy Caroline wychodziła za mąż i musiałam się od niej wyprowadzić, nie miałam za dużo czasu na szukanie mieszkania. Przystąpiłam do tego pełna nadziei. Marzyło mi się, żeby zamieszkać w Bayswater, bo w *The Wings of the Dove* Kate Croy poznała swego ukochanego w Hyde Parku. Nie znałam jeszcze na tyle Londynu, aby wiedzieć, że nie tak łatwo wynająć mieszkanie w dzielnicy, w której się chce. Nawet po całym dniu pukania do różnych drzwi nie podejrzewałam, że nazajutrz zacznę udawać rodowitą Angielkę w rozmowach z agentami nieruchomości. Dopiero czwartego dnia poszukiwań przyrzekłam sobie w duchu, że nigdy nie wybaczę Londynowi tego, iż zmusił mnie do takich poniżeń.

Szybko uleciało mi z głowy, że to miasto wybawiło mnie od Irlandii, zaczęłam natomiast wspominać, z jaką wściekłością ojciec opowiadał o swoim wyjeździe do Anglii w poszukiwaniu pracy. Po raz pierwszy wspomniał o tym przy niedzielnym obiedzie, najwyraźniej rozłoszczony po rozmowie z kolegami w pubie w porze lunchu.

- Wybrałem się do Anglii - zaczął - z nadzieją, że znajdę posadę w administracji państwowej i zyskam źródło godziwych zarobków...

Najważniejszym punktem jego relacji była tablica, którą zobaczył w oknie jakiegoś urzędu. Głosiła: WSTĘP WZBRONIONY CZARNYM, IRLANDCZYKOM I PSOM. Powtarzał te słowa, rycząc na cały głos.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałam tę historię, nie wiedziałam jeszcze, co to są czarni, rozumiałam tylko, jak poniżające jest traktowanie nas na równi z psami. Gdy rodzice po obiedzie poszli do salonu, a ja z Norą zmywałyśmy naczynia w kuchni, zapytałam:

- Co to są czarni?

- Ludzie, którzy żyją w gorących krajach i mają skórę spaloną na czarno od słońca.

- A godziwe zarobki?

- Nie rozśmieszaj mnie.

Zakrawało na cud, kiedy zostałam wreszcie przyjęta przez pana Vesteya z Vestey Bloomsbury Estates.

- Proszę usiąść, młoda damo. Jest pani Irlandką, jak się domyślam po nazwisku?

Potęźnie zbudowany, z nalaną, rumianą twarzą przypominał mi właściciela portowej tawerny.

- To prawda - odparłam, pochylając się w jego stronę na krześle - ale studiowałam w Londynie, mam dyplom tutejszej politechniki. Od roku pracuję dla redakcji „The English Traveller”.

Byłam wzruszona jego uprzejmością i odczuwałam tak ogromną ulgę, że aż łzy napłynęły mi do oczu.

- W takim razie powinna się pani dobrze czuć w tej okolicy. To znakomita baza wypadowa dla podróżników.

- Mam rozumieć, że wynajmie mi pan mieszkanie?

Zawahał się. W pokoju zapadła tak głęboka cisza, że doleciało do mnie głośne tykanie jego wielkiego zegarka.

- Ależ oczywiście! Tak uroczej młodej damie wynajmę z przyjemnością!

Te słowa zapadły mi głęboko w pamięć. Kto nie lubi komplementów? Przez lata zawsze witałam go z uśmiechem, ilekroć się spotykaliśmy, gdy odwiedzał lokale biurowe mieszczące się nad suteroną. Uśmiechałam się do niego, jeszcze zanim zdołałam sobie przypomnieć powód mej radości, jak gdyby ta bezgraniczna ulga, jaką poczułam, gdy zgodził się wynająć mi mieszkanie, odcisnęła niezatarte piętno w moim umyśle. Zresztą, traktowałam go na luzie, bo w opinującym się dwurzędowym prążkowanym garniturze z wiecznie czerwonymi od wysiłku policzkami stanowił dla mnie karykaturę biznesmena.

- Deszcz panu nie przeszkadza, panie Vestey? - zagadywałam, gdy padało. Albo rzucałam w biegu: - Koszmarna pogoda!

On zaś kłaniał się uprzejmie i odpowiadał cicho:

- Niestety, panno Burke.

Teraz usłyszałam jego ciężkie stapania w korytarzu na parterze.

- Tej kobiecie z pańskiego biura - powiedziałam, wychodząc mu naprzeciw z kuchni - przydałoby się parę lekcji dobrych manier. Jest strasznie opryskliwa. Oznajmiła, że musi pan osobiście sprawdzić stan zwalnianego lokalu, ponieważ miał pan już do czynienia z tak zwaną karierowiczką, która zostawiła po sobie bałagan gorszy niż w chlewie. Przyzna pan, że nieczęsto słyszy się pochwałę świńskich porządków.

- Gwoli ścisłości, to moja żona - odparł Vestey. Popatrzyłam na niego jak rażona gromem.

- Och, bardzo przepraszam. Nie chciałam...

- Nic się nie stało. Już do tego przywykłem.

Stał na środku pokoju. Był tak samo nalany i rumiany jak wtedy, gdy go poznałam, ale od tamtej pory przybyło mu jeszcze parę kilogramów. On także się postarzał.

Zaskoczyło mnie, że przygląda mi się w niezwykłym napięciu.

- Ile? - zapytał.

- Słucham?

- Ile, według pani, powinienem zażądać?

- Nie mam pojęcia. Umywalka w łazience jest pęknięta. Czterdzieści funtów? Pięćdziesiąt?

- Jest pani bardzo atrakcyjną kobietą - mruknął. - Od początku tak uważałem.

Rozdziawiłam usta.

- Wcześniej nie wynajmowałem Irlandczykom - ciągnął. - Miałem bardzo przykre doświadczenia z pani ziomkami, oględnie rzecz biorąc. Ale pani jest zupełnie inna. Wpadła mi pani w oko już pierwszego dnia, kiedy zjawiała się pani w moim biurze.

- Naprawdę? - bąknęłam.

- Zapomniałbym o tym, że jest mi pani winna jakieś pieniądze, gdyby była pani dla mnie miła.

- Jak mam to rozumieć?

- Teraz, gdy wyprowadza się pani stąd i w ogóle wyjeżdża z Anglii...

- Niezupełnie. Wyjeżdżam do Irlandii, ale tylko na jakiś czas.

W zapadłej ciszy z szumem włączyła się lodówka, jakby i ona była zaskoczona.

- Mogłaby pani być dla mnie miła - powtórzył. - Tylko dlatego tu dziś przyjechałem. Nikt się nie dowie, ile czasu spędziłem w pani mieszkaniu. Potem moglibyśmy o wszystkim zapomnieć i rozstać się w przyjaźni.

Odniosłam wrażenie, że wszystko wokół nas nagle zamarło.

Role się odwróciły. Teraz on wcielił się we mnie - próbował ukryć swoje pragnienia, w napięciu czekając na moją reakcję. Ale tym razem przecież nie chodzi o mnie! - pomyślałam. To zwykły seks za pieniądze. Nie muszę nic robić, wystarczy się rozebrać i położyć.

Ogarnęło mnie lekkie podniecenie.

Wciąż walcząc z natłokiem bezładnych myśli, skinęłam głową, odwróciłam się i weszłam do sypialni. Zrobiłam to chyba dlatego, że nawet z odległości dzielącej mnie od Vesteya wyczuwałam dygotanie jego napiętych nerwów, a poza tym nie mogłam znaleźć żadnego logicznego powodu, dla którego miałabym odmówić człowiekowi znajdującemu się w takim stanie.

Wszedł tuż za mną, lecz nawet mnie nie dotknął. Podeszłam do okna, żeby zaciągnąć zasłonki. Niemalże czułam wibracje powietrza w zaciemnionym pokoju. Ach! Przytknął mi obie dłonie do pośladków i przez chwilę trzymał je tak bez ruchu, aż jego drżenie przeniknęło i mnie, najpierw delikatnie, wreszcie niczym silny dreszcz.

Rozebraliśmy się, nie patrząc na siebie. Położył się obok mnie, kurczowo zaciskając powieki. Oddychał płytko i chrapliwie, jak niedoświadczony podniecony chłopak. Wreszcie położył roztrzęsioną dłoń na moim udzie i wsunął grube palce między nogi. Po chwili przekręcił się, położył się na mnie i zaczął niezgrabnie gmerać mi w kroku, niczym ślepiec badający laską drogę. Później ścisnął mi sutki, czego wprost nie cierpiałam.

Mówiąc szczerze, w ogóle nie znosiłam takiego leżenia na wznak, bez ruchu, z ciężarem przygniatającym mi piersi. A pod nim czułam się dosłownie zmiądzona. Gorączkowo próbowałam zebrać myśli, nie bacząc na jego głośne sapanie. Lecz nadal były to tylko urywane szczątkowe skojarzenia. Pomyślałam, że teraz będzie uważał wszystkich Irlandczyków za dusigroszy. Pewnie następnej klientce też złoży propozycję. Niewykluczone, że dostanie za to po gębie. Gdyby obserwowały nas niewidoczne zakonnice z mojej szkoły, po mnie też oczekiwałyby takiej reakcji. Jednakże to wyjście nawet mi nie przyszło do głowy, a człowiekowi wymierza się policzek albo odruchowo, albo wcale. Skoro już się stało, to w końcu wcale nie taki zły sposób na pożegnanie Anglii. Przynajmniej obyło się bez wykładania kawy na ławę. Zresztą w tej sytuacji ani on nie był Anglikiem, ani ja Irlandką. Byliśmy tylko dwoma ciałami obleczonymi skórą, ułożonymi płasko jedno na drugim. No i po raz pierwszy w życiu zaproponowano mi pieniądze. A gdybym była mu winna kilkaset funtów? Jak duży dług był gotów zrekompensować sobie w ten sposób? Niemniej wyświadczył mi grzeczność... No, może niezupełnie, ale w każdym razie nie był nieuprzejmy...

Poprzez ten natłok myśli uświadomiłam sobie nagle, że popełniłam niewybaczalny błąd, zdejmując pościel, bo musieliśmy teraz leżeć na samym materacu, nie mając się czym przykryć. W naszym wieku! Zerknęłam na Vesteya spod przymrużonych powiek. Leżał z zamkniętymi oczami. Miał wysoko sklepioną łysą czaszkę, jak niemowlę.

Wyczułam, że słabnie jego erekcja. Nie mogłam leżeć tak dalej i mu nie pomóc. Niezależnie od kryteriów oceny, nie byłoby dobrze, gdyby nic z tego nie miał. Zresztą, skoro już się zdecydowałam i poszliśmy do łóżka, nie miało sensu przerywanie tego w połowie. Dlatego delikatnie zepchnęłam go na bok, obróciłam się, wtuliłam spocone czoło w jego pierś i zaczęłam go ostrożnie pieścić dłonią. Nie minęło wiele czasu, gdy usłyszałam głośniejsze sapanie, a nawet stłumiony jęk.

Przytulona do niego, próbowałam przez chwilę obudzić w sobie poczucie macierzyńskiej szczodrobliwości. Nic z tego nie wyszło. Przekręciłam się więc na wznak i przez jakiś czas leżeliśmy obok siebie, wpatrując się w sufit, jak nieznajomi zażywający kąpieli słonecznej na przysuniętych blisko leżakach na brzegu zatłoczonego basenu.

Wreszcie obróciłam się na bok. To było niczym odruch - nawet jemu nie chciałam pokazywać swego wydatnego brzucha.

Usłyszałam, że wstał i zaczął się pospiesznie ubierać.

- Zatrzasnę za sobą drzwi - powiedział.

- Dobrze.

- Zostaw klucze na stole, jak będziesz wychodziła.

- Dobrze.

- Życzę ci powodzenia na nowej drodze życia.

- Dziękuję, panie Vestey. Nawzajem.

Wstałam, gdy trzasnęły zamykane drzwi wejściowe. Poszłam do łazienki i stanęłam pod prysznicem. Musiałam skorzystać z płynu do mycia naczyń, gdyż resztki mydła wyrzuciłam do kosza na śmieci. Kiedy później wkładałam spodnie, paskudnie lepiły mi się do ciała.

Wróciłam do kuchni i zadzwoniłam po taksówkę.

Potem znów usiadłam w fotelu. Czułam przyjemne mrowienie w całym ciele, to opadało napięcie mięśni. Kot sąsiadów wciąż obserwował mnie zza okna. Chyba powinnam teraz zmówić modlitwę, pomyślałam, jak to czynią Rosjanie przed każdą podróżą, żeby podziękować Bogu za to, czym ich dotąd obdarował, i prosić o dalszą przychylność. Nawet Tolstoj, uciekając ze znieawidzonego domu rodzinnego, znalazł czas na modlitwę. A co do podróży, w którą miałam właśnie wyruszyć...

Oby tylko nie było za późno! - poprosiłam jak w modlitwie. Przecież Tolstoj miał już sporo lat, gdy zdecydował się wyjechać. Więc niech i dla mnie nie będzie jeszcze za późno!

Miałam nadzieję, że pan Vestey zrozumiał, iż pozwoliłam mu spełnić swoją zachciankę tylko dlatego, żeby uniknąć zbędnych dyskusji. Ale czy leżenie obok niego w milczeniu na pewno było jedynym sposobem na to, by nie mówić mu niczego o sobie?

Rozległ się dzwonek. Przyjechała taksówka. Chwyciłam torbę i płaszcz, po czym rozejrzałam się po raz ostatni. Ruszyłam w kierunku schodów, ale jeszcze przystanęłam.

Po krótkim namyśle postawiłam torbę na podłodze i szybko wypisałam czek na pięćdziesiąt funtów dla firmy Vestey Estates. Zostawiłam go na kuchennym stole pod kluczami.

Kiedy wróciłam do pokoju, rozejrzałam się jeszcze raz, ale już ostrożnie, żeby nie widzieć kota za oknem. Wreszcie wbiegłam po schodach i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Uderzyło mnie, że przed wyjściem nie sprawdziłam odruchowo, czy mam klucze w torebce, jak to zwykle czyniłam. Podświadomie zdawałam sobie sprawę, że moja noga więcej tu nie postanie. Poczułam się jak ptak zeskakujący z krawędzi macierzystego gniazda.

W korytarzu zwolniłam kroku, ogarnięta bezzasadnym lękiem. Poczułam jednak ciepłe wiosenne powietrze, gdyż stłoczona zabudowa hamowała porywy wiatru, i szybko uniosłam twarz do słońca - a był to pierwszy słoneczny dzień po długich zimowych szarugach. Dostrzegłam jedną samotną chmurkę przypominającą nieregularną plamę białej farby strząśniętej z pędzla, która rozplynęła się niemalże pod moim wzrokiem. Jak okiem sięgnąć, w górze rozciągał się nieskalany, doskonały, intensywny błękit.

Przybywa Orfeusz, pomyślałam. Zatem wyruszam mu na spotkanie.

3

Przy transporterze bagażowym na lotnisku Shannon znalazłam się za plecami dwóch barczystych facetów. Zachowywali się jak psy łańcuchowe gotowe skoczyć i w zębach wytaszczyć swoje bagaże przez tłum. Kiedy nie mogąc się między nimi przecisnąć, syknęłam pod nosem: „cholerne dryblasy”, obejrżeli się na mnie, a jeden z nich zagadnął z uśmiechem:

- Nieładnie odzywać się w ten sposób. Jesteśmy tu gośćmi. To nasza pierwsza wizyta w tym kraju. Powinna być pani bardziej uprzejma.

- Ach! Najmocniej przepraszam - odparłam, szczerząc się. - Bardzo, bardzo serdecznie witamy w Irlandii.

Odeszłam, uśmiechając się ironicznie. Ależ ze mnie ambasador! Przecież nawet nie widziałam jeszcze na oczy nowej irlandzkiej waluty opartej na systemie dziesiętnym!

Nie lubię się rozglądać po salach przylotów, bo kłuje mnie w sercu widok rozgrywających się tu często scen. Dzieciak woła: „Tato! Tato!” do przeciętnie wyglądającego biznesmena i ten nagle rzuca się do przodu, zapominając o całym świecie, rozkłada szeroko ręce, uśmiecha się anielsko... Tu jednak śmiało podniosłam głowę. Byłam w ojczyźnie. Halę zalewało zielonkawe światło od porośniętych trawą zboczy niewysokich wzgórz otaczających lotnisko. Przy każdym otwarciu automatycznych drzwi do środka wraz ze smugą słonecznego blasku wpadało rześkie powietrze. Nagle w tej smudze pojawiła się młoda kobieta w długim rozpiętym płaszczu. Biegła z rozwianymi połamami i rzuciła się w ramiona mężczyzny. Oboje zastygli pośrodku sali, przytuleni do siebie. Kiedy w końcu odwróciłam głowę, pochwycałam spojrzenie kobiety siedzącej na stanowisku wynajmu samochodów, która także przyglądała się ekstatycznym kochankom. Obie równocześnie uśmiechnęłyśmy się, a potem wzruszyłyśmy ramionami.

- „TravelWrite” Syndicated Features - odczytała z mojej karty kredytowej. - To musi być wspaniałe zajęcie.

- Właśnie się wpakowałam po uszy...

- Sama chętnie bym się wpakowała w taką robotę - wtrąciła. - Pewnie pani nie uwierzy, z jakimi typkami muszę się tu użerać. Nie dalej jak dziś rano trafił się pewien gość...

Mówiąc z ożywieniem, oparła się łokciami o kontuar, pochylona w moją stronę, jakby rozmawiała przez płot z sąsiadką.

- Narzekał i narzekał. Nie wiem, skąd pochodził. W każdym razie powiedział, że w czasie podróży na każdym kroku spotykał tablice reklamujące domowe irlandzkie śniadania. „A niby czego miałbym się spodziewać w Irlandii?!”, wrzasnął z wściekłością. „Domowych śniadań norweskich?!”

Zaczekała, aż przestanę się śmiać, i rzekła:

- Mniejsza z tym. Witamy w Shannon! Przyjechała tu pani na wakacje czy odwiedzić rodzinę?

Pamiętałam, że w Irlandii ludzie bez skrępowania zadają sobie osobiste pytania, a w dodatku robią to z takim wdziękiem, że nie pozostaje nic innego, jak odpowiadać na nie z takim samym wdziękiem. Obie strony są przy tym w pełni świadome wysiłku, z jakim rozmówca musi się zdobywać na ten wdzięk. Mimo to przez

chwile żałowałam, że nie wzięłam ze sobą ciemnych okularów, które zostawiłam razem z telefonem komórkowym w Londynie.

- Owszem, mam tu rodzinę, ale nie przyjechałam w odwiedziny. To trochę zawikłane. Znajdzie pani dla mnie jakiś samochód?

- Tak, oczywiście - odparła. - Jakiej klasy wozu pani potrzebuje?

- A jak bardzo kiepskie są drogi wokół Ballygall?

- Ballygall?! Pracuję tu od dziesięciu lat i po raz pierwszy słyszę, by ktoś wybierał się do tej miejscowości.

- Na zachód od Ballygall rozegrały się wydarzenia, o których zbieram materiały. W każdym razie gdzieś w tamtej okolicy. Pewien facet, bogaty i wpływowy ziemianin, oskarżył żonę o cudzołóstwo ze stajennym.

- Kiedy to było?

- Rok po największej klęsce głodu ziemniaczanego.

- Nawet nie przypuszczałam, że w czasie głodu ludzie myśleli o seksie.

- Ludzie muszą uprawiać seks, bez względu na okoliczności. Podejrzewam, że robili to nawet w Oświęcimiu.

- Nieprawda, da się bez tego żyć - oznajmiła sucho, nerwowo przebierając palcami po kontuarze. - Zwłaszcza jeśli to konieczne. Wiele z nas jest do tego zmuszonych. - Odwróciła szybko głowę i spojrzała na ekran komputera. - Można liczyć na to, że w pani reportażu z okresu klęski głodowej znajdzie się nazwa firmy Flanagan's Car Hire? Mój szef jest tak naiwny, iż bez pytania uwierzy, że z tego powodu dałam pani upust cenowy. A mam całkiem nowe audi. Jeśli wybiera się pani do Ballygall, będzie potrzebny dobry wóz. To gdzieś w hrabstwie Roscommon, a może w Mayo czy Galway. W każdym razie na końcu świata, gdzie tubylcy pożerają swoich zmarłych krewnych.

- Marnuje się pani w tej pracy - powiedziałam z uśmiechem. - Byłaby z pani doskonała komediantka.

- Samochód zaraz zostanie podstawiony. Proszę tylko tu podpisać. Życzę miłej podróży. I niech pani dba o siebie.

- Przecież dbam - odrzekłam.

- Nie. - Uśmiechnęła się promiennie. - Wydaje mi się, że nie za bardzo.

Zerknęłam na swoje odbicie w lustrzanej ścianie, gdy odwracałam się od jej stanowiska. Włosy spięłam na czubku głowy bursztynową spinką, którą przywiozłam z Korei, a ubrałam się w elegancką włoską garsonkę. Twarz miałam nieumalowaną, dobrze więc było widać zmarszczki i lekko obwisłe policzki. Mimo to wyglądałam całkiem nieźle! Na pewno nie mogłam jeszcze uchodzić za stare pudło. Nie widać było po mnie takiego zgorzknienia, jak po tej amatorce szampana z uroczystości rozdania nagród, która pstryknęła w moją stronę ziemniakiem. Nigdy bym do tego nie dopuściła. Przerzuciłam płaszcz przez ramię, wyprostowałam się i złączyłam nogi, żeby przy każdym kroku czuć, jak uda ocierają się o siebie, po czym z dumnie zadartą głową ruszyłam do wyjścia.

Zapadał zmrok, kiedy wyjeżdżałam z miasta. Nad zachodnim horyzontem wisiał odstrasza­jąco czarny wał chmur, a nad nim ciągnęła się jasna różowa smuga, jakby po drugiej stronie burzowego frontu znajdował się inny świat oświetlony przez drugie słońce.

W oko wpadły mi napisy na drogowskazie: *Aerphort. Lár an Cathair. An Tuaisceart.*

Chwileczkę! Przecież ja nawet nie znam irlandzkiego!

Nieprawda, trochę znam. Pamiętam sporo słów, kilka piosenek...

Zaczęłam nucić pod nosem: *Anois teacht an Earraigh...*

Ojciec próbował nas uczyć ojczystego języka, lecz my zawsze siedzieliśmy jak na szpilkach i puszcza­liśmy wszystko mimo uszu. Za to w szkole zakonnej było zupełnie inaczej. Nic z tego, czego się tam nauczyłam, nie poszło w niepamięć. Razem z Norą potrafiłyśmy w czasie mszy odśpiewać wszystkie pytania i odpowiedzi z katechizmu, jak również wymienić przyczyny wojny trzydziestoletniej! W każdej chwili mogłam zacytować przykład klasycznego anapestu. Umiałam wyrecytować każdy wiersz, jakiego nauczyłyśmy się na pamięć, a zwłaszcza romantyczne poematy, które siostra Pius wbijała nam do głowy. A piosenki?

Anois teacht an Earraigh - Stało się! Przyszła wiosna! - *Ó chuir mé in mo cheann é, ní stopfaidh mé choíche, go seasfaidh mé thíos i lár Chontae Mhaigh Eo...* - Mam ją w głowie, dlatego nic mnie nie powstrzy­ma, dopóki nie osiadę w hrabstwie Mayo...

Próbowałam dopasować te słowa do skocznej melodii. Lecz choć byłam w aucie sama i nikt nie mógł mnie słyszeć, brzmienie irlandzkich wyrazów sprawiło, że się zawstydziałam.

Skrzyżowanie ze światłami: dotarłam na przedmieścia jakiegoś miasta. Z przyzwyczajenia torebkę rzu­ciłam pod fotel, a na prawym siedzeniu leżał notatnik.

„Lotn. Shannon, przyjem.”, zapisałam, czekając na zielone światło. „Jadę bocz. drogami. Prawdę mówią o gadatl. Irl. (kobiet). Tut. pow. rześkie, czuć deszcz”.

Nagle odłożyłam notes i długopis.

Zamierzałam przecież odpocząć od pracy. To śpiewanie na głos, układanie w głowie zdań, robienie no­tatek... To było silniejsze ode mnie. Pragnęłam utrwalić swoje spostrzeżenia.

Zajechałam przed hotel.

- Jak się nazywa to miejsce? - zapytałam młodą dziewczynę w recepcji, umalowaną jak kwiat w pełni rozkwitu i wlepiającą oczy w moją kartę kredytową.

- Jakie miejsce?

- Hotel.

- Ach. To hotel „Pół Drogi”.

- Pół drogi między czym a czym?

- Nie wiem - mruknęła zawstydzona. - Zdaje się, że tłumaczyli to na szkoleniu, ale zapomniałam.

Pokój utrzymany w beżowej tonacji, wielkie łóżko i okno wychodzące na pusty parking. Mój ulubiony typ.

Zanim zdążyłam to sobie wyperswadować, zadzwoniłam do Nory. W Nowym Jorku było około czwar­tej po południu, powinna już wrócić po popołudniowym spotkaniu z prezesem. Jeśli tylko było to możliwe, starałam się nie mówić jej o swoich uczuciach. Teraz jednak uznałam, że ktoś powinien się dowiedzieć, co dzi-

siaj robiłam. Nie mogłam usiedzieć spokojnie. Skoro przyjechałam tu po dwudziestu dziewięciu latach - stawiących więcej niż połowę mego życia - to nie mogę tego zachować dla siebie.

- Zgadnij, Nora, gdzie jestem.

- W Irlandii. Zaskoczyła mnie.

- Jak się domyśliłaś?

- A gdzie indziej mogłabyś być, jeśli dzwonisz do mnie i każesz zgadywać?

- Przyjechałam służbowo - zaczęłam ostrożnie.

- Zamierzasz wpaść do domu?

- Niewykluczone, jeśli wszystko ułoży się po mojej myśli - odparłam. - Jestem jednak kawał drogi od Kilcrenna. Wylądowałam w Shannon, a nie w Dublinie.

- To i tak nie ma większego znaczenia - oznajmiła. - Skoro jesteś w Irlandii, powinnaś odwiedzić dom. Chyba nie muszę ci tego tłumaczyć. Gdyby się dowiedzieli, że przyjechałaś i nawet do nich nie zajrzałaś... Na pewno się dowiedzą. Jeśli natkniesz się na kogoś znajomego...

- Za kogo ty się uważasz, Panno Przemądrzała?! - wybuchnęłam. - Sądysz, że musisz mi mówić, jak powinnam traktować Danny'ego i Annie? Od kiedy stałaś się ekspertem w tych sprawach? Sama ani razu ich nie odwiedziłaś. Nie przyjechałaś, żeby pożegnać się z mamą. Nie było cię nawet na pogrzebie wujka Neda...

- Ty także nie pojechałaś na pogrzeb!

- Bo byłam wtedy w Chinach! Pracowałam! Nie dostałam nawet wiadomości...

- Wujek Ned mógłby wykupić całe Kilcrenna za pieniądze, które mu proponowałam przez lata!

- A od kiedy interesowały go pieniądze?! Daj spokój, Nora. Nie ośmieszaj się, mówiąc do mnie w ten sposób. Przecież to zamierzcha historia. A ja naprawdę przyjechałam tu pracować, a nie odwiedzać rodzinę...

- Co to za praca?

- Zbieram materiały historyczne...

- W Irlandii?! Pamiętasz, kogo ostatnio ciekawiła historia Irlandii.

- Owszem. Charlesa Stewarta Parnella - odparłam.

- Powiedzmy...

- I Charlesa J. Haugheya.

- Na miłość boską! Dobrze wiesz, co miałam na myśli!

- Dostyc. Muszę lecieć - rzuciłam. - Odezwę się do ciebie. Uważaj na siebie, dziecino.

- Kathleen! Kath!

Usłyszałam jej wołanie, ale odłożyłam słuchawkę.

Ten, kto tu odkurzał wykładzinę, nie przyłożył się zbytnio do roboty - pomyślałam, ruszając w drugi koniec pokoju, żeby odzyskać dobry nastrój. Ale natychmiast pojawiła się myśl: Pieniądze! Ona i jej pieniądze! Tymczasem ja do dzisiaj z rozrzewnieniem wspominałam czwartki, bo właśnie tego dnia wujek Ned, w słońcu czy deszczu, odebrawszy zasilek, odwoził nas rowerem do domu. Zawsze w pierwszej kolejności rozpałał w kuchni. Nasz ojciec tylko teoretycznie był głową rodziny, pracując w administracji państwowej, podczas gdy Ned objął gospodarstwo po rodzicach, a ono nie przynosiło żadnego dochodu, ale to właśnie on woził nas rowerem - w tych szarych plastikowych butach, które sąsiad przywiózł mu z Anglii, i wizytowym prążkowanym

garniturze, chociaż po drodze nie odwiedzał nikogo oprócz nas. „Tylko dajcie mamie spokój”, powtarzał, zszadzając nas przed tylnym wejściem i ściągając spinacze z nogawek spodni. „Wasza biedna matka nie jest najlepszego zdrowia”. Wysyłał Norę do Batesów po herbatę i zaraz przystępował do rozpalania w kuchni. Smażyliśmy sadzone jajka do świeżych bułeczek. Pokazywał, jak należy elegancko ustawić wszystko na tacy, nim zabierał ją na górę, skąd po chwili dobiegał jego głos: „Jak się dzisiaj czujesz, Eileen?”. A potem wracał i piliśmy razem herbatę. Przecież nie robił tego wszystkiego dla pieniędzy. To Ned uczył nas wiązać buty i odczytywać godzinę na zegarze. To on pisał nam usprawiedliwienia do szkoły, niemalże godzinami kaligrafując po parę słów w dzienniczkach. Czasami nawet wyprawiał się do sklepu i na ramie roweru przywoził pojemnik oleju do piecyka.

Po latach, gdy wygrałam konkurs eseistyczny na temat *Piękno tego świata napawa mnie smutkiem* i pojechałam z mamą do Dublinu, w drodze powrotnej, jadąc autobusem, zapytałam ją:

- Czy wujek Ned był kiedykolwiek zakochany?

Bo wtedy już nie myślałam o niczym innym, tylko o miłości.

- Zakochany? - powtórzyła z goryczą. - Tutaj nikt nigdy nie *zaznał* prawdziwej miłości.

Wzięłam prysznic i owinięta wielkim kąpielowym ręcznikiem włączyłam laptopa, żeby trochę popracować. Kiedy odbierałam nagrodę za całokształt osiągnięć, odczytałam publicznie rozkład pierwszego dnia podczas mojej pierwszej służbowej podróży. „Rano: z Mediolanu do Gardy 140 km, podróż statkiem do Malecine, zwiedzanie zamku na szczycie góry, wizyta w destylarni wina, miejscowy specjalny pięciodaniowy lunch. Po południu: kolejką linową na szczyt Baldo, wizyta w winnicy Bolla, zwiedzanie Werony, przedstawienie w amfiteatrze, przejazd do Vicenzy, krótka trasa po palladyńskiej starówce, przyjęcie wydane przez ministra turystyki, siedmiodaniowy obiad, nocne atrakcje Wenecji...” Ludzie przy stole konferencyjnym śmiali się ze zrozumieniem. Po tak zapełnionych dniach pozwalałam sobie pić razem z innymi, jeśli nie szłam do czyjegoś pokoju. Dopiero gdy w „TravelWrite” pojawił się Jimmy, zrozumiałam, co znaczy systematyczna praca. Przejęłam od niego rygor codziennego sporządzania notatek czy nawet szkiców reportażu, kiedy byłam w podróży, niezależnie od tego, gdzie i o jakiej porze.

Tak więc z nawyku otworzyłam teczkę, rozłożyłam przed sobą kopię *Protokołu* ze sprawy Talbota i usadowiłam się wygodnie na łóżku, oparta o spiętrzone poduszki. Na szczęście nie musiałam się nad niczym zastanawiać, bo byłam zbyt zmęczona, żeby myśleć klarownie. Przepisałam tylko do rodzącego się z wolna tekstu fragment wprowadzenia lorda kanclerza.

...Pan Talbot pojął za żonę pannę Marianne McCausland w styczniu 1845 roku i jeszcze w tym samym roku, jakieś dziewięć czy dziesięć miesięcy po ślubie, pani Talbot wydała na świat córkę. Jak mniemam, około połowy roku 1846 państwo Talbot z niemowlęciem wyjechali za granicę. Spędzili w podróżach rok czy dwa. Krótco potem pan Talbot stracił wujka, będącego właścicielem Mount Talbot, najwyraźniej dużej posiadłości w odległym rejonie zachodniej Irlandii, skutkiem czego pan i pani Talbot, jak się podówczas już nazywała, weszli w posiadanie tegoż majątku.

„Rok czy dwa”?! To oznaczało, że Talbotowie wrócili do Irlandii prawdopodobnie w roku 1847, rok po Wielkim Głodzie - taką nazwą określano klęskę w przedstawieniu, w którym występowałam, mając szesnaście lat.

Zakonnice zorganizowały widowisko z okazji pięćdziesiątej rocznicy Powstania Wielkanocnego*. Grałam jedną z bosych wygłodzonych dziewcząt siedzących na skrzyni wozu z węglem Murphy'ego, którego burty były ozdobione wstęgami krepiny i napisem: 1847, Rok Wielkiego Głodu. Każda z nas trzymała koszyk z ziemniakami, wszystkie jęczałyśmy i zawodziłyśmy, żeby widzowie łatwiej zrozumieli sens przedstawienia, a mężczyzna na koźle grał jakąś smętną melodię na skrzypcach. I nas, i dźwięk skrzypiec całkowicie zagłuszyła grupa z ciężarówki należącej do Canon Murray, która przez megafon odczytywała fragmenty powstańczej Proklamacji Republiki. A gdy po przedstawieniu podbiegłam do wujka Neda czekającego na parkingu, dostrzegłam ślady łez na jego policzkach.

* Powstanie Wielkanocne (Dublińskie) - 1916, krwawo stłumione zbrojne powstanie w Dublinie przeciwko rządowi Brytyjczyków w Irlandii (*przyp. tłum.*).

Ułożyłam się wygodnie na łóżku. Jesteś w Irlandii - powiedziałam sobie w myślach. Nadal jednak nie mogłam w to uwierzyć. Skojarzyłam, że dla Marianne Talbot powrót do Irlandii musiał być prawdziwym szokiem. Nigdy wcześniej nie widziała takiego chaosu, jaki z pewnością panował na nabrzeżach Kingstown. Tłum i zgiełk znała pewnie z podróży po kontynencie. Ale Irlandia była wycieńczona po trzech latach klęski i opatowana śmiertelnym strachem - przerażeni ludzie nie wiedzieli, że Wielki Głód dobiegł końca. Masowo uciekali, wszystkie porty zapełniały hordy nie podróżników, lecz emigrantów, taszczących na pokład statku cały swój dobytek, wrzeszczących na siebie po irlandzku, płaczących i lamentujących, ogarniętych nie wyjazdową gorączką, ale paniką. Musiała podążać za mężem przeciskającym się przez ten tłum, ze spuszczoną głową, wśród smrodu i hałasu, nagabywana przez żebraków...

Oczy zaczynały mi się kleić. Sięgnęłam do *Protokołu*, chcąc odnaleźć ten fragment, który kojarzył mi się z serdecznością wuja Neda.

Jak zeznali świadkowie, pani Talbot dawała Mullanowi artykuły żywnościowe znacznie delikatniejszej natury, niż zwykle otrzymuje służba. Wspominali o białym chlebie, maśle i winie, jak też i innych rzeczach, dżemach i tego rodzaju specjalach.

Pani Talbot nalegała także, by jego koszule prać dwakroć częściej, a obejrawszy rzeczony koszule, wysłała jedną ze swych pokojówek, aby dopilnowała ich starannego oczyszczenia, co stanowi bieg zdarzeń nie przyjęty poza głęboką zażyłością prowadzącą do przestępczego związku między stronami. I cóż stało się później? Pani Talbot kazała przyszyć nowe guziki do trzech lub czterech koszul męża dla Mullana...

To była prawdziwa namiętność, a nie zwykły romans...

Nie mogłam dłużej zapanować nad sennością. Zepchnęłam wszystkie rzeczy na brzeg łóżka i ułożyłam się wygodnie. Sen, który mnie zmorzył, przypominał krótki antrak, a nie koniec czegoś.

Kiedy następnego dnia ruszyłam dalej, przez przypadek audycja radiowa przypomniała mi o Jimmym. Kilkakrotnie puszczono tę samą rzewną, sentymentalną melodię w różnych wykonaniach, po czym prowadzący powiedział: „Wysłuchali państwo suitę orkiestrowej *Jimín mo mhíle stór*”. Nie miałam kłopotu z przetłumaczeniem - *mo stór*, mój ukochany, *míle*, tysiąc - Jimeen, czyli mały Jimmy, po tysiącokroć ukochany. Bardzo mi go brakowało. Gdziekolwiek teraz był, już go to nie obchodziło. Tylko ja odczuwałam tęsknotę.

To Kathleen cię wspomina z żalem, powiedziałam w myślach.

Po przyjeździe do Londynu wynajął mieszkanie na ostatnim piętrze osiemnastowiecznej kamienicy w Soho - trzypokojowe, z oddzielnym wyjściem na rozległy płaski dach.

- Ciśnienie wody jest beznadziejne - rzekł - ale mam podłogę z prawdziwych dębowych klepek. W dodatku tuż za rogiem jest klub, gdybym koniecznie potrzebował kogoś do łóżka.

Zawsze mówił o sobie z taką beztróską. Ale gdy rozmawialiśmy na tematy ogólne, na przykład spieraliśmy się w biurze, czy Arthur Miller naprawdę był zakochany w Marilyn Monroe, z jego słów przebijała identyczna tęsknota, jaką i ja odczuwałam. Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy pojawił się w biurze „TravelWrite”, powiedziałam mu:

- Pisanie reportażu podróżniczych to świetne zajęcie, jeśli chce się zapomnieć o przeszłości, gdyż bardzo mocno wiąże człowieka z teraźniejszością.

- W takim razie źle trafiłem - odparł. - Moje dzieciństwo było szczęśliwe.

- Rodzice nie mieli ci za złe, że jesteś gejem?

- Bycie gejem w Scottsbluff w Nebrasce to pestka - rzekł ze śmiechem. - W Scottsbluff najgorzej jest nie być barczystym osiłkiem. - Po pewnym czasie dodał: - Podobało mi się tam. Lubię miejsca, które niczego nie udają.

Usłyszałam wyświechtany frazes. To także było zdanie, które często powtarzał.

- Najwyraźniej jednak nie podobało ci się na tyle, żeby tam zostać - zauważyłam. - Od Nebraski dzieli cię teraz dobre parę tysięcy kilometrów.

- A gdzie ty dorastałaś? - zapytał.

- Tym właśnie Jimmy różni się od innych facetów, których znałam - powiedziałam Norze, kiedy opowiadałam jej o nowym koledze. - Jest tak samo zainteresowany mną, jak ja nim.

To prawda. Często pytał mnie o Kilcrennan. Choć czasami robił to tylko po to, by poskromić moje zapędy dopytywania się o jego życie. Ani trochę mnie nie zrażało, że chciał coś przede mną ukryć. Zresztą, tak bardzo pragnęłam rozmawiać o życiu rodzinnym, iż nie przywiązywałam wagi do tego, czy naprawdę chce mnie słuchać. Pod koniec tego pierwszego wieczoru, w greckiej kafejce - doskonale pamiętam, bo jeszcze dziś mam przed oczyma swoje roztrzęsione dłonie, którymi na brzegu czerwonego laminowanego stolika nerwowo ugniatałam kilka okruchów ciasta - opowiedziałam mu o swoim ostatnim spotkaniu z matką. Nie opanował łez.

- Nie zapominaj - powiedziałam Norze - iż dotąd nie spotkałam nikogo, kto by uronił choć jedną łezkę nad losem mamy. Nie byłam na pogrzebie, lecz o ile mi wiadomo, tam także nikt nie płakał. Jimmy był pierwszy. Od razu poszedł do najbliższej budki telefonicznej, żeby zadzwonić do swojej matki i powiedzieć, jak bardzo ją kocha.

- Też mi! - parsknęła Nora. - Taki sam cikliwy królewicz jak i ty.

Przerwałam połączenie.

Dopiero w trakcie podróży samochodem przez Irlandię zaczął we mnie przygasać ból po śmierci Jimmy'ego. Ta kraina moją uwagę przyciągała. Bardzo mnie zaskoczyła jej prostota. Kiedy mijałam tablicę z odległością do najbliższej wioski, gdy tylko było to możliwe, mozolnie tłumaczyłam jej nazwę na angielski i ta co rusz okazywała się wprost urzekająca. Młyn Nieznajomego. Fort Burej Krowy. Jasne Łabędzie. A chwilę

później stykałam się z szarą rzeczywistością - szeroka ulica w szpalerze jednopiętrowych domków otynkowanych na szaro, z szarą kamienną obmurówką, do tego równie szary wielki kościół i kilka skromnych pubów. Cała historia Irlandii kryła się w tutejszym języku. Bardzo rzadko trafiałam na jakiś obiekt czy budowlę sprzed wieków, mogącą świadczyć o życiu społecznym ludności. Mijałam ruiny klasztoru bądź zamku, potem długo nie było nic, w końcu natykałam się na coś z epoki moich dziadków.

Wróciłam myślami do tych czasów, kiedy pisując dla „The English Traveller”, często wychwalałam angielskie wioski - stłoczone na końcu wąskiej, obrzeżonej żywopłotami drogi opadającej w głąb doliny, z małymi oknami w przestronnych niskich domach, z porośniętymi mchem kamiennymi ścieżkami prowadzącymi między ogrody, ze strumykami zasilającymi otoczone zielenią stawy pośrodku miejscowości; albo przysadziste kamienne osady na wrzosowiskach; wioski stłoczone wokół małych wiekowych kościółków, jak pijawki przysanych do ziemi; proste plebanie z czasów królowej Anny, ledwie widoczne między drzewami dachy okazałych ziemiańskich dworców i stawiane przez tych ziemian szkoły z żółtawego kamienia; porośnięte różami przychodnie lekarskie, ufundowane przez lady taką a taką... Odczytując w pamiętnikach wojennych nazwiska poległych, lubiłam wyobrażać sobie taką sytuację: dwie trumny wnoszone równocześnie przez tę samą bramę żałobną na cmentarz, w jednej bogaty ziemianin, w drugiej ubogi robotnik. Jasno oświetlone, pomalowane na żółto puby: „Hełm z Piórami”, „Powóz i Rumaki”. W nieskończoność gromadziłam takie obserwacje, odwiedzając miejsca, gdzie przedstawiciele różnych klas społecznych żyli obok siebie w tej samej miejscowości. Tamte wioski to prawdziwe klejnoty - uznałam teraz. Irlandia była ograbiona do cna, odarta ze wszystkiego i porzucona na pastwę losu.

Skreśliłam na północny wschód. Po południu, kiedy wjechałam na drogę wijącą się szerokimi łukami wśród porośniętych trawą zboczy płaskich wzgórz, nie minęłam ani jednej wioski. Wszystko się zmieniło, jakby żal po śmierci Jimmy'ego rozlał się z mojej duszy na całą tę krainę. Wszędzie dokoła posepność przybierała rozmaite formy. Po długim prostym odcinku między świerkowymi młodniakami, tonącymi w przytłaczającym cieniu, szosa schodziła na dno płytkiej doliny, w której jak okiem sięgnąć nie było widać śladów działalności człowieka. Błotnistym poboczem wędrowało leniwie stado owiec. Kiedy zwolniłam, mijając je, usłyszałam plusk strumienia płynącego przydrożnym rowem. Z wolna zapadał zmierzch. Szare niebo wisiało nisko nad ziemią. Przy hotelowym parkingu ujrzałam w trawie żółciutkie kwiaty mniszka, obsypany żółtym kwieciem żywopłot z forsycji i prawie całkiem śnieżnobiałe korony młodych drzewek owocowych. Poza tym w całej dolinie nie było widać innych śladów wiosny.

Biedna Marianne, pomyślałam mimo woli. Biedactwo! Łatwo sobie wyobrazić, co czuła na tym odstrasającym pustkowiu młoda dziewczyna, niemalże dziecko - dobrze urodzona panienska z Londynu. Co prawda, nie miałam żadnych dowodów na jej pochodzenie. Lordowie w *Protokole* zapisali jedynie, że jej ojciec, pan McCausland, *był majętnym dżentelmenem. Sprawiał wrażenie człowieka rodzinnego i miał zwyczaj regularnego spędzania kilku wiosennych miesięcy w stolicy...*

Niewątpliwie Marianne czytała jednak Jane Austen, musiała wiedzieć, jak jej rówieśniczki traktują majątki ziemskie swoich małżonków. Ostatecznie Emma w końcu polubiła dwór pana Knightleya, a Elizabeth wręcz pokochała posiadłość Darcy'ego w Derbyshire. Niemniej dla młodej panienski z Londynu podróż przez morze na takie pustkowie...

Ballygall. Cztery mile.

Droga prowadziła przez las na dnie doliny - stary las, ogrodzony rozsypującym się, porośniętym mchem niskim murkiem z granitowej kostki.

To było tutaj! Znajdowałam się na skraju lasów otaczających Mount Talbot! Te drzewa należały niegdyś do Talbotowi Wąski pas asfaltu prowadził zapewne po dawnej bitej drodze, po której Mullan woził powozem młodą panią Talbot... Popatrzyłam na niewysokie, porośnięte wrzosem wzgórza otaczające mnie ze wszystkich stron. Miałam przed oczyma ten sam krajobraz, na który patrzyła Marianne. Jak również Richard, William Mullan oraz wszyscy mężczyźni, kobiety, dzieci i zwierzęta, lepiej lub gorzej znosząc cierpienia tamtego okresu w tym odległym zakątku kraju.

Boże, ile bym teraz dała za papierosa! - przemknęło mi przez myśl.

Zaczęło mżyć, nim zajechałam żwirową alejką przed fronton The Talbot Arms. Był to mały sześcienny budynek z wysokimi dwuskrzydłowymi oknami i ładnym portalem z herbem przedstawiającym złociste żonkile pod rozłożystym dębem. Na wyszlizganych kamiennych stopniach usiadł tłusty smolście czarny kos z pomarańczowym dziobem i zrobił kilka dumnych kroczków na patykowatych nóżkach. U podnóża schodów spało stare psisko, nie zwracając uwagi na deszcz znaczący jasne zwietrzałe kamienie powiększającymi się ciemnymi plamami. Więc skoro jestem już w Ballygall, mogę zacząć robić notatki o Talbotach, pomyślałam. Zapisałam w notesie: Małe handl. miast. na szczycie wzg. Szare. Pies. Spokój. No cóż, pies i spokój raczej nie mają tu nic do rzeczy, uznałam. Nie szykowałam przecież reportażu z kolejnej podróży.

Niewielki hol okazał się uroczy, wręcz zachwycający. Spłowiwały turecki dywan musiał leżeć na posadzce z ciosanych kamieni od bardzo dawna, bo ściśle dopasował się do jej nierówności. Na kontuarze, w staroświeckim wazoniku, zapewne z sypialnianego kompletu, stało kilka wierzbowych gałązek z wielkimi, puchatymi szarymi baziami. Głęboko wpuszczone okno za recepcją było do połowy zasłonięte jakimś iglakiem w doniczce, za nim między drzewami widać było wieżę kościoła. Z boku znajdowały się schody prowadzące na górę i na dół, obok nich przez uchylone drzwi dostrzegłam kawałek wypolerowanego dębowego baru i rzędy butelek na półkach.

Nie było tu żywej duszy. Dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, że stłumione odgłosy dolatują zza grubej kotary zasłaniającej przejście na tyłach recepcji.

- Halo! - zawołałam.

- Nie ma miejsc! - doleciał stamtąd męski głos. - Przykro mi! Wszystkie pokoje zarezerwowane!

- Przecież nie ma ani jednego samochodu na parkingu! - zareagowałam odruchowo, zanim zdążyłam pomyśleć.

- Wiem, że nie ma - odparł mężczyzna. - Do jutrzejszego wieczoru musimy opróżnić pokoje. W piątek odbędzie się wesele, wszystkie miejsca są zarezerwowane na tydzień z góry.

Rozejrzałam się jeszcze raz po holu. Boazeria na ścianach sprawiała wrażenie tak jedwabistej, jak plisowana tkanina.

- Nie mogłabym zostać do czasu przyjazdu gości?! - zawołałam. - Bardzo proszę!

- Zaraz przyjdę. Meg powiedziała właśnie Bobby'emu, że jest w ciąży, a Cheryl popada w anoreksję. Pani nie ogląda oper mydlanych?

- Nie bardzo.

Pies wszedł do środka i ułożył się tuż obok mnie.

- Już lecę! - zawołał mężczyzna.

Wyłonił się zza kotary, gdy z telewizora popłynęła muzyka.

- Cholerny bzdet - mruknął.

Miał na sobie flanelową koszulę i tweedową marynarkę. Był już starszy, ze zwichrzoną strzechą siwych włosów i dużymi piwnymi oczami. Na jego twarzy wciąż malował się skupiony wyraz zaciekawienia oglądanym serialem.

- Cóż za wspaniały widok dla złąknionych oczu - rzekł, obrzuciwszy mnie uważnym spojrzeniem. - Przykro mi, ale szykujemy pokoje dla gości weselnych. Może znajdzie pani wolny pokój gościnny przy pubie na rynku.

- Nie - odparłam stanowczo. - Wolałabym zostać tu, w The Talbot Arms, jeśli to tylko możliwe.

- Prawdę powiedziawszy, kiedyś była to własność rodziny o wiele znaczniejszej od Talbotów, państwa Coby z zamku Coby, teraz zaś pewna młoda Angielka, córka milionera i ich daleka krewna, przyjeżdża na wesele. Sala restauracyjna i bar są już przygotowane. Ale skoro pani tak zależy, mogę panią przyjąć do piątku, jeśli nie będzie pani przeszkadzało schodzenie do kuchni na posiłki. Poza tym mamy jeszcze niedaleko domek letniskowy, gdzie w razie konieczności może pani zanocować w czasie pobytu gości weselnych. Tyle tylko, że nikt nie nazywa tego hotelu The Talbot Arms. Wszyscy mówią po prostu: U Bertiego. Kupiliśmy ten budynek za pieniądze, które wygrałem na wyścigach, a szczerze mówiąc, to moja ostatnia żona, świeć Panie nad jej duszą, trafnie wytypowała konia w gonitwie. Jestem Bertie.

Pochylił się nad kontuarem i serdecznie uściśnął mi dłoń.

- Zostali tu jeszcze jacyś Talbotowie? - spytałam, odczuwając w piersiach rosnące napięcie.

- Nic o tym nie wiem. Mieszkam w Ballygall od urodzenia, już sześćdziesiąt trzy lata, i ani razu nie spotkałem nikogo z rodziny Talbotów. A co najśmieszniejsze, często o nich myślę. Na tyłach dworku mieli ogrodzony kamiennym murem ogród. Przed laty oczyściłem go z zielska, żeby mieć świeże warzywa do hotelowej kuchni. Wiele razy się zastanawiałem, czy nie pojawi się tu nagle jakiś spadkobierca Talbotów i nie zażąda ode mnie pieniędzy za korzystanie z tego skrawka ziemi. Tak jak lord Lucan. Syndyk tego lekkoducha z Castlebar domagał się opłat dzierżawnych jeszcze długo po tym, jak chłopak przepadł bez śladu. Gdyby ode mnie jakiś paniczyk zażądał pieniędzy, wie pani, co by usłyszał? Żyjemy teraz w wolnym kraju, chłopcze! Możesz mnie pocałować w dupę!

- Przyjechałam tu zbierać materiały o rozwodzie Talbotów - wtrąciłam nieśmiało - tym sprzed lat, kiedy pani Talbot... rozumie pan, nawiązała romans ze stajennym. Jestem dziennikarką, a raczej byłam. Przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić, czy nie będzie to dobry temat na powieść.

- To musi pani porozmawiać z Nan Leech! Nikt inny pani nie pomoże.

- No właśnie. Chciałam się skontaktować z panną Leech, ale gdy zadzwoniłam do biblioteki, powiedziano mi, że wyjechała.

- Była w Dublinie, ale już wróciła. Wiem, że dziś rano poszła do biblioteki... - Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Usłyszałam stłumiony sygnał. - Powinna być teraz w domu, chociaż... Ella!

Dostrzegłam dziewczynę w białej bluzce i czarnej spódnicy, która próbowała niepostrzeżenie prześliznąć się korytarzem.

- Widzę cię! - krzyknął, po czym wyjaśnił szeptem: - To moja córka, Ella. Pomaga mi, kiedy mieszkam z mną. Między nami mówiąc jej mąż... Halo! - rzucił do słuchawki. - Mówi Bertie. Czy zastałem Nan? Mam tu w hotelu gościa, który chciałby porozmawiać z panną Leech. - Wyciągając słuchawkę w moim kierunku, skinął głową i dodał cicho: - Proszę. Jest w domu. Dobrze pani trafiła. Gdyby pani sama do niej zadzwoniła, Nan porozmawiałaby z panem żywcem. Poszli jej szukać. Zaraz przyślę Elle, żeby pani pomogła.

Miał na nogach luźne wełniane kapcie, ruszył w stronę korytarza, szurając nimi po podłodze. Przy drzwiach zatrzymał się i odwrócił, żeby poczekać na psa, który niechętnie powłókł się za nim.

- Nie mogłem stąd wyjechać po śmierci żony - powiedział. - To stare psisko by tego nie przetrzymało. Prawda, skarbie? - Pochylił się i pieszczotliwie potarł psa za uszy. - Sześć tysięcy funtów. Tyle mnie kosztował w ubiegłym roku.

- Pies?

- Owszem. Wścibski facet z kontroli sanitarnej zauważył, że gotujemy posiłki dla gości we własnej kuchni, a on wtedy leżał przy zlewie, czekając na okazję do wylizania talerzy. Musieliśmy dobudować odrębną kuchnię przy jadalni. Ale mam nadzieję, że pani się nie obrazi na posiłki w naszym towarzystwie i kilka psich włosów na talerzu?

- Nie, skądże.

Pies pochylił łeb, żeby można go było podrapać za uchem.

- Nawet gdybym miał wydać sześćdziesiąt tysięcy, on i tak jest tego wart - mruknął Bertie i poszedł dalej.

- Słucham. Panna Leech - odezwała się szorstko bibliotekarka.

Zaczęłam wyjaśniać, o co mi chodzi. Cisza.

Podjęłam jeszcze jedną próbę, ale głos uwiązł mi w gardle.

- Pisuje pani reportaże podróżnicze, zgadza się?

- Tak.

- I postanowiła pani zostać historykiem?

- No, niezupełnie. Nic podobnego. Na razie robię tylko rozpoznanie. Niedługo przechodzę na emeryturę i pomyślałam, że warto spróbować napisać powieść o losach rodziny Talbotów z Mount Talbot pod koniec lat czterdziestych ubiegłego wieku. Chciałam przedstawić tę historię na tle...

- I jak zamierza pani tego dokonać, jeśli ma pani wprawę jedynie w pisaniu reportaży o charakterze popularnym?

- Skończyłam uniwersytet - odparłam stanowczo. - Ściśle mówiąc, w Trinity College należałam do prymusów. Tam właśnie studiowałam literaturę angielską. Nie mam dyplomu tylko dlatego, że po dwóch latach musiałam przerwać studia. A literatura ściśle się wiąże z historią. Poza tym wielu dziennikarzy pisze powieści. Przede wszystkim mamy wprawę w gromadzeniu i organizowaniu materiałów, czego nie można powiedzieć o większości wykładowców akademickich. Naczytałam się już sporo o warunkach w Irlandii tuż po zakończeniu największej klęski głodu. Mogłabym zebrać jeszcze więcej materiałów, lecz wolałam jak najszybciej tu przyje-

chać i rozejrzeć się na miejscu. Bo właśnie tak się pracuje nad reportażami podróżniczymi: jedzie się gdzieś i na bieżąco gromadzi spostrzeżenia. Sądziłam ponadto, że jeśli zachowała się jakaś obszerniejsza dokumentacja ze sprawy rozwodowej, to powinna być dostępna właśnie tutaj...

- Mogę panią zapewnić - przerwała mi panna Leech - że w bibliotece mamy trochę ważniejsze sprawy na głowie niż zerkanie wścibskim okiem do alkowy tak zwanych lordów i dam, których przede wszystkim w ogóle nie powinno być w tym kraju...

- Proszę posłuchać, panno Leech. - Ja również jej przerwałam. - Nie ma się o co złościć. Zawsze mogę się tylko rozejrzeć, a materiałów szukać w Bibliotece Narodowej w Dublinie albo nawet w Londynie. Na razie mam tylko kopię *Protokołu* z Izby Lordów, ale jest tam wystarczająco dużo szczegółów. Gdybym nawet nie znalazła żadnych innych dokumentów, ten by mi w zupełności...

- Bzdura! - wybuchnęła bibliotekarka. - To całkiem nieodpowiedzialne podejście! Wprawdzie nie wpadły mi w ręce żadne inne dokumenty związane z Talbotami, ale mamy w bibliotece egzemplarz *Protokołu* i nawet parę razy był wypożyczany. Starsze kobiety za zamkniętymi drzwiami sporo plotkowały o tym skandalu. Prawdę powiedziawszy, jakaś część tej historii rozegrała się nawet w tym budynku, w którym obecnie się pani znajduje. Przez pewien okres po klęsce głodu w dzisiejszym hotelu Bertiego mieściła się plebania, a wikary osobiście był zaangażowany w te brudne rozgrywki. Cały kler Kościoła irlandzkiego bardzo pochłaniały przyziemne sprawy...

- Panno Leech?

- Przepraszam. Czy może pani powtórzyć swoje nazwisko?

- Na co dzień używam Kathleen de Burca, ale w akcie urodzenia zostało zapisane Caitlín de Búrca...

- Co za wspaniałe rodowe nazwisko! - powiedziała znacznie łagodniejszym tonem.

- Mogę pani dostarczyć notatkę opisującą w zarysach przebieg wydarzeń według relacji świadków zeznających na procesie - zaczęłam.

- Dobrze, niech mi ją pani przyśle z hotelu. I proszę przyjść na spotkanie jutro o drugiej po południu. Rano będę zajęta w bibliotece.

- Ale panno Leech...

- Jutro punktualnie o drugiej. Odłożyła słuchawkę.

Ella pobiegła przede mną schodami na piętro z zapalem nastolatki, chociaż już w pierwszej minucie znajomości zdążyła powiedzieć, że jej mąż pracuje w Arabii Saudyjskiej, niedługo ma wrócić, a ona samotnie wychowuje dwójkę dzieci.

- Boże! Co za wspaniały płaszcz! - mruknęła, łypiąc na niego łakomym okiem przed odwieszeniem do szafy.

Sama byłam z niego dumna: czarny, zamszowy, obsyty czarnym kaszmiem. Wydałam na niego całe honorarium za napisany dla francuskiej telewizji komentarz do *L'Angleterre Profonde*.

- Ile taki płaszcz może kosztować? - zacięła się.

- Bardzo dużo. Przymierz, jeśli chcesz.

Był dla niej o wiele za długi, owijał się wokół nóg niczym tren sukni ślubnej. Rumiana puciołowata buzia i krótkie, ostrzyżone na pazia włosy spięte wzorzystymi plastikowymi wsuwkami stanowiły jaskrawy kon-

trast z szerokim czarnym kołnierzem. Po ojcu odziedziczyła duże piwne oczy. Na niej ten płaszcz wyglądał wprost niezwykle. Uderzyło mnie, że gdy wyjeżdżałam z Irlandii, byłam podobną do niej dziewczyną o łagodnych rysach twarzy i niczym więcej, i oto przez lata stałam się kobietą naprawdę godną takiego wspaniałego płaszcza...

Ella ledwie zdołała się zmusić, by zamknąć drzwi szafy po odwieszeniu moich ubrań. Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Naprawdę nigdy nie wyszła pani za męża? Czy po prostu nie nosi pani obrączki?

- Nigdy nie byłam mężatką. Jestem kobietą pracującą.

- Czasami i ja bym tak chciała! - wykrzyknęła. - Być kobietą pracującą!

- Przecież jesteś - odparłam z uśmiechem. - Masz nawet dwie prace.

- Niech pani powie to mojemu tacie, dobrze? Może uwierzy, jak usłyszysz to od pani.

Ułożyłam rzeczy na podniszczonym, obitym skórą blacie biurka we wnęce pod oknem. Laptop. Tandetne czytadło. Dwie książki o Wielkim Irlandzkim Głodzie. Antologia wierszy w różnych językach, których kiedyś chciałam się nauczyć i dlatego odłożyłam ją na bok, pakując pozostałe książki.

Otworzyłam ją teraz na chybił trafił. Padło na Eugenio Montale.

L'atessa lunga,

Il mio sogno di te non finito.

Długie oczekiwanie, przetłumaczyłam w myślach. *Mój sen o tobie jeszcze się nie skończył.*

Otworzyłam notes i kopię *Protokołu*. Staralam się zachować maksymalną zwięzłość i precyzję, żeby nie zniechęcić panny Leech.

Richard i Marianne Talbot wraz z córką przyjechali do Mount Talbot w roku 1847 lub 1848. William Mullan rozpoczął u nich służbę jako stajenny w roku 1848.

Trzy lata później Richard Talbot po raz pierwszy wystąpił o separację do Sądu Eklezjastycznego w Dublinie, później zaś o pełny rozwód do Izby Lordów. *Protokół* zawiera dokonaną przez trzech lordów z Komisji Prawnej ocenę przedstawionych dowodów oraz ich wyrok w sprawie rozwodowej. Swoją decyzję oparli na następujących zeznaniach (cytuję dosłownie):

1. *Purcell, który będąc człowiekiem wolnym, najmującym się do różnych prac, nie miał stałego zajęcia w majątku, lecz przyjmował zlecenia na własny rachunek, wyszedł przed fronton domu, by zapalić fajkę, i wtedy, odwróciwszy się, ujrzał przez okno panią Talbot i Williama Mullana w stajennym ubraniu, obejmujących się za szyje. Siedzieli oboje na sofie, jak to opisywał...*

2. *Mary Anne Benn powiada, że pod nieobecność pana Talbota, który pojechał na pogrzeb bratowej, widziała panią Talbot i Mullana w garderobie pani Talbot, w której znajdowało się łóżko, o godzinie trzeciej po południu.*

(Notabene: zapytaj pannę Leech o meble i inne rzeczy, które bogaci plantatorzy wywozili do ogarniętych głodem rejonów Irlandii. Jakie znaczenie dla miejscowej ludności mogły mieć te dary? Olbrzymie paprocie w mosiężnych donicach. Rokokowe kute kraty do oranżerii. Obite pluszem podnóżki. Długie do ziemi satynowe suknie i olbrzymie falbaniaste krynoliny. Co Mullan mógł sądzić o odrębnych sypialniach dla małżon-

ków? Czy człowiek jego pokroju wiedział, jak stosować prawidła do butów, co to jest pikowana bonżurka albo jak się pomaduje wąsy? Który z nich był w tym układzie antropologiem: Talbot czy Mullan?)

3. *Bridget Queeny twierdzi, że pani Talbot często wchodziła do pokoju Mullana, i słyszała dobiegające stamtąd głosy i śmiechy. Kiedyś, przy pewnej szczególnej sposobności, pani Talbot przed wejściem do tego pokoju odprawiła ją z dzieckiem do warsztatu stolarskiego, zatem została sama z Mullanem w jego izbie. Z całą mocą potwierdza to Michael Fallon, stolarz. Oświadcza, że dziecko zostało przyniesione do jego warsztatu; mówi, że widział Mullana sam na sam w pokoju z panią Talbot; kiedy zaś dziecko po jakimś czasie wróciło do domu, zawołało przed drzwiami tejże izby: „Mamo, jesteś tam?!”.*

(Mullan musiał znać angielski, skoro został przyjęty do służby, tylko do jakiego stopnia potrafił się płynnie wypowiadać? Czy okolice Ballygall w latach 1848-49 należały do tych rejonów, gdzie mówiło się niemal wyłącznie po irlandzku, co oznacza, że znał tylko podstawowe zwroty używane przez służbę? - Rozumie się, wasza mość, niech was Bóg błogosławi, itp. - Czy to możliwe, panno Leech? Marianne z pewnością posługiwała się kwiecistym bogatym językiem, jak przystało na dobrze urodzoną pannę z początku epoki wiktoriańskiej. Czy oboje rozumieli niuanse wypowiedzi drugiej osoby?)

4. *Świadkowie ponadto widzieli wielokrotnie tę parę udającą się do sadu, który był położony w pewnej odległości od domu.*

5. *Obaj stolarze mówią, że widzieli Mullana z panią Talbot leżących na sianie w stajni.*

6. *Maria Mooney powiada, że wszedłszy do sypialni pani Talbot, ujrzała ją i Mullana leżących na łóżku - posługując się jej określeniem, „w rzeczy samej”.*

7. *„Siedzieli przy kominku w bawialni. Ona zażądała, bym przyniosła jej szklankę mleka, no to wyszłam, ale już nie zaglądałam do pokoju”.*

To wszystko wydaje się bardzo dziwne, wszak chodzi o stajennego, przez wszystkich świadków opisywanego jako prostaka o raczej zaniedbanym wyglądzie i niezbyt rozgarniętego.

(Dlaczego zażądała tylko jednej szklanki mleka? Czyżby nie przyszło jej nawet do głowy, żeby go zapytać, czy także chce się napić? A może raczył się już czymś lepszym, na przykład whisky swego chlebobdawcy?)

Bardzo dziękuję. Caitlín de Búrca.

Kiedy Ella przyniosła mi kanapkę z tosterą, poprosiłam, by przesała tę notatkę faksem do panny Leech.

Jej mały synek przyniósł solniczkę.

- Mam na imię Joe - powiedział. - *Cad is ainm duit?* Spłoniłam się jak pierwszoklasistka, ale wycedziłam:

- *Caitlín is ainm dom.*

- *Seosamh is ainm dom* - odparł. - W szkole uczymy się imion.

Pochwalił się, że na dole ma w klatce papuzkę falistą. Czy widziałam już kiedyś takiego ptaka? A może chciałabym pójść i ją obejrzeć?

- I jeszcze młodszego brata - podsunęła mu Ella z wyrozumiałym uśmiechem. - Na dole masz także małego braciszka.

Joe nie zwrócił uwagi na matkę.

- Mój tata jest w południowej Arabii - powiedział. Ella spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami.
- Jest stolarzem. Tata załatwił mu tam pracę w szpitalu, żebyśmy zebrali trochę pieniędzy na dom.
- No właśnie - dodał Joe. - Będziemy mieć własny dom. Jutro obejrzy pani papuzkę.

Ciszę, jaka zapadła po ich wyjściu, wypełnił stukot niesionego wiatrem deszczu o szyby. Zaciągnęłam wyblakłe welwetowe zasłony. Dzięki Bogu tu było ciepło i bezpiecznie. Gdyby Jimmy był tu razem ze mną, na pewno by powiedział: Jutro rano w pierwszej kolejności namierzmy winiarnię i hinduską restaurację gdzieś pod lasem.

Któregoś dnia w biurze przedstawiłam pokrótce jemu i Roxy dzieje Talbotów. Zawsze opowiadaliśmy sobie nawzajem różne historie. Jeśli któreś z nas było w kinie, nazajutrz relacjonowało pozostałym fabułę filmu. To samo dotyczyło książek. Tylko Alex nigdy się nie włączał do tych rozmów, zawsze pracował w swoim gabinecie. Lubiłam takie sytuacje. Pewnie zanadto bym się nie cieszyła, że nie mamy nic do roboty, gdyby nie świadomość, że on nad wszystkim czuwa. Na Jimmym opowieść o romansie Marianne Talbot i Williama Mullana nie zrobiła takiego wrażenia, jakiego się spodziewałam. Oświadczył, że chciałby się dowiedzieć więcej, żeby mieć pewność, iż chodziło o prawdziwe uczucie, a nie zwyczajne wykorzystywanie jednej osoby przez drugą.

- Widzę jednak, Kath - dodał - że ciebie to ekscytuje, aż dostałaś rumieńców.

Kiedy znów dotarło do mnie bębnienie deszczu o szyby, uświadomiłam sobie, że będzie mi brakowało „TravelWrite” jak niczego innego na świecie. Gorąco pokochałam te pomieszczenia, gdzie czułam się dokładnie ukryta przed wszystkimi - na poddaszu solidnej wiktoriańskiej kamienicy, gdzie mieściły się ciasne biura, z oknami wychodzącymi na miedziane dachy stłoczonych budynków z kamieni i cegieł oraz wąziutkim skrawkiem zieleni, który tworzyły czubki lip rosnących na mrocznym placu w dole. Roxy trzymała cały rząd niecierpków i bodziszków w doniczkach na parapecie. Lubiłam wyglądać nad nimi, jak strugi deszczu siekły dachy sąsiednich domów. Kiedy wiatr ciskał szarugą w nasze wielkie okno, widok za nim się rozmazywał, a ciemnopurpurowe kwiaty jarzyły się na tym tle, my zaś byliśmy zamknięci niczym w orlim gnieździe wypełnionym bulgotami i syczeniem w wielkich żeliwnych kaloryferach, jakby wewnątrz znajdowały się setki miniaturowych wulkanów.

Raz wybrałam się do biura późnym wieczorem, prosto z lotniska. Przyjechałam taksówką wyludnionymi ulicami, machnęłam przepustką portierowi, przedfilowałam przez wyłożoną sinofioletowym marmurem wejściową rotundę, wjechałam powolną windą na szczyt opustoszałego budynku, weszłam do tonącego w ciszy biura, pstryknęłam włącznikiem i przegnałam tajemnicze cienie, najpierw konwulsyjnymi błyskami, potem jednostajnym blaskiem jarzeniówek. Spędziłam tam całą noc, włączając się po korytarzu niczym Grace Poole i chichocząc do siebie, dopóki nie zasnęłam w wielkim skórzanym fotelu. Obudziłam się w pewnym momencie, bo było mi niewygodnie, i usłyszałam bębnienie deszczu o zaśniedziałe szyby świetlika w dachu. Rano obmyłam ręce i twarz w łazience, po czym zjechałam do pobliskiej kawiarenki na kawę z jagodzianką, jakbym wyskoczyła na moment z domu...

Teraz bębnienie deszczu o parapet za oknem zielonego pokoiku hotelowego zdawało się mówić: To wszystko już przeszłość.

Ciekawa byłam, czy Jimmy nabrał podejrzeń co do mojego projektu dotyczącego Talbotów i zastanawiał się, czy ta historia nie zafascynowała mnie z sentymentalnych powodów. Może i on by się zdziwił: Skąd dzwonicz?! Jesteś na północno-zachodnich pustkowiach Irlandii?! A wydawało mi się, iż powtarzałaś stanowczo, że nigdy tam nie wrócisz. „Nie przyszło ci do głowy, żeby na lotnisku w Dublinie policzyć przerażone kobiety udające się potajemnie do Anglii w celu przerwania ciąży?”

Mogłabym mu wtedy wyjaśnić, co mnie naprawdę zaciekało.

Trudno bowiem wyobrazić sobie mniej prawdopodobny związek uczuciowy niż między angielską damą, żoną ziemianina, a irlandzkim służącym. Każde z nich wywodziło się z odrębnego, ściśle odizolowanego kręgu kulturowego mającego u swoich podstaw głęboko zakorzenioną wrogość do przedstawicieli drugiego narodu. Marianne i William zdołali się jakoś uwolnić od kulturowych stereotypów, żeby być ze sobą. Mówili nawet różnymi językami ojczystymi, a mimo to potrafili się wyrwać z okowów obyczajowych i zlekceważyć wszelkie konsekwencje, stawiając ponad nimi pragnienie zaspokojenia swoich potrzeb.

Wiedziałam chyba wszystko na temat przypadku rządzącego ludzkimi uczuciami, wierzyłam jednak, że miłość to proces, w którego trakcie ludzie dogłębnie poznają się nawzajem po to, by na tej podstawie budować swoją przyszłość. Wydawało mi się, że William Mullan i pani Talbot należeli właśnie do takich „budowniczych”, tworzyli miłość, wypracowywali ją z trudem. Ich namiętność musiała się przerodzić w prawdziwą miłość. W *Protokole* było pełno dowodów na to, jak Marianne troszczyła się o swego kochanka. A przecież owe trzy lata, które spędzili razem, dla niego musiały oznaczać rezygnację z własnego życia oraz izolację od rodaków. Mimo to wytrwał przy niej, chociaż nie mógł oczekiwać niczego poza pohańbieniem i karą. Mnie nigdy nie udało się wyruszyć w tę najważniejszą podróż ludzkiego życia, więc tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że ciało jest jedynie drogą do serca, a serce otwiera drogę do duszy. Opowiadając innym historię Williama i Marianne, dałabym wyraz wiary w słuszność takiego podejścia.

A Jimmy... Ty przecież także w to wierzyłeś! Powinieneś być zadowolony...

Och, dajże spokój, Kathleen! Łzy napłynęły mi do oczu, wstałam więc i zaczęłam nerwowo krążyć z kąta w kąt. Jimmy nie mógł być ani zadowolony, ani zmartwiony. Jego to już nie interesowało! Została po nim tylko garść prochu i trochę kości!

Kiedys wybraliśmy się razem awionetką na zwiedzanie Manhattanu z lotu ptaka. Byliśmy tak ściśnięci za fotelem pilota w maleńkiej przeszklonej kabinie, że Jimmy musiał mnie obejmować za szyję, a gdy wznosiliśmy się ponad nowojorskie drapacze chmur czy pikowaliśmy w stronę wzburzonej zatoki, przygniatał mnie swoim ciężarem. Mimo że byliśmy w grubych zimowych ubraniach, głęboko wryło mi się w pamięć uczucie jego niezwyklej bliskości oraz ten zmysłowy rytm oddalania się i napierania, oddalania i napierania na moje ramię, kiedy zataczaliśmy kręgi wokół Statuy Wolności czy zakreślaliśmy ostro ponad olbrzymim portem. Żywa istota, której cielesność tak bardzo odczuwałam. Zatem teraz, kiedy nie mogłam dotknąć jego ciała, dla mnie nie było już Jimmy'ego.

Stałam przed poszarzałym lustrem wiszącym na ścianie naprzeciwko okna. Popatrzyłam na odbicie pokoju za moimi plecami, przypominającego mroczną jaskinię pełną tajemniczych cieni i odblasków poruszających się w mglistej przestrzeni.

Tak, Jimmy odszedł na zawsze.

Zapaliłam lampkę na stoliku, włączyłam kinkiet nad łóżkiem, wreszcie górne światła. Cienie zniknęły. Jeszcze raz spojrzałam na swoje odbicie w lustrze i w myślach pożegnałam się z Jimmym.

4

Rano nie mogłam się zdecydować, czy powinnam posłać łóżko.

Czułam się bardziej przyjacielem rodziny niż gościem hotelowym. W tym kraju wszystko było znacznie bardziej osobiste niż gdzie indziej.

Posłałam więc i zrobiłam porządek w pokoju.

Zeszłam na palcach po schodach, zamierzając wyjść tylnymi drzwiami. Ale na progu kuchni stanęłam jak wmurowana. Łagodne światło poranka wlewało się do środka przez dwa wysokie okna. Powietrze wypełniał zapach prania rozwieszonego na noc przed dużą węglową kuchnią z kremowych kafli. Całą jedną ścianę zajmował olbrzymi, pomalowany na jasno kredens, a na środku pomieszczenia rozparł się drewniany stół z laminowanym blatem o deseni gruboziarnistego piasku. Na nim stały na drucianych podstawkach dwa bochny chleba domowego wypieku. Miejsce pod oknem zajmowała wygnieciona sofa, na jej brzegu piętrzył się stos gazet i dziecięcych zabawek. Na szerokich okiennych parapetach poustawiano ciasno różne rzeczy - słoiki, książki, duży staroświecki budzik, kilka ramek do ula niedbale zawiniętych w gazetę, butelka po winie z samotną wierzbową gałązką, plik rachunków i pism nadzianych na szpikulec z podstawką. Zewsząd dobiegały rozmaite odgłosy. W okrytej zasłonką klatce poruszała się papużka. W kuchni węglowej coś pstrykało. Budzik aż podrygiwał przy każdym ruchu wskazówek.

Rozległy się kroki i do środka wszedł Bertie z malcem na ręku. Za nim pojawił się Joe w piżamie.

- No, proszę, kogóż to widzimy! - odezwał się gospodarz. - Czemu stoisz w przejściu jak zjawą, moja droga? A to mały braciszek Joego, Oliver.

- Lolwel - oznajmił brzdąc.

- Ta kuchnia... - zaczęłam niepewnie. - Częściej bywałam w muzeach niż w kuchni. Widziałam chyba nawet więcej rokokowych kaplic...

- Zwykła nora - mruknął z rozbawieniem.

Posadził malca na sofie i włączył telewizor. Dźwięk był wyłączony, komicznie wyglądali ubrani na czerwono tancerze z zespołu ludowego podskakujący w całkowitej ciszy.

- Zrobimy sobie herbaty - powiedział Bertie.

- Grrr! - zagruchał chłopczyk.

- Ollie chce swoją łyżkę - odezwał się Joe tonem przemęczonego tłumacza.

Dziadek podał malcowi dużą drewnianą łyżkę, która, jak się okazało, służy do radosnego wymachiwania przed telewizorem.

- Jeszcze wpuścimy tu Spot - rzekł Bertie. - Właściciel pozwala jej spać przy swoim łóżku, więc gdy zostawia ją u nas, muszę zamykać ją na noc w komórce.

Terierka wpadła do kuchni z takim impetem, że oboje parsknęliśmy śmiechem. Stary pies, śpiący na swoim posłaniu w kącie, ociężale podniósł łeb, popatrzył na suczkę, po czym z cichym nikięciem ułożył się wygodniej. Smuga słonecznego blasku legła na wyslizgany kamienny próg w drzwiach i oświetliła róg czerwonego wełnianego dywanu leżącego przed sofą. Wysłuchaliśmy radiowych wiadomości po irlandzku. Po zakończeniu dziennika puszczono piosenkę *The Star of the County Down* Van Morrisona.

- Stary dobry Van - mruknął Bertie z rozrzewnieniem. - Pamiętam, jak kupiłem jego pierwszą płytę, *Astral Weeks*. W tym samym roku się ożeniłem. Doprowadzałem do szaleństwa moją biedną żonę, puszczając w kółko *Madame George*.

Szybko przeliczyłam w pamięci.

- Dość późno się ożeniłeś.

- To prawda. Długo szukałem najlepszej kandydatki, zanim doszedłem do wniosku, że zbliżam się do takiego wieku, kiedy już żadna nie będzie mnie chciała, jeśli się nie pospieszę. Jakie miałbym teraz życie bez Elli i tych dwóch urwisów? A ty nigdy nie zdecydowałaś się zaryzykować? Mam nadzieję, że się nie gniewasz za te pytania.

- Nie, skądże. Po prostu nigdy nie potrafiłam usiedzieć za długo w jednym miejscu.

- Ja nigdy stąd nie wyjeżdżałem. Cały mój świat to Ballygall.

Joe kręcił się obok mego krzesła, czekając, aż go zauważę.

- Zgadnij, jak się nazywa moja papuzka. Na pewno nie zgadniesz!

- Papież Jan Paweł Dwudziesty Drugi? - rzuciłam.

- Nie! Ma na imię Spice. Papuzka Spice!

- Niedużo się pomyliłam. Przepraszam, ale muszę już iść. Chciałam się trochę rozejrzeć po okolicy.

- Wybrałaś sobie trudne zajęcie, Kathleen - powiedział Bertie. - Tak jak ja. Nie ma sprawiedliwości na świecie. O wiele bardziej wolałbym ujeżdżać konie.

- Nigdy nie jest za późno - odparłam z uśmiechem. - Ten staruszek, który zajmuje się końmi królowej, ma już chyba dziewięćdziesiątkę.

- Zjeżdżaj!

Spot niewłaściwie zrozumiała jego ton i warknęła na mnie. Ze śmiechem wstałam od stołu i ruszyłam do wyjścia.

- Do widzenia, Kathleen! - odezwał się Joe.

- Dzienia, Atli - zawtórował malec.

Opadły mnie natarczywe wspomnienia. Kiedyś i mój mały braciszek, Sean, bębniąc o stół plastikowym kubeczkim i gaworząc do siebie, pożegnał mnie tak samo, gdy spieszyłam się do wyjścia. Zawołał: „Atli! Atli!”. Niemal identycznie. Jakbym go słyszała.

Stałam chwilę przy kuchennych drzwiach, czekając, aż przejdzie drobny deszczyk. Tak, zdarzyło się ostatniego dnia mego pobytu w Shore Road, po południu wyjechałam już do college'u w Dublinie. Sean miał wtedy trzy latka. Później widziałam go jeszcze raz, może przez dziesięć minut, kiedy zostałam wezwana do domu w pilnej sprawie. Ale wtedy już mnie nie pamiętał. Zapomniał, jak mam na imię. Na pożegnanie pomachał mi z okna domu pani Bates, gdy wsiadałam do autobusu z Shore Road do Kilcrennan, rozpoczynając

ucieczkę z Irlandii. Ani razu nie słyszałam już, żeby za mną wołał, w ogóle nie słyszałam jego głosu. Umarł, gdy miał sześć i pół roku.

- Miał coś nie w porządku z krwią - powiedział Danny, zawiadamiając mnie o tym telefonicznie.
Sean zmarł, zanim się dowiedziałam, że był chory.

Deszcz jeszcze nie ustał, a już pojawiło się zamglone słońce, tworząc roziskrzoną koronkę na mokrej trawie w ogrodzie. Oczekałam chwilę z uruchomieniem silnika, zasluchana w przybierający na sile świergot ptaków, bardziej podobny do rozmowy niż zwykłego śpiewu.

Zapowiadała się pogoda w kratkę. Jadąc do miasta, uśmiechnęłam się na wspomnienie rozmowy z Jimmym w zatłoczonym obskurnym pubie w północnym Londynie. Pewnego letniego wieczoru siedzieliśmy przy piwie, gdy niespodziewanie podszedł do nas wysoki barczysty Irlandczyk. Bez żadnego powodu stanął przed Jimmym i przyjął zaczepną postawę. Prawdę powiedziawszy, byłaby zaczepna, gdyby nie chwiał się aż tak bardzo na nogach.

- Wyjdź na dwór i walcz jak mężczyzna - warknął groźnie.

Jimmy zaliczał się do najspokojniejszych ludzi na świecie.

- Ani myślę - odparł.

- No! Wychodź, kutasie! - ryknął nieznajomy.

- Nic z tego. Nie zamierzam ruszać się z miejsca.

- Wylaż, to zatłukę cię jak psa!

- Nie - powtórzył biedny Jimmy.

- No, proszę - powiedział osiłek nawet nie smutno, ale wręcz żałośnie. - Proszę.

Kiedy po chwili odszedł niepocieszony, Jimmy zapytał:

- Jezu! O co mu chodziło?

- Po prostu chciał się bić - odrzekłam.

- Ale z jakiego powodu? Dlaczego Irlandczycy są tacy skorzy do bitki?

- Był pijany.

- W porządku. Zapytam inaczej. Z jakiego powodu Irlandczycy się upijają?

- Dziwne, że pytasz właśnie mnie - powiedziałam z naciskiem. - Na szczęście tak się składa, że potrafię odpowiedzieć. Czytałam w jakiejś książce, dosyć poważnym dziele, że Irlandia charakteryzuje się bardzo wąskim zakresem zmienności warunków pogodowych. Jest pozbawiona skrajnych upałów i mrozów, jakie występują gdzie indziej, ale za to w tym wąskim zakresie pogoda jest nadzwyczaj zmienna! Postaw się więc w sytuacji irlandzkiego farmera, który planuje jakąś pracę na dany dzień, nastraja się do niej psychicznie, aż tu patrzy przez okno i widzi, że pogoda jest niesprzyjająca, zatem nie pozostaje mu nic innego, jak iść do knajpy zamiast brać się do tej roboty.

Jimmy przez chwilę patrzył na mnie uważnie.

- Mówisz, że wyczytałaś to w poważnej książce?

- Jak najbardziej.

- I mam uwierzyć, że ten goryl chciał mnie wyciągnąć na dwór i rozkwaśnić mi nos tylko dlatego, że wkurzyła go pogoda?

- Zgadza się - odparłam. - Z małą poprawką. Pogoda wkurzała raczej jego przodków.

- Kathleen, zrób mi przysługę. Jeśli kiedykolwiek jeszcze zadam ci pytanie dotyczące Irlandczyków, nie odpowiadaj na nie...

Z szerokiej drogi, która na odcinku paru kilometrów do Ballygall prowadziła szczytem grzbietu, rozciągał się panoramiczny widok na lekko pofałdowaną krainę z niewielkimi jeziorami na dnie podmokłych dolinek. W zasięgu wzroku nie było ani jednego domu, jak również pól uprawnych, lasów czy też zabudowań gospodarskich. Wdrapałam się na skalisty cypel i rozejrzałam dookoła, żeby wychwycić szczegóły krajobrazu. Kiedy tam stałam, mimo ciepłej wiosennej pogody, poczułam na plecach dreszcz. Pokrywająca zbocza trawa była albo poczerniała, albo zgniłozielona, a trzciny rosnące dookoła szaroniebieskich jezior miały żółtawy odcień.

Tę pustkę odczuwało się niemal namacalnie. W książkach podawano, ile dziesiątków tysięcy ludzi zmarło w czworakach rozsianych po całym kraju, nikt jednak nie potrafił oszacować liczby ofiar nie uwzględnionych w oficjalnych statystykach. Wiadomo było, ile rodzin wyeksmitowano z domów - a wtedy nakazy egzekucji przybijano po prostu na drzwiach, przy czym regionalne władze jedynie odnotowywały fakt egzekucji wyroku - nikt natomiast nie brał pod uwagę tych rodzin, które z domów wygnał głód i choroby. Właściciele ziemscy i ich agenci skrzętnie wykorzystywali okazję, jaką stała się klęska głodu, do usuwania ze swego terenu tubylców zalegających coraz bardziej z opłatami za dzierżawę gruntów. Kiedy pod koniec lat czterdziestych kryzys dobiegł końca, liczebność populacji spadła o połowę w porównaniu z wynikami ostatniego spisu ludności. Lecz ile tysięcy Irlandczyków nie zostało objętych spisem? Tutejsza biedota kleciła lepianki ze wszystkiego, co było pod ręką - gliny, słomy, trzciny, płatów darni, wierzbowych witek, kamieni, kawałków drewna. Te budowle zniknęły bez śladu w takim krajobrazie, jaki teraz miałam przed sobą.

Zamknęłam oczy, żeby przypomnieć sobie, jak się czuje miękką wilgotną ziemię pod bosymi stopami. Potem przywołałam z pamięci najgorsze chwile dyzenterii, którą przechodziłam w dzieciństwie - niepoahamowane dreszcze, wrażenie zimna przenikającego aż do kości i tak silne osłabienie od gorączki, że nie byłam w stanie podnieść głowy, a nogi uginały się pode mną. Oni musieli odczuwać coś jeszcze gorszego. Leżeli na ziemi, w mokrej trawie, z brudnymi i poszarzałymi twarzami pokrytymi kroplami potu, uwalani cuchnącym, żółtym biegunkowym kałem, wbrew ich woli ściekającym po nogach... Czy ci ludzie, konający pod gołym niebem, wzywali Boga? *A Dhia! A Dhia!* Czy może zubożeli na wszystko? W jednej z moich książek znajdował się cytat podróżnika, który opowiadał, że chorzy na cholere, straszliwie opuchnięci i sini, o prawie całkiem czarnych twarzach, umierali na drogach zwróceniu w stronę miasta, ponieważ wychodzili z takich właśnie dolin, na jakie teraz patrzyłam, i próbowali się doczołgać do czworaków. Doskonale wiedzieli, że śmiertelność wśród mieszkańców czworaków jest tak samo przerażająco wysoka. Widocznie po prostu nie chcieli umierać w samotności. Albo mieli nadzieję skonać z pełnym żołądkiem.

Czy śmierć głodowa na pewnym etapie także oznaczała koniec cierpienia, podobnie jak śmierć w zaspach? Najpierw przeraźliwe zimno - potem apatia - wreszcie całkowita obojętność...

Mój ojciec opowiadał kiedyś, że królowa Wiktoria wypisała czek na dziesięć funtów dla schroniska dla bezdomnych psów w Battersea, później zaś drugi, na pięć funtów, dla cierpiących Irlandczyków. Mówiąc o klęsce głodu, przejawiał jedynie wściekłość na Anglików. W ogóle nie odczuwał żalu. Nie wyobrażał sobie

ludzi, którzy wpełzali z takich podmokłych, wręcz mistycznych terenów, brodzili po obrzeżach bagien, mieszając błocko kościstymi stopami. Powykręcane stopy starców o szerniałych paznokciach i delikatne stópki dzieci. Stopy brązowe, białe, sine i zdeformowane... Ludzie, którzy wylaniali się z tych dolin i ruszali kamienną drogą w kierunku Ballygall, mieli zeszywniałe członki i zapadnięte policzki. Szli w milczeniu? Czy z tego skalistego cypla ponad drogą mogłabym usłyszeć stłumione pomruki wlokącej się noga za nogą gromady obierwalców, może nawet głosy matek przywołujących swoje dzieci? Jak wtedy nazywano dzieci? Máire? Pádraig? Na pewno nie były to ładne dzieci w czerwonych flanelowych ubrankach. Uczennice ze szkoły zakonnej występujące w przedstawieniu „1847, Rok Wielkiego Głodu”, które siedziały na wozie Murphy'ego, odznaczały się piękną gładką cerą. Moja przyjaciółka, Sharon, pozwoliła mi nawet na tę okazję pomalować paznokcie u nóg bezbarwnym lakierem. Ale prawdziwe kilkuletnie ofiary klęski biegłyby w stronę obiektywu fotoreportera, jak teraz po wybuchu bomby z napalmem, pod zmasowanym ostrzałem, podczas trzęsienia ziemi - zapłakane, zasmarkane, zaplute, z buziami wykrzywionymi grymasem przerażenia i nienawiści...

Wróciłam do samochodu i ruszyłam z powrotem do hotelu Bertiego.

Dopadły mnie wyrzuty sumienia. Za kogo się uważałam, przesądając, co mój ojciec odczuwał, a czego nie? Próby interpretacji uczuć innych ludzi dają zwykle mierne rezultaty, nawet gdy człowiek się bardzo stara, a ja przecież niezbyt się starałam zrozumieć własnego ojca. Więcej, próbowałam sobie teraz wyobrazić cierpienia całego narodu w czasie niewyobrażalnej katastrofy! Czy w ogóle możliwe było choćby chwilowe objęcie wyobraźnią przeszłości, aby dało się uchwycić jej znaczenie? Nie wytłumaczenie, ale właśnie znaczenie? W dodatku jej znaczenie nie dla historii, lecz dla mnie samej?

W Shore Road, za wylanym asfaltem placzykiem, na którym zawracały autobusy, wąski pas torfowiska wzdłuż urwistego brzegu, porośnięty trawą gęstą jak zamsz, usiany był głębokimi jamami przypominającymi leje po bombach. Bawiąc się w berka, często zeskakiwaliśmy na miękki piasek zalegający na dnie tych jam i wdrapywaliśmy się z powrotem na górę. A Nora i jej przyjaciółki po zmierzchu chodziły tam ze starszymi chłopakami.

- Kiedyś w tych jamach mieszkali ludzie - powiedziała jej po spotkaniu z Anglikiem na rowerze. - Gdy nastał głód, właśnie tam się przenosili. Nie mieli ubrań ani niczego. Były ich setki. Ten historyk pisze o nich książkę.

- Co to znaczy, że nie mieli ubrań? - zdziwiła się Nora. - Przecież coś musieli nosić. - Nie obchodził jej Wielki Głód, zainteresowała się problemem nagości. - Jak mogli chodzić na mszę do kościoła, jeśli nie mieli ubrań.

- Nie wiem - odparłam. - Skąd miałabym to wiedzieć? Rozmyślając teraz o tych biedakach, zaczęłam się zastanawiać, jak wyglądało ich życie w takich jamach, wymoszczonych piaskiem miękkim jak jedwab, lecz lodowato zimnym. Niemowlęta i dzieci leżące pod okapem z gałęzi, matki pod gołym niebem, na wietrze i w deszczu, próbujące ugotować kilka ziemniaków w kociołku zawieszonym nad ogniskiem z przesiąkniętych morską wodą patyków. Ale nawet wyobraźnia nie była w stanie przybliżyć mi tego, co ci ludzie odczuwali, mimo że Wielki Głód i straszliwe wyniszczenie terenów wiejskich w Irlandii zdarzyło się ledwie kilka pokoleń wcześniej. Do dziś żyli ludzie, których dziadkowie przetrwali tamte lata. Urazy psychiczne musiały być głęboko zakodowane także w moich genach.

Nie wolno mi tego zapomnieć, pomyślałam, chociaż nie mam własnych wspomnień z tamtego okresu. Należą do moich przodków.

Panna Leech zajmowała ciasne, zagracone mieszkanko na szczycie mrocznych schodów od podwórza, na tyłach ładnego budynku z piaskowca przy tym samym placu, co miejska biblioteka. Bardzo drobna, o gęsto pokrytej zmarszczkami twarzy starej wróżki, miała miękkie siwe włosy niezbyt starannie zebrane w duży kok z tyłu głowy. Ciemne oczy były głęboko osadzone i otoczone siateczką zmarszczek, za to wąskie usta odznaczały się tak idealnie ukształtowaną linią warg, że ilekroć na nie spojrzałam, odczuwałam prawdziwą przyjemność.

- Wygląda pani na bardzo energiczną kobietę - powiedziała na wstępie. - I znacznie młodszą, niż się spodziewałam. A przecież, jeśli pamiętam, wspominała pani o przejściu na emeryturę. To ja jeszcze nie myślę o emeryturze, choć skończyłam siedemdziesiątkę i zajmuję się już wyłącznie gromadzeniem materiałów o historii tego regionu.

- W zasadzie nie wybieram się na emeryturę - odparłam. - Chcę tylko zmienić dziedzinę zainteresowań.
- Nie poprosiła, bym usiadła, mimo że sama siedziała. Nerwowo przestąpiłam z nogi na nogę i dodałam z pewnym zakłopotaniem: - W ogóle chcę coś zmienić w swoim życiu.

Milczała przez jakiś czas.

- Proszę siadać, panno de Burca - odezwała się w końcu.

Musiałam się szeroko uśmiechnąć z ulgą, bo i ona odpowiedziała skromnym uśmiechem.

- Do tej pory nie szukała pani inspiracji w otaczającym nas świecie? - zapytała. - Muszę przyznać, że ja z każdym dniem coraz bardziej podziwiam Stwórcę. Dzisiaj rano przystanęłam, żeby popatrzeć, jak strzyżyk uczy latać swoje pisklęta. Matka wyciągnęła je z gniazda i posadziła rzędem na gałęzi. A było ich dziewięć. Pięknych, puchatych maleństw. Przycupnęła na gałązce naprzeciwko i pokazała przyniesioną w dziobie muchę. Maluchy zaczęły popiskiwać i pokrzykiwać, spoglądając na nią, wreszcie jeden po drugim zdobyły się na odwagę, żeby zeskoczyć z gałęzi. I zanim spadły na listowie poniżej, już wiedziały, jak używać skrzydeł. Tylko jedno pisklę zostało na miejscu. Trzeba było słyszeć jego przeraźliwe wrzaski! Niemalże wymyślało matce, gdyż bało się zeskoczyć. I wie pani, co ona zrobiła, gdy straciła cierpliwość? Po prostu podfrunęła i strąciła je z gałęzi. Z całym impetem spadła mu na grzbiet!

Zaśmiała się w głos na to wspomnienie, toteż i ja zachichotałam krótko, chcąc jej zrobić przyjemność, po czym wtrąciłam:

- Podobno strzyżyki zimą sypiąją przytulone do siebie i co jakiś czas ten ze środka przefruwa na koniec, robiąc miejsce dla innego, żeby mógł się ogrzać.

- Tak samo zachowują się pszczoły. Widziałam to wiele razy. Czy zatem wierzy pani w Stwórcę, panno de Burca?

- Wierzę w akt stworzenia - powiedziałam z namysłem. - Każdego dnia widzę i słyszę różne rzeczy, które każą mi wierzyć w istnienie Stwórcy, ale...

- Tak, rozumiem - odparła. - „Ale...”

Znów zapadło milczenie. Obrzuciła mnie zaciekawionym spojrzeniem i zapytała:

- Co panią zainteresowało w historii Talbotów?

- Bo ja wiem?... - zająknęłam się. - Chyba najbardziej nieprawdopodobieństwo takiego związku. Bo przecież ona była dobrze urodzoną Angielką, a nawiązała romans ze zwykłym, podrzędnym sługą...

- Może dla niej nie był tylko zwykłym, podrzędnym sługą! - rzuciła ostro panna Leech. - W tej okolicy Mullanowie to stara i bardzo szanowana rodzina, znana już od siedemnastego, może nawet szesnastego wieku...

- O tym nie wiedziałam - odrzekłam spokojnie. - To najlepszy przykład, jak wiele muszę się jeszcze nauczyć. W dodatku ich romans wydarzył się tuż po zakończeniu Wielkiego Głodu. Wyjechałam z Irlandii prawie trzydzieści lat temu i żyłam niemal jak człowiek pozbawiony ojczyzny, ciągle w podróży. Sądziłam jednak, że jako Irlandka powinnam dowiedzieć się więcej o tej klęsce.

- To bardzo drażliwy i nieprzyjemny temat - przyznała. - Szykując wystawę z okazji sto pięćdziesiątej rocznicy, zachowywałam szczególną ostrożność, ale młody instruktor z ośrodka szkolenia, chcąc dać swoim wychowankom możliwość nabrania wprawy w pracy z komputerem, zorganizował akcję komputeryzowania starych danych osobowych. Podczas wyburzania dawnych czworaków pod budowę supermarketu znaleziono dawne księgi rejestrowe. Jak można się było spodziewać, zapisy narobiły sporo zamieszania. Wszyscy zaczęli nagle dociekać, co się wtedy naprawdę działo. Jak doszło do tego, że taki a taki musiał się przenieść do czworaków, gdy jego farmę przejęli sąsiedzi? Czy właściciele dużych sklepów w mieście nie dorobili się majątków na dostawach do czworaków, skoro mogli dowolnie dyktować ceny? Czy dziadek tego a tego nie został przypadkiem wyrzucony z posady stróża w schronisku dla kobiet, ponieważ wykorzystywał swoją pozycję i molestował biedaczki? Zapewniam panią, że nasi przodkowie także odegrali jakąś rolę w całym tym systemie. W końcu nasze rody nie wyginęły. Obie możemy zatem być pewne, że nasi przodkowie nie mieszkali w szałasach i jaskiniach, gdzie wszyscy pomarli. Jeśli jest nam teraz dane siedzieć w tym ciepłym pokoju i prowadzić miłą rozmowę, to powinniśmy zadać sobie pytanie, jakim cudem nasi przodkowie się uratowali. Co robili w tamtym okresie, że w ogóle możliwe było nasze przyjście na świat? Każdy, kto miał choćby najmniejsze poletko kapusty albo rzepy, najmował strażników, by zapewnić sobie pożywienie. Nasi przodkowie musieli należeć do takich strażników, panno de Burca.

- Bardzo potrzebna mi pani pomoc - wydusiłam z siebie. - O wiele bardziej, niż mi się zdawało.

Znowu zaległa cisza, ale tym razem wypełniona powiewem sympatii.

- Wysłałam pani faksem krótką notatkę - dodałam z ociąganiem - opartą na cytatach z *Protokołu* w sprawie Talbotów...

- Zdążyłam już zrobić pobieżne rozpoznanie - odparła panna Leech. - Zawsze to pewna odmiana od konieczności udzielania odpowiedzi na pytania skądinąd sympatycznych mieszkańców Ballygall. Ale poza znany już pani *Protokołem* natknęłam się na wzmiankę o Marianne Talbot tylko w księgach ze sklepu sukienniczego Hurleya, który w tamtych czasach istniał w mieście. Przejrzałam je wczoraj wieczorem. Nazywano ją tu po prostu „Panienką”. Wpisy na rachunek panienki Talbot pojawiają się w 1848 roku. Pozwoliłam sobie też wydrukować dla pani trochę materiałów pomocniczych. Po naszej rozmowie telefonicznej doszłam do wniosku, że w trakcie nie dokończonych studiów z anglistyki zapewne nie zetknęła się pani z tego rodzaju danymi. Proszę wybaczyć, jeśli się pomyliłam. Pierwszy z nich to sporządzona przez miejscowego nauczyciela inwentaryzacja wszystkich dóbr materialnych liczącej cztery tysiące ludzi społeczności Donegal w 1837 roku. Drugi to spis inwentarzowy majątku ziemskiego porównywalnego z Mount Talbot, chociaż muszę przyznać, że posia-

dłość Talbotów była wyjątkowo duża. W ogóle majątki w tych rejonach były tak rozległe, że w całym hrabstwie mieszkało zaledwie paru obszarników.

- Kto więc był najbliższym sąsiadem pani Talbot?

- Ona nie miała sąsiadów.

- Zatem nie miała nawet z kim porozmawiać.

- To zbyt współczesne podejście. Jeszcze za mojej młodości nikt się nigdy nie uskarżał, że nie ma z kim porozmawiać.

Wstała, obeszła stół i podała mi wydruki. Poruszała się bardzo szybko, jak drapieżny ptak. Uniosłam się z krzesła, ale poczułam się tak ociężała i niezgrabna, że szybko usiadłam z powrotem.

- Jeśli byłam wobec pani szorstka, panno de Burca - ciągnęła - to głównie dlatego, że chciałam pani uzmysłwić, iż podejmując próbę historycznej rekonstrukcji skandalu Talbotów, czeka panią mnóstwo pracy. To zajęcie na lata. Dobrze znam zawartość tutejszej biblioteki i wątpię, by znalazło się cokolwiek pomocnego dla pani. Nie zachowały się żadne zapisy dotyczące majątku Talbotów. Pewnie już pani wie, że bynajmniej ich tu nie lubiano, ujmując rzecz najogólniej, jak tylko można.

- W takim razie może powinnam się zainteresować inną tematyką - odparłam. - Wolałabym jednak pozostać przy odczuciach, jakie budzi we mnie ta kraina i tutejsi mieszkańcy.

Ścisnęło mnie za gardło, gdy zrozumiałam, jak żałośnie brzmią moje wytłumaczenia. Panna Leech przyglądała mi się przez dobrą minutę, wreszcie coś nakazało jej okazać mi sympatię.

- No cóż - odezwała się - jeśli chce pani zacząć od swoich odczuć, to chyba powinniśmy się wyprawić na skraj trzęsawisk otaczających Mount Talbot. Nie zajmie nam to więcej niż godzinę. Bo gdy powiedziałam przed minutą, że panią Talbot nie miała żadnych sąsiadów, miałam na myśli to, iż w pobliżu nie mieszkał nikt, kogo mogłaby nazwać sąsiadem. W rzeczywistości miała kilka tysięcy sąsiadów mieszkających na bagnach wokół dworu.

Ubrana w czerwony żakiet i szarą czapkę, przycupnęła na prawym fotelu auta niczym mała dziewczynka i wskazywała mi drogę między rozrzuconymi dużymi domami z cegły i szeregami całkiem nowych szklarni, surrealistycznie wyrastających z płatów nagiej ziemi i wciąż jeszcze otoczonych resztkami ogrodzeń z drutu kolczastego. Za miastem wąska asfaltowa szosa zaczęła opadać między niskimi kamiennymi murkami ku brunatnym mokradłom.

- Zatrzymaj tutaj - powiedziała, a wysiadłszy z wozu, zapytała: - Widzisz?

Wspięła się na palce i szczupłą dłonią w rękawiczce bez palców wskazała, ponad resztkami ogrodzenia z ciosanych kamieni, prostokątną podwalinę z granitowej kostki.

- To pozostałości drzwi domu, który kiedyś tu stał. A tam dalej, ten wyższy fundament, to resztki ściany szczytowej następnej domu. Na tym kawałku, od głównej szosy do zakrętu tej drogi, na mapie Królewskich Służb Kartograficznych z tysiąc osiemset czterdziestego drugiego roku, a więc sprzed klęski głodu, zaznaczone są aż trzydzieści dwa domy. Jeśli na każdy przypadało średnio dziesięć osób, to tylko w tym zakątku mieszkało ponad trzysta osób. Gęstość zaludnienia była taka, jak obecnie w Bangladeszu. Ludzie osiedlali się wszędzie wokół trzęsawisk, nawet na takim skrawku suchej ziemi jak ta w dole, po drugiej stronie szosy.

W zamyśleniu pogrzebała czubkiem buta w miękkim poboczu i ciągnęła:

- Przyjeżdżaliśmy tu na rowerach i bawiliśmy się przy drodze, bo zawsze można było wygrzebać z ziemi kawałki fajansowych naczyń. Nazywaliśmy je „porclanem”... Śmiać mi się chce, gdy teraz pomyślę, że bezwiednie powtarzałyśmy obco brzmiące słowo tak, jak wymawiali je nasi przodkowie. Najczęściej były to kawałki brązowej ceramiki po wewnętrznej stronie pokrytej błyszczącą polewą, ale raz, pamiętam, znalazłam całą ćwiartkę białego talerza z chińskimi rysunkami. Trzymałam go pod schodami, w pudełku po butach, będącym jednocześnie moim domem dla lalek...

Wróciliśmy do samochodu i pojechaliśmy dalej przez bagna. Jak okiem sięgnąć, po niebie wędrowały majestatycznie spiętrzone białe obłoki z płaskimi brzuchami, zza których od czasu do czasu wyglądał blady srebrzysty wąski sierp księżyca. Ale znad horyzontu wylaniała się zbita masa ciemnoszarych chmur, a z nich opadały ku ziemi rozsmazane strugi deszczu.

- Kiepska pogoda nad Mount Talbot - mruknęła.

Kazała mi skręcić w brukowaną drogę prowadzącą wzdłuż rozległej polany porośniętej koleinami ciężkich pojazdów. Obok krzaków na jej skraju piętrzyła się sterta plastikowych worków ze sztucznymi nawozami. Trzciny zostały niedawno ścięte, ziemia gładka jak stół miała czekoladowy odcień. Najwyraźniej pod uprawę zdjętą całą wierzchnią warstwę gleby, a ślady po kołach wielkich pojazdów ciągnęły się prościutko aż po horyzont.

Stopniowo ucichł cichy śpiew skowronków i nagle z naprzeciwka ruszyła ku nam zasłona deszczu. Przez chwilę pojedyncze grube krople wystukiwały staccato o dach samochodu, ale po chwili wjechałyśmy w szarugę. W światłach reflektorów kocie łby zaczęły się mienić niczym diamenty. Droga niespodziewanie skończyła się u podnóża niewielkiego wzniesienia. Kępy olch i modrzewi stały tu na straży czarnych oczek, rowów melioracyjnych wypełnionych wodą o marszczoną powierzchnią, i wąskich pasów soczyście zielonej trawy obrzeżającej jeziora. Wsiadaliśmy.

- Z ksiąg policyjnych wynika, że znajdowały się tu aż dwa szynki - wyjaśniła panna Leech. - To oznacza, że w okolicy musiała mieszkać co najmniej garstka ludzi.

- Nie potrzebowali wtedy dużo przestrzeni.

- To prawda. Sadzili kartofle w takiej ziemi, jaką mieli za domem. Nic innego nie chciało tu rosnąć, bo gleba jest za kwaśna. Ale wtedy uprawiano duże ziemniaki o twardej skórce, które rosły nawet na takich torfowiskach.

- Kiedyś byłam w Afryce, w Mali - powiedziałam. - Wybrałam się do osady, do której można się było dostać tylko rzeką. Przez dwa dni podróży mój przewodnik dobijał do różnych wysp, wyciągał łódź na brzeg albo przywiązywał do drzewa i próbował kupić od tubylców kurczaka. Wtedy po raz pierwszy zetknęłam się z ludźmi odizolowanymi od cywilizacji. Nagie dzieci bawiły się w piasku, kobiety i mężczyźni w łachmanach machali do nas z brzegów i witali z uśmiechem. Nie mieli absolutnie nic. Nie można było od nich kupić jedzenia, bo pieniądze nie przedstawiały dla nich żadnej wartości. Wtedy, podczas głodu w Irlandii, musiało być podobnie. Nie liczyło się, że ktoś jest ostatnim biedakiem. Ludzie łączyli się w pary, klecili szałas, wychowywali w nich dzieci, żywili się kartoflami...

- Tyle że tu jest o wiele zimniej i częściej pada - wtrąciła panna Leech. - Ale ma pani rację. Sądzę, że przez pewien czas byli najszczęśliwszymi ludźmi w Europie. Mieli wspaniałe dziedzictwo własnego języka,

muzyki, legend, obyczajów i tradycji wywodzących się sprzed stuleci. A przede wszystkim wiarę, bardzo głęboko zakorzoną. Tworzyli odrębną cywilizację...

- Wtedy chyba nikt nie uważał ich za ludzi cywilizowanych - odparłam. - Podobnie jak tamtych półnagich Malijczyków. Bardzo łatwo traktować takich biedaków jak dzieci, które dość obojętnie przyjmują śmierć czy niedole wygnania...

Przez chwilę stałyśmy w milczeniu. Lekki wiatr niósł w naszą stronę wilgotne powietrze znad bagien.

- Osada, która stała w tym miejscu - rzekła panna Leech - nazywała się Gurteenmullane. *Goirtín Uí Mhulláin*, czyli „Poletko Mullanów”. Właśnie dlatego panią tu przyprowadziłam. Kiedy szykowałam wystawę o Wielkim Głodzie, poprosiłam dzieci, żeby przeprowadziły wywiady ze swoimi dziadkami. Jedno z nich napisało, że opowiadając o tej części trzęsawisk, dziadek używał nazwy „Torfowisko Mullanów”. Mówił, że jeszcze za jego życia było tu gospodarstwo rodziny Mullanów oraz ich szynk, który wiele osób odwiedzało w drodze do miasta.

- I zupełnie nic nie zostało? - spytałam.

- Nic. Tylko jakiś czas temu widziałam tu niezwykle obsypany biały kwiatami krzew, który mógł być pozostałością przydomowego ogródka.

Zauważyłam, że drży z zimna, ujęłam ją więc delikatnie pod rękę i pociągnęłam z powrotem między kałużami do samochodu. Skowronki zupełnie umilkły. W zimnym wilgotnym powietrzu cała ta posępna okolica jakby zastygła w bezruchu.

Kiedy tylko wsiadłyśmy, włączyłam ogrzewanie.

- Dla młodych Talbotów musiało to być odstrasające otoczenie, zwłaszcza tuż po powrocie z podróży poślubnej, z Paryża i Neapolu...

- Bawili się naszym kosztem! Proszę o tym nie zapominać! - rzuciła ostro panna Leech. - Oni i ich ziomkowie zrujnowali ten kraj. Ta ich sztuka, antyki!... Zwykli złodzieje! Dorastałam w tym mieście w latach czterdziestych. Nie chodzi mi nawet o powszechną biedę, szalejącą gruźlicę czy tłumy mężczyzn wsiadających do pociągu, który tu wówczas kursował, i wyruszających do niewolniczej pracy w Anglii. To było straszne zadupie, dziura zabita deskami. Dopiero teraz zaczynamy się powoli wyłaniać z mgły ciemnoty i zacofania. Angielscy obszarnicy ograbili nas ze wszystkiego!

- Chyba pani przesadza - powiedziałam z naciskiem. - Przecież pani też stąd pochodzi, a z pewnością nie jest pani ciemna i zacofana. Więc nawet w tamtych czasach byli ludzie pani pokroju...

- I sądzi pani, że miałam liczne doborowe towarzystwo? Spędzałam wieczory wśród samej śmietanki w salonach Ballygall? - Powiodła ręką przed sobą, wskazując zastygłe w bezruchu torfowisko.

- Właśnie o tym myślałam, mówiąc o potrzebie rozmów z sąsiadami. Samotność to straszna rzecz, a Marianne Talbot musiała się tu czuć przeraźliwie osamotniona.

- Pasożytnicza próżniaczka! Wszyscy Anglicy mogli robić, co im się żywnie podoba. Ustanawiali prawo i nadzorowali jego przestrzeganie. Nie zrobili dla nas nic, kiedy czasy były pomyślne, a potem obojętnie przyglądali się z boku, jak umieramy, gdy nastał kryzys. Nie potrafili nawet dochować wierności narzucanym przez siebie normom. Weźmy tę pani Marianne. Życie nie wymagało od niej niczego innego poza wiernością małżeńską, a i tej nie umiała dochować.

- Była bardzo młoda - zaczęłam nieśmiało.

- Była zwykłą rozpustnicą! - krzyknęła panna Leech.

Najwyraźniej zrobiło jej się głupio, że straciła panowanie nad sobą, bo kilka minut później po raz pierwszy odezwała się do mnie po imieniu:

- Jeszcze jedno chciałam ci pokazać, Kathleen.

Pokierowała mnie zrytą koleinami szosą do miejsca, gdzie w wysokiej trawie wokół brunatnego oczka rosła gromadka wątych brzołek. Na tle ciemniejącego nieba przemknął samotny gołąb grzywacz.

- Zatrzymaj. - Opuściła szybę. - Spójrz tam.

Kilka metrów od drogi zaczynało się płaskie nagie torfowisko. Wyschnięta przeciwległa ściana głębokiego wyrobiska była zbita i czarna jak asfalt.

- Za mojej młodości mieszkały tu dwie starsze kobiety - wyjaśniła. - Wygrzebały w tamtej ścianie torfu norę, a jej wejście zasłaniały starymi workami rozciągniętymi na ramie z gałęzi. Chodziły od domu do domu i sprzedawały różne drobiazgi, kulki na mole, igły. Nie były jednak żebraczkami. Wszyscy je bardzo szanowali, tyle że zostały eksmitowane z własnego domu, jak setki innych biedaków w tym kraju. Nosiły imiona Biddie i Mollie, ale nikt nawet nie ośmielał się wołać je po imieniu. Mówiono o nich z szacunkiem: panny Flynn. Zmarły w tej swojej norze. Najpierw Biddie, potem Mollie. Gdzieś pod koniec lat czterdziestych. Zgodnie z prawem powinny zostać pochowane w gminnej części cmentarza przeznaczonej dla biedoty, ale nasz proboszcz kazał dla nich wykopać porządny rodzinny grób. W każdym razie właśnie tu mieszkały. W ogóle nie chciały słyszeć o schronieniu się pod dachem, skoro nie byłby to ich własny dach.

Siedziałam w milczeniu.

- A teraz - dodała - gdy odwieziesz mnie do domu, chciałabym, żebyś zajrzała do pizzerii Pat na rynku i poprosiła Nario, żeby mi przysłał moją pizzę. Zapieka na niej sardynki z puszki, czego nikt w Ballygall pewnie by nie tknął, nawet przymierając głodem. Ale ja dzielę się nią z moim kotem. Oboje to uwielbiamy.

Zapragnęłam jak najszybciej zadzwonić do Aleksa. Po długim wyczerpującym dniu marzyła mi się jakaś rekompensata, choćby parę słów pocieszenia. Wbiegłam do hotelu Bertiego, okrążyłam kontuar recepcyjny i zadzwoniłam z aparatu służbowego.

Odezwał się dziwnie markotnym głosem.

- Ach, w biurze panuje niezwykły spokój. Roxy postanowiła wracać na Saint Lucię. Nie wiem, co bez niej zrobić. Poza tym moja matka się rozchorowała. Naprawdę nie mam pojęcia, jak poprowadzę „TravelWrite” bez niczyjej pomocy. A co u ciebie, Kath? Dobrze się bawisz?

Zaśmiałam się w głos. Zaczęłam mu opisywać zgniłożółtą trawę i poszarzałe trzciny.

- Zaraz, chwileczkę, Kathy - przerwał mi. - Możemy coś najpierw ustalić? Wydawało mi się, że zamierzasz zbierać materiały do historii miłosnej w stylu *Kochanka lady Chatterley*.

- Masz rację, ale gdy tu przyjechałam...

- Wybacz, Kathleen, że jeszcze raz ci przerwę. Jeśli dobrze pamiętam, ten romans wydarzył się już po zakończeniu klęski głodu ziemniaczanego.

- Nie żartuj, Alex. Myślisz, że oni wiedzieli o jej zakończeniu? Wciąż odczuwali skutki. Nawet jeśli tacy obszarnicy jak Talbotowie nie zaznali niedostatku, i tak musieli być przerażeni, bo koszty utrzymania czwo-

raków niemalże ich rujnowały. Zresztą, oceniając głębiej tę sytuację, panowała tutaj tak napięta atmosfera, że każdy musiał ją odczuwać...

- Obawiam się, że zanadto fantazjujesz.

- Ani trochę.

- Nie jestem pewien. Zresztą mniejsza o moje zdanie. Powiedziałem ci, że pomysł na powieść o niezwykłym romansie i sensacyjnym rozwodzie z epoki wiktoriańskiej zapowiada się obiecująco, ale nie chciałbym, żeby wyszedł z tego jeszcze jeden tom o nieszczęściach Irlandii...

- To nie było zwykłe nieszczęście - wycodziłam przez zaciśnięte zęby. - Dokonał się prawdziwy holokaust. No, może przesadzam, bo przecież nie Chodziło o celowe działanie, jakim była zagłada Żydów. Ale brytyjskie władze z radością przyjmowały to, że przypadek dopomógł im w eksterminacji całego narodu.

W słuchawce panowała cisza.

- Posłuchaj, Alex. Tylko wysłuchaj uważnie krótkiego cytatu z poważnego naukowego opracowania dotyczącego klęski głodu. Przysięgam, że więcej nie będę cię zanudzała żadnymi cytatami.

Począwszy od lata 1846 roku zaraza ziemniaczana wywołała gwałtowną falę niedostatku żywności, cały kraj „od morza do morza stał się jedną wielką masą rozkładu i zgnilizny”. Niektórzy historycy oceniają, że z głodu oraz chorób powodowanych niedożywieniem zginęło od 1,1 do 1,5 miliona ludzi; rozgrywały się wręcz niewyobrażalne sceny pospolitego cierpienia: „przygarbieni nędzarze, niemal całkiem nadzy, na deszczu i chłodzie rozgrzebujący pola rzepy w poszukiwaniu choćby najdrobniejszych korzonków”, „upiornie wygłodzone szkielety, których w żaden sposób nie da się opisać”, „małe, przerażająco wychudzone dzieci o napuchniętych, a zarazem pomarszczonych buziach i szarozielonkawej cerze”.

Pozbawieni ziemi chłopci dzierżawni umierali tysiącami i nawet sklepikarze, rzemieślnicy czy też stosunkowo dobrze prosperujący farmerzy zapadali na choroby roznoszone przez głodujących bezdomnych nędzarzy. Skutki samej zarazy ziemniaczanej dodatkowo spotęgowały działania władz brytyjskich, zaślepionych rygorami gospodarki wolnorynkowej i całkowicie, wręcz celowo obojętnych na tragedię Irlandczyków...

- Chyba rozumiem, do czego zmierzasz, Kathleen - odezwał się Alex powoli i z namysłem, jakby rzeczywiście wysłuchał tego fragmentu z uwagą. - Nie zapominaj jednak, że przeciętny czytelnik będzie śledził głównie wątek miłosny. Moim zdaniem powinnaś naprawdę zachować szczególną ostrożność w kreśleniu tła historycznego...

Tym razem nie odpowiedziałam. Oboje równocześnie głośno westchnęliśmy.

- Nigdy nie mieliśmy tego typu problemów z reportażami podróżniczymi - dodał po chwili.

- Czy kiedykolwiek przytaczałam ci świetny dowcip pochodzący z *Kochanka lady Chatterley*?

- Nie.

- Connie chwali się siostrze swoim wspaniałym życiem seksualnym z Mellorsem. W pewnej chwili stwierdza, że w trakcie stosunku nie może się oprzeć wrażeniu, iż znalazła się w samym środku aktu stworzenia. Na co jej siostra odpowiada: Podejrzewam, że to samo czuje każdy komar. Ryknęłam śmiechem, lecz Alex zachował powagę.

Rozbawiona poszłam do pokoju. Kiedyś próbowałam wyjaśnić Jimmy'emu, jak wiele dla mnie znaczy świadomość, że niezależnie od tego, w jakim zakątku świata przebywam, mogę mieć pewność, iż Alex od świtu

do nocy siedzi przy biurku, w którymś ze swoich tanich wymiętych garniturów i ze skupieniem malującym się na twarzy i wzrokiem utkwionym w ekranie dokładnie szczytuje kolejny tekst. Za jego plecami wisi zdjęcie Bazyliki świętego Pawła, tuż przy prawej ręce stoi telefon zapewniający mu łączność z resztą syndykatu „NewsWrite” i osobistą siatką publicystów, redaktorów, wydawców i zleceniodawców, a po lewej aparat umożliwiający kontakt z Jimmym i ze mną.

- On zawsze jest w swoim gabinecie - dodałam.

- Pewnie - mruknął kwaśno Jimmy. - A gdzie miałyby być?

W pokoju jednym ruchem zgarnęłam z biurka wszystkie notatki dotyczące klęski głodu. Miałam dosyć. A co z moim życiem? - pomyślałam. W czajniku elektrycznym nastawiłam wodę na herbatę i zadzwoniłam do Caroline. Nie było jej, zostawiłam więc na automatycznej sekretarce numer hotelu Bertiego z najserdeczniejszymi pozdrowieniami. Potem zadzwoniłam pod domowy numer Nory, wiedząc, że o tej porze musi być w pracy, i nagrałam identyczną wiadomość. Usiadłam na podłodze, wetknęłam stopy pod kaloryfer i zrobiłam trzydzieści energicznych skłonów, później poszłam pod prysznic, umyłam włosy i nałożyłam na nie odżywkę. W wełnianym swetrze narzuconym na nocną koszulę rozsiadłam się przed telewizorem i zaczęłam malować paznokcie u nóg, jednym okiem oglądając stary odcinek serialu *Dallas*.

Potem poplotkowałam z Ellą, kiedy przyniosła mi obiad na tacy. Namówiłam ją, żeby zeszła jeszcze raz na dół i wzięła butelkę wina oraz dwa kieliszki. Usiadła na brzegu łóżka i szybko dowiedziałam się, że Bertie nie lubił jej chłopaka, a ten wieczór, kiedy wyznała mu, że jest w ciąży, budzi w niej najgorsze wspomnienia. Ale później panna Leech przekonała go...

- Kto?

- Nan Leech. Przyjaźni się z tatą od lat. W młodości mieszkali po sąsiedzku przy rynku. W każdym razie po rozmowie z nią zgodził się na ślub. Gdy przyszedł na świat Oliver, a teraz Joe, ojciec bardzo pokochał wnuków. Naprawdę. Jeśli w Arabii wszystko pójdzie dobrze, weźmiemy z banku kredyt na budowę własnego domu. Bardzo bym chciała mieszkać pod własnym dachem i nie oglądać się całe życie przez ramię, sprawdzając, czy chłopcy nie za bardzo rozrabiają. Mam nadzieję, że mąż nie przetraci za dużo pieniędzy w Arabii. Modłę się o to. Bo chłopcy strasznie za nim tęsknią...

Kiedy tak mówiła, lekko pochylona w moją stronę, a ja siedziałam w samej nocnej koszuli, słuchając i jedząc bez pośpiechu, wypełniający pokój zapach szamponu przypomniał mi pierwszy semestr studiów, kiedy mieszkałam w londyńskim pensjonacie dla dziewcząt zwanym po prostu „U Joanie”. Od dawna nie wspominałam tamtego okresu może dlatego, że wcześniej nie siedziałam tak na łóżku, z mokrymi włosami owiniętymi ręcznikiem, rozmawiając z młodą kobietą. Moją pamięć pobudziło także odbicie w lustrze, widziałam i siebie, i Ellę powoli sączącą wino. Dziewczęta „U Joanie” na dobrą sprawę nigdy nie patrzyły sobie w oczy podczas rozmowy, bo obcinały czy szlifowały paznokcie albo zakręcały włosy na lokówki.

W lustrze dostrzegłam - przyznaję, że z dość intensywnym ukłuciem smutku - drobne zmarszczki na swojej skórze tuż nad kostką. Kiedy zaś podniosłam nieco i przekręciłam nogę, żeby im się lepiej przyjrzeć, zauważyłam ciemne, prawie czarne żyłki pod kolanem. To było coś nowego. Wykorzystując to, że lustro mam przed sobą, a Ella siedzi prawie tyłem do mnie, na próbę poruszyłam lekko głową na wszystkie strony. Nieste-

ty, skóra na szyi także wyraźnie się marszczyła, gdy spuszczałam brodę na piersi. Pochyliłam się delikatnie i powtórzyłam próbę: głowa w dół, są zmarszczki, broda do góry, skóra się wygładza.

Pomyśleć tylko, że w młodości uważałam swój wygląd za coś stałego i niezmiennego! Nawet nie przyszło mi do głowy, podobnie jak siedzącej obok mnie dziewczynie, że któregoś dnia będę się bała spojrzeć na swoje odbicie w lustrze.

- Tęsknię za mężem tak, że aż mi wstyd - powiedziała Ella, wyraźnie się rumieniąc.

- Ile ty masz lat? - zapytałam.

- Dwadzieścia cztery. Powinien wrócić do domu na moje dwudzieste piąte urodziny. On także tęskni. Boi się, że mogłabym sobie znaleźć kogoś innego - dodała z uśmiechem, zbierając naczynia na tacę. - Ale nie musi się tego obawiać. Jestem mu całkowicie wierna.

Marianne była mniej więcej w jej wieku. I choć także miała już dzieci, sama w jakimś stopniu zachowywała się jak dziecko.

W jaki sposób dziewczęta poznawały sekrety swego ciała? Kto ostrzegał dobrze urodzone panny pokroju Marianne, że istnieją siły natury, które mogą je pchnąć do oddania się służącemu w stajni na sianie? Czy w rodzinnym domu przy Harley Street w Londynie podsłuchiwała rozmowy dziewcząt ze służby? Czy pokojówka odprowadzała ją na lekcje tańca, gdzie wraz z innymi podobnie wystrojonymi pannami mogła plotkować i chichotać, zakrywając usta wachlarzem? Jakimi słowami dziewczęta określały wtedy części swego ciała, co mówiły o kawalerach, na których widok serca biły im mocniej? A może matka Marianne nie była tak skryta i mało-mówna jak moja? Jak to się stało, że moja szwagierka Annie chodziła z jednym chłopcem, moim bratem Danym, od czasu, gdy skończyła dwanaście lat, i jeśli mi wiadomo, kocha go do dzisiaj, z wzajemnością, do tego stopnia, że mogą sobie patrzeć w oczy podczas rozmowy? Przez lata zdążyłam się przekonać w czasie ich wizyt w Londynie, że darzą się nawzajem bezgranicznym zaufaniem. Czemu coś takiego nie spotkało Marianne? Ani mnie?

Kiedy miałam czternaście lat, nie wiedziałam, że to, co się ze mną dzieje, jest związane z przemianami ciała. Ani moja przyjaciółka Sharon, ani ja nigdy wcześniej nie słyszałyśmy o dojrzewaniu czy hormonach, nigdy nie nazywałyśmy seksem tego, czego obie bardzo pragnęłyśmy. Mówiłyśmy jedynie, że szalejemy za tym lub tamtym chłopakiem. Nie było to szaleństwo za chłopakami w ogóle, ale zauroczenie konkretną osobą. Sądziłyśmy, że są to uczucia wypływające z serca, chociaż odbierałyśmy je cieleśnie. W szkole zaliczałam się do najlepszych uczennic, ale zdobyta wiedza nie pozwoliła mi rozwikłać tych sekretów. Dziewczęta ze szkoły zakonnej codziennie wybiegały na ulicę podczas długiej przerwy, równocześnie ze swojej szkoły wysypywali się chłopcy z Bractwa Chrześcijańskiego, biegliśmy razem na frytki, podszczypując się wzajemnie i laskocząc, a wiecznie rozzłoszczony Szkot za ladą w barze walił ścierką o kontuar i wrzeszczał, żeby zachować spokój w kolejce. Nie miało to jednak nic wspólnego z poważnymi zalotami, przynajmniej dla Sharon i dla mnie. Podobnie jak ona, również wywodząca się ze środowiska robotniczego, ja też myślałam o chłopakach tylko na jeden sposób, w bardzo uproszczonych kategoriach.

I obie z niecierpliwością wypatrywałyśmy tego, co nam przyszłość przyniesie. Wręcz nie mogłyśmy się doczekać. Stanowiłyśmy wówczas absolutne przeciwieństwo rówieśniczek z okresu Wielkiego Głodu, które beczynn timer czekały na śmierć.

Najważniejszej rzeczy o mężczyznach dowiedziałyśmy się wspólnie, gdy miałyśmy po piętnaście lat. Pewnego sobotniego wieczoru szłyśmy ulicą za starym księdzem, który przyjechał na urlop z misji za granicą. W wąskim przejściu na tyłach supermarketu niespodziewanie odwrócił się do nas i odchylił na boki poły sutanny, obnażając to coś, co sterczało mu ze spodenek jak pochodnia. Niewyraźnie wymamrotał przy tym o pieszczotach dla małego.

- Oni wszyscy mają to takiego rozmiaru? - zapytałam Sharon.

- Pewnie! W ubiegły piątek z tym osiłkiem ze sklepu warzywnego tańczyłam walca *Bielszy odcień bieli*. I gdy się do mnie przytulił, wyczułam to w jego spodniach właśnie takiego rozmiaru...

Położyłam się do łóżka. W pokoju zapach odżywki do włosów mieszał się ze smrodem klimatyzatora. Dokładnie tak jak „U Joanie”.

Wiele się nauczyłam w pensjonacie. Po ulicach Kilcrennan i rozmowach z Sharon Londyn stał się następnym etapem mojej edukacji uczuciowej. W każdym pokoju „U Joanie” stały dwa lub trzy wąskie piętrowe tapczaniki, z górnego łatwo było sięgnąć do gazowej lampy pod sufitem. Musiałyśmy skakać po tych tapczanach, chcąc zdjąć z wieszaków ubrania, które po uprasowaniu wieszano na hakach wbitych w ścianę. W długiej kiszkowatej kuchni zawsze spotykało się jakieś dziewczęta w szlafrokach, z włosami zakręconymi na papiloty bądź lokówki, przegryzające herbatniki i popijające herbatę. Ciastka i herbatniki były wszędzie i zawsze. Przez pewien czas dorabiałam jako pokojówka w hotelu i niekiedy przynosiłam do pensjonatu owoce zostawione przez gości, lecz rzadko która na dłużej wyjmowała papierosa z ust, by zadać sobie trud sięgnięcia po nie. Jeżeli już, to odgryzała tylko kawałeczek. Mieszkałam w pokoju z sześcioma starszymi dziewczętami i Joanie każdej załatwiła jakąś pracę. Wszystkie byłyśmy Irlandkami, mogłyśmy więc pracować tylko w fabryce, jako salowe w szpitalach albo pokojówki w hotelach. Nosiliśmy minispódniczki i małe białe pantofelki, nawet jeśli któraś była cięższa czy miała żyłki, i używałyśmy tych samych cieni do powiek oraz blad różowych szminek. Z naszych zarobków Joanie odliczała sobie chesne i dopiero potem oddawała resztę pieniędzy. Pozwalała nam odbierać telefony w swojej sypialni, gdzie okna były wiecznie zamknięte, a w dusznym powietrzu unosił się mdlący zapach pudru porozsypywanego na przykrytej satynową serwetą toaletce.

W sobotnie wieczory Joanie ubierała się wizytowo i chodziła ze swymi podopiecznymi na potańcówki do Kilburn czy Camden Town, choć bardzo się pośród nich wyróżniała z mocno umalowanymi wargami w kolorze wina i smolistoczarnymi włosami, które farbowała co parę dni. Poza tym była za stara, żeby razem z nimi plotkować. Wyróżniała się też następnego ranka, gdy łomotała kolejno do wszystkich drzwi i wrzeszczała: „Wstawać, bo spóźnicie się na mszę!”. A dziewczęta z zaczerwienionymi oczami naciągały kołdry na głowę i mamrotały pod nosem: „Mogłabyś się wreszcie odpieprzyć!”.

Joanie była spokrewniona z panią Bates prowadzącą sklep w Shore Road, inaczej nigdy bym się nie znalazła w Londynie.

I tak omal nie sknociłam sprawy. Na początku wakacji zapytałam ojca, czy mogłabym pojechać do Londynu i trochę popracować do czasu, aż nadejdzie odpowiedź, czy zostałam przyjęta do Trinity College.

- A co ci się nie podoba w Irlandii? - zapytał.

- Tam mogłabym zarobić trochę pieniędzy.

- Zamiast myśleć o zarabianiu pieniędzy, lepiej byś pomogła swojej biednej matce.

- Dlaczego ty nie pomagasz mojej biednej matce? - Powiedziałam to odruchowo, bezmyślnie, bo strasznie chciałam pojechać do Londynu. - Dlaczego nie chcesz jej pomóc w wychowywaniu swoich dzieci?

I tak miałam wyrzuty sumienia, żegnając się z mamą. Rok wcześniej Nora wsiadła po kryjomu na statek i odpłynęła do Ameryki. Nawet ja nie wiedziałam, że zdołała namówić wujka Neda, by wykupił jej bilet. Któregoś niedzieli, gdy siedzieliśmy przy obiedzie, pani Bates wyszła ze swego sklepu, zajrzała do nas i powiedziała, że Nora dzwoniła z Nowego Jorku, prosiła, aby wszystkich pozdrowić i pożegnać w jej imieniu. Później ojciec nawrzeszczał na mamę, że Nora musiała podać fałszywe nazwisko, skoro udało jej się zdobyć amerykańską wizę, toteż on, jako urzędnik państwowy, powinien złożyć na nią doniesienie, a poza tym skąd wzięła pieniądze na podróż. Mama nie odpowiedziała. Ale niedługo potem zaczęła nosić płaszcz Nory, bo moja siostra wyjechała tylko z tym, co miała na sobie.

Przez cały rok nie było od niej żadnych wiadomości, jeśli nie liczyć jednej pocztówki. Dopiero po latach powiedziała mi, że już po sześciu tygodniach zwróciła wujkowi Nedowi pieniądze. Nie przysłała nawet kartki na urodziny mamy. Ja z Londynu co tydzień wysyłałam matce jednego funta. Razem z latynoskimi sprzątaczkami wchodziłam codziennie do hotelu tylnym wejściem, przebierałam się, zabierałam wózek i służbową windą jechałam na górę. Sprzątając pokoje, po całych dniach słuchałyśmy radia. I w każdy poniedziałek rano po drodze do pracy wstępowałam na pocztę, wkładałam do koperty dwa banknoty dziesięcioszylingowe, po czym piórem ze stalówką maczaną w kałamarnicy skrobałam adres: „Pani de Burca, Shore Road, Kilcrennan, Irlandia”.

Przez całe tamto lato Luisa, Pilar i ja spotykałyśmy się z wieloma mężczyznami, zwłaszcza na zabawkach tanecznych dla zagranicznych robotników, organizowanych w hali widowiskowej w Soho przez księży pragnących młodym katolikom stworzyć szansę na znalezienie życiowego partnera. Kelnerzy z okolicznych kafejek chętnie przytulali się do nas w tańcu albo wyginali nas w przód i w tył, w rytm piosenek puszcanych przez księży z płyt. *Besame! Besame mucho...*

Mniej więcej po godzinie wszyscy zaczynaliśmy wołać:

- Beatlesów! My chcemy Beatlesów!

Dopiero wtedy puszczała *Sierżanta Pieprza*, a my zaczynaliśmy się kręcić w tańcu...

Zdarzało mi się później całować z jakimś chłopakiem i wtedy odczuwałam przyjemny dreszcz rodzący się w dole brzucha i powoli splezający na wewnętrzną stronę ud. Jeśli któryś chłopak próbował mnie obmacywać, odskakiwałam z udawanym strachem, a on mamrotał: „Przepraszam. Już dobrze” i całował jeszcze goręcej. Biegłam do Cricklewood i wsiadałam do autobusu na trzęsących się nogach, po czym wracałam do dziewcząt paradujących w pikowanych szlafrokach po korytarzu wypełnionym zapachem mydła toaletowego.

„U Joanie” najczęściej kładłam się na tapczanie i czytałam książki, gdy inne dziewczęta wychodziły na randki. Wyczuwały, że jestem inna niż one. Nie chciałyby studiować na uniwersytecie, nawet gdyby im za to płacono. Ale gdy któregoś wieczoru dostałam wielką białą kopertę z Trinity College w Dublinie i zaczęłam głośno wiwatować, przeczytawszy list, wszystkie mi gratulowały. Któras natychmiast pobiegła do nocnego sklepiku przy stacji benzynowej i przyniosła tort.

Zadzwoiłam do sklepu w Shore Road i pani Bates pobiegła, żeby zawiadomić moją matkę. Czekałam i czekałam, zaczęłam się już martwić, iż Joanie zrobi mi awanturę, bo tak długo blokuje telefon.

Wreszcie pani Bates wróciła zadyszana.

- Matka nie czuje się na siłach, żeby teraz z tobą rozmawiać - wysapała do słuchawki. - Kazała ci powiedzieć, że jest z ciebie bardzo dumna i wspaniale się spisałaś...

Teraz w hotelu Bertiego wsunęłam się głębiej pod kołdrę. To były moje najszcześniejsze wspomnienia. Razem z Sharon przytulałyśmy się do siebie na jej wąskim tapczaniku, obie z kremem Pondsza rozmazanym na twarzach i z papierosami w ustach, i jedna z nas zaczynała ze szczegółami objaśniać powody, dla których taki a taki chłopak wydaje jej się wspaniały...

Ale w miarę jak stawałam się senna, coraz natarczywiej wracała ponura atmosfera na torfowiskach. Nie umiałam już tak szybko zasypiać, jak tamta dziewczyna, którą wspominałam. Moje ciało, postarzałe i zmęczone, zdawało się spoczywać obok panien Flynn w jamie wygrzebanej w torfie, z zewnątrz dolatywało nocne poszczekiwanie lisów, ptasie pazurki skrobały po wojłoku rozciągniętym u wejścia do nory. Słyszałam, jak mróz trzeszczy w mokrej trawie i krople deszczu z pluskiem spadają do wody zapełniającej rów melioracyjny. Wydawało mi się też, że słyszę kroki nad sklepieniem pieczary i głosy ludzi nawołujących, że moja siostra nie żyje, ale to było tylko złudzenie. To liście bluszczu postukiwały o okno w łazience Sharon, kiedy zakręcałyśmy włosy na lokówki, zwilżając wodą każde pasmo osobno... Nie, to deszcz bębnił o szybę w pokoju hotelu Bertiego, ciskany porywami wiatru...

5

Każdego ranka musiałam poświęcić z dziesięć minut na rozczesywanie włosów, co zwykle mnie nudziło, dlatego zbierałam je w koński ogon, nie dokończywszy szczotkowania. Ale tego dnia uczesałam się starannie. Nie miałam nic innego do roboty. Bertie miał mnie zawieźć do Mount Talbot, ale po szybach wciąż spływały strugi deszczu.

Z recepcji zadzwoniłam do Londynu, żeby powiadomić Aleksa, że na czas wesela przenoszę się do należącego do właściciela hotelu domku letniskowego w Mellary na wybrzeżu.

- Och, Kathleen! - wykrzyknęła Roxy do słuchawki. - Podjęłam wreszcie decyzję! Wracam na Saint Lucię i mam nadzieję, że znajdę tam jakąś pracę. Powinnam przekazać swoje obowiązki nowej sekretarce, ale nie będzie na to czasu. Skorzystałam z promocyjnych cen biletów i lecę już w przyszłym tygodniu. Zatem do widzenia i niech cię Bóg błogosławi!

Poprosiłam, żeby przełączyła rozmowę do gabinetu Aleksa.

- Nie ma go. Pojechał z matką na badania. Ale zostawię mu wiadomość. I jeszcze jedno, Kath. Mój kuzyn jest pastorem, zamówię u niego wspaniałe nabożeństwo żałobne za Jimmy'ego...

Uśmiechnięta wróciłam do pokoju, rozmyślając o Roxy. Była pierwszą sekretarką, która na dłużej związała się z „TravelWrite” - jej poprzedniczki szybko dochodziły do wniosku, że na naszym poddaszu czują się zbyt osamotnione. Ale Roxy zaprzyjaźniła się z piegowatą Betty z działu administracyjnego w drugim końcu korytarza i postanowiła zostać. Od tej chwili w biurze zawsze królowały aromaty karaibskiej kuchni. Codziennie przynosiła w koszyku lunch, który szykowała jej matka. Cały koszyk! Matka pewnie wciąż ubierałaby

ją w białe podkolanówki, gdyby Roxy nie była taka duża. Miała miły zwyczaj częstować nas swoimi wspaniałymi ciastami. Pewnego dnia, w zimie - pamiętam, że na szybach świetlika zalegała wtedy żółtawoszara masa zmarzniętego śniegu - kiedy wróciłam z piwnicy, dokąd zjeżdżałam na papierosa w towarzystwie chłopców na posyłki, stanęłam w drzwiach, rozejrzałam się po sali i powiedziałam, że czuję się, jakbym weszła do zaczarowanej groty. Chciałam w ten sposób uhonorować nadzwyczaj ponętny zapach jamajskiej kawy i lukrowanej babki kokosowej.

- Dzwonił jakiś facet z działu kadr - powiedziała Roxy podczas przerwy na lunch. - Chciał, żebyście oboje wypełnili kwestionariusze dotyczące waszych zawodowych celów.

- O rany! - mruknęłam. - To powinniśmy mieć jakieś cele?

- Moim celem - przyznał szczerze Jimmy - jest spędzać każde przedpołudnie w siłowni, a po południu w czasie obiadu odbierać od gońca czek z honorarium.

- Ja chcę być piękna i mieć płaski brzuch - wtrąciłam. - I jeszcze znaleźć idealnego kochanka. No i dostać drugie życie, żeby przeżyć je znacznie lepiej.

Jimmy spojrział na mnie, ale nic nie powiedział.

- A co jest twoim celem, Roxy? - zapytał.

- Zobaczyć, dla odmiany, jak robisz coś pożytecznego.

Obiegł biurko i zaczął ją łaskotać. A potem wszyscy dostaliśmy po kawałku babki kokosowej, oblizywaliśmy palce i pomrukiwaliśmy z rozkoszy.

- To zabawne - odezwała się w zamyśleniu Roxy. - Siedzimy tu we troje, w stolicy Anglii, ale żadne z nas nie jest Anglikiem. Co prawda mam obywatelstwo brytyjskie, ale...

- Oboje z Jimmym jesteśmy prawie Anglikami - odparłam. - Pochodzimy z dawnych kolonii.

- Zatem możemy się wszyscy uważać za szczęściarzy - dodał Jimmy. - Nie tylko mamy Anglię, ale oprócz niej jeszcze swoje własne ojczyzny.

- Jak to, mamy Anglię? - zdziwiłam się. - Może ty tak, ale ja nie. Nie ma jednego dnia, żebym nie słyszała od kogoś rzuconej pogardliwym tonem uwagi, że jestem Irlandką.

- Spróbowałabyś być czarna - wtrąciła Roxy.

- Więc co wy obie tu robicie? - zapytał Jimmy. - Jesteście wolne, białe i macie po dwadzieścia jeden lat, tak samo jak ja. Powinnyście doliczyć sobie po parę punktów za wiek i kolor skóry.

- Tu i tak jest lepiej niż na Saint Lucii - mruknęła Roxy. - Tam miałabym już trzech albo czterech urwisów, którzy codziennie dreptaliby bosą do szkoły...

- A ty, Kathleen? Też miałabyś swoich urwisów, gdybyś została w Irlandii? Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić Kathy, co ma klasę z dziećmi.

- Jeśli istnieje coś, czego na pewno nie mam, panie Jimmy Becku, to właśnie klasy.

- Miałem na myśli wrodzoną klasę.

- Jak można mieć wrodzoną klasę? To wszystko, co się określa mianem klasy, jest wynikiem uwarunkowań społecznych.

- Nie czepiaj się szczegółów, Kathleen. I tak zależy ci głównie na tym, żebym zmienił temat. Może wreszcie odpowiesz, co jeszcze robisz w Anglii, skoro tak bardzo ci się tu nie podoba?

- Nie powiedziałam, że mi się tu nie podoba - odparłam znacznie gwałtowniej, niż zamierzałam. - Chodzi o to, że nie podobało mi się w Irlandii.

Łzy napłynęły mi do oczu, co nawet mnie samą zaskoczyło. Oni zaś spoglądali na mnie w osłupieniu.

- W Irlandii naprawdę jest okropnie! Nie chcę jej nigdy więcej widzieć na oczy! Kobiety nie mają tam żadnej przyszłości.

Jimmy podszedł bliżej i próbował mnie objąć, ale go odepchnęłam. Nie chciałam, żeby mnie dotykał.

- Nie skończyłaś ciasta - odezwał się po minucie. Złożył na dwoje arkusz czystego papieru, starannie ułożył na nim mój kawałek babki, przysunął sobie krzesło i rozkazał: - Otwórz buzię! - Wetknął mi w usta róg ciasta, jakbym była niemowlakiem, którego trzeba karmić. I zaraz dodał: - Przepraszam, Kathleen. Bardzo mi przykro, skarbie. Nie chciałem cię zdenerwować.

Roxy łypała na nas podejrzliwym wzrokiem, jak na parę aktorów odgrywających komedię.

Ubrałam się w stare dżinsy i włożyłam znoszone buty traperskie, o których na szczęście nie zapomniałam przy pakowaniu. Pomyślałam, że pewnie nikt w Ballygall nie pozna się na moim swetrze z salonu Comme des Garçons. Zamierzałam później przejść się po mieście, ponieważ uwielbiałam spacerować po nieznanym miejscu. Wsunęłam notatnik do przezroczystej foliowej koszulki, po namyśle zapakowałam również kopię *Protokołu*. Miałam nadzieję, że na każdym kroku natknę się tu na ślady dynastii Talbotów.

Ciężko klapnęłam z powrotem na łóżko, gdy uświadomiłam sobie, że będzie to pierwsze zwiedzane przeze mnie irlandzkie miasto. Nie znałam dobrze nawet Kilcrenna, gdyż mieszkaliśmy w oddalonym o pięć czy sześć kilometrów Shore Road, a w czasie dwuletniej nauki w Trinity College poznałam zaledwie centrum Dublina. To wszystko. Na tym kończyła się moja znajomość Irlandii. Za to zwiedziłam dziesiątki miast w Anglii! Kiedy rozpoczynałam pracę dla „The English Traveller”, nie miałam jeszcze prawa jazdy i wyruszałam w delegacje pociągiem; zajmowałam miejsca w przedziałach, szorstkie beżowe obicia siedzeń śmierdziały tam dymem i kurzem, przemierzałam perony wzdłuż starych budynków z czerwonej cegły lub kamienia, czasami wyłożonych ceramicznymi płytkami, mijałam tajemnicze drzwi z napisami typu LAMPIARNIA NR 2, odwiedzałam poczekalnie z ławkami wypolerowanymi do połysku i bufety, gdzie gorącą herbatę rozlewano chochlą do ciasno poustawianych na tacy fajansowych kubeczków, po czym wychodziłam na place przed dworcami i rozglądałam się wokół z prawdziwym podziwem. Najczęściej ruszałam prosto w stronę rynku, którego usytuowanie łatwo było poznać po wieżach katedry, zatrzymywałam się tu i tam, wyciągając notatnik z torebki. Bardzo byłam zadowolona z tej pracy i związanego z nią poczucia przywiązania do danego miejsca. Wystarczyło obserwować uważnie i zapisywać spostrzeżenia...

- Kathleen! Kathleen! - zawołała z holu Ella. - Tata mówi, że deszcz słabnie i gdzieś za godzinę będzie mógł pojechać z tobą do dworku.

- Cudownie!

Na biurku miałam niewyraźną fotografię Mount Talbot, którą znalazłam w książce o irlandzkich dworach ziemiańskich. Dom przypominał szkockie hotele - gotyckie okna, porośnięte bluszczem blanki i kominy, masywna dzwonnica podobna do wieży strażniczej. Przyglądałam się temu zdjęciu godzinami. Miałam też drugą fotografię, naszej rodziny, zrobioną w Shore Road, na której wszyscy mieliśmy włosy rozwiane w tym samym kierunku, co było oczywistym efektem bryzy znad morza. Na pierwszym planie mały Sean siedział w

wózku. Za nim stała mama z Dannym w garniturze od pierwszej komunii, z wielką białą kokardą w klapie, dalej Nora i ja w szkolnych mundurkach. Na jednym zdjęciu byli sami ludzie i żadnego domu, na drugim tylko dom, bez ludzi. Inne fotografie w albumie ukazywały damy w długich sukniach i olbrzymich kapeluszach, stojące na frontowych schodach dworców, chłopców trzymających kuce na skraju pola widzenia obiektywu, pekińczyka siedzącego u kogoś na kolanach czy dziewczynę w fartuszkach, która poruszyła się w nieodpowiednim momencie i na zawsze została uwieczniona z zamazaną buzią. Ale na tym zdjęciu była jedynie część dużego budynku i stojące za nim ciemne drzewa.

Przyjechałam tu, żeby rozmieścić ludzi na tym zdjęciu - powiedziałam sobie w duchu, świadoma, że brzmi to jak kaprys.

Dom, oświetlony przez lampy naftowe, kandelabry i lichtarze, musiał wyglądać jak statek kosmiczny, który wylądował na mrocznym pustkowiu torfowisk. Marianne Talbot i William Mullan krążyli wokół niego, a za nimi skradali się ludzie ze służby. Przed sądem opisano siedem miejsc, gdzie widywano kochanków. Kojarzyło mi się to z siedmioma stacjami i siedmioma modlitwami, jakie muszą odmówić wierni podczas irlandzkiej procesji. Pierwsza stacja - salonik, w którym Marianne dzwoniła srebrnym dzwoneczkiem i kazała sobie przynieść mleko - był zapewne tym pomieszczeniem, gdzie pani domu przesiadywała za dnia, urządzonym po kobiecemu, z puszystymi dywanami i delikatnymi mebelkami ściągany przez pół Europy na to odludzie. A mimo to widywano w nim podrzędnego służącego!

Lord kanclerz komentował, że był to *człowiek przez wszystkich świadków opisywany jako prostak o raczej zaniedbanym wyglądzie i niezbyt rozgarnięty*. Ale jakie znaczenie dla kochanków ma wygląd drugiej osoby? Albo miejsce spotkania? Ja i Hugo kochaliśmy się przy każdej okazji przez całą drogę powrotną z Paros: na promie, w pociągu z Bari do Rzymu, pod ścianą w wąskim korytarzu na najniższym poziomie Bazyliki San Clemente - a więc w dawnej świątyni wyznawców mitraizmu - kiedy reszta grupy turystów wchodziła już po schodach do głównego kościoła. Pamiętam, że śmierdziało tam piwniczną stęchlizną, a nasze oddechy, stopniowo coraz szybsze, zdawały się rozbrzmiewać głośnym echem.

Drugą stacją była garderoba, gdzie także widywano Mullana. Trzecią - bawialnia, w której kochankowie siadywali obok siebie na sofie i obejmowali się nawzajem. Następną - sypialnia Marianne, gdzie Maria Mooney zauważyła ich „w rzeczy samej”. Potem stajnia, tam leżącą parę widzieli robotnicy ze stolarni. Dalej pokój Mullana, na piętrze od strony dziedzińca, skąd dobiegały ich głosy i śmiechy. Wreszcie oddalony sad, do którego się razem wyprawiali.

Musieli być dla siebie niczym najśłodszy zakazany owoc. I ich ciała dojrzywały we wzajemnej obecności.

Kiedyś sama spędziłam jakieś pół godziny gorącego jesiennego wieczoru w soczystej bujnej trawie na skraju uroczu pachnącego sadu, podczas czyjegoś wesela, gdzieś w Kencie. Zapamiętałam pomarańczowy księżyc widoczny poprzez gałęzie jabłoni i ciemniejące na jego tle okrągłe zarysy owoców; zapamiętałam też mężczyznę, który wtedy zakładał mi na nogi złociste sandały - nawet teraz mogłam przywołać wspomnienie chłodnego dotyku miękkiej trawy na udach i jego palców przesuwających się po mojej stopie. Oczywiście tamta przygoda nie miała nic wspólnego z prawdziwą miłością, poznaliśmy się dopiero na przyjęciu. A później jego żona patrzyła na nas podejrzliwie, gdy zbliżaliśmy się po trawie do jasno oświetlonego tarasu.

To wspomnienie było na tyle nieprzyjemne, że szybko wstałam.

Postanowiłam zająć się jakąś pracą. Mogłam przenieść do komputera spis inwentarza majątku porównywalnego z Mount Talbot, żeby później mieć go pod ręką jako plik pomocniczy. W ten sposób zyskałabym rozeznanie, czego powinnam się spodziewać we dworku. Panna Leech dołączyła do niego następującą notatkę:

Mount Talbot w żadnej mierze nie przypominał magnackich posiadłości, takich jak Rockingham czy Carton. Był to, według standardów anglo-irlandzkich, zwykły duży dom. W tego typu majątkach - chociaż nie- zbyt urodzajnych, obejmujących głównie wrzosowiska w pagórkowatym terenie - mających jakieś 800 ha, dwory składały się zazwyczaj z 25 do 30 pokoi, wioska rozciągała się przed bramą posiadłości, a na jej terenie stała jeszcze znaczna liczba budynków gospodarczych i chałup dla służby. Następujące obiekty wyszczególnione w spisie inwentarza analogicznego majątku mogły się także znajdować na terenie Mount Talbot:

Otoczone murami sady i ogrody, parki z łozami i altanami, co najmniej jeden staw rybny, psiarnia, pomieszczenia dla zwierząt, wybieg dla koni, chlew, składzik upręży, ogród warzywny, cielętnik, kilka różnych stajni, w tym jedna dla koni do polowań, stawy dla kaczek, spichrze do przechowywania zboża itp., pasieki, ogrzewana cieplarnia do uprawy owoców egzotycznych, na przykład brzoskwiń, oraz kwiatów w rodzaju kamelii do ozdabiania domu. Paprociarnia. Wewnętrzny, otoczony murem ogród do uprawy delikatnych warzyw i owoców. Szopy z drewnianymi regałami robionymi w dworskiej stolarni do przechowywania produktów. Obo- ra. Rozmaite, zwykle dość liczne zabudowania dla rodowodowego bydła i owiec. Chlewiki do rozrodu i wy- karmiania prosiąt. Tartak i jeden lub dwa młyny. Stylizowana pustelnia bądź ruiny dawnego zamku. Lodownia. Pomieszczenia dla służby złożonej co najmniej z kucharek, pokojówek, pomocy kuchennych, ogrodników, lo- kajów, stajennych, fernali. Do tego meble, srebra, obrazy, zastawy stołowe, dywany. W wozowni przy stajniach powozy i różne ekwipaże.

W wypadku Talbotów proszę jeszcze doliczyć dom w Londynie, prawdopodobnie ze stałą obsadą służ- by.

Do tej notatki była dołączona kopia spisu inwentarzowego przeprowadzonego w parafii Gweedore, w hrabstwie Donegal, w dziesięcioleciu poprzedzającym klęskę głodową. Ją także przepisałam. Powoli.

Parafialny nauczyciel, jak podkreślała panna Leech, spisał wszelkie dobra materialne społeczności li- czącej cztery tysiące ludzi:

1 wóz, żadnych powozów ani innych pojazdów, 1 pług, 20 łopat, 32 pary grabi, 7 widelców, 93 krzesła, 243 stolki, 2 łóżka z puchową pościelą, 8 łóżek z pościelą z siana, 3 indyki, 27 gęsi, ani jednej futrzanej czapki, ani jednego zegara, 3 zegarki, ani jednej pary okularów o wartości większej od 3 p., nie więcej niż 3 m. kw. szyb.

- Kathleen! - zawołała Ella z dołu. - Kathleen! Tata cię prosi!

Bertie był w kuchni, z wysuniętym po dziecinnemu językiem starannie układał gołąbki w brytfance, rzędami, ciasno jeden przy drugim. Ollie i Joe stali na krzesłach przy stole i przyglądali się temu z przejęciem.

- Mieliliśmy deszczowy falstart - mruknął gospodarz. - Już się bałam, że będzie padało przez cały dzień.

- Włosy ci sterczą na wszystkie strony - odezwał się Joe.

- Ja się bałam, że będzie tak padało ciągle przez najbliższy rok - odparłam.

- Nie ma obawy. - Bertie zwinął pustą torbę termoizolacyjną i uśmiechnął się do mnie. - Prognozy są zachęcające. Zapowiada się słoneczny weekend. Aż nie chciałem wierzyć własnym uszom.

- Szkoda, że muszę wyjechać na weekend.

- Ale tylko do Mellary, Kathleen. Tam będzie taka sama pogoda. To tylko niewiele ponad godzinę drogi stąd. Na pewno ci się spodoba nasz domek. Jest wymarzony dla pisarki.

- Jeszcze nie jestem pisarką. A jutro może już nią będę! Mam nadzieję, że dwór mnie zainspiruje. Popatrz, spisałam tych siedem miejsc, gdzie widywano kochanków. Koniecznie muszę je zobaczyć.

Sięgnął do kieszeni kamizelki po swoje okulary z jednym zausznikiem sklejonym przylepcem.

- Wyjaśnij mi coś, Bertie - dodałam. - W majątku trzymano mnóstwo zwierząt. Czy w czasie głodu ludzie dla mięsa nie zarzynali mlecznego bydła i koni?

- Na miłość boską! - syknął.

- Jeść konie?! - pisnął równocześnie Joe.

- Nie gadaj bzdur, Kathleen! Ludzie wykarmiają bydło i konie, o zwierzęta domowe dba się przez długie lata. Nan Leech na wystawie poświęconej klęsce głodowej pokazała rysunek wycięty z jakiejś angielskiej gazety, przedstawiający mężczyznę z brzytwą i miską stojącego przy koniu...

- Dziadku! Dziadku! - zawołał Joe, ciągnąc go za rękaw. - Ja bym za nic w świecie nie zjadł konia.

- Nikt tego od ciebie nie wymaga.

Bertie zdjął z haczyka na drzwiach podniszczoną kurtkę przeciwdeszczową i wcisnął na głowę wymięty tweedowy kapelusz.

- Ella, zabierz tych łobuziaków do hotelowej kuchni, zanim zostaniemy oskarżeni o łamanie kolejnych przepisów sanitarnych. I miej na oku sprzątaczkę. Krótko mówiąc, pilnuj fortu, jak przystało na dobrą dziewczynkę. Niedługo wrócimy.

To mnie zaskoczyło. Czyżby chciał, żebym tylko przelotnie rzuciła okiem na Mount Talbot? Zresztą, nie mniej mnie zaskoczył, kiedy przy śniadaniu zaproponował, byśmy pojechali do dworu jeszcze dziś, zanim się wyprowadzę z hotelu, bo po południu będzie całkowicie zajęty przygotowaniem do przyjęcia gości weselnych. Nic jednak nie powiedziałam. Nie chciałam, żeby pomyślał, iż torpeduję jego plany.

Dworska aleja wiodąca do Mount Talbot zaczynała się tuż za rdzewiejącą, lecz wspaniale kutą trójskrzydłową bramą, zajmującą niemal cały jeden bok ryneczku w Ballygall. Czułam się, jakbym wkraczała do krainy bajek, mijając z Bertiem tę bramę. Ale już sto metrów dalej alejka zmieniła się w ciąg głębokich gliniastych dołów wypełnionych mętną wodą, a na drodze stanęła nam pierwsza z całego szeregu metalowych furtek zwieńczonych drutem kolczastym. Ta część majątku już dawno temu została przekształcona w pole uprawne, które intensywne opady zmieniły w błotnisty ugor usiany wielkimi kępami trawy i zdeптany kopytami zwierząt. Ruszyliśmy w górę zbocza wzdłuż strumyka o rozmytych brzegach. Zanim dotarliśmy do wysokiego muru, nogawki moich dżinsów, przemoczone aż do połowy ud, lepiły mi się do skóry. Chociaż była dopiero późna wiosna, przejścia w murze strzegła gęstwina wybujałych pokrzyw, a z ziemi naniesionej w wyłomy zrujnowanego ogrodzenia wyrastały krzaki i młode drzewka. Wszędzie dokoła w mokrej trawie walał się gruz. Jakaś gałązka smagneła mnie po policzku, odruchowo odskoczyłam w bok, zachwiałam się, wyciągnęłam rękę i do-

tkliwie się poparzyłam. Czułam, że przemoczone skarpety zsuwają mi się w butach z pięt. Zgarniałam z twarzy nasiona i źdźbła trawy.

Dogoniłam Bertiego pod karłowatym poskręcanym drzewem.

- Ilekroć tu przychodzę - powiedział - zastanawiam się, czy ono wytrzymałoby przesadzenie. To chróścina, drzewo poziomkowe. Chętnie bym je posadził przy domu. Nan opowiadała mi kiedyś, że Talbotowie zbili ogromną fortunę w czasie wojen napoleońskich. Dlatego stać ich było na urządzenie ogrodu wodnego i ściąganie rozmaitych drzew ozdobnych z całego świata. Pamiętam, że aleja prowadząca do miasta była obsadzona pięknymi starymi drzewami, ale gdy jakiś profesor z Dublina zaczął się nimi interesować, ten uparty kolek, który kupił ziemię od Komisji Gruntów, ściął je wszystkie. Mówił, że jego krowy mogłyby się nimi otruć.

- Ogród wodny! - rzekłam z podziwem. - Wspaniały pomysł na tutejszy klimat.

Powoli ruszyliśmy dalej, rozgarniając wysokie, ociekające deszczem zarośla, aż wreszcie wyszliśmy na płaski wierzchołek. Był wybrukowany oślizłymi, omszałymi kamieniami.

Bertie stanął.

- To już tu.

- Gdzie?

- No, tutaj.

- A gdzie jest dwór? - spytałam, rozglądając się wokoło.

- Stał tutaj.

Na szczycie wzniesienia znajdowała się jedynie rozległa szeroka platforma z kamiennych ciosów pokrytych czarnym mchem, suchymi gałązkami i ptasimi odchodami.

- Składał się z dwudziestu czy nawet trzydziestu pokoi - wyjaśnił Bertie.

- I nic nie zostało? - spytałam zdumiona. - Tylko tyle?

Nasze głosy zdawały się odbijać echem od cementowej podwaliny. Strzeliste, mokre od deszczu drzewa stały bez ruchu.

- Tylko - odparł. - Szurnięty właściciel rozebrał dach, kiedy zaskarżono go do sądu o długi dzierżawne. Miałem wtedy sześć czy siedem lat. W tym miejscu znajdował się ogromny pokój z wysokimi oknami we wnękach, pewnie sala balowa. Całą podłogę pokrywały odłamki szkła. A po sąsiedzku była jadalnia, w każdym razie drugi wielki pokój z ogromnym stołem na masywnych powyginanych łukowato nogach. Kiedy tu przychodziliśmy całą gromadą, często bawiliśmy się pod tym stołem. Ale bez dachu wszystko szybko niszczało igniło. Wreszcie, gdzieś w latach sześćdziesiątych, ktoś spychaczem zrównał tę ruinę z ziemią.

Zbocze po drugiej stronie wzgórza również przypominało dziczalą, porośniętą zielskiem łąką z wielkimi zbitymi kępami trawy. Dalej niewielki gęsty laszek otaczał małe jezioro, za którym kończył się dworski teren. Między drzewami widać było fragmenty muru otaczającego niegdyś posiadłość, rozsypującego się i wyszczerbionego, a w kilku miejscach rozebranego do końca. Za nim rozciągały się ugory i torfowiska. Na horyzoncie teren wypiętrzał się w sąsiednie pasmo wzgórz, niemal całkowicie zlewające się teraz z wiszącymi nisko ciemnoszarymi chmurami.

- A ja zabrałam aparat fotograficzny! - jęknęłam z żalem. - I kopię *Protokołu*, żeby zobaczyć miejsca, które są w nim wymienione, i naszkicować mapę! Chciałam ci przeczytać fragmenty dotyczące każdego z nich!

- Spóźniłaś się. Jeszcze zanim przyszedł na świat, tu już nic nie było.

Zawróciliśmy.

- Ocalała tylko część dworskich zabudowań - wyjaśnił. - Na przykład tamta dzwonnica albo ogrodzenia wokół sadu i ogrodów. Na własną rękę opielilem część ogrodu warzywnego przy kuchni, pod samym murem, przy tylnej bramie majątku, nazywanej Wielką Bramą Zachodnią. Da się tam podjechać samochodem. No i jeszcze to...

Minęliśmy parę kęp żonkili rosnących u szczytu schodów prowadzących donikąd. Dopiero na dole zauważyłam łukowato sklepienie przejście w murze, ledwie widoczne wśród gęstej zieleni. Próbowałam odgadnąć, co Bertie chce mi pokazać, ale za furtką znajdował się błotnisty, zryty kopytami placyk, a na nim stado krów.

Dałam nura na drugą stronę.

Dziedziniec stajenny!

W długim ceglany budynku zachowały się nawet oryginalne drewniane wrota wychodzące na placyk. To przez jedne z nich dwóch służących podglądało Williama i Marianne tulących się do siebie na sianie.

- Zaraz wracam - rzuciłam.

Bertie spojrzał na mnie. Mokre włosy przyłgnęły do czoła, chłód wyraźnie zaczerwienił mu nos i policzki, lecz piwne oczy żywo błyszcząły. Domyśliłam się po jego minie, że odgadł moje podniecenie, toteż odpowiedziałam mu szerokim uśmiechem.

Ślizgając się po błocie, pobiegłam przez placyk do najbliższej stajni, której ciężkie okute dwuskrzydłowe drzwi stały otworem. Ostrożnie zajrzałam do środka. Ciągające się rzędem boksy ziały pustką. Resztki siana na kamiennej posadzce były szare jak popiół. Musiały tu leżeć od wielu lat.

Podniosłam rękę i oparłam się dłonią o gładkie wrota. Tamtych dwoje również dotykało palcami tych drzwi. Właśnie w którejś z tych stajni uwili sobie gniazdko. To pod tym dachem wielbili nawzajem swoje ciała...

Skłoniłam nisko głowę. Wewnątrz zalegała martwa cisza. Tylko z dziedzińca dolatywał plusk skapujących kropel deszczu.

Kiedy wróciłam przez placyk, Bertie ściągał bluszcz z muru w szerokim przejściu.

Osunęłam się ociężale na skrawek suchej ziemi pod ogrodzeniem. Stopniowo na światło dzienne wyłaniało się łukowate sklepienie zrobione ze ściśle dopasowanych kamiennych bloków, a pod nim wąska i głęboka niszka w murze. Kiedy wreszcie odciągnął na bok ostatnie pędy, moim oczom ukazał się stojący w niszy niewielki klasyczny posązek antycznego łowcy - chłopca w tunice i sandałach, z łukiem w ręku i laurowym wieńcem na głowie. Zachował się w doskonałym stanie, chociaż był pokryty zielonymi i czarnymi smugami wilgoci.

- Och, Bertie! - jęknęłam z zachwytem.

- Nikt poza mną nie wie, że on tu stoi. Zdradziłem ci swój sekret.

Nie mogłam oderwać oczu od pięknej statuetki. Bertie przysiadł obok mnie i także zaczął się jej przyglądać.

Uzmysłowiłam sobie, że już kiedyś byłam w bardzo podobnej sytuacji. Wyteżyłam pamięć. Łukowato sklepiona brama, mężczyzna spoglądający na mnie z góry, bujna roślinność dookoła... Ach, tak! On wtedy również usiadł tuż przy mnie. Byliśmy oboje zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać, więc tylko w milczeniu podawaliśmy sobie butelkę z wodą. Potem, kiedy spostrzegliśmy, że mimowolnie tulimy się do siebie, ta cisza zaczęła nam ciążyć. Gdzieś w gęstwinie ponad nami zaskrzeczała papuga, między liśćmi mignęły jej czerwone pióra; ciężkie parne powietrze wypełniało bzyczenie owadów i nie kończące się granie cykad; mężczyzna obrócił głowę i spojrzał na mnie pożądlivym wzrokiem; popatrzył na moje wilgotne wargi...

To się zdarzyło w Kambodży. Był archeologiem pracującym na równinie otaczającej Angkor Wat. Na imię miał Marcel.

Teraz z Bertiem także przywarliśmy do siebie ramionami, zbierając siły przed powrotem do domu. Z bluszczu po obu stronach niszy w murze skapywały ciężkie krople, jakby znów zaczęło padać. Byliśmy niemal odizolowani od całego świata.

I nic. Miałam prawie pięćdziesiątkę na karku.

- Chcesz miętówkę? - zapytał Bertie.

Z kieszeni kamizelki wyciągnął paczkę dropsów. Znowu przywarliśmy do siebie ramionami, ssąc cukierki.

Kiedy wróciliśmy, Ella mozoliła się nad wielkim stosem krewetek.

- Specjalnie zamówili świeże krewetki - powiedziała z wyrzutem. - Nigdy więcej się nie zgodzę ich czyścić. Już rąk nie czuję.

- To zagoń do nich dziewczyny z góry! - mruknął Bertie. - Na pewno siedzą tam i się nudzą.

- Ella! - jęknęłam żałośnie. - Nic nie zostało z dworu!

- Widzę, że jesteś bardzo zawiedziona. Zaraz zrobię wam herbaty. Czy mówiłam ci już, że panna młoda specjalnie przywiezie z Anglii świeże polne kwiaty? Żeby je powpinać we włosy, czy jak?

- To śmieszne! - odparłam. - Przyjeżdżają do ojczyzny swoich przodków, do starej ukochanej Irlandii, bo jest tak malownicza, ale muszą zabrać ze sobą część innego malowniczego folkloru rodem ze Sloane Square.

- Podobno będzie miała zwiewną długą suknię z kremowego jedwabiu. Jej sekretarka przesłała faksem szczegółowe wytyczne Dooneyowi, który ma filmować ślub kamerą wideo. I zamierza iść do ołtarza boso...

- Jezu! Ileż to bosych irlandzkich wieśniaków pomarło z głodu...

- Powinnaś sama siebie posłuchać, Kathleen! - odezwał się Bertie. Po chwili dodał: - Dla tej londyńskiej bandy pieniądze nie stanowią żadnego problemu. I dzięki Bogu. Ludzie z Ballygall nie odznaczają się fantazją. Gdyby mieli forszę, pewnie wybraliby się na Hawaje albo do Tullabeg, gdzie bawiliby się przy muzyce disco i jedli gumowe pieczone kurczaki. A jakie wesele ty byś wolała, panno przemądrzalska?

- W naszej rodzinie, wśród de Burców, wesela nie są zbyt popularne. Było nas troje rodzeństwa, a ja i siostra nadal jesteśmy pannami. Stanowimy zatem większość.

- Dlaczego nigdy nie wyszłaś za mąż, Kathleen? - zaciekawiła się Ella.

- Już to wyjaśniałam twojemu ojcu. Zawsze byłam w podróży. Poza tym, najwyraźniej, nigdy nie spotkałam odpowiedniego kandydata...

- A po czym miałybyś rozpoznać, że ktoś jest odpowiedni? - odparowała dziewczyna.

- Sama nie wiem.

- To skąd inni mogą to wiedzieć?

Usiadłam przy stole i wyciągnęłam z torebki *Protokół*. Jeszcze przez chwilę ogrzewałam dłonie, obejmując kubek z gorącą herbatą, po czym otworzyłam kopię.

- Nie wiem, po czym inni ludzie to rozpoznają, ale zaraz ci przeczytam, jak poznali to kochankowie z Mount Talbot. Kiedy Marianne wywieziono do Dublina i trzymano w odosobnieniu, rozmawiała z nią pielęgniarka, która później tak zeznawała przed sądem:

Pani Talbot opowiadała mi, jak to się zaczęło. A było tak: Weszła do jego pokoju i gdy obnażona część jego ciała zetknęła się z jej ciałem, dreszcz przeszył całą jej postać i w ten sposób rozpoczął się jej upadek.

- Tak powiedziała?

- Tak.

- Wyraziła się, że „w ten sposób rozpoczął się jej upadek”?

- Tak.

- Nie powiedziała, w którym pokoju to się zdarzyło?

- Nie jestem pewna, ale to było chyba w spiżarni, bo wcześniej mówiła, że właśnie układała produkty na półkach...

- O jakie części ciała chodzi? - zapytała Ella. Nie odpowiedziałam. Bertie również milczał.

- Na pewno zbliżenia fizyczne nie były najważniejsze, ponieważ romans trwał aż trzy lata - wyjaśniłam.

- Gdyby traktowała go tylko jak chłopca do łóżka, dużo wcześniej by się nim znudziła.

- Jak, na miłość boską, udało im się to ciągnąć przez trzy lata? - zdziwił się Bertie. Z okularami na nosie pochylał się nad wyjętą z pieca brytfanką i dokładnie oglądał gołąbki. - To dla mnie zupełna nowość. Wszyscy z mojego pokolenia w Ballygall słyszeli o skandalu Talbotów, ale nikt nie miał pojęcia, że ten romans trwał aż tak długo. Ciekawe, co w tym czasie porabiał jej mąż!

- Przeczytam coś jeszcze. - Zaczęłam przerzucać *Protokół* w poszukiwaniu fragmentu, który wrył mi się w pamięć. - Wygląda na to, że Richard Talbot do samego końca niczego nie podejrzewał, a służba trzymała buzie na kłódkę. Aż tu nagle pojawiło się dwóch łazików szukających pracy. Wcześniej zostali wydaleny ze służby w tyłu majątkach, że pewnie można by ich nazwać domokrażnymi służącymi. Nazywali się Halloran i Finnerty. Widzieliście kiedyś na westernach, jak na ranczo przyjeżdża samotny wędrowny kowboj szukający pracy? Z nimi pewnie było podobnie.

- To jak *Hud!* - wtrąciła Ella. - Nie był taki jak oni?

- W każdym razie Richard ich zatrudnił. Halloran został majordomem, a Finnerty kimś w rodzaju lokaja. I od razu zainteresowali się Marianne:

Halloran i Finnerty obserwowali zachowanie pani Talbot i gdy zauważyli, że często wchodzi do pokoju Mullana, powiadomili o tym pana Talbota, a następnie wszyscy trzej wrócili do tego pokoju. Drzwi były zamknięte. Pan Talbot wykrzyknął: „William, jesteś tam?” Nikt nie odpowiedział, zatem wylamali drzwi i w środ-

ku ujrzeli panią Talbot stojącą za kotarą z dzieckiem na ręku oraz tego mężczyznę, Mullana, stojącego przy kominku...

Nastąpiło, jak powiada lord kanclerz, gwałtowne zerwanie; pan Talbot odzegnał się od swojej małżonki i zabrał dziecko. Podbiegł do kryjącej się za kotarą pani Talbot i wyrwał jej z rąk niewinną córkę, wykrzykując, że nie jest dłużej godna piastować własnego dziecka...

- Przy skrzyżowaniu mieszka rodzina Finnertych - wtrącił Bertie. - Ciekawe, czy są potomkami tego lokaja.

- Jak mogli zrobić coś w zamkniętym pokoju, co uznano za hańbę, skoro ona trzymała dziecko na rękach? - zdziwiła się Ella.

- No cóż, trudno powiedzieć, co robili dokładnie w tamtej chwili - zaczęłam.

Do kuchni wszedł Joe, wdrapał się na krzesło przy matce, wziął ze stołu pancerzyk krewetki i próbował go rozgryźć.

- To już nieważne, co tam robili - mruknął gospodarz.

- W każdym razie przyszło im za to słono zapłacić - powiedziałam. - Ponieśli straszliwą karę. A przynajmniej ona.

19-go maja 1852 r. pan Talbot odkrył, we własnym mniemaniu, że jego żona złamała śluby małżeńskie... Świadkowie opisują wielkie zamieszanie, do którego doszło na dziedzińcu przed domem, kiedy pan Talbot wyrwał z rąk małżonki dziecko, mające podówczas około siedmiu lat, po czym wyjechał, pozostawiając żonę pod opieką służby.

Pani Talbot znajdowała się w stanie wielkiego wzburzenia i następnego dnia proboszcz miejscowej parafii, wielebny McClelland, zabrał ją na pobliską stację kolejową i wieczornym pociągiem pocztowym zawiózł do Dublinu. Tam umieścił ją w hotelu o nazwie Coffey's Hotel przy Dominick Street.

Po dwóch albo trzech dniach panią Talbot przeniesiono do schroniska przy Rathgar Road na obrzeżach Dublinu. Spędziwszy w tamtejszym schronisku około trzech tygodni, pod opieką towarzyszącego jej dżentelmena, wielebnego McClellanda, została przewieziona przez kanał do ojczyzny i umieszczona w domu w sąsiedztwie Windsoru. Do domu tegoż przyjęto ją wskutek sugestii, prawdziwej lub wymyślonej, że jest niespełna rozumu. Dokładne miejsce jej przetrzymywania pozostaje nieznane. Znajdowała się tam pod strażą pewnej kobiety aż do następnego grudnia, kiedy to miejsce jej odosobnienia zostało odkryte przez krewnych rodziny Talbotów, a dokładnie przez pana Pageta z małżonką, będącego dżentelmenem należącym do sądowej palestry...

- Zabrali jej dziecko! - wykrzyknęła Ella.

- Owszem. Richard umieścił ją w schronisku dla obłąkanych - odparłam. - Łajdak! Utrzymał, że postradała zmysły, ale naprawdę ukrył ją przed całym światem i pewnie do końca życia siedziałaby w zamknięciu, gdyby nie ci Pagetowie, kimkolwiek dla niej byli...

- To się rozegrało w naszym domu! W tym domu! - wtrącił osłupiały Bertie z dziwnym uśmiechem na ustach. - Dokładnie w tym domu, należącym do McClellandów! W tamtych czasach mieściła się tu plebania, a ten McClelland był wikarym w tutejszej parafii. Wiele razy słyszałem to nazwisko. A więc to się działo w tym domu, w którym teraz jesteśmy!

- I Richard tak zwyczajnie wyjechał, zostawiając dziecko pod opieką służby? - ciągnęła Ella. - A konkretnie, kogo ze służby? To zadziwiające. I co się stało z tym facetem, z którym pani Talbot kręciła?

Joemu najwyraźniej nie podobało się podniecenie, jakie nas ogarnęło, bo zsunął się z krzesła, objął matkę za nogę i wtulił buzię w jej spódnicę.

- Wszystko w porządku, Joe - powiedziałam łagodnie. - To tylko bajka, podobna do tych, które mamusia opowiada ci przed zaśnięciem.

Ella usiadła i wzięła go na kolana.

- Jest tam coś jeszcze? - zwróciła się do mnie. - To lepsze niż kryminały w telewizji.

- Dosyć na dzisiaj! - oznajmił Bertie. - Ollie cię woła już od dłuższego czasu, córko. A ty, Kathleen... Niestety, powinnaś zacząć się już pakować, inaczej nie zdążymy sprzątnąć twojego pokoju. Przygotuję ci pudło z zapasami jedzenia, żebyś nie musiała robić zakupów w Mellary. Ella, jak tylko nakarmisz małego, bierz się do odkurzania korytarza i schodów. A ty, Joe, wybierz dwie książeczki z rysunkami do kolorowania i zajmij się braciszkiem. Aha, Kathleen, dzwoniłem już do sklepu Spara w Mellary i poprosiłem, żeby P.J. włączył ogrzewanie w naszym domku. Wiedzą, że się tam zatrzymasz, więc wystarczy, że do nich zadzwonisz, gdy będziesz czegoś potrzebowała. Bez trudu odnajdziesz ten sklep, we wsi nie ma drugiego.

Pobiegłam jeszcze do biura, żeby zadzwonić do panny Leech.

- Muszę dziś po południu wyjechać do Mellary - powiedziałam. - Wrócę po weselu Cobych. Czy jest szansa, abyśmy spotkały się jeszcze dzisiaj, przed moim wyjazdem?

- Możemy się spotkać, panno de Burca - odparła urzędowym tonem - ale jestem zbyt zmęczona, żeby dyskutować o sprawie Talbotów. Nie podzielałam pani ewidentnie bezgranicznego zainteresowania cudzołóstwem.

- Tu nie chodzi o cudzołóstwo! - zaprotestowałam. - Przecież Marianne kazała specjalnie prać jego koszule, sama przynosiła mu jedzenie i wino, posyłała po niego, by osobiście wydać rozporządzenia związane z podróżą, podczas gdy mogła je przekazać przez kogoś ze służby... To wszystko jest opisane w zeznaniach świadków...

- Wydaje mi się, że za długo przebywałaś w Anglii, Kathleen - zaczęła surowo, mnie zaś ogarnęła złość, gdy usłyszałam z jej ust swoje imię. - A to dlatego, że... skandal Talbotów należy do tych rzeczy, które zainteresują wyłącznie angielskiego odbiorcę. To historia oderwana od gospodarki, oderwana od polityki i układów społecznych. Mieszkańcy Mount Talbot będą atrakcją dla angielskich ignorantów tylko dlatego, że w powszechnym mniemaniu należeli do miejscowej arystokracji. Tymczasem większość z nich była zwykłymi wyrzutkami społecznymi, nierobami stworzonymi przez niesprawiedliwy ustrój społeczny! Ten spał z tą, ta spała z tym... Podczas gdy ucziwi ludzie przymierali głodem...

- Panno Leech - przerwałam jej. - Przecież to także byli ludzie, ci, którzy stali się bohaterami skandalu Talbotów. Oni także mieli dusze. I tak samo pragnęli się cieszyć własnym życiem. A jeśli naprawdę szczerze się pokochali...

- Pokochali! - prychnęła z pogardą. - Wiedziałam, że pani to podciągnie pod miłość!

- Bo mnie interesuje tylko miłość! - wykrzyknęłam do słuchawki. - Wielu ludzi interesuje się miłością! To najwspanialsza rzecz, jaka może się człowiekowi przydarzyć, zarówno biednemu jak i bogatemu!

- Jest pani niepoprawna, panno de Burca - odparła. - Ale nie bacząc na to, jak zwykle o wpół do trzeciej nastawię wodę w czajniku i mam nadzieję, że z przyjemnością napije się pani ze mną earl greya.

- Przecież to angielska herbata.

- Nie mam nic przeciwko Anglikom - powiedziała - wyjąwszy, po pierwsze, reformację, a po drugie, okupację Irlandii.

Bertie ledwie znalazł czas, żeby się ze mną pożegnać. W kuchni zrobiło się ciasno, gdy wszystkie dziewczęta zeszły z góry do pomocy. Roztrzęsiona z podniecenia Spot ostrożnie wysuwała czarno-biały pyszczek spod stołu. Stare psisko jak zwykle spało na swoim dywaniku przy kaflowej kuchni.

- Czas szybko ci minie - powiedział Bertie. - Po weselu mam zarezerwowane pokoje na zjazd nauczycieli, ale znajdzie się jeden dla ciebie. I dzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała. Poprosiłem P.J., żeby w Mellary przełączył linię telefoniczną bezpośrednio do naszego domku, bo będziesz zdana tylko na siebie.

- *Slán, a Sheosaimh* - odezwałam się do Joego.

- Jeszcze tego nie przerabialiśmy - odparł.

- Uważaj na siebie! - dodał Bertie. Objął mnie serdecznie i przytulił na moment. - I nie pakuj się w żadne kłopoty!

Powiedział to w żartach, a mimo to odwróciłam się szybko, żeby nie zauważył mojej miny, bo jego słowa obudziły we mnie przykre wspomnienia. Dokładnie to samo powiedziała mi matka, kiedy w ogóle po raz ostatni się do mnie odezwała tego dnia, gdy mały Sean bębnił łyżką o poręcz wysokiego krzeselka - tego dnia, gdy wyjeżdżałam z domu do college'u. „Niezależnie od tego, co będziesz robiła, nie wpakuj się w żadne kłopoty!”, rzuciła wówczas z kąta saloniku, nawet nie wyciągnąwszy do mnie ręki. Chyba nie muszę mówić, że moja matka nie miała najmniejszego pojęcia, iż można kogoś uściskać na pożegnanie.

I teraz właśnie uświadomiłam sobie, że ja też tego nie potrafię.

6

Posępne ciemne chmury wisiały nisko nad jasno oświetlonymi sklepami przy rynku. Bez trudu mogłam sobie wyobrazić, jak wyglądało to wzgórze przed powstaniem miasta, gdy w długie zimowe noce wilki były wśród potężnych starych dębów. Kałuże na chodnikach połyskiwały srebrzyście. Minęłam wypożyczalnię wideo z naturalnych rozmiarów plakatem Sharon Stone w oknie. Witrynę staromodnego sklepiku nabiałowego zdobiły torby z grochem. Wystrojone manekiny i wzorzyste dywaniki z wystawy strzegły wejścia do dużego salonu odzieżowego. Biblioteka z pięknym portalem i wysokimi oknami w stylu króla Jerzego, stojąca dokładnie naprzeciwko bramy wjazdowej do Mount Talbot, była obłożona takim samym jasnoszarym piaskowcem. W oknach znajdującego się za nią supermarketu były porozwieszane jaskrawożółte arkusze reklamujące „Promocje Bieżącego Tygodnia”. Część muru ogradzającego parking na tyłach stanowiła oryginalna ściana dawnych czworaków, jak wyjaśniła mi panna Leech. Ale właściciel supermarketu odrzucił prośbę komisji obchodów rocznicy Klęski Głodowej, która chciała umieścić na niej tablicę pamiątkową. „O takich rzeczach najlepiej

szybko zapomnieć" - oznajmił pannie Leech. „Teraz w Irlandii jest tak dobrze, że gdy chcę dorywczo zatrudnić młodzież w wakacje, to muszę jej płacić tyle samo, co etatowym pracownikom”.

Pojechałam dalej do stacji obsługi po benzynę. Zamierzałam wracać od razu do biblioteki, ale gdy stojąc przy samochodzie, zgłuszyłam opakowanie po batoniku, pomyślałam: Przecież to śmieszne! Wygrzebałam z kieszeni pięćdziesiąt pensów i ustawiłam się w kolejce do automatu za dwiema chichoczącymi dziewczynami. Kiedy przy pierwszej próbie monety spadły do wylotu, przyszło mi na myśl, żeby jednak dać sobie spokój, bo to w końcu nic pilnego. Ale po zastanowieniu się wrzuciłam monety po raz drugi. Automat je przyjął, wybrałam więc numer.

- Annie? Annie? Dan?

Odezwała się tylko automatyczna sekretarka.

- Witajcie, kochani. To ja, Kathleen. Mam dla was niespodziankę. Na pewno nie zgadniecie. Jestem w Irlandii! Właśnie przyjechałam! Mam sporo roboty, ale chyba znajdę trochę czasu, żeby wpaść i się z wami zobaczyć, a zwłaszcza z małą Lilian. Na razie jestem w drodze do Mellary, w domku nad morzem spędzę tydzień, może trochę dłużej, oczywiście pracując. Nie zabrałam ze sobą telefonu komórkowego, ale obiecano mi, że będę tam miała bezpośrednią linię telefoniczną, więc zadzwonię do was jeszcze raz, jak tylko dojadę na miejsce. - Urwałam na chwilę, po czym dodałam: - Muszę wam powiedzieć coś bardzo smutnego. Jimmy zmarł. Na serce. Dwa miesiące i dwa tygodnie temu... - W słuchawce rozległo się ciche popiskiwanie, toteż wykrzyknęłam w pośpiechu: - Czuję się doskonale! Zadzwonię! Pa! Na razie!

Wracałam do samochodu tak sprężystym krokiem, że aż mnie to rozśmieszyło. Dlaczego, do diabła, nie zrobiłam tego wcześniej?! Zdarzyło mi się już dwukrotnie, że w trakcie podróży zagranicznej zaskoczył mnie zamach stanu, przy czym na Fidżi naprawdę przeżywałam chwile grozy. Tymczasem teraz musiałam zbierać w sobie odwagę, żeby zadzwonić do skromnej gospodyni domowej i drobnego farmera, których z grubsza znałam przez całe życie i którzy ani razu nie powiedzieli mi nawet jednego złego słowa! To wszystko, co nas dzieliło i różniło, pochodziło z mojej wyobraźni. Nie zwlekałam z odezwaniami się do nich z powodu śmierci Jimmy'ego. Ledwie go znali. Tylko raz wybraliśmy się we czworo na Wembley na oficjalny mecz międzypaństwowy Anglia-Irlandia. Ryczeliśmy na cały głos „Jest tylko jeden Jackie Charlton” na melodię „Guantanamera”, a potem razem poszliśmy na obiad do tajskiej restauracji. Czekać na zamówienie, kelnerzy wykonywali wokół naszego stolika jakiś ludowy taniec, podzwaniając srebrnymi dzwoneczkami na palcach, dopóki Dan ich nie zapytał, czy nie mógłby przypadkiem dostać jakiegoś dania z ziemniakami w dowolnej postaci. Nawiasem mówiąc, dobrze trafiłam z tym pierwszym od długiego czasu telefonem, gdy nie było ich w domu...

Byłam jednak zadowolona z tej krótkiej, lakonicznej wiadomości. W końcu trudno mi było prosto z mostu powiedzieć własnemu bratu, którego słabo znałam: Szczerze kochałam Jimmy'ego. Strasznie mi go brakuje. Traktowałam go jak rodzzonego brata.

Wciąż czułam się tak samo lekko i swobodnie, gdy wchodziłam po schodach na tyłach biblioteki. Panna Leech przywitała mnie w nałożonym ukośnie, małym aksamitnym berecie na głowie, zapewne pragnąc odciągnąć moją uwagę od zmęczenia wyraźnie malującego się na jej twarzy.

- Proszę! - powiedziała, obrzuciwszy mnie szybkim spojrzeniem, i bez przywitania od razu przeszła do rzeczy: - Co się tyczy notatki, którą mi przefaksowałaś, a konkretnie: szczegółowego określenia tych siedmiu miejsc, w których Marianne Talbot spotykała się z młodym Mullanem...

- Mniejsza z tym - przerwałam jej. - Zapomnijmy o tej notatce.

- Jestem profesjonalną bibliotekarką - odparła - tak jak ty profesjonalną pisarką. Moje uwagi do twoich komentarzy są następujące: Po pierwsze: zgadza się, cała okoliczna ludność mówiła tylko po irlandzku aż do lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, zatem William Mullan rzeczywiście musiał znać dobrze jedynie ojczysty język. Po drugie: katoliccy handlarze z okolic Ballygall mieli w domach kosztowne eleganckie meble, takie jak na ziemiańskich dworach, dlatego też biedota prawdopodobnie się temu dziwiła, chociaż zapewne dziwiła się wówczas całemu światu. I wreszcie po trzecie: nie mam pojęcia, dlaczego pani Talbot chciała się napić mleka.

Poczułam, że się czerwienię. W ustach panny Leech moje pytania zabrzmiały idiotycznie. Musiało jej się zrobić przykro, gdyż zaraz dodała zupełnie innym tonem:

- Sądzę jednak, że ta para młodych kochanków jest znacznie bardziej godna uwagi niż samo zaciekawienie owymi siedmioma miejscami spotkań, w których widzieli ją świadkowie. W gruncie rzeczy muszę przyznać, że to bardziej interesująca historia, niż mi się dotąd wydawało. Pewnie dlatego, że nigdy wcześniej nie przeczytałam uważnie całego *Protokołu*, w młodości byłam nietolerancyjna wobec takich spraw. W każdym razie umknęły mi ewidentne dowody na to, że William Mullan żywił równie głębokie uczucie dla pani Talbot, jak ona dla niego. Najwyraźniej świadczy o tym ten fragment:

Otworzyła swój egzemplarz *Protokołu* i przeczytała mocnym, donośnym głosem:

Wszystko wskazuje na to, że ów mężczyzna, Mullan, wyruszył w ślad za panią Talbot; przybył do Dublina dzień czy dwa po niej. Albowiem dwa dni po jej przyjeździe do Coffey's Hotel napisał list i następnie sam pojawił się z nim w hotelu. List został przekazany w ręce pana McClellanda, pełniącego funkcję jej opiekuna, on zaś przeczytawszy, natychmiast go zniszczył, nie pozwoliwszy jej się z nim zapoznać. Jednakże na żądanie pani Talbot, chcącej wiedzieć, co było w liście, wyznał, że Mullan ich odnalazł i pragnie się z nią zobaczyć. Wówczas i ona zapalała gorącym pragnieniem spotkania z Mullanem. Nie kryjąc wielkiej tęsknoty, powiedziała: „Proszę mi pozwolić się z nim zobaczyć; i nie tylko zobaczyć; bardzo bym chciała wyjechać razem z nim do Ameryki”, a w każdym razie coś w tym rodzaju. Zdarzyło się to w Coffey's Hotel.

- Od początku uważałam, że to najważniejsza część całej tej historii - rzekłam. - Wiele bym dała za to, żeby się dowiedzieć, co Mullan napisał w liście.

- Niestety, raczej wykluczone, byśmy kiedykolwiek mogli się tego dowiedzieć.

- Zależy mi na dotarciu do oryginałów pierwszych protokołów i zeznań - zaczęłam. - Richard najpierw wniósł sprawę o separację do Sądu Eklezjastycznego, zanim wyjechał do Anglii i wystąpił do Izby Lordów...

- Już o tym myślałam - odparła. - Ale archiwa Sądu Eklezjastycznego przechowywane były w dublińskim Gmachu Czterech Sądów, a ten spłonął doszczętnie w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku, co było pierwszym aktem represji wobec świeżo utworzonej Republiki Irlandzkiej...

- Ale przecież gdzieś coś musiało się zachować! - jęknęłam. - Przyjechałam tu, mając jedynie ten *Protokół*, i jak dotąd nie natknęłam się na nic więcej, co pomogłoby mi opisać tę historię! Nie ocalały nawet ruiny tutejszego dworu.

Przez pewien czas obie milczałyśmy.

- Miałam nadzieję, że znajdę jakieś inne dokumenty i będę mogła zacząć dopasowywać elementy tej układanki - odezwałam się w końcu. - Liczyłam na to, że w księgach z Mount Talbot pod konkretną datą, na przykład tego dnia, kiedy widziano kochanków idących w stronę sadu, znajdę, dajmy na to, informację, iż z północnego pola zwieziono kwintal rzepy albo że Richard Talbot zamówił nową strzelbę w sklepie Purdeya czy też William Mullan razem z resztą służby stał w kolejce do dworskiej kasy po odbiór pensji. Łudziłam się, że znajdę jakąś gazetę z Ballygall, choćby miesięcznik lub kwartalnik, dzięki której wplotę historię kochanków w ówczesne lokalne wydarzenia...

- Nasza biblioteka została założona dopiero w latach dziewięćdziesiątych - odparła panna Leech - ale kolejni bibliotekarze nie przykładali wagi do relikwów dawnego ustroju feudalnego, podobnie jak wszyscy w tej okolicy. Moja prywatna kolekcja Studiów Lokalnych jest pierwsza, aż tyle czasu potrzebowaliśmy, żeby się pogodzić z własną przeszłością. Ale nie poddawaj się, Kathleen. Mogę ci zaoferować drobną pomoc. Otóż pewien sympatyczny chłopiec z naszego miasta studiuje bibliotekarstwo w Dublinie, a obecnie jest w domu. Nazywa się Declan. Jego matka najwyraźniej liczyła na to, że zostanie księdzem, ale na szczęście pogodziła się z jego wyborem, uznawszy chyba, że bibliotekarstwo jest tylko trochę gorsze od stanu duchownego. Poproszę go, żeby przeszukał dla ciebie krajowe dzienniki z tamtego okresu. Takie zajęcie dobrze mu robi, bo przecież z wyszukiwaniem podobnych informacji będzie miał do czynienia przez całe życie.

- Jest pani bardzo uprzejma - wtrąciłam. - Sama nie wiem, co bym bez pani zrobiła.

- Nie wiadomo, czy nie będziesz musiała tego sprawdzić - powiedziała kwaśno.

Nie miałam odwagi zapytać, co przez to rozumie.

Okrążyła biurko i zaczęła w zamyśleniu przypinać celtycką broszkę z boku beretu. Zwróciłam uwagę, że nie porusza się ze zwykłą dla siebie werwą.

- Gdy zadzwonisz pod koniec przyszłego tygodnia, być może mój młodszy kolega będzie już coś miał dla ciebie. Chyba do tego czasu wrócisz do hotelu Bertiego?

- Tak. Bardzo dziękuję, panno Leech. Jestem niezmiernie wdzięczna za pani pomoc. I bardzo mi przykro...

Urwałam i popatrzyłam na jej pomarszczoną twarz. Głębokie zakola pod oczami miały wyraźnie siny odcień. Odruchowo wyciągnęłam rękę w jej kierunku. Dostrzegła ten ruch i odwróciła się do mnie tyłem.

- Kiedy próbuję oceniać swoje życie - mruknęła, patrząc przez okno na dachy domów Ballygall - zastanawiam się, czy przydarzyłoby mi się coś interesującego, gdybym się urodziła w Ameryce albo we Włoszech czy nawet w Chinach bądź Afryce. Kobiety z mojego pokolenia w Irlandii, jeśli pragnęły się poświęcić służbie publicznej, a ja zawsze chciałam być bibliotekarką lub nauczycielką, wychodząc za męża, musiały z niej zrezygnować. Wciąż nie potrafię rozstrzygnąć, czy nie lepiej było zostać gospodynią domową. Nie musiałabym teraz dla zabicia czasu grywać w brydża z bandą ignorantów.

Stała bez ruchu. W ogóle nie widziałam jej twarzy.

- Wyobraź to sobie! - dodała po chwili. - Muszę grać w karty dla zabicia czasu, kiedy ludziom w moim wieku już tak mało go zostało! - Nagle jakby ożyła i odwróciła się w moją stronę. - Prawdę powiedziawszy, ludziom w każdym wieku pozostało bardzo mało czasu, tylko większość jest za głupia, aby zdawać sobie z tego sprawę.

Uśmiechnęła się szeroko, chociaż nie miałam pewności, czy zrobiła to świadomie.

Rozmyślałam o tamtej sprawie, wyruszając w podróż do Mellary. Nawet nie próbowałam oceniać znaczenia tego, że Mullan podążył za Marianne - wyobrażałam sobie tę sytuację. Stworzyłam w myślach sugestywny obraz mężczyzny stojącego bez ruchu na dublińskiej ulicy. Przed wejściem do hotelu zapewne paliły się kaganki w latarniach, on musiał być zatem ledwo widoczny na skraju oświetlonego ich filującym blaskiem terenu. W Oksfordzie na którejś ulicy jest wielki mosiężny krzyż wtopiony w asfalt, upamiętniający miejsce spalenia żywcem grupy pierwszych protestantów. Podobny krzyż powinien się znajdować na Dominick Street w Dublinie. „Tutaj stał William Mullan, wierny kochanek”.

Z czasem ten obraz zaczął się w mojej głowie przenikać z innym, który nosiłam w pamięci od wielu lat, i teraz, nadzwyczaj wyrazisty, wypłynął na powierzchnię. Była to postać afrykańskiego sprzedawcy ulicznego stojącego na środku ryneczku zimowego wieczoru w pewnej wiosce na Sycylii. Zwróciłam kiedyś na niego uwagę, gdyż stał bez ruchu w gęstniejących ciemnościach, z narastającą stopniowo warstwą śniegu na wełnianej czapce i pozbawioną wyrazu twarzą oświetloną przez upiorny blask rozlewający się na mrocznym niebie od strony buchającej lawą Etny.

Szybko wróciłam myślami do pobytu na Sycylii, gdyż były to bardzo osobiste wspomnienia, związane z moim życiem prywatnym. Chciałam znaleźć w nich otuchę, bo zmęczył mnie wysiłek, do jakiego zostałam zmuszona w Irlandii. Miałam dosyć wszystkich ludzi, żywych i umarłych, o których powinnam się jeszcze dowiedzieć. Oczekiwano ode mnie zbyt wiele uczuć, bo ja przez całe życie uważałam, że zwracanie uwagi tylko na jedną osobę to dla mnie już za dużo.

- To nie fair! - mruknęłam pod nosem. - Muszę się troszczyć o innych, tymczasem nikt nie pomyśli o mnie! Nawet Aleksa nie ma w biurze, kiedy dzwonię! To nie do wiary! Oczywiście nie ma to większego znaczenia, nie jest mi do niczego potrzebny. Niemniej...

Zwróciłam uwagę na tego handlarza ostatniego dnia konferencji autorów reportażu podróźniczych. Może w innych okolicznościach nawet bym go nie zauważyła. Ale byliśmy na Sycylii już piąty dzień, całą trójką z „TravelWrite” mieszkaliśmy w Grand Hotel et des Palmes w Taorminie, w styczniu, kiedy na pozbawionych liści drzewach wciąż jeszcze wisiały cytryny, a rankiem słońce na tyle mocno grzało przez wysokie okna, że piłam kawę tylko w nocnej koszuli. Bardzo mi się tam podobało. W przestronnym apartamencie czułam się jak w domu - w małej lodówce chłodziło się tanie wino z supermarketu, na stoliku obok tranzystorowego radia leżała kieszonkowa powieść oraz korkociąg, moje kosmetyki były starannie poukładane na półeczce pod oświetlonym lustrem w wyłożonej marmurem łazience. Alex był ze mnie bardzo zadowolony, ponieważ przewodniczyłam jednej z sesji posterowych, a później złożyłam bardzo wysoko ocenione sprawozdanie. Powiedział Jimmy'emu, że jedyne, co ma mi do zarzucenia, to strój, w którym wygłaszałam mowę, przypominający nieświeży szlafrok. A kiedy Jimmy wyjaśnił mu, że asymetryczna suknia Yamamoto jest bodaj najbardziej szykownym ubiorem w całym mieście, podobno spojrział na niego w skrajnym osłupieniu. Za to Jimmy nie szczę-

dził mi wtedy przykrych słów, gdyż poza biurem byłam zazwyczaj bardzo wstydliva. Podczas przerw w konferencji zwykle stawałam na uboczu pod ścianą, ze szklaneczką wody mineralnej w dłoni.

- Po prostu odstraszasz od siebie ludzi - powiedział. - Masz taką minę, jakbyś chciała zawołać: „Pojeďte tutaj, bo mnie raczej szlag trafi, nim do kogoś zagadam”.

- Przesadzasz - odparłam. - Nie bardzo umiem prowadzić łahe rozmowy, a poza tym nie mam pewności, czy ktoś chciałby ze mną pogadać.

- Muszę opowiedzieć o tobie Norze - mruknął. - Trzeba cię leczyć. Wszyscy tu obecni poza tobą wiedzą, że jesteś kimś niezwykłym. Na pewno każdy chętnie zamieniłby z tobą choćby parę słów.

Po południu tego ostatniego dnia organizatorzy zabrali nas autobusem na wycieczkę w góry. Przyciskałam nos do szyby, próbując poprzez swoje rozmazane odbicie dostrzec coś na zewnątrz: rozsypujące się kamienne mury, bujna trawa, starzec w baseballowej czapeczce z pomocą owczarka zaganiający do zagrody stado owiec - dokładnie tak samo, jak w każdym innym zakątku świata, gdzie hoduje się owce. Mogłam być też pewna, że ów starzec w czapeczce mówi nieco odmiennym dialektem niż Sycylijczycy mieszkający w dolinach, nie wspominając już o językach innych pasterzy z całego świata. Jak gdyby samo miejsce wypasu w górach pobudzało do lingwistycznej kreatywności...

Autobus zatrzymał się na poboczu drogi, kierowca zgasił silnik.

Wśród pasażerów rozległ się chóralny jęk podziwu: O rety! Wszczął się zamęt, wszyscy sięgali po kamery wideo i płaszcze, bo wieczór był chłodny, po czym wybiegali na zewnątrz. Po drugiej stronie doliny na tle horyzontu wysoko w niebo wznosił się ośnieżony masyw, gigantyczny i odległy, rozcinający czubkiem zbitą powłokę chmur. Etna! Niebo za nią miało odcień granatowy. I nagle ów granat rozjaśnił intensywny rozbłysk, potem w górę strzeliły kłęby dymu, wreszcie śniegową czapę rozciął jaskrawoczerwony jezor. Wulkan plunął lawą. Było to zjawisko tak porażające swym pierwotnym pięknem, że doświadczeni reporterzy zmienili się w oniemiałe z zachwytu dzieci. A gdy chłód zapędził nas z powrotem do autobusu, zniknęło wcześniejsze skrzępowanie. Wszyscy stłoczyli się z przodu. Autobus zaczął się mozolnie wspinać na szczyty, na zewnątrz mrok gęstniał ponad czarnym amfiteatrem wzgórz rozjaśnianych raz za razem rozbłyskami purpurowego prehistorycznego ognia.

W końcu zrobiło się za późno, by zakończyć wycieczkę w kawiarni, jak obiecywali organizatorzy. Autobus dojechał do szarej wioski zagubionej w górach, złożonej niemal z samych grubych ślepych murów postawianych naprzeciwko siebie. Kiedy wysiedliśmy i ruszyliśmy przez rynek w stronę skromnego baru, w powietrzu zawirowały pierwsze płatki śniegu. Lokal wypełnił się okrzykami domagających się kawy i brandy. Przystanąłam w drzwiach i odwróciłam się, aby popatrzeć na Etnę.

Wtedy ujrzałam starszego mężczyznę stojącego na bruku przed barem, zwróconego tyłem do wulkanu. Był Afrykaninem, bardzo wysokim i szczupłym; przed nim na stoliku leżały rozłożone towary, jakieś maskotki, baterie, plastikowe narzędzia. Miał na sobie długie wyświechtane palto i postrzępioną wełnianą czapkę wciśniętą głęboko na oczy. Tkwił tam w absolutnym bezruchu, jakby ciemność i chłód pozbawiły go życia. Zauważyłam, że błyszczącymi oczyma wpatruje się w jakiś punkt przed sobą.

Ten bar zamkną zaraz po naszym odjeździe, pomyślałam. Właściciel spuści kratę i pójdzie do domu, w tak zimną noc na pewno nikt się nie pojawi na rynku. Zapadnie martwa cisza i słychać będzie tylko stłumiony dźwięk telewizorów grających w domach. Wyludnione uliczki zaczną przysypywać śnieg.

I gdzie on się wtedy podzieje?

Jeszcze w hotelu nie mogłam przestać myśleć o tym sprzedawcy. Miałam przed oczyma śnieg gromadzący się na jego ramionach. Usiadłam do obiadu z delegacją kanadyjską i po raz pierwszy zdobyłam się na wspaniałomyślność - uważnie słuchałam innych i starałam się nie mówić ani za dużo, ani za mało. Istniało tyle rzeczy, za które mogłam być wdzięczna.

- Niech inni kładą się spać - powiedział mi jeden z kolegów po fachu koło północy. - Proponuję, byśmy się razem napili i zawarli bliższą znajomość.

Po czym zamówił kolejną butelkę wina.

Poszłam do toalety, żeby to sobie przemyśleć, i zdecydowałam się wycofać. Z foyer skręciłam na schody, zamierzając wrócić do pokoju.

Tu natknęłam się na idącego powoli Aleksa.

- Cześć.

Zatrzymał się na podeście, żeby na mnie zaczekać. Nie miał pojęcia, jak dostojnie wygląda, lekko pochylony, spoglądając na mnie z góry.

- Dobrze się bawiłaś? - zapytał.

Doszliśmy do wielkiego panoramicznego okna na pierwszym piętrze. Na zewnątrz szarawe płatki śniegu powoli wylaniały się z mroku i osuwały po tafli szkła.

- Owszem. Znacznie lepiej niż podczas wycieczki. - Oparłam się rękoma o szybę i aż przeszył mnie dreszcz od bijącego od niej chłodu.

- Widziałem, że przyglądałaś się temu Afrykańczykowi na rynku.

Odwrociłam się do niego zdziwiona. Coś podobnego! Spoglądał na mnie, a ja nawet tego nie spostrzegłam! Jak wtedy wyglądałam? Czy z profilu nie odznaczał się zanadto mój drugi podbródek?

- Zauważyłem, że patrzyłaś na niego z troską - dodał. - Sam obserwowałem go z niepokojem. Mam paru przyjaciół w Palermo, którzy mogliby mu pomóc, dlatego już do nich dzwoniłem.

- Naprawdę? - mruknęłam w osłupieniu. - Masz przyjaciół w Palermo?

- Powiedzieli, że go znają. Pochodzi z Katanii. Obiecali, że spróbują jeszcze dziś zabrać go do domu. A jak ty się czujesz, moja droga? - zapytał z szerokim uśmiechem. - Wszystko w porządku? - Objął mnie delikatnie za ramiona. - Chyba się nie przeziębiłaś, Kathleen? Jesteś taka milcząca.

- Nie, nic mi nie jest - odparłam.

- To już mój pokój - rzekł, wyciągając klucz z kieszeni. Wsunął go do zamka, po czym swą wspaniałą dłonią, którą podziwiałam przy okazji każdego zebrania w biurze, poklepał mnie po głowie. - Masz piękne włosy. - Uśmiechnął się znowu. - Wspaniale.

Następnego ranka, kiedy przed hotelem czekaliśmy na autobus, który miał nas zabrać na lotnisko, powiedziałam Jimmy'emu:

- Wiesz, naprawdę lubię Aleksa. Właśnie się przekonałam o ukrytych głębinach jego duszy. Nie, Jimmy. Mówię poważnie. Bardzo go lubię.

Jimmy obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem.

- Czyżby nasz czarodziej Puck jakimś cudem zdołał ci wczoraj wieczorem posmarować miódem serce? - zapytał lodowatym tonem. - Bo według mnie Alex jest dzisiaj dokładnie tak samo powściągliwy, jak wczoraj.

- Nic mnie to nie obchodzi. I tak bardzo go lubię.

Bertie mówił szczerą prawdę o domku w Mellary. Spodobał mi się już z daleka. Z werandy weszłam bezpośrednio do pokoju. Sprawiał przytulne wrażenie, skąpany w łagodnym złocistym przedwieczornym blasku. Pamiętałam z dzieciństwa, że ten cichy przeciągły huk, bardziej wyczuwalny jako drżenie powietrza niż rzeczywisty dźwięk, to odgłos fal uderzających o skalisty brzeg. W pomalowanym na biało wnętrzu były dwa okna, w wysokiej donicze stała kwitnąca na różowo pelargonia. Kuchenka i zlew w jednym rogu. Niewielki kominek. Głęboki fotel. Na podłodze sizalowe maty i stary wytarty dywanik przed kominkiem. Stół z dwoma krzesłami. Na ścianie obrazek z Najświętszym Sercem, obok mała czerwona lampka. Łazienka, do której schodziło się ze stopnia przez otwór wycięty w grubej ścianie, i piecyk elektryczny były jedynymi oznakami współczesności. Gdyby nie to, czułabym się jak w chałupie sprzed wieków.

Spojrzałam na swoje bose stopy na macie. Aż nie chciało mi się wierzyć, że to one mnie tu przyniosły.

Był to pierwszy irlandzki dom, do którego weszłam od chwili, gdy ukończyłam dwadzieścia lat. Ten poprzedni był jednocześnie domem, gdzie się wychowywałam! Do tej pory nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy... Zresztą od tamtej pory bardzo rzadko gdziekolwiek bywałam sama. Podczas nauki w dublińskim college'u i studiów w Londynie pętałam się po różnych stacjach i akademikach. Potem było poddasze Hugona wśród strzelistych kasztanowców i elegancki dom Caro zapisany jej w spadku przez ojca, wreszcie moja własna kawalerka w suterenie. Podeszłam do zlewu i nalałam do czajnika wody na herbatę. Tak rzadko musiałam sama się troszczyć o siebie, pomyślałam. Jeszcze rzadziej cokolwiek gotowałam. Trzymałam w lodówce butelkę wina i kartonik pasteryzowanego mleka, do tego tuńczyka w puszcze i niekiedy hamburgera dla kota sąsiadów. Nigdy dotąd nie miałam takich zapasów jedzenia, jak ten kosz, który spakował mi Bertie. Rozejrzałam się ponownie. Nigdy nie miałam też drewnianego ociekacza na talerze, miotły ani kominka z żelaznym pogrzebaczem i kleszczami. Nawet by zaparzyć herbatę, musiałam sobie przypomnieć swoisty rytuał z dzieciństwa: spuścić wodę z kranu, aż będzie całkiem klarowna i zimna. Cichy syk gazu, zanim ogień z niknięciem przeskoczył z zapalki na palnik małej kuchenki. Otworzyłam kartonik mleka i znalazłam w szafce kubeczek. Odwracając się, znów obrzuciłam wzrokiem cały pokój. Domek był niski, jakby przycupnięty, o grubych ścianach z bali. Oaza spokoju.

Bardzo mi przypominał domek wujka Neda, w którym spędziłam jedyny tydzień mego życia w roli gospodyni domowej. U boku aprobującego mnie mężczyzny, dodałam w myślach, jakże różniącego się od ojca...

Zanim woda się zagotowała, wniosłam do środka resztę rzeczy i przeszłam do maleńkiej sypialni, żeby posłać łóżko. Było niskie i szerokie, na grubej mosiężnej ramie, ale tak sprężyste, że jak dziecko tarzałam się po nim przez dobrą minutę, gdy skończyłam rozkładać pościel.

Boże! Byłoby wspaniale, gdyby i tu sąsiedzi mieli kota!

Później naciągnęłam sweter, wyszłam na dwór i odnalazłam stertę torfu poukładanego pod ścianą na tyłach domu. Nabrałam całe naręczce twardych jak kamienie brył. Nigdy dotąd nie miałam do czynienia z torfem, bo do Shore Road docierał jeżdżący wielkim konnym wozem węglarz z Kilcrennan i gdy tylko mama miała pieniądze, kupowała od niego worek łupliwego polskiego węgla. Na skalistym pagórku przy werandzie rosła kępa suchego ostrokrzewu, wzięłam więc z kuchni nóż do chleba, nacięłam trochę gałązek, poukładałam je na ruszcie w kominku, na nich zrobiłam piramidkę drobniejszych odłamków torfu i podpaliłam. Usiadłam w kucki na dywanie, patrzyłam, jak płomienie liżą bryłki, i napawałam się zapachem płonącego torfu. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio rozpałam w kominku - oczywiście prawdziwy ogień, taki jak ten, a nie plastikowe polana oświetlane migającymi czerwonymi lampkami.

Później zrobiłam sobie herbatę oraz kanapki - chleb z masłem i plastry przeznaczonego na weselny stół wędzonego łososia, rozsiadłam się w fotelu i dalej patrzyłam na ogień. Za młodu z taką samą przyjemnością wpatrywałam się w żar za otwartymi drzwiczkami węglowej kuchni wujka Neda.

- Cait! Cait! Wsiadaj do samochodu!

- Och, nie!

Leżałam na łóżku, czytałam *Pożegnanie z bronią* i modliłam się w duchu, żeby wszyscy dali mi święty spokój, a zwłaszcza on. Na wolne dni przyjeżdżał do domu i wtedy o spokoju nie mogło być mowy.

Poprzedniego dnia przy obiedzie Nora wspomniała, że bardzo chciałaby mieć minispódniczkę, na co ojciec zaczął wygłaszać monolog na temat rodzimej kultury, która zginęła wraz z klęską gaelijskiego rycerstwa pod Kinsale, i o współczesnych potęgach, sprzysięgających się w celu zniszczenia Irlandii. Wreszcie podsumował, że jest dla niego absolutną tajemnicą, dlaczego Nora chce wyglądać jak dziwka. Nieco później, zapomniawszy o urazie, powiedziała jeszcze, że jest dobra z matematyki i chciałaby studiować rachunkowość. Kiedy rodzice wrócili z pubu, mama poszła od razu do sypialni, a ojciec wyciągnął Norę z łóżka i chcąc ją ośmieszyć, kazał jej pojedynczo wyciągać monety z kieszeni marynarki i głośno sumować.

- Co mu się stało? - zapytałam szeptem, gdy wreszcie wróciła do pokoju. - Coś go gryzie?

- Tylko nic mu nie mów! - odparła ze łzami w oczach. - On nas nienawidzi! Co my mu takiego zrobiłyśmy? Zresztą i tak mam minispódniczkę. Pani Bates mi ją uszyła. Białą. Wkładam ją codziennie rano pod szkolną sukienkę, a gdy ją mam na sobie, czasami specjalnie pochylam się nad ogrodzeniem trawnika, żeby zerwać jakiś kwiatek i wetknąć go w dziurkę w klapie mundurka...

- Cait! *Go tapaidh!*

- Ależ, tato...

- Natychmiast!

Kiedy wyszłam przed dom, oznajmił w typowy dla siebie sposób:

- Chcę, żebyś pojechała ze mną do starego domu. Są pewne sprawy, którymi muszę się zająć.

Jak tylko skręciliśmy na drogę prowadzącą do gospodarstwa wujka Neda, zjechał na pobocze i zgasił silnik. Przez jakiś czas siedział bez ruchu, wpatrzony przed siebie, jakby zasłuchany w ciszę maconą jedynie cichymi trzaskami rozgrzanego metalu.

- Masz - odezwał się w końcu, wyciągając z wewnętrznej kieszeni marynarki czarny grzebień. - Uczesz włosy.

I po chwili zaczął nadzwyczaj łagodnym jak na niego tonem:

- Jak wiesz, Caitlín, jestem urzędnikiem służb publicznych Republiki Irlandzkiej, a zatem można powiedzieć, że pełnię służbę w obronie kraju na polu cywilnym, tak jak wojsko broni go militarnie. Stąd też nie mogę sobie pozwolić na wplątanie w cokolwiek, co rzuciłoby na mnie cień podejrzenia o brak lojalności.

- Nie - odparłam. - To znaczy tak. Zgadza się.

- Dlatego muszę cię prosić, byś nie rozmawiała z nikim na temat tego, co chcę ci wyjawić. Nawet z matką. Otóż Ned jest w więzieniu.

- Gdzie?! - pisnęłam mimo woli.

- W więzieniu w Mountjoy - wyjaśnił z powagą.

- Ned?! Wujek Ned?!

- Owszem. Mówię to z ciężkim sercem.

Po czym - kilkakrotnie podkreślając, jak wielkim było to dla niego ciosem - wyznał, że poprzedniego dnia Ned wybrał się z grupą działaczy miejscowego Zrzeszenia Drobnych Farmerów do Dublina na demonstrację przeciwko obniżaniu cen skupu żywca. Tam dołączyli do wielkiego tłumu protestantów z całego kraju. W tajemnicy przed wszystkimi Ned wziął ze sobą dwie młode kokoszki w teczce z powycinanymi dziurami i kiedy minister rolnictwa pojawił się na schodach gmachu ministerstwa, wypuścił kury. Jedna z nich, przestraszona, wzbila się w powietrze i usiadła na mikrofonie ministra, co stało się przyczyną gromkich śmiechów i drwin. A wieczorem pod budynek zajęchała policja, żeby siłą usunąć okupujących ministerstwo farmerów. Tak się złożyło, że i Ned był wówczas w gmachu, szukał zaginionej kury.

- Jakiś Garda zeznał później, że Ned go popchnął...

- Niemożliwe!

- Niewykluczone, że ten oficer się pomylił. Tu możesz mieć rację. Tak czy inaczej, Ned został skazany na tydzień więzienia. Dlatego chciałbym, żebyś zajęła się jego domem, Caitlín. Trzeba tu przyjeżdżać codziennie, karmić zwierzęta, zapalać na noc światło i wszystkiego doglądać. Nie zapominaj tylko dobrze zamykać drzwi.

Zamierzałam już zaprotestować: „Ależ, tato! Dlaczego nie poprosisz o to Danny'ego? W końcu to on ciągle odwiedza wujka Neda!”. Wiedziałam jednak, że każda wzmianka o Danny'm podziela na niego jak czerwona płachta na byka. Dlatego powiedziałam:

- Nie rozumiem, tato, czemu robisz z tego wielką tajemnicę. Z pewnością Ned i tak zostanie bohaterem.

- Zależy mi na tym, by uniknąć rozgłosu. Z moją pozycją... Poza tym matka nie czuje się dobrze.

- Jak miałabym tu przyjeżdżać?

- Weźmiesz rower Neda.

- Ależ, tato, w sobotę... - zająknęłam się.

- O co chodzi? - Gwałtownie obrócił głowę i spojrzał mi w oczy. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że stawiasz kogoś takiego jak Sharon Malone ponad własnym wujem, prawda? W końcu razem i tak nie robicie nic poza włóczęciem się po ulicach. Chyba wiesz, że mam swoje źródła w mieście?

Uruchomił silnik.

Dotarliśmy na miejsce, wysiedliśmy i razem ruszyliśmy chodnikiem wzdłuż wysokiego żywopłotu. Klucz od domu był tam, gdzie zawsze, pod kłębem starych skórzanych lejców na kamiennym murku przy ścianie komórki. Otworzyliśmy drzwi i weszliśmy do starannie wysprzątanej izby. Na sznureczku nad zlewem suszyła się biała kuchenna ścierka. Wszystkie talerze były pochowane z ociekacza do kredensu, a dwa kwiatki w doniczkach stały w miseczkach z wodą. Stary zegar głośno cykał. Żelazne drzwiczki kuchni węglowej były szeroko otwarte, na ruszcie leżały zmięte gazety, a na nich drobne gałązki i suche szczapy, gotowe do rozpalenia ognia. Według mnie był to najspokojniejszy pokój w najbezpieczniejszym domu na całym świecie.

Za drzwiami powstało nagle straszne poruszenie. Pies Neda, Elvis, z radości i podniecenia zaczął gwałtownie skrobać pazurami próg, popiskiwać i kręcić się w kółko.

- Trzeba go nakarmić, tato! - zawołałam.

Z szafki pod zlewem wyjęłam czystą blaszaną miskę, a z szuflady kredensu paczkę suchego pokarmu dla psów. Nasypałam go do miski, zaalałam obficie maślaną i wyniosłam Elvisowi przed dom. Pożarł wszystko łapczywie, a potem wychleptał całą wodę, jaką mu nalalam, wreszcie wyciągnął się na progu i z łbem ułożonym na przednich łapach zaczął nas uważnie obserwować.

- Wiesz, jak się karmi bydło? - zapytał ojciec.

- Tak. Często pomagałam wujkowi.

- A wiesz, jak załatać dziurę, gdybyś przebiła dętkę w rowerze?

- Wiem. Ned trzyma klej i łatki w blaszanym pudełku. Trzeba napompowaną dętkę zanurzyć w zlewie...

- Mądra dziewczyna. Jesteś sprytniejsza od wielu chłopaków. Będzie miał wiele szczęścia ten, kto cię weźmie...

W ciągu tego tygodnia białą farbą, którą znalazłam w komórce, pomalowałam kamienie otaczające kwiatowy ogródek Neda i opieliałam całą grządkę lilii. W sobotę nawet nie pojechałam do miasta, tyle miałam do zrobienia w domu. Na powrót Neda ustawiłam świeże kwiaty w wazonie na przykrytym ceratą stole, a na tacy przygotowałam wszystko do zaparzenia świeżej herbaty i przykryłam czystą ściereczką. Obficie podrzuciłam krowom siana, za płotem rozsypałam suche skórki od chleba dla żbików, które nocami tu często podchodziły, wreszcie poświęciłam godzinę na niezbyt udane próby splukania namydłonego Elvisa wodą z miski. Wspominając później tamte obowiązki, często myślałam, że tak właśnie powinno wyglądać szczęśliwe partnerskie współżycie - kiedy człowiek zajmuje się tym, co lubi, i znajduje do pracy niespożyta energię, bo wie, że zostanie to docenione.

Ojciec załomotał do drzwi sypialni w niedzielę wczesnym rankiem, w dzień powrotu Neda. Przelazłam nad Norą i ubrałam się w ciągu minuty.

- Tylko spójrz na morze! - powiedziałam, kiedy wsiadaliśmy do samochodu.

Zdarzało się to tylko parę razy w roku, w bezwietrzne poranki. W gładkiej powierzchni wody błękit nieba odbijał się jak w lustrze. Na końcu plaży, gdzie skalisty cypel oddzielał zatoczkę, nad którą znajdował się niemiecki obóz studencki, połyskliwa tafla odzwierciedlała w najdrobniejszych szczegółach niewysoki klif, jakby jakimś cudem w ciągu nocy został zdublowany. Wszystko - lazurowy bezkres morza, biała wstęga drogi, zielone łąki, szereg zabudowań, nasze głowy i ramiona - było skąpane w złotym słonecznym blasku. Wokół

panowała idealna cisza macona jedynie stłumionymi niespiesznymi westchnieniami, z jakimi piaszczysty brzeg tłumiał niewidoczne fale przyboju.

- Rzeczywiście wspaniały poranek - odparł ojciec. - Jak rzadko. Na Boga, dobrze byłoby się dziś wybrać na grzyby!

Na wzgórzu za gospodarstwem wujka Neda spędziliśmy najwyżej godzinę. Trawa była tam krótka, ale tak przesiąknięta poranną rosą, sprężysta i miękka, że chodziło się po niej jak po sierści żywego stworzenia. Poszliśmy wolno w górę zbocza do brzozowego zagajnika ciągnącego się wzdłuż drogi, po czym skręciliśmy i skrajem pola Neda dotarliśmy do górującego nad nim torfowiska. Powietrze było rześkie, przesiąknięte jeszcze nocnym chłodem. Wysoko w górze zanosiły się szczebiotem skowronki, a gromadka brązowych kwiczołów podrywała się przed nami, zataczała koło i siadała trochę dalej, jakby wskazywała nam drogę w tej przepięknej okolicy.

Ojciec zaczął śpiewać, nieco ochrypłym i niewyćwiczonym głosem, ale dość wyraźnie: *Wejdz do gondoli... Komm in die Gondol...* i dalej coś o Wenecji, gondolierach, miłości i jakimś zawołaniu, czy to owych gondolierów, czy też kochanków, bohaterów operetki, która mu się przypomiała.

- Ha-iii! - zawodził półgłosem. - Ha-ooo!

Nagle zanurkował w trawę.

- Spójrz! Cait! - Wyciągnął w moją stronę dwie garści drobnych młodych pieczarek o delikatnych białych kapelusikach...

Pod kominkiem w Mellary ogień przygasł, tylko bryły torfu świeciły żarem, uwalniając nagromadzoną w nich energię niczym wspomnienia dawnej świetności. Zapamiętałam tamten niedzielny poranek z ojcem w najdrobniejszych szczegółach. Gdybym była teraz w jakimś urzekającym miejscu w Anglii - na przykład w otulonej parkową mgłą galerii w Petworth z pięknymi obrazami Turnera albo w którymś z uroczych yorkshirskich miasteczek z epoki króla Jerzego, czy też nad cukrowo białą plażą w Brighton - na pewno bym uznała, że nigdzie w Irlandii nie znajdzie się takiego piękna. Ale tamto wzgórze z pieczarkami!... Nigdzie na świecie nie było tak krystalicznie czystego i świeżego powietrza.

Czy kiedykolwiek

Bywało tak wspaniale, wcześniej albo później...?

Ponownie zajrzałam do koszyka Bertiego. Nie pomyliłam się, wstawił butelkę wina i dołożył nawet korkociąg. Jak to miło z jego strony!

Ale mimo radosnych wspomnień i wypitego wina nie spałam dobrze tej pierwszej nocy w Mellary. Na koniec poszłam do kąpieli i kiedy stanęłam w wannie, żeby się wytrzeć, zauważyłam w starym poszarzałym lustrze wiszącym naprzeciwko pod dziwnym kątem, że siwieją mi włosy nawet na wzgórkach łonowych. Poczulałam tak wielką przykrość, że aż z powrotem zanurzyłam się w wodzie.

Już nigdy nie będzie lepiej, powiedziałam sobie w myślach. Od tej pory może już tylko przybywać siwizny.

Obudził mnie odgłos samochodu zajeżdżającego przed domek i głośnie pukanie do drzwi.

- Dzięki Bogu, że jest pani Irlandką - rzucił od wejścia mężczyzna w brązowym kombinezonie, skinąwszy mi głową na powitanie. - Bertie zazwyczaj przysyła tu paskudnych Jankesów albo Niemców. Jestem P.J. ze

sklepu. Chcę podłączyć pani telefon - wyjaśnił, mijając mnie z dużą skrzynką narzędziową w ręku. - Poza tym jestem także inkasentem i grabarzem, a moja żona prowadzi we wsi sklep z częściami zamiennymi, więc jeśli ja czegoś nie wiem, ona wie na pewno. Bertie mówił, że jest pani pisarką. Jak się teraz zarabia na pisaniu artykułów do prasy?

- To zależy. Na razie nie piszę artykułów. Zbieram materiały dotyczące pewnych wydarzeń zaraz po klęsce głodu.

- Nie wygląda pani na taką, która się interesuje głodem.

- A na kogo wyglądam?

- Na modelkę - odparł ze śmiertelną powagą - albo na którąś z tych dziewcząt, co czytają wiadomości w telewizji. Ale głód? Kiedy ostatni raz wspominali w telewizji o Sudanie, powiedziałem sobie: Tak to już jest na świecie. Mężczyźni walczą ze sobą, a kobiety próbują wyżywić dzieci.

- Mówiłam o głodzie ziemniaczanym. Irlandczycy z nikim wtedy nie walczyli. Po prostu rozprzestrzeniła się zaraza.

- Wiem coś na ten temat. Trudno zapomnieć, jeśli się każdego dnia jeździ samochodem po tej okolicy. Proszę spojrzeć. - Kucnął przy oknie i wskazał obszar pomiędzy domem a zaroślami ostrokrzewu.

Padające pod ostrym kątem promienie słoneczne uwypuklały ukształtowanie terenu, dlatego od razu zauważyłam, o co mu chodzi. Pole było pocięte głębokimi i szerokimi bruzdami widocznymi nawet pod bujną trawą. Jak fale na morzu.

- Działki biedoty - rzekł. - Właśnie pod kartofle. Nazywano ten rejon Głodowymi Ugorami.

- Tak duży obszar? - spytałam, ogłupiona.

- Mieszkało ich tu parę setek. Tam, trochę dalej przy drodze. A w całym rejonie zatoki było wiele tysięcy bezdomnych. Tylko tyle po nich zostało. Wszyscy wyemigrowali do Ameryki, w każdym razie ci, co przeżyli. Gdybym był młodszy, sam bym stąd uciekł za ocean! Codziennie czytałbym sobie „Playboya” i miał w nosie całe to posępne uroczysko!

Zaczął majstrować przy gniazdku telefonicznym i po paru minutach ryknął do słuchawki:

- Halo! *Compadre!* Oddzwon do mnie! Chwilę później telefon zadzwonił.

- Nie, naprawdę nie mogę... No to spróbujcie przełączyć linię, jak ekipa wróci z terenu... E, tam. Ostatnim razem też wygadywali różne bzdury... Przykro mi, proszę pani, ale do jutra musi się pani obejść bez telefonu.

Błyskawicznie zgarnął narzędzia i odjechał.

Nie przejęłam się specjalnie, chociaż wolałabym mieć kontakt z Aleksem. Zarzuciłam płaszcz na nocną koszulę, wyszłam na dwór i podreptałam w kierunku skraju dawnego pola, gdzie morskie fale nacierały z impetem na podstawę skalnego klifu, nie dalej niż sto metrów od domku. Znów mogłam brodzić w trawie nad samym brzegiem! Tyle tylko, że morze w Shore Road było znacznie spokojniejsze. Przez większość czasu wyczuwało się jego bliskość jedynie po mglistej poświacie nad horyzontem. Tutaj się kotłowało. Wzdłuż klifu przeszedł deszcz tak krótki, że rozpoznałam go tylko po zmarszczkach na wodzie, zanikających i tworzących się na nowo na grzbietach fal. Już po chwili wiatr przegnał chmurę i znów słońce zalało gęstniejące białe grzy-

wy. Wiatr się nasilał, widać to było po coraz częściej załamujących się bałwanach. Kiedy cisnął mi włosy na twarz, zawróciłam i śmiejąc się w głos, wykorzystałam jego uderzenia w plecy, żeby szybciej wrócić do domu.

Wskoczyłam do samochodu, najszybciej jak mogłam, żeby rozejrzeć się po okolicy. Wyjechałam na szosę i skręciłam w lewo, do wioski Mellary, skąd kursował prom do Mellary Harbour. Już po paru minutach rozpostarł się przede mną tak wspaniały widok na całą zatokę, że oszołomiona zatrzymałam się na poboczu.

Świetnie znałam Atlantyk uderzający w zachodnie wybrzeża niemal na każdej szerokości kuli ziemskiej. Mogłam wydobyć z pamięci dziesięć czy dwanaście miejsc, gdzie widziałam ten sam ocean stykający się z suchym lądem, od masywnych zabudowań wioski otoczonej polami karczochów w Bretanii po parzące stopy piaszczyste wydmy w Namibii. Każdego dnia obserwowałam wędrującą nad ląd gęstą mgłę, kiedy przygotowywałam reportaż o polach golfowych w Portugalii. Mieszkałam zaledwie parę metrów od brzegu na polu kempingowym w Senegal, gdzie kraby po nocach trzaskały kleszczami wokół nóg łóżka. Nigdy przedtem jednak nie byłam na zachodnim brzegu wyspy leżącej na Atlantyku, na przełomie wiosny i lata - nigdy dotąd nie widziałam tak rozległych łąk z soczystą trawą usianą brązowymi plamami trzciny i sitowia oraz pól uprawnych o miłym dla oka stonowanym jasnozielonym odcieniu młodych roślin z oszałamiającym bezkresem wzburzonego turkusowego oceanu. Jak okiem sięgnąć jedyną oznaką cywilizacji była wieża kościoła w wiosce nad zatoką, do której wlewały się czarnozielone fale, jakby znalazła się na bezludnym terenie. Nie było nawet stodół przy łąkach, jedynie dwa lub trzy małe, pomalowane na biało i przytulone do siebie domki kolonii na szczycie wzniesienia. Drugi brzeg zatoki tworzył wysoki klif i rozległe puste pastwisko ponad nim. Z tej strony stał tylko odsunięty w głąb lądu mój domek. Nie było łodzi na morzu, przystani rybackich ani maszyn na polach. Jedynie pusta przestrzeń dookoła i wgryzające się w nią wzburzone bajkowe morze.

A ponad tym przestworem pogoda zmieniała się jak w kalejdoskopie. W ciągu tych paru minut znad oceanu nadciągnęła samotna czarna chmura. Niebo pociemniało i chwilę później spadł krótki deszcz. Zostawił po sobie tylko obłoczki pary unoszącej się nad rozgrzanym asfaltem i grube krople przyklejone do przedniej szyby samochodu. Niemal od razu niebo znowu robiło się błękitne i zaświeciło słońce. Pospiesznie opuściłam szybę. W otaczającej mnie ciszy niemal ogłuszająco rozbrzmiał śpiew rudzika siedzącego na młodym jesionie, który zapuścił korzenie w przydrożnym rowie. Dokładnie widziałam, jak unoszą się i opadają rdzawoczerwone piórka na jego piersi.

- Jak słyszałem, zachodnia Irlandia to bardzo mokra kraina - powiedział Alex, kiedy po raz ostatni rozmawialiśmy w jego gabinecie.

Uśmiechnęłam się na to wspomnienie. Niebo znowu ciemniało, nadciągał kolejny przelotny deszcz.

- Tylko nie zapomnij wziąć ze sobą parasolki, Kath - rzucił na pożegnanie.

Pani P.J. miała świdrujące oczka i była niesympatyczna.

- Ach, serdecznie witamy słynną pisarkę! - zawołała. - Mam nadzieję, że nie opisze nas pani w swojej powieści. Czy P.J. przełączył już pani telefon? Musi się pani czuć strasznie samotnie, nie mając do kogo ust otworzyć w tamtym domku na odludziu. No, chyba że pani znalazła już sobie kogoś do towarzystwa. Mogę się założyć, że tak. Powiedziałam mężowi: Taka słynna pisarka... Z pewnością nie zamierza siedzieć samotnie w tym miłym i przytulnym domku.

- Nie jestem słynną pisarką - powiedziałam oschle.

- I tak nie przyjechała pani na to odludzie, żeby tylko pisać.

Spojrzałam jej prosto w oczy i odparłam:

- Chorowałam ostatnio.

Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głowy, bez wątpienia uznawszy za okaz zdrowia.

- I nie było się komu panią zaopiekować w czasie choroby? Nie ma pani matki ani ojca?

- Nie. - Świetnie zdawałam sobie sprawę, że w tym kraju, odpowiadając krótko jednym słowem, popełniam straszliwy nietakt.

- Czy ma pani pszenne bułki drożdżowe?

- Nie, tylko chleb na zakwasie. Jeśli chce pani kupić wymyślne pieczywo, trzeba popłynąć promem do Mellary Harbour albo pojechać drogą wokół zatoki. Promem płynie się kwadrans w jedną stronę, samochodem jedzie godzinę. Naprawdę nie odpowiada pani zwykły chleb na zakwasie?

- A od kiedy to drożdżowe bułki są wymyślnym pieczywem?

- Od razu widać, że pani nietutejsza.

Przystanąłam przed sklepem. Na razie całkiem się rozpogodziło i słońce grzało mocno. Pomyślałam, że przydałaby mi się bawełniana bluzka z krótkimi rękawami. Wciąż miałam przed oczyma mojego ojca idącego po trawie z garściami pełnymi młodych pieczarek. Dokonałam szybkiego podsumowania. Alex miał koło pięćdziesiątki tego wieczoru w hotelowym korytarzu, kiedy po raz pierwszy spojrzałam na niego innymi oczyma. Czy ojciec nie był mniej więcej w tym samym wieku tamtego ranka, kiedy wybraliśmy się na grzyby? Czy to możliwe, że dopiero pięćdziesięcioletniego mężczyznę można naprawdę przejrzeć na wylot, tak jak ja przejrzalam Aleksa?

Wsiadłam z powrotem do samochodu, żeby popłynąć promem do Mellary Harbour.

To śmieszne - Jimmy ani razu nie powiedział złego słowa o moim ojcu, mimo że zasypywałam go przykładami wrogości i opryskliwości.

Kilkakrotnie wybrałam się z Jimmym na Boże Narodzenie do jego rodziców w Scottsbluff w Nebrasce. We czworo, w ciepłych futrzanych kapciach ozdobionych fluorescencyjnymi nalepkami z podobizną świętego Mikołaja, zasiadaliśmy na sofie, żeby całymi godzinami w rozleniwionej świątecznej atmosferze oglądać telewizję.

Gdy pewnego razu nadawano piosenkę *Singing in the rain*, zawołałam:

- To Gene Kelly, jeden z ulubionych piosenkarzy Jimmy'ego!

- Zgadza się - przytaknął jego ojciec. - Jimmy ma dobry gust.

Kiedy w dzienniku pojawiała się wiadomość o kolejnym zamachu bombowym IRA czy strzelaninie w Belfaście, z góry można było przewidzieć, że pan Beck zaraz powie:

- Pracowałem z paroma chłopcami z Irlandii i oni mi wszystko wyjaśnili. Obie strony konfliktu mają swoje racje i żadna nie jest bez winy.

Jeśli nawet był to banał, stanowił dla mnie miłą odmianę od nastrojów panujących w Anglii. Przed rodzicami Jimmy'ego nie musiałam ukrywać swoich poglądów, gdyż nie byłam przez nich zaklasyfikowana z góry. Na przykład pamiętam, jak kiedyś wyjaśniałam im rodowód irlandzkich tańców ludowych - opowiadałam o bosej biedocie, która porozumiewając się własnym, nieznanym angielskiej szlachcie językiem, z zazdrością

podglądała przez okna jej bale i zabawy, żeby później przy dźwiękach prymitywnych skrzypek naśladować dworskie polki i mazurki na swoich klepiskach.

- Nawet tańce wykradli z innej kultury! - wykrzyknęłam do pana Becka, jakby to on był temu winien.

- Nie przejmuj się Anglikami - odparł. - To bardzo konserwatywny naród europejski. Jedyna angielska osobistość, jaka od czasu do czasu pojawia się w naszej telewizji, to księżna Di.

Każdej nocy spałam jak niemowlę w różowej miękkiej pościeli, podczas gdy kaloryfery toczyły nieustanną walkę z zalegającym na zewnątrz śniegiem.

Ale kolejne święta wyglądały niemal dokładnie tak samo.

Po kilku dniach pobytu Jimmy wszczynał niemalże rytualną sprzeczkę z ojcem na temat tego, który z nich powinien odstawić wynajęty samochód z powrotem na lotnisko. I zawsze stawiał na swoim. A kiedy w końcu docieraliśmy na miejsce i wjeżdżaliśmy na parking, rozzłoszczony ruszał prawie biegiem do budynku, zostawiając mnie z bagażami. I gdy go doganiałam w barze, był już po pierwszym martini.

- Na miłość boską! Co cię ugryzło?

- Rodzice!

Nie potrafił ukryć, że jest cały rozdygotany. Trzęsły mu się nie tylko ręce, ale i ramiona.

- Przesadzasz, Jimmy - mruczałam pojednawczo. - Przecież to tacy mili ludzie.

- Tak, wiem. - Po czym szybko przywoływał barmana.

- Twój ojciec...

- Oni przede wszystkim są mężczyznami, dopiero potem ojcami - parsknął.

7

Na przystani na północ od Mellary czekała jedna ciężarówka i parę aut osobowych. Pomyślałam, że mogłabym zaproponować Aleksowi tekst pod tytułem „Najwspanialsze przeprawy promowe świata”. W Seattle pływałam tam i z powrotem, nie mogąc się napatrzeć roziskrzonej wodzie za rufą przypominającej spadochron osiadający na ziemi. Nad Mozą, na wodnych łąkach w pobliżu Dordrechtu, siedziałam w letnim upale pod rozłożystym dębem, czekając na powrót drewnianej pływającej platformy. Nad Cisą, gdy koła mojej łady zaklinowały się między krawędzią pomostu a promem, kilku mężczyzn, pokrzykując na siebie po węgiersku, próbowało podnieść samochód, a siedzący w trawie na brzegu rzeki staruszek trzymał się za brzuch ze śmiechu. Wysoki biały statek na lazurowym morzu, którym dopłynęłam na Paros, do Hugona.

I ta irlandzka przeprawa miała swój urok.

„Wąska biała wstęga szosy zbiega zakosami wśród zagajników do ujścia rzeki, gdzie z głośnym pluśkiem nadpływa w moją stronę najmniejszy na świecie prom do przewozu samochodów, a wokół typowe dla irlandzkiego krajobrazu niebieskawozielone hełmiaste wzgórza...”

Dosyć! - nakazałam sobie w duchu. I tak dobrze, że nie złapałam od razu za notatnik. Dawały o sobie znać wieloletnie nawyki sporządzania na bieżąco notatek dla „TravelWrite”, chociaż teraz wydawało mi się już szalenie trywialne opisywanie jakichkolwiek miejsc na podstawie pierwszych pobieżnych spostrzeżeń.

Radia stojących w kolejce aut były ustawione na tę samą stację, ludzie wysiadali, kręcili się po obrzeżonej kamiennym murkiem przystani, gdy tymczasem kobiecy głos, raz ciszej, raz głośniejszy, deklamował z przejęciem:

*Któregoś dnia obejmę cię szczęśliwa,
Bo kiedyś musi nadejść owa boska chwila...*

Oparłam się wygodnie o samochód i wystawiłam twarz do słońca. Mogłam się cieszyć wolnością i dobrym zdrowiem. A czułam się wolna jak ptak, zwłaszcza teraz, wobec perspektywy zbliżającego się lata. Podniosłam z asfaltu płaski kamień, pochyliłam się nad murkiem i rzuciłam go płasko nad gładką taflą połyskliwej i mętnej wody przy brzegu. W Shore Road długimi godzinami ćwiczyliśmy puszczanie kaczek. Byłam w tym dobra.

Gdy wszystko to, czym jesteś...

Kolejka aut zaczęła się stopniowo przesuwać, jak na komendę trzaskały zamykane drzwi. *Będzie moje.* Trzask.

Czułam, jak prom kołysze się lekko na falach. W porannej bryzie i jaskrawym słońcu woda była do tego stopnia roziskrzona, że nie dało się na nią patrzeć. Odwróciłam się tyłem do relingu. Nagle: „Szanowni państwo!”, zadudnił głos z megafonu. „Jeśli popatrzyacie w kierunku oceanu, zobaczycie stado delfinów butlonosych...”

Odwróciłam się szybko i od razu dostrzegłam wśród ciemnozielonych spienionych fal smukły oślizły grzbiet pierwszego zwierzęcia. Ledwie zniknął pod wodą, obok pojawił się drugi, potem następny i jeszcze jeden.

- Są takie cudowne! - pisnęła jakaś Amerykanka, usiłując wymierzyć kamerę wideo ponad moim ramieniem.

Jej synek przecisnął się i przede mną przywarł do relingu.

- Mamo, czy można je jeść? - zapytał.

- Ludzie jedzą delfiny? - powtórzyła zdumiona kobieta, spoglądając na mnie.

- Chyba nie - odparłam. - W każdym razie nigdy nie słyszałam, żeby nawet głodujący zabijali delfiny.

- Ich mięso jest pewnie strasznie tłuste - odezwał się mężczyzna tuż nad drugim moim ramieniem. - Sądzę, że smakowałyby jak kawałek starej opony nasączonej rybim tranem.

- Faj! - mruknął chłopak z takim obrzydzeniem, że wszyscy troje zaśmialiśmy się w głos.

Pasażerowie stłoczeni przy relingu byli w znakomitych nastrojach, do czego przyczyniło się grzejące mocno słońce i lekki wiatr podrywający drobne kropelki wody rozcinanej dziobem promu.

Już po pięciu minutach zbliżyliśmy się do drugiego brzegu. Maszyny ucichły i prom przez jakiś czas sunął w ciszy. Dotarło do nas ciągle pogwizdywanie i świergoty skowronków krążących bez ustanku nad łąkami okalającymi zatokę.

Przystanąłam jeszcze na chwilę, oczarowana śpiewem ptaków.

Idący przede mną mężczyzna odsunął się na szczycie żelaznych schodków prowadzących na pokład transportowy, żeby przepuścić mnie przodem.

- Zna pan sekret skowronków? - zapytałam. - Mają swoje rewiry sięgające tak daleko, jak daleko niesie się ich śpiew. Każdy rewir ma kształt rozłożonego wachlarza. A więc gdy słyhać śpiew skowronka, oznacza to, że znajdujemy się na jego terenie.

- Jest pani nauczycielką? - zapytał, ruszając tuż za mną po wąskich schodkach.

- Skądże, na Boga! Czy mówię pouczającym tonem?! Promem wstrząsnęło, gdy dobił do nabrzeża.

- Zaczeka pani na mnie? - zawołał nieznajomy, przekrzykując głośny brzęk łańcuchów i warkot maszyn pracujących całą wstecz. - Proszę poczekać. Spotkajmy się na parkingu.

Obejrzałam się, zdumiona. Krótko przystrzyżone szpakowate włosy, poorana bruzdami twarz, szerokie ramiona. Ot, przeciętny, nie wyróżniający się w tłumie mężczyzna w średnim wieku - jakich widuje się najczęściej przed witrynami sklepów z odzieżą, gdzie czekają na żony.

- Napije się pani kawy? - zapytał na parkingu, wychylając się przez otwarte okno samochodu. - Podróżuję z Shannon w okolice Sligo i postanowiłem się trochę rozejrzeć w tej okolicy. Zboczyłem trochę z trasy, ale gdy wysiadłem rano z samolotu i zobaczyłem, że zanoszą się na piękny słoneczny dzień, postanowiłem dać sobie trochę luzu i pojechać tam, gdzie mnie oczy poniosą. Orientuję się tu mniej więcej tak samo, jakbym wylądował na Księżycu. Więc jak? Może mi pani poświęcić pół godziny?

I tak bym się zgodziła, z setek różnych powodów - byłam na wakacjach w domku letniskowym i nie miałam nic do roboty; zrobiła się piękna pogoda; nie piłam kawy od wielu dni... Zresztą i tak nigdy nie odrzucałam podobnych zaproszeń.

- Nie jestem stąd - powiedziałam. - Przed laty wyjechałam do Anglii. Tylko przez przypadek znalazłam się w Mellary.

- Ach, tak. Dopiero teraz zauważyłem, że jeździ pani samochodem z wypożyczalni. Ja sam wyjechałem do Anglii, gdy miałem piętnaście lat. Często wpadam do Irlandzkiego Klubu na jednego, ale tam wszyscy rozmawiają tylko o sporcie...

Od razu go polubiłam. Nie bardzo mi się podobał sposób jego mówienia, w którym akcent irlandzkiej prowincji mieszał się z liverpoolskim zaśpiewem Beatlesów. Na przykład mówił „Tsuudownie”. Miał jednak małe pogodne oczy, wciąż jeszcze ze śladami młodzieńczego błękitu w tęczęwkach, otoczone mnóstwem drobniutkich zmarszczek, przez co przypominał Paula Newmana, gdy się uśmiechał. Wystający spod stójki wiatrówki kołnierzyk koszuli był pomięty, a rogi sterczały do góry. Miał krótką i grubą szyję oraz byczy kark. Musiał pracować na powietrzu, bo wzdłuż linii mocno przyciętych szpakowatych włosów i na wierzchu dłoni skóra miała odcień czerwonawobrazowy.

- Dokąd się pan udaje w okolice Sligo?

- Do Ballisodare. Zna pani tę miejscowość? - spytał szybko.

- Nie. Pochodzę spod Klicrennan i wyjechałam stamtąd w wieku dwudziestu lat. Ale jedna z nauczycielek w szkole przyzakonnej pochodziła z Ballisodare. Pamiętam, że opowiadała nam o tym, jak Cuchulainn próbował powstrzymać fale wdzierające się do zatoki Ballisodare. Stawała na środku sali i tak śmiesznie szeroko gestykulowała...

- Jak się nazywała?

- Siostra Niepokalana.

- Nie. Pytam o nazwisko.

- Gleeson?

- Nie z tych Gleesonów, co prowadzą warsztat samochodowy?

- Skąd miałabym wiedzieć? Zaśmialiśmy się oboje.

- Myśli pan, że dostaniemy cappuccino w Mellary Harbour? - zapytałam. - I kanapkę z jajkiem na twardo?

- Przekonajmy się! - odparł, uruchamiając silnik. Zaraz jednak ponownie wychylił się przez okno. - Jak pani na imię?

- Kathleen.

- Mogłem się tego domyślić.

- Po czym?

- Bo wygląda pani na Kathleen - odparł. - Ma pani kręcone włosy.

- A nie wyglądam przypadkiem na głodną Kathleen?

- Raczej tak! - Uśmiechnął się szeroko. - W każdym razie zrozumiałem aluzję.

Ruszył ostro i z fasonem wyprowadził wóz z parkingu.

Pojechałam za nim drogą prowadzącą wśród zielonych wzgórz wokół skalistej zatoki. Wkrótce znaleźliśmy się na głównej ulicy miasteczka i stanęliśmy na ginącym pod trawą brukowanym placu przy nabrzeżu portowym.

- Jedyna rzecz, jaką wiem o tym miejscu - odezwałam się, gdy wysiedliśmy z samochodów - to to, że pewien londyński reporter przyjechał tu w czasie Wielkiego Głodu. Do miasta ściągały tysiące wygłodniałych uciekinierów z całej Irlandii, podobno panował nieznośny hałas. Napisał potem, że aż trudno było wytrzymać, jakby całe miasteczko wrzeszczało jednym głosem.

- Ciekawe, co ci ludzie krzyczeli.

- Przede wszystkim: „Pomóżcie nam! Zróbcie coś dla nas!”. Reportaż był tak dramatyczny, że czytelnicy w Anglii zaczęli zbierać pieniądze dla ofiar głodu.

- Anglicy to porządni ludzie.

- Zwykli obywatele tak, ale nie ci na górze.

- Zgadza się - przytaknął.

W pierwszym pubie, na jaki trafiliśmy, można było dostać kawę i ostatnie porcje zupy, chociaż pora lunchu dobiegła końca i ostatni klienci właśnie wychodzili. Usiedliśmy obok siebie na miękko wyściełanej ławce przy końcu wielkiego starego stołu i zamówiliśmy zupę z chlebem.

Mój nowy znajomy miał na imię Shay.

- No więc, Kathleen - zaczął. Czekałam cierpliwie. - Przekonałem się już, że znakomicie puszczasz kaczki po wodzie. Obserwowałam cię na przystani, gdy czekaliśmy na prom.

Sala prawie całkiem opustoszała. Niedaleko płonął ogień w kominku, postanowiliśmy zatem zostać w tym mrocznym kącie. Może gdyby któreś z nas wtedy wstało i przesiadło się naprzeciwko, na drugą stronę stołu... Zostaliśmy jednak na swoich miejscach. Siedzieliśmy tuż obok siebie, napawając się popołudniowym spokojem w pustym pubie i patrząc, jak stojące przed nami na stole kryształowe szklaneczki z wodą stopniowo

zmieniają wygląd na skutek zmian światła wpadającego przez wysokie okno za naszymi plecami. Rozmawialiśmy o błahych sprawach - o elektronicznej muzyce w lokalach, o wyższości węgla kamiennego nad torfem - nic specjalnego. Wypiliśmy kawę i po pewnym czasie zamówiliśmy drugą. Aż wreszcie, gdy przy którymś jego poruszeniu poczułam dotyk jego uda na swoim, niemalże przeszył mnie dreszcz, jakby wszystkie zakończenia nerwowe odebrały falę intensywnego ciepła. Kiedy któreś z nas podnosiło rękę, żeby sięgnąć po filiżankę czy pojemnik ze śmietanką, gwałtownie zmieniało się oświetlenie w wąskiej smudze między naszymi ramionami. Później, gdy w górnej części okien ponad krótkimi zasłonkami pojawiły się chmury gęstniejące na niebie, zdecydowaliśmy się zamówić kanapki. Barman zniknął na zapleczu, żeby je przygotować. W sali oprócz nas nie było już nikogo. Ciszę przerywały jedynie trzaski węgla żarzącego się w kominku i dobiegające skądś głośne cykanie starego wahadłowego zegara.

Butelki i szklanki na półkach za barem połyskiwały niczym klejnoty na wystawie jubilera. W milczeniu obserwowaliśmy przez otwarte drzwi barmana. Pochylał się, zwrócony do nas tyłem, od czasu do czasu podnosząc głowę i zerkając na telewizor pod sufitem. Nadawano transmisję z rozgrywek bilardowych. Czerwony poblask ognia z kominka kładł się na masywnym politurowanym kontuarze baru. Udo Shaya wciąż stykało się z moim. Przy każdym najmniejszym poruszeniu odczuwałam takie same dreszcze.

Barman przyniósł nam kanapki, stanął przed kontuarem i zapatrzył się na ogień w kominku.

- Wbrew pozorom znów zapowiada się szklana pogoda - mruknął.

- To może i my się czegoś napijemy? - zagadnął Shay. Barman obszedł kontuar i zajął swoje miejsce.

- Co mam podać?

- Na co masz ochotę, Kathleen? - zapytał Shay. - Na wino?

- Skąd wiesz, że pijam wino?

- Domyśliłem się, że lubisz dobre wina.

- Tutaj takiego nie znajdziecie - rzekł barman. - Jesteśmy w Irlandii.

- Tam gdzie mieszkam, w Anglii, we wszystkich pubach jest olbrzymi wybór win.

- Owszem. Ja też podaję wino, ale to, zdaje się, straszny cienkusz. Przynajmniej tak mówią turyści. -

Barman zarechotał głośno.

- Więc może chcesz iść gdzie indziej? - zwrócił się do mnie Shay.

- Nie. Tu jest bardzo miło.

Zamówiliśmy czystą whisky. Barman postawił dwie szklaneczki tuż obok siebie i gdy równocześnie po nie sięgnęliśmy, nasze palce się zetknęły. Moje są grube i krótkie, ale okazało się, że Shay ma jeszcze grubsze, z krótko obciętych i zniszczonych paznokciami.

Zauważył, że przyglądam się jego dłoniom.

- Mieszkam pod Liverpoolem, niedaleko Chester, i od czasu do czasu przyjeżdżam mniej więcej na tydzień, żeby pomóc ojcu. Prowadzi stację paliwową w Ballisodare. Załatwiam mu wszystkie większe dostawy, bo jest całkiem sam. Poza tym nieoficjalnie pełni funkcję trenera okręgowej amatorskiej drużyny piłkarskiej, więc przy okazji chodzimy razem na kilka meczów. Tym razem nie będę mógł mu poświęcić całego tygodnia, bo w Anglii zostawiłem ważną pracę. Zajmuję się terenami zielonymi i mam właśnie spore szanse wygrać prze-

targ na zagospodarowanie wszystkich gminnych gruntów. - Umilkł na chwilę, po czym dodał: - Zatem już wiesz, że zajmuję się gospodarką terenów zielonych. Mniej czy bardziej jestem ogrodnikiem.

Zaszczycił mnie niewinnym dziecięcym uśmiechem, zachęcając do zwierzeń.

- Równie dobrze mógłbyś i tutaj wykonywać swój zawód - odparłam. - Mieszkam w domku letniskowym w Mellary i facet, który podłączał mi telefon, powiedział, że w tym rejonie nie ma nikogo, kto mógłby pomóc ludziom z przydomowymi ogródkami, a on sam i tak ma ręce pełne roboty. Nieźle byś tu zarobił, gdybyś się przeniósł z powrotem.

- Trzydzieści lat temu ożeniłem się z Angielką i od ślubu ani razu nie przyszło mi do głowy, że mógłbym wrócić do Irlandii.

Pub zaczął się od nowa wypełniać. Wciąż siedzieliśmy przy stole, mimo że za oknami powoli zapadał zmierzch.

- No, chyba powinienem jechać dalej - odezwał się w końcu Shay.

W jego głosie wyczułam nieme pytanie.

- Przyjechałam tu po bułki drożdżowe - powiedziałam - więc i ja powinnam się ruszyć, żeby ich poszukać, dopóki jeszcze sklepy są otwarte.

- Czy ktoś się zaniepokoi, jeśli nie wrócisz do domu o czasie?

Nie patrząc na niego, odpowiedziałam, usiłując zapanować nad drżeniem głosu:

- Nie, mieszkam sama. Nikt się nie będzie niepokoił. Odniosłam wrażenie, że popatrzył na mnie trochę innym wzrokiem.

- Wolno zapytać, co robisz sama w domku letniskowym na tym odludziu?

- Jestem pisarką. Ściślej mówiąc, dziennikarką. Chciałabym opisać pewne wydarzenia, które miały miejsce przed wielu laty w tej okolicy, trochę dalej w głąb lądu. Na razie jednak mam kłopoty nawet z ustaleniem podstawowych faktów.

- Nie możesz nic wymyślić?

- Nie chcę wymyślać faktów.

Położył masywną dłoń na mojej. Nie wziął mnie za rękę, lecz tylko delikatnie osłonił moje palce swoimi, jakby chciał nawiązać drugą niezależną rozmowę, bez słów. Przez chwilę siedzieliśmy tak bez ruchu.

- Muszę przyznać, że nie nawykłam do takich sytuacji - powiedziałam półgłosem w zamyśleniu. - Pamiętam bardzo wielu mężczyzn, którzy nawet nie dotknęli mojej ręki...

Miałam już pewność, że Shay czuje prawie to samo, co ja.

Po sąsiedzku hałaśliwa grupa dziewcząt postawiła swoje torebki i drinki na stole.

- Zaraz ureguluję rachunek - powiedział Shay, ruszając w kierunku baru.

Odniosłam wrażenie, że zrobiło mi się zimno w rękę, kiedy zabrał swoją dłoń.

Popatrzyłam za nim. To prawda, że nie wyróżniał się niczym szczególnym. Kroczył powoli i ciężkawo, a przy kontuarze zakotwiczył się solidnie na lekko rozstawionych nogach. Miał zniszczone pantofle o popękanej skórze, które ktoś mu wypastował do połysku. Wcześniej zdjął wiatrówkę i był tylko w pomiętej koszuli oraz bezkształtnych spodniach. Nosił zwyczajne tanie ubrania. Nad paskiem uwypuklał się nieco wystający brzusek. Kiedy oparł się łokciami o kontuar, rozmawiając z barmanem, zwróciłam uwagę na jego muskularne

barki. Na pewno nie zdawał sobie sprawy, że mu się przyglądam. Gdybym to ja stała teraz na jego miejscu, z pewnością sparaliżowałyby mnie myśl, że wodzi wzrokiem po moim ciele. Ale obaj z barmanem zachowywali się całkiem swobodnie. Typowi dwaj mężczyźni w średnim wieku mający swoje zwyczaje i nawyki. Niemalże wyczuwałam przyjemność, z jaką prowadzą tę błahą, niewymuszoną pogawędkę.

Kiedy wróciłam z toalety, rozmawiali na temat zakazu wprowadzania psów do lokalu.

- Tam gdzie mieszkam, w Anglii, wszyscy przychodzą do pubów z psami - powiedział Shay. - Większość to cocker spaniele.

- Tu na to nie pozwalamy. Turyści z Anglii mają mi za złe, ale miejscowych klientów zakaz nie obchodzi. Jeśli zobaczysz jakieś stare psy w okolicy, to tylko pasterskie.

- Pamiętam z młodości, że w Irlandii ludzie także kochają swoje psy.

- Patrzysz w przeszłość przez różowe okulary, przyjacielu - rzekł barman. - Za nic w świecie nie chciałbym być psem w Irlandii. Mają tu naprawdę pieskie życie!

Ze śmiechem wychodziliśmy na ulicę.

Powoli zapadał zmierzch, robiła się szarówka. Na końcu ulicy stał ciąg starych magazynów i spichrzów zbożowych, teraz na wpół zrujnowanych. Między poszczególnymi budynkami ciągnęły się wąskie przejścia wybrukowane wielkimi kamieniami. Skręciliśmy w jedno z nich, żeby wrócić do samochodów zostawionych przy nabrzeżu.

Zrobiliśmy kilka kroków ramię przy ramieniu i nagle padliśmy sobie w objęcia. Poczułam twarde chropowaty mur za plecami. Shay z zamkniętymi oczami tulił mnie mocno do siebie. Powoli uniósł dłoń i zaczął wodzić palcami po mojej twarzy, coraz szybciej, delikatnie poklepując opuszkami skórę, jakby chciał poznać kształt twarzy na dotyk, jakimś prymitywnym, wręcz pierwotnym sposobem całkowicie podyktowanym mu przez podświadomość.

Po chwili wsunął mi dwa lub trzy palce w usta, poczułam je na języku. Z sykiem wciągnęłam powietrze. Całe moje ciało ogarnęła fala żaru. Kiedy wyczułam jego erekcję, ucieszyłam się, że mogę wypiąć brzuch, żeby ściślej przylgnąć do jego ciała. Byliśmy równi wzrostem, zaczęłam więc odwzajemniać jego nacisk, ocierając się udami o jego uda i biodrami o biodra, które sprawiały wrażenie silnych i pełnych energii. Nasze ruchy stawały się coraz szybsze, rękoma i nogami nawzajem próbowaliśmy dotknąć się niemal wszędzie. Staliśmy z ustami przywartymi do ust, z zamkniętymi oczyma, po omacku wodząc po sobie dłońmi, jakby na świecie nie było dwojga ludzi bardziej pragnących okazać swe pożądanie.

Wreszcie jako pierwsza odsunęłam się, by zaczerpnąć oddechu. Doskonale wiedziałam, że w takiej chwili człowiek nie jest ładny - tuż po przerwaniu pocałunku, z otwartymi ustami i głupawym wyrazem zastygłym na twarzy.

Chciałam szybko dostać drugi pocałunek, ale wtedy on się odsunął i przekrzywił głowę na bok, aby światło ulicznej latarni wyłowilo mnie z półmroku. Przemknęło mi przez myśl, że muszę być strasznie zaślionona.

- Jesteś wspaniałą kobietą - rzekł ze śmiertelną powagą. - Czy mogę pojechać za tobą do twojego domku letniskowego?

- Tego właśnie pragniesz?

- Tak.
- Naprawdę chcesz pojechać ze mną?
- Jeśli nie masz nic przeciwko temu.
- A potrafisz jechać za mną i nie zgubić się po drodze?
- Na pewno się nie zgubię.

Na portowym nabrzeżu, tuż nad taflą mrocznej wody, zanim się rozdzieliliśmy, żeby wsiąść do samochodów, jeszcze na chwilę przyciągnął mnie do siebie i szepnął do ucha:

- Już zapomniałem... Całkiem zapomniałem...

W drodze powrotnej na przystań promową światła jego wozu to ginęły, to znów pojawiały się w moim wstecznym lusterku, co sprawiało, że niemal całkiem utraciłam zdolność logicznego myślenia. Koncentrowałam się tylko na tym, żeby nie jechać za szybko, a wyostrzonymi zmysłami wybiegałam w przyszłość, jakbym w czasie nieznośnego upału kierowała się w stronę wspaniałego kąpieliska. Wydawało mi się, że czuję jakiś korzenny zapach w samochodzie, ale gdy opuściłam kołnierz płaszcza i pochyliłam głowę, żeby dokładniej powąchać, złowiłam jedynie woń rozgrzanego plastiku. Na tonącym w ciemności parkingu musieliśmy długo czekać na prom. Kiedy w końcu przyплыł, zrobiło się za zimno, żeby iść na górny pokład. Zatem przesiadłam się tylko do auta Shaya, lecz zapanowała między nami niezręczna atmosfera, poza tym promem silnie kołysało, gdyż zerwał się wiatr, słuchaliśmy więc muzyki z radia, ja zaś nie mogłam się zdobyć na odwagę i poprosić, żeby je wyłączył. Rozmyślałam, że to wszystko stało się zbyt szybko, niemniej trudno się już było teraz wycofać. I zanim dojechaliśmy do domku letniskowego, ów czar, który spadł na nas w pubie, przysł bez śladu. Znów byłam sobą, on także nie przypominał już tego zapaleńca z Mellary Harbour.

Przez chwilę staliśmy na środku pokoju.

- Powinnaś kupić sobie psa - rzekł. - Nie czułabyś się tak samotnie na tym pustkowiu.
- Przyjechałam tu tylko na tydzień.
- To gdzie mieszkasz na stałe?
- W Londynie. W każdym razie do tej pory. Zastanawiam się nad przeprowadzką.

Zapadła niezręczna cisza.

Po paru sekundach, ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę, zapytałam:

- Na co masz ochotę? Pójdziemy od razu do łóżka?
- Chyba tak - mruknął.

Przeszliśmy do sypialni. Nie mogłam się uwolnić od wrażenia, że to śmieszne, ale jesteśmy teraz sobie całkiem obcy. Nie zapaliłam światła, trochę wlewało się go przez otwarte drzwi pokoju.

Kiedy wślizgiwał się do łóżka obok mnie, zauważyłam, że został w podkoszulku i spodenkach. Nie zdjął także skarpetek, poczułam ich szorstki dotyk na stopach. Zaczął całować jeszcze bardziej gorąco i żarliwie, lecz mimo to mój umysł pozostał chłodny i trzeźwy. Mimo moich starań Shay nie mógł osiągnąć pełnej erekcji. Po jakimś czasie podniósł się i na czworakach zaczął sobie pomagać ręką, ale i z tego nic nie wyszło. Zbierałam w sobie resztki odwagi i cierpliwości, aż w końcu i tej mi zabrakło.

- Przepraszam - szepnął mi żałośnie do ucha.

- Nic się nie stało - odparłam. - Naprawdę. I tak miałam wspaniałe popołudnie. Nie masz się czym przejmować.

Wyczuwałam, że w napięciu wsłuchuje się w ton mego głosu, jakby niezupełnie mi wierzył. Mówiłam jednak szczerze.

Z westchnieniem ulgi ułożył się obok mnie.

- Naprawdę mi przykro, Kathleen - rzekł nieco śmielej. - Nie chcę, żeby to zabrzmiało jak wymówka, ale od pewnego czasu biorę tabletki na obniżenie ciśnienia, a one nie działają najlepiej w takich sytuacjach.

- Naprawdę nie ma się czym przejmować, Shay.

Uklękłam na łóżku obok niego, czując nagły przypływ energii. Polubiłam go, niezależnie od seksu. Był bardzo naturalny.

- Mam szansę dostać szklankę herbaty? - zapytał przymilnie. - W ogóle nie masz w domu kawałka chleba?

- Jest wędzony łosoś. I paszteciki. - Pochyliłam się i delikatnie cmoknęłam go w czoło.

- Herbaty! - jęknął. - I to już! A te paszteciki, jak je nazwałaś, to nie są przypadkiem małe bułeczki z nadzieniem? Takie okrągłe? Chętnie bym spróbował. - Ujął moją twarz w dłonie i pocałował mnie w czubek nosa.

- I gdzie tu równouprawnienie? - mruknęłam, próbując po ciemku wymacać nocną koszulę. - Zamierzasz tu leżeć jak turecki basza, podczas gdy ja będę się krzątała w kuchni?

- Pokrzątam się za ciebie. Tylko powiedz, co mam robić.

Ostrożnie wygrzebał się z popiołów nieudanego ogniska i zaczął krążyć po pokoju, zerkając, jak wykładam na stół rzeczy z koszyka Bertiego.

- Chwileczkę! - rzucił. - Masz kawałek papieru? Zanim zdążyłam zareagować, wyrwał kartkę z mojego notatnika, złożył ją starannie i zaczął utykać pod nieco krótszą nogą stołu.

- Z czego się śmiesz? - zapytał, klęcząc na podłodze.

- Z niczego. Po prostu mam świetny nastrój.

Przypomniałam sobie, iż Jimmy często mi powtarzał, że idealizuję małżeństwo, na co odpowiadałam, że dla mnie to prawdziwy cud, kiedy dwie różne osoby potrafią nawiązać ścisłą współpracę dla osiągnięcia wspólnego celu, darząc się przy tym głębokim uznaniem.

Pół pikniku spędziliśmy przy stole, drugie pół na dywanie przed kominkiem. Kiedy Shay zapytał mnie o rodzinny dom, odparłam, że Irlandczycy zawsze wypytyją swoich ziomków o dom rodzinny, nawet jeśli są niezależnymi ludźmi w średnim wieku. Usłyszałam na to, że wcale nie jestem w średnim wieku.

- To ja jestem w średnim wieku - dodał. - Mam pięćdziesiąt siedem lat.

- A ja czterdzieści siedem. - Nawet w tych okolicznościach nie potrafiłam się zdobyć na szczerą kwestię mego wieku.

Był wyraźnie zaskoczony.

- Kiedy obserwowałam, jak przechylona nad murkiem puszczasz kaczki po wodzie, pomyślałam: Co za wspaniałe nogi! Wcale jeszcze nie zamierzałam cię wtedy podrywać. Słowo honoru! Myślałam, że jesteś tutejsza. Ja nigdy w życiu nie wybierałem sobie kobiet. Obawiam się, że nawet bym nie potrafił...

- Nie potrafiłbyś? - zapytałam zdziwiona, wskazując palcem jego bieliznę i swoją nocną koszulę.

Zachichotał, pochylił się i musnął dłonią moje włosy.

- Może jednak opowiesz o swojej rodzinie? Czym się zajmował twój ojciec?

- Był urzędnikiem, inspektorem miar i wag. Podróżował służbowo po całym wschodnim wybrzeżu, w domu zjawiał się tylko na weekendy. Zmarł kilka lat temu. Nie widziałam go od czasu, gdy skończyłam dwadzieścia lat. Miałam mu bardzo dużo do zarzucenia.

- Nie widziałaś się z nim prawie trzydzieści lat?! - powtórzył w osłupieniu. - To kiepsko...

- Nie bardzo. Był trudny w obejściu. Moja biedna matka...

Shay nie był wiele starszy ode mnie, w dodatku również pochodził z małego miasteczka, wielu rzeczy nie musiałam mu więc tłumaczyć. Uderzyła mnie świadomość, że jest pierwszym Irlandczykiem, z którym się zadałam, nie licząc chłopców, którzy odprowadzając mnie razem z Sharon po zabawach tanecznych, co parę metrów wciągali nas do bramy na krótki pocałunek. W lot pojął wszelkie konsekwencje tego, że ojciec był miłośnikiem ojczystego języka i w każdą sobotę dumnie paradował po całym Shore Road, wołając do napotkanych sąsiadów: *Go mbeannaí Dia dhíbh!*, mimo że nikt inny nie znał jednego słowa po irlandzku i wszyscy odpowiadali półgłosem: „Jak się pan miewa, panie de Burca” - jeśli w ogóle odpowiadali. A potem zaczął wyciągać mamę na popołudniowe nasiadówki w pubie. Wychodziła z nim bez protestów, w swoim najlepszym czarnym golfie, z grubo uszminekowanymi wargami i roztrzęsionymi dłońmi zaciśniętymi kurczowo na ręczce wielkiej wypchanej torebki. Po powrocie do domu od razu zamykali się w sypialni. Później ojciec wychodził, pogwizdując pod nosem, maszerował korytarzykiem do kuchni i nakazywał którejś z nas, żeby zrobiła mu herbaty.

Chciałam dać Shayowi do zrozumienia, że wcale nie byłam szczęśliwa w rodzinnym domu. A moja biedna matka wciąż cierpiała na silną depresję.

Nie powiedziałam już, że gdy ojciec się dowiadywał, iż nie ma herbaty, mleka albo cukru, wyciągał z kieszeni pełną garść drobnych i kazał natychmiast iść do sklepu. I ledwie wybiegałyśmy na korytarz, przez otwarte drzwi sypialni matka pytała szeptem, żeby nie słyszał:

- Ile wam dał? Oddawajcie! Albo lepiej powiedzcie pani Bates, żeby zatrzymała resztę na pokrycie części długu.

Żadna z nas nie potrafiła zrozumieć, dlaczego w domu od razu robi się nerwowa atmosfera, ilekroć rodzice są razem. Danny'ego strasznie wkurzało to ciągle napięcie.

- Matka nigdy nie miała grosza przy duszy - wyjaśniłam Shayowi. - Odnoszę wrażenie, że ojciec skąpił jej pieniędzy, żeby mieć nad nią władzę. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak. - Pokiwał głową. - Znam ten typ.

- Potrafiła być naprawdę urocza, kiedy się dobrze czuła. Nigdy nie zapomnę, jak kiedyś w Dublinie wstąpiłyśmy razem do kawiarni i ona tak zabawnie zlizywała czekoladową polewę oraz sok malinowy z wielkiej porcji lodów w kryształowym pucharku. Nazywały się „melancholijne maleństwa”...

- Świetnie pamiętam: „melancholijne maleństwa!” - wtrącił Shay. - Grałem w okręgowej reprezentacji do lat czternastu. Przegraliśmy mecz w Croke Park, a mimo to ojciec zaprowadził mnie później do Cafolli i kupił właśnie te lody!

- To zabawne.

- Moja matka umarła, gdy miałem czternaście lat - ciągnął. - Musiałem rzucić szkołę. I tak zamierzałem to zrobić, jej śmierć tylko przyspieszyła decyzję. Teraz bardzo tego żałuję. Ty na pewno zdobyłaś pełne wykształcenie. Masz na biurku komputer, poza tym to wszystko, co mówiłaś na promie...

- Ja w tym wieku też chętnie rzuciłabym szkołę, gdybym tylko mogła - odparłam. - Razem z przyjaciółką wolałybyśmy choćby codziennie chodzić na zabawy taneczne, tyle że nam nie pozwalano. Na co zmarła twoja matka? Masz rodzeństwo?

- Zginęła w wypadku samochodowym. Jestem jedynakiem. Po jej śmierci naprawdę było nam ciężko. Najbardziej korzystałem z życia po wyjeździe do Anglii, gdy nikt nie wiedział, ile naprawdę mam lat. Chodziłem na tańce po trzy razy w tygodniu przez kilka lat z rzędu. Czułem się tam prawie jak w domu. Irlandzkie zespoły, irlandzkie dziewczyny. Ale tańczyliśmy głównie twista i fokstrota.

- Ja z przyjaciółką mogłam chodzić na potańcówki najwyżej raz w miesiącu.

Siedział bokiem do ognia, którego blask malował na jego twarzy żywe zainteresowanie tematem rozmowy. Znacznie lepiej wyglądał w samym podkoszulku niż w pełnym ubraniu. Sprawiał wrażenie człowieka w ogóle nie przejmującego się własnym wyglądem.

- Pewnie obie byśmy oszalały na twoim punkcie, gdybyśmy cię wtedy spotkały - powiedziałam. - I ja, i Sharon.

- Nic straconego. Spróbuj oszaleć na moim punkcie, kiedy jestem przy tobie. A raczej - gdy wrócę za minutę, jak pozmywam naczynia.

Na parapecie w sypialni leżała szczotka, uczesałam się więc i ściągnęłam gumką włosy z tyłu głowy. Potem posłałam łóżko i położyłam się w pościeli.

I tak był to wspaniały dzień, mimo że z seksu nic nie wyszło. Na szczęście Shay nie należał do ludzi, którzy koniecznie muszą kogoś za to obwiniać. Słyszałam, jak nucił coś pod nosem, splukując talerze i odstawiając do ociekacza. Na pewno wciąż się zastanawiał, kim naprawdę jestem i co on właściwie robi w moim towarzystwie. Tym się jednak nie przejmowałam. Byłam szczęśliwa, że ktoś jest ze mną w tym przytulnym domku, gdy na zewnątrz wzmaga się wiatr i huczą fale. W dodatku ktoś taki, z kim mogłam porozmawiać na każdy temat, jeśli mi przyszła ochota. Byłam gotowa z przyjemnością dzielić z nim łóżko. Przez wiele lat nikt z rzadkich gości w mojej suterenie nie zostawał na noc. Zamykałam się tam jak w grobowcu. Nie miałam nawet pojęcia, jaka jest pogoda na zewnątrz.

Ogarnęła mnie senność.

Matka rzeczywiście dawała się lubić, kiedy nic jej nie dolegało, przesadziłam jednak, mówiąc Shayowi, że była urocza. Co najwyżej miała uroczy uśmiech, dziewczęcy, rozbajający.

Musiałam wreszcie przestać o niej myśleć. Coraz bardziej chciało mi się spać.

Poszłam jeszcze do łazienki, żeby się wysikać i umyć zęby. Sizałowa mata nieprzyjemnie kłuła w zmęczone stopy, ale gdy próbowałam niezdarnie iść na bokach stóp, Shay, który poszedł właśnie przekręcić zasuwkę w drzwiach, wybuchnął gromkim śmiechem. Zgasił światło, wszedł za mną do sypialni i coś jeszcze zdjął z siebie. Duże sprężynowe łóżko zakotyłało się pod jego ciężarem. Przytulił się nagą piersią do moich pleców. Zaczął coś mówić, ale w połowie zdania głośno sapnął i zapadł w sen. Jego ręka zwisała bezwładnie na moim

ramieniu. Leżał z brodą tuż nad czubkiem mojej głowy, więc przy każdym oddechu czułam falowanie włosów. Na całej długości ciała wyczuwałam bijące od niego ciepło.

Obudziłam się w środku nocy. Leżałam na boku, tyłem do Shaya. On zaś trzymał głowę podpartą na ręku, niczym mąż z płaskorzeźby w etruskim grobowcu, a lewą dłonią delikatnie wodził po mojej skórze. Nie spieszył się z pieszczotami. Jego palce sunęły łukiem po ramieniu, prześlizgiwały się bokiem po piersi, wędrowały po brzuchu do przewężenia w talii i stamtąd po wyniosłości biodra docierały po zewnętrznej stronie uda prawie do kolana. Potem wracały i podejmowały tę samą drogę od nowa. Prawie nie czułam na skórze dotyku jego dłoni, bardziej przypominało to delikatny ruch powietrza. Leżałam bez ruchu i sennie odmierzając rytm tych pieszczot, wyobrażałam sobie jego rękę powoli przesuwaną się po kobiecym ciele. Zaczynałam powoli topnieć. Czułam, jakby w głębi mego podbrzusza pod kością łonową w bryle smoły pojawił się pierwszy, wędrujący ku górze bąbelek powietrza.

- Opowiedz mi o sobie - szepnął.

- Nie chcę rozmawiać - odparłam także szeptem.

- Masz dzieci?

- Nie.

- Jesteś mężatką?

- Nie.

- Zawsze byłaś pisarką?

- Tak. Naprawdę nie mam ochoty na rozmowę...

- Dlaczego wyjechałaś do Anglii? Usiadłam na łóżku i zapaliłam światło.

- Posłuchaj - burknęłam ostro. - Czemu właśnie mnie postanowiłeś teraz przesłuchiwać?

Oparł głowę na poduszce i uśmiechnął się szeroko. Taki swobodny, rozluźniony i uśmiechnięty był całkiem przystojny.

Objął mnie ramionami i powoli przyciągnął do siebie. Rozpiął mi górę nocnej koszuli, wsunął pod nią wielką dłoń i zaczął pieścić pierś.

Drugą rękę położył mi z tyłu głowy i delikatnie pochylił ją ku swojej twarzy.

- Jesteś moją małą dziewczynką - szepnął czule. - Mam rację? Jesteś nią?

Całkiem nagle, bez wyraźnego bodźca, zrobiło mi się mokro między nogami. Shay obrócił mnie i wciągnął na siebie. Zsunęłam się nieco, a on jednym płynnym ruchem znalazł się głęboko we mnie. Trwało to ledwie parę minut, ale mnie wydawało się całą wiecznością, gdy tak siedziałam na nim, z głową odrzuconą do tyłu, on zaś potężnymi silnymi rękoma kierował ruchami moich bioder. Kiedy się pochyliłam do przodu, chwycił wargami jeden mój sutek, drugą pierś obejmując dłonią. Wkrótce jednak opadł na poduszkę, wyprężył się, a z głębi jego piersi popłynęły gardłowe jęki.

Po jakimś czasie mruknął, że powinien już wstać, bo chciałby jeszcze wziąć prysznic, na co odparłam, że tu nie ma prysznica.

Potem chyba oboje zasnęliśmy, ciasno objęci. W każdym razie trzymał mnie w ramionach, kiedy się znów obudziłam. Do sypialni wsączało się łagodne światło brzasku.

- Kathleen - szeptał. - To rdzennie irlandzkie imię. *Do domu cię zabiorę, Kathleen.* Bardzo to lubię. Tylko w Anglii mówią na mnie: Shay. Ojciec do dzisiaj woła mnie pełnym imieniem: Seamus. Czasem nawet trudno mi się zorientować, do kogo mówi.

Przez jakiś czas całkiem swobodnie opowiadał o sobie. Nie miałam ochoty się wybudzać, żeby nawiązać rozmowę. Rozmyślałam o tych chłopcach, którym z Sharon pozwalałyśmy się całować na przystanku autobusowym. Równie dobrze mógł być jednym z nich, tyle że już dorosłym. Stopniowo znów zapadałam w sen.

Ranek był najwspanialszy. Shay potraktował mnie jak księżniczkę. Poprawił mi nocną koszulę pod szyją, ułożył wysoko poduszki, bym mogła się wygodnie oprzeć, i przykrył do pasa kołdrą. Leżałam rozleniwiona, gdy wrócił do sypialni, ostrożnie niosąc na desce do krojenia chleba dzbanek z gorącą herbatą i szklanek mleka.

- Nie mogłem znaleźć tacy - wyjaśnił. - Siadaj, kurczaczku.

Nie pozwolił mi nawet trzymać kubka. Podsuwał go do moich warg, więc siorbałam jak małe dziecko.

- Dobra dziewczynka - powtarzał czule.

Potem wytarł palcami moje wargi, wyciągnął się obok na kołdrze i zaczął mi się przyglądać.

- Coraz bardziej jestem przekonany, że czuwa nade mną anioł stróż - powiedział z uśmiechem. - Bo co innego mogło mnie podkusić, żeby skrócić w lewo do Mellary Harbour? To nie mógł być zwykły przypadek.

Następnie zapytał, czy wciąż jestem katoliczką.

Uznałam, że powinnam być wobec niego całkiem szczerą. To zdumiewające, jak wszystko się odmienia po fizycznym kontakcie. Gdybyśmy się nie kochali, nie miałoby to dla mnie żadnego znaczenia, ale w tej sytuacji, kiedy zdążyliśmy się nawzajem poznać od strony cielesnej, wszystko uległo zmianie.

Powiedziałam, że mój ojciec był zagorzałym katolikiem i nigdy nie ustawał w wysiłkach doprowadzenia mojej matki do ciąży. Wyznałam szczerze, że uciekłam do Anglii, kiedy się przekonałam, że Irlandia rządzi się ściśle według zasad Kościoła katolickiego, a Kościół katolicki bazuje na pomiataniu kobietami.

- Ale i w Anglii Irlandczycy nie są mile widziani - odparł smutno. - Zwłaszcza gdy nasilają się starcia w Irlandii Północnej.

- To prawda. Najadłam się sporo strachu z tego powodu. A niekiedy było mi po prostu wstyd.

Znowu trzymał mnie w ramionach. Leżałam z policzkiem opartym na jego piersi, czując we włosach spokojny oddech. Po chwili uniósł mi głowę i pocałował bardzo delikatnie.

- Jesteś szalenie odważna, jeśli nie masz nikogo, kto by się tobą opiekował - rzekł.

Byłam szczęśliwa. Zaczęłam cichutko nucić mu do ucha *Herbatkę we dwoje:*

Gdy dzień wstanie i ja wstanę, by piec ciasto lukrowane...

Szybko podchwycił:

- *Nikt nas nie zobaczy i nikt nie usłyszy...* Rety, zapomniałem, jak dalej... Zdrzemnij się jeszcze. Kiedy wstaniesz, zjemy śniadanie. Zaraz wybiorę się do tego sklepiku w wiosce, który wieczorem mijaliśmy po drodze.

- Kup chleb - powiedziałam.

- Coś jeszcze?

- Tak. Wracaj szybko.

Słyszałam jeszcze, jak rozpała w kominku. Cudownie było zasypiać ze świadomością, że w domu jest ktoś, kto się tobą zajmie.

Zajrzał jeszcze do sypialni i cmoknął mnie w czoło.

- Dziękuję - szepnęła. - Brak mi słów, żeby wyrazić ci wdzięczność.

- I sok pomarańczowy - mruknęłam. - Kup kartonik soku.

Obudził mnie chłód. Kołdra zsunęła się na podłogę. W domku panowała, martwa cisza.

- Shay? - Wstałam szybko. - Shay!

Wbiegłam do pokoju. Gdzie zegarek? Tam. Południe! A przecież wyszedł do sklepu wcześniej rano! Do wioski było zaledwie dziesięć minut drogi!

Obejrzałam się. Kiedy wieczorem przyniósł z samochodu swoją torbę podróżną, postawił ją na podłodze przy drzwiach.

Teraz jej tam nie było.

Zabolało mnie to tak bardzo, że przez jakiś czas musiałam sobie powtarzać, iż nie warto rozpaczać. W końcu byliśmy ze sobą tylko przez szesnaście godzin. Kolejna znajomość na jedną noc. Nietypowy okazał się jedynie sposób, w jaki zostałam okłamana.

Próbowałam się zmusić do pracy. Bo co innego mi pozostało? Nie byłam już panią straszliwie przeżywającą takie rozstania. Z powrotem przyciągnęłam stół bliżej okna i usiadłam przed komputerem. Mogłam się zająć jakąś mechaniczną pracą.

Usiłowałam o tym nie myśleć, ale co i rusz ścisnęło mnie za serce - dlaczego zachował się tak wstrętne? Czym zasłużyłam sobie na takie traktowanie? Umacniałam się tylko w przekonaniu, wynikającym z długoletniej obserwacji świata i ludzi, że mężczyźni nienawidzą kobiet. Wiedziałam o istnieniu rozmaitych wyjątków i dałabym wszystko, aby się przekonać, że akurat Shay nie czuł nienawiści do tej jednej konkretnej kobiety, czyli do mnie.

Zaczęłam odruchowo przerzucać kartki *Protokołu*, aż doszłam prawie do końca. Przepisałam do pliku pomocniczego w moim komputerze fragment mówiący o tym, co się stało po umieszczeniu Marianne Talbot w Coffey's Hotel i doręczeniu listu od Williama Mullana. Opiekujący się nią duchowny porwał list, chociaż go błagała, aby jej pokazał.

Zabrał ją z Mount Talbot do Dublina, do Coffey's Hotel przy Dominic Street, a następnie, jak powiada, do Rathgar Road. „Bardzo często ją odwiedzałem, niekiedy poświęcałem jej pięć godzin dziennie, ponieważ uważałem to za swój obowiązek opiekuna”. Pani Talbot pozostawała w stanie najwyższego wzburzenia, zatem próbował ją pocieszać. Zeznaje: „Chciałem, by przyłączyła się do mnie w modlitwie, lecz nigdy nie zdołałem jej do tego nakłonić. Udało mi się jednak zainicjować taki rodzaj modlitwy, w której, niemal jak na spowiedzi, dowiedziałem się wszystkiego, co uznaję za jej stanowisko w sprawie”.

„Nigdy nie zdołałem nakłonić jej do modlitwy”! Zarozumialec! Czy wczoraj wieczorem, kiedy wylegiwałam się w łóżku, jakiś stary kaznodzieja zdołałby mnie namówić do wyznania skrucy? Za co? Nie żałowałam ani jednej chwili z wczorajszego popołudnia, chociaż dzisiaj przyszło mi za to zapłacić i miałam tak płacić jeszcze przez jakiś czas. Gdybym musiała się modlić, prędzej podziękowałabym Bogu za to, że jeszcze

mogę się otworzyć przed jakimś mężczyzną. No i za ten cud, którym dla mnie było wzajemne przyciąganie się dwojga ludzi.

Poszłam do łazienki i pochyliłam się nad zlewem, żeby dokładnie obejrzeć swoje odbicie w lustrze. Jeszcze nie było po mnie widać dzisiejszych trosk. Twarz miałam gładką i lekko zaróżowioną po ostatniej nocy. Gdyby Shay został, na pewno obdarzyłabym go zaufaniem i pozwoliła sobie na więcej. Tylko czy mógł zostać? Może był wdowcem? Nie. Nie zachowywał się jak wdowiec. Prawdę powiedziawszy, sprawiał wrażenie dobrze sytuowanego i żonatego mężczyzny.

Zaczęłam krążyć między salonikiem a sypialnią.

A gdybym już nigdy nie miała innego kochanka? Gdybym już do śmierci musiała wytrwać zarówno w samotności, jak i w celibacie?

Nie wolno ci myśleć w ten sposób! - skarciłam się w myślach.

Usiadłam i oparłam czoło o brzeg stołu.

- Nie zniosę tego - powiedziałam na głos.

Wstałam, chcąc się rozluźnić, bo byłam jak sparaliżowana. Wciąż czułam wyraźny ślad, jaki pozostał we mnie po Shayu. Czyżby poczuł do mnie niechęć? Odniosłam wrażenie, że mnie polubił. Z taką troskliwością poił mnie herbatą, tak czule spoglądał w oczy. A może przydarzył mu się wypadek i jego samochód leży gdzieś przewrócony w rowie, przez nikogo nie zauważony...

Nie. Po prostu uciekł ode mnie. Nic więcej.

Wróciłam do stołu. Musiałam wziąć się do pracy. Wiedziałam, że ta udreka nie minie, jeśli się czymś nie zajmę. Ale czym? Spisałam już w zarysach całą historię romansu Marianne i Mullana tak, jak została opisana w *Protokole*. Znalazłam się w ślepej uliczce. Nie miałam więcej żadnych materiałów źródłowych. Poza tym mogłam przedstawić tylko skromne doświadczenia z wyprawy na torfowisko i przemyślenia dotyczące ludzi, którzy tam kiedyś mieszkali, jak też z wycieczki po resztkach majątku Mount Talbot oraz moje wyobrażenia o jego dawnych gospodarzach. Ale były to wyłącznie moje doznania, a nie ich, Marianne, Williama, Richarda Talbota bądź setek bezimiennych Irlandczyków, którzy zmarli lub wyemigrowali. Poza tym były to tylko odczucia, a nie fakty...

Kiedy się przeciągnęłam, szwy obcisłych dżinsów wbiły mi się w skórę po wewnętrznej stronie ud, gdzie wciąż jeszcze nerwy były podrażnione. A jeśli rzeczywiście aż do śmierci nie poznam już ciepła otaczających mnie męskich ramion?

- Och, Jimmy! - jęknęłam głośno.

Dopiero po jakimś czasie zaczęłam się uspokajać. Bardzo mi pomogło, gdy wyobraziłam sobie, jakbym z nieba patrzyła na samą siebie - postawną kobietę miotającą się nerwowo po małym domku letniskowym stojącym na odludziu, otoczonym suchymi zaroślami ostrokrzewu, pod którymi w norach smacznie śpią lisy i borsuki. Wyszłam przed dom i stanęłam na werandzie. Wiał dość silny wiatr, niosący ze sobą głośny szum fal i słonawy posmak nadmorskiej wilgoci. Wysoka trawa kładła się przede mną w prawo, co oznaczało, że wiatr wiał znad zatoki. Zachodni wiatr. Zupełnie jak u Shelleya.

Uczyń mnie swą lirą, choćbyś obok miał las;

Nie wiesz wszak, czyliż liści nie zgubię jak on...

A gdybym potraktowała temat nie jak sprawę Talbotów, lecz historię Marianne? Gdybym spróbowała opisać wszystko z jej punktu widzenia?

Z szosy w drogę dojazdową skręcił furgon pocztowy i zatrzymał się przed werandą. P.J. wyskoczył i pognął susami do telefonu.

- Rozmawiałem z Pat - rzucił. - Podłączyli ci już telefon. *Compadre! Zadzwoń do mnie!*

Pat zadzwoniła.

- Cudownie! - powiedziałam.

- Aha, mam jeszcze w samochodzie przesyłkę dla pani.

Wybiegł z powrotem na zewnątrz i po chwili wrócił z dużym kartonowym pudłem. Spojrzałam na butelkę mleka i długą bagietkę, zauważyłam też brzeg kartoniku z sokiem pomarańczowym.

- Pani przyjaciel prosił, żeby przywieźć zakupy, jak tylko dostaniemy świeże pieczywo.

Na samym wierzchu leżała koperta z wypisanym ołówkiem wielkimi literami imieniem: Kathleen.

Nie otworzyłam jej. Nawet nie spojrzałam na nią po raz drugi, dopóki w domu był P.J., chociaż wciąż miałam ją przed oczyma.

- Proszę zaczekać parę minut, dobrze?! Chciałabym przekazać list.

Usiadłam przy stole i pośpiesznie napisałam parę słów do panny Leech. No, może nie tak pośpiesznie, bo musiałam przekartkować notatnik, żeby dokładnie zacytować fragment Henry'ego Jamesa.

Szanowna panno Leech!

Mam nadzieję, że czuje się już pani lepiej. Chcę jeszcze raz serdecznie podziękować za pomoc. Z niecierpliwością oczekuję naszego spotkania po moim powrocie do Ballygall. W pełni zgadzam się z Henrym Jamesem, że „powieści historyczne są uważane za literaturę drugiego gatunku. Z łatwością można powielać fakty zaczerpnięte ze starych obrazów i dokumentów, znalezisk i książek, mieszać je do woli, a i tak nie sposób odtworzyć precyzyjnie historycznych warunków... Nikt nie potrafi myśleć inaczej niż według współczesnych mu kryteriów... Trzeba niezwyklej siły wyobraźni, by maksymalnie uprościć swój punkt widzenia, a i tak uzyskuje się jedynie namiastkę rzeczywistości”.

Gdybym jednak zdołała ze wszystkich kawałeczków poskładać historię Talbotów w jedną spójną opowieść, choćby tylko dla własnej satysfakcji, nie próbowałabym przecież nikogo nabierać na żadną namiastkę rzeczywistości, prawda?

Mellary jest wspaniałe.

Le gach dea-ghuí,

Caitlín de Búrca.

P.J. wziął ode mnie kartkę i wybiegł z domu. Gdy tylko umilkł warkot silnika, wzięłam z pudełka list, poszłam do sypialni i usiadłam na brzegu łóżka. Shay zakleił kopertę kawałkiem niezadrukowanego marginesu od arkusika znaczków. I napisał tylko parę zdań! Szerokie, zamaszyste pismo, na kartce w niebieską linię. Chyba musiał kupić cały zeszyt. Dotyk szorstkiego grubego papieru od razu przypomniał mi szkolne czasy.

Gdybym teraz nie wyjechał, może nie zrobiłbym tego już nigdy. I nigdy nie umiałbym się z Tobą rozstać, gdybym został. Jesteś wszystkim, czego mężczyzna mógłby pragnąć. Jesteś królową w świecie ciał. Na zawsze pozostaniesz w mej pamięci. Shay XXX.

8

KSIĘGA TALBOTÓW

Nie znosiła zapachu tego domu. Nie cierpiała go już od pierwszego dnia pobytu w Mount Talbot. Kiedy znaleźli się w głównym holu o posadzce z wielkich płaskich kamieni, Richard, z wypiekami na twarzy, podekscytowany długą podróżą i przybyciem do swojej nowej irlandzkiej posiadłości, posadził Mab na niedźwiedziej skórze leżącej przed kominkiem. Po obu stronach wielkiego masywnego gzymsu paliły się lampki oliwne w mosiężnych latarniach, dalsze kaganki płonęły w głębi holu, pod biegnącymi łukiem w obie strony schodami, gdzie zebrała się służba na powitanie nowego pana i jego rodziny, tamte jednak nie były osłonięte szkłem, kawałki ciasno zwiniętej grubej liny po prostu pływały w miseczkach z olejem. Oprócz swądu płonących kaganków dom wypełniał cierpki zapach torfu spalanego w kominku od wielu lat.

Wprost nie mogła uwierzyć, jak skromnie, wręcz nędźnie prezentuje się ten dworek w porównaniu z domem jej ojca przy Harley Street. Ani pensa nie wydano tu od wielu lat na renowację mebli czy wymianę zasłon. Schyliła się, podniosła Mab z podłogi i wtuliła twarz w ubranko dziecka, słuchając, jak służba półgłosem wymienia między sobą uwagi po irlandzku.

Smród był najbardziej dokuczliwy rano. Mniej więcej po roku pobytu w Mount Talbot i ona, i Richard wysypiali się do późna. Niekiedy oboje budzili się równocześnie, przeciągali i odwracali na drugi bok pod grubą kołdrą i prześcieradłami oraz zapleśniałym baldachimem wielkiego małżeńskiego łoża. Kiedy indziej otwierali oczy w swoich oddzielnych sypialniach, jeśli tylko Benn znalazł kogoś do pomocy, by przenieść Richarda na górę, kiedy ten już opróżnił swoją wieczorną karafkę porto, i ułożyć go na wąskim łóżku w jego garderobie. W takich wypadkach pierwszą rzeczą, jaką słyszała po przebudzeniu, było głośnie chrapanie męża dobiegające przez otwarte drzwi jego pokoju. Potem dolatywało kasłanie i siąkanie nosem, kiedy się budził. Następnie rozlegał się odgłos sikania do nocnika. Wreszcie przybliżające się głośnie człapanie bosych stóp, pospiesznego drobienia kroków na zimnych gołych deskach podłogi. Wtulała się wtedy w to wygniecione zagłębienie starego łoża, które zdążyła ogrzać własnym ciałem w ciągu nocy, i silnie zaciskała powieki. Jeśli pociągał za sznur dzwonka przy kominku, oznaczało to, że każe sobie przynieść gorącej wody do golenia. A jeżeli szedł dalej, to zamierzał ją posiąść.

Ale to było dopiero po roku.

Wiele się zmieniło od chwili ich przybycia do Mount Talbot, chociaż majątek był wówczas w znacznie gorszym stanie, tak że ona i Mab w ogóle nie mogły wychodzić z domu. Wtedy zawsze sypiali z Richardem w jednym łóżku. On zaś wstawał wcześniej. Czasami wymykał się spod kołdry, gdy było jeszcze ciemno; i dorzu-

cał kilka brył torfu do przygasającego ognia, idąc do swojej garderoby. A w słoneczne poranki nawet pogwizdywał cicho.

Mnóstwo spraw wyganiało go wcześniej z łóżka. Barlow, administrator, oraz Tracy, zarządca, co rano czekali na niego w gabinecie. Wcielali w życie kilka różnych planów związanych z reorganizacją majątku. Rozważali możliwość wynajęcia przez Richarda całego statku w celu przewiezienia części dzierżawców do Kanady. Zajął się tym Coby. Cena rejsu ze Sugo do ujścia rzeki Świętego Wawrzyńca okazała się prawie o jedną trzecią niższa od kosztów zapewnienia żywności tej samej grupie ludzi na czas pieszej wędrówki do Dublina, przewiezienia ich do Liverpoolu i dopiero stamtąd do Nowego Jorku czy Bostonu. Richard od razu zaakceptowałby ten projekt, gdyby tylko mógł zaufać Barlowowi, jak szeptem wyznał Marianne któregoś ranka, kiedy jeszcze leżała w łóżku i zbudziła się, kiedy przykrywał ją kołdrą.

- To inwestycja, a nie wyrzucanie pieniędzy - dodał. - W drodze jest już dwóch doświadczonych farmerów ze Szkocji, którzy zajmą się uprawą ziemi zwolnionej po eksmisjach. Chcą ją wykorzystać do intensywnej hodowli rzepy...

Ją wtedy jeszcze interesowały te sprawy. Od razu pomyślała, że dwóch Szkotów powinno być ciekawym towarzystwem, jeśli nie dla niej, to na pewno dla męża.

- Dlaczego nie ufasz Barlowowi? Nie jest katolikiem.

- Podawane przez niego liczby różnią się przy każdej rozmowie. Jednego dnia podaje, że jestem odpowiedzialny za pięciuset mężczyzn, ich żony, stare matki i niezliczone zastępy dzieci. Ale po sprawdzeniu ksiąg okazuje się, że tych rodzin jest osiemset. W każdym razie nie ma żadnej pewności, ile ich jest. Nim ją zdobędzie, całe górne pole zostanie skopane na mogiły i nawet nie odważę się go zaorać! A kiedy wybiorę się trochę dalej w kierunku Mayo, i tak mam wrażenie, że na ziemi Talbotów jest tyle samo bezużytecznych gęb do nakarmienia, co przed zarazą ziemniaczaną...

Kiedy Marianne po raz pierwszy ujrzała Mount Talbot, dwór wydał jej się tak sztuczny, jak dekoracje na scenie operowej. Ponury irlandzki krajobraz czynił go nierealnym. Dokoła nie było żadnych wiejskich zabudowań. Nie była to nawet rodzinna posiadłość w ogólnie przyjętym znaczeniu, gdyż Talbotowie spędzali najwyżej pół roku w swoim irlandzkim majątku. Kiedy dzieci wyjeżdżały do szkół w Anglii, rodzice także się przenosili - to Anglia była ich ojczyzną i tam szukali żon dla swych synów. Nie znali się na uprawie roli i nie zmieniali niczego na swojej ziemi. Części majątku określali najprostszymi nazwami: Długie Pole, Pole Torfowe, Dolny Las. Było im to potrzebne do wydawania dyspozycji zarządcy, kiedy planowali polowanie czy wyprawę na ryby.

Nie mieli pojęcia, że wśród miejscowej ludności każdy zakręt drogi, każde wzniesienie i zagłębienie terenu, większa kępa drzew, strumień bądź oczko wodne mają własne specyficzne nazwy. Nie wyobrażali sobie nawet, jak bardzo ludzie są tu przywiązani do ziemi. Oczywiście nazywali wszystko po irlandzku, podczas gdy Talbotowie znali jedynie parę irlandzkich słów, których używali do wydawania poleceń. Pełniący służbę we dworze czy pracujący w majątku mogli z nich drwić w żywe oczy lub też spiskować, oni zaś niczego by nie zrozumieli. Kiedy ciotka Richarda zmarła w tym domu w pierwszym roku zarazy ziemniaczanej, służba utworzyła szpaler, by oddać jej cześć w ostatniej drodze na cmentarz przy miejscowym kościele obrządku irlandz-

kiego. Jednakże gdy później rozmawiali o niej między sobą, nie nazywali jej inaczej niż przeklętą suką bez serca.

W kraju śmierć głodowa zbierała srogie żniwo, lecz mimo to Marianne do tej pory tylko raz widziała trupy. Zdarzyło się to pod sam koniec długiej podróży do Mount Talbot. Zatrzymali się na kilka dni w sąsiednim hrabstwie, w majątku kuzynki Richarda, Letitii, gdzie panowie zorganizowali polowanie. Panie natomiast wybrały się w południe na przejażdżkę odkrytym powozem. Miały ze sobą, w przykrytych białymi serwetkami koszykach, wędzone makrele i kurczęta pieczone z grzybami, a dla panów jagnięce udźce duszone z cebulą w sosie muszkatołowym. Po pewnym czasie dotarły do skrzyżowania dróg na szczycie wzgórza. Nieopodal znajdowała się studnia z ułożonymi wokół cembrowiny kamiennymi stopniami. Letitia wyjaśniła, że miejscowi przychodzą tu się modlić.

Kiedy Marianne zeskoczyła ze stopnia powozu na trawiaste pobocze, aż krzyknęła z zaskoczenia i omal nie zemdląła. Któraś ze starszych dam musiała ją podtrzymać. Za rowem, na łące oddzielającej studnię od drogi, leżały na wznak tuż obok siebie, ramię przy ramieniu, trzy ciała - mężczyzny o żółtawopopielatej cerze, mniej więcej szesnastoletniego chłopaka i pięcio- czy sześćoletniej dziewczynki. Wszyscy byli bardzo bladzi i wychudzeni, przykryci do pasa jednym zniszczonym płaszczem, pod którym uwypuklały się nadzwyczaj rozdęte kuliste brzuchy.

- Umarli z głodu - powiedziała Letitia. - Mam wrażenie, że w tej okolicy sytuacja jest szczególnie zła. Najwyraźniej próbują jeść trawę, dlatego konają z tak strasznie rozdętymi brzuchami.

Marianne była bardzo poruszona, a jednocześnie podniecona. Od ślubu rzadko nawiedzały ją oba te odczucia razem, poza tym widok trojga Irlandczyków zmarłych z głodu był pierwszym doznaniem nie dotyczącym jej życia osobistego, które wywołało taką reakcję.

Jeszcze nie tak dawno była przerażona swoimi obowiązkami wynikającymi z roli małżonki Richarda Talbota, tym bardziej że na początku podróży poślubnej mąż nie wymagał od niej niczego innego. Ale dość szybko nawet te obowiązki ją znudziły, chociaż nigdy nikomu się nie żaliła, próbując ukryć prawdę nawet sama przed sobą. Jej małżonek z niecierpliwością czekał na rychłą śmierć wuja, po którym miał odziedziczyć majątek w Mount Talbot. Marianne wolałaby pozostać z teściową w Ardfert, na południowo-zachodnim krańcu Irlandii, lecz Richard wolał utrzymywać z matką jedynie formalne kontakty. Miał jej za złe, że mimo jego błagań, jak sam wyznał, wysłała go do szkoły w Anglii, gdzie koledzy przezywali go „Świńskim Patrykiem”, a któregoś razu przywiązali go do szkolnej ławki i zostawili w klasie na całą noc - w środku zimy! - toteż gdy wszyscy wbiegli rano do sali, był przemarznięty do szpiku kości, zasmarkany i śmierdział własnymi sikami. Powiedział o tym swojej młodej żonie już podczas jednej z pierwszych wspólnych nocy.

- Wszystko przez to, że byłem mały! - syknął ze złością, drżąc w jej objęciach. - A w dodatku uważali mnie za Irlandczyka!

Richard i Marianne, wraz ze służącym, pokojówką i niańką dla Mab, podróżowali od jednego kurortu do drugiego, czekając, aż będą mogli objąć posiadłość w Irlandii. W wieczorowych strojach każdego dnia schodzili do wspaniale dekorowanych sal restauracyjnych i zajmowali miejsca przy stole naprzeciwko siebie. Kiedy zaczął jej wypominać małomówność, odparła ze zdziwieniem:

- Przecież powtarzałeś, że bardzo ci to odpowiada!

- Lepiej napij się trochę wina, panienko - rzekł. - I uśmiechnij się do tamtych starszych dam. Zapamiętaj sobie, że masz się uśmiechać! Nawet jeśli nudzisz się niepomierne.

Byli w Carlsbadzie, Homburgu i Baden. Pierwszą rocznicę ślubu obchodzili w Bagni di Lucca i tam właśnie, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, Marianne stała się w łóżku równoprawną partnerką Richarda. Bogactwo intymnych doznań odmieniło jej stosunek do męża. W czasie spacerów po niewielkim uzdrowisku pełnym wspaniałych kasztanowców w zaufaniu wyznała mężowi, jak bardzo dłużyły jej się lata dzieciństwa, kiedy czuła się najbardziej osamotnionym dzieckiem w domu przy Harley Street. Opowiedziała o swoich najstarszych wspomnieniach, o nie kończącym się oczekiwaniu na powrót matki, ponieważ nikt jej nie powiedział, że matka zmarła na febrę, gdy ona miała trzy latka, i wyrazie dogłębnego obrzydzenia na twarzy spoglądającego na nią z góry ojca, który odnalazłszy córkę wędrującą z zaciekawieniem po korytarzach olbrzymiego domu, natychmiast pociągnął za sznur dzwonka ukryty za otomaną i rozkazał:

- Proszę zabrać to dziecko, Horton, i dopilnować, aby nie wychodziło poza dziecięce piętro, dopóki nie polecę inaczej.

Opowiedziała Richardowi ze szczegółami, jak nawiązała bliższy kontakt z ojcem dopiero w starszym wieku, kiedy poznała już trochę łacinę i postanowiła ostentacyjnie wybierać z biblioteki poważne dzieła zamiast literatury dla dzieci.

- Kiedy miałam piętnaście lat, poprosiłam ojca, aby pozwolił mi uczestniczyć w cyklu odczytów o angielskiej poezji, i uzyskałam jego zgodę. Pokojówka, która mi towarzyszyła, wyznała później, że jeszcze nigdy tyle nie wycierpiała, bo ławki w Athenaeum są takie niewygodne! Zrozum jednak, Richardzie, że ojciec niemile widział moje nauki tańca, a ja miałam tak mało okazji, by porozmawiać z innymi dziewczętami, nie miałam też rodzeństwa. Dlatego pokochałam poezję, gdyż bardzo rzadko w moim pokoju bywali goście. Zresztą ojcu zależało na tym, abym została sawantką. Gdyby ciotka Paget nie gościła mnie u siebie przez miesiąc każdej zimy, pewnie nawet nie poznałabym świata poza książkami i rzadkimi rozmowami z ojcem. W ogóle nie miałam pojęcia o strojach! Nie znałam się na niczym!

Ale nawet w tajemnicy nie wyznała Richardowi, że z rozpaczą myślała o konieczności zamążpójścia, dopóki on nie poprosił o jej rękę. Uważała się za zbyt wysoką i mocno zbudowaną, bo tak mówił jej ojciec. Nawet pani Horton, od początku pełniąca funkcję niani, niemalże załamywała ręce, kiedy ją ubierała przed którymś z owych trzech czy czterech wieczorów w ciągu roku, gdy ciocia Paget zabierała ją na tańce. Ojciec w ogóle nie prowadził życia towarzyskiego i wyznaczył córce bardzo skromny posag. Gdyby Richard Talbot nie poprosił o jej rękę, zapewne resztę życia spędziłaby z ojcem w samotności.

I jeszcze narodziny Mab! W tym celu została przewieziona do *ospedale* w Luccie. Nikt jej nie uprzedził, co ją czeka. Ponownie przeżyła szok, lecz i tym razem przemieszany z ekscytacją. Przez pierwszy rok macierzyństwa bardzo mało spała, bez reszty pochłonięta swoim maleństwem. Te rączki! Uszka! Pызate policzki! Fałdki skóry na drobnych serdelkowatych nóżkach, pomiędzy których w przyszłości miało się wyłonić na świat kolejne dziecko... Marianne ledwie mogła uwierzyć w cud, jaki dokonał się w jej ciele i doprowadził do narodzin małej istotki. Spoważniała i nabrała dystansu do wielu spraw, zapomniała nawet o urazie do ojca, który od chwili ślubu bardzo rzadko odpisywał na jej listy. Richard zaś korzystał niemal bez umiaru z jej obfitych wdzięków.

Wreszcie nadszedł czas przyjazdu do Irlandii. Wszyscy wokoło mówili tylko o śmierci, zniszczeniu i zarazie, a Letitia i jej przyjaciółki bez przerwy trzymały się razem, jakby znalazły się w oblężeniu. Perspektywę zamieszkania w bliskim sąsiedztwie Letitii Marianne uznała początkowo za podniecającą, gdyż w jej majątku działo się tyle ciekawych rzeczy. Ale szybko wyszło na jaw, że Mount Talbot jest niemalże odcięte od świata. Nawet ta izolacja w pierwszej chwili jej nie odstraszyła. Od czasu do czasu sadzała małą Mab na jedwabnych poduszkach na parapecie okna sali balowej i z drugiego końca deklamowała jej na głos wszystkie wiersze, których niegdyś nauczyła się na pamięć. Nie przeszkadzało jej, że parkiet w wielu miejscach wypaczył się od wilgoci, a część szyb w wysokich poszarzałych ze starości oknach jest popękana, gdyż przypominało jej to pobyt w baśniowym zamczysku. Podniosłym tonem przemawiała do patrzącej na nią wielkimi oczami córeczki:

Długo błąkać się będziemy

Po ostatnim brzasku,

W sercach miłość zaś znajdziemy

W księżycowym blasku...

W przestronnej sali echo powtarzało rytmiczne słowa, a Mab zaśmiewała się w głos z niezwykłości tego zjawiska, aż Marianne nie mogła dłużej wytrzymać z dala od niej, podbiegała do okna, chwyciła małą w ramiona, tuliła do siebie i szeptała:

- Czy wiesz, kto jest twoją mamusią, szkrabie najdroższy?

To od służby w domu przy Harley Street nauczyła się wszystkich czułych słów, jakie matki powtarzają swoim dzieciom, bo jeśli tylko nie jadała obiadów w towarzystwie ojca, z przyjemnością podsłuchiwała rozmowy dobiegające spod schodów.

Przyjaźń między małżonkami trwała dosyć długo. Marianne nauczyła się prawidłowo oceniać reakcje męża.

- Ci robotnicy wyglądają jak dzikusy! - mówiła mu szczerze, czym wzbudzała jego pobłażliwy uśmiech. Albo żaliła się, tuląc głowę do jego ramienia: - Wciąż pozostaje bardzo wielu żebraków pod murami naszej posiadłości, Richardzie. - Na co opiekuńczo obejmował ją mocniej. Czy też: - Nie znoszę wyjeżdżać główną bramą do miasta, bo gdy Mab wychyla się na zewnątrz, mam obawy, że któryś z nich mógłby ją dotknąć.

- Więc może lepiej w ogóle nie wychodzić poza mury, moja droga.

- Och, Richardzie, przecież muszę obejrzeć najnowsze towary, jakie przysły do sklepu pana Hurleya! Mab tak szybko rośnie! Ponadto tęsknię za Whiteleyem. Papa pozwalał mi z panią Horton odwiedzać Imperium Whiteleya kilka razy w tygodniu.

Z kolei Richard mówił jej na przykład:

- W okresie największego głodu Hurley przejął wszystkie ugory za wielkim torfowiskiem. Barlow mówi, że oferował ubrania i bilety na kolej do Dublina każdemu, kto godził się podpisać akt darowizny ziemi. Stary Treadwell udał się na rozmowę z nim, gdy ostatnio jechaliśmy na polowanie. Podobno Treadwellowie osiedli w tej nędznej krainie jeszcze za dobrych czasów królowej Elżbietki. To śmieszne, że muszę prosić Hurleya o zgodę, chcąc urządzić polowanie.

Na początku tak właśnie rozmawiali ze sobą o codziennych sprawach.

Angielska akuszerka, która opiekowała się Marianne w położu, po odebraniu dziecka i stwierdzeniu, że jest to dziewczynka, poradziła:

- Najlepiej leżeć spokojnie, gdy mąż będzie składał w pani swoje nasienie, w ogóle się nie poruszać. W ten sposób wydaje się na świat chłopców.

Marianne powiedziała o tym Richardowi i od tamtej pory na dłużej trwali bez ruchu w swych objęciach, czasami z powagą, kiedy indziej śmiejąc się w głos.

Nadzieja na powtórne zajście w ciążę kazała jej myśleć z troską o przyszłości, bo w Irlandii nastały bardzo ciężkie czasy.

- Wszystkie panie powtarzają to samo - rzekła któregoś dnia mężowi. - W tym kraju damy nie mają żadnych specjalnych zajęć, a zwłaszcza w tych rejonach. Trudno nawet składać sobie wzajemnie wizyty. Panie Treadwell i lady Coby robią wiele dobrych uczynków, wielbny McClelland potrafi godzinami opowiadać o ich poświęceniu, o zupie, którą rozdawały głodującym w okresie zarazy ziemniaczanej, i temu podobnych. Ale to są już starsze panie, Richardzie. Ja czuję się jeszcze młoda, poza tym muszę się opiekować Mabbie. A Mount Talbot leży w tak dzikiej i odludnej krainie. Gdyby w okolicy mieszkały inne panie, mogłybyśmy uczynić coś wspólnie, na przykład odwiedzać chorych...

- Nie zapominaj, że oprócz córki musisz się także troszczyć o mnie - odparł, poklepując jej pulchne ramię swą małą twardą dłonią. - Niech to będzie twoim podstawowym zajęciem, moja droga.

Mab odziedziczyła po ojcu drobną budowę ciała. Włosy miała ciemnorude o sinawym odcieniu, co stało się jednym z głównych tematów plotek, jak tylko przyszła na świat. Wszyscy ją bardzo lubili. Była jedyną osobą w Mount Talbot, dla której nie istniały ograniczenia. Mogła równie dobrze się bawić na podeście schodów w głównym holu, jak i na tylnych schodach dla służby. Bardzo kochała oboje swoich rodziców, lecz tak samo kochała Mary Anne Benn, Hester Keogh i Marię Mooney, pana Barlowa, lokaja, i Benna, majordomusa, swoją nianię, Margaret, chłopców Boylana opiekujących się ogniem w kominku, pana Coopera, będącego wówczas głównym stajennym, czy też Mullana, jego pomocnika, oraz Lolly, jego psa. Kiedy Marianne pewnego razu usłyszała wieczorną modlitwę swej córki, w której polecała ona boskiej opiece wymienianych z imienia i nazwiska ludzi pracujących w Mount Talbot, uświadomiła sobie, że sama nie zna wszystkich pełniących służbę w Mount Talbot. Poza tym zaskoczyła ją łatwość, z jaką Mab miesza nazwiska irlandzkie i angielskie, podczas gdy Richard, mimo że spędził wczesną młodość w tym kraju, wciąż miał olbrzymie kłopoty z właściwym irlandzkim akcentem.

To, że córka zna dokładnie wszystkich pracujących w majątku, stało się dla Marianne powodem do dumy. Mała potrafiła nawet wymienić imiona dziewcząt ze wsi na torfowisku, które przychodziły do pomocy tylko przy praniu. Niestety nie miała się komu tym pochwalić.

Co więcej, Mab знаła również niektórych mieszkańców miasteczka, gdyż parokrotnie pozwalano jej w towarzystwie pani Benn oraz niani wyruszać z mężczyznami po zakupy. Była obwożona po okolicy niczym królowa. Potrafiła jednym tchem wyrecytować imiona zwierząt domowych, swojego osiołka, psów kuchennych i stajennych, jak również koni w stajniach, oswojonej kawki pani Benn, królików, które pani Tracy trzymała w klatkach za komórką na tyłach domu, dwóch kundli starego pana Boylana i wręcz niezliczonej liczby innych zwierząt i ptaków. Dla wszystkich znajdowała miejsce w swych modlitwach.

- Mama! - krzyczała, dając nura pod ciężką orientalną kotarą zawieszoną w przejściu do niewielkiej bawialni Marianne, żeby nie marnować czasu odsuwaniem jej na bok. - Mama! Kwoki znowu weszły do kuchni! Pani Benn musiała je wyganiać!

- Nie mów „kwoki”, Mabbie, tylko „kury”.

- Mama! Czy mogę iść z panią Tracy do jej domu, jak będzie wychodziła na przerwę? Ma lalkę, którą się bawiła, gdy była taka mała jak ja. Jej brat wystrugał ją z drewna.

Niecierpliwie skakała przy tym po starym perskim dywanie w niebieskie i różowe cętki, rozjaśniającym nieco mroczny pokój.

Wysokie okna o grubych ciężkich ramach wychodziły na rozległy teren porośnięty bujną zdziczałą trawą, dawniej będący dworskim parkiem. Ciotka Richarda bardzo się troszczyła o swój ogród, rywalizując z kuzynką Letitią mieszkającą trzydzieści kilometrów dalej na wschód oraz lady Coby, której majątek był oddalony o trzydzieści kilometrów na południe. Ale Richard z powodów finansowych już pierwszego dnia pobytu w Mount Talbot wymówił pracę obu ogrodnikom oraz trojgu najstarszych ludzi ze służby. Tylko jeden ogrodnik wyjechał do Dublina. Pozostała czwórka nadal żywiła się w dworskiej kuchni, a dwoje starszusków wciąż zajmowało niewielki przytulny pokój ukryty pod okapem krużganka wychodzącego na dawny park dzikich zwierząt. Richard nigdy się o tym nie dowiedział.

Ogrodnicy należeli do pokolenia mówiącego wyłącznie po irlandzku, w odróżnieniu od dworskiej służby, która albo pochodziła z Anglii, albo znała angielski. Ale na terenach okalających dom nawet ci ludzie porozumiewali się między sobą po irlandzku. I Mab szybko się od nich uczyła.

- *A Dheaide!* - wykrzykiwała radośnie na widok ojca. - *A Dheaide!*

Nie zdawała sobie nawet sprawy, że wita go po irlandzku.

A Richard uskarżał się na to Marianne:

- *Ajadda! Ajadda!* Co to za bełkot?! Wydaj polecenie, żeby w tym domu mówiono wyłącznie po angielsku! Będzie to dla mnie głównym warunkiem dalszego zatrudnienia! Kiedy nasi rodacy wracają do ojczyzny z Indii, ich dzieci w najmniejszym stopniu nie przypominają małych Hindusów. A Mab jest Angielką! - powtarzał z naciskiem. - Małym angielskim różanym pączuszkciem!

Marianne pisywała do ojca prawie co tydzień. Przyjście na świat wnuczki stało się pierwszą rzeczą, która zwróciła jego uwagę w stronę córki. Niemniej wyraźnie dawał do zrozumienia, iż wkrótce życzy sobie także wnuka.

Marianne pisała:

„Mab jest całym moim szczęściem, szybkim jak błyskawica. Wszystko robi w zadziwiającym tempie. Odmieniła cały dom, chociaż jest jeszcze małą dziewczynką, a dwór ma dwadzieścia czy nawet trzydzieści pokoi. Lady Coby mówi, że za życia wuja Richarda było to mroczne i ponure domostwo. Ale teraz wszędzie jest pełno Mabbie - tańczy, skacze i ślizga się, nawet jeśli oboje z Richardem nakazujemy, aby uważała. Jej głośny śmiech rozbrzmiewa po całych dniach!”.

Wieczorami Marianne odsyłała wszystkich, po czym odmawiała modlitwę razem z córką i układała ją w łóżeczku pośród zabawek. Często siedziała przy niej do późna, wciąż nie mogąc się nadziwić, że dzieci zasypiają z taką łatwością, w czasie trwania jednego głębszego oddechu. Uważnie przyglądała się małej, jej harmo-

nijnie osadzonym oczom pod łukami brwi, delikatnym cieniem znaczącym kształtne policzki, wykrojowi warg czy palców; podziwiała lekkie zagłębienie na karku ginące pod włosami stanowiącymi powód jej dumy i radości.

Pisała do ojca:

„Jej włosy są tak niezwykle, że wciąż nie możemy odgadnąć, po kim je odziedziczyła. Richard ma włosy słomkowoblonde i do tego, ośmielę się zauważyć, dość znacznie przerzedzone. Moje loki także nie budziły nigdy niczyjzego zachwytu. Jednakże na widok naszej córki wszyscy goście powtarzają, że ma najpiękniejsze włosy, jakie zdarzyło im się kiedykolwiek widzieć. Lady Coby już dawno temu orzekła, że odcieniem przypomina palony cukier”.

Ale gdy Mab szła spać, Marianne nie miała już nic więcej do roboty. Latem układała córkę w łóżeczku jeszcze przy dziennym świetle, za to zimą dużo wcześniej robiło się ciemno i do pokoju wkradał się nocny chłód. Richard nie interesował się muzyką, w dodatku pianino było w bardzo kiepskim stanie od wilgoci. Siadali więc obok siebie przy kominku. On stawiał pod ręką swoją karafkę porto, ona sięgała po tamborek do haftowania albo jeden z tomików poezji, które przywiozła ze sobą - poza nimi w domu nie było innych książek, nie licząc genealogii angielskich parów, kilku zbiorów pamfletów o zwierzętach hodowlanych oraz biblii. Najczęściej jednak pograżała się w marzeniach, udając tylko, że czyta lub haftuje. Jeśli Richard przebywał poza domem, wcześniej kładła się spać. Niekiedy wychodząc z pokoju Mab na poddaszu, słyszała bębnienie deszczu o dach czy też zawodzenie wiatru za oknami. Szła wtedy bez pośpiechu korytarzem, osłaniając dłonią płomień świecy, i niemal podświadomie szeptała do siebie:

- I co ja mam teraz robić? Co mam robić?

Miała wówczas dopiero dwadzieścia sześć lat.

Nie lubiła krążyć po całym domu. Nie obejrzawszy nawet pomieszczeń, kazała pani Benn zamknąć na głucho oba piętra jednego skrzydła. Richard powtarzał jej nieraz, iż nie jest wykluczone, że będą musieli stąd wyjechać, bo nie ma i zapewne nigdy nie będzie wystarczająco wielu podatników w okręgu, żeby zapewnić schronienie i wyżywienie całej biedocie. Nawet jeśli sytuacja się poprawi, mówił, to tylko dla miejscowej ludności, lecz na niekorzyść ziemiaństwu.

Pod koniec 1848 roku nie było już trupów na drogach i w rowach, chociaż kości można było spotkać w najmniej oczekiwanych miejscach - wystające z ziemi na zboczach, pod samotną kępą krzaków na środku pola czy na tyłach zrujnowanego budynku, w którym niegdyś mieścił się sklep. Nadal umierało wielu Irlandczyków, ale teraz konali przeważnie w swoich domach, w czworakach czy dodatkowych przytułkach dla ubogich. Przez cały czas trudno było zapomnieć o niedawnej zarazie. Po posiedzeniach rady okręgowej albo magistratu, w którym Richard zasiadał wraz z dwoma lub trzema kupcami pozostałymi jeszcze w miasteczku, kiedy schodził po kamiennych schodach gmachu sądu, otaczała go rzesza żywych szkieletów, spoglądających nań w milczeniu, co najwyżej tylko szepczących:

- Milordzie! Milordzie! Pewnego razu powiedział Marianne:

- W ich ustach to brzmi jak przekleństwo. Prawdę mówiąc, w takich chwilach sam miałbym ochotę ich przeklinać!

Za murami posiadłości życie upływało jednak bez większych trosk. Ciszę przerywał głośny śmiech Mab czy nawoływania jej matki. Z kuchni dolatywały apetyczne zapachy obiadu szykowanego na stół państwa Talbotów. Od strony stajni dolatywało szczekanie małej suczki Mullana, Lolly. Stajenny nigdy nie wypuszczał jej samej na dziedziniec. W owych czasach powszechnie mówiło się o tym, iż żyjące na torfowiskach bezpańskie psy są nadzwyczaj utuczone. Krążyły plotki, że w niektórych oddalonych osadach właśnie psy tak dokładnie ogryzły i poroznosiły ludzkie kości, że nawet nie sposób policzyć zmarłych. Tak więc Mullan nie chciał, by jego suczka zadawała się z takimi psami.

Marianne pisała do ojca:

Byłam dzisiaj w mieście po kilka drobnych sprawunków. Odnosiłam wrażenie, że śnię. Sklepy wyglądają tu podobnie jak w Londynie, tyle że nie ma w nich prawie żadnych towarów. Przy głównej ulicy wiodącej do rynku domy są eleganckie, z szyldami różnych profesji, ale drzwi do większości z nich nadal pozostają zabite deskami. Niemniej szanuje się cudzą własność. A jarmark na Zielone Świątki przyciągnął tłum dobrze ubranych ludzi. Gmach sądu jest bardzo okazały, obłożony piaskowcem, podobny do tych, jakie spotyka się w mniejszych angielskich miasteczkach. Richard cieszy się, że uchwalono petycję o przywrócenie stanowiska konstabla w Ballygall, bo dotąd najbliższy posterunek znajduje się dopiero w sąsiednim hrabstwie. Boi się zamieszek wśród miejscowej ludności. Mówi, że chociaż w rejonie panuje wyjątkowy spokój, to jednak Patryki są szczególnie pobudliwe.

Kończąc jeszcze to zdanie, pomyślała, że taki zwrot powinien na ojcu zrobić spore wrażenie.

„Patryki są szczególnie pobudliwe”.

Zaraz jednak uświadomiła sobie, iż żadne wiadomości z Irlandii nie mogą robić wrażenia w Londynie.

Co tydzień Mullan wkładał jej listy do skórzanej torby i wyruszał z Mount Talbot aż do stacji pocztowej w Ballaghderreen, skąd zabierał całą korespondencję kierowaną do majątku. A poczta dopiero od niedawna zaczęła na nowo funkcjonować po rocznej z górą przerwie. Działalność została zawieszona, jak oświadczył pocztmistrz Mullanowi, nie dlatego, że w odludnych rejonach nędzarze kładli się w poprzek drogi i zebrali o pomoc, i nie dlatego, że po nocach trudno było zapewnić koniom pocztowym ochronę przed wygłodzonymi ludźmi, ale wyłącznie z powodu trudności ze znalezieniem w północno-zachodniej Irlandii wystarczająco silnych mężczyzn do tej służby. Było to dość prawdopodobne. W końcu najsilniejsi wyemigrowali na samym początku; ci, którzy zostali - którzy uważali się za szczęśliwców, bo w ramach robót interwencyjnych znaleźli zatrudnienie przy budowie drogi wokół jeziora - ledwie mogli utrzymać w rękę młotek.

Nastał nowy rok. Na początku lutego 1849 roku - a więc pod koniec zimy, w okresie, gdy Mount Talbot z powodu nieprzychylniej pogody, krótkich dni i rozmiękłych dróg było niemal całkiem odcięte od świata - Marianne poczuła się tak straszliwie osamotniona, że nie miała już siły zżymać się na to. Rankiem odsuwała zasłonkę przy łóżku i spoglądała przez okno na poszarzały las nad jeziorem. W wietrzne dni suche liście podrywały się z ziemi i tworzyły wielkie wirujące kłębowiska wzlatujące do nieba. Kiedy indziej zaś musiała czekać, aż chimeryczne słońce oczyści szyby z mrozu, by ukazać jej zeszywniałą i połyskującą szronem trawę oraz czarne kikuty drzew.

Tego ranka zadzwoniła po herbatę. Była w rozmarzonym, poetycznym nastroju. Zaczęła po cichu recytować swojego ukochanego Shelleya:

- *To ja jestem córką Ziemi i Wody, ja jestem wychowanką Nieba...*

Te słowa podziały na nią kojąco, jakby ktoś utulił ją w ramionach.

- *Przeciskam się porami lądów i oceanów; nie umieram, chociaż wciąż się zmieniam...*

Richard usłyszał jej głos przez otwarte drzwi swojej garderoby, gdzie właśnie się golił.

- Co mówiłaś, Marianne?

- To wiersz, Richardzie. Bardzo znany. Napisał go poeta Shelley, który zmarł młodo.

- Słyszałem o Shelleyu. Przyjechał do Dublina za życia mojego dziadka i buntował Irlandczyków do wzniesienia powstania. Nie wątpię, że konstable mieli wiele do powiedzenia temu nieokrzesanemu szczeniakowi.

- Patrzyłeś na las, Richardzie? Shelley napisał o liściach, że są jak „tłum porażony zarazą”. Czy to nie piękne?

- Prawdziwą zarazę można znaleźć tuż za murem tej posiadłości. Bardziej przydałyby się na nią twoje modlitwy niż poezje.

Wszedł do sypialni, obcasami starannie wyczyszczonych podkutych butów stukając rytmicznie o deski, jakby w tańcu. Stał na palcach i popatrzył na swoje odbicie w poszarzałym lustrze, któremu brakowało połowy rzeźbionej ramy. Szybkimi pociągnięciami dwóch grzebieni zaczesał włosy do tyłu, po czym ułożył brzeg marszczonej koszuli nad paskiem spodni. Dopiero wtedy podszedł do łóżka i z uśmiechem pochylił się nad żoną.

- Ach ty, frywolna dziewczko! Mam rację? Jesteś frywolna? Odwróć się!

Marianne posłusznie przekręciła się na brzuch. Ale Richard tylko uniósł głowę i szybko naciągnął kołdrę na jej nagie pośladki.

Usłyszał szybkie kroczki Mab biegnącej korytarzem w kierunku ich sypialni - tupanie to stawało się głośniejsze na odsłoniętych fragmentach podłogi, to znów cichło na dywanach. Uśmiechnął się szeroko, gdy Marianne również to usłyszawszy, uniosła się na łokciu. Mała uwielbiała w kółko powtarzać niektóre zabawy z rodzicami.

Po chwili ostrożnie wyjrzała zza uchylonych drzwi.

- Wiesz co, Marianne? - odezwał się Richard. - Wydaje mi się, że przed momentem widziałem jakąś dziewczynkę.

- Dziewczynkę, Richardzie? Nie przypominam sobie, aby w naszym domu była jakaś mała dziewczynka. W każdym razie ja jej nie widuję.

- Nieprawda! Widujesz, mamó! Widujesz! - zawołała Mab, wpadając jak bomba do pokoju. - To ja jestem tą małą dziewczynką!

Ojciec rozłożył szeroko ręce, chwycił ją w ramiona i ucałował serdecznie.

- Po spotkaniu Rady Gwardyjskiej zjem dziś obiad u Coby - odezwał się do żony. - Tak więc nie czekaj na mnie. Zamierzam wytłumaczyć lady Coby, że z powodu złej pogody w ogóle nie ruszasz się z domu.

Wszedł szybko.

Wkrótce z korytarza doleciał głos Hester Keogh rozmawiającej z kuchennym pomywaczem. Do zadań chłopaka należało rozpalanie ognia w sypialni i wynoszenie pełnego nocnika. Później zaś Hessa miała jej przy-

nieść świeże bułeczki, gotowane jajka i herbatę, następnie zejść na dół i po godzinie wrócić z gorącą wodą do kąpieli.

Marianne nie zostało nic do zrobienia oprócz nadzorowania Mab podczas lekcji religii, pisania listów i czytania książek - przez cały ranek. Jak również popołudnie, skoro Richard miał jeść obiad poza domem.

Pani Benn zapukała i weszła do środka.

- Trzeba przyszykować dom na przyjęcie mego ojca - powiedziała Marianne gospodyni. - Będzie mu towarzyszył lokaj...

Pani Benn nawet nie przystanęła, idąc przez pokój.

- Jesteśmy zawsze gotowi do przyjęcia każdego grona gości - odparła. - Pan Talbot już wydał wszelkie dyspozycje dotyczące posiłków. Kazał przynieść najlepsze wino z piwnicy i naszykować paszę dla koni pana McCauslanda.

Marianne pogłaskała Mabbie po główce i odruchowo wzruszyła ramionami. Zależało jej na tym, żeby ojciec wywiózł z Mount Talbot jak najlepsze wrażenia, lecz przede wszystkim chciała mu pokazać wnuczkę. Uważała swą córkę za piękniejszą od większości jej rówieśniczek w Imperium, z nadzieją więc myślała o zdumieniu, jakie na widok małej powinno się odmalować na twarzy ojca. A później mógł już sobie wracać do Londynu. Teraz świetnie rozumiała, jak straszliwą rzeczą z jego strony było pozostawienie jej bez żadnych wyjaśnień dotyczących nagłego zniknięcia matki, bo bez niej czuła się boleśnie osamotniona. Przecież Mab bez przerwy domagała się dowodów matczynej miłości, jakby były jej niezbędne do życia! Poza tym to ojciec zgodził się ją wydać za Irlandczyka, więc jeśli w Irlandii mu się nie podobało, nie było w tym jej winy. Nie zamierzała odgrywać roli tłumaczki, w końcu sama nie miała pojęcia, o czym rozmawiają czy śpiewają ludzie ze służby. Nie zamierzała też ojcu nadskakiwać. Nie mogła mu przedstawić żadnego tutejszego towarzystwa. Miała w okolicy opinię sawantki, ponieważ nie uprawiała ogrodu i nie jeździła konno, toteż nikt z wyjątkiem kuzynki Letitii oraz Coby nie zadawał sobie trudu, by składać jej wizyty, a przecież państwo Coby i tak nosili się z zamiarem sprzedaży majątku...

Ale to właśnie przybyły z Londynu pan McCausland pierwszy zauważył, że z Mab dzieje się coś złego. Tego dnia poprosili panią Benn o kilka kostek cukru dla osiołka, wyszli po schodach z bawialni i ruszyli małą zadaszoną werandą na tyłach domu w kierunku stajni. Kiedy dziadek obejrzał się, żeby sprawdzić, czy wnuczka idzie za nimi, dostrzegł, że mała kuleje.

- Dlaczego to dziecko utyka? - zapytał Marianne.

W tym samym momencie podążająca z tyłu Mab uniosła głowę i popatrzyła na nich. Matka natychmiast zauważyła na jej pobladłej buzi dziwny cień. Dziewczynka miała oczy szeroko otwarte, lecz jakby niczego nie widziała, koncentrując się na własnych myślach. Marszczyła czoło, a jej policzki wyraźnie się zapadły. Na pewno nie było to złudzenie spowodowane półmrokiem panującym na werandzie, bo gdy zrobiła kilka niepewnych kroków, żeby ich dogonić, jeszcze bardziej zmarszczyła brwi. Sprawiała wrażenie, jakby nagle bardzo się postarzała.

Marianne stała jak sparaliżowana, śmiertelny strach chwycił ją za serce. Otworzyła usta, lecz nie mogła wydusić z siebie jednego słowa.

- Mamo! - jęknęła Mab. - Boli!

- W takim razie trzeba cię zawieźć do doktora - oznajmił pan McCausland. - Już on sprawi, że ból minie.

Ale matka i córka chyba w ogóle go nie słyszały. Mab w napięciu wpatrywała się w twarz Marianne, która z kolei patrzyła na nią z przerażeniem w oczach. Po chwili osunęła się na kolana, objęła małą i przytuliła jej główkę do swego policzka.

Kiedy podniosła wzrok na ojca, poleciła:

- Każ natychmiast przyprowadzić tu dziecięcy wózek. Niech Cooper jedzie do doktora Maddena i nie wraca bez niego. Powiedz też Benn, żeby pootwierała okna w palarni i napuściła do domu świeżego powietrza.

Na parę minut zostały same, utulone w objęciach.

Wkrótce Mullan delikatnie podniósł owinięte płaszczem dziecko, usadowił je w spacerowym wózku i bardzo powoli zaczął go ostrożnie popychać z powrotem w kierunku domu. Mab wykręciła główkę i obejrzała się na matkę, ale ta szła na miękkich nogach tuż przy wózku i przyglądała jej się uważnie. Aż do schodów nawzajem nie spuszczały z siebie wzroku.

Mab ciężko chorowała prawie przez cztery miesiące. Kiedy po raz pierwszy o własnych siłach zeszła po kamiennych schodach przed domem - bardzo powoli, bez przerwy oglądając się na matkę - była bardzo odmieniona. Miała włosy ciemnoblonde i matowe, bez rudawego połysku. Była znacznie wyższa, ale bardzo szczupła i poruszała się niepewnie. Nie śmiała się już tak zaraźliwie. A wraz z nią odmienił się cały majątek. W wielu miejscach trawniki świeciły łysinami, pieniły się chwasty. Wraz z nastaniem lata większość pracowników zrezygnowała ze służby i z drugą falą uchodźców wyemigrowała do Ameryki. Wiadomo było powszechnie, że Talbotowie nie wydzierżwiają już nikomu ziemi. Po wielu latach zarazy ludzie w ogóle przestali sadzić ziemniaki. Hodowano je w majątku, a plony przechowywano w piwnicy pod domem, skąd biedota nie mogła ich wykraść. Drobni dzierżawcy natomiast masowo porzucali uprawianą ziemię.

Nawet Mab wyczuwała dokonujące się wokół zmiany na gorsze.

- Mamo! Zimno mi! Chcę wracać, a jestem już za duża, żeby jeździć wózkiem...

Niespodziewanie wybuchnęła płaczem.

Później tego samego dnia pani Talbot ponownie zbiegła z werandy, przystanęła na skraju błotnistego dziedzińca stajennego i zawołała Mullana:

- Williamie!

Zbiegł po schodkach ze swego pokoiku mieszczącego się nad pierwszą narożną stajnią. Włosy miał mokre, gdyż wcześniej mył je pod pompą.

- Słucham, panienko.

Oboje byli młodzi i pełni energii, ale na tym kończyły się wszelkie podobieństwa. Chudy jak tyka Irlandczyk miał na sobie powycierane ubranie robocze, a jego buty - używane z wyprzedaży i wyraźnie na niego za małe - pękały już na piętach. Ona była jeszcze pulchniejsza niż w dniu przyjazdu do Mount Talbot, poruszała się statecznie i nosiła bogate stroje - miała kaszmirowy szal narzucony na aksamitny żakiet i marszczoną spódnicę z czarnego jedwabiu obszytą czarną koronką.

- Mab podejrzewa, że jej osiołek zdechł. Czy to prawda?

- Tak, madam. Nie chciał słomy, a nie można go było wyprowadzić na pastwisko, żeby go nie ukradli.

Mówił powoli, cedząc słowa, bo chociaż uczył się trochę języka od wędrownego bakałarza i od lat przebywał wśród służby znającej angielski, to jednak na co dzień posługiwał się irlandzkim.

- Lepiej powiedz jej, że oddałeś go innemu dziecku, małemu. I postaraj się jak najszybciej kupić drugiego osiołka.

- Wydaje mi się, madam, że pan Cooper powtarzał słowa pana, mówiąc, że panienska Mab powinna już jeździć na kucyku, trochę żywszym od osiołka.

Marianne spojrzała mu w oczy. Była gotowa uczynić wszystko dla dobra córki. Mullan szybko spuścił wzrok. Wbił mu się w pamięć kształtny zarys jej warg w delikatnym odcieniu różu, ciemniejącym od strony ust.

- Powiedzmy, że w tej chwili nie ma w majątku odpowiedniego dla niej kuczka - odparła. - Założmy również, że panienska Mab byłoby znacznie przyjemniej, gdyby w stajni znów pojawił się osiołek.

Podniósł głowę i spojrzał na nią. Nie bardzo rozumiał, co może oznaczać szczególny akcent kładziony na niektóre słowa, domyślił się jednak po jej tonie i pytającym przekrzywieniu głowy, że powinien odgadnąć jej intencje. W gruncie rzeczy były przecież oczywiste.

- Jest kilka starych osłów, co blakają się po torfowiskach. Nie powinny sprawiać kłopotów w stajni.

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Powiem pani Benn, aby zawiadomiła panienskę, że oddaliśmy jej osiołka innej dziewczynce, takiej samej małej, jak ona - dodał. - I że już niedługo będzie w majątku nowy osioł.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że ten chłopak jest aż tak przystojny - przemknęło przez myśl Marianne.

Tymczasem William podziwiał jej cerę. Często przebywał w pobliżu dam, w tym także pani Talbot: przynosił bagaże, pomagał wsiadać i wysiadać z powozu. Ale dopiero teraz przyszło mu do głowy, że nie do każdej pasuje określenie „jedwabista skóra”, bo niektóre mają cerę gładszą od jedwabiu.

W tym okresie Marianne rzadko wychodziła ze swej sypialni w pogodnym nastroju. Zima wyjątkowo jej się dłużyła. Co prawda nie unikała zbliżeń fizycznych z mężem w czasie choroby córki, dała jednak do zrozumienia, że ulega mu niechętnie. To go rozzłościło. Za kogo ona się uważała, stroniąc od niego, kiedy nie mieli jeszcze syna?

Zima była mroźna i śnieżna, poprzedniego lata nie zdołali zgromadzić wystarczających zapasów torfu, a większość drwali uciekła do Ameryki, toteż nigdzie w domu nie mógł sobie znaleźć przytulnego miejsca. Bar Templetona i „Castle Strange” zostały zamknięte z nakazu Sądu Roszczeń Majątkowych, musiał więc jeździć teraz po trzydzięci kilometrów, chcąc pograć w karty. Tymczasem Marianne tyła coraz bardziej. Pewnego wieczoru zebrał w garść grubą fałdę na jej brzuchu, ścisnął silnie i zapytał na głos, jak można oczekiwać syna od takiej spasionej świni. Co prawda rano przeprosił żonę, tłumacząc mętnie, że wieczorne wino źle na niego podziało, dlatego zachował się niestosownie. Mimo to nie istniał żaden konkretny powód, dla którego zaczęli do późna wylegiwać się w łóżkach, wstawać koło południa i witać się jedynie zdawkowym dzień dobry.

Marianne lubiła zapach niektórych egzotycznych drzew w oranżerii, aromat gruszek suszących się na ogrzewanym murze ogradzającym wewnętrzny ogród czy woń obrabianego drewna w stolarni, chociaż ostatnio

bardzo rzadko cokolwiek tam robiono. Lubiała też zapach stajni i koni, mimo że nie jeździła konno. Nie znosiła za to smrodu przesiąkniętych kurzem zasłon wokół łóżka.

- Nie rozumiem, po co kupować nowe zasłony - zdziwił się Richard. - Szkoda na to pieniędzy. Miną lata, zanim majątek wróci do poprzedniej świetności po stratach, jakie spowodowała zaraza. Tracy musi jeździć aż do Mayo, żeby znaleźć ludzi chętnych do pracy na polach, a i ci nie zostaną na dłużej, nawet za najwyższą zapłatę. Za pierwsze zarobione pieniądze kupują bilety na statek i emigrują do Ameryki...

Kiedy ponownie zostały otwarte sklepy przy rynku, w Ballygall pozostała już tylko połowa mieszkańców. Domy nie były już pozabijane deskami, ale porzucone - zwyczajnie pozostawione na łaskę losu. Przy niektórych ulicach w całych szeregach domostw nikt nie mieszkał. A wzdłuż głównych dróg ciągnęły się wyludnione wioski duchów. Tylko nieliczne zostały opróżnione przez komisje eksmisyjne, chodzące od jednego obejścia do drugiego i przybijające na ścianach nakazy sądowe. W większości dachy pozostały nienaruszone, co oznaczało, że ich mieszkańcy pewnego dnia zebrali swój skromny dobytek i ruszyli pieszo drogą wiodącą do najbliższego portu. Starców i dzieci sadzano na drabiniastych wozach ciągnionych przez straszliwie wychudzone stare szkapy, jeśli tylko we wsi udało się zachować przy życiu choćby jednego konia. Nieśli na plecach tobołki albo ciągnęli za sobą umocowane na tyczkach duże wiklinowe kosze służące wcześniej do transportu brył torfu. Odchodzili bardzo powoli, chwiejnym krokiem, bo nawet w najgorszym okresie nie porzucali gospodarstw ludzie, którzy czuli się dobrze. Tak długo, jak tylko się dało, wszyscy wierzyli, że unikną tragicznego losu. Decydowali się ruszyć z domu dopiero wtedy, gdy głód i choroby dały im się mocno we znaki.

W każdej wsi i miasteczku zaszły olbrzymie zmiany. Tylko otaczająca je kraina pozostała dokładnie taka sama.

Jeśli Talbotowie nigdy nie wiedzieli dokładnie, ilu tubylców mają pod swoją pieczę, i musieli opierać się na tym, co im mówiono, to właśnie dlatego, że miejscowi potrafili bez śladu wtapiać się w krajobraz. Możliwość władcy i ich ludzie nie potrafili odnaleźć Irlandczyków na torfowiskach, gdzie stały niziutkie, kryte darnią chaty, z daleka trudne do wypatrzenia wśród leszczynowych zarośli, porośniętych bujną trawą polanek i brunatnych oczek wodnych. Richard nie umiał także ocenić, ile ofiar zebrała śmierć głodowa na podległym mu terenie. Wiedział, ilu zmarło mieszkańców czworaków w Ballygall, gdyż musiał podpisywać protokoły Unii. Od czasu przekształcenia ich w przytułek w sierpniu 1847 roku do maja 1849 roku zmarło osiem tysięcy siedemset sześćdziesiąt jeden osób. Wiedział też, jaka ich część pochodziła z majątku Mount Talbot: było ich trzy tysiące osiemdziesiąt. Nie miał jednak pojęcia, gdzie wcześniej mieszkała i czym się zajmowała większość z tych trzech tysięcy osób, które zostały przyjęte do czworaków jako wygłodzeni nędzarze.

Marianne zamierzała poprosić Richarda, aby pozwolił jej sprawić nowe zasłony do łóżka na kredyt. W najgorszym okresie, gdy zamknięto prawie wszystkie sklepy przy rynku, także i sklep Hurleya omal nie podzielił ich losu. Ale właśnie wtedy zjawiał się przybyły z północy handlarz wyrobów żelaznych, w opuszczonej szopie na skraju miasta wyładował wóz garnków oraz wiader i otworzył interes. Ten prowizoryczny sklep po całych dniach był pełen ludzi - nie kupujących niczego, lecz spragnionych wieści i plotek ze świata - którzy pojawiali się tam nie wiadomo skąd, jakby wychodzili z ukrycia. Stało się to impulsem do ponownego otwarcia sklepu z artykułami żelaznymi przy rynku, nieco później zaś pan Hurley złożył pierwsze od dwóch lat duże zamówienie i wysłał konną platformę na stację kolejową w Athlone po odbiór towaru. Ale wtedy już Marianne

przestała myśleć o zakupie. Było jej wszystko jedno. Tak samo dymem z torfu śmierdziały dywany i wyblakłe aksamitne zasłony w oknach, materacyk i pościel w łóżeczku Mab, a nawet lniane ściereczki, którymi pani Benn czyściła szyby w oknach, oraz jej sukienka i fartuszek...

Mullan świetnie się orientował we wszystkich zachodzących dookoła zmianach.

Od drogi biegnącej wokół murów majątku Mount Talbot w pewnym miejscu odchodziła ścieżka w kierunku torfowisk. Prowadziła wzdłuż drewnianego ogrodzenia pastwiska, na które wcześniej wyprowadzał konie, zarówno te pod siodło, jak i zaprzęgane do powozu na przejażdżki państwa Talbotów. Wiosną 1847 roku na środku łąki stanęła wysoka wieża, z której uzbrojeni strażnicy strzegli po nocach pasących się koni, spędzanych odtąd razem z bydłem na tę jedną łąkę. Mimo to już po kilku miesiącach znaleźli się ludzie na tyle desperowani, by zaryzykować życie w celu zdobycia mięsa. Napady coraz liczniejszych band zaczęły się powtarzać niemal każdej nocy. Któregoś dnia o świcie dwóch młodych O'Connorów porzuciło straż na wieży i pognało stado krów na wschód. Nigdy nie wrócili. Po drodze sprzedawali zwierzęta za każdą oferowaną cenę, a gdy dotarli do targu w Moate, resztę stada oddali pod opiekę ludzi z Ballygall. Od tamtej pory Mullan bez przerwy trzymał konie w stajni i spał przy nich na sianie. Część zapasów owsa chował w zrujnowanej szopie na brzegu jeziora, gdzie złodzieje nawet nie zaglądali, i własnoręcznie ścinał, sierpem świeżą trawę, aby przez cały czas były w dobrej formie.

Kilometr dalej znajdowało się płytkie siodło w zbczu biegnącym wzdłuż drogi. Tam właśnie stał szynk. Strzecha się zapadła, poczerniałe resztki gnijącej słomy leżały dotąd na ziemi, spomiędzy nich pięły się ku górze źdźbła młodej trawy. A przecież trzy lata wcześniej na ubitym klepisku stały tu masywne drewniane ławy, na ścianach wisiały chochle do nalewania ponczu trzymanego w kadzi stojącej w niszy na tyłach chaty. Ale wiosną 1847 roku, kiedy tylko nastały dłuższe dni, Pat zebrał resztki dobytku i ruszył do miasta - miał w tobołku odświętną suknię żony, swoje pantofle, poobijane cynowe naczynie do odmierzania alkoholu oraz duży hak, na którym ono wisiało. Hurley ze sklepu odzieżowego dał mu za to wszystko jedną gwineę.

Mullan z grupą mężczyzn z miasteczka był w szynku tamtej zimnej nocy.

- *Beidh orainn imeacht* - oznajmił Pat, obsłużwszy gości. - Nawet gdybyśmy zostawili wszystkich starców. *Beidh orainn eirí as an áit seo!*

- *Cad é? Cad é?* - zaczął się dopytywać przygłuchy chłopak, który siedział na ziemi oparty plecami o obłożoną darnią ścianę, wodząc spojrzeniem po twarzach mężczyzn.

Pat pochylił się nad nim i energicznie gestykułując, jakby uderzał o coś kantem dłoni, wrzasnął mu prosto w twarz:

- Idź sobie! Ruszaj! Musimy się stąd wynosić! Nie zostało już nic do żarcia! Anglicy zajmują domy! Zabierają pola!

Teraz William przyjechał tu po raz kolejny i zeskoczył na ubity grunt. Ziemiańska całkiem się już zapadła, nie było jednak żadnego powodu, żeby nie postawić w tym miejscu nowego szynku. Na ziemi niczyjej u podnóża pasma wzgórz osiedliło się kilka nowo przybyłych rodzin, mieszkały w szałasach zrobionych z kamieni, gałęzi ostrokrzewu i płatów darni. Mężczyźni pędzili samogon i sami się nim upijali.

Wyjechali jednak wszyscy gawędziarze znający różne opowieści i stare piosenki, pomyślał. Choćby tacy, jak chłopcy O'Connora. Bardzo by ich brakowało. Bez nich popijanie w szynku nie miałoby żadnego uroku...

I ja powinienem wyjechać do Ameryki, oświadczył w duchu. Rzucić to wszystko i z bożą pomocą wynosić się jak najdalej!

Został sierotą, gdy miał piętnaście lat. Bardzo dużą wagę przykładął do rzeczy będących jego własnością. Większość stanowiły ubrania, które dostał, obejmując we dworze funkcję pomocnika stajennego. Trzymał je na zrobionych z gwoździ haczykach wbitych w deski pustego boksu w stajni, gdzie urządził sobie schronienie. Był to płaszcz i gruby filcowy kapelusz, watowana kurtka i surdut do odkrytej bryczki, jak też lniana koszula na specjalne okazje, do jakich zaliczano demonstrację koni na dziedzińcu. Całą tę odzież trzymał na ścianie boksu, w którym często także sypiał na stercie starych derek. Powiadano, że już jako chłopak dostał polecenie przeprowadzenia czterech koni z Ballinasloe jakiemuś kapitanowi służącemu w armii na kontynencie. Bo i w jego zachowaniu było coś z żołnierskich nawyków. Kiedy rano ruszał przez dziedziniec do kuchni po swoją porcję kaszy i herbaty, zawsze miał już wymytą twarz i uczesane włosy. Nawet zimą, gdy reszta służby przychodziła do pracy w powycieranych kapotach, on przystępował do swych obowiązków w samej flanelowej koszuli i bryczesach. Buty miał zawsze starannie wyczyszczone, chociaż były bardzo zniszczone. A w niedzielne poranki Mary Anne Benn wystawiała mu za okno miseczkę z ciepłą wodą, żeby mógł się ogolić własną brzytwą. Wysoko zadzierał wtedy brodę i stroił miny, przeglądając się w szybie kuchennego okna i ostrożnie przeciągając ostrzem po skórze policzków. Później zaś z rozmachem wylewał brudną wodę na porośniętą trawą podwórze, płosząc kury.

Nie był zbyt rozmowny, ale Irlandczycy z bacznością słuchali każdego jego słowa. Angielscy ziemianie nie mieli pojęcia, a i nie wszyscy katolicy kupcy z miasteczka wiedzieli, że Mullanowie od wieków cieszyli się wielkim szacunkiem wśród ludzi zamieszkujących okoliczne torfowiska, a nawet pochodzących z ich drugiego krańca. Od pokoleń dzieci Mullanów posyłano do szkoły. Rodzina została wydziedziczona, jej majątek przypadł w udziale poprzednikom Talbotów krótko po bitwie pod Aughrim. Dziadek Williama jeszcze wspominał, jak pierwsi Talbotowie zrównali z ziemią ich rodzinny dom i urządzili na tym terenie pastwisko dla owiec. On sam, zanim przeszedł na służbę, próbował hodować kilka krów w odległej części tego pastwiska, jednakże latem 1847 roku musiał je sprzedać za marne grosze. Były zbyt wychudzone, bo po nocach wygłodniali nędzarze, zanadto osłabieni, aby je ukraść, puszczali im krew.

Teraz, jeżdżąc po okolicy, mógł na nią patrzeć oczami obcych, którzy nie dostrzegali nigdzie śladów obecności ludzi i zwierząt hodowlanych. On jednak tu się wychowywał i znał ludzi mieszkających w chatach ukrytych w leszczynowych zaroślach, za którymi rozciągały się niewielkie zagony ziemniaczane. Tacy w ogóle nie zaglądali do miasta, a i miasto nie miało z nich żadnego pożytku. Mężczyźni po całych dniach przesiadywali w szynkach, kobiety plotkowały na polankach między chatami, układając niemowlęta na trawie bądź przywiązując je powróslami ze słomy, gdy zaczynały raczkować, żeby nie powpadały do rowów. Kiedy mijał ich, jadąc na koniu, wychudzeni, lecz zawsze uśmiechnięci oberwańcy kłaniali mu się z szacunkiem. Nie należeli do nikogo, uważali się jednak za jego podwładnych, mimo że nie miał teraz żadnej władzy ani żadnego majątku.

Łudził się w głębi ducha, że zdoła ich uratować. Ale gdy drugi rok z rzędu zaraza zniszczyła uprawy ziemniaków, a szeryf zaczął wysyłać swoich ludzi do ochrony komisji przybijających na drzwiach domów nakazy eksmisji, nie mógł im udzielić żadnej pomocy.

Ci wszyscy ludzie zniknęli. Trudno było nawet znaleźć ślady ich obecności.

I on miał swoją kryjówkę, chatkę na torfowiskach. Mieszkała tam jego matka, która zmarła przed paru laty, lecz do dziś widoczne były ślady jej działalności. Przed domem, gdzie znajdował się ogród, łatwo było odróżnić w trawie dawne bruzdy zrobione przez nią wielkim żelaznym pługiem.

Całkiem zdziczałe krzewy owocowe ciągnęły się skrajem ziemniaczanego poletka. Ulubiony groch matki - gruby, idealnie kulisty, który zbierała bardzo późno, łuskała i mełła na mąkę - po jej śmierci już kilkakrotnie sam się wysiewał, toteż teraz tworzył zagon gęstych zarośli upstrzonych białymi kwiatkami.

Od lat nikt tu nie mieszkał, w wypaczonych drzwiach nie było zamka, każdy mógł wejść do izby. Na udeptanej ziemi prawie nie było sprzętów oprócz małego stołeczka i drewnianego łóżka bez materaca. Na półce nad kuchnią stało niewielkie lustro. Słyszono w całej okolicy, gdyż nikt inny na torfowiskach nie miał lustra. Dalej na ścianie wisiała stara harmonia matki z wystrzępionym dziurawym miechem. Tylko to lustro warte było sporo pieniędzy, lecz choć cierpiący nędzę ludzie zdolni byli do najgorszych podłości, nikt dotąd nie ukradł go z domu Mullanów.

William przyjeżdżał tu, żeby porozmawiać z matką, którą cenił nade wszystko. Wierzył, że jej dusza jest teraz w niebie, ale wierzył również, że wciąż nad nim czuwa, a najbliższa mu była właśnie tu, w starej chacie, gdzie wciąż wyczuwał dookoła jej obecność.

- Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, *A Mhama*, że nie jestem w gorącej wodzie kąpany - odezwał się do niej w myślach. - Pamiętasz, jak Tadhg Colley namawiał mnie, abym wyjechał z nim do Ameryki? A ja wolałem nie ryzykować? Nie sądzisz, że nadeszła już pora, by jednak się stąd ruszyć? Dwór popada w coraz większą ruinę. Od choroby córki bardzo rzadko nakazują siodłać konie albo szykować bryczkę... Robi się coraz gorzej! W tej okolicy nie został już nikt poza paroma biednymi rodzinami, które mieszkają w norach osłoniętych płatami darni!

Pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Lolly prześliznęła się pod ławką, na której siedział, i zaczęła się ocierać o jego nogę.

W miasteczku w opuszczonych domach na tyłach rynku mieszkała gromadka na wpół dzikich sierot. Powiadano, że zabijały psy i żywiły się ich mięsem. Na pewno jadały to, co udało im się ukraść. Znosiły z pól główki kapusty, a latem miały usta sine od jagód. Niekiedy widywano je z jabłkami w dłoniach, mimo że Tracy bez przerwy utrzymywał straż wokół dworskiego sadu. Z rynku zniknęła już połowa kuchni kwaków, ale pozostały jeszcze trzy belgijskie zakonnice czekające na zgodę biskupa w kwestii otwarcia przytułku dla bezdomnych sierot. Na razie uczyły się angielskiego oraz irlandzkiego, by móc się jakoś porozumiewać z podopiecznymi. A dzieciaki nie pamiętały, czy wręcz nie chciały pamiętać, kim byli ich rodzice. Niektóre były okaleczone. Kiedy kwakrzy po raz pierwszy uruchomili darmową kuchnię dla biedoty, zaczęły się przepychać i gołymi rękami próbowały wykraść trochę gorącej kaszy z kotła. Zakonnice bez większych rezultatów próbowały je skusić chlebem do wejścia pod swój dach.

Któregoś razu Hurley poskarżył się proboszczowi, że od czasu przyjazdu kwaków i belgijskich sióstr, wydających biednym darmowe obiady, katolicy kupcy mają spore kłopoty ze sprzedażą wszystkich zamówionych produktów żywnościowych.

- W końcu doprowadzą do ruiny wszystkich uczciwych obywateli stanowiących trzon tej społeczności, ojczyźnie.

- Wtedy ruina będzie kompletna - odparł ksiądz filozoficznie.

Na spotkanie z Williamem przyszło dwóch mężczyzn z gór. Wcześniej mieszkali z rodzinami w dolinie, ale komisja eksmisyjna, wykonująca sądowe wyroki na rzecz pana Talbota oraz lorda Coby, nakazała zburzyć ich domy. Wynieśli się więc w góry, przemykając niepostrzeżenie przez zagajniki i chaszczki, i pod szczytami urządzili szałas skryte w gęstych kępach ostrokrzewu.

Usiedli na skraju dziedzińca, niedaleko studni, oparli plecami o ścianę stajni, żeby nie zobaczył ich nikt ze służby. Postanowili tu zaczekać, wiedząc, że Mullan będzie musiał przyjść po wodę dla koni.

- *Bhfuil aon tabac agat?* - zapytał jeden z nich, gdy stajenny podszedł bliżej, aby się przywitać.

- *Fan nóiméad.*

William zawrócił i poszedł w kierunku kuchni.

- Mary Anne, możesz mi podać puszkę Toma Tracy'ego?...

- Skopie ci za to tyłek.

- Nie zauważy braku dwóch szczypt tytoniu.

Ludzie z gór z zamkniętymi oczami głęboko zaciągnęli się dymem z fajek.

- Macie tam co jeść? - zapytał Mullan.

- Teraz, gdy prawie wszyscy wyjechali, nie jest już tak źle. Williamie, nie znajdzie się dla nas jakaś praca we dworze? Moglibyśmy zająć się ziemniakami, które Barlow i Tracy będą sadzić dla milorda. Wszędzie stoi pełno opuszczonych domów, wyremontowalibyśmy je w ciągu paru dni i przenieśli się bliżej. Moglibyśmy nawet pracować za darmo. Tam, w górach, jest ciężko. Nie mamy nauczyciela dla dzieci, a wędrowny ksiądz, który od czasu do czasu organizuje nabożeństwo, nie zna irlandzkiego i kobiety nie wiedzą, o czym mówi. W dodatku zimą zmarło dwoje dzieci.

- Na początek wystarczyłoby tylko trochę jedzenia - wtrącił drugi. - Jesteśmy spokojnymi ludźmi. Moglibyśmy zamieszkać nad jeziorem, bo stamtąd wszyscy wyjechali do Ameryki.

- Nie - odparł Mullan. - Angielscy panowie nie chcą takich robotników jak wy. Nie uprawiają już ziemniaków, będą zamieniać pola na pastwiska dla owiec. Niedługo przyjadą szkoccy pasterze, dom dla nich jest już gotowy.

- Moglibyśmy pracować za darmo, Williamie. Zaczęli niemalże skamleć, jakby zebrali o jałmużnę.

- Nie łudźcie się, że tu byłoby wam lepiej - uciał ostro, aż jego samego to zaskoczyło. Później zrozumiał, że był to właśnie ten moment, kiedy utracił wszelką nadzieję i odwrócił się plecami do świata, w którym dorastał. - Nawet gdybyście zdołali wyżywić swoje rodziny przez ten rok, najpóźniej w przyszłym i tak wylądowalibyście w czworakach w Ballygall. Albo pomarlibyście z głodu jak strute lisy. *Beidh oraibh dul go Meiriceá!* Musicie stąd wyjechać. *Beidh oraibh!*

Zdrzemnął się na koniu, wracając do majątku z chaty matki. Świtało już, kiedy dotarł do ogrodowej bramy Mount Talbot.

Zwolnił przy obozowisku eksmitowanych, przekształconym już niemal w odrębną wioskę. Schronienia były zrobione z grubych konarów opartych ukośnie o mur ogrodzenia i przykrytych płatami darni. Jeszcze niedawno mieszkali tu setki bezdomnych. Teraz zostało około dwudziestu rodzin. Większość z nich Mullan znał dobrze, niektórzy mężczyźni byli jego kolegami z dzieciństwa. Zsiadł z konia i poprowadził go po cichu w kierunku bramy. Nie chciał nikogo obudzić, gdyż bał się, że nędzarze jak zwykle zaczną go ciągnąć za rękę i błagać: Zrób coś dla nas! Pomóż nam!

Lolly, która pobiegła przodem, już czekała pod drzwiami wschodniego skrzydła stajni. Schylił się, po drapał ją pod pyszczkiem i potarł jej jedwabiste uszy. Wpatrywała się w niego rozumnymi czarnymi oczami.

- *An raibh tú ag fanacht orm?* - mruknął do niej. - *An raibh?*

Koń sam ruszył posłusznie do boksu. Stał przy zamkniętej furcie, odwrócił się i pochylił łeb, żeby zdjęto mu uprząż. Mullan rozpiął rzemienie i ściągnął siodło, po czym przeszedł do sąsiedniego boksu. Zdjął kaftan, ale został w butach. Ułożył się na stosie starych derek i przeżegnał się. Lolly położyła się obok na sianie, bez przerwy spoglądając na niego z ukosa.

William w duchu poprosił Jezusa i Marię o opiekę podczas snu, jak czynił to każdego dnia wieczorem od czasu, gdy matka nauczyła go pacierza. Później zaś dorzucił parę słów, które ostatnio powtarzał coraz częściej - których uczył swoich rodaków w najcięższym okresie, gdy ksiądz nie mógł przyjechać, tak więc sami zmuszeni byli odkrywać wielką jamę na odległym skraju górnego pola, by pogrzebać w niej następnych zmarłych:

Niech światłość wiekuista świeci im na wieki wieków. *Et requiescant in pace. Amen.*

Czasami w obozowisku pod murem wszczynał się tak głośny zgiełk, że słysząc go było aż we dworze.

Marianne już od pewnego czasu w ogóle nie rozsuwała ciężkich brokatowych zasłon w oknach bawialni. Ale ten gwar przedzierał się nawet przez nie, dolatywały błagalne okrzyki przechodzące w żalosne zawođenje.

Ocras! Ocras! Doskonale wiedziała, że te okrzyki oznaczają prośbę o coś do jedzenia.

Pewnego razu usłyszała, jak wikary McClelland mówi do jej męża:

- Najbardziej zdumiewające jest to, że gdy są już blisko śmierci i policzki całkiem im się zapadają, na skórze twarzy pojawia się drobnutki meszek, coś jak gęsia skórka.

Tego lata proces masowych eksmisji przybrał największe rozmiary. Niemalże wyludniano cały region. Krążyły pogłoski, że młodzi protestanci ze Szkocji są gotowi zastosować tu swoje nowoczesne metody uprawy ziemi i tylko czekają, aż zrobi się dla nich miejsce w zachodniej Irlandii.

Eksmitowani biedacy zwykle na jakiś czas zostawali jeszcze przy swoich zburzonych domach, w rogu ruin próbowali sklecić jakieś schronienie albo rozpalic ogień choćby z resztek zrównanej z ziemią chałupy. Ostatecznie jednak wyruszali na tułaczkę. Nie mieli czego żałować poza samym domem, mimo że często były to zwykle lepianki z kamieni i gliny przykryte darnią lub torfem - jeśli rodzinom przez najgorszy okres zarazy udało się cokolwiek zachować z własnych plonów czy zwierząt gospodarskich, teraz wszystko rekwirowali ludzie szeryfa na poczet zaległych długów dzierżawnych.

Z płaczem i żalnymi jękami witali komisję eksmisyjną, która wyruszała z biura szeryfa w gmachu sądu na kolejną akcję przybijania na drzwiach nakazów.

- Przecież to nasza ojczyzna! - wołali. - Nie możecie nas stąd wypędzić!

Te same słowa znalazły się w liście napisanym do Richarda Talbota przez pewnego starca, który wraz z niedołączoną żoną, dziećmi i wnukami rozbił obóz na środku rynku w miasteczku. Wszyscy w okolicy wiedzieli o tym liście i z niecierpliwością czekali na odpowiedź, ale ta nigdy nie nadeszła.

Kolejne grupy wypędzonych w milczeniu przechodziły przez rynek, zazwyczaj tuż przed świtem. Kobiety dźwigały po parę garnków i wiader, jakie pozostały jeszcze własnością rodziny. Wszyscy opuszczali uśpione miasteczko i schodzili w głąb doliny - jak podkreślił Hurley w rozmowie z właścicielem sąsiedniego sklepu z artykułami żelaznymi, gdy obaj otwierali kraty i wywieszali swoje towary na grubych tyczkach nad wejściem - bez jednego słowa pożegnania.

William Mullan wychowywał się na zboczu wzgórza ponad wielkim torfowiskiem, gdzie wówczas było gwarno i rojno jak na głównej ulicy miasteczka. Jesienią 1849 roku w tamtej osadzie nie pozostała już ani jedna rodzina.

- Nie ma tu już życia - mruknął któregoś dnia do siebie, przejeżdżając tamtędy. - Tylko wiatr buszuje w trawie.

W głębi ducha i on zaliczał już siebie do emigrantów. Dla niego stary świat się skończył. Trzeba było rozpocząć życie od nowa.

Ale to nie przemiany dokonujące się wokół zapoczątkowały to, co się stało. Ani William, ani Marianne nie umieli powiedzieć, jak do tego doszło.

Stali wtedy w komórce - oddzielnym od pozostałych boksie, pierwszym po lewej za drzwiami głównej stajni. Ona coś mówiła, on miał nisko spuszczoną głowę, jak na służącego przystało, ale kątem oka łapczywie zerkał na jej poruszające się wargi, jakby chciał odgadnąć kryjący się za nimi słodki sekret. Prosiła o naprawienie małego czerwonego siodła Mab, które Richard zamówił u rzemieślnika z Galway, kiedy córka miała zaledwie trzy latka. Marianne przypominała sobie o nim, leżąc jeszcze rano w łóżku, i pomyślała, że jeśli nie zostało wyrzucone, można by je wyczyścić i naprawić, żeby stanowiło wspólną pamiątkę po tamtym szczęśliwym okresie. Oczywiście mogła posłać po kogokolwiek ze stajni, wiedziała jednak, że tylko Mullan właściwie ją zrozumie i spełni jej życzenie. Tak więc, gdy tylko Cooper powiózł Richarda do miasta, przyszła sama na dziedziniec, zajrzała do głównej stajni i przystanęła w otwartych drzwiach komórki. W miękkich pantofelkach poruszała się bardzo cicho, toteż nie zauważył jej obecności, ale ją wyczuł za plecami, odwrócił się i ujrzał stojącą na tle pograżonych w półmroku boksów. Po chwili dodała jeszcze parę słów, on zaś, całkowicie podświadomie, ściągnął rękawicę, jakby wbrew własnej woli uniósł rękę i delikatnie musnął palcami jej wargi. Z sykiem wciągnęła powietrze. Nie cofnęła się jednak. A on, przy niej ledwo podrzędna istota ludzka mająca prawo przebywać na terenie majątku - bez cienia lęku, śmiało, jakby w transie, powoli przesunął dłoń po ponętnych kształtach, wcięciu w tali i wypukłości biodra, ledwie dotykając przy tym czarnego płaszcza. Oboje stali jak sparaliżowani. Pod grubym materiałem zakietu jej skóra w tym miejscu, gdzie przesunęła się jego dłoń, zareagowała jak pod działaniem silnego magnesu. Marianne spojrzała na Williama wzrokiem człowieka tonącego, szukającego u innych ratunku. Stał naprzeciwko niej z przymkniętymi oczyma. Jednym spojrzeniem obrzuciła nie ogo-

loną szczecinę na jego policzkach i siateczkę czerwonych żyłek w wysmaganej wiatrem skórze. Nagle otworzył szeroko oczy i spojrzał jej w twarz. Wytrzymała jedynie chwilę. Odwróciła się i ruszyła z powrotem przez dziedziniec w kierunku wielkiego domu.

Ale później czekała na niego przez cały dzień. Zaczęła nerwowo krążyć po tych częściach majątku, gdzie wcześniej nawet nie zaglądała - po korytarzach w zamkniętym skrzydle dworu, pustych dziedzińcach i podwórkach, między karłowatymi drzewkami w zapuszczonej oranżerii, po zarośniętych mchem ścieżkach sadu. I wszędzie rozglądała się uważnie za Mullanem.

Miała wrażenie, że słyszy upływ czasu.

Nic nie łagodziło tęsknoty, która narastała w jej sercu. Marianne czekała i czekała. Nie mogła uczynić nic, tylko czekać. I nawet przez chwilę nie wątpiła, że to, na co czeka, w końcu się wydarzy, chociaż nie wiedziała jeszcze, co to będzie.

9

Stałam przy stole i patrzyłam na klawiaturę laptopa.

Mogłam w tym miejscu rozstać się z moją parą kochanków, zanim komukolwiek wyrządzą krzywdę i sami zostaną skrzywdzeni.

Każda terażniejszość zawiera elementy przeszłości. Przydzieliłam właśnie takie elementy Marianne i Mullanowi, chociaż nie czyniono tego w *Protokole*. Moja własna przeszłość czasami zwała się na mnie i jak dzika bestia rozszarpywała mnie na strzępy. Kiedyś ponownie słyszałam arię gondoliera przez radio w taksówce w Edynburgu. *Komm in die Gondol...* Spiker powiedział: Fritz Wunderlich wykonał arię z operetki *Noc w Wenecji*. Wtedy także nastał piękny wiosenny ranek, podobny do tamtego, gdy z ojcem wybraliśmy się na grzyby, tylko niebo nie było tak klarownie błękitne jak przed laty. Ojciec nie żył już od roku czy dwóch, ja zaś, słuchając melodyjnej pieśni tenora, pieśni o niezmiernym bogactwie ludzkich uczuć, byłam coraz bardziej rozgoryczona. W końcu nie wytrzymałam. Zatrzymałam taksówkę, zapłaciłam kierowcy i oślepiona łzami wdrapałam się alejką do ogrodów na szczycie Zamkowego Wzgórza, gdzie usiadłam na ławce, żeby zaczekać, aż opuści mnie smutek i żal. Nie mogłam się pogodzić, że godni szacunku Irlandczycy z pokolenia ojca mieli przez innych celowo i świadomie zmarnowane życie. Przerażało mnie, że jestem tak samo niekochana jak on, a nikt z tego powodu nie cierpiał wyłącznie dlatego, że nikt nie był ode mnie równie zależny, jak nasza rodzina od niego.

Lecz jeśli nawet nikt mnie nie kochał, to przecież nie byłam bez serca. Moją duszę przepełniał smutek po śmierci Jimmy'ego. Czy powiedziałabym mu o Shayu? Nie byłam pewna. Kiedyś na pewno tak. Teraz zapewne by wykrzyknął: „Ten łobuz zwyczajnie cię wykorzystał!”. Jeśli nawet Jimmy był w stanie zaakceptować pomysł napisania powieści o kochankach, których namiętność przewyciężyła wszelkie konwenanse, to i tak z pewnością spierałby się ze mną na temat skandalu Talbotów. Mogłam się założyć, że pomstowałby na Richarda za jego ignorancję i brak stanowczości. Kto wie, czy nie wpadłby na pomysł, że Richard był gejem. A ja bym mu odpowiedziała: „Na miłość boską, Jimbo, czy ty w każdym musisz się dopatrywać geja?”. A on na to: „Bo

oni... to znaczy my, byliśmy i jesteśmy wszędzie". Później z pewnością wszczęlibyśmy dyskusję, czy można kogoś nazwać gejem, jeśli nawet on sam nie jest o tym przekonany. Tylko raz takie rozmowy doprowadziły mnie do pasji, gdy Jimmy zaczął się głośno zastanawiać nad ewentualnym homoseksualizmem Aleksa.

- To najlepszy przykład sposobu myślenia wulgarnego konformistycznego Amerykanina chowającego głowę w piasek przed problemami znacznie poważniejszymi od tych, z jakimi boryka się Alex - rzuciłam.

Nigdy więcej nie wracał do tego tematu.

Robiąc kanapkę z resztką wędzonego łososia, którym uraczył mnie Bernie, próbowałam telefonicznie wytropić Aleksa. Pod domowym numerem zgłaszała się tylko automatyczna sekretarka, a w biurze w ogóle nikt nie odbierał. Zwróciłam uwagę, że chleb z folii nie jest już smaczny. Ile czasu się z nim męczyłam? Jaki był dzień tygodnia? W piątek wyjechałam z Ballygall. W sobotę poznałam Shaya na promie. W niedzielę wyjechał, a ja zaczęłam pisać powieść. Od tamtej pory kilka razy kładłam się na parę godzin do łóżka, ale potem od razu wracałam do pracy, dopóki nie wpisałam do komputera wszystkiego, co sobie ułożyłam w głowie.

Alex powinien przecież siedzieć w biurze. To było do niego całkiem niepodobne.

Wreszcie zadzwonił telefon. Może to Shay? Nie, dzwonił Alex. Sądząc po głosie, był tak wykończony, że natychmiast straciłam resztki nadziei.

- Dostałem twój numer w hotelu, w którym się zatrzymałaś, Kathleen. Strasznie długo czekałem, aż ktoś odbierze, a potem ledwie cokolwiek słyszałem, bo w tle panował nieopisany hałas. Mniejsza z tym... Nie będę cię zanudzał o tej porze. Nie zmrużyłem oka przez całą noc. Z moją matką jest naprawdę bardzo źle. Dosłownie gaśnie w oczach. Twierdzi, że jakiś anioł przykazał jej, aby niczego nie brała do ust, więc lekarze chcą jej załatwić stałą opiekę geriatryczną. Wygląda na to, że jeszcze przez jakiś czas nie będę mógł wrócić do Londynu. Rozglądam się tu za pokojem do wynajęcia, aby móc się nią zaopiekować.

- A ty coś jesz? - zapytałam. - Nie zapominasz o sobie?

- Nic mi nie jest - szepnął.

- Nie bardzo chce mi się wierzyć, kochany szefie.

- Betty wszystkim się zajmie, będzie informowała klientów do czasu mojego powrotu. Zostawiłem jej szczegółową rozpiskę współpracowników „TravelWrite” gotowych do przyjęcia zlecenia.

- Tylko nie zapomnij podać jej nowy numer telefonu, gdy znajdziesz kwaterę - odparłam. - Ja także zadzwonię, jeśli będę się gdzieś przerosiła. Nie zapominaj o mnie.

- Czy kiedykolwiek o tobie zapomniałem, Kathleen? Byłbym nieszczęśliwy, gdyby tak się stało. Mam nadzieję, że twoje sprawy układają się znacznie lepiej niż moje.

- Jak dotąd idzie mi naprawdę cudownie! - wykrzyknęłam.

Zależało mi przede wszystkim, żeby na razie nie zwracał sobie mną głowy, a przyszło mi na myśl, że zwrot: „U mnie wszystko w porządku” brzmi strasznie obcesowo. Nie zamierzałam mu teraz tłumaczyć, że chwilowo wszelkie moje plany biorą w łeb.

- Muszę już kończyć - powiedział. - Proszę, pomódl się za moją matkę i za mnie.

- Ja miałabym się modlić za ciebie?! - rzuciłam, siląc się na swobodny ton, i odłożyłam słuchawkę.

Na szczęście nie widział, jak się zaczerwieniłam. Byłam dumna, że zwrócił się do mnie z taką prośbą.

Pomodliłam się jednak. Chodząc wolno po pokoju, zmówiłam „Ojcze nasz”, „Zdrowaś Mario” i „Chwała Ojcu”. Nie wiedziałam, co dalej robić. Wyjazd do sklepu wiązał się z koniecznością spotkania z panią P.J. I co z tego? Wszystko było niczym w porównaniu z uczuciem wstydu, jakiego doznawałam, ilekroć wyobraziłam sobie Shaya po cichu pakującego walizki do samochodu i odjeżdżającego, kiedy ja zapadłam w głęboki sen z błogim uśmiechem na ustach. Nawet list od niego niewiele pomógł. Moim zdaniem postąpił jak staromodny patriarcha pragnący uwolnić mnie od obowiązku podjęcia decyzji. Dlaczego nie porozmawiał otwarcie jak współczesny mężczyzna, dlaczego nawet nie spróbował?

W innych okolicznościach to staroświeckie podejście pewnie by mi się podobało. Ale gdyby chciał poznać moje zdanie, na pewno bym krzyknęła: „Zostań! Niezależnie od tego, czy ci to skomplikuje życie prywatne!”. Widocznie domyślał się, że właśnie tak bym zareagowała.

Nie mogąc sobie znaleźć miejsca, wyszłam z domu i ruszyłam w kierunku wybrzeża. Zamierzałam obejść dookoła dawne pola ziemniaczane, ale zatrzymał mnie widok fok. Nisko w dole, u podnóża klifu, wylegiwały się na skałach omywanych przez fale - wielki i tłusty byk oraz szara smukła samica, która bez przerwy kręciła łbem, obracając szkliste obsydianowe ślepek to na swego partnera, to na młode wypoczywające kilka metrów od niej. Byk leżał nieruchomo, na boku, podobnie jak Shay. Ale z pewnością i on nie zapominał o bezpieczeństwie foczątki. Kiedy w końcu przekreślił się na drugi bok, pomyślałam, że musi czuć na skórze to, czego ja nigdy tak nie odbierałam - przyjemne ciepło promieni słonecznych tego pięknego pogodnego ranka. Łzy napłynęły mi do oczu, kiedy uzmysłowiłam sobie, że w widoku tych trzech fok wygrzewających się na skraju ogromnego oceanu kryje się niezwykle patos, i jakby nagle oczyściły mi oczy. Ujrzałam wszystko zupełnie inaczej: roziskrzoną powierzchnię morza w zatoce, zielone pędy młodych listków na ciernistym krzewie przy drodze, bursztynowy blask, niczym dłoń pieszczotliwie strosząca sierść ziemi, zalewający porośniętą trawą dawne pola - turkusową na szczytach wzgórz i stopniowo coraz ciemniejszą, aż do czarnozielonej w dole zboczy opadających ku roziskrzonej zatoce.

Zawróciłam przez pola w kierunku domu letniskowego. Jego białe ściany poszarzały, a zimowe sztormy przy ziemi upstrzyły je ciemnymi plamami błota, niemniej budynek wydawał się niezniszczalny.

Przystanąłam nagle w wysokiej trawie przy wielkiej kępie ostrokrzewu.

Zrozumiałam, dlaczego widok fok przyprawił mnie o łzy.

Zobaczyłam prawdziwą rodzinę.

Przez jakiś czas ćwiczyłam swobodny ton: „Cześć, Annie! To ty, Annie? Zgadnij, kto dzwoni!”. Dopiero później przypomniałam sobie, że zostawiłam im wiadomość o śmierci Jimmy'ego. Nie powinnam przejawiać radości, skoro zmarł mój najdroższy przyjaciel. Na parę minut usiadłam w fotelu i zamknęłam oczy, żeby się opanować i znaleźć w sobie choć trochę otwartości. Dopiero potem zadzwoniłam.

- Halo! Annie? Cześć, tu Kathleen.

- Och, Kathleen! Liczyliśmy na to, że zadzwonisz. Odebraliśmy twoją wiadomość. Tak nam przykro. Był takim wspaniałym człowiekiem i twoim serdecznym przyjacielem.

- Tak, wiem. Nie mówmy teraz o nim. Mamy jeszcze resztę życia na pograżanie się w żałobie, prawda? Posłuchaj, moglibyście teraz przyjąć gościa? Mam właśnie okazję oderwać się na dzień czy dwa od roboty.

- Och, to wspaniale! - krzyknęła Annie. - Przynajmniej na krótko nasze życie nabrałoby rumieńców. Bardzo się cieszę. Kiedy przyjedziesz? Zaczekaj, aż Lilian się dowie o twojej wizycie!

- Muszę kończyć. Dzwonię grzecznościowo - przerwałam jej. - Będę albo dziś wieczorem, albo jutro!

Niemalże instynktownie zostawiłam sobie otwartą furtkę. Porządkując domek, odczuwałam rosnący niepokój. Ilekroć spotykałam się z nimi w Londynie w ciągu tych dwudziestu pięciu lat, potem długo musiałam dochodzić do siebie, bo zawsze się czułam jak po przesłuchaniu. „Kathleen wciąż jest samotna. Zwróciłeś uwagę, że wkłada już okulary do czytania? I używa złotej karty kredytowej Visa...” Tylko oni i Nora bez przerwy porównywali mnie ze znaną sobie Kathleen sprzed lat. Nie robili tego złośliwie, ale obserwowali mnie uważnie, niczym sędziowie obwinioną. Mieli chyba we krwi to wieczne osądzanie. A tym razem będą na własnym terytorium. Nie mogłam w dowolnym momencie spojrzeć na zegarek i rzucić: „Przepraszam, ale spieszę się na samolot”. Zresztą, kto wie, co naprawdę mówili o mnie po każdym spotkaniu. „Nasza Kathleen wyraźnie się postarzała...” Ludzie tak głęboko związani ze sobą jak Danny i Annie nigdy nie zwierali się nikomu z tego, co naprawdę myślą.

Zgarnęłam pościel i szybko oblekłam ją w czystą bieliznę, którą znalazłam w szufladzie. Potem schowałam herbatę i cukier do pustej lodówki. Wyciągnęłam z wiadra worek ze śmieciami, zapakowałam go w drugi, wyrzuciłam do pojemnika przed drzwiami i obciążyłam pokrywę dużym kamieniem. Wreszcie umyłam zęby, zgarnęłam swoje przybory toaletowe i spakowałam torbę podróżną.

Komputer zostawiłam na stole. Po namyśle odwróciłam fotel przed wygaszonym paleniskiem przodem do drzwi. Po raz pierwszy od wielu dni pomyślałam o swoich ubraniach. Zabrana z Londynu garsonka, żakiet i spódnica w ogóle nie pasowały do mojego trybu życia w Irlandii, nie widziałam żadnych szans, bym choć raz włożyła wspaniałe szpilki Manolo. Zostawiłam to wszystko na fotelu. Gdyby Shay wrócił, pewnie by się domyślił, że nie wyjechałam na stałe. Poza tym nie musiałam zostawiać kartki z wiadomością na oczach P.J....

Drzwi zostawiłam otwarte. Pomyślałam, że jeśli ktoś będzie miał o to pretensję, powiem, że zapomniałam zamknąć na klucz.

Zwolniłam pod szczytem wzniesienia i spojrzałam we wsteczne lustro na zatokę. Dojrzałam w samym rogu tylko jej skrawek, który zaraz zniknął z pola widzenia.

Ileż to razy zadawałam sobie ból, wyjeżdżając z tysięcy różnych wspaniałych miejsc?

Nigdy wcześniej nie podróżowałam przez Irlandię z zachodu na wschód. Teraz miałam wrażenie, że zmierzam w stronę jakiegoś portu w towarzystwie duchów moich przodków, ludzi zmuszonych do porzucenia własnej ojczyzny. Na pewno nigdzie nie znaleźli drugiego tak pięknego kraju, takich wzgórz zwróconych ku zachodowi i omywającym skalne klify falom oceanu, tak pięknie śpiewających drozdów, kosów i rudzików; dla nich nigdzie trawa nie mogła być aż tak soczyście zielona jak tutaj. Prawdopodobnie dlatego irlandzcy emigranci w Ameryce osiedli w wielkich miastach. Nie dlatego, że ziemia ich zdradziła i zaraziła zgnilizną ziemniaki, zanim zdążyli je zjeść. Powodem było to, że nie widzieli szansy na drugą wielką miłość swego życia.

- Nie zaliczam się do typowych irlandzkich emigrantów - powiedziała Jimmy'emu na samym początku znajomości - ale podobnie jak ich, mnie też wyгнаło z ojczyzny cierpienie.

Dało mu to powód, żeby później powtarzać:

- Musisz wrócić do swoich korzeni, Kathleen, zanim ruszysz dalej.

- Przestań mnie raczyć swoimi zagadkami - odparłam za którymś razem - w dodatku rzucanymi takim paskudnie podniosłym tonem.

- Jestem Amerykaninem. My uwielbiamy taki uduchowiony sposób mówienia.

Poszliśmy razem do kina na *E.T.* Już po minucie zaczęliśmy szlochać nad królikiem, który zaginął w lesie, potem nad losem biednego E.T. o twarzyczce wiekowego mędrca i nad losem blond matki zdanej wyłącznie na siebie. Omal nie pękły nam serca, kiedy najpierw ożyła zwiędła chryzantema, a później martwe dziecko. Siedzące za nami szczeniaki skakały po fotelach i wrzeszczały do siebie, w ogóle nie patrząc na ekran, gdy tymczasem my coraz bardziej się wzruszaliśmy. Całkiem szczerze. Od tamtej pory Jimmy powtarzał mi głosem E.T.: „Sacwoń to tomu”. Tylko dlatego mniej więcej raz na pół roku telefonowałam do Danny'ego i Annie. Nie było innego powodu, nic się nie działo.

Jakieś osiemdziesiąt kilometrów od wybrzeża na stacji benzynowej kupiłam hamburgera i kawę. Zjadłam, przykucnąwszy w pełnym słońcu, oparta plecami o ścianę budynku. Może i tu kiedyś stała gospoda? Może na tym skrzyżowaniu łączyły się grupy uciekinierów nadciągających z różnych stron zachodniej Irlandii? Tańce, wino i śpiewy musiały się przeplatać z łamiącym serca żalem. Ja uciekałam z domu na oślep, przeklinając cały ten kraj, gotowa wędrować, gdzie oczy poniosą. Ilu emigrantów było w podobnej sytuacji?

Wstałam. Do Kilcrennan miałam jeszcze około stu czterdziestu kilometrów. Wróciłam do sklepu przy stacji i kupiłam po obniżonej cenie kasetę Sinatry, która już wcześniej wpadła mi w oko. Ale nawet stare przeboje niewiele mi pomogły w dalszej podróży. Miałam nadzieję, że porwie mnie dobrze znany, lekko ochrypły głos, perfekcyjna dykcja, wspaniałe słowa - że zdołam zapomnieć o obawach. Zwykle muzyka skutkowałą. Ale na tej kasecie znalazły się amatorskie nagrania z wczesnych radiowych koncertów Sinatry, kiedy był jeszcze dość przeciętnym wykonawcą. Pomyślałam, że nawet on się sprzysiągł, by nie dać mi zapomnieć...

Musiałam sama stawić temu czoło. Jechałam do domu. Właściwie wracałam tylko do miejsca, gdzie się wychowywałam. Z tego, co wiedziałam, nie było już naszego rodzinnego domu w Shore Road. Mimo wszystko postanowiłam się przygotować. Pogrzebałam w pamięci... Tak! Było jedno miłe wspomnienie!... Może nie tak wspaniałe, jak z tamtego grzybobrania z ojcem, nawet mniej radosne niż z mojej podróży do Dublina w towarzystwie matki, kiedy wygrałam konkurs eseistyczny. Dotyczyło jednak większej liczby osób. Nora wyjechała już wtedy do Stanów, lecz reszta rodziny była na miejscu. Mama i tata siedzieli przy stole, co już samo w sobie należało uznać za niezwykle. Annie występowała już w charakterze narzeczonej Danny'ego, chociaż miała najwyżej trzynaście lub czternaście lat. Nikt jej nawet nie zapraszał, ale u boku mojego brata prezentowała nerwy ze stali, bez trudu więc stała się dodatkowym członkiem rodziny. Ojciec był dla niej znacznie miłszy niż dla Danny'ego.

I był też Ned, który przyjechał specjalnie dla mnie, bo właśnie w tamtą niedzielę wyruszałam do Trinity College w Dublinie. Wcześniej nikogo oficjalnie nie żegnano w rodzinie, ponieważ Nora uciekła z domu tylko w tym, co miała na sobie, i co zdołała upchnąć do tornistra.

Może dlatego zorganizowano taką pompę na moją cześć.

W niedzielę mama w ogóle nie rozpałała w kuchni, gotowała obiady na małej kuchence gazowej. Tamtego dnia zostawiła gotujący się na wolnym ogniu bekon i wszyscy poszli do pubu, a ja i Annie obrałyśmy i umyłyśmy ziemniaki, po czym pobiegłyśmy słuchać radiowej transmisji z meczu piłkarskiego. Matka wróciła

sama nieco wcześniej. Po drodze, specjalnie na tę okazję, kupiła w sklepie puszkę zielonego groszku i puszkę marchewki.

Nie sądzę, aby ojciec postanowił być dla niej szczególnie wyrozumiały.

Kiedy wspomniałam, że dostanę pokój w Templeogue, natychmiast mnie poprawił:

- *Teampall Mealóig! Mealóig!* To znaczy podległy Świętemu Mallockowi. Właśnie tam znajdował się kiedyś poświęcony mu kościół... a raczej świątynia. *Teampall!*

Wydał przy tym wargi i powtarzał to podwójne *ll*, jakby mu się język kleił do podniebienia. Nie po raz pierwszy przyszło mi wtedy do głowy, że to bodaj najgorsza jego cecha. Jeśli tylko w rozmowie padała jakaś nazwa własna, natychmiast przerabiał angielską formę na irlandzką, podejmując obowiązkowy wywód na temat jej rodowodu.

- Pamiętaj. Autobus numer czterdzieści dziewięć z O'Connell Street. Mam rację czy nie, Eileen?

- Masz rację - mruknęła matka.

Sean siedział wtedy na swoim podwyższonym krzeselku obok niej i robił piekielny hałas. Mama wrzuciła mu do miseczki z mlekiem gotowanego ziemniaka, którego za wszelką cenę usiłował wyekspediować w powietrze. Pamiętam to jak dziś. Straszny był z niego rozrabiaka. „Coś złego z krwią” - powiedział Danny, dzwoniąc do mnie do redakcji „The English Traveller”. „Po prostu niknie w oczach”. Ale czy dziecko może umrzeć samo z siebie?

- W Templeogue mieszkała kiedyś twoja matka - ciągnął wówczas ojciec. - Możesz tam popytać ludzi, Cait, żeby sprawdzić, czy ktokolwiek z twoich dalszych krewnych ze strony matki w ogóle kojarzy nazwisko de Burca.

Nikt nie wiedział, co to za aluzja w stosunku do rodziny matki.

- Musiał się z nią ożenić - powiedziała mi kiedyś Nora.

Rzeczywiście, w akcie ślubu, który znalazłyśmy w kartonowym pudle pod łóżkiem rodziców, była wpisana styczniowa data, a Nora obchodziła urodziny w lipcu. W tym samym akcie jego zawód był określony jako „młodszy urzędnik”, jej natomiast jako „sprzedawczyni sklepową”.

- Nie mam pojęcia, jak ona mogła dostać pracę w jakimś sklepie - podsumowała moja siostra. - Od kiedy pamiętam, nawet nie umie powiedzieć, jaki jest dzień tygodnia.

- Nie zapominaj, że ona też musiała wyjść za niego - odparłam.

Gdyby to była zwykła niedziela, po powrocie z pubu mama zamknęłaby się w sypialni, żeby uniknąć uszczypliwych uwag ojca, a on, zadowolony z siebie, wlałby kieliszek whisky do herbaty pozostałej po obiedzie i rozpoczął zwykły dla siebie wykład na temat polityki. Ale tego dnia mama była najwyraźniej pod szczególną ochroną, bo tylko zadrwił sobie delikatnie z jej nawyków. Był w wyjątkowo dobrym nastroju.

- Będziesz do nas pisała, Kathleen? - zapytała matka.

- Oczywiście. - A po chwili dodałam coś zupełnie oczywistego: - A wy moglibyście mnie odwiedzić w Dublinie.

- Tylko nie wkładaj garsonki od pani Bates na podróż autobusem. Bardzo byś ją wygniotła.

Ta garsonka była nagrodą za uzyskanie stypendium. Przesłała ją mieszkająca w Bostonie siostra pani Bates. Mama od razu orzekła, że same guziki przy zakiecie muszą być warte kupę forsy.

- Przecież w torbie także się pogniecie - odparłam.

- Zaraz pójde do Batesa i poproszę go o parę arkuszy szarego papieru. Kiedy służyłem w FCA, trzymałem białe koszule na zmianę zapakowane w taki papier i wszyscy mnie chwalili, że są idealnie wyprasowane. Danny! Co oznacza skrót FCA?! Szybko!

- *Fórsa Cosanta Hitiúil* - odpowiedziałam, żeby zepsuć mu zabawę. - Wiesz co, tato? Gdybym była facetem, z przyjemnością zgłosiłabym się do służby w FCA. Mogłabym wyjeżdżać na poligon, uczyć się musztry, strzelania...

Obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem, ale nic nie powiedział, tylko poszedł do sąsiadów. To też było niezwykle, bo nigdy nie zniżał się do tego, żeby pójść do sklepu. I to był jeden z powodów, że uznałam, iż rodzice żegnali mnie z pompą.

Matka zajrzała do mojej sypialni, żeby sprawdzić, jak pakuję rzeczy - szkolne kapcie, piżamy, najcenniejsze zdjęcie Beatlesów z autografami.

- Mam dla ciebie mały prezent - powiedziała. - Za to, że się tak dobrze uczysz i dostałaś się do Trinity College.

Było to czarne błyszczące kartonowe pudełeczko, oklejone paskiem białej satyny, z wytłoczonym na wieczku złotym nazwiskiem jubilera z Kilcrennan. Na grubym zwitku bawełny leżał wewnątrz cienki naszyjnik z kryształami. Kiedy podniosłam wzrok na matkę, zauważyłam, że kąci jej ust wyjątkowo nie są wygięte ku dołowi; była gotowa odpowiedzieć uśmiechem na mój uśmiech. Ja jednak poczułam, jakby ktoś wbił mi nóż w serce, gdy wyobraziłam sobie, jak wchodzi do salonu jubilerskiego z przewieszoną przez rękę wielką torebką, prawie całkiem pustą, gdyż nigdy nie miała przy sobie pieniędzy.

Powinam chyba wtedy jęknąć z zachwytu: „Och, mammo!...”

- Unikaj wszelkich kłopotów - rzuciła pospiesznie. Stała na środku pokoju w smudze słonecznego światła padającego na twarz. - Cokolwiek się zdarzy, Kathleen, dbaj o siebie. Niezależnie od tego, co będziesz robiła, nie wpakuj się w żadne kłopoty!

Mogło to oznaczać: „Tylko nie zajdź w ciążę!”, co byłoby spóźnionym ostrzeżeniem dla samej siebie. Ale mogło też znaczyć: „Jesteś lekkomyślna i z łatwością zmarnujesz sobie życie, jeśli nie będziesz pamiętać o zagrożeniach!”. A wtedy byłaby to przestroga pod moim adresem.

Rodzice nie odprowadzili mnie na placyk nad samym morzem, gdzie zawracał autobus. Zrobili to Danny i Annie oraz Shean, który chwiał się na krótkich nóżkach, jakby był na rauszu, dopóki wuj Ned nie wziął go na barana. „Dzienia, Atlee! Dzienia, Atlee!” Matka i ojciec spoglądali za nami z okna sypialni. Gdy się obejrzałam, dostrzegłam odbłask słońca na łańcuszku, którym ojciec zawiązywał w pasie tużurek, oraz niewyraźną plamę twarzy matki zerkającej ponad jego ramieniem.

Oczywiście szkolny mundurek od razu wylądował na śmietniku, wyniosłam go, ledwie przydzielono mi pokój. Przez cały czas pobytu w Dublinie nosiłam minispódniczki i tekstylne sportowe obuwie.

Naszyjnik zgubiłam już w pierwszym tygodniu. Nigdy wcześniej nie miałam żadnej biżuterii, toteż nosiłam go bez przerwy i nawet nie zauważyłam, kiedy puściło któreś ogniwo łańcuszka.

Zatrzymałam jedynie garsonkę od pani Bates. Grupa moich przyjaciół z Trinity College mieszkała na stacji i gospodyni pozwalała im trzymać część rzeczy w piwnicy. I ja zaniiosłam tam swoje kartonowe pudło, a

ilekroć brałam z niego jakieś książki czy płyty, zawsze układałam na wierzchu starannie zapakowaną w szary papier garsonkę. Później zmarła matka. Uciekając do Londynu, nie zabrałam z pudła niczego, więc garsonka została w piwnicy. Gdybym ją wzięła, pewnie także wylądowałaby na śmietniku w chwili, kiedy się dowiedziałam o śmierci matki. Najpóźniej po tym, jak przekonałam się, że naprawdę umarła.

Któregoś dnia opowiedziałam Jimmy'emu o tamtym pożegnalnym obiedzie. Spojrzał na mnie z poważną miną i zapytał:

- Czyżbym się przesłyszał, że to jedno z twoich najlepszych wspomnień z domu rodzinnego?

- No cóż, chyba rozumiem, o co ci chodzi - odparłam po chwili. - W gruncie rzeczy to była prawdziwa uroczystość. Może nie uzasadniłam tego wystarczająco. Ale wtedy spotkała się cała rodzina i to było wspaniałe. Poza tym nie doszło do żadnej kłótni. No i dostałam prezent od matki. Zresztą, weź pod uwagę, że rozpoczynając samodzielne życie, poczułam się jak ryba w wodzie, bawiłam się cudownie, miałam dwie lub trzy dorywcze prace i w ogóle nie musiałam jeździć do domu, nawet na święta. Prawie dwa lata mieszkałam w Dublinie, zanim dotarła do mnie pierwsza wiadomość z domu o ciężkiej chorobie matki. Tak więc ostrzeżenia z tamtej niedzieli były zarazem jej ostatnimi słowami skierowanymi do mnie.

Teraz żałowałam, że nie miałam okazji opowiedzieć tego samego Shayowi. Na pewno w lot by zrozumiał pewne niuanse obce Jimmy'emu. Na przykład znaczenie kupna konserwowych jarzyn czy wyjścia ojca do sklepu po szary papier. Nie wątpiłam, że w rodzinnym domu Shaya również nie pojawiały się żadne wystawne dania, co najwyżej podczas przyjęć urodzinowych. Poza tym wszyscy wtedy byli dla siebie wyjątkowo mili, nawet aluzja ojca odnosząca się do rodziny matki nie stanowiła pretekstu do kłótni. Pamiętałam, że Annie nieśmiało wzięła Danny'ego za rękę, gdy szliśmy do autobusu, mimo że rodzice patrzyli z okna. I Sean szczebiotał jak mały diabełek, rozparty wygodnie na ramionach Neda; wciąż zasłaniał mu oczy brudnymi, lepiącymi się łapkami i chwiał się na boki pod uderzeniami nadmorskiej bryzy.

Coraz bardziej ścisnęło mnie w dołku, gdy zbliżałam się do Kilcrennan. Nie mogłam się uwolnić od myśli, że lepiej jednak było zostać w domku letniskowym i odłożyć tę wizytę na kiedy indziej. Nie chodziło nawet o to, że wszystko mi tu przypomina lata dzieciństwa. Na zachodnim skraju miasteczka wyrosło osiedle, którego na pewno wcześniej nie widziałam, a drzewa rosnące przy ulicach były o wiele wyższe. Jechałam w stronę rynku najwolniej, jak tylko mogłam. Nie czułam się dobrze. Jeszcze za mostem przy szpitalu mogłam skręcić w kierunku Dublina, ale zobaczyłam hotel. Całkiem nowy. The Shamrock Manor. Wjechałam na parking i sprawdziwszy, że recepcja jest czynna przez całą dobę, zapłaciłam z góry za nocleg w pokoju jednoosobowym. Umyłam ręce i twarz, uczesałam włosy i starannie zebrałam je z tyłu głowy. Potem nałożyłam na wargi odrobinę różowej szminki i delikatnie umalowałam oczy. Annie i bez tego uważała, że jestem bardzo ładna. Włożyłam też kolczyki. Wyjęłam z torby wiatrówkę, ale zostałam w džinsach i swetrze. Wreszcie skróciłam nieco ramiączka stanika, żeby lepiej się prezentować. Przez cały czas mruczałam pod nosem:

Czasami całe życie trwa wspinaczka na szczyty,

Nim człek przestanie gubić drogę, i do tego nigdy...

Często szukałam w poezji ratunku przed cierpieniem.

W dodatku bez przerwy zerkałam na telefon. Bez problemu mogłam w każdej chwili odwołać wizytę. Annie nawet do głowy by nie przyszło, że ją okłamałam. W końcu spakowałam z powrotem swoje rzeczy do

torby. Pomyślałam, że nie muszę nikomu mówić o pokoju w hotelu i zostawić go w rezerwie na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

Pojechałam dalej i przy stacji benzynowej minęłam szczyt wzniesienia - tego samego, gdzie wynajęłam pokój, gdy przyjechałam z college'u, by odwiedzić matkę w szpitalu. Czując, jak wszystko we mnie zaczyna się trząść, zaparkowałam na pustym placyku, poszłam wąską alejką, którą pamiętałam jeszcze z wędrówek w towarzystwie Sharon, wyszłam na High Street i skręciłam w prawo. Nikogo nie było za kontuarem pralni chemicznej, ale za stertami ciuchów zauważyłam moją bratową zeszywającą coś przy stoliku w głębi sali.

- Annie! - zawołałam.

Poderwała się z krzesła, podbiegła do mnie i bez słowa rzuciła mi się w objęcia. Nigdy wcześniej nie witałyśmy się tak czule, odniosłam więc wrażenie, że przypominamy dwoje rozbitków, którzy odnaleźli się po katastrofie. Na swój sposób Annie dawała mi do zrozumienia, jak bardzo mi współczuje po śmierci Jimmy'ego. Ale po części chyba było to także serdeczne powitanie w gronie rodzinnym po nieobecności trwającej z grubsza pół życia. Nigdy nie umiałam padać w objęcia innych ludzi, wyłączając okazje związane z seksem. Z Norą witałam się chłodno, z rezerwą. Tym razem jednak zachowywałam się naturalnie. Obejmowałam Annie równie mocno jak ona mnie. Ostatecznie dobroć jest rzeczą uniwersalną, a ona należała do bardzo dobrych ludzi.

- Cześć, skarbie! - rzuciłam nonszalancko.

- Witaj, globtroterko - odparła. - Wspaniale wyglądasz w dzinsach. Ja już od dwudziestu lat nawet nie próbuję się wcisnąć w dzinsy.

- Ale na pewno znasz swoje uszy, prawda? Modelki muszą się poddawać operacjom, żeby mieć tak idealnie kształtne uszy.

W tej samej chwili w drzwiach pralni stanęła Lilian. Była w szkolnej sukience, w rękach trzymała tornister i przyglądała nam się rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Wreszcie postawiła tornister na podłodze i odruchowo dotknęła dłońmi swoich uszu.

- Nie zapomnij powiedzieć tacie - odezwała się do niej Annie - że twoja mama ma piękne uszy. Tak przynajmniej twierdzi ciocia Kathleen. Napijesz się herbaty? - zwróciła się do mnie. - A może wolisz od razu jechać do domu? Dan wie, że możesz dzisiaj przyjechać. Lilian zwykle odrabia lekcje tutaj i wychodzimy razem dopiero po szóstej.

Lilian stała, milcząca i zawstydzona, do połowy schowana za plecami matki - jeszcze pulchniejszej niż podczas naszego ostatniego spotkania i prawie całkiem siwej, choć wtedy miała na głowie zaledwie pojedyncze srebrne włosy. Tymczasem u jej córki linia włosów ponad idealnym owalem twarzy układała się w dość specyficzny sposób, dokładnie taki sam jak u Danny'ego, który odziedziczył to po matce. Nie mogłam sobie przypomnieć, ileż to razy przyglądałam się tej charakterystycznej linii u matki i dochodziłam do wniosku, że jest to cecha typowa dla gwiazd filmu.

- Jestem twoją chrześnicą - oznajmiła niespodziewanie Lilian. - Mam już prawie dziewięć lat.

Poczerwieniała i pospieszenie schowała się za matką. Do pralni weszli jacyś klienci.

- Zabiorę panienkę Lilian i pójdziemy razem kupić coś pysznego do herbaty - zaproponowałam. - Potem pojedę do domu przywitać się z Dannym. Może tak być? Pokażesz mi, która cukiernia jest najlepsza? - zapytałam małą.

Spojrzała przelotnie na matkę, ale zaraz wzięła mnie za rękę i wyprowadziła na ulicę. Przystanąłam na chwilę, spoglądając z radością, jak niewiele się tu zmieniło od czasów, gdy chodziłam do szkoły zakonnej. Nadal była to wąska uliczka, wzdłuż której ciągnęły się małe sklepiki urządzone w pokojach od frontu. U drzwi wisiały staromodne kołatki. Na tyłach domów znajdowały się oddzielone zasłonkami kuchnie, i gospodynie domowe musiały dzielić obsługę klientów z szykowaniem posiłków dla swoich rodzin. Ruch nie był duży, koło zaparkowanych aut kręciło się tylko parę osób.

- Chcesz usłyszeć zagadkę? - spytała Lil, wyczuwając, że jest trochę spięta. - Wiesz, co mówi stanik do kapelusza? Nie słyszałaś tego?

Nie odpowiedziała, tylko mocniej chwyciła mnie za rękę. Przeszliśmy na drugą stronę. Poczułam ciarki w tej dłoni, którą ścisnęła. Jednym spojrzeniem obrzuciłam jej sylwetkę - miękkie satynowe włosy, kościste, krągłe ramiona, odstające łopatki niczym zaczątki skrzydeł.

- Nie słyszałam. Co mówi?

- Słucham?

- Stanik do kapelusza.

- Aha. Zsuń się trochę bardziej do przodu, to będzie mi łatwiej dźwignąć te dwa ciężary w górę.

Starsza pani przydreptała za ladą cukierni w naszą stronę.

- To moja ciocia, przyjechała z Anglii - powiedziała śmiało Lilian pewnym, całkiem odmienionym głosem.

Kobieta popatrzyła na mnie uważnie spomiędzy wielkich słoików z cukierkami.

- Widzę - odparła. - Przyjrzałam się jej dobrze, gdy stałyście po tamtej stronie. Początkowo sądziłam, że to ktoś obcy, ale zaraz wyłapałam podobieństwo. - Odwróciła się w moją stronę. - Twoja matka była także bardzo ładna, świeć, Panie, nad jej duszą... Zwykle wpadała do mnie po słodczyce, wracając z biblioteki. Ale nigdy nie widziałam na jej twarzy uśmiechu.

- Gdzie ona teraz jest? - zapytała Lilian.

- W niebie, wśród aniołków - odparła sprzedawczyni. - My nie możemy jej zobaczyć, ale ona nas widzi. Obserwuje cię, żeby sprawdzić, czy jesteś grzeczną dziewczynką.

- Lilian jest bardzo grzeczna, proszę pani - wtrąciłam. - Czy w nagrodę mogłaby pani wybrać dla niej parę najlepszych ciastek?

Po wyjściu ze sklepu Lilian zaczęła szczebiotać niemal bez przerwy, nie przestawała nawet wtedy, gdy nikt jej nie słuchał.

Wychowywałam się sześć kilometrów od Kilcrenna, tam gdzie Shore Road kończy się nad brzegiem morza. W połowie drogi z miasteczka przy szosie stoi kilka buków. Tu właśnie znajdowało się gospodarstwo dziadków, które po nich przejął wuj Ned, a teraz należało do Danny'ego i Annie.

Zatrzymałam samochód na poboczu, wysiadłam i popatrzyłam na te piękne, wielkie, jeszcze bezlistne drzewa. Zazdrościłam bratu, że przejął gospodarstwo, podobnie jak kiedyś zazdrościłam Nedowi. Za mojej młodości nasz dom w Shore Road niczym się nie wyróżniał spośród wielu innych, toteż dla mnie farma dziadków była jego magicznym przeciwieństwem. Buki przy drodze - potężne, o gładkiej szarej korze niczym skóra słonia - stały nad rowem, oddzielone od niego szeregiem omszałych głazów. Młode postrzępione listki wycho-

dzące z gęstwiny filigranowych gałęzi w koronach były jeszcze stulone, ale pod wpływem dzisiejszego słońca zaczęły się rozwijać. Tamtego dnia, kiedy biegnąc jeszcze bosy z koszykiem ziemniaków po przedstawieniu o Wielkim Głodzie, wpadłam na parking przed szkołą na wuja Neda, rozmyślał właśnie o tych drzewach. Powiedział wtedy:

- Pamiętasz, Katey, buki stojące wzdłuż skraju trzyakrowego pola? Są tak wspaniałe, że wiele osób się zatrzymuje, aby je podziwiać. Pochodzą jeszcze z tamtego okresu, sadzili je starzy Cooper-Bellewsowie. To nie byli źli ludzie. Wielu chłopom eksmitowanym z ich ziemi wykupili bilety na podróż do Ameryki. Ale mimo to...

W sportowym obuwiu poruszałam się bardzo cicho, idąc starą bitą drożką w górę zbocza między szpalerami ciernistego głogu, na którym także dopiero zaczynały się rozwijać pąki młodych listków. Jaskółcze ziele w rowie było za to obsypane żółtymi kwiatkami. Tarnina prawie już przekwitła, ale w powietrzu czuć jeszcze było jej intensywny słodkawy zapach. W rowie rozdzielającym pola płynął dość wartki strumyk, a po oczku wodnym w dolince pływała para łabędzi. Zewsząd dobiegało głośnie beczenie owiec, lecz Danny najwyraźniej usłyszał warkot samochodu zatrzymującego się w odległości stu metrów, gdyż z łokciami wbitymi między sztachety stał przy furtce prowadzącej między szeregi wyniosłych żywotników zasłaniających dom, dokładnie tak samo, jak kiedyś robił to wujek Ned, wyglądając na drogę. Miał na sobie marszczoną białą koszulę, a włosy spadające na czoło zaczesane gładko do tyłu. W okrągłej twarzy wyróżniały się oczy, takie same, jak u matki, tyle że błyszczące i żywe, a nie wiecznie zamglone. Ani trochę mnie to nie zaskoczyło, przywykłam już do widoku jej ducha wkraczającego do londyńskiego pubu, ilekroć się spotykaliśmy przy okazji przyjazdów brata na mecze piłkarskie. Usta miał podobnie jak ona wygięte ku dołowi, lecz najdrobniejszy uśmiech całkowicie je odmieniał.

Tym razem odniosłam wrażenie, że niedawno widziałam gdzieś taki sam. Czyżby swój własny we wstecznym lusterku auta?

- Masz o wiele więcej włosów, niż mi się ostatnio wydawało - zaczęłam.

- Ty również. Masz o wiele więcej włosów niż większość ludzi.

- Annie prosiła przekazać, że wróci z Lil około szóstej.

- Nie ma sprawy. Obrabiam już ziemniaki. Mamy trochę czasu...

- Nic się tu nie zmieniło.

- A co się miało zmienić? Annie zasuwa w pralni jak niewolnica, a mimo to ciągle brakuje nam forsy, żeby dokonać jakichś zmian.

- A ty teraz nie pracujesz?

Jak tylko weszliśmy do środka, rzucił od niechcienia, że przez jakiś czas miał etat konserwatora maszyn w montowni komputerów, ale rzucił to. Przyjrzałam mu się uważnie. Miał większy nos, niż mi się zdawało, nawet trochę kartoflowaty. Ale żywe i roześmiane oczy były takie same, jak kiedyś, gdy spoglądały z puciołowej dziecięcej buźki.

- Stworzyliśmy zespół z paroma chłopakami - ciągnął - i trzeba było brać wolny dzień w zakładzie, jeśli mieliśmy grać na weselu. Dlatego zrezygnowałem z roboty. Zresztą po odliczeniu podatków i tak niewiele mi zostawało z pensji. Poza tym zaangażowałem się w hodowlę selektywną.

- To znaczy?

- Kupuję młode cielęta, a później sprzedaję podchowane jałówki.

- Brzmi ciekawie.

- Bo to jest ciekawe. I dochodowe. Na razie powiększam kapitał obrotowy. Annie ma już dość biegania po całych dniach w tej cholernej pralni, zresztą jej zarobki starczą ledwie na utrzymanie samochodu. Na razie jednak musi się jeszcze trochę pomęczyć, dopóki nie rozkręcę interesu na pełną skalę.

Zaparzył herbatę.

Wreszcie na tyle odzyskałam pewność siebie, że rozejrzałam się dookoła. Siedziałam przy małym kwadratowym stoliku, na półeczce nade mną stało radio, obrazek Najświętszego Serca z czerwoną lampką i wielki blaszany budzik. Na tacy były przygotowane herbatniki i fajansowe kubeczki. W kwiatki. Dokładnie takie, jakie przygotowałby dla gości wujek Ned.

Lepka cerata na stole przywoływała szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa.

- To wszystko jeszcze po wujku Nedzie? - zapytałam. - Jak to możliwe?

- Po jego śmierci ojciec często tu przychodził i kręcił się wokół domu - odparł Danny - bo wtedy ziemia leżała odłogiem. Ale niczego nie zmieniał. My także postanowiliśmy zostawić wszystko tak jak jest. W końcu sklepy, z których korzystają tacy farmerzy jak ja, również się nie zmieniły od lat. Dlatego nasze sprzęty mają tę samą stylistykę co za czasów Neda. Tyle że teraz większość rzeczy jest produkcji chińskiej.

Nagle zauważyłam, że to, co brałam za wełnianą poduszkę na krześle, w rzeczywistości jest olbrzymim puszystym kocurem.

- To kot Annie - wyjaśnił, dostrzegłszy moje zdumienie. - Nazywa się Furiskey. Najbardziej leniwy i łakomy kot w całej Irlandii. Nawet nie kot, tylko *amach leat!* Lil mówi, że rozumie irlandzki. A wiesz o tym, że macocha w ogóle nie pozwalała naszemu staruszkowi odzywać się po irlandzku? Powtarzała, że to odstrasza klientów jej domu opieki. Ale on i tak za jej plecami niekiedy mówił do mnie w ojczystym języku. Niewiele z tego rozumiałem.

- Przyznam, że ja nie rozumiałam ani słowa.

- Wcale się nie dziwię - mruknął w zamyśleniu. - Za to sprawiało mu wielką przyjemność, gdy graliśmy muzykę ludową. Zagraliśmy parę rzeczy na jego pogrzebie. Było mnóstwo ludzi.

Ja chyba należę już do innego świata, pomyślałam z pewnym przerażeniem. Zawsze mi się zdawało, że Danny był wrogo nastawiony do ojca...

Usiedliśmy do herbaty. Piec w rogu był całkiem nowy, opalany olejem, ale stał dokładnie w miejscu starego i tak jak wtedy suszyły się przy nim na sznurku kuchenne ścierki. Linoleum na podłodze do złudzenia przypominało wcześniejsze. Ławka z surowych desek, na której siedziałam, była chyba nawet ta sama, zapamiętana z młodości. Wtedy wydawało mi się, że gdzieś pośrodku tego pokoju znajduje się niewidzialny punkt będący oazą wyjątkowego spokoju i wszystkie sprzęty jak gdyby chyliły się w jego kierunku. Nowe elementy wyposażenia ani trochę nie zmieniły tego poczucia zbawiennego oddziaływania.

Danny wyciągnął spod schodów zakurzone kalosze dla mnie i poszliśmy razem popatrzeć na pola. Otworzył furtkę, przyjrzał mi się uważnie i rzekł:

- Wyglądasz jak modelka na pokazie regionalnej mody ludowej. Nigdy nie przypuszczałem, że ktokolwiek należący do rodziny Burke'ów może się tak sztywnie ubierać.

- No to już wiesz - odparłam cicho, ponieważ coś mnie ścisnęło za gardło, gdy usłyszałam: „Należący do rodziny”.

W naszą stronę ciężkawym krokiem ruszyło kilka jałówek.

- Ależ one mają długie rzęsy! - mruknęłam z podziwem. Zaśmiał się krótko i spytał:

- Sądzisz, że długość rzęs stanowi o ich wartości?

Sporo czasu zajęło mu odkręcanie drucianych pętli i rozwiązywanie konopnych sznurów mocujących bramę z drewnianych bali, zdążyłam więc ocenić, że pola wcale nie wyglądają malowniczo. Były poryte koleinami i porośnięte kępami ostu. Ale głóg w zapuszczonych żywopłotach wypuszczał szmaragdowozielone młode listki, a rześkim powietrzem aż chciało się głęboko oddychać.

- Chyba jesteś wdzięczny za to, że ojciec zostawił ci gospodarstwo w spadku.

- Wcale nie zostawił go mnie. Zapisał je swojej drugiej żonie, a ona wystawiła je na licytację.

- Myślałam, że to majątek rodzinny, który powinien przechodzić z pokolenia na pokolenia! Czyż nie dlatego Ned zapisał gospodarstwo ojcu? W takim razie jak je kupiłeś? Nie przedstawiało większej wartości dla przedsiębiorców budowlanych?

- Kupiłem je za godziwą cenę - odparł. - Nikt inny się nie zgłosił do licytacji. Wszyscy wiedzieli, że to majątek Burke'ów. Zawsze należał do naszej rodziny, chyba nawet jeszcze przed Głodem.

- Pewna starsza pani, bibliotekarka, dla której Wielki Głód nie ma tajemnic, wytknęła mi niedawno, że skoro my żyjemy, to nasi przodkowie musieli przetrwać klęskę. Rzecz niby oczywista, ale chyba nikt sobie tego nie uświadamia. Nie wiesz przypadkiem, co robili Burke'owie, żeby przetrwać najgorsze?

- Nie mam pojęcia. Lil nie przerabiała jeszcze Głodu w szkole, a ja wiem o nim tyle, co kot napłakał.

- Zawiozę cię do Shore Road - rzekł.

Z brzękiem i piskiem hamulców pojechaliśmy starym zabłoconym fordem w stronę morza, minęliśmy sklep Batesów i pub naprzeciwko szeregu domków stojących nad kamienistym korytem rzeczki zmierzającej na spotkanie z falami. Serce biło mi coraz mocniej, wreszcie zdobyłam się na odwagę i popatrzyłam na ostatni dom w szeregu. Nie budził wspomnień. Teraz mieszkali w nim zupełnie inni ludzie. We wszystkich oknach zasłoniętych białymi żaluzjami stały kwitnące rośliny w doniczkach, a po obu stronach frontowego wejścia dobudowano przeszkloną werandę.

Do połowy wysokości zbocza na tyłach ciągnęły się stojące w wojskowym szyku nowe domy. Przez chwilę sądziłam, iż za nimi pod szczytem powstało wysypisko śmieci, dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, że są to nagrobki - dawny cmentarz za kościołem rozrósł się tak, że zajmował teraz pół wzgórza.

- Ona jest tam pochowana - odezwał się Dan - gdzieś w pierwszym rzędzie, jeśli się nie mylę. Grób Seana jest w Kilcrennan, w odrębnym dziecięcym sektorze cmentarza komunalnego. A nasz staruszek także leży tutaj.

- Mówisz poważnie? W jednym grobie z matką?

- Oczywiście. W Irlandii zawsze chowa się mężczyzn obok pierwszej żony.

- A gdzie jest grób Neda?

- Niedaleko naszego gospodarstwa. Specjalnie dla niego utworzono dodatkową kwaterę na starym zamkniętym cmentarzu, ponieważ był bohaterem Związku Drobnych Farmerów.

- Odłóżmy to na kiedy indziej - mruknęłam. - Nie chce mi się teraz chodzić po cmentarzu.

Przeszłam kilka ostatnich metrów na końcu drogi. Zamknęłam oczy i zasłuchałam się w odgłosy, które znałam tak dobrze, jak szmer własnego oddechu - cichy plusk rzeczki spadającej po kamieniach i przytłumiony, dobiegający z dołu szum fal rozlewających się po plaży. W miejscu porośniętego trawą i porytego głębokimi jamami placu rozciągał się teraz wylany asfaltem parking.

- Wracajmy do domu - zaproponowałam, gdy podeszliśmy do samochodu. - Kiedy indziej odwiedzę grób matki.

Danny uruchomił silnik i zawrócił. Na podłodze auta wałała się sterta kaset magnetofonowych. Na puldelku jednej z nich dostrzegłam jego uśmiechnięte oblicze.

- Danny Burke! - odczytałam na głos. - „Skarby cynowej świstawki”. Proszę, proszę!

- Nie wysłałem ci egzemplarza? - zapytał skruszonym głosem.

Wsunęłam kasetę do odtwarzacza. Wjeżdżaliśmy pod górę Shore Road, zostawiając za sobą kłęby czarnych spalin z dziurawego tłumika i donośne dźwięki ludowej piosenki, zaśmiewając się przy tym jak para nastolatków, którym właśnie udało się splatać psikusa.

Tego wieczoru siedziałam przy stole w ciasnej kuchni i wśród swojskiego zapachu gotującego się bekonu pomagałam Annie czyścić brukselkę.

W rundzie plotkowania o starych znajomych z Kilcrennan doszliśmy do Sharon.

- Jest bogata jak Krezus - powiedziała moja bratowa. - Razem z mężem mają sieć dyskotek. Jeżdżą od jednej do drugiej w dwóch takich samych eleganckich bmw i osobiście zbierają pieniądze za bilety. Kupili na Florydzie domek letniskowy z dwoma basenami. Powinnaś zobaczyć opaleniznę Sharon! No i tuszę! - Zaśmiała się głośno, unosząc wzrok do sufitu. - Ja nie zaliczam się do szczupłych. Ale ona?!

Popatrzyłam na nią. Gdyby nie kilka głębokich zmarszczek między brwiami, miałyby całkiem dziewczęcą buzię.

- Wyglądasz tak młodo, Annie.

- A czemu miałabym wyglądać inaczej? - zapytała. - Dzięki Bogu mam cudowne życie. Bardzo długo czekaliśmy, ale w końcu Bóg zesłał nam Lilian. Zatem pod każdym względem mogę uznać, że obdarzył mnie swoją łaską. Tyle że bardzo przytyłam po kuracji hormonalnej. A ty, Kathleen, nie masz żadnych kłopotów kobiecych związanych z wiekiem?

- Jeszcze mnie nie dotknęły. W każdym razie jeszcze nie wyschłam. Ale odczuwam już swoje lata. W czasie jednej z długich podróży samolotem bardzo spuchły mi nogi i od tamtej pory puchną coraz częściej. Poza tym pojawiają się duże ciemne plamy na całym ciele. To chyba nic groźnego, ale świadczy wyraźnie, że się starzeję.

- Jak zniosłaś śmierć biednego Jimmy'ego?

Zaskoczyło mnie obce brzmienie tego imienia w jej ustach. Prawdę powiedziawszy, wręcz zawisło między nami w powietrzu. Annie widocznie to wyczuła, gdyż wyszła na chwilę do spiżarni, dając mi czas na ochłonięcie.

- Mam nadzieję, że nie natknęłaś się w mieście na macochę - rzekła, wróciwszy z miseczką jabłek do obrania. - Pewnie byś jej nie poznała, ale ona ciebie na pewno. Jest niewiele starsza od ciebie i zawsze przyciąga uwagę włosami, ubiorem, no i temperamentem. Za plecami wszyscy ją nazywają Kathy Bates, od tej bohaterki Stephena Kinga, co na siłę trzymała w łóżku ulubionego pisarza. Krążą plotki, że nieźle się wyżywała na waszym ojcu. Podobno codziennie po herbacie zaciągała go do łóżka.

- Przynajmniej nie miała z nim siedmiorga czy ośmiorga dzieci, wliczając również te, które zmarły za młodu - odparłam. - Tak jak moja biedna matka.

- Jest doświadczoną pielęgniarką. Kto lepiej potrafiłby się zabezpieczać? Słyszałaś, że wasz ojciec w ostatnich latach stał się bardzo znaną osobą? Prowadził kurs irlandzkiego, na który zapisywały się tłumy chętnych. Połowę stanowili miejscowi działacze Sinn Féin, ale oprócz nich chodziło na lekcje dużo różnych ludzi z miasteczka. Było mi go żal, że po tych zajęciach musi wracać do domu. Spotkało go sporo nieprzyjemności za to, że ożenił się po raz drugi. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - A co u ciebie? Jesteś znakomitą partią. Wspaniale się ubierasz... Byłoby mi strasznie przykro, gdybyś nadal żyła w samotności, zwłaszcza teraz, po śmierci Jimmy'ego...

- No cóż, tak jakoś się złożyło - bąknęłam nieswoim głosem. - Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, dlaczego tak się stało. Gdybym została w Irlandii, pewnie wyszłabym za męż... Rozglądam się uważnie od chwili przyjazdu i wpadło mi w oko pewne irlandzkie małżeństwo. On trenuje okręgową drużynę piłkarską, ona jest pulchna, ładna i małomówna. Podróżują toyotą z trzema rudowłosymi urwisami wiercącymi się na tylnym siedzeniu. Chciałabym być na miejscu tej kobiety...

Annie odłożyła nóż.

- Żartujesz ze mnie? Przecież to nie dla ciebie! Jak ty to sobie wyobrażasz? Zabierałabyś każdej niedziele teściową na herbatę do hotelu? W kółko prała ciuchy chłopaków? Mąż codziennie wracałby późno do domu i jeszcze bez przerwy gadał o futbolu, jakby chodziło o sprawę życia i śmierci... Na pewno byś zwariowała! Prędej ja bym się nadawała do takiego życia, gdybym nie poznała Danny'ego, ale nie ty, Kathleen! Zawsze marzyłaś o tym, żeby uciec z Kilcrennan. Pierwszą rzeczą, jaką od ciebie usłyszałam, gdy mając trzynaście lat, szczerze cię podziwiałam, było to, że oszczędzasz każdy grosz na wyjazd.

Po obiedzie Lilian usiadła mi na kolanach. Kocur łypał ślepiami ze swej kryjówki w kartonowym pudle.

Przytaczaliśmy różne historie z życia naszej rodziny. Każde starało się przypomnieć sobie jakieś zabawne wydarzenia, więc śmiechu było co niemiara. Danny opowiedział, jak to po raz pierwszy przyprowadził Annie do domu. Matka nie odzywała się do niej przez godzinę, wreszcie niespodziewanie zapytała o jej ulubionego pisarza, na co zaskoczona dziewczyna odrzekła, że nie ma takiego. Potem Annie wspominała, jak Danny pierwszy raz zjawił się w jej domu prosto z jakiegoś meczu, kiedy właśnie ze sobą zerwali, i jej ojciec nie mógł uwierzyć, że jest on spokrewniony z tym, jak go nazywał, stukniętym świrem, inspektorem de Burca. Ja zaś opowiedziałam, jak pokłóciłyśmy się z Norą o to, która ma wyjść z małym Dannym na spacer, uchwyt wielkiego ciężkiego wózka wysliznął mi się z rąk, bo byłam jeszcze mała, wózek podskoczył na wyboju i przewrócił się, a mój brat wypadł na ulicę i rozciął sobie głowę.

Lilian podbiegła do ojca i zaczęła mu obmacywać głowę, po czym triumfalnie oznajmiła, że wyczuwa starą bliznę.

Pominęłam milczeniem to, że spód rozklekotanego wózka był zrobiony z trzech plastikowych tacek, z których środkowa przesuwiała się na wszystkie strony, bo nie była do niczego przymocowana, a między nimi zawsze pełno było okruchów chleba żółtych od dziecięcych sików. Nie wspomniałam też, że kłóciłyśmy się z Norą tylko dlatego, że obie chciałyśmy zwrócić na siebie uwagę matki.

Wolałam także nie mówić, że gdy Lilian usiadła mi z powrotem na kolanach i przytuliła policzek do mojej piersi, natychmiast przypomniały mi się słowa Shaya, leżącego obok mnie w łóżku, z głową opartą na rękę: „Każdy mężczyzna chciałby zostać z tobą na zawsze” - i że tęsknota za nim przeszła mnie bólem niczym błyskawica.

Kto wie, czego inni mężczyźni nigdy nie odważyli się powiedzieć?

Potem opowiedziałam im historię Talbotów.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że w czasie głodu myśleli też o seksie - podsumowała Annie.

- Wszyscy tak mówią. A jednak. W każdym razie tych dwoje myślało. Natomiast reszta bez przerwy ich szpiegowała.

- Taka powieść powinna się świetnie sprzedawać! - wtrącił rozbawiony Danny. - Seks to chodliwy temat. Zamierzasz opisywać szczegóły? Moglibyśmy ci podsunąć parę ciekawostek z naszego własnego życia, prawda, Annie?

- Czy w ten skandal były wplątane jakieś dzieci? - zapytała moja bratowa.

- Owszem, córka Talbotów, Mab. W protokołach opisano ją jako „wyjątkowo wrażliwą i bardzo inteligentną”.

- Zupełnie jak nasza Lil - rzekł z dumą Danny, pochylił się na krzesło i czule cmoknął córkę w policzek.

- Na pewno przeczyta powieść cioci Kathleen, gdy dorośnie. Prawda, skarbie? Ale na razie musi już iść do łóżka.

- Lil także chce dużo podróżować - dodała Annie. - Jak jej ciocia.

Mała podbiegła do kredensu i wyciągnęła pudełko po butach pełne pocztówek, które przysyłałam z różnych stron świata. Zaczęła je wyciągać na chybił trafił i kłaść na stole. Przy rodzicach na tyle nabrała śmiałości, że próbowała nawet z wysiłkiem odczytywać obco brzmiące nazwy: wieża Eiffla; wielki mur w Sian; wiosenne kwiaty pod Heraklionem.

Dla mnie wybór pocztówki stał się swoistym rytuałem, do którego przystępowałam zaraz po przyjeździe na nowe miejsce. Naklejałam znaczek, wypisywałam adres Danny'ego, po czym siadałam przy stoliku w kawiarni albo na schodach pomnika i spisywałam pierwsze wrażenia. Ani razu nie zapominałam o wysłaniu kartki. Ale robiłam to tylko dla siebie. Nie podejrzewałam, że będą je zbierać. Dlatego byłam zaskoczona, że tak skrzętnie gromadzili te okruchy wiadomości ode mnie. No i osłupiałam, ujrzawszy, ile zebrało się tych pocztówek. Wydawać by się mogło, że przez lata nie robiłam niczego innego oprócz podróżowania po świecie. Przypomniała mi się maksyma, jaką kiedyś przepisałam z czasopisma: „Stałość jest tym, czego wszyscy pragniemy, kochając i będąc kochanymi; do zmian dążymy wobec braku miłości”.

Teraz, gdy Jimmy odszedł, nie miałam już nikogo, z kim mogłabym porozmawiać o tych sprawach. Zresztą i on niezbyt lubił, kiedy popadałam w filozoficzny nastrój.

- Przez ciebie czuję się samotna - poskarżyłam się pewnego razu. - Wszystko obracasz w żart. Nigdy nie traktujesz mnie poważnie.

- Odwal się, Kath - mruknął. - Czasami wylazi z ciebie straszny smutas.

Kiedy Lilian zrobiła się senna, zaniiosłam ją do sypialni sąsiadującej z kuchnią, ułożyłam pod kołdrą i położyłam się obok niej. Z pokoju dolatywały stłumione głosy Danny'ego i Annie. Mała zasnęła niemal w jednej chwili. Przyjemnie było tak leżeć przy niej, w zapadającej ciemności, zasłuchanej w szmer dziecięcego oddechu, gapiąc się w sufit. Od razu zauważyłam, że ktoś pomalował go pędzlem, z którego wylaziło włosie. Lilian sapnęła trochę głośniej i znów przycichła. Kiedy mocno zasnęła, skopała kołdrę, przekręciła się i przywarła do mego boku, jakby się dopraszała, żeby ją przytulić. Delikatnie objęłam ją ramieniem.

W drodze powrotnej do Shore Road, tego dnia, gdy po wygraniu konkursu eseistycznego pojechałam z mamą do Dublina, musiałam budzić u niej podobne odczucia. Siedziałyśmy ściśnięte na końcu autobusu i ona obejmowała mnie w ramionach - tak samo, jak teraz ja Lilian, prawą ręką. Obie byłyśmy bardzo zmęczone, lecz uradowane po tak wspólnym dniu. Odwiedziłyśmy działy odzieżowe w domach towarowych Clery's i Arnott's nawet nie jeden raz, a dwukrotnie. W drodze do stolicy mama tłumaczyła, że właśnie tak się powinno robić zakupy - najpierw obejrzyć towar i porównać ceny, a dopiero później wybierać.

- Chciałabym mieć płaszcz z prawdziwej wełny - powiedziałam. - Chyba wiesz, mamó, o jakim marzę? Do tej pory chodzę w tym jednym, od pierwszej komunii. Tobie również by się przydał nowy płaszcz. Ten jest za duży. A ja ze swojego wyrosłam.

- Nie starczy nam na płaszcze - odparła. - Są za drogie. Wybierz coś innego.

- To kupię sobie minispódniczkę.

- Nie ma mowy! Ojciec by cię zabił!

- Przecież starczy na prezenty dla wszystkich. Nawet jeśli kupimy rajstopy dla Nory i zielone piłkarskie getry dla Danny'ego, na pewno zostanie jeszcze dużo pieniędzy.

Uparła się, że nie wejdzie ze mną do redakcji, aż musiałam ją ostro skarcić i powiedzieć, że nie pozwolę, by stała przed budynkiem jak żebraczka. Weszła więc do środka i stanęła pod ścianą w korytarzu, podczas gdy ja podeszłam do dziewczyny w recepcji, żeby zapytać, gdzie mam się zgłosić. Na wysokich stołkach za kontuarem siedziały trzy lub cztery kobiety i gdy tylko usłyszały moją rozmowę z recepcjonistką, zaczęły się do mnie uśmiechać i gratulować mi talentu.

- To moja mama - powiedziałam, wskazując ją palcem.

- Musi być pani bardzo dumna z córki! - zawołała któraś.

Matka tylko wstydliwie skinęła głową i jeszcze mocniej przycisnęła do piersi pękata torebkę. Ale oczy jej rozblęły. Nie wiem, czy recepcjonistka to zauważyła, w każdym razie wyniosła z kontuaru krzesło i postawiła je obok mamy w korytarzu. Później poprowadziła mnie na piętro do działu fotograficznego, gdzie jakiś mężczyzna w gabinecie wręczył mi piękną białą kopertę zawierającą dziesięć jednofuntowych banknotów. Już sama ta koperta była dla mnie bardzo cenna.

Po wyjściu z redakcji przeliczyłyśmy pieniądze, siedząc blisko siebie na niskim kamiennym murku nad pachnącą solą rzeką Liffey, pod stadkiem kołujących w górze mew - skulone, żeby jakiś złodziej nie dojrzał nagrody.

- To dla ciebie - powiedziałam, dając mamie pięć funtów. - Na prezent ode mnie.

- Pięć?! - szepnęła. - Aż pięć?! Boże, co ja z nimi zrobię?

Schowała jednak banknoty, po czym ruszyliśmy z powrotem przez most O'Connella w kierunku domu towarowego Clery's.

Po drodze wstąpiłyśmy do baru. Kelnerka pomyliła nasze porcje, bo ja zamówiłam frytki z jajkiem, a mama lody z likierem malinowym i kremem waniliowym. Tego kremu na wierzchu było tyle, że mimo wysokiej szklanki zaczął ściekać na zewnątrz, więc mama szybko pochyliła się nad stołem, żeby go zlizać.

Nagle zapytała:

- Co ty im tam powiedziałaś, że dali ci nagrodę?

- Słucham?

Byłam kompletnie zaskoczona jej zainteresowaniem moimi sprawami.

- O czym był ten konkurs, który wygrałaś?

- „Piękno tego świata napawa mnie smutkiem, to piękno, które przemija...” - odparłam. - Padraig Pearse. Pewnie by ci do głowy nie przyszło, że on, taki poetyczny, skończył w powstaniu, strzelając do ludzi.

- I co miałaś do powiedzenia na ten temat?

- Och... - Poczułam się zawstydzona. - Napisałam o plaży w zimowe wieczory, o ptakach siedzących w ciemności, ich wrzaskach... no i o muzyce, jak w drodze od autobusu mijam dom nauczyciela gry na fortepianie, zatrzymuję się...

- Odziedziczyłaś zdolności po ojcu - powiedziała z uznaniem.

- Wszystkie pomysły wzięłam z książek - zaprotestowałam, marszcząc brwi. - Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Pochylona w moją stronę uśmiechnęła się do mnie, jakbyśmy były koleżankami. Siedziałyśmy przy oknie i ponad jej ramieniem widziałam przejeżdżające ulicą samochody i ludzi spieszących po chodniku.

- I tak jesteś do niego bardzo podobna - dodała. - Nie ma w tym nic złego, Kathleen. Wspaniała z ciebie dziewczyna. Stwierdzam tylko, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Ale to dobra, zdrowa jabłoń - odparłam, mając na myśli to, że ojciec jest silnym, dobrze zbudowanym mężczyzną.

Obie zachichotałyśmy.

W domu towarowym Clery's mama kupiła sobie bawełnianą sukienkę, wcześniej przymierzywszy kilkanaście. Ja wybrałam dla siebie czarny golf, bo takie rzeczy nosiło się w Paryżu. A później w autobusie, na ostatnim odcinku podróży do Shore Road, gdy podsypiając, przytulone do siebie podskakiwałyśmy na wybojach w słabo oświetlonym wnętrzu, mruknęła:

- To był wspaniały dzień. Jestem z ciebie bardzo dumna.

- Czy twoja matka także była z ciebie dumna? - zaryzykowałam.

- Nie - ucięła krótko.

- Twoi rodzice w ogóle wiedzą o nas?

- To znaczy o kim? - spytała zdziwiona.

- Na miłość boską, mamó! O nas! O tym, że masz dzieci.

- Wiedzą, że wyszłam za mąż - odrzekła, a po chwili dodała: - A raczej wiedzieli. Nie mam pojęcia, czy jeszcze żyją. - Przez pewien czas siedziałyśmy w milczeniu, zanim dorzuciła ledwie słyszalnie: - I nawet nie chcę wiedzieć.

Kiedy sufit rozmazał mi się przed oczami, rozebrałam się do bielizny i ostrożnie wsunęłam pod kołdrę obok Lil - dziecka zesłanego przez Boga. Jej rodzice od wielu lat byli małżeństwem i dużo czasu minęło, zanim Annie zaszła w ciążę. Nadal jednak musieli uprawiać seks. Tylko czy można to jeszcze tak określić, kiedy jest się ze sobą od tak dawna i nadal ufa się we wzajemną miłość do tego stopnia, że zdrada nawet nie przychodzi do głowy? Czemu ma służyć uprawianie seksu, jeśli już zdobyło się odwzajemnioną miłość i doskonale zna się partnera? Nie potrafiłam sobie wyobrazić seksu, który nie jest metodą na poznanie kogoś - nie stanowi przygody i wyprawy w nieznanne.

Rozmyślałam właśnie o tym, że w moim pojęciu nie istnieje seks nie będący poszukiwaniem miłości, zarazem podświadomie usiłując dostosować rytm swego oddechu do oddechu śpiącej Lilian, aż w końcu i ja zaczęłam przysypiać.

Przyszło mi do głowy, że powinnam zapytać Norę o jej stopień zamknięcia się w sobie - czy to prawda, że jeśli człowiekowi brakuje matczynej miłości, to, jak wszyscy powiadają, potem przez całe życie szuka jej u innych ludzi. A może tak naprawdę wcale nie chce być kochanym? Może instynktownie jest gotów uczynić niemal wszystko, aby ci, którzy go kochają, przestali kochać? Właśnie po to, żeby wrócić do punktu wyjścia, do stanu, gdy odczuwa się brak miłości.

Usłyszałam, jak Danny pokrzykuje na kota:

- Furriskey! Furriskey!

A potem śmieje się głośno, wracając z kuchni do pokoju.

- Ten twój kot już się tak spasł, że nawet nie pamięta swojego imienia!

Chwilę później doleciały gromkie śmiechy z włączonego telewizora.

- Ścisz trochę, kochanie! - zawołała Annie. - Kathleen i Lil już śpią.

Głosy natychmiast przycichły, zamieniły się w jednostajny, stłumiony szmer.

10

Rano zaczęłam mieć tego dosyć. W niezbyt czystej łazience było diabelnie zimno. Zwróciłam już na to uwagę, wynosząc do kuchni talerze po obiedzie - zlew był niedomyty, wokół odpływów czerniały wianuszki osadu, na ściankach widniały liczne tłuste plamy. Za czasów wujka Neda cały dom błyszczał czystością. Kiedy Annie bąknęła, że może mieć kłopoty, jeśli się spóźni do pralni, a Lilian zaczęła marudzić, że i ona nie może się spóźnić do szkoły, pomyślałam, że nie chcę zostawać z Dannym na cały dzień. Wszystko, co najważniejsze, załatwiliśmy wczoraj. O czym mielibyśmy jeszcze rozmawiać? Brat widocznie uważał tak samo, gdyż mruknął, że musi odstawić forda do warsztatu, cmoknął mnie w policzek i zniknął, nie dopiwszy nawet herbaty.

- Jest szczęśliwy jak niemowlę, bo spotkanie z tobą przebiegło bez żadnych zgrzytów - powiedziała bratowa. - Lepiej, żeby tak zostało.

Poszła do kuchni, żeby zrobić mi herbatę, ja tymczasem zaczęłam pakować rzeczy.

- Jeszcze jedno - odezwałam się, kiedy wróciła, jakby od początku było jasne, że wpadłam do nich tylko na jedną noc. - Masz jakąś kopertę, Annie?

- Chyba nie zamierzasz już wyjechać? - spytała, patrząc na mnie ze zdziwieniem. - Tak wcześnie? Przygotowałam dla ciebie łóżko...

Nie miałam odwagi spojrzeć jej w twarz. Wyczuwałam po jej głosie, że czuje się urażona.

Wypisałam dla Danny'ego czek na tysiąc funtów, włożyłam go do koperty, którą mi dała, i na wierzchu napisałam: „Na rozwój twojej hodowli. To prezent, a nie pożyczka”. Annie przez cały czas obserwowała mnie uważnie. Nie widziała sumy widniejącej na czeku, a ja jej tego nie powiedziałam. Według standardów Kilcrennan była to dość pokaźna kwota. Ale skoro już się zdecydowałam na taki krok, trzeba było mieć gest. Danny zasługiwał na szansę, dopóki jeszcze chciało mu się inwestować w gospodarstwo.

- Oddasz mu to? - zapytałam. Przytaknęła z poważną miną.

- No to chodźmy. Sprawicie mi przyjemność, jeśli razem z Lil odprowadzicie mnie do samochodu.

Spełniły tę prośbę. Odjeżdżając, widziałam je we wstecznym lusterku, jak machały mi na pożegnanie i słały całusy. Dłuższy odcinek drogi był upstrzony rozdygotanymi odblaskami słońca przeświecającego przez poruszane wiatrem młode liście wiekowych buków - a więc i po nich dwóch tańczyły te odblaski.

Kiedy zniknęły z powrotem w domu, zastanawiałam się przez dobrą minutę, czy by nie zawrócić i przed odjazdem odwiedzić grób mamy.

Nie.

Wystarczy.

Może w Kilcrennan jest jakiś lokal, nawet najskromniejszy, o wystroju z polerowanej stali i surowego drewna, ze słóiczkami szkarłatnej żurawinowej polewy na laminowanych blatach małych stolików, gdzie podawano by dobrą kawę z ekspresu, jeszcze lepiej z czymś w rodzaju drożdżówki z figowym nadzieniem? Na przykład kawiarenka przy siłowni, przeznaczona dla dobrze zbudowanych, opalonych młodych ludzi w jasnoszarych sportowych dresach, którzy po zajęciach chodzą do łóżek ze świeżutką frotową pościelą, aby doprowadzić się wzajemnie do równoczesnego orgazmu?

A może znalazłoby się takie miejsce gdzieś przy trasie z Kilcrennan do Mellary?...

Przyszło mi także na myśl, żeby wpaść do Dublina. Do hotelu Bertiego mogłam wrócić dopiero w sobotę. Wszyscy powtarzali, że stolica bardzo teraz wyładniała, chociaż ja pamiętałam ją jako prowincjonalne, brudne i zadymione miasto, z ładnymi, ale rozsypującymi się budynkami, pełne zmęczonych dzieci kryjących się w mrocznych bramach domów i długich kolejek na przystankach, złożonych jak gdyby z samych parasoli czekających na autobusy jeżdżące żółtym tempem w strugach deszczu.

Mogłabym zajrzeć do Biblioteki Narodowej, lecz nie ciągnęło mnie tam specjalnie. Panna Leech zaktroszczyła się już o mnie pod tym względem, wzięła na siebie rolę dobrej wróżki.

Ale mogłabym pójść na Merrion Square i na schodach Ministerstwa Rolnictwa złożyć hołd pamięci wujka Neda...

Widziałam go tam po raz ostatni pewnego wieczoru, kiedy sądziłam, że wyglądam wspaniale. Skończyłam wtedy drugi rok nauki w Trinity College, a pracując dorywczo jako kelnerka, zarabiałam wystarczająco,

żeby się cudownie bawić. Z gromadą znajomych poszłam wówczas na szkolny bal w pięknej wypożyczonej sukni. Po całonocnej zabawie tuż przed świtem wracaliśmy zmęczeni szerokim chodnikiem przez plac. Na schodach ministerstwa ciemniały rozłożone koce, śpiwory i grube palta - protestujący delegaci Zrzeszenia Drobnych Farmerów spali pod gołym niebem. Tylko jeden człowiek siedział w śpiworze oparty plecami o kolumnę portalu i gdy podeszliśmy bliżej, rozpoznałam Neda. Zastygłam jak sparaliżowana na wprost niego, on zaś obrzucił mnie surowym wzrokiem. Moja suknia balowa była z ciemnozielonego jedwabiu, a przyjaciółki powplatały mi we włosy, jeszcze bardziej bujne niż obecnie, cienkie srebrne wstążki. Wujek popatrzył na mnie z takim smutkiem w oczach, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziałam, od razu jednak zrozumiałam, że ten smutek nie ma nic wspólnego ze mną.

Już od dawna podejrzewałam, że Ned skrycie podkochuje się w mojej matce. Przyszło mi to na myśl, gdy opiekowałam się jego gospodarstwem. Pobyt wuja w więzieniu miał pozostać najściślejszą tajemnicą, ale Ned sam się wygadał przy pierwszej okazji. W czwartek, zaraz po wyjściu na wolność, jak zwykle zaniósł mamie herbatę do sypialni. Zapytał ją, jak się czuje, a ona odparła, iż cierpi na bezsenność. Oznajmił wtedy, że powinna pooddychać dublińskim powietrzem, bo jemu nigdy i nigdzie tak dobrze się nie spało, jak w więzieniu Mountjoy. Wykrzyknęła wtedy: „Co takiego?!”. No i wtedy tajemnica się wydała. Początkowo sądziłam, że sprawił to wyłącznie przypadek. Ale gdy tamtej nocy przed gmachem ministerstwa napotkałam jego wzrok, zrozumiałam, że bardzo mu zależało, aby matka dowiedziała się o jego niezwyklej przygodzie. Chciał, żeby go podziwiała. To jego spojrzenie nocą w Dublinie powiedziało mi wprost, że Ned kochał moją matkę. Wtedy mimowolnie uśmiechnęłam się do niego, czule i przyjaźnie, po kobiecemu.

Nie. Nie miałam ochoty odwiedzać Dublina.

Postanowiłam wracać do domku letniskowego.

Prawdę powiedziawszy, wolałam być na miejscu, gdyby Shay chciał się jednak zobaczyć ze mną po raz drugi.

Ruszyłam na zachód, lecz po jakimś czasie zboczyłam z trasy i wjechałam do Athlone. Zapytałam ekspientkę w sklepie odzieżowym o dobry salon fryzjerski, po czym spędziłam kilka godzin w zaskakująco szykownym lokalu, robiąc sobie balejaż. Serwowano tam bardzo dobrą kawę i stosowano wszelkie najnowsze kosmetyki, wyszłam więc odmłodzona, pełna energii i wigoru. W drodze powrotnej do samochodu natknęłam się na delikatesy, toteż z przyjemnością zaopatrzyłam się na kilka ostatnich nocy w Mellary we francuski ser, wiejski chleb, piękne dojrzałe pomidory i butelkę drogiego wina. Zaspokajanie wielkomiejskich zachcianek w małej chatce na irlandzkiej prowincji wydało mi się niemal szczytem marzeń.

Po wyjściu ze sklepu stanęłam na ulicy zamyślona. Był ciepły słoneczny dzień. Irlandia stopniowo wkraczała w najprzyjemniejszy, kipiący życiem okres lata, zachodziło to jednak tak powoli, jakby ładną pogodę ktoś wydzielał na raty. Zaczęłam się zastanawiać, czy istnieje jakakolwiek szansa, żeby ściągnąć tu Aleksa choćby na bardzo krótki wypoczynek. Czy zgodziłby się przyjechać na tydzień, skoro jego matka pozostawała w szpitalu pod dobrą opieką? Dopóki nie spotkało go jeszcze najgorsze? Może dałby się skusić słoneczną plażą w ciekawym turystycznie regionie, na przykład na Półwyspie Chalcydyckim. Hotele są tam luksusowe, przynajmniej według greckich standardów, i łatwo o całodniową wycieczkę po monastyrach wokół góry Atos. Oczywiście tylko dla mężczyzn, bo rażąca mizoginia jest tam jednym z filarów religii. Z drugiej strony, Alex

nie był zwolennikiem wylegiwania się na plaży. Nie umiał pływać w morzu, jak kiedyś sam się przyznał, a tylko w basenie. Za to Jimmy mógłby wręcz mieszkać na plaży. Kiedyś zaproponował, żebyśmy na starość wspólnie kupili sobie dom na którejś greckiej wyspie, na co odparłam: „Bardzo chętnie, byle nie na Mykonos. Wolałabym nie być zaskakiwana widokiem jakiegoś niemieckiego młodzieńca w rzemiennej uprzęży”. Potem bardzo żałowałam tego głupiego dowcipu. Bo i Jimmy z pewnością nie chciałby na starość zamieszkać na Mykonos. Bo i co podstarzały gej miałby robić wśród młodych mężczyzn? Jak w ogóle Jimmy zapatrywał się na swoją starość w osamotnieniu, bez partnera? Byłam jego serdeczną przyjaciółką, mogłabym więc odgadywać najskrytsze pragnienia, o których nawet bał się mówić! Boże, jak miałam sobie teraz radzić bez niego? Na letnie wakacje czy święta Bożego Narodzenia, we wszystkim, co wymagało planowania - był moim wiernym druhem. Bez niego nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby kupić dom na greckiej wyspie! Nie wyobrażałam sobie, bym po siedemdziesiątce mogła samotnie przesiadywać na patio, wpatrywać się w błękit morza i ciągle sprawdzać, czy włączony jest system alarmowy.

Wróciłam do samochodu i pojechałam dalej w kierunku Mellary. Wciąż miałam tylko tę kasetę z marnymi wczesnymi nagraniami Sinatry, próbowałam więc słuchać radiowej dyskusji na temat polityki irlandzkich partii, ale okazała się dla mnie niestrawna, toteż wyłączyłam radio.

Tak czy inaczej, nie zamierzałam na starość wylądować w Grecji! Wszędzie, byle nie tam! Bo właśnie w Grecji przeżyłam najszcześniejsze chwile mojej młodości. Właśnie ten kraj zwiedzałam, nie będąc jeszcze zepsutą (a raczej zbyt ostrożną; to lepsze określenie). Bo teraz z pewnością byłam w środku zepsuta.

Mojej pierwszej wielkiej miłości, Hugona, często musiałam szukać na terenie i w budynkach Politechniki Londyńskiej. Był dla mnie typem bohatera starych romansów. Wyglądał jak mężczyzna studiujący w Oksfordzie czy w Cambridge, tyle że nie teraz, ale w latach dwudziestych - wiosłujący, urządzający pikniki bądź zwyczajnie wylegujący się w wysokiej trawie na skraju pola do gry w krykieta.

Na drugim roku studiów dziennikarskich oboje wybraliśmy ten sam zestaw przedmiotów dodatkowych. Na wykładach Hugo, tak samo jak ja, siadywał w ostatnim rzędzie auli. Zaczęliśmy od wymiany podstawowych informacji. Interesował się polityką i równolegle ze studiami dziennikarskimi robił dyplom magisterski z prawa, zamierzając szukać pracy w wydawnictwie prasowym. Ja także miałam nadzieję znaleźć zatrudnienie w jednej z redakcji londyńskich gazet.

- Co myślisz o sytuacji w Irlandii Północnej?

- Do diabła, nawet nie potrafię się w niej dobrze rozeznać.

- To może bardziej pasowałaby ci praca w redakcji jakiegoś magazynu ilustrowanego?

Podziwiałam jego sposób bycia. Zawsze coś czytał, kiedy czekaliśmy w sali na rozpoczęcie wykładu, zwróciłam jednak uwagę, że czyta bardzo wolno, i do tego zawsze tylko jedną pozycję. Przez kilka tygodni wyciągał wciąż to samo kieszonkowe wydanie zbioru średniowiecznych niemieckich baśni ludowych. Ja wówczas próbowałam błyskawicznie nadrabiać zaległości z literatury. Pochłaniałam jednocześnie cztery lub pięć powieści - Dostojewskiego, *Love Story*, Françoise Sagan, Angusa Wilsona, Harta Crane'a i Catherine Cookson. Byłam gotowa czytać wszystko. Od niego nauczyłam się jednak staranniej dobierać lektury. Podziwiałam też jego ubrania, bo chodził w znoszonych garniturach zamiast w luźnych swetrach i dzinsach. Zapytał mnie kiedyś, czy lubię Schuberta.

- Oczywiście! - odparłam błyskawicznie, po czym, jak łatwo się domyślić, przy pierwszej okazji w wielkim sklepie płytowym przy Oxford Circus przesłuchałam kilka płyt naraz. Najpierw spodobała mi się piękna romantyczna pieśń wykonywana przez jakiegoś tenora, w której fortepianowy akompaniament to przybierał na sile, to znów cichł niemal zupełnie, po czym wokalista podejmował jak gdyby zupełnie inną frazę. Później wysłuchałam kwartetu smyczkowego *Śmierć i dziewczyna*. Był to w ogóle pierwszy utwór kameralny, z jakim się zetknęłam. I w następnym tygodniu, gdy znów czekaliśmy na rozpoczęcie wykładu, powiedziałam Hugonowi, że środkowa, nastrojowa część tego kwartetu kojarzy mi się z kotami, które, siadając, podwijają ogony i układają je eleganckim łukiem wzdłuż ciała.

Spojrzał na mnie dziwnie.

- Nie za dużo się zadajesz z tym długowłosym towarzystwem? - spytał.

- Nie sędzę - skłamałam. - Raczej wolę spędzać wolny czas w samotności niż w jakimkolwiek towarzystwie.

Pomyślałam, że mamie na pewno bardzo by się spodobał jego głos. Przypominał trochę głos Lesliego Howarda z *Przeminęło z wiatrem*.

W ramach zajęć praktycznych dobrani parami studenci mieli wyruszyć na miasto z magnetofonami, żeby nagrać materiały do reportażu. Prowadzący zajęcia przypadkowo połączył mnie w parę z Hugonem. Nie mogłam zasnąć z radości i podniecenia.

- Mój wujek jest podrzędnym baronetem. Moglibyśmy go złapać w Izbie Lordów i spróbować wyciągnąć najświeższe wiadomości - zaproponował.

- To mało ciekawe.

Na jakiś czas zapadło milczenie.

- Właściciel pubu, w którym pracuję, bez przerwy kłóci się z żoną - powiedziałam. - Moglibyśmy nagrać jego opinię o niej, a potem zapytać, co ona sądzi o nim, i później tak poprzyćcinać nagrania...

- Nie jestem pewien, czy to jeszcze wchodzi w zakres dziennikarstwa.

Zostaliśmy we dwójkę w opustoszałej sali.

- Do tego pubu regularnie przychodzi pewna staruszka, która walczyła w wojnie domowej w Hiszpanii - zaczęłam.

- Mój kuzyn był w ubiegłym roku w Albanii - podsunął Hugo.

- Nie znasz nikogo spoza swojej rodziny? - zapytałam z uśmiechem, mając nadzieję, że zna się na żartach.

- A ty nie masz żadnej rodziny? - zrewanżował się. - Czy może ten pub, o którym gadasz bez przerwy, zastępuje ci rodzinę?

Jego uśmiech podpowiedział mi, że się nie myliłam.

Po zakończeniu roku akademickiego w czerwcu powiedział, że wyjeżdża na wakacje do Grecji - na wyspę Naksos, gdzie jego rodzice mają willę.

- Będę strasznie za tobą tęsknił, Kathleen.

- Jak się nazywa sąsiednia wyspa? - zapytałam.

- Bodajże Paros.

Udałam, że nic mi te nazwy nie mówią. W ciągu następnych tygodni parę razy wybraliśmy się do kina, bez przerwy trzymając się za ręce. I kiedy rankiem tego dnia, gdy miał wyjechać, wpadł do pubu, gdzie zmywałam właśnie podłogę, powiedziałam:

- Będę w porcie na Paros w moje urodziny, dwudziestego ósmego lipca, w dzień świętego Nazariusza i świętego Celsusa.

Obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem.

- To męczennicy z początków chrześcijaństwa - odparłam, jakby to cokolwiek wyjaśniało.

Wciąż przyglądał mi się uważnie. Z jego strony był to wyraz bezgranicznej wdzięczności, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam i spędziłam, zamartwiając się, pół bezsennej nocy.

Zapłaciłam własnym potem i krwią za tę sposobność osiągnięcia pełnej dojrzałości. Pracowałam na dwie zmiany w hotelu, a każdego ranka sprzątałam jeszcze w pubie. Napisałam do wuja Neda, żeby mi przysłał odpis aktu urodzenia. Później, z ociąganiem, napisałam drugi list, w którym poprosiłam o resztę pieniędzy potrzebnych na podróż. Dostałam od niego dość gruby plik irlandzkich funtów zapakowanych w kopertę oklejoną dookoła taśmą samoprzylepną, z adresem wypisanym wielkimi literami po obu stronach.

...Wszyscy tu dzięki Bogu mają się dobrze, a Danny jest mi bardzo pomocny. Mam nadzieję, że twój chłopak wie, jaka z ciebie wspaniała dziewczyna, Kathleen. Tutaj panuje straszna susza i nawet brakuje już siana z ubiegłych lat. Twój Wuj Ned.

Potem przez lata pisania reportaży podróżniczych bardzo często przystawałam na środku pokoju w kolejnym hotelu i spoglądając na tereny zielone za oknem czy też na wyblakłe reprodukcje akwareli wiszące na ścianach, koncentrowałam się na tej wąskiej przestrzeni, która mnie bezpośrednio otacza, jakbym sprawdzała bezpieczeństwo pasa zaoranej ziemi ciągnącego się wzdłuż moich granic. Związane z tym poczucie niezwykłej swobody ogarnęło mnie po raz pierwszy właśnie podczas tamtej samodzielnej podróży przez Europę, później na południowych krańcach kontynentu, w porcie w Pireusie, i w trakcie rejsu po szafirowej śródziemnomorskiej toni do portu w Paros, gdzie miał na mnie czekać Hugo. Cała ta wyprawa była niczym niekończący się muzyczny pasaż, jak odkrywanie samej idei podróżowania...

Na stopach miałam sandały, które w Anglii wydawały mi się idealne na taki klimat. Wcześniej kupiłam na wyprzedaży małą buteleczkę czerwonego lakieru do paznokci, przy okazji tłumacząc ekspedientce swoją teorię - że pomalowane paznokcie u nóg świadczą o tym, że dziewczyna czuje się już w pełni dojrzałą kobietą, nawet jeśli nic więcej na to nie wskazuje. Twardo zamierzałam nie zdejmować stanika, dopóki nie dotrę na Paros. Wszystkie pieniądze trzymałam w paszporcie na jednej piersi, pod miseczką biustonosza, na drugiej zaś inną, nie mniej cenną rzecz - plastikowe pudełeczko z pigułkami antykoncepcyjnymi. Zaczęłam je brać regularnie miesiąc wcześniej. Na wszelki wypadek, jak powtarzałam sobie każdego ranka. Na wszelki wypadek. W torbie podróżnej miałam dwie pary majtek na zmianę, drugi stanik, jeszcze jedną bawełnianą bluzkę, sukienkę oraz kostium kąpielowy, a w plastikowej torbie z supermarketu wszystkie przybory toaletowe. W tym również lakier do paznokci. Oprócz tego wiozłam *Słońce też wschodzi*, książkę o Grecji napisaną w latach trzydziestych przez jakiegoś wrażliwego Anglika, *Wojnę i pokój*, notatnik do spisywania własnych obserwacji oraz talię kart do stawiania pasjansów. Byłam tak samowystarczalna jak ślimak z własnym domkiem na plecach.

Tylko w głębokich zakamarkach świadomości tlił się jaskrawy żar: miłość do Hugona, prawdziwa namiętność. Bez względu na to, o czym rozmyślałam i co robiłam - czy flirtowałam z jakimś chłopakiem w porcie i pozwalałam sobie fundować kawę, czy odczytywałam cudownie brzmiące nazwy miast z listów przewozowych na wagonach stojących na boczniczy w Calais - przez cały czas wyczuwałam coś przyczajonego, w złotym blasku na dnie mej świadomości.

Pierwszego wieczoru w paryskim upale, czekając na nocny pociąg, wyszłam na ulice sąsiadujące z Gare du Nord, na wpół przerażona, pchana do przodu następującymi tuż po sobie zaskoczeniami: widokiem połyskliwych owoców morza wystawionych przed restauracją; sposobem, w jaki tutejsze kobiety, zwykle urzędniczki, wiązały sobie na szyjach apaszki i z seksownym stukotem obcasów wchodziły do małych sklepików spożywczych; ogromną Murzynką w regionalnym stroju, z wielkim szkarłatnym turbanem na głowie, pokrzykującą na uroczego czarnego chłopczyka w nieskazitelnie białym ubranku: *Venez! Venez!* W mieście było tak gorąco, że spuchły mi stopy. Kiedy w pociągu mogłam wreszcie zdjąć sandały, zauważyłam, że paski wbiły mi się głęboko w ciało - na obu stopach miałam nie tylko zaczerwienione pręgi w kształcie litery X, lecz również liczne otarcia.

I byłam bardzo głodna. Na szczęście znalazłam się w przedziale z całą rodziną grubasów. Gdy pociąg ruszył, zwałista matrona natychmiast zaczęła wyciągać z reklamówek ustawionych pod nogami całą masę jedzenia zapakowanego w brązowy pergamin i pozawijanego w gazetę. Krojąc grube kromki chrupiącego chleba, który przyciskała do opinającej się na brzuchu sukienki, rozstawiła szerzej nogi, aż moim oczom ukazała się mlecznobiała skóra na jej udach powyżej krawędzi czarnych pończoch. W uszach miała tak masywne złote kolczyki, że niemal sięgały ramion. Syn i córka, mniej więcej dziesięcioletni, bez przerwy szczerzący idealnie białe zęby w szerokim uśmiechu, byli tak spasieni, że mieli niemal identyczne biusty. Ojciec rodziny, o spalonej na brąz twarzy i krótko ostrzyżonych siwych włosach, bez słowa przyjmował od żony wszystko, co mu podawała. Ta zaś prowadziła nieustanny monolog, tylko od czasu do czasu oczekując od niego odpowiedzi. Z monotonną regularnością powtarzał więc *mais oui* albo *mais non*. A dzieciaki pałaszowały, aż im się uszy trzęsły. Wkrótce i ja poszłam w ich ślady. Początkowo delikatnie odmawiałam poczęstunku, lecz u obojga małżonków wywołało to jedynie potok perswazji. Przez cały długi dzień skąpiłam sobie wszystkiego, oszczędzając na każdym kęsie. Teraz, w gorącym i dusznym przedziale pociągu, zostałam uraczona pajdą chleba z szynką. Potem dostałam gruszkę i wielką soczystą śliwkę. Później plaster pieczonego udźca jagnięcego. Następnie porcję kredowobiałego sera i garść oliwek. I jeszcze kawałek agrestowej tarty. No i dwie szklaneczki rubinowoczerwonego wina domowej roboty, rozlewane przez mężczyznę z plastikowej butelki. A na koniec puszkę coca-coli, którą chłopak wcisnął mi w garść, ośmielony hojnością rodziców.

- *C'est bon, les voyages!* - odezwałam się, nie mając pojęcia, czy właściwie wyrażam po francusku to, co chcę powiedzieć: że podróże są wspaniałe. Pragnęłam jeszcze dodać, że skoro tak mają wyglądać wszelkie wojaże, to chcę podróżować do końca życia. Miałam na myśli ten pociąg mknący przez noc i nasze tymczasowe schronienie we wspólnym przedziale, moją radość z poznania tak niezwykle szczodrych ludzi i ciekawość tych nieznanymi atrakcji kryjących się w mroku za oknem: stawów biegnących w wykopach szos, wiosek z pozamykanymi okiennicami w domach, ulic miast z sygnalizatorami migającymi na wyludnionych skrzyżowaniach.

Les voyages - ils sont beaux! Chciałam powiedzieć, że to, co w normalnym pomieszczeniu mogłoby przyprawić o klaustrofobię, swoista dramaturgia podróży pociągiem magicznie odmieniała. Minęliśmy jakąś stację: czyjaś twarz z rozdziawionymi ustami, lampy sodowe, donośny gwizd lokomotywy. Głośny szum hamulców. Zwolniliśmy. Granica. W mej pamięci odżyły sceny ze wszystkich powieści sensacyjnych, jakie dotąd czytałam. I z filmów z Richardem Burtonem. Zwłoki niedoszłych uciekinierów, którym się nie poszczęściło, zwisające na drutach kolczastych. Wyszedłam na korytarz i opuściłam okno. Wzdłuż torów ciągnął się rów zarosnięty chwastami, niemal czarnymi w mętym świetle padającym z okien pociągu. Za nami stał przy nasypie jakiś budynek; silne reflektory, umieszczone dziwnie wysoko, jakby na szczycie wieżyczek strażniczych, rzucały rozmyte kręgi blasku w nocne niebo. Ktoś wykrzyknął coś w obcym języku.

Chłopak również wyszedł na korytarz, stanął obok mnie, uczeplił się uchwyty okna i wyjrzał na zewnątrz. Po chwili z szelmowskim uśmiechem na cygańskiej buzi pokazał trzymanego w garści papierosa.

- Niestety, nie mam zapalniczki, *monsieur* - powiedziałam i wycofałam się do bezpiecznego zacisza reszty rodziny.

Kobieta wszystko spakowała. Kiedy usadowiłam się wygodnie, jej mąż zmniejszył oświetlenie. Dziewczynka już spała obok niego, owinięta płaszczem. Wkrótce i chłopiec zasnął u boku matki. Mnie też zmorzyła senność. Ułożyłam się z głową opartą na sprężystej poduszce jej biodra. Tylko raz na krótko zbudziłam się z cichym jękiem, gdy odsunęła mnie delikatnie i ułożyła mi głowę na siedzeniu, po czym cała rodzina wysiadła w środku nocy na jakiejś stacji.

W Szwajcarii zdarzył się niemiły wypadek. Okazało się, że wsiadłam do wcześniejszego ekspresu, i konduktor wysadził mnie na pierwszej stacji, żebym zaczekała na swój pociąg. Zaufałam sprzątaczkowi z północnej Afryki, który obiecał mi postawić kawę, lecz najwidoczniej źle mnie zrozumiał, bo gdy nie zgodziłam się pójść do jego pokoju, w korytarzu poczekalni zaczął na mnie wrzeszczeć z wściekłością. Później na promie z Włoch poznałam innego mężczyznę, Greka, który zaproponował, bym skorzystała z wolnej koi w jego kabine, zapewniając, że nie mam się czego obawiać, bo ma córkę w moim wieku. Był naprawdę bardzo miły. Przyglądał mi się w napięciu - stał w otwartych drzwiach kabiny przepełnionej odorem dieslowskich spalin i wbijał we mnie nieruchomy wzrok. Spojrzałam mu prosto w oczy, powtarzając w myślach, że mam spuchnięte stopy i bolą mnie plecy. Nosił białą kamizelkę w stylu Marlona Brando i wyglądał na zmęczonego. Prowadził cyssternę oleju roślinnego do Bułgarii. Odniosłam wrażenie, że przygląda mi się trochę za długo, i łzy napłynęły mi do oczu. On zaś odwrócił się na pięcie i nie wrócił do kabiny przez całą noc. Musiał ją spędzić na siedząco. Zapukał do drzwi z samego rana i zaprosił do baru, gdzie zafundował mi kanapkę z plasterkami ogórka i kubek czarnej kawy. A gdy wyjrzałam przez okno, zauważyłam, że dopływamy do skalistego wybrzeża porośniętego suchymi krzakami. Byliśmy już w Grecji i wchodziliśmy do portu w Igumenitsa.

Po latach przeczytałam *Eleni* i po raz drugi natknęłam się na tę nazwę: rodzina Gage'ów wyemigrowała do Ameryki właśnie z Igumenitsa. Było to nudne, prowincjonalne, spalone słońcem miasteczko, ale mnie się tam wszystko podobało: i brudna betonowa zabudowa, i pełne much kawiarenki, i zwalisci kierowcy ciężarówek siedzący w cieniu parasoli i czytający sportowe komiksy.

Pojechałam stamtąd do Aten autobusem dalekobieżnym. Podróż trwała dziesięć godzin, lecz mnie to nie przeszkadzało. I tak ledwie mogłam chodzić na poobcieranych nogach. Pośrodku autobusu znajdowało się

miejsce służbowe, które zajmował chłopak sprzedający lodowato zimną wodę z dużej drewnianej skrzyni. Od czasu do czasu chodził między rzędami siedzeń z wilgotnym ręcznikiem pachnącym olejkiem różanym - tylko jednym na wszystkich pasażerów; nie była to klasa business linii lotniczych Japan Air. Po wytarciu spoconych dłoni trzeba było przekazać ten ręcznik dalej. Z radia bez przerwy płynęła muzyka ludowa przeplatana swoistym bliskowschodnim rockiem, w którym solistki o donośnych głosach wyły, jak się domyślałam, o miłości. Droga była strasznie wyboista. Zresztą i tak niewiele mogłam zobaczyć, bo gdy tylko próbowałam rozsunąć nieco zasłonki w oknie, siedzące wokół mnie starsze kobiety natychmiast zaczynały cmokać z naganą i pokazywać palcami słońce. A wszystkie, mimo czterdziestostopniowego upału, były w czarnych elastycznych bluzkach z długimi rękawami i wełnianych serdaczkach. Raz jednak udało mi się dostrzec drogowskaz do Teb. To przecież tutaj żył kiedyś Edyp - właśnie tutaj, gdzie teraz przy skrzyżowaniu stała stacja benzynowa! Z Aten pojechałam innym autobusem, piętrowym, do Pireusu. Ale tym razem weszłam na górę i zajęłam miejsce na samym przodzie, skąd obserwowałam, jak autobus przeciska się mozolnie zatłoczonymi ulicami w zapadającym zmierzchu. Spoglądałam na błyskające neony kin i teatrów, prostytutki w skąpych szorcikach, spoconych kelnerów palących papierosy przy służbowych wejściach do restauracji, pomniki i posągi, policjantów z gwizdkami kierujących ruchem, fontanny w mrocznych parkach.

Kiedy prawie wszyscy wysiedli i skręciliśmy w szeroką aleję, w powietrzu wpadającym przez otwarte okna pojawił się wyraźny odmienny zapach. Uniosłam głowę i wzięłam głębszy oddech. To był słony zapach morza. Znowu byłam nad morzem!

W nocy zerwał się wiatr. Grupa młodych turystek z Anglii wskazała mi najbliższy hotel, ale byłam zbyt podniecona, by myśleć o wypoczynku. Gorące podmuchy miały falami o nabrzeże oraz spychały na siebie jachty i kutry rybackie, których maszty i stalowe olinowanie dzwoniły na różne tony. Olbrzymie promy kursujące między wyspami napinały grube cumy, tymczasem wiatr, który stawał się coraz gorętszy, zaczął najpierw rzucać spienione grzywy poprzez krawędź nabrzeża, później zaś ciskać garściami wody na mroczne puste parkingi i ściany drewnianych baraków, gdzie sprzedawano bilety promowe. Z ciemności bez przerwy dobiegały okrzyki i nawoływania, a mężczyźni siedzący w obskurnych kawiarenkach zaśmiewali się w głos. Po raz pierwszy widziałam ludzi siedzących przy stolikach obok siebie, na krzesłach ustawionych rzędami jak na widowni; z rozmachem rzucali na plastikowe blaty karty do gry i krótkimi grubymi palcami skubali w zamyśleniu wysokie, pomarszczone, spalone na brąz czoła. Tamtej nocy, kiedy leżałam w hotelowej pościeli, z trudem oddychając z gorąca, poczułam z pełną mocą, jak blisko jestem Hugona. Nic już nie mogło mnie powstrzymać.

Silny wiatr opóźnił wyjście promu z Pireusu i kiedy wreszcie płynęliśmy w kierunku Paros, zostawiając za rufą smugę piany na lekko sfalowanej wodzie, w klarownym powietrzu krążyły stada mew. Uwiłam sobie gniazdko na górnym pokładzie, w kącie za szalupą ratunkową. Ogarnęło mnie rozleniwienie. W słońcu obtarta skóra na stopach szybko się goiła, a rozgrzane deski pokładu wyciągały ze mnie zmęczenie. Wyciągnęłam z torby książkę, ale szybko ją odłożyłam, gdyż w ogóle nie mogłam myśleć. W moim umyśle, pracującym na jałowych obrotach, kołatało tylko jedno: Hugo, Hugo.

O zmierzchu zrobiło mi się jednak zimno, zebrałam więc rzeczy i poszłam do baru. Po drodze przystanąłam i zajrzałam do kawiarni na górnym pokładzie. Krzątał się tam starszy mężczyzna, który rozsypywał ziarnistą kawę do małych plastikowych torebek i zmywał talerze oraz szklanki w dużym zlewie, przez cały czas

śpiewając donośnie lekko zachrypniętym głosem. W ciasnej kuchence wszystkie drzwi były otwarte na oścież, toteż dostrzegłam atramentową toń morza za przeciwną burtą. Kiedy się pochylił, zauważyłam, że przepływamy obok małej wysepki. A gdy odstawiał umyte naczynia, ponad jego ręką wyłoniły się ruiny na szczycie górzystej wysepki - resztki kolumnady starożytnej świątyni - oświetlone na złoto przez zachodzące słońce na tle granatowego morza. Owe złote fryzy na liczących tysiące lat kolumnach były pierwszymi, jakie ujrzałam na własne oczy. Ja ze swoją torbą podrózną, grecki pomywacz i starożytna świątynia znaleźliśmy się na jednej linii, utworzonej przypadkiem przez olbrzymi prom niestrudzenie mieszający śrubami ciemną śródziemnomorską toń i wiozący mnie do mego przeznaczenia, którym powinna być prawdziwa miłość.

Wysiadłam na wyspie i, oszczędzając, prawie nic nie zjadłam, znalazłam też najtańszą kwatere w garażu, z łóżkiem polowym i zlewem w rogu oraz możliwością korzystania z łazienki w domu na drugim końcu ogrodu. Potem pływałam i wylegiwałam się na piasku, chwytając opaleniznę dla Hugona. Przerazał mnie lejący się z nieba żar, że aż trudno było oddychać, denerwowały tablice ostrzegawcze z napisami w nieznanym mi języku, napawali lękiem ludzie przechodzący obok mego skromnego dobytku na plaży, którzy mogli ukraść mi pieniądze i paszport, a także właściciel garażu kręcący się po cytrynowym gaju i udający, że podlewa drzewka. Ale najważniejsze było to, że mogłam dotrzymać słowa i znaleźć się w porcie, kiedy przyplynie prom z Naksos.

Bezkrzesny przestwór nieskalanego błękitu nieba. Wielki biały prom wyłaniający się zza przyładka, zwalnający i podpływający powoli do nabrzeża portowego. Auta osobowe, ciężarówki wyładowane skrzyniami i workami, tłumy ludzi. Starsza kobieta krążąca między turystami z kolorowymi zdjęciami pokojów do wynajęcia. Furgonetki. Skutery. Rowery. Kolejna fala ludzi... Ani śladu Hugona. Odwróciłam się na zeszywniałych nogach, głęboko rozzarowana.

Minął mnie motorowerzysta, zawrócił, zatrzymał się na wprost. Zdjął z głowy kask.

- Z trudem cię poznałem - rzekł Hugo. - Wyglądasz jak gwiazda filmowa.

Moja wyprawa okazała się warta nawet stokrotnie większych wyrzeczeń. Kiedy się kochaliśmy, bez przerwy patrzył mi w oczy, jakby się lękał uronić choć jedną sekundę ze wspólnie spędzonego czasu. Przepęniała mnie niewysłowiona radość płynąca z rozlewającej się po całym ciele rozkoszy. Straciłam dziewictwo krótko po rozpoczęciu nauki w dublińskim college'u, w noc po głośnym międzynarodowym meczu rugby, z pewnym Szkotem, w hotelu, gdzie pracowałam w barze. Przeżyłam to strasznie. Bardzo się bałam zajścia w ciążę, więc choć później miałam wielu chłopaków, nie chodziłam z nimi do łóżka. Ale teraz! Całym sercem oddawałam się Hugonowi. Dopiero pod koniec oboje zamknęliśmy oczy, koncentrując się na własnych doznaniach. Dałam się ponieść rwącej rzece wrażeń, unoszącej mnie coraz szybciej i szybciej w stronę jedwabistej śluzy. Przytrzymała mnie chwilę na jej krawędzi, wreszcie przeniosła na drugą stronę i poleciałam w otchłań huczącego wodospadu.

Rozpłakałam się z ulgi i szczęścia w ramionach Hugona, czule tulącego mnie do siebie.

- Dziękuję - szepnęłam. - Dziękuję.

Nie zmrużyliśmy oka przez całą noc. Polowe łóżko w moim garażu było chwiejne, piankowy materac i pościel wciąż się z niego zsuwały, toteż w końcu przenieśliśmy się na podłogę. Tuż przed świtem poszliśmy gruntową drogą do miasteczka. Na plaży stała gromadka dużych kredowobiałych ptaków zwróconych w stronę

plowiejącego horyzontu nad gładką jak stół taflą morza. Ruszyliśmy wzdłuż nabrzeża portowego, aż znaleźliśmy otwartą kawiarenkę. Pod parasolami w milczeniu siedziało dwóch czy trzech rybaków, każdy przy oddzielnym stoliku, nad kubkiem gorącej kawy i szklaneczką jakiegoś trunku. Po cichu zajęliśmy miejsca.

Mimo bezsennej nocy przez cały dzień nie odczuwaliśmy zmęczenia. Hugo zabrał mnie motorowerem w góry.

Siadaliśmy pod wielkimi platanami przed kafejkami w wioskach. Pod motocyklowymi kaskami włosy szybko przesiąkały potem, toteż splukiwaliśmy je w zimnej wodzie ściekającej z przepustów pod drogami. Niczym Hansel i Gretel zdrzemnęliśmy się krótko na ciepłym piasku pod kępą sosen. O zmierzchu na drugim końcu wyspy Hugo wynajął w domku samotnej staruszki pokój z wielkim sprężystym łóżkiem. Za prysznic posłużył nam szlauch ogrodniczy przerzucony przez kratę winorośli pod oknem. Woda przyjemnie rozmiękczyła mi skórę. Korzystając z kawałka mydła, przeprałam jedną parę majtek i powiesiłam je na gałęzi, po czym poszliśmy do tawerny. Przez całą drogę Hugo pieścił palcami mój kark, co odbierałam jako wyraz pożądania mego ciała, które nigdy wcześniej nie było tak ożywione jak teraz - prawie całkiem nagie, kipiące energią pod cienką bawełnianą sukienką.

Tej nocy musiałam być niezwykle piękna, potwierdzenie tego dostrzegałam w jego oczach.

W sumie do dzisiaj najwyżej czterokrotnie czułam się tak piękna. A po raz pierwszy na Merrion Square, gdy wujek Ned widział twarz mojej matki, patrząc na mnie. A po raz drugi wtedy na Paros, upalnego wieczoru w tawernie, kiedy siedziałam naprzeciwko Hugona pod drzewem, po którym skakało stadko niespokojnych małych ptaszków.

Dość tego! - zaprotestowała moja współczesna jaźń. Zostaw wspomnienia!

Tuż przed skrętem na drogę do Mellary zajechałam na stację benzynową, gdzie na stojąco zjadłam dwa hot-dogi z kuchenki mikrofalowej i wypłam butelkę wody mineralnej.

Ale nie mogłam się oderwać od wspomnień.

Po powrocie do Londynu zamieszkaliśmy razem i pod względem seksu szybko stałam się bardzo pewna siebie. Minęło półtora roku. Kiedy oboje zdobyliśmy dziennikarskie dyplomy, podjęłam pracę w agencji turystycznej, chcąc zostać autorką reportaży podróżniczych. Hugo skoncentrował się na ukończeniu studiów prawnych. Właśnie w tym czasie dał mi kserokopię *Protokołu* w sprawie Talbotów, choć wtedy nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Ani razu jednak nie rozmawialiśmy na temat naszej wspólnej przyszłości.

Któregoś niedzielnego poranka spomiędzy kasztanowców w parku doleciało głośnie gruchanie gołębia grzywacza. Promienie słońca przesączały się przez luźną tkaninę hinduskich zasłon w oknach i kładły pastelowymi barwnymi plamami na naszej pościeli i podłodze.

- Chodź, wstaniemy i pójdziemy na mszę - odezwał się Hugo.

- Chyba nie mówisz poważnie - mruknęłam spod pikowanej kołdry. Obróciłam się na bok i przywarłam do jego pleców. - Na mszę? A może lepiej wymyjemy zęby i będziemy się całować.

Lubię nabożeństwa. W pobliskim kościele Jezuitów o jedenastej odbywają się łacińskie msze z chórem. Są naprawdę piękne.

- Chyba jeszcze pamiętam słowa - odparłam, chociaż czułam się na siłach odmówić jedynie *Glorię* i *Credo*.

- Zuch dziewczyna - rzucił Hugo z nutą satysfakcji w głosie.

On sam był neofitą. W wieku czternastu lat został ochrzczony według obrządku katolickiego przez jakiegoś biskupa goszczącego w prywatnej kaplicy w zamku któregoś lorda. Zatem ujmując rzecz najprościej, byliśmy katolikami innego typu.

- To chociaż przytul mnie jeszcze chwileczkę - szepnęłam do jego pleców. Byłam rozleniwiona i senna po nocy pełnej miłosnych uniesień.

- Nie! - Wytoczył się z pościeli i płynnym ruchem stanął na nogi. - Masz dokładnie godzinę. Idę po gazety i mleko. Jak wrócę, zrobię ci herbaty. A potem idziemy na mszę.

Kiedy wyszedł, skopałam kołdrę i wyciągnęłam się nago w promieniach słońca.

W całym ciele czułam nieustanne delikatne mrowienie, jakby dowód niespożytych sił życiowych wzbierających we mnie pod zewnętrzną warstwą zmęczenia. Gdy wsunęłam dłoń między uda, poczułam bijące z mego łona ciepło. Wyprężyłam nogi, żeby zmniejszyć napięcie mięśni pleców od karku do bioder i poczuć na całej powierzchni skóry fakturę prześcieradła. Później przesunęłam się nieco w bok, wystawiając gołe piersi na ciepło przenikające ze światłem słonecznym. Wydawały mi się nadzwyczaj jędrne.

Nawet kształt głowy mam idealny, pomyślałam. A i rysom twarzy nie da się nic zarzucić. Obróciłam głowę na bok i chwyciłam wargami drobne pasemko swoich miękkich puszystych włosów.

- Och! - jęknęłam na głos. - Zaraz eksploduję!

Przekręciłam się na brzuch, uklęknęłam i przez dobrą minutę pozostawałam na czworakach z twarzą wtułoną w poduszkę.

- Dzięki ci, Boże! - mruknęłam. - Gdybym nawet nigdy więcej za nic nie miała Ci dziękować, teraz za góry dziękuję za wszystko!

A potem zaczęłam się w głos śmiać sama z siebie.

Stałam pod prysznicem, z zaciśniętymi powiekami wystawiając twarz na ukłucia strumyków wody, gdy usłyszałam, że otwierają się drzwi łazienki.

- Witaj, skarbie! - zawołałam.

Nie było odpowiedzi. Otworzyłam jedno oko. Oparty plecami o drzwi stał Sasha, Francuz mieszkający po sąsiedzku.

- Hej! Wynoś się! - krzyknęłam, ale z uśmiechem. Nie odczuwałam wstydu, gdyż po moim nagim ciele spływały strugi wody, zresztą on patrzył mi prosto w twarz, jakby chciał z niej coś wyczytać.

- Bez przerwy o tobie myślę - powiedział. - Sam już nie wiem, co robić.

Włosy miał ostrzyżone krótko, tuż przy skórze, piwne oczy śmiało spoglądały w moje.

- Widziałem was kiedyś - rzekł. - Mimo woli, bo przechodziłem, a drzwi były otwarte. Hugo posuwał cię na materacu rozłożonym na podłodze.

Zakręciłam wodę i odwróciłam się do niego. W głowie miałam kompletną pustkę.

- Kathleen! - szepnął, zdejmując szorty.

Kiedy mnie objął i przytulił, cała jego koszulka na piersi natychmiast przemokła.

Wszedł we mnie jednym płynnym ruchem. Byłam go pełna. Kiedy wniknął głęboko i na moment zniechęcił, poczułam się dokładnie jak naczynie wypełnione do samego końca, po brzegi. Aż chciałam głośno

zaprotestować, kiedy zaczął się energicznie poruszać, pozbawiając mnie tego odczucia wypełnienia, zachowałam jednak milczenie, jakby mnie tu w ogóle nie było. Opuścił głowę i oparł czoło na moim ramieniu, gdy przesywały go ostatnie spazmy. Jego krótkie włosy były jak nastroszone futerko.

Nie minęła minuta, kiedy się odsunął i odkręcił wodę. Wziął mydło i zaczął delikatnie myć całe moje ciało, poczynawszy od ramion i karku, a skończywszy na palcach nóg.

Oboje poczuliśmy lekkie drżenie podłogi, gdy drzwi na korytarz zatrzasnęły się z hukiem, co oznaczało, że Hugo wrócił ze sklepu. Sasha błyskawicznie wymknął się z łazienki. Ja podeszłam do zlewu i zaczęłam myć zęby.

Kiedy weszłam do kuchni, Hugo, który zdążył już nastawić toster, zerknął na mnie przez ramię znad gazety.

- No! Teraz wyglądasz na tyle dobrze, Kathy, żeby usiąść do stołu.

W kościele było ciepło. Słońce przeświecające przez poszarzałe szyby w oknach tworzyło nad rzędami błyszczących ławek szerokie smugi, w których drobiny kurzu rozszczerpiały światło na miniaturowe tęcze. Czulałam taką miękkość w nogach, że aż trudno mi było ustać. Gdy byłam w szkole podstawowej, śpiewałam na głos wszystkie pieśni podczas niedzielnych mszy. Miałam w pamięci głęboko wryty schemat przebiegu nabożeństwa, niczym ukochany krajobraz. Kiedy ksiądz się odwrócił, by symbolicznie uczcić moment przemiany chleba i wina, poczułam się tak, jakbym wchodziła na szczyt uświęconej góry.

Sursum corda. W górę serca. Wznosimy je do Pana.

Następnie zaintonował Prefację, przyspieszając tempo recytowania. Z radością wyczekiwałam mej ulubionej chwili, kiedy słowa modlitwy - niezależnie od formy, jaką tego szczególnego dnia miała obrać - doprowadzą nas do wyznania wiary. Święty! Święty! Święty! Uklekłam z wdziękiem i ukryłam twarz w dłoniach. Zmęczenie odczuwalne w całym ciele otwarło mój umysł. Ujrzałam ze szczegółami, jakbym miała je przed oczyma, owo palestyńskie pomieszczenie ze ścianami z surowych kamieni i skupione twarze mężczyzn siedzących przy stole, kiedy Jezus odłamuje kawałek chleba i wypowiada te niewiarygodne słowa: Oto ciało moje. Kęs chleba! A potem unosząc kielich zwykłego wina: Oto krew moja.

Ksiądz zaintonował Ojcze nasz i wkrótce nastąpiła ta chwila, gdy mówi:

- Przekażcie sobie znak pokoju.

Spojrzałam Hugonowi w oczy, próbując w myślach przekazać mu całe morze przepelniającego mnie szczęścia i wdzięczności.

- Niech pokój będzie z tobą - powiedziałam.

- Pokój - rzekł, ujmując oburącz moje dłonie.

Kiedy zostaliśmy przyłapani i Hugo wyrzucił mnie z mieszkania, musiałam telefonicznie uprzedzić o tym Norę, bo wówczas jeszcze wydzwaniała do mnie z Nowego Jorku raz na tydzień. Nigdy nie spotkała Hugona, lecz jego nienaganne maniery, gdy podnosił słuchawkę, sprawiły, że była gotowa składać mu hołdy.

- Zdarzyło się to zaledwie parę razy - tłumaczyłam.

- I co z tego?! Jak mogłaś?! Jak mogłaś, Kathleen?! - Wyczułam, że jest bliska płaczu. - Jeśli nie szanujesz Hugona, to mogłabyś przynajmniej choć trochę szanować siebie!

Miałam już na końcu języka odpowiedź: Nie! W ogóle nie wiedziałam, co oznacza szacunek dla samej siebie, jak się go odczuwa i co można przez to osiągnąć. Chciałam próbować różnych rzeczy! W miarę możliwości wszystkiego! Ledwie zamieniłam z Sashą kilka słów, ale szłam z nim prawie za każdym razem, ilekroć czekał na schodach, gdy wracałam z pracy. Nie czerpałam z tego związku niczego poza przyjemnością seksu oraz satysfakcją z tego, ile on dla niego znaczy. Dokładnie tak samo było z drugim moim romanssem. Bo zdarzało mi się w pracy, że niekiedy szłam z portierem, którego dziewczęta nazywały Seksownym Alem, do jego pokoiku pod schodami. Był zresztą pierwszym kolorowym mężczyzną, jakiego w życiu dotknęłam. Nora pewnie by dostała apopleksji, gdybym się przed nią wygadała w chwili nieuwagi. „Robiłaś to z portierem?! Na podłodze?!”

Przez kilka miesięcy byłam na samym szczycie, mając tych trzech mężczyzn dla siebie. Wyglądałam szalowo, rozpierała mnie energia oraz pewność siebie i byłam bardzo miła - o wiele miłsza dla wszystkich dookoła, niż kiedykolwiek wcześniej. A z Hugonem układało mi się znakomicie. Zawsze po spotkaniu z którymś z tamtych pragnęłam go jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Zresztą w tym, co robiłam, nie chodziło wyłącznie o seks. Do łóżka nie potrzebowałam nikogo innego poza Hugonem. Po prostu poznawałam mężczyzn. Sądzę, że gdyby wtedy jakaś kobieta okazała, iż mnie pragnie, poszłabym także z nią, i to ochoczo, korzystając z okazji odkrycia kolejnej tajemniczej strony życia. Skrzętnie notowałam w pamięci wszelkie doznania. Gdyby istniał jakikolwiek inny sposób osiągnięcia tego, na czym mi zależało... Ostatecznie nie miałam do zaoferowania niczego poza własnym ciałem.

Leżałam wtedy na boku w łóżku Sashy, a on miał głowę wtuloną w moje piersi, kiedy nagle wszedł uśmiechnięty Hugo. Widziałam, jak jego uśmiech przekształca się w grymas wściekłości na chwilę przed tym, jak rozpętało się piekło. Brutalnie wyrzucił mnie na ulicę. Zepchnął mnie ze schodów, tłukąc spoconymi dłońmi w moje plecy, dźgając kolanami w pośladki i szturchając z nienawiścią - „No, już! Wynocha stąd!” - dokładnie w te miejsca, które uwielbiał pieścić, lizać i całować. Wrzeszczał na cały głos. Potem pognał z powrotem na górę, powrzucał moje ubrania i książki do kartonowych pudeł, które następnie opróżnił na podeście u moich stóp.

W porę zainterweniowała Caroline.

Obserwowała tę scenę z drugiego końca korytarza. Wtedy znałyśmy się tylko z widzenia, ale istniała między nami nić sympatii, rozpoznawalna po lekkim uśmiechu, z jakim mnie zawsze witała, mimo że wyglądała wtedy jak baśniowa Królowa Śniegu - wysoka, zawsze poważna, z prostymi blond włosami w kolorze masła.

Zjawiała się od czasu do czasu w kamienicy, a tego dnia przyjechała, żeby pomóc koleżance piec kruche ciasteczka. Rozmawiałam z nią kilka razy, jeszcze nim zaczęłam wpadać do pokoju Sashy, który miał zwyczaj po cichu stawać tuż za jej plecami i wydymać wargi w wąski ryjek, na co próbowałam nie zwracać uwagi. Wolałam trzymać go w niepewności. Kiedyś zapytałam ją:

- Na miłość boską, dlaczego po prostu nie wypalisz sobie skręta?

Na co odparła:

- Nie toleruję palenia.

Caroline podeszła i zaczęła zbierać z podłogi moje ubrania. Chciała mi pomóc! A przecież była angielską panienką z dobrego domu, podobnie jak Hugo! Ciuchy rozsypały się aż na schody. Granatowa minispódniczka. Wytarte spodenki gimnastyczne. Czarne majtki, które bardzo podniecały Ala.

Hugo z wściekłości był błady jak ściana.

- Przestań wreszcie, Hugo - ofuknęła go Caroline.

Mówiła z tym samym arystokratycznym akcentem, co on.

- Wskakuj do samochodu - rzuciła do mnie, po czym znów odwróciła się w jego stronę i wyciągnęła ręce, żeby go powstrzymać. - Hugo!...

Zbiegłam na dół.

- Coś ty zrobiła, do diaska, że aż tak się wściekł? - zapytała, gdy odjechałyśmy.

- Byłam właśnie z Sashą, gdy Hugo niespodziewanie wszedł do jego pokoju. Dla mnie to nie miało żadnego znaczenia, Caroline. Nie dbam o to, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę Sashę na oczy.

- Rozumiem. - Przez jakiś czas milczała. - Jeśli ci na nim wcale nie zależy, to dlaczego się z nim spotykałaś?

- Sama nie wiem! Nie podejrzewałam, że Hugo nas nakryje. W ogóle nie myślałam o tym, co się może stać.

Jechałyśmy w stronę centrum.

- Gdzie mam cię podrzucić? - zapytała.

- Prawdę powiedziawszy, nie mam dokąd pójść. Przeprowadziłam się tu na stałe... - Mimo woli zaczęłam szlochać.

- Och, tylko nie płacz. Zabiorę cię ze sobą. Nie mam jeszcze wszystkich mebli, więc będziesz musiała spać na poduszkach. Brakuje mi też sztućców, szklanek i wielu innych rzeczy, ale jakoś sobie poradzimy.

Mało kto w tej sytuacji okazałby mi aż tyle serca. Od tamtej pory często widziałam w Caroline swoją dobrą wróżkę, którą na ilustracjach zwykle przedstawia się w białej sukni, z długimi złotymi włosami i z czarodziejską różdżką w dłoni.

Po chwili powiedziała:

- Obiło mi się o uszy, że ty i Hugo wręcz nie widzicie świata poza sobą.

- Bo tak było. W każdym razie z mojej strony. Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłam.

- Och, na miłość boską, Kathleen! Nie możesz w kółko powtarzać, że nie wiesz, dlaczego to zrobiłaś.

Nie jesteś małym dzieckiem!

- Kiedy naprawdę nie wiem, Caroline - przyznałam szczerze.

Następnie podjęłam trudną próbę wytłumaczenia własnego postępowania.

- Nigdy nie widziałam specjalnych powodów, żeby komukolwiek odmówić. Wiem, że powinnam być wierna, i tak dalej, ale w gruncie rzeczy nie rozumiem, dlaczego. Przecież gdyby Hugo nie odkrył prawdy, nadal byłby ze mną szczęśliwy. Więc co to oznacza, Caroline? Po prostu chciałam żyć pełnią życia...

Znowu zaczęłam płakać.

- I według ciebie to samo stosuje się do niego? Hugo także mógł przy tobie żyć pełnią życia?

- No... chyba nie - burknęłam, zaskoczona do tego stopnia, że od razu przestałam szlochać. - Nigdy nic podobnego się nie zdarzyło, toteż nie umiem powiedzieć, co ja bym czuła w takiej sytuacji. Myślę jednak, że byłabym doszczętnie zdruzgotana.

- A skąd wiesz, że nigdy nic podobnego się nie zdarzyło?

- Daj spokój, Caroline!

- Chodzi mi tylko o to, że skoro ty go zdradziłaś, równie dobrze i on mógł zrobić to samo.

- Ale nie zrobił - zaczęłam, lecz ścisnęło mnie w gardle na samo wspomnienie Hugona.

- Niedługo zaczniesz cię szukać - powiedziała na pocieszenie. - Jak tylko oprzytomnieje.

- Nie zaczniesz. Mogę się założyć. To prawda, że szalał na moim punkcie, ale nie była to prawdziwa miłość.

Nigdy wcześniej nie pozwoliłam sobie na przywoływanie aż tylu wspomnień z całego okresu spędzonego z Hugonem jak wtedy, w czasie drogi powrotnej do Mellary. Oczywiście, czasami wypływały z mej pamięci takie czy inne fragmenty. Na przykład, gdy widziałam na twarzy jakiejś dziewczyny ten szczególny wstydlivy uśmiech. Gdy Johnny mówił o Grecji. Albo gdy słyszałam czyjeś wściekle wrzaski.

Na różnych etapach życia różnie tłumaczyłam sobie samej to, co się stało. Moją dostępność, jak na swój użytek określałam swobodę seksualną, motywowałam błędami wychowawczymi - ojciec mnie nie kochał, a matka chodziła z nim do łóżka, z rzadka odzywając się choć jednym słowem, czyli ich błąd polegał na tym, że nie pokazali mi żadnej innej więzi łączącej kobietę z mężczyzną poza seksem. Był to również błąd irlandzkiego katolicyzmu, który wypuścił mnie w szeroki świat bez odpowiednio ugruntowanych zasad moralnych, jak też Anglików, wśród których czułam się kimś gorszym i niemile widzianym, z wyjątkiem tych sytuacji, gdy ktoś chciał mnie zaciągnąć do łóżka. Była to wina kultury lat sześćdziesiątych promującej minispódniczki i środki antykoncepcyjne. I wina historii prowadzącej do stworzenia świata, w którym należało bić pokłony burżuazyjnym ideałom wierności, jeśli nie chciało się zostać napiętnowanym.

Teraz myślę, że zawsze uciekałam od szczęścia. Nieodmiennie sterowałam najdalej jak tylko można w stronę zniszczenia swego szczęścia, ponieważ taki stan dobrze znałam. Byłam oswojona z rozczarowaniami, od narodzin przebywałam w smutnej rodzinnej atmosferze w Shore Road. A nie mając pojęcia, jak wygląda zwykłe ludzkie szczęście, wybrałam życie u boku Hugona, po czym - abstrahując od radości, jaką sprawiał mi seks - potraktowałam go tak, jakby nie należał do mojej rzeczywistości, jakby nie pasował do przyjętych przeze mnie kanonów.

Zrobiłam wszystko, aby zwalić na niego winę za to, co się stało. W ten sposób mogłam jeszcze długo wierzyć, że wciąż mam szansę na jakąś znajomość wiodącą ku prawdziwej miłości, w której zdrady nie zaistnieją i nie będę musiała się starać, aby być dobra, gdyż nigdy nie zapragnę nikogo poza moim partnerem.

Tymczasem, czekając na tę miłość przez całe życie, nigdy nie odmawiałam, ilekroć stawałam się obiektem pożądania, nawet jeśli wiązało się to z moim poniżeniem. Ale za moim przyzwoleniem nic się nie kryło! I kiedy skończyłam dwadzieścia pięć lat, schowałam się W mojej suterenie przy Euston Road, a jedyną osobą, przed którą potrafiłam się otworzyć, został Jimmy. Całkiem zapomniałam o tej gorącej dziewczynie, jaką wcześniej byłam. Zapomniałam o rozkoszy pożądania, dopóki nie obudziłam się parę dni temu u boku Shaya wodzącego po mnie dłonią z takim upodobaniem, iż z głębin mej duszy natychmiast popłynął sygnał do zmysłów, że mogą bezpiecznie zareagować na te bodźce, że mam do czynienia z czymś autentycznym...

Skreśliłam z głównej szosy i zaczęłam boczną drogą wjeżdżać na górę do Mellary. Byłam już blisko morza. Pamiętałam, że za wioską, na szczycie skalnego cypla, otworzy się przede mną widok na całą zatokę i mój domek letniskowy stojący samotnie na wyżynnym pustkowiu. Och, cóż za niezwykła obietnica miłości pozostała tu po Shayu, i jak silne wspomnienia tęsknoty obudziło jego zniknięcie!

Nagle wróciło to, co mnie ostatnio bolało: w sumie nie byłam złą kobietą, chociaż za taką się uważałam. Hugo przed rozstaniem widział we mnie samo zło, ale wtedy nie byłam jeszcze w pełni ukształtowana, za fasadą krył się kompletny chaos. Nieostrożność wynikała z ciągłego zaskakiwania. Szybko jednak pozbyłam się nadmiernej dumy. Podążając w niewłaściwym kierunku, dorosłe kobiece życie rozpoczęłam z takim impetem, a poza tym rozstanie z Hugonem stało się dla mnie takim szokiem, że niedługo później przyjął na siebie rolę strażnika krążącego wokół świątyni Erosa - znacznie bardziej od innych przekonanego o świętości życia erotycznego, lecz w istocie znającego je o wiele mniej.

Nie przewidziałam jednak, że doprowadzi to do napiętnowania mego życia permanentnym brakiem zrozumienia namiętności.

Według wyjaśnień, jakich udzielałam siostrze, zmuszona uprzedzić ją telefonicznie, że już nie mieszkam z Hugonem, patrzyłam na wszystko oczyma dwudziestoczteroletniej emigrantki mieszkającej w Anglii.

- Chyba wiesz, Noro, że wcale nie był dla mnie taki miły. Nie miał najmniejszego zamiaru się ze mną ożenić.

- A skąd możesz to wiedzieć?

- Ani razu nie zaproponował, że przedstawi mnie swoim rodzicom.

- Raczej powinnaś się z tego cieszyć. Gdyby to zrobił, na pewno by oczekiwał, że w rewanżu ty przedstawiś go swoim.

- Mylisz się. Któregoś wieczoru byliśmy całą paczką w pubie i świetnie się bawiliśmy. W pewnej chwili wyszłam do toalety i gdy wracałam, doleciało mnie, jak Hugo tłumaczył Johnowi Betjemanowi, że nie ma nic nudniejszego na świecie, jak te wszystkie irlandzkie bzdury.

- Rozmawiałaś z nim później na ten temat?

- Nie.

- I dlatego postanowiłaś go oszukiwać?

- Skądże! Jedno z drugim nie miało nic wspólnego! Na chwilę zapadła cisza.

- Hugo spoglądał z góry na wszystkich Irlandczyków - dodałam. - Strasznie go wkurzało, że tak dużo mówimy.

- Niestety, to prawda - bąknęła Nora.

- Był Anglikiem do szpiku kości, nie potrafił ignorować pochodzenia osób, z którymi się zadaje. Nie mogłam liczyć na jego szacunek. W ogóle nie traktował mnie poważnie.

- To zwyczajny stek bzdur! - rzuciła ze złością. - W końcu poszłaś do łóżka z jego kumplem!

- I tak nigdy by nie zapomniał, że jestem Irlandką - powtórzyłam z uporem.

Hugo nawet nie próbował mnie szukać. W liście do niego napisałam, że nie umiem wytłumaczyć swego postępowania, lecz jeśli mi wybaczy, nigdy więcej go nie zdradzę. Przecież mogliśmy się spotkać, żeby porozmawiać po przyjacielsku. Kierowała mną młodzięcza naiwność.

List wrócił nieotwarty, za to porwany i zaklejony w oddzielnej kopercie. To mi dało do myślenia. Gdyby Hugo traktował mnie jak przyjaciółkę, na pewno byłby bardziej uprzejmy. Tylko między kochankami możliwe jest takie okrucieństwo, gdy jedna ze stron poczuje się głęboko rozczarowana. Dziwnym sposobem ta świadomość pomogła mi szybciej odzyskać równowagę. Powiedziałam sobie, że jeśli to była miłość, bez trudu znajdę sobie inną.

Wjechałam do Mellary i nagle moja podróż dobiegła końca. Wjazd na rynek blokowało kilkanaście stojących w korku aut, a więc coś tu się działo. Zawróciłam i wjechałam na parking na tyłach pubu High Chapparral. Musiałam kupić mleko. I masło. I podpałkę do kominka. Tu, nad Atlantykiem, powietrze było wspaniałe. Oddychałam głęboko, idąc ulicą w stronę sklepu. Powtarzałam przy tym w duchu: Jesteś w Irlandii, więc trzymaj się tego. Trudno mi jednak było otrząsnąć się z natłoku wspomnień, które wciągnęły mnie bez reszty.

P.J. zsuwał się właśnie ze stołka, na którym zwykle siedziała jego żona.

- Koniec handlu! - rzucił radośnie. - Zamknięte. Dzięki Bogu, nie wszystko jeszcze rozprzedaliśmy.

- Nie rozumiem. O co chodzi?

- Dziś po południu przyjmujemy tu ważnego gościa z północy, który spędził piętnaście lat w więzieniu na podstawie fałszywych zeznań jakiegoś zbira z Królewskiej Policji Ulsteru.

- Tu? To znaczy gdzie?

- No tu, na rynku. Odślaniamy pamiątkową tablicę z okazji stulecia powstania z tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Powieszono wtedy dwóch ludzi z naszej małej społeczności, a czterech innych zesłano do Australii.

- To nie może być stulecie.

- Dlaczego? - spytał wojowniczo.

- Powstanie było w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym, a mamy tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewięć.

- Ach tak, racja. Musieliśmy jednak poczekać, aż ten człowiek wyjdzie z Long Kesh...

- Ponadto w tamtym powstaniu, jeśli się nie mylę, walczono o równość stanów. Pamiętam, że w szkole szykowaliśmy plakat z tej okazji i były na nim namalowane sztandary Francji i Stanów Zjednoczonych. Zwykli biedni ludzie, czyli niższe warstwy społeczne, walczyły z wyższymi klasami rządzącymi o równość. Zresztą wtedy identyczne powstania wybuchały na całym świecie. Nie chodziło wcale o wyzwolenie Irlandii czy wygnanie z kraju Anglików...

Patrzył na mnie podejrzliwie, z ukosa.

- Czy w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym roku nie chwycili za broń wszyscy? - zapytałam z naciskiem.

- A jeśli nawet, to co?

- Zarówno protestanci, jak i katolicy.

- No więc?

- Skoro wasz gość siedział w Long Kesh, to musiał zostać oskarżony o przynależność do IRA. A czyż IRA nie jest sekciarska?

- Nic podobnego! - wybuchnął P.J. - Irlandczycy zawsze chcieli wygonić Anglików ze swego kraju, nawet zanim jeszcze pojawili się tu protestanci!

- W porządku. Uznajmy, że nie było tej rozmowy - mruknęłam pojednawczo.

- Tak będzie najlepiej! - przyznał z goryczą.

Za podium miała służyć skrzynia ciężarówki zaparkowanej na środku rynku. Stały na niej trzy różne krzesła kuchenne, a przed nimi mikrofon. Na kawiarnianym stoliku przed ciężarówką ustawiono magnetofon kasetowy, z którego płynęła muzyka smyczkowa. Podniesioną tylną burtę auta zakrywał wielki, mocno już zabrudzony trójkolorowy sztandar, natomiast wzdłuż opuszczonej przedniej ciągnęła się przyciśnięta cegłami wstęga papieru komputerowego z wydrukowanym dużymi literami napisem:

MELLARY PAMIĘTA 1798. MELLARY PAMIĘTA 1798.

Z sali katechetycznej przy kościele ludzie wynosili składane plastikowe krzesła. Jakiś staruszek podał mi jedno.

- Przedstawiciele prasy są mile widziani! - rzucił. - W Mellary nie mamy nic do ukrycia.

- Nie jestem... - zaczęłam, lecz oddalił się pośpiesznie.

Postawiłam krzeselko w cieniu rozłożystego klonu. Muzyka urwała się nagle.

- Próba mikrofonu. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy...

Zaczęła się gromadzić publiczność. Przed mikrofonem stanął gość z północy, który posługiwał się miękkim, wyuczonym z książek językiem irlandzkim:

- *Fáilte romhaibh a dhaoine uaisle go léir...* Nasi rodacy nigdy nie powinni trafić do więzień! - mówił.

Wczesnym popołudniem w dzień roboczy na prowizorycznym podium zasiadło nie więcej niż dwadzieścia osób. Kilku chłopców stojących na chodniku pokrzykiwało:

- Litości! Mówić po ludzku!

W czasie przemówienia spoglądałam na swoje dłonie. Przez całe życie nie robiłam nimi nic poza pisanie. No i używałam ich do pieścizot, jeśli można to uznać za fizyczną aktywność. Przyjrzałam się uważniej dłoniom byłego więźnia z północy, chcąc sprawdzić, czy widać po nich styczność ze światem diametralnie odmiennym od mojego. Nie było różnicy. Mężczyzna miał pociągłą twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi, odznaczał się nerwowym rozbieganym spojrzeniem, a jego dłonie były bardzo białe, nie licząc dużych brązowych plam od nikotyny na palcach prawej ręki. Mogłam więc wnioskować o szlachetnym charakterze i wrażliwości na niesprawiedliwość, mimo że wiązało się to prawdopodobnie z zabijaniem ludzi, a w każdym razie ze współuczestnictwem w zabijaniu. Krótko mówiąc, zaliczał się do błędnych idealistów. Ale czyż i ja nie należa-

łam do tej samej klasy? Bo jak inaczej mogłabym za młodu mieć pewność, że moje życie jest złe, skoro nie znałam wówczas ideałów dobrego życia?

Od bardzo dawna korzystałam z męskich swobód, a przecież do dziś męskie przyjemności pozostawały dla mnie zupełną tajemnicą.

Następnie do mikrofonu podszedł starszy dżentelmen z szeregiem medali w klapie marynarki.

- *A Athair, a Chathaoirligh, agus a dhaoine uaisle go léir...*

I nagle, wywołując pomruk aprobaty, powtórzył to samo po francusku:

- *Monsieur le Curé, Mesdames, Messieurs, vous êtes bienvenue...*

Później zaś:

- Są dzisiaj pośród nas, za co powinniśmy dziękować Bogu, potomkowie dwóch z tamtych dzielnych mieszkańców Mellary skazanych na wygnanie do Nowej Genewy w Australii za niepopelnione zbrodnie tworzenia nielegalnej organizacji i nielegalnego odbierania przysięgi od nowych członków Zjednoczenia Irlandzkiego...

Załóżmy, iż wskoczyłabym nagle na tę ciężarówkę, chwyciła mikrofon i wyznała, że wyrządziłam wiele krzywd innym ludziom, którzy musieli potem krzywdzić mnie, dlatego proszę, pomóżcie mi znaleźć sposób na postawienie tamy owej fali zła. Powiedzmy, że określiłabym to mianem moich własnych wojen z Anglikami, w których kiedyś i ja ponosiłam klęski.

Przyczynił się do tego między innymi ojciec Caroline. To przez niego posterowałam w stronę mrocznej sutereny. Dopiero teraz zaczęłam sobie uświadamiać, jak ważną rolę odegrał w moim życiu sir David, mimo że istniał w nim zaledwie przez miesiąc. Może faktycznie miałam prawo tłumaczyć to, co mi zrobił - i to, do czego się posunęłam w rewanżu - w kategoriach odmiennych narodowości. Ale miało to również wiele wspólnego z okresem, w jakim się działo. Ostatecznie w połowie lat siedemdziesiątych trwała w Anglii seria zamachów bombowych IRA, w których Irlandczycy zabijali i prostych robotników, i nastolatków, siedzących w pubie, i gospodynie domowe w trakcie robienia zakupów, i bawiące się dzieci. Zawsze byłoby trudno zachować irlandzką świadomość narodową u boku takich bogatych Anglików jak sir David, który bez wątplenia nigdy wcześniej nie zetknął się z Irlandczykami nie pełniącymi funkcji szoferów, dżokejów czy ogrodników. A już w gorącej atmosferze tamtych lat było wręcz niewykonalne.

Tego wieczoru, gdy Hugo wyrzucił mnie z mieszkania, przeprowadziłam się do domku Caro, który ojciec kupił jej w nagrodę za uzyskanie dyplomu w dziedzinie sztuki. Mieszkał w Hongkongu, ale wtedy wpadł na kilka tygodni do Londynu i z radością pomagał córce się urządzać. Kiedy nagle pojawiłam się w roli osoby, która ma z nią zamieszkać pod jednym dachem, kupił nam obu japońskie maty do spania i lecznicze poduszki wypchane grochowymi łuskami.

- Żadnych przywilejów! - oznajmił z jowialnym uśmiechem, zadzwoniwszy do sklepu, żeby podać adres, pod który ma być dostarczone zamówienie. - Mam zamiar traktować was obie, młode damy, dokładnie tak samo.

Ale Caroline była jego ukochaną córką i miała pełne prawo się z nim przekomarzać. Bardzo często przez telefon żaliła się na swoich chłopaków, a on dzwonił nazajutrz rano, żeby poradzić, jak ma postąpić. Bardzo jej zazdrościłam, ilekroć siadała w drogim kimonie przy zalanym słońcem stole kuchennym i szczebiotała

do niego pólglósem. Witała mnie uśmiechem i pokazywała na migi, żebym na przykład nalała sobie kawy z dzbanka, po czym wracała do tego słodziutkiego, dziecięcego szczebiotu.

Na początku tylko mnie obserwował. Prawdopodobnie usłyszał jakąś wersję moich perypetii z Hugonem, a może sam doszedł do wniosku, że jestem biedna, narażona na niebezpieczeństwa i potrzebuję opieki Caroline. Niewykluczone też, że wyczuwał moje zepsucie czy wręcz fatalizm. Bo w gruncie rzeczy to nieistotne, z jakiego naprawdę powodu któregoś dnia zaczekał na mnie w korytarzu i poszedł za mną do łazienki, żeby mi wepchnąć swój mięsisty język głęboko w usta, a nieco później, kiedy zaproponował, że mnie podrzuci na stację metra, błyskawicznie zamknął wszystkie drzwi w samochodzie, objął mnie bez słowa i nie wypuścił, dopóki mu nie obciągnęłam przez spodnie. Ważne jest tylko to, że mu nie odmówiłam. Godziłam się na wszystko, jakbyśmy żyli sto lat wcześniej i takie rzeczy były na porządku dziennym. Między dziedzicem a dziewczką służebną. Wtedy, gdy po pierwszym razie wysiadłam z samochodu, stanęłam przed wejściem do stacji Hampstead i zapaliłam papierosa, a paliłam na ulicy tylko w wyjątkowych sytuacjach.

Obu nam załatwił równocześnie stałą pracę - Caroline w redakcji pisma popularnonaukowego, mnie w snobistycznym miesięczniku o nazwie „The English Traveller”. Wystarczyło tylko parę telefonów. Siedział przy naszym stole kuchennym i rozmawiał, podczas gdy my wpatrywałyśmy się w niego ze zdumieniem, a wreszcie rzuciłyśmy mu się na szyję i zasypałyśmy całusami, jak małe dziewczynki.

Obmacywanie trwało przez cały miesiąc jego pobytu w Londynie. Zapewne wiele dziewcząt na moim miejscu natychmiast by się stamtąd wyprowadziło albo powiedziało o wszystkim Caroline czy przynajmniej zagroziło mu wyznaniem córce prawdy. Ja jednak nie byłam do tego zdolna. Musiałam sobie radzić sama. Nie znaczy to, że w moim pojęciu znalazłam się w sytuacji bez wyjścia. Caro była bardzo związana z ojcem, ponieważ matka zaraz po rozwodzie przenieśliła się do Kornwalii i prawie nie utrzymywała z nią kontaktu. Moją stronę w scysji z Hugonem wzięła dlatego, że zawsze lubiła pomagać bezpańskim kundlom, lecz na pewno nie stałoby się tak w konflikcie między mną a jej ojcem. Straciłabym nie tylko dach nad głową, ale i jej przyjaźń. Nigdy więcej nie chodziłybyśmy na kawę w sobotnie przedpołudnia, ani nie żartowały razem w supermarketach, kiedy to w głębi ducha odczuwałam dumę z towarzystwa pięknej blondynki z wyższych sfer. Nigdy już nie siadałybyśmy w piżamach na tych poduszkach, wypchanych grochowymi łuskami, przed telewizorem stojącym na lakierowanej podłodze w nieumeblowanym salonie. A to wszystko z powodu kilku obmacywanek! Bardzo polubiłam Caroline i choćby dlatego nie chciałam mówić żadnych przykrych rzeczy o zachowaniu ukochanego tatusia. Z tego powodu zachowywałam się szczególnie ostrożnie, by niczego się nie domyśliła. Nie byłam nieświadomiona. Znałam „Złoty Notatnik”, brałam udział w marszach protestacyjnych, podczas których głośno skandowałam hasła i śpiewałam pieśni, regularnie co miesiąc czytywałam „Żebro Adama” i przy każdej okazji opowiadałam Caroline o ruchu wyzwolenia kobiet, chociaż ją to niespecjalnie interesowało. Nie mogłam jednak otwarcie wystąpić przeciwko sir Davidowi. Nie próbowałam go nawet za bardzo unikać. Zachowywałam się tak, jakby w ogóle nic między nami nie było. Bo i co złego w tym, że jestem obmacywana? - myślałam. Zaraz jednak poprawiałam się w myślach: Prawdę mówiąc, to nie ja jestem obmacywana. On się mną wcale nie interesuje. Oczekuje tylko, abym to ja jego obmacywała.

Na skrzynię ciężarówki wkroczył ksiądz.

- Zanim poprosimy pana Molloya, radcę naszego okręgu i byłego członka Dáil Eireann, o odsłonięcie tablicy, polećmy to wydarzenie Bogu za pośrednictwem Jego Matki, Najświętszej Maryi, poprzez modlitwę różańcową. Pierwsza Cudowna Tajemnica i Zmartwychwstanie... Ojciec nasz...

Wszyscy usłyszeli, jak gość z Sinn Féin modli się po irlandzku, z wyraźnym akcentem z Belfastu:

- *Ar n-Athair. Or Nohir.*

Wszyscy ukłękliśmy. Ludzie podkładali sobie pod kolana torebki czy złożone gazety. Ja zdjęłam żakiet i na nim ukłękłam. Nie odmawiałam modlitwy różańcowej od czasu podstawówki. A to przecież piękna, porywająca modlitwa, której rytm występuje chyba we wszystkich religiach.

Caroline mnie urzekła. Była pierwszą bogatą dziewczyną, jaką poznałam. Oznak szlacheckiego pochodzenia dopatrywałam się u niej nawet w budowie drobnych kształtnych kostek u nóg, uformowanych z delikatnych, jakby ptasich kości, wokół których idealnie układały się rzemyki eleganckich szpilek. Była bardzo szczupła i lekka, o małych piersiach, jak gdyby otoczonych brązowymi aksamitnymi aureolami kwiatowych płatków. Nie nosiła stanika, a majteczki były tak małe jak chusteczki do nosa, niewidoczne pod prostymi, lecz kosztownymi ubraniami, które każdego ranka wyciągała z zapchanej szafy i rzucała na łóżko. Po myciu jej włosy przypominały tafelę czystego złota; rozczesywała je starannie szczotką zrobioną własnoręcznie na zajęciach praktycznych w szkole, przypinała drobne złote klipsy, po czym wrzucała do torebki kosztowne drobiazgi: miniaturowy magnetofon reporterski, buteleczkę perfum, wielki czarny terminarz, tampony. Nawet rozmawiając z chłopakiem, potrafiła swobodnie oznajmić przez telefon: „Mam miesięczkę”, co budziło we mnie skrajne odczucia, podziw i obrzydzenie, bo ja bym się do tego nie przyznała w żadnych okolicznościach.

Nie mogłam jej powiedzieć o zachowaniu ojca. A tylko w takich chwilach czułam się z nim równa - kiedy ciężko dyszał, ja zaś odsuwałam się od niego.

Wreszcie wyjechał. Często zadawałam sobie w duchu pytanie, czy młode Chinki traktował tak samo jak mnie. W końcu Hongkong także był częścią Imperium Brytyjskiego. A może tylko ze mną podejmował takie ryzyko? Nabrałam obaw, że dostrzegał we mnie coś, co mówiło mu, iż jestem gotowa na wszystko. Któryś z chłopaków Caroline od czasu do czasu zostawał na noc, co też przysparzało jej rozterek, bo chociaż zadawałam się z wieloma facetami, z żadnym nie chciałam wtedy pójść do łóżka. Mawiała wtedy:

- Kathleen, nie musisz się krępować, jeśli chcesz przyprowadzić chłopaka na noc. Masz oddzielny pokój, możesz w nim robić, co ci się podoba.

Nie wiedziała, że jestem chwilowo całkiem oziębła, bo wciąż czułam na plecach i pośladkach uderzenia Hugona, kiedy spychał mnie ze schodów. A jeszcze długo po wyjeździe sir Davida nurtowało mnie, skąd on wiedział, że nie przysporzę mu żadnych kłopotów. Od tej dziewczyny, która wyruszyła na wyprawę do Grecji, różniłam się tak, jak zimny księżyc różni się od palącego słońca.

Druga Cudowna Tajemnica i Wniebowstąpienie Naszego Pana.

Zdrowaś Mario, łaski pełna...

Przynajmniej zyskałam wspaniałą pracę. Szybko zaczęłam podziwiać starszą panią, która była wydawcą i zarazem jedynym autorem „The English Traveller” - zaskakująco dochodowego, kiepsko wydawanego czasopisma ukazującego się od lat dwudziestych. Zachowywała się jak sroga wychowawczyni, która znalazła we

mnie wierną gospodynię klasy złożonej z krnąbrnych i niesfornych pierwszoroczników. Staralam się dla niej, jak tylko mogłam.

Ale moja prywatna angielsko-irlandzka wojna trwała nadal. Pewnego razu, gdy zbierałam materiały do artykułu zatytułowanego „Nieznane skarby okręgu Peak”, po powrocie do hotelu zastałam oczekujących na mnie policjantów. Od niedawna miałam wtedy prawo jazdy i pomyślałam, że popełniłam jakieś wykroczenie drogowe. Ale oni wyprowadzili mnie na podwórko na tyłach, gdzie na skrzynce po owocach stała moja torba podróżna.

Kierownik zmiany i szef kuchni w wysokiej białej czapce na głowie przyglądali się nam uważnie z otwartych drzwi kuchennych.

- Czy zechciałaby pani otworzyć swój bagaż?

- Tak, oczywiście.

Kiedy wyciągnęłam ze środka mój podróżny budzik, gliniarz nakazał:

- Proszę zdjąć pokrywę i wyjąć baterię.

Kolejno wykladałam przed nimi rzeczy. Czarną bieliznę, już znoszoną i podniszczoną, pochodzącą jeszcze z okresu, kiedy Hugo mi powtarzał, że wyglądam w niej bardzo seksownie, dlatego ją kupowałam... Dosyć! - nakazałam sobie w myślach. Nie wracaj do tego! Ale wówczas ta znoszona bielizna stała się jednym z dowodów, że nie jestem terrorystką. Policjant wziął książkę, obrócił ją grzbietem ku górze i potrząsnął nad ziemią. Dopiero później spojrzął na tytuł. Wybierałam się następnie do Sheffield, toteż czytałam Arnolda Bennetta *Annę z pięciu miast*.

- Proszę nam wybaczyć - rzekł dowódca patrolu. - Nieczęsto zdarzają się tu goście z Irlandii...

Nauczyłam się prosić o wszystko - o dania czy drinki w barze bądź o wskazanie drogi na ulicy - przyciszonym łagodnym głosem, w miarę możliwości maskując akcent. Nauczyłam się też oglądać telewizję - patrzeć na zdjęcia osiedlowych uliczek przegrodzonych żółtymi policyjnymi taśmami, zakrwawionych sklepikarzy stojących na miękkich nogach w otwartych drzwiach i karetki zajeżdżające z wyciem syren między zabudowania spokojnych dzielnic mieszkalnych z obojętnym wyrazem twarzy. Jak również spokojnie czytać gazety, uśmiechać się do wszystkich i nie mówić niczego znaczącego. Dokładnie przypominało to moje życie w domu Caroline: Staralam się sprawiać wrażenie równie beztroskiej jak wszyscy inni, dokładnie skrywając swoją nieustanną czujność.

Modlitwa się przeciągała. Nie było sensu wymykać się z rynku, skoro oboje małżonkowie P.J. siedzieli nieopodal i modlili się *con brio*, więc i tak nie mogłam niczego kupić w ich sklepie. Usiadłam z powrotem na krzeselku. Zauważyłam po minach części osób, iż chyba nikt się nie spodziewał, że ksiądz pokieruje pełnymi pięcioma dziesiątkami różańca, i nikt nie był z tego zbyt zadowolony. Poza tym robiło się chłodno, wiosna nie przeszła tu jeszcze w początek lata. Spojrzałam na zegarek. Za kwadrans szósta. Przeciągnęłam dłonią po włosach. Fryzjerka w Athlone po zrobieniu balejażu nałożyła trochę za dużo lakieru i teraz pewnie zanadto się błyszcząły. Działacz Sinn Féin wciąż odmawiał modlitwę po irlandzku, choć nie czynił tego nikt poza nim.

Czwarta Cudowna Tajemnica, Wniebowstąpienie...

Antyirlandzkie uwagi Aleksa były dla mnie pełnym zaskoczeniem. Zwłaszcza że pozwolił sobie na nie już w latach osiemdziesiątych, kiedy sytuacja w Anglii się unormowała i stosunki między Irlandczykami i Anglikami układały się nieźle.

Jechaliśmy wtedy pociągiem na ogólne zebranie zarządu „NewsWrite” w małym wiejskim hoteliku gdzieś w środkowej Anglii. Alex, Jimmy i ja. W pewnym momencie szef rozstawił na stoliku laptopa. Przenośne komputery osobiste należały wtedy jeszcze do rzadkości i łatwo było zauważyć, z jaką satysfakcją Alex uruchamia różne gry. Wryła mi się w pamięć telewizyjna reklamówka przedstawiająca mężczyznę leżącego na hotelowym łóżku, w poluzowanym krawacie, lecz z zapiętymi mankietami koszuli, grającego na przenośnym komputerze. „Z naszym nowym globalnym modemem nie będziesz się musiał nudzić w obcym kraju”. Tamten facet wyglądał na bardzo wpływowego ważniaka, śmieszyło mnie więc, kiedy Alex próbował go naśladować, bo gdy coś go pochłaniało bez reszty, bardziej przypominał zaafierowanego brzdąca. Niemal odruchowo zaczęłam wtedy być hałaśliwa, próbując odciągnąć jego uwagę.

- Ty rzucaj! - zwróciłam się do Jimmy'ego, podając mu monetę. - Na kolejne „dwadzieścia cztery godziny w najbardziej nienawidzonym zadupiu”. - Było to nasze własne określenie ciągłych wypraw do szeregu europejskich miast, z których „TravelWrite” publikowało cykl reportaży.

- Błagam, tylko nie Dusseldorf! - jęknęłam. - Raczej wołałabym już Nikozję. A jeszcze lepiej Wiedeń, żeby zobaczyć wystawę Vermeera...

- Nic z tego. Ja chcę do Dusseldorfu - odparł Jimmy. - Niemiecki ruch gejowski jest znacznie lepiej zorganizowany niż cypryjski.

Alex błyskawicznie podniósł głowę. Tłumaczyłam sobie później, że podświadomie był zazdrosny o moją zażyłość z Jimmym. Prawdopodobnie jednak poczuł się tylko urażony, że nawet nie próbowaliśmy skonsultować swego wyboru z nim, naszym szefem.

- Wydawało mi się, że wy, Irlandczycy, odczuwacie sympatię do Niemców - syknął mi w twarz ze złością. - Bo z jakiego innego powodu bralibyście ich stronę podczas wojny? Woleliście się opychać grubymi stekami, gdy tymczasem my byliśmy gotowi walczyć do ostatniego człowieka. Zresztą zostaliście za to nagrodzeni w tak zwanym Wspólnym Rynku, prawda? Wasi starzy przyjaciele ładują teraz kupę forsy w Szmaragdową Wyspę.

Jimmy ostentacyjnie otworzył poranną gazetę i ukrył za nią twarz.

- Bardzo bym chciała, żebyście wy, Anglicy, przestali wreszcie mówić „wy, Irlandczycy” - wycodziłam powoli. - Są Irlandczycy i Irlandczycy, jeśli wziąć pod uwagę te dziesiątki tysięcy, które wstąpiły do brytyjskiej armii i z których wielu zginęło. Akurat tak się składa, że dobrze znam te sprawy i wiem, jak bardzo w pewnym okresie ceniono irlandzkich robotników ściąganych do budowy lotnisk, bo Westminsterowi bardzo zależało na tym, żeby w Irlandii nie było masowego poboru do wojska, mimo że wasi czołowi agenci z MI5 zapewniali Churchilla o tym, iż irlandzka neutralność oznacza jednak przychylność dla aliantów. I tyle wynika z twojej teorii!

- Szczerze mówiąc, Kathleen - mruknął skruszony Alex - moja uwaga na temat opychania się stekami była całkiem nie na miejscu. Przepraszam.

Tego samego popołudnia braliśmy udział w seminarium dotyczącym długofalowej strategii zarządu, zorganizowanym w pięknej jakobińskiej sali dawnego dworku, z pawiami dumnie spacerującymi po trawnikach pod tarasem, ocienionych przez gigantyczne stare dęby. Siedziałam przy stole i mętnie rozmyślałam o tym, jak Henry James opisałby nasze spotkanie, zamiast słuchać uważnie paplaniny spiętej młodej kobiety w garsonce od Armaniego, omawiającej trzy kroki do zadowolenia klienta i bez przerwy zerkającej na swego szefa, który siedział obok z dumną miną, usiłując nas pobudzić do entuzjazmu. Tymczasem Alex zasnął. Przesunęłam się z krzesłem, żeby go zasłonić przed wzrokiem zarządu. Głowa opadała mu coraz niżej na piersi, toteż bojąc się, by nie spadł na podłogę, przysunęłam się jeszcze bliżej i podparłam go ramieniem. Oddychał powoli i głęboko, jak dziecko pogrążone w błogim śnie.

Prawdę powiedziawszy, sama odczuwałam wstyd na wspomnienie wojny. Kiedyś w Londynie oglądałam niezwykłą budowlę odsłoniętą przypadkiem podczas wykopów - prawdopodobnie zaślepioną boczną odnogą tunelu metra służącą okolicznym mieszkańcom za schron w czasie nalotów. Kiedy indziej na pogrzebie czyjegoś ojca słyszałam: „Walczył pod Dunkierką” albo „Był w Birmie, na szlakach kolejowych”... Zawsze z uwagą wychwytywałam strzępy informacji dotyczących roli Irlandii w drugiej wojnie światowej - tylko dlatego bez trudu zbiłam biednego Aleksa z pantałyku po jego głupich tekstach. Ale największy wstyd palił mnie podczas niektórych wyjazdów do Europy Środkowej. Na przykład, gdy znalazłam się pewnego jesiennego poranka w głębokich kamieniołomach wypełnionych gęstą mgłą, przypominającą namacalne zło, gdzie zginęły tysiące więźniów z obozu zagłady w Mauthausen. Albo w domu Anny Frank w Amsterdamie, gdy patrzyłam na rysowane ołówkiem kreski na futrynie znaczące wzrost dorastającej dziewczyny. Czy też w Muzeum Holokaustu w Jerozolimie, gdy słuchałam niekończącej się recytacji nazwisk pomordowanych. Kiedy widziałam tysiące zniszczone upamiętniających zabite dzieci. Na bocznicę załadunkowej w Salonikach, gdzie pakowano greckich Żydów do pociągów odjeżdżających do Oświęcimia. Na stadionie w pobliżu cmentarza Père Lachaise, na który spędzono małych żydowskich paryżan przed wysłaniem ich na śmierć.

Kiedyś upiłam się w Monachium i poświęciłam godzinę, by zdobyć numer telefonu zakonnej szkoły w Kilcrennan. Po uzyskaniu połączenia stanowczo zażądałam rozmowy z siostrą, która uczyła nas historii.

Szlochając, kiwałam się w przód i w tył na brzegu hotelowego łóżka.

- Siostra ma tyle lat, że powinna dobrze pamiętać tamte czasy! Dlaczego nie walczyliśmy z hitlerowcami?! Dlaczego?!

- Skąd dzwonicz, Kathleen?

- Byłam dzisiaj w Dachau.

- Nie wiedzieliśmy o tym, biedactwo...

- Powinniśmy byli wiedzieć! - wykrzyknęłam. - Anglicy wykazali tyle odwagi! I do jakich poświęceń zostali zmuszeni! Widziałam ostatnio przepis na wojenny placek z jabłkami, siostró. Warstwa duszonych jabłek, warstwa popiołu drzewnego, warstwa jabłek, warstwa popiołu...

- Istniała groźba wybuchu kolejnej wojny domowej - odparła zakonnica. - Przecież w trzydziestym dziewiątym roku nie minęło jeszcze nawet dwadzieścia lat od wypędzenia Anglików i uzyskania niepodległości!

- Zło plus zło nie równa się dobru! - wrzasnęłam.

- Nie bądź dzieckiem! - odkrzyknęła podenerwowana.

Na zakończenie konferencji zaproszono nas na lampkę sherry przed obiadem. Nawet Jimmy musiał przyznać, że Alex we fraku prezentuje się wspaniale.

- Pragnę cię jeszcze raz przeprosić, Kathy. Dziś rano w pociągu zachowałem się obrzydliwie. Jak sama powiedziałaś, za mało się znam na historii.

- Nie przejmuj się, Alex - odparłam. - Mam nadzieję, że nie potraktowałam cię zbyt ostro.

- Ależ skąd! W pełni na to zasłużyłem,

- Zapomnijmy o wszystkim... - zaczęłam, kiedy Jimmy nagle jęknął gardłowo.

- Za jakie grzechy muszę przebywać w waszym towarzystwie? - wycedził, unosząc wzrok do sufitu.

Szmer wspólnej modlitwy różańcowej przycichł nagle po szczerym wyznaniu Chwały Ojcu Naszemu. Spiesznie poleciliśmy jeszcze Bogu dusze wszystkich zmarłych, a zwłaszcza tych, co najbardziej potrzebują jego łaski.

- A teraz - rzekł ksiądz - pan Hughie Shannon, którego praprapradziadek został w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym roku uwięziony i skazany na tysiąc batów, zagra na akordeonie *Boolavogue*.

Rozległ się skromny aplauz nielicznej grupki widzów, którzy nie zdążyli w ostatnim momencie wymknąć się z rynku.

Na podium wprowadzono pod rękę małego zasuszonego staruszka, ledwie widocznego zza olbrzymiego akordeonu.

Gdy w Boolavogue o zachodzie słońca

Na pobielonych majem ląkach Shelmalier

Banda rebeliantów podpalila wrzosy...

Ksiądz śpiewał głośno do mikrofonu.

- Czy to nie wspaniale? - zapytała siedząca obok mnie kobieta. - Mocna rzecz!

Poszłam ulicą w kierunku sklepu spożywczego. Za moimi plecami pani P.J. w obcisłym trawiastozielonym żakiecie odczytywała do mikrofonu długą listę podziękowań dla wszystkich, którzy pomogli w zorganizowaniu uroczystości, tyle że nikt już tego nie słuchał. W zapadającym zmroku widownia świeciła pustkami.

Mijając pub High Chapparal, dostrzegłam przez otwarte drzwi sporą grupę młodzieży przy zestawionych stolikach. Migające czerwone i pomarańczowe dyskotekowe światła wyławiały z półmroku twarze ludzi, którzy coś śpiewali. Na stole pstrokato ubrany chłopak w wielkim stetsonie małpował Gartha Brooksa, mocno odchyłony do tyłu, z ręką na brzuchu, rytmicznie wypychał biodra ku przodowi. Barman machający ścierką między dźwigniami pompek do nalewania piwa podniósł wzrok, zauważył mnie w wejściu, uśmiechnął się i przywołał ruchem dłoni.

Mam kumpli w różnych spelunkach...

W rytm melodii podrygiwał sznureczek dziewcząt, które obejmowały się za ramiona i potrząsały pośladkami w opiętych dżinsach.

Ponieważ mam kumpli w różnych spelunkach,

Gdzie leje się whisky i piwo chlusta,

Więc nic mi nie grozi

I smutek odchodzi...

Weszłam bez namysłu i usiadłam przy pierwszym stoliku obok drzwi. Barman wyszedł zza kontuaru i zaczął powoli wycierać ścierką blat stolika.

- Widziałem już panią wcześniej - rzekł - i zastanawiałem się, czy da się pani namówić na drinka.

Był zbyt wstydlivy, żeby spojrzeć mi w oczy, dlatego z takim uporem machał ścierką po blacie. Miał koło czterdziestki, dość przyjemne rysy i szerokie bary rugbisty.

- Wystarczy mi coca-cola.

Oddalił się, a potem, stawiając przede mną szklankę, rzekł:

- Na koszt firmy.

Śmiać mi się chciało. Przyszło mi do głowy, że zostałam uhonorowana przez ten balejaż na włosach.

W piątkowe wieczory wychodziłyśmy z Caroline do pubu. Zaliczałyśmy się do licznej paczki, która regularnie się tam spotykała. Zaczęłam ją naśladować. Czasami mówiłam o kimś, że zachowuje się jak pajac. Czulałam się szczuplejsza. Biegając do autobusu, wysoko zadzierałam kolana, jakbym odznaczała się jej wdziękiem. Kupiłam sobie torebkę na długim pasku, którą nosiłam na ramieniu tak samo jak ona. Ale gdzie mi było do niej. Jej droga pościel, zazwyczaj skopana z materaca na podłogę, była zawsze idealnie biała i pięknie pachniała. Na przedramionach Caroline miała tak nieskazitelnie gładką skórę, że doszłam do wniosku, iż bogacze są naprawdę mniej owłosieni od ludzi biednych - przez stulecia, forsując związki małżeńskie wyłącznie w obrębie własnej klasy, pozbyli się zbędnego owłosienia, nieprzyjemnych zapachów, brodawek i brzydkich fałd tłuszczu.

Później Caro zakochała się bez pamięci w Ianie i to był koniec naszej przyjaźni.

Ale zanim do tego doszło, wyruszyłyśmy razem w podróż, którą później obie wspominałyśmy jak prawdziwy koszmar.

Siwowłosa redaktorka naczelna „The English Traveller” zaproponowała mi krótki darmowy pobyt w Belfaście.

- Ale tamtejsza sytuacja... - zaczęłam nieśmiało.

Był rok 1975, kiedy sprawy w Irlandii Północnej wyglądały bardzo źle.

- Przekonasz się, że ugoszczą cię z prawdziwą przyjemnością. Podejrzewam, że u nich jest teraz tak, jak u nas w czasie bitwy o Anglię. Rozumiesz? Czym chata bogata. Kierowniczka biura podróży ucieszyła się na wieść, że przyjedziesz. Możesz zabrać kogoś ze sobą, bo masz do dyspozycji dwuosobowy pokój w hotelu, a na lotnisku będzie na ciebie czekał samochód.

- Powiedziała im pani, że jestem Irlandką? - zapytałam, siląc się na odwagę.

- Powiedziałam - odparła z naciskiem - że „The English Traveller” jest całkowicie apolityczny. Będziesz musiała jedynie zwiedzić parę muzeów, parków i tak dalej.

Poprosiłam Caroline, żeby pojechała ze mną.

- Tylko na jedną noc - obiecałam.

- Do Belfastu?! Rety! Przyznam szczerze, że nigdy nie brałam pod uwagę wizyty w Belfaście. Z przyjemnością jednak odwiedzę twoją ojczyznę.

- To nie jest moja ojczyzna. Właśnie z tego powodu trwają tam walki, Caroline. To wasz kraj.

- Jeśli o mnie chodzi, ja go nie chcę - odparła pojednawczo.

- Ale on chce ciebie. Unioniści chcą ciebie. W przeciwieństwie do republikanów.

- Zostawmy politykę na boku, dobrze?

- Posłuchaj, Caroline. Polityka to jedyna interesująca rzecz w Belfaście. Wyobraź sobie wozy opancerzone na ulicach, napisy na murach, nienawiść i morderstwa, bo poza tym Belfast jest tylko przeciętnym angielskim portem handlowym. Takim miastem, że gdyby nie handel wełną, John Boynton Priestley nie miałby o czym pisać powieści.

- A kto to jest John Boynton Priestley?

Powinam zacząć od tego, że zjawiłyśmy się na Heathrow bardzo wcześnie. W sklepie bieliźniarskim Caroline kupiła mi satynową bieliznę w nadziei, że któregoś dnia znajdę sobie kochanka. Ja kupiłam jej kasetę Kathleen Ferrier śpiewającej utwory Bacha w nadziei, że się jej spodoba. Potem zamówiłyśmy po porcji martini z wódką i marynowanymi cebulkami. Później w samolocie opróżniłyśmy dwie buteleczki szampana i poprosiłyśmy stewardesę, żeby dwie następne włożyła nam do podręcznego bagażu.

- Zwróć uwagę, Caroline - powiedziałam, znów próbując pobudzić jej świadomość - że stewardesa uśmiecha się tylko do mężczyzn. Nas traktuje zupełnie inaczej.

- Bo jesteśmy jedynymi kobietami w pierwszej klasie.

- To prawda. A kobieta z twoją klasą chyba się jeszcze dotąd nie przytrafiła w Belfaście.

Nasz kierowca, Sammy, okazał się facetem w średnim wieku, z dużą głową i włosami zebranymi z tyłu w cienki kucyk, z potężną klatką okrytą skórzaną lotniczą kurtką i ze zgrabnym tyłeczkiem w dopasowanych dzinsach. W pantoflach na grubej podeszwie poruszał się marynarskim krokiem urodzonego rojalisty. Wyglądało na to, że w ogóle nie zrobił na nim wrażenia widok dość przeciętnej reporterki o irlandzkim akcencie, której towarzyszyła elegancka dama mówiąca z akcentem z Hampstead, przy czym obie miały błyszczące oczy od wypitego w podróży alkoholu.

Wypakował nasze bagaże przed hotelem Europa. My jednak ani myślałyśmy wysiadać.

- Zamelduj nas, drogi Sammy - rzuciłam z tylnego siedzenia limuzyny - a potem jedźmy się napić czegoś absolutnie typowego dla Belfastu.

Powiózł nas Shankill Road do jakiegoś klubu oddzielonego pasem nieużytków od skupiska małych domków z czerwonej cegły. Nie było tak łatwo po zaśmieconym bruku dojść w szpilkach do drzwi, podprowadził więc najpierw Caro, a potem wrócił po mnie. Później - o ile mogłyśmy sobie nazajutrz przypomnieć - jakaś kobieta o zrobionych na blond lokach przez cały wieczór mierzyła nas wrogim spojrzeniem znad plakietek reklamowych Bacardiego i coca-coli, gdy tymczasem Sammy ścigał do naszego stolika niekończący się strumień niskich dowcipnych facetów.

- Wtedy wydawali mi się bardzo dowcipni - przyznała Caroline po jakimś czasie. - Boże! Jeśli się nie mylę, w którymś momencie weszłam na scenę i zaczęłam śpiewać Neila Diamonda *Sweet Caroline*. Rety, powiedz mi, że to nieprawda!

- Nieprawda. Śpiewałaś wiązankę przebojów Toma Jonesa. A potem wykonałaś całkiem zgrabny taniec brzucha do melodii *It's not unusual*.

- Och, nie!

Na szczęście Sammy przywiózł nas z powrotem do hotelu. Pomógł się przedostać przez obrotowe drzwi i porzucił w holu. Podszedł portier i zagaił uprzejmie:

- Witam panie. Czy mogę coś zanieść na górę do pokoju?
- Caroline. Oni chcą nas zaciągnąć do łóżka - syknęłam.
- Nie ma mowy! Nigdzie nie pójdę! - zaprotestowała.

Jakoś dotarliśmy do baru przy recepcji i zamówiliśmy - pamiętam dziwną wymianę zdań z kelnerem - po lampce... Nie, lepiej... Czy może być pół butelki?... Nie?... No to niech będzie cała... Aha, w porządku: szampana.

- Chyba zaczynałyśmy od szampana - wtrąciła Caro. - Tak mi się przynajmniej zdaje.

Zapamiętałam jeszcze, że postanowiłam oddać Caroline całą Irlandię Północną, byle tylko powstrzymać wojnę domową.

Usiadłam prosto na sofie, oblewając się przy tym szampanem.

- Mężczyźni i kobiety od wieków giną tu za sześć bogatych okręgów. No, może nie za bardzo od wieków, ale na pewno ostatnio. I bez wątpienia giną, Caroline. Wiem, że katolikom zgotowano tu marny los. Irlandzka ziemia powinna należeć do Irlandczyków. Ale teraz ta ziemia jest twoja, żebyś zaprowadziła tu pokój na następne stulecia.

Tym razem Caro zdobyła się na to, żeby usiąść prosto.

- W porządku, Kathleen. Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.
- Naprawdę obiecujesz, Caroline? - zapytałam ze łzami w oczach. - Naprawdę?
- Obiecuję, Kathy. Naprawdę.

Jakimś cudem wdrapałyśmy się na piętro i odnalazłyśmy pokój z dwoma przepaścistymi łózkami. Chciałyśmy jeszcze obejrzeć film nocny, ale nigdzie nie było telewizora.

Po godzinie czy dwóch obudził mnie jakiś hałas i gwałtownie usiadłam. Głowa mnie bolała, w gardle miałam sucho. Zasnęłam na nieposłanym łóżku, w nowej satynowej bieliźnie i w jednym bucie.

- Spierdalaj! - ryknęłam do wojskowego helikoptera, który naśladowując gigantyczną kosiarkę do trawy, zawisł nad ulicą dokładnie na wprost naszego okna.

Później połknęłam cztery tabletki aspiryny, wsunęłam się pod kołdrę i od razu usnęłam.

Dopiłam coca-colę w High Chapparal, uśmiechając się do wspomnień z tamtej młodzieńczej eskapady dwóch pańienek.

- Bardzo dziękuję! Do zobaczenia! - zawołałam do barmana.
 - Proszę o nas nie zapominać! - krzyknął. - Pub jest otwarty na okrągło. Zawsze się panią chętnie zajmę!
- Wyszłam, uśmiechając się ciągle, i wpadłam na barczystego mężczyznę idącego ulicą.
- Bałam się, że już wyjechałaś na zawsze - powiedział. To był Shay.

Przyjrzałam mu się. Zwykle sportowe ubranie, zmęczone niebieskie oczy, zmarszczone czoło na twarzy pełnej skupienia.

- Powiedziałeś, że wyjeżdżasz na dłużej...

- Ale jestem - odparł szybko. - Chociaż powinienem być teraz w samolocie lecącym do Liverpoolu.

- Nie ma nic do jedzenia.

Jakoś nic innego nie przychodziło mi do głowy. To jednak wystarczyło.

- Szkoda - rzekł i cała jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu - bo jestem w podróży od siódmej rano i zdążyłem porządnie zgłodnieć.

- Możemy wpaść do hotelu - zaproponowałam.

- A nie lepiej pojechać do domu?

Coś się we mnie przełamało na brzmienie słowa: dom.

Stał spokojnie z boku i przysłuchiwał się mojej rozmowie z panią P.J., wciąż ubraną w elegancką zieloną garsonkę.

- Świeże ryby? Proszę mnie nie rozśmieszać. Jesteśmy na zachodzie Irlandii, tu świeże ryby można kupić tylko przez przypadek. Wszystkie połowy z zatoki codziennie rano przejeżdżają przez tę wioskę w wielkiej chłodni, a potem wracają inną ciężarówką z Dublina do supermarketu w mieście. Czy to jeszcze jeden de Burca, Kathleen? - Uśmiechnęła się szeroko do Shaya.

- Nie.

Z lady chłodniczej z mięsem wybraliśmy dwa wielkie krwiste steki i kupiliśmy torbę ziemniaków grubo pokrytych czarną ziemią.

- Te są najlepsze - powiedziała P.J. - Sami się przekonacie. Kruche i mączyste. Pewnie pan takich w ogóle nie widuje tam, skąd pan pochodzi.

Shay nie podjął wyzwania. Zapłacił, wziął obie plastikowe siatki i zaniósł do mojego samochodu. Do tej pory niewielu mężczyzn nosiło za mnie zakupy. To chyba nas uratowało - zakupy, a potem wspólne obieranie kartofli nad zlewem, przeklinanie tępych noży, opowieść Shaya o nowej generacji kosiarek do trawy oraz moja o tym, jak dokarmiłam kota sąsiadów hamburgerami, a gdy rzuciłam palenie, przestałam zaglądać do McDonalda, bo przez cały czas czułam głód.

- Zostawmy talerze na stole - zaproponowałam, gdy skończyliśmy posiłek złożony z wysmażonych niemal na czarno steków, bielutkich gotowanych ziemniaków i ciemnoczerwonych pomidorów. Jakże różnił się od obiadów, które jadałam w różnych restauracjach, powolutku skubiąc widelcem jedzenie i udając zainteresowanie rozmową w tak bezbarwnym towarzystwie, że modliłam się w duchu, aby czas płynął szybciej.

- O nie - rzekł. - Zmywanie należy do mnie. Tylko mnie nie poganiaj. Dokończ wino.

Usiadłam przy kominku. Z radia płynęła muzyka taneczna.

- Uwielbiam taką muzykę - wyznał. - Jest w sam raz dla facetów w moim wieku.

Zaczął nucić pod nosem *Cherry pink and apple-blossom white*.

Zachowywaliśmy się jak stare dobre małżeństwo.

- Co wolisz: Anglię czy Irlandię? - zapytałam. - Ja rozmyślałam o tym po całych dniach, wspominając kłopoty, na jakie się natknęłam, wyjeżdżając do Anglii.

- To pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów - odparł poważnie. - Za młodu nie miałem okazji, żeby wybierać, a gdy już sobie uwiłem gniazdko w Anglii, zapuściłem w nim korzenie. Sądzę, że najlepiej bym się czuł w Ameryce, ale nie miałem forsy na bilet przez Atlantyk. Jestem jednak przekonany, że Anglicy są bardziej rzetelni od Irlandczyków. Zauważyłem to w Sligo, w trakcie porządkowania ksiąg rachunkowych ojca. Jego klienci próbują się wykręcać jak śliskie węgorze, kiedy nadchodzi pora płacenia rachunków.

- Tu masz rację. Są bardziej rzetelni. Mój szef jest tak uczciwy, że nie wyniósłby z biura do domu nawet jednej kartki papieru.

Shay wytarł ścierką stół i ustawił na nim z powrotem mojego laptopa.

- Wspominałaś, że chcesz napisać powieść o czymś, co wydarzyło się dość dawno temu, a nie jesteś w stanie zebrać nawet podstawowych materiałów źródłowych. Co to za historia?

- Szalonej namiętnej miłości - powiedziałam, prowokacyjnie zatrzepotawszy powiekami.

- Aha - mruknął. - Wydaje mi się, że w tym temacie nie potrzebujesz niczyjej pomocy.

Uklęknął obok mnie, pochylił nisko głowę i powoli przytulił się do mojej piersi. Ja też spuściłam głowę, opierając brodę na jego miękkich siwych włosach.

- Jestem zaskoczona, że tak dobrze pamiętasz, co mówiłam.

- Pamiętam wszystko, każde twoje słowo. I zawsze będę pamiętał...

Przez jakiś czas trwaliśmy w bezruchu, przytuleni do siebie, aż gdzieś w głębi mego ciała narodziło się przybierające na sile pulsowanie, którego rytm stopniowo zaczął przenikać nas oboje. Usłyszałam, jak Shay przełknął ślinę, jakby chciał coś powiedzieć, ale się nie odezwał. Mnie również ścisnęło za gardło. Wreszcie wstałam i poprowadziłam go do sypialni.

Trwało parę chwil, nim poddałam się dziwnie poważnemu i delikatnemu pocałunkowi lekko zaciśniętych warg.

Wodziłam palcami po jego twarzy - szorstkiej wzdłuż linii ogolonego zarostu i miękkiej pod zamkniętymi oczami. Nagle wsunął mi język w usta i tak gwałtownie przywarł do moich warg, jakby chciał wypić ze mnie wszystkie soki. Rozsunął mi nogi i zaczął przesuwając dłonią po wewnętrznej stronie ud. Coraz wyżej i wyżej. Poczułam, że bielizna lepi mi się do coraz bardziej wilgotnego sromu. Odsunął się nagle.

- Myślałem o tobie ranki i wieczory - powiedział.

- A gdybyś mnie tu już nie zastał?

- Obawiałem się tego przez całą drogę ze Sligo. Powtarzałem sobie: Ona tam będzie. Na pewno. Musi być...

- Powiedziałeś, że idziesz po sok pomarańczowy - szepnęłam.

- Przecież wyjaśniłem to w liście. - Na jego twarzy pojawił się wyraz skruchy, a dłoń znowu zaczęła się przesuwając po moim udzie. - Nie dostałaś go? Wyjaśniłem, że muszę odejść, bo gdybym został, już nigdy nie umiałbym cię opuścić!

Mówił to spokojnie, bez cienia pasji. Jeszcze nigdy nie słyszałam tego rodzaju wyznań padających takim beznamiętnym tonem.

Jego palce poczynęły sobie coraz bardziej natarczywie, jakby i one usiłowały mnie przekonać. Niemalże błagały i miałam wrażenie, że nie przestaną, a przynajmniej do chwili, kiedy całkiem zmięknę pod wpływem tych pieszczot.

Później przez pewien czas obserwowałam, jak stopniowo poszerza się srebrna smuga księżycowego blasku na parapecie okna. Leżeliśmy zmęczeni, rozdzieleni skrawkiem pustej przestrzeni łóżka.

- Pójdiesz ze mną na spacer nad morze? - zapytałam. Ubraliśmy się w milczeniu.

Nocne powietrze przyjemnie chłodziło nasze ciała.

- Rety! - mruknął Shay, zadzierając głowę. Równoległe do linii horyzontu ciągnął się gruby wał czarnych jak smoła chmur. Ale za nimi wisiał samotny obłok, wciąż jeszcze skąpany w pastelowym świetle. - Niemal już zapomniałem, jak oddycha się czystym powietrzem. Tam gdzie mieszkam, można je ciąć nożem.

- Nie wiem, jaka będzie jutro pogoda. To niebo wygląda dziwnie...

- Ale jest czerwone! Tylko spójrz! Tam, nad samym horyzontem. „Czerwone niebo o zachodzie pastorzom radość sprawić może”.

- To prawda, ale popatrz na układ chmur. Są jak łuski na rybie. „Rozwianych chmurek niebo pełne, deszcz nie za długi, słońce mizerne”. Gdyby teraz wyrzął księżyc, pewnie zobaczylibyśmy foki. Wczoraj rano były trzy na plaży. Tata, mama i dziecko.

- Nie wiem, czy uwierzysz, ale kiedyś w Ballisodare uratowałem małą foczkę. Musiała się odłączyć od stada. Znalazłem ją wczesnym rankiem, gdy wyruszałem na ryby. Zaniósłem ją do domu i w ogródku zrobiłem basen z polnych kamieni i arkusza grubej czarnej folii. A gdy wróciłem ze szkoły, foczka była w domu, siedziała na starym fotelu z płetwą ogonową wdzięcznie przerzuconą przez poręcz i słuchała muzyki z radia. Ojciec kazał mi ją wypuścić z powrotem do morza.

Objęłam go w pasie, a drugą dłoń wsunęłam pod koszulę na brzuchu i przytuliłam się do niego czule.

Morze pod urwiskiem za dawnym ostatnim zagonem ziemniaczanym było prawie całkiem spokojne. Drobne fale o płaskich wydłużonych grzbietach przypominały zmaconą powierzchnię gęstej czarnej ropy.

- Ciebie też mógłbym lepiej zobaczyć w blasku księżyca - powiedział Shay.

Targały mną sprzeczne uczucia. Z ulgą przyjmowałam to, że wrócił i został ze mną, ale zarazem było mi wstyd, iż oddaję mu się bez zastrzeżeń, bałam się bowiem, że przez sentyment może się uciec do fałszu.

- Czy to znaczy, że tym razem zostajesz? - spytałam.

- A zechcesz mnie?

- Mam jakiś wybór?

- Oczywiście. - Odwrócił się, objął mnie i przytulił serdecznie. Był sto razy bardziej pewny siebie niż wtedy, gdy poszliśmy do łóżka. - Oczywiście, że masz wybór. I musisz go dokonać.

- Jak długo możesz zostać?

- Do jutrzejszego popołudnia.

- No to chcę.

- W porządku - odezwałam się później. - Teraz możesz mówić.

- Pochodzę z Ballisodare. Za młodu wyjechałem do Anglii w poszukiwaniu pracy. Ożeniłem się z dziewczyną, którą tam poznałem na zabawie tanecznej. Mieszkamy niedaleko Chester, mamy dwie córki, obie już mężatki, mieszkają niedaleko nas. Do nazwy swojej firmy ogrodniczej dodałem „i córki”, trochę dla żartu, ale głównie dlatego, że jesteśmy bardzo zżyci.

- Co „i córki”?

- Słucham?

- Jak masz na nazwisko?

- Aha... - Milczał przez chwilę. - To ma jakieś znaczenie?

- Ja się nazywam de Burca - dodałam zachęcająco.

- Czyli Burke? Kathleen Burke - powtórzył wolno. - *Gdy wiosną świeża zieleń okryje pola, z powrotem zabiorę cię, Kathleen, do domu...*

- Nie. De Burca. Mój ojciec w przypływie patriotyzmu oficjalnie zmienił nazwisko.

- Moja żona zajmuje się wnucętami, kiedy córki są w pracy, chłopczykiem i dziewczynką. Wcześniej po robocie zwykle zaglądałem do pubu. Ale kilka lat temu zacząłem tu regularnie przyjeżdżać, żeby pomóc ojcu, i odżyły we mnie irlandzkie sentymenty. Żona w ogóle nie interesuje się kulturą irlandzką, co zrozumiałe, była tu po raz ostatni, kiedy dziewczęta miały po kilka lat. Dlatego teraz częściej wpadam na drinka do klubu irlandzkiego, a ona wieczorami siedzi w domu przed telewizorem. Zresztą córki ją często odwiedzają, rzadko jest sama.

Mówił to ciepłym, łagodnym tonem.

- Zatem nic mi do tego - wtrąciłam. - Masz szczęśliwą rodzinę.

- Tak, wiem. - Zamilkł na dłużej, wreszcie dodał: - Nazywam się Murphy. Jestem trochę przeczulony na punkcie swojego nazwiska, bo nosi je co drugi Irlandczyk w Anglii.

Gdzieś w środku nocy zapytał:

- Lubisz mnie choć trochę?

- No cóż...

- Za mało się jeszcze znamy?

Na wpół leżał w starym fotelu przed kominkiem, w którym udało mu się rozpalić huczący ogień. Był w samych spodniach, ja w nocnej koszuli siedziałam mu na kolanach. Kiedy wstrząsnął mną dreszcz, objął mnie i przytulił do siebie jak czuły kochający ojciec.

Po wyjściu z sypialni nie zapalaliśmy światła. Nim zdążyłam zaparzyć herbatę, dorzucił parę większych brył torfu i rozdmuchał ogień.

- Myślę, że znamy się już wystarczająco - ciągnął. - Przynajmniej takie mam wrażenie. Nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Nigdy nie musiałem nikogo okłamywać. No, w każdym razie rzadko. Ale coś się ze mną stało, gdy cię zobaczyłem. Pamiętasz? Tego dnia, gdy czekaliśmy na prom i przechylałaś się przez murek, żeby puszczać kaczkę na wodzie. W pewnym momencie wiatr poderwał ci sukienkę i nagle coś mi się stało. Nawet nie umiem tego nazwać, Kathleen. Poczulem, że bez względu na wszystko muszę nawiązać z tobą rozmowę.

Trzymał dłoń na moim brzuchu i w zamyśleniu lekko ścisnął palcami obwisłą skórę. Do tej pory zawsze odruchowo się wyprężałam i napinałam mięśnie, żeby ukryć fałdy tłuszczu, ale przy nim mogłam się wreszcie czuć swobodnie.

- Mały sekret mojej małej dziewczynki - szepnął.

Oboje byliśmy w półśnie, nie od razu więc dotarło do mnie, że cichutko pomrukuje coś pod nosem.

- Mało kto wie, że lamy tak mruczą, usypiając swoje młode - powiedziałam.

Dokoła panowała niezmacona cisza, wyraźnie słyszałam dość ciężki, powolny rytm jego serca. Usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio odczuwałam aż tak błogi spokój.

Tylko wtedy, gdy byłam sama. Uświadomienie sobie tego faktu przyjąłam niemal ze wstrząsem. Leniwie przekreśliłam głowę i musnęłam wargami gładką skórę po wewnętrznej stronie jego ręki. Jeśli przy nim było mi tak samo dobrze, jak w samotności, to może odnalazłam swoją drugą połowę?

- Nie jesteś przypadkiem moją drugą połową? - zapytał szeptem, nie odrywając ust od jego ręki.

- Na pewno nie. W żadnym calu nie jestem do ciebie podobny.

Pewnej upalnej nocy leżałam w hotelowym łóżku, w małej wiosce nad brzegiem Jeziora Bodeńskiego. Był to chyba środek lata, srebrzysty blask księżyca na wodzie rozjaśniał noc i aż do rana trwałam w jego objęciach, w półśnie. Pamiętam, że dojechałam tam z Konstancji na rowerze. Byłam na jakimś festynie turystycznym w Sztrasburgu, potem przejechałam pociągiem Schwarzwald i wypożyczyłam rower. Owa wspaniała księżycowa noc była dla mnie nagrodą na zakończenie całodziennej wycieczki. Dostałam pokój bezpośrednio nad frontowym wejściem hotelu, jego wysokie okno znajdowało się na poziomie czubków lip ocieniających niewielką promenadę. Przez cały wieczór w świetle latarni przesączającym się przez gęste listowie widziałam spacerujące po niej elegancko ubrane pary. Nawet kolację zjadłam przy oknie, nad książką opartą o solniczkę - ciemnego smażonego pstrąga o blad różowym mięsie. A w środku nocy spiętrzyłam wysoko poduszki i wsparta o nie spoglądałam na roziskrzone jezioro przez otwarte na oścież okno. Wydawało mi się, że coś mnie do niego ciągnie, jakbym stanowiła nieodłączny element tego jeziora. Zapamiętałam przyjemny dotyk pościeli z miękkiego lnu. Od czasu do czasu dolatywał z oddali stłumiony okrzyk drapieżnego ptaka bądź też cichy plusk towarzyszący podrywaniu się i lądowaniu ptactwa wodnego, co jedynie potęgowało wrażenie całkowitej ciszy spowijającej i mnie, i pokój hotelowy, i jezioro. Później zaczęła nad nim wstawać perłowa mgiełka.

Bardzo podobnie się czułam w ramionach Shaya.

Ogień przygasł.

- Moja Kathleen - szepnął. - Zmarzniesz tutaj.

- Nie jest mi zimno...

Przysnęłam na krótko, przytulona do niego. Kiedy się ocknęłam, zauważyłam, że mi się przygląda.

- W ogóle nie spałeś? - zapytałam cicho.

- Szkoda mi czasu na sen.

- Nie mów tak! - Wyprostowałam się z ożywieniem. - Zostało nam jeszcze dużo czasu!

Jeszcze przez chwilę patrzył mi prosto w oczy.

- Nie chcę zniszczyć i zrujnować tego wszystkiego, co w życiu osiągnąłem! - wybuchnął, jakbym nagle stała się dla niego zagrożeniem.

Wyjechał nazajutrz wczesnym popołudniem. Nie odprowadziłam go nawet do drzwi. Nie mogłam. Kiedy zapytałam, czy jeszcze kiedyś się zobaczymy, odparł, że nie wie. Powiedziałam, że tu mnie nie zastanie, że jeśli będę jeszcze w Irlandii, to w hotelu The Talbot Arms w Ballygall.

- Ty jesteś dla mnie Irlandią - rzekł, patrząc smutnym wzrokiem przez całą długość pokoju, już z torbą podróżną w ręku. - Twoje kręcone włosy i w ogóle... Dlatego serce mi się kroi, że muszę wyjechać.

- Więc nie zostaje mi nic innego jak czekać? - spytałam, połykając gorzkie łzy. - Nic więcej nie mogę zrobić?

- Nie.

Po jego wyjściu klapnęłam ciężko na fotel. Nocną koszulę miałam rozpiętą, popatrzyłam na lewą pierś. Na białej skórze została szeroka zaczerwieniona smuga ciągnąca się od sutka w górę. W pewnej chwili w nocy Shay ssal mi tę pierś, potem przerwał na chwilę, i znów zaczął od nowa, coraz energiczniej ścisnął ją ustami, silnie, aż do bólu. Gdy na krótko otworzyłam oczy - jak przez mgłę widząc jego głowę wtuloną w moją pierś - kątem oka dostrzegłam coś na pościeli. To były sztuczne zęby! Jego proteza! Wyjął ją, by sprawić mi rozkosz, nie raniąc przy tym zębami!

W pierwszej chwili poczułam obrzydzenie, które jednak szybko osłabło, zapadło w mroczny kąt świadomości. Znacznie silniejszy był dreszcz przenikający moje ciało pod wpływem nacisku jego twardych gładkich dziąseł. Później już ani razu nie myślałam o tych sztucznych zębach. Nawet nie zauważyłam, kiedy z powrotem włożył protezę.

Ścisnęłam dwoma palcami zaczerwieniony sutek, chcąc poczuć silniejszy ból - i głębiej w pamięci utrwalić to wspomnienie.

Starzej się. Jeśli już nigdy się z nim nie spotkam, chyba zabije mnie cierpienie.

Ale gdy się wykapałam, z poszarzałego lustra nad zlewem znów spojrzało na mnie odbicie ożywionej, jakby odmłodniałej Kathleen. Posłałam łóżko, starannie wygładzając pomięte prześcieradła i poduszki. Przyszło mi na myśl, żeby położyć się z powrotem, lecz rozpierała mnie energia. Było wpół do piątej. Czwartek? Tak, czwartek. Powinnam wykonać kilka telefonów. Do Nory. Do Caroline. Od bardzo dawna nie rozmawiałam też z Alekssem. Nie podeszłam jednak do aparatu. Mogłam to odłożyć do jutra, kiedy już wrócę do Ballygall. Nie chciałam tak szybko zanurzać się z powrotem w codzienną szarżyznę.

Sypialnia sprawiała wrażenie pełnej światła, które pojawiało się i znikało. Otworzyłam drzwi i wyrzłam na werandę. Zgadłam. Wiatr pędził po niebie wielkie białe pierzaste obłoki. Wrzuciłam jajko do rondelka, zalałam wodą i postawiłam na mały gaz, po czym znów wyszłam. Skręciłam za róg domu, zmagając się z przeciwnym wiatrem, i po wysokiej gęstej trawie, teraz przygiętej do ziemi, dotarłam na skraj zagonów ziemniaczanych. Kucnęłam i z zamkniętymi oczami, żeby wyostrzyć zmysł dotyku, przeciągnęłam palcami po sypanej ziemi pierwszej skiby, jakbym szukała pocieszenia w śladach przeszłości. Usiłowałam sobie wyobrazić, jak niewiele znaczę w złożonym splocie wydarzeń, w nadziei, że stłumi to w moim sercu żal po stracie kochanka, którego znalazłam tak późno. Zaraz jednak doleciało mnie zawrozczenie wiatru w suchych krzakach oraz rytmiczne dudnienie fal rozbijających się o skalisty brzeg, i odgłosy te sprawiły, że ból nasilił się tak jak i one.

Wyłowiłam ugotowane jajko i zrobiłam sobie prowizoryczną podstawkę ze zwiniętej gazety ułożonej w kieliszku do wina. Następnie usiadłam do posiłku pod oknem, w miejscu skąpanym na przemian w słońcu i cieniu. W radiu ktoś śpiewał

Gdybym cię pokochał:

...Odejdiesz potem mglistego dnia,

Nie wiedząc nawet,

Jak bardzo cię kochałem...

Otworzyłam antologię poezji na przekładach i zaczęłam szukać tłumaczenia niemieckiego wiersza, który mi chodził po głowie. Rilke. Jego wydźwięk mówił: poddaj się. Przekonywał: takie jest życie.

Immer wieder... Chyba tak się zaczynał. *Immer wieder ob...* coś tam...

Und den kleinen... a może *die*? Nie.

Den kleinen Kirchhof, mit seinen Klagenden nomen...

Znalazłam.

Wciąż od nowa, choć znamy fałsz krainy miłości,

I skarżące się imiona w jej małym kościółku,

I wiemy też, że inni skończyli w strasznym głuchym wąwozie.

Ale wciąż od nowa wychodzimy razem pod te stare drzewa,

I kładziemy się obok siebie, wciąż od nowa, tylko my dwoje...

Zwischen die Elumen, gegenüber dem Himmel...

Pośród kwiatów, twarzą do nieba.

Szybko zajrzałam do sekcji włoskiej i trzymając przed oczyma książkę otwartą na tym cytacie z Montale'a, który jakby od dawna czekał na moją powieść, podeszłam do stołu i włączyłam komputer, żeby wrócić do Księgi Talbotów.

KSIĘGA TALBOTÓW (ciąg dalszy)

L'attesa lunga,

Il mio sogno di te non finito.

Długie oczekiwanie,

Mój sen o tobie jeszcze się nie skończył.

Po tym, jak Mullan dotknął jej twarzy, Marianne popadła w stan wyczekiwania, choć nie miała pewności, czy to wyczekiwanie kiedykolwiek się skończy.

Wzięła Mab za rączkę i zeszła do kuchni.

- Słyszałam, pani Benn - powiedziała z ożywieniem - że w zagrodzie jest śliczne osierocone jagnię.

- To prawda, madam, ale z resztą stada poszło na pastwisko.

Po raz drugi zeszła w południe. Nie mogła się powstrzymać, gdy usłyszała dźwięk dzwonka wiszącego przy drzwiach kuchennych, wzywającego służbę na posiłek, chociaż w majątku pozostała zaledwie garstka ludzi. Cztery czy pięć kobiet i trzech lub czterech mężczyzn mieściło się przy jednym końcu wielkiego stołu. Zarządca Barlow przeniósł się na południe, żeby objąć tam własny majątek. Lokaj wyjechał do Ameryki, na jakąś farmę w dolinie Susquehanna. A obie mleczarki znalazły pracę w hotelu w Bostonie.

Czyżby William Mullan także chciał wyjechać i już nigdy więcej nie miał jej dotknąć?

Weszła kilka kroków w głąb kuchni o posadzce z gładzonych kamieni i patrząc na wyszorowaną, pokrytą białym wapnem ścianę, nie zwracając się do nikogo konkretnego ze służby, rzekła:

- Gdyby znalazła się jakaś mała uprząż, Mab mogłaby prowadzić to jagnię na uwięzi.

- William Mullan! - odezwała się pani Benn. - Słyszałeś, co panienka powiedziała?

Marianne mocniej zabiło serce, kiedy usłyszała, że stajenny także je posiłek. Siedział tyłem do niej, nisko pochylony nad stołem.

Powoli ruszyła w jego kierunku, zbliżyła się na dwa metry, półtora, metr... Doskonale wyczuwała rezerwę ludzi wywołaną jej pojawieniem się w kuchni. Pewnie dlatego nie odważyła się podnieść wzroku na Williama. Szybko cofnęła się do drzwi. Takiej fali żaru ogarniającej całe ciało nigdy nie odczuwała w obecności męża. Nie wiedziała, że coś podobnego może ją spotkać. Nikt jej o tym nie uprzedził. Może nawet nikt nie znał tego odczucia.

Nie, on powinien je znać! Gdyby tylko mogła być razem z nim!

Wracając po schodach na górę, zachwiała się i ciężko oparła dłonią o ścianę. Aż ją zapiekło między nogami na samą myśl, że znajdowała się w jednym pomieszczeniu ze stajennym.

W swoim pokoju znów zaczęła krążyć niespokojnie z kąta w kąt.

Ryzyko zarażenia się gorączką było tak wielkie, że prawie od roku nie mieli w majątku żadnych gości. Również w targowe dni panował w miasteczku niezwykle spokój. Wcześniej przyjeżdżało mnóstwo kupców, rzadców i wędrownych sprzedawców, którzy w towarzystwie miejscowych farmerów pili piwo i jadalili posiłki

w licencjonowanych lokalach. Teraz po rynku kręcili się jedynie konstable. Nawet frontowe wejścia domów publicznych były zamknięte na głucho. Co prawda, nie brakowało klientów wchodzących od podwórza - życie stopniowo wracało do opustoszałego miasta. Ale w Mount Talbot nadal królowała pęsejna atmosfera rezygnacji.

- Coby nie mówi już o niczym innym, tylko o sprzedaży majątku - rzekł Richard któregoś wieczoru. - A stary Treadwell leży chory w Londynie. Jak mnie informowano, zapewne już nie wróci do Irlandii. Jestem więc jedynym liczącym się gospodarzem w całej tej połowie kraju. Tak dłużej być nie może.

Ale Marianne krążyła po korytarzach i schodach wielkiego domu ze zdwojoną energią. Dopiero teraz zaczęła poznawać rozkład pomieszczeń. Myślała nawet, czy nie poprosić pani Benn o klucze od zamkniętego skrzydła, w którym jeszcze ani razu nie była. W bawialni, w przestronnej jadalni oraz pokojach gościnnych gromadziło się coraz więcej kurzu. Tylko na samym dole, na poziomie rozlicznych spiżarni i piwnic, miała jeszcze wrażenie, że dom wciąż pulsuje życiem.

Tydzień później Mullan pojechał do domku za torfowiskiem należącego niegdyś do jego matki.

Jednym z powodów, dla których nigdy się nie ożenił, była wciąż żywa pamięć o bardzo bliskiej mu matce. Traktowała swego jedynaka z serdecznością nie spotykaną wśród miejscowej ludności. Większość irlandzkich kobiet miała wiele dzieci, ale ona owdowiała z jednym tylko dzieckiem, stąd też William był całą jej dumą i radością. Przejął po matce tę zyczliwość. Jego rówieśnicy, na przykład, bardzo rzadko okazywali przywiązanie do psów, nawet jeśli mówili o nich z dumą i w ramach rywalizacji porównywali z psami sąsiadów. Nikt nie karmił dzieci, kiedy te odnosiły się do psów i innych zwierząt domowych ze świadomym okrucieństwem. Ale William i jego matka, zwłaszcza gdy byli sami, często okazywali psom miłość. Swego czasu mieli charta tak złąknionego pieszczoł i tak ostentacyjnie okazującego swe przywiązanie do ludzi - zawsze układającego łeb na ich kolanach, ilekroć usiedli - że William nie pozwalał mężczyznom z wioski traktować go na równi z innymi psami, chociaż był wtedy dopiero kilkunastoletnim podrostkiem. Od matki nauczył się też prawdomówności, nigdy nie widział powodów, dla których miałby kłamać. Jedynie, gdy mówił o charcie, że nie można go wypuszczać ze względu na słabe ścięgna, mijał się z prawdą. Nie reagował, gdy koledzy drwili z jego zniewieściałości, ale nie pozwalał nikomu drwić ze swego psa.

Pod kępą brzoź u wylotu bitej drogi natknął się na gromadkę ludzi mieszkających za torfowiskiem. Nie byli urażeni, że wciąż ma i konia, i psa. Tym, co jeszcze pracowali w majątku, powodziło się dobrze. Poza tym wciąż pamiętano, że w starych szlacheckich rodach irlandzkich zawsze trzymano wspaniałe zwierzęta domowe.

Jedna z kobiet padła na kolana pośrodku traktu, zagradzając mu drogę.

- Zrób coś dla nas, *a Liam!* Pomóż nam!

Wyminął ją w milczeniu i pojechał dalej.

Przed domkiem owinał wodze wokół gałęzi pierwszej olchy, których cała kępa stała w wodzie - dom na niewielkim wzniesieniu znajdował się ledwie parę centymetrów nad powierzchnią trzęsawiska. Lolly uwielbiała to miejsce. Przemknęła obok niego po niskiej trawie i wskoczyła do wody, rozchlapując ją na wszystkie strony, zawróciła, wybiegła na suchy teren, dysząc, szybko zatoczyła koło wokół jego nóg i znów dała susa do wody, jakby uciekała przed pościgiem. Wiedział, że gdy się wreszcie zmęczy, przyjdzie do chaty, ułoży się u jego stóp i natychmiast zapadnie w drzemkę. Czasami, gdy nie mógł zasnąć w swoim boksie w stajni, suczka siadała

przy jego posłaniu, czuwając w ciemności. Ale tu, w domku matki, zasypiała natychmiast po swoich szaleńczych gonitwach, a jej ciche fukanie i pochrapywanie towarzyszyło mu w pełnej skupienia ciszy.

- *A Mhama* - odezwał się do ducha matki - *tá fíoreagla orm*.

Próbował opisać w myślach lęk, który ostatnio go nawiedza, gdyż czuł się poniżony przez strach - on, który nigdy niczego się nie bał, nawet gdy zaraza doszczętnie zniszczyła zasiewy ziemniaków w drugim roku kłeski, a wśród głodujących ludzi zaczęły się szerzyć choroby. Twarze dzieci robiły się czarne. On jednak przed nikim nie wyjawiał, że także się boi.

- *Níor chuimhnigh mé uirthí!* - rzekł. - Nigdy wcześniej o niej nie myślałem.

Siedział zamyślony na ławie, oparty plecami o ścianę, i spoglądał na piec w drugim końcu izby, przy którym zapewne siedziałyby jego matka, gdyby jeszcze żyła, kiedy pies, widocznie wyczuwając jego nastrój, warknął krótko.

Bał się jednak powiedzieć na głos, że przyczyną jego lęku jest niepohamowane pragnienie tego, aby znowu dotykać Marianne Talbot i być przez nią dotykany. Nigdy nie odważyłby się rozmawiać na ten temat z matką, ponieważ przed nikim nie czynił intymnych wyznań, a zwłaszcza przed kobietami. Kiedyś po doprowadzeniu stada koni z Ballinasloe do wojskowego obozu pod Turynem wydał część zapłaty na jedną z kobiet ciągnących za regimenterem. Pamiętał wielką pomarańczową tarczę księżycy i jego blask kładący się na grzbietach koni, od których nigdy się nie oddalał, nawet wtedy, gdy zażywał uciech z markietanką. Nie znał włoskiego, więc w ogóle nie mógł się z nią porozumieć, podobnie jak teraz, gdy brakowało mu angielskich słów w rozmowie z panią Talbot.

Nie bał się rozmawiać z kobietami tego samego co on pochodzenia, ale ożenek nawet nie przyszedł mu do głowy. W takich czasach? Co mógłby zostawić swojemu synowi? Tę chatę o dwóch izbach? Małeńkie poletko i kilka akrów podmokłego trzcinowiska?

- Jestem zgubiony - szepnął do siebie. - Schodzę na manowce.

Pies spał, przytulony do jego nogi, izbę zaczęły wypełniać pogłębiające się cienie.

Kiedy Marianne po raz pierwszy przysła do komórki w stajni, żeby obejrzeć uprzęż dla jagnięcia, oboje z Mullanem wstydliwie unikali własnych spojrzeń. Ale następnego dnia, kiedy znów przeszła dziedziniec, żeby poprosić o rozmieszczenie na wodzach jakichś dekoracji, na przykład ciągu wytłoczonych inicjałów córeczki, śmieiej podeszli bliżej siebie. Cała służba widziała, jak pani Talbot znów idzie do stajni, ale uznała to za mało znaczący szczegół codziennego życia we dworze.

Wtedy William ułożył dłonie na jej kibici i pchnął ją delikatnie w głąb komórki, za zasłonę grubego pęku uprząży wiszących na ścianie. Oboje dygotali z przejęcia. Pochylił głowę i lekko przytknął rozchylone wargi do jej ust. Nie był to jeszcze namiętny pocałunek. Ale to, co w nich obojgu wzbierało, zaczęło właśnie podmywać wysokie brzegi.

Od tej pory porozumiewali się jedynie pojedynczymi słowami. Mullan rzucał je półgłosem, na przykład prowadząc konia przez podwórze, kiedy ona wychodziła właśnie bocznymi schodami po śniadaniu ze swego porannego pokoju, dawnej spiżarni. Czy też ona przekazywała szeptem, gdy ustawiał przyniesiony koszyk torfu przy kracie kominka w holu: „Będę po południu w sadzie”. Nigdy jednak nie mówili o tym, co ich łączy. Żadne

nie znało właściwych określeń części swego ciała. I w żadnym wypadku nie rozmawiali otwarcie, chociaż często bywali sami od czasu przyjazdu Marianne do Mount Talbot.

Jednym z elementów namiętności stała się cisza towarzysząca im obojgu, podobnym do zbłąkanych zwierząt na bezkresnej równinie. Nie była to cisza idealna, gdyż zawsze dobiegały ich jakieś odgłosy z domu bądź pozostałych dworskich zabudowań - jak to beczenie owiec na pobliskim pastwisku, poskrzypywanie wózków, na których przywożono opał z torfowiska. Oni jednak zachowywali ciszę, pomijając stłumione westchnienia czy jęki, kiedy zapominali się nawzajem w sobie. Później jednak znów otaczała ich ta sama cisza. A jeszcze później Marianne na nowo zaczynała żyć gorącymi marzeniami o nim.

Na stoliku w garderobie miała szkatułkę z markieterii, w której trzymała bibeloty: biżuterię z dzieciństwa, pojedyncze perły, kilka zaśniedziałych medali. Ktoś podarował jej woreczek brylantowych zapinek od starego żakietu i teraz używała ich do odliczania swych spotkań z Williamem. Kiedy usiadła przy oknie znajdującym się nad schodami bocznego wyjścia, dostrzegła siwą głowę męża stojącego przed drzwiami i czekającego, aż Mullan podstawią powóz. Po chwili w jej polu widzenia ukazała się głowa stajennego o krótko ostrzyżonych ciemnych włosach, podprowadzającego nieco spłoszone konie do ganku. Siwa głowa Richarda zniknęła pod czarnym daszkiem powozu, natomiast głowa Williama pojawiła się znacznie bliżej, kiedy ten wskoczył na miejsce dla woźnicy. Na krótko ujrzała nawet jego twarz, kiedy przekrzywił głowę, poprawiając się na koźle.

Widok jego twarzy przyprawił ją o szybsze bicie serca. Jak zwykle gościł na niej wyraz posępnej obojętności. Zacisnęła mocno pięści, wsunęła je między nogi i silnie zwarła uda, aż knykcie boleśnie wbiły jej się w ciało. Jakże tęskniła za wyrazem skupienia, jak gdyby zasłuchania w samego siebie, który niekiedy pojawiał się na tej twarzy. Pragnęła ją widzieć ponad sobą, gdy Mullan obejmował jej biodra swymi silnymi nogami, zsuwał się w dół i wnikał w nią głęboko. Pragnęła ją widzieć pod sobą, gdy z rozchyłonymi wargami odsuwał się od jej piersi. Nie potrafiła zapomnieć wyrazu rozmarzenia malującego się na czerstwych policzkach, kiedy leżał z głową ułożoną na jej białych udach tamtego dnia, gdy po raz pierwszy wsunął język między jej nogi. Twarz Williama tężała niczym mięsień w bliskości tej sprężystej, bardzo wrażliwej części jej łona, której nie potrafiła nawet właściwie nazwać.

Leżała wtedy na stercie worków ze zbożem w komórce piwnicznej. Po okolicy wciąż krążyło tylu złodziei, że Richard kazał przenieść zapasy ziarna do pustych pomieszczeń pod domem. William zaprowadził ją tam po południu, lekko popychając przed sobą, po czym szybko zadarł jej suknie. Pośród woni kurzu i ziarna poczuła nagle rozchodzący się wkoło swój własny zapach.

- Mógłbym cię zjeść - szepnął jej wprost do ucha. Ścisłe rzecz biorąc, powiedział: „Mogę cię zjadłem”. To było ich czwarte spotkanie, których do tej pory wydarzyło się łącznie sześć. Sięgnęła więc do woreczka i na parapecie ułożyła w równiutkim rzędzie sześć brylantowych zapinek.

Większość czasu za dnia spędzała w porannym pokoju, gdzie otaczającą ciszę wypełniały stłumione odgłosy świata zewnętrznego - plusk deszczu spływającego rynną czy skrzypienie wozu wyjeżdżającego na torfowisko. Nie potrafiła jednak usiedzieć przy pianinie, gdyż bez przerwy odczuwała silne napięcie w całym ciele. Zresztą nigdzie nie mogła sobie znaleźć miejsca. Czasami w nocy, idąc do sypialni, spotykała Mullana czekającego na schodach, gdy Hessy wraz z resztą służby skończyła już wieczorną modlitwę i pozamykała wszystkie drzwi. Nie mogła mu nawet powiedzieć, żeby przyszedł, błagała jedynie w duchu, aby to zrobił. Dostrzega-

ła go od razu, na samym skraju kręgu migotliwego blasku rzucanego przez niesioną świecę. Zbliżał się wtedy, brał od niej świecznik, odstawiał go i zaczynał jej dotykać. Zawsze odnajdywał w jej stroju taki czy inny element, na przykład łańcuszek biczownika, mówiący mu o jej ciągłej namiętności do niego. Przygotowywała te drobne sekrety, po całych dniach marząc o spotkaniu z nim. To odpinała do połowy suknię od stanika, to całkiem rozwiązywała gorset, to znów zdejmowała halkę i drugą, usztywniającą, by mógł poczuć ciepło jej skóry przez muślinową bieliznę. Niekiedy nawet ściągała pantalony i chodziła całkiem naga pod krynoliną, by czuć pożądanie, zaledwie wsunie dłoń pod jej suknię. Zdarzało się, że i on już od pierwszej chwili zapominał o wszystkim, niezwykle podniecony, i wtedy szeptał coś zapamiętałe w ojczystym języku.

Patrzył na nią, gdy przyglądała dłonią niezwykle puszyste srebrzyste włosy córki, kiedy siedziała z nią w powozie i czekała na Richarda. Patrzył, gdy brała na kolana zapłakane dziecko, kołysała je delikatnie i nuciła cicho:

Kto kwiatuszkiem jest w gromadce?

Kto różą w ogródku?

Kto mamusi wielkim skarbem,

Pogrążonym w smutku?

Hop! Do góry! Jeszcze raz!

Nie mógł zapomnieć jej widoku, gdy z Mab na rękach szła w jego stronę, kiedy przygotowywał dla pańienki jednego z łżejszych rumaków. Był wtedy piękny słoneczny poranek, niedługo po tym, jak państwo Talbot zamieszkali we dworze. Miał wrażenie, że świetlista poświata otacza nie tylko ją, ale nawet żwir dziedzińca, po którym stąpa. Senna dziewczynka jedną rączką obejmowała mamusię za szyję i tuliła się do niej, podczas gdy Marianne białą dłonią lekko poklepywała ją po plecach.

Bardzo pragnął zapewnić Marianne poczucie bezpieczeństwa, troszczyć się o nią, dowodzić, że nie spadnie jej nawet jeden włos z głowy, ale zarazem pragnął mieć z nią dziecko, któremu mógłby okazywać miłość tak, jak ona okazywała Mab. Było to dla niego całkiem nowe odczucie. Od czasów dzieciństwa, kiedy matka często wodziła mu palcami po głowie, szukając wszy, bardzo rzadko czuł chęć dotykania kogokolwiek. Poza tą jedną, tłustą i niedomytą markietanką pod Turynem, głęboko w pamięci miał jedynie dotyk matczynej dłoni, początkowo cieplej, potem stopniowo coraz zimniejszej, kiedy trzymał ją przez dzień i noc, gdy umierała. Poza tym dotykał głównie koni i psów. Ale psy nie były przecież ludźmi. Bez wahania potopił szczenięcia Lolly, mimo że suka w zwierzęcej rozpaczycy długo ich jeszcze szukała.

W męskim towarzystwie wypijał czasem parę kieliszków whisky, ale nie więcej. Pewnego razu Marianne przyniosła na spotkanie butelkę wina. Leżała przytulona do niego na sianie, w wieczorowym stroju, i piła razem z nim, aż zakreśliło jej się w głowie. Potem uniosła się na łokciu, obciągnęła jedwabną suknię, rozpięła stanik i obnażyła jedną pierś. Polała ją winem i powiedziała:

- Skosztuj!

Po czym wetknęła mu pierś w usta. Ssał ją tak długo, aż jej sutek nabrzmał i stwardniał niczym guziczek.

- Och, spójrz! - powiedziała zdumiona.

Pół godziny później siedziała w bawialni na sofie przed kominkiem, naprzeciwko męża, i udawała, że ogląda album. Kiedy Richard przysnął i zaczął pochrapywać, wsunęła dłoń pod sukienkę i zaczęła podszczypywać ten sam sutek, ale w jej palcach nie chciał już tak stwardnieć.

W przykrytym darnią szalasie pod gęstą kępą ostrokrzewu ktoś powiedział:

- William Mullan zaniósł dzisiaj worek dworskiego jedzenia ludziom kocującym za skrzyżowaniem. Wszyscy tam chorują. Leżą na gołej ziemi. Kiedy poszedłem odwiedzić Paudie, nawet się nie podniósł. Jego żona leżała obok niego, dzieci także, i wszyscy przykryci jednym płaszczem, pojękiwali jak cielęta. Mullan rozdawał chorym jedzenie, ale nikt go nie chciał. Prosilili tylko o lekarstwa.

Marianne przywoływała z pamięci drobne wspomnienia pieszczot, dźwięki czy chwile ekstazy, które sprawiały, że zamierała jak sparaliżowana - spacerując po ogrodzie, idąc korytarzem, czy też unosząc w górę ręce, kiedy pokojówka pomagała jej się ubrać do obiadu. Czasami aż musiała na chwilę zamknąć oczy. Nie pamiętała konkretnych sytuacji, nie była zdolna opisywać ich słowami. Trwała w atmosferze gęstej niczym chmura dymu.

Teraz już w ogóle nie wyjeżdżała do miasta. Wiedziała, że te wychudzone szkielety, jakie spotykało się na ulicy, które Mullan odsuwał na bok albo strzałem z bata zmuszał do zejścia koniom z drogi, to najsilniejsi z tych, co przeżyli. Mówił jej o tym doktor. Słabsi, a zwłaszcza starzy, w ogóle nie wychodzili z domów i umierali, całkowicie pogodzeni ze swym losem.

- Doktor Madden mówi, że to już koniec. Najgorsze minęło - odezwała się pewnego wieczoru do męża.

Ale gdy zasiedli przy stole w jadalni, spokój zakłóciła im gromada obdartusów, która niespodziewanie pojawiła się na trawniku przed domem i zaczęła łomotać w okna, nie dalej niż trzy metry za plecami Richarda.

- Jak oni się przedostali przez mur?! - zapytał, sięgając do sznura dzwonka. - Sprowadzić mi tu Benna.

Odwrócił się w kierunku stołu i ponad odkrytymi ramionami żony oraz płomykami świec rozświetlającymi zapadający zmrok popatrzył na twarze i dłonie obcych przyklejone do szyby.

Oboje przerwali posiłek, Richard tylko upił nieco wina.

Mullan i Benn wybiegli przed dom i szybko odpędzili gromadę intruzów.

Chwilę później Benn wszedł do jadalni i stanął tuż przy drzwiach.

- To ludzie mieszkający pod murem, panie - rzekł. - Przybyli z tej wioski na wzgórzu przy szosie prowadzącej od Zachodniej Bramy. Krewni Michaela O'Connora. Nie żebrzą o jedzenie. Błagają o pracę albo o to, by pozwolić im wrócić do domów i dalej uprawiać pola.

- Wezwijcie konstabli - rozkazał Richard.

- Doktor mówił, że to już koniec - powtórzyła Marianne. - Najgorsze minęło. Ci, którzy przedostali się przez mur, są wystarczająco silni do pracy, nawet jeśli źle się odżywiają. Bo ci, co byli słabi, już pomarli.

Kiedy Benn zjawił się z powrotem w jadalni, Richard polecił:

- Nakaz wszystkim, którzy otwierają frontowe drzwi, aby nie wpuszczali do tego domu doktora Maddena bez mojego specjalnego pozwolenia, dopóki całkowicie nie minie zagrożenie gorączką w okręgu Mount Talbot.

W ciągu pierwszego roku trwania romansu kochankowie tylko raz mieli dla siebie czasu pod dostatkiem - wówczas gdy Richard rozkazał Mullanowi zawieźć panią Talbot na pożegnanie kuzynki Letitii mieszkającej

trzydzieści kilometrów dalej, już w sąsiednim hrabstwie. Droga prowadziła między niskimi wzgórzami, z których ci mieszkańcy, co nie umarli, dostali się na statek odpływający do Ameryki. Chaty i szałaszy zostały tak dokładnie zrównane z ziemią, że teraz trudno nawet było odnaleźć ich ślady. Kiedy już wjechali między bezludne pagórki, William ściągnął wodze, spętał konie, rozłożył schodki i wszedł do powozu, w którym Marianne już leżała ogarnięta pożądaniem. On jednak pomógł jej wysiąść i w łagodnym złocistym blasku wczesnojesiennego słońca poprowadził na miękką kwiecistą łąkę, gdzie kiedyś znajdował się ogród niewielkiego dworku. Posiadł ją tam, a że przesłaniał sobą blask słońca, na wół oślepionej Marianne wydał się gigantem.

Potem musiał poświęcić sporo czasu, żeby klęcząc w powozie, przed leżącą całkiem nago na stercie gorsetów i sukni, powyciągać wszystkie owcze kleszcze, które zdążyły już wgrzyźć się w skórę, gdy leżała na łące. Małe czarne insekty były dobrze widoczne na jej bladym ciele, lecz on miał grube, połamane i ostre paznokcie, toteż po usunięciu każdego kleszcza pozostawały na skórze szerokie zaczerwienione półkoliste ślady.

Później jeszcze przez kilka wieczorów, kiedy tylko Maria i Margaret zostawiały ją samą po przygotowaniu kąpieli, Marianne szczypała się w te podrażnione miejsca, aby czerwone ślady były widoczne jak najdłużej. Ilekroć własnoręcznie zadawała sobie ból, przed jej oczyma stawał William - pełna skupienia twarz klęczącego przed nią mężczyzny, mrużącego oczy, żeby lepiej widzieć kleszcze, twarz usiana poruszającymi się plamami światła, które przesączało się między listowiem drzew rosnących wokół powozu.

Około Nowego Roku 1850 wydarzyło się coś, co kazało Mullanowi uznać, że Wielki Głód wreszcie się skończył.

Kilku emigrantów zdążyło już wrócić z Ameryki. Jeden z nich, mieszkający nad jeziorem, opowiadał Williamowi, że Indianie pożerają tam ludzi, dlatego chce teraz spróbować szczęścia w Australii. Poczta napływało do kraju coraz więcej pieniędzy, w sklepach przy rynku pojawił się chleb z piekarni w Athlone, a kupujący go ludzie płacili dolarami. Nie zaszło jednak nic szczególnego, co można by uznać za znak końca straszliwej klęski, dopóki nie nadeszła wiadomość od kilku innych starych znajomych. Nawet przedstawiciele szanownych rodów irlandzkich, którzy mieli wystarczające środki, by przetrwać najgorsze lata, teraz dobrowolnie opuszczali swe domostwa w dolinie, rezygnując z dalszych prób utrzymania się na ziemi Talbotów. Większość wyruszała do Nowego Orleanu. William dostał od nich wiadomość, że chcą się z nim spotkać pod starym domem jego matki.

Kiedy dojechał tam w deszczowy wieczór, ujrzał pięciu czy sześciu mężczyzn w podartych ubraniach i zniszczonych butach. Mimo że przywierali plecami do ściany pod okapem słomianej strzechy, z szerokich rond kapeluszy woda ściekała strumykami. Nazajutrz planowali wyruszyć do Dublina, by stamtąd dostać się do Liverpoolu, skąd odpływały statki do Nowego Świata. Czekali na przyjazd Mullana z Mount Talbot specjalnie po to, by mu powiedzieć, kogo przez ostatni rok pochowali w miękkiej ziemi w dawnym ogrodzie jego matki, tak by każdy, kto wróci w rodzinne strony i będzie chciał poznać losy swoich najbliższych, mógł u niego zasięgnąć informacji. Szum deszczu całkowicie zagłuszył tętent końskich kopyt na błotnistej drodze, ale biegnący przodem biały pies, dobrze widoczny w zapadającej szarówce, uprzedził przybycie Williama, który minutę później zeskoczył przed nimi z siodła.

- *An bhfuil cead againn?...* - zaczął półgłosem jeden z nich.

- *O! A Chairde!* - wycedził z trudem Mullan. - *Moi drodzy przyjaciele...* - Głos mu się załamał.

- Ty tu zostaniesz, gdy my wyjedziemy - mruknął drugi. - Więc pamiętaj...
- Máire Mhicil Eoin - rzucił następny.
- Seán an Chóta.
- Leanaí Uí Choileáin.
- Głuchy chłopak.
- Seán Ó Muirthile.
- Padraig O'Connor...

Żegnali się przy każdym nazwisku.

Kiedy w śmieciach wynoszonych z gabinetu Richarda William znalazł „Northwestern Herald”, zabrał gazetę i poszedł z nią do zaprzyjaźnionego księdza z miejscowej parafii.

- „Fala emigracji z tej części kraju w niewiarygodnym tempie przybiera na sile” - odczytał mu tamten na głos. - „W ostatni poniedziałek aż osiemdziesięcioro siedmioro mężczyzn i kobiet ubyło z naszej społeczności. Dwie wioski, zamieszkane dotąd przez całkiem niezłe prosperujących wieśniaków, teraz się wyludniły, pozostała tylko garstka starców i staruszek. Wszyscy odpłynęli do Nowego Orleanu. Nawet łaskawość i pobłażliwość tutejszych właścicieli ziemskich nie jest w mocy nakłonić ludzi do pozostania w Irlandii...” Łaskawość i pobłażliwość?! - powtórzył ksiądz ze śmiechem.

Czasami Richard także przekazywał Marianne informacje z gazet. Pod koniec 1851 roku, opierając się jedną stopą o kutą żelazną osłonę kominka w ich sypialni, odczytał tonem pełnym gorzkości:

- „Pan baron Richards, który przybył na czternastą do sądowego Wydziału Zajętych Majątków Ziemskich w celu przedłożenia warunków ugody, przedstawił pod rozagę sądu ofertę londyńskiego Towarzystwa Prawnych Ubezpieczeń na Życie gotowego nabyć majątek Cobych za sumę stu osiemdziesięciu sześciu tysięcy funtów. Roszczenia społeczeństwa wobec dawnych właścicieli majątku sięgają dwustu czterdziestu tysięcy funtów...” - Pokręcił głową i dodał: - Coby miał sześćdziesiąt tysięcy akrów, Marianne! I też jest skończony! Opieka nad całym tym okręgiem pozostała już tylko w moich rękach.

Poszedł z gazetą do gabinetu, żeby przejrzeć ją do końca. Tego ranka zajmował się wydawaniem nakazów eksmisji, o które sam jako właściciel gruntów występował i które jako sędzia okręgowy podpisywał. Nudziła go ta robota, uważał ją po prostu za śmieszna, podobnie jak wiele innych, które stały się obowiązkiem wszystkich irlandzkich właścicieli ziemskich. Chodził tak do głębi znudzony, że po parę razy dziennie zapadał w drzemkę.

Minął rok, potem półtora, wreszcie dwa, dwa i pół, a kochankowie nadal nie byli sobą znudzeni. Spotykali się nieco rzadziej niż na początku i często siedzieli tylko przez jakiś czas obok siebie w mrocznej piwnicznej niszy pośród worków ze zbożem. William urządził tu prawdziwy drugi dom, tak poukładawszy worki, żeby można się na nich wygodnie położyć. Przez dłuższy czas musieli się zadowalać stertą siana w pustym boksie na końcu głównej stajni. Marianne się tam podobało, gdyż nie czuła zapachów swego domu. Ale parę razy omal nie zostali przyłapani. Uratował ich tylko pies, którego donośne ujadanie odstraszyło niepożądanego gościa. Oczywiście w spiżarni także groziło im niebezpieczeństwo. Ale Marianne nigdy nie było dość Mullana. Na szczęście niemal za każdym razem potrafił teraz zaspokajać jej pożądanie. Niemniej cały czas tęskniła za czymś, czego mieć nie mogła - za jego stałym towarzystwem.

- Mój mąż wyjechał do Dublina - powiedziała.
- Wiem. Sam go odwiozłem do rogatki. Było tam już kilku innych dżentelmenów.
- Chcę, żebyś przyszedł do mego łóżka.
- Nie.
- Tak.
- Nie. To jawne szaleństwo.
- Chcę tego.

Leżała z głową opartą na jego ramieniu. Przesunęła się niżej, zasypując pocałunkami jego pierś, a następnie brzuch. Silnie wydymała wargi, żeby pieścić nimi skórę, toteż zostawiała po sobie szeroki wilgotny ślad, ciągnący się aż do gęstwy włosów łonowych. Wyprostowała się nagle ze zdwojoną energią, którą odczuwała tylko w obecności Mullana. Podciągnęła się z powrotem, ułożyła obok niego i trąciła nosem jego nos.

- Jak brzmi to słowo, które często powtarzają żebrzący Irlandczycy? - zapytała. - „Ukrish”?
- *Ocras*. To znaczy: głód.

- No więc ja jestem *ocras* na spędzenie z tobą nocy w łóżku. Chcę, żebyś przychodził do mej sypialni pod nieobecność Richarda. Nikt się o tym nie dowie.

Dni nadal dłużyły się boleśnie, choć teraz nawet nie myślała o wyjeździe z majątku. Rankiem w sypialni było bardzo zimno, wszystkie zasłonki i kotary wypływały ze starości, a nawet, jak kiedyś wytknęła opryskliwie pani Benn, w wielu miejscach się porwały. Z okna nie widziała nic poza bezkresem pagórkowatych podmokłych wrzosowisk ciągnących się od muru posiadłości aż po horyzont. I coraz rzadziej pisywała listy - bo coraz mniej przychodziło takich, na które wypadało odpowiedzieć. Jej ojciec, złożony chorobą, przeniósł się na stałe do nadmorskiego domku w Hove. Nie miała żadnych bliższych krewnych poza kuzynami ojca, Pagetami, ci jednak nie prowadzili żadnych interesów w Irlandii. Kiedy i kuzynka Letitia wyjechała do Londynu, urwały się nawet te rzadkie zaproszenia na spotkania towarzyskie w okolicy. Trzeba się było zająć nauką córki, ale Mab była tak osłabiona, że mogła skupić uwagę podczas lekcji najwyżej przez dwie godziny dziennie. Potem kładły się obie na sofie i przykrywały futrem, które stryjeczny dziadek Richarda przywiózł z Rosji.

Tomik poezji mógł teraz leżeć na stoliku w zasięgu ręki, a Marianne i tak po niego nie sięgała. Przez większość czasu żyła swoim snem na jawie, poskładanym z wrywków wspomnień spotkań z Mullanem oraz marzeniami o tym, co zrobią podczas następnego spotkania. Ale marzenia jej nie wystarczały, zwłaszcza że coraz częściej odczuwała złość i zaniepokojenie.

Przyszło jej do głowy, by wezwać pokojówkę do pomocy przy wkładaniu butów. Tylko po co miałyby je w ogóle wkładać? Richard zdecydował, że nie powinni pierwsi nawiązywać kontaktów z nowymi właścicielami ziemskimi osiedlającymi się w okolicy. Zaczęła krążyć po pokoju. Później kazała przywołać Hallorana, pełniącego teraz obowiązki majordoma, i zapytała, kiedy towarzystwo z Mount Talbot planuje wrócić z wyścigów konnych w Boyle. Sama bardzo chciała je zobaczyć, gdyż Mullan także wyjeżdżał, ale Richard się nie zgodził, tłumacząc, że w Roscommon wciąż kręci się wiele band tajnego stowarzyszenia Molly Maguire, a poza tym będzie to jedynie towarzyskie spotkanie ziemian, ponieważ żaden dżentelmen nie zgłosił się na gospodarza wyścigów. Co prawda obawiała się, że Halloran nabierze podejrzeń, iż chodzi jej tylko o termin powrotu

William, gdyż kilka dni wcześniej przyglądał się uważnie, jak razem szli wieczorem do sadu, aż musiała mu potem tłumaczyć, że chora Mab potrzebuje świeżych słodkich jabłek.

Służący odparł, że pan powinien wrócić nazajutrz wieczorem, ale nie jest to pewne, bo z powodu grasujących band może podróżować tylko za dnia. Posłała więc po córkę, wyjęła karty i rozegrała z nią kilka partii kierek. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie czas spędzany z córką. Marzyła o tym, jak będą zasiadać w teatralnej łoży i wydawać polecenia wysokiemu szczupłemu lokajowi we fraku, stojącemu za ich krzesłami i trzymającemu wachlarze, albo też udadzą się do któregoś z londyńskich salonów mody, na przykład Whiteleya, i gdy będą oglądać nowe stroje, lokaj zaczeka na krzesło przy wejściu, z dłońmi w białych rękawiczkach opartymi na kościanej gałce laski. W tych jej marzeniach Mab zawsze była szczęśliwa, a lokaj w ogóle nie miał twarzy.

Podczas śniadania wikary, pan McClelland, nadmienił, że tubylcy do tego stopnia wyczerpali wszelkie zapasy trumien, iż dopiero teraz można je znów kupić.

- W najgorszym razie - dodał - odwalali parę kamieni w przydrożnym rowie, układali w nim zmarłego i przykrywali z powrotem tymi kamieniami.

Jedynym kompanem Marianne stało się jej własne ciało. Pieściła je i dotykała, gładziła w różnych miejscach, godzinami oglądała je z tej i tamtej strony w lustrze, masowała je i wymierzała sobie klapsy. To przyglądała się własnym dłoniom i paznokciom, to znów podszczypywała się w wewnętrzną stronę przedramienia, obserwując, jak biała skóra najpierw blednie, a potem czerwienieje. Po całych dniach nie miała nic do roboty, mogła jedynie zabijać czas.

Podczas większych akcji eksmisyjnych zawsze powstawały jakieś kłopoty i zawsze było mnóstwo lamentów.

- Nie dotyczy to zresztą tylko Irlandczyków - pożalił się Richard porucznikowi dowodzącemu oddziałem wojska przysłanego do ochrony szeryfa. - Nasi rodacy także cierpią zły los. Na przykład Partingtonowie z północnych krańców mojego okręgu wyjechali, nawet nie próbując sprzedać majątku. Któregoś dnia po prostu wyszli z domu i odjechali dwoma powozami. Sami zapakowali się do pierwszego, drugim pojechała ich angielska służba z bagażami. Nie zadali sobie nawet trudu, żeby zamknąć za sobą drzwi. Podobno rabusie rozbiegli się po całym domu, jeszcze zanim oba powozy minęły bramę posiadłości, jak mi opowiadał mój zarządca, Finerty. Nie znaleźli jednak niczego do jedzenia. Partingtonowie musieli zabrać ze sobą wszystkie zapasy żywności.

Skończyła się zaraza i doktor Madden znowu mógł odwiedzać Mount Talbot. Za każdym razem dokładnie badał Mab, a dopiero później, pokrzepiając się winem, przedstawiał Marianne najświeższe wieści z całego okręgu. Na przykład opowiadał, jak pewnego razu wezwała go starsza pani Treadwell, po czym poprowadziła mrocznymi krętymi korytarzami biegnącymi pod salonem Treadwell Lodge.

- Było tam pełno szczurów, z którymi służba na dziedzińcach ledwie dawała sobie radę - mówił. - Ale pani Treadwell chciała się pochwalić zapasami żywności zgromadzonymi w piwnicach. Moim zdaniem mogły jej wystarczyć najwyżej na dwa lub trzy miesiące. „Wie pan co, doktorze?, powiedziała. Musiałam całkowicie porzucić obowiązki gościnności!” Kazała jednak służącemu przynieść do bawialni butelkę marsali. Pewnie trudno w to uwierzyć, pani Talbot, ale piłem tę marsalę jak wodę. Zimno nigdy aż tak szybko nie rozchodziło się po moich kościach. Potem, siedząc już na koniu, popatrzyłem na nią. Stała na ganku w samej sukni, nawet

bez płaszcza. „Dlaczego nie wyjedzie pani do męża, do Londynu?, zapytałem. Gotów jestem udzielić pani wszelkiej pomocy. Bo i jakże chce pani przetrwać”. Tu wskazałem ręką gęste lasy otaczające majątek, a wie pani, jakie są dzikie, mroczne i zarośnięte, pani Talbot? No więc zacząłem: „Jak ma pani nadzieję przetrwać?...” Ale ona mi przerwała, mówiąc: „Przybyłam tu przed pięćdziesięciu laty jako panna młoda. Irlandia stała się moim domem”.

- Jesteś najwspanialszą żoną, moja droga - rzekł Richard.

Był tak upojony paroma kieliszkami wina wypitego do obiadu, że głowa opadła mu na piersi i zasnął na krześle przy stole, głośno chrapiąc. Marianne poszła do pokoju Mab, żeby jej poczytać. Widocznie wcześniej Richard nakazał Halloranowi, żeby położył go do jej łóżka, bo leżał już, kiedy weszła do sypialni. Trzymała w ręku świecę i od razu zauważyła jego buty stojące przy kominku.

- Połóż się dzisiaj bez nocnej koszuli - mruknął z drugiego końca pokoju.

Zdmuchnęła świecę, lecz zanim się rozebrała, jeszcze przysypała popiołem żarzące się drwa. Nie chciała, żeby nawet najłżejszy blask zdradził obecność siniaków i zadrapań na jej ciele. Bo ostatnio uprosiła Mullana, żeby ją poranił. Zależało jej na śladach jego dominacji w ich związku. Szczypał ją i drapał z wyraźnym ociąganiem, gdyż przede wszystkim pragnął jej okazywać czułość, poza tym spełniając jej prośby, nie mógł osiągnąć pełni rozkoszy. Tak czy inaczej, gdyby Richard zobaczył te ślady...

Kiedy tylko usnął ponownie, zsunęła się z łóżka, po ciemku wymacała nocną koszulę i pospiesznie wciągnęła ją przez głowę.

Ksiądz mieszkał w niewielkim domku na tyłach przykrytego słomianą strzechą kościółka w Fair Green. William odwiedzał go od czasu do czasu i wspólnie próbowali odpowiadać na listy, które ostatnio przychodziły bez przerwy.

Powiedzcie mojej kochanej matce że jej syn Patrick jest teraz w Springfield, Mass. Mam na imię Elizabeth znana zawsze jako Tetty - gdzie jest moja siostra która wyjechała do Sligo żeby wsiąść na statek do Quebec? Proszę powiedzieć mojemu bratu jeśli tak się składa że jeszcze żyje że wszystko tu jest i te dolary pozwolą mu przyjechać do mnie podpisano Marcus Cody co był starszym chłopcem do pomocy w sklepie Hurleya...

- Zostałem ukarany - rzekł ksiądz do Mullana - zarówno przez władze kościelne, jak i świeckie, za list, który wysłałem w najgorszym okresie katastrofy. Sam już nawet o nim zapomniałem. Ale brytyjskie służby państwowe nigdy o niczym nie zapominają. Cztery lata temu, kiedy panował tu najcięższy głód, dostałem pismo z Komisji Zasiłków. Otworzyłem kopertę z nadzieją, że będzie to jakiś plan pomocy straszliwie i niezasłużenie doświadczanym przez los poddanym Jej Królewskiej Wysokości w tej części królestwa. A oto co odpisałem na otrzymane pismo.

Odchrząknął i przeczytał bezbarwnym głosem:

„Szanowny panie, pragnę potwierdzić odbiór pańskiego listu zawierającego żądanie Komisji Zasiłków, by skontaktować się z gubernatorem tego hrabstwa w sprawie jego wystąpienia do Komisji o przyznanie dotacji dla tego dotkniętego klęską regionu. Pragnę poinformować szanowną Komisję, że nikomu nie jest znany adres gubernatora naszego hrabstwa; zostaliśmy powiadomieni, że obecnie przebywa on gdzieś w Anglii. W promieniu osiemdziesięciu kilometrów mieszka jedynie trzech szlachetnie urodzonych panów. Nie ma nikogo poza

klerem gotowego wysłuchać skarg miejscowej ludności. Pod nieobecność większości urzędników państwowych, pod nieobecność gubernatora hrabstwa oraz właścicieli ziemskich, musimy sami najpokorniej zwrócić się do szanownej Komisji, aby nie dopuściła do śmierci głodowej wszystkich tutejszych mieszkańców. Nie błagamy o jałmużnę. Prosimy o pracę".

- Nowy biskup odesłał nie kopię, lecz oryginał mojego listu do podsekretarza edukacji. Wygląda na to, że nikt nie chciał trzymać tego jawnego dowodu zuchwalstwa nawet w archiwum. A teraz biskup przenosi mnie do Dublina, gdzie mam uczyć łaciny w nowej szkole dla chłopców. Wątpię, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzę Ballygall. Pojedź ze mną do Dublina. Na miejscu znajdę ci jakąś pracę w szkole. Tu nie czeka cię nic dobrego. Jedź ze mną, drogi Williamie.

- Nie mogę porzucić Mount Talbot.

- Jedź ze mną!

Mullan nie odpowiedział. Ksiądz westchnął ciężko i zaczął:

- Williamie, jesteś mężczyzną w kwiecie wieku...

Lecz Mullan tylko w milczeniu pokręcił głową, unikając wzroku księdza.

Wracał z kościółka bocznymi uliczkami na tyłach rynku, gdzie kiedyś znajdowały się sklepy dla ludzi ze wsi. Były to zwykle stragany i szopy, w których towary wystawiano w koszykach na ziemi. Obecnie jednak wszystkie stały zamknięte, pozabijane deskami. W każdym z okien na piętrze, gdzie wcześniej gnieździły się po dwie albo trzy rodziny, teraz było ciemno. Między kamieniami bruku zaczynała już wyrastać młoda trawa. Odnosił wrażenie, że po zmroku ten szereg rozsypujących się baraków, wyludniona ulica i wiszące nisko ciemne chmury zlewają się w jedno.

- Mario! Najświętsza Panienko! - szepnął pod nosem. - Pomóż mi! Ratuj!

Przeczuwał, że wkrótce wydarzy się coś strasznego.

Gdyby ksiądz mieszkał jeszcze w parafii tego wieczoru, gdy Richard Talbot odkrył niewierność swojej żony, prawdopodobnie wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Ale ludzie, którzy musieli się zająć Marianne, nie wiedzieli, co z nią począć, brakowało im mądrości i doświadczenia. Richard Talbot i wielbny McClelland zawsze byli tu obcy, a Halloran i Finnerty nigdzie nie potrafili zagrzać miejsca. Nie minęło nawet dziewięć miesięcy od zatrudnienia ich w Mount Talbot, kiedy Marianne została przyłapana na cudzołóstwie.

Tymczasem musiała odwiedzać panią Treadwell. Richard dowiedział się od doktora, że starsza dama w ogóle nie chce już jeść.

- Musisz ją tu przywieźć, Marianne - rzekł z naciskiem podczas śniadania - zaproponować wszystko, co najlepsze! To nam się na pewno opłaci!

Marianne aż wyprostowała się przy stole. Richardowi bardzo się śpieszyło, żeby wystąpić z wnioskiem o przyznanie formalnego prawa do opieki.

Mullanowi wystarczyło tylko pokazać bat kobiecie w łachmanach, która wyłoniła się zza muru, gdy ściągnął wodze, wyprowadzając powóz przez Południową Bramę. Teraz już łatwiej było odganiać żebraków, dobrze wiedzieli, że nic nie dostaną od mieszkańców Mount Talbot. Marianne wcześniej opuściła zasłonki w oknach, lecz musiała odsunąć się z obrzydzeniem, bo choć nie widziała twarzy kobiety, to jakimś cudem przez szczelinę między płóciennym pokryciem a ramą powozu do środka wsunęła się brudna dłoń ułożona w sposób

typowy dla żebraków proszących o jałmużnę, która pozostała wewnątrz tak długo, dopóki Mullan nie zaczął poganiać koni.

Czekała z utęsknieniem, aż dojadą do miasta. Mogli się zatrzymać gdziekolwiek, według uznania Williama, gdyż i tak było mało prawdopodobne, że ktoś ich zauważy. W całym tutejszym okręgu opanowanym przez majową świeżą zieleń z trudem można było spotkać żywą istotę. Nawet w taki pogodny dzień wolała jednak nie rozsuwać zasłon, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Nauczyła się cenić ten półmrok i odór zakurzonej tkaniny poszycia powozu, jakże dotkliwy, mimo że z całej mocy wtulała twarz w skórzane obicie siedzenia. Miała nadzieję, że tego dnia zatrzymają się wcześniej, zaraz po zjechaniu z traktu na bitą drogę prowadzącą między porośnięte gęstym wrzosem wzgórze. Dlatego zdjęła rękawiczki, rozstawiła szeroko nogi, włożyła obie dłonie pod suknie, odsunęła majtki i zaczęła ścisnąć palcami nabrzmiały zwilgotniały srom w oczekiwaniu bliskiej rozkoszy.

Wreszcie powóz stanął i przechylił się nieco, kiedy William poluzował mocowanie dyszla. Nie wszedł jednak do środka. Zapukał tylko w drzwi, jak przystało na służącego.

- Na miłość boską! - rzuciła rozniewana. Pochyliła się i nacisnęła klamkę. - Co to za zabawy?

Stał na drodze i patrzył na nią z poważną miną.

- Wyczekiwałem sposobności do rozmowy - rzekł.

- Ja też wyczekiwałam sposobności - odparła z uśmiechem. - Chodź!

Poklepała dłonią skórzane siedzenie obok siebie. On jednak skłonił się tylko i rozłożył schodki.

- Proszę pójść ze mną - powiedział - na krótką przechadzkę.

- Nie! To ty wejdź tutaj i ogrzej mnie!

Wszedł do środka i usiadł naprzeciwko, nawet jej nie dotknąwszy.

- Nie zamierzam dłużej pozostać w tej okolicy - zaczął z trudem. - Wkrótce wyruszę z przyjacielem, Tadhg'em Colleyem, do Liverpoolu, aby wsiąść na statek odpływający do Ameryki.

- Nie życzę sobie, żebyś wyjeżdżał!

- Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo wykrycia. Musimy się rozstać.

- Ja niczego nie muszę! - ucięła i z szelestem jedwabi pospiesznie usiadła obok niego. Musnęła wargami jego zimny policzek, po czym przekręciła mu głowę w swoją stronę. - Chodź! Szkoda marnować czas, skoro przed nami jeszcze szmat drogi do majątku Treadwellów.

Odsunął jej dłoń.

- Jesteś moją kobietą - wycodził. - Chciałbym móc powiedzieć: moją żoną. Dam ci syna. Będę cię pieścił we własnym łóżku każdej nocy i sprawię ci tyle rozkoszy, ile twój paniczyk nigdy ci dać nie potrafił.

Nie zdawał sobie sprawy, jak okrutnie brzmią jego słowa. Zmarszczyła czoło.

- Ja nie potrzebuję wyjeżdżać do Ameryki - odparła po pewnym czasie. - I nie chcę, abyś ty wyjeżdżał. Wkrótce Richard ma znów wyruszyć w podróż do Londynu. Będziesz mógł znów spać w moim łóżku. Wylegiwać się po całych dniach. Zatroszczę się, aby nikt ze służby nam nie przeszkadzał...

- W Ameryce w ogóle nie ma służących. Tam bylibyśmy mężem i żoną.

- Nie życzę sobie więcej o tym rozmawiać! Odmienność warunków... Ach, mniejsza z tym! Nie muszę ci tego wyjaśniać. Jedźmy dalej.

Podniósł się już, ale zaraz opadł z powrotem na siedzenie i chwycił ją za dłonie. Pochylił się, żeby zajrzeć jej głęboko w oczy.

- Nigdy wcześniej tego nie mówiłem - wycodził. - Zostań ze mną! Zostań moją żoną! Zabierzemy twoją córeczkę i wyjedziemy. Na statku nikt nie będzie pytał, skąd jesteście i dokąd się udajecie. W Ameryce też nie żądają od ludzi żadnych dokumentów małżeństwa...

- Ruszaj! - fuknęła, poczerwieniała ze złości, odwracając się od niego. - Jak mogłabym coś takiego zrobić?! - krzyknęła. - Co by mnie za to spotkało?! Ruszaj dalej!

Jeszcze tego wieczoru przyszła do jego pokoiku w zabudowaniach stajennych, gdyż nie mogła znieść, że w ciągu dnia nie doszło między nimi do zbliżenia. Przyprowadziła też Mab. Cała służba widziała, jak idzie przez dziedziniec, trzymając córkę za rączkę. Na szczęście Mab była bardzo spokojnym dzieckiem. Często Marianne musiała po prostu zakładać, że mała nie widzi, do czego są zdolne zręczne ręce kochanków.

Mullan był przerażony jej wizytą. Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, rzekł:

- Muszę iść i zająć się koniem pana.

Obrzuciła szybkim spojrzeniem skromnie urządzoną izdebkę z wygasłym żelaznym piecykiem. Mab przysiadła na brzegu ubitej sterty siana służącej Williamowi za łóżko. Bez wątpienia wyczuwała rosnącą irytację matki. Bo Mullan nie tylko przysporzył jej zmartwień, ale zachował się wręcz zuchwale w czasie podróży do majątku Treadwellów i jej ciało nie zostało zaspokojone. Na dodatek pani Treadwell odmówiła wstania z łóżka, z którego w ogóle się już nie ruszała, a które ostatni jej służący jakimś cudem zdołał znieść z góry i ustawić w kuchni. Tych dwoje, leżąc w pościeli właścicielka majątku i podstarzały sługa, patrzyło na nią jak na dziecko, gdy stojąc w przejściu do holu tłumaczyła powody, dla których powinni przyjąć oferowaną gošcinę.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała krótko pani Treadwell.

Od strony domu rozległ się jakiś okrzyk. Odpowiedział mu drugi, bliższy. Na ten dźwięk przerażone Marianne i Mab natychmiast poderwały się na nogi. Nagle rozległy się szybkie ciężkie kroki na schodach i po chwili drzwi pokoiku otwarły się z hukiem.

- On już wie - odezwał się Mullan. - Twojemu mężowi pokazano wszystkie rzeczy, które mi dałaś i które trzymałem w pustym boksie stajni. Jest teraz w domu z Halloranem i Finnertym. Nakazał Halloranowi powiedzieć ci, żebyś przeniosła się do wikarego, a mnie polecił iść do diabła...

- Chodź, Mab! - zawołała Marianne. - Wracamy do domu!

- Lepiej nie idź do domu - ostrzegł William.

Do izby wtargnął Richard z Halloranem. Nie oglądając się na nikogo, podszedł do córki, wyrwał ją z objęć matki, wziął na ręce i wyszedł bez słowa.

Kiedy krzyki Mab ucichły, w izdebce nad stajnią zapadła martwa cisza, macona jedynie szybkim chrapliwym oddechem Hallorana.

Nie mogli oczekiwać łaski. Kiedy Marianne podbiegła do frontowych drzwi domu i zaczęła się dobijać, Richard podszedł bliżej i nie otwierając ich, ryknął ze środka:

- Ladacznic!

Zbiegła po schodach, minęła narożnik i dopadła przeszkłonych drzwi swego pokoju dziennego, lecz tu również dopadł ją obraźliwy wrzask:

- Suka!

Ciężko dysząc, ruszyła przerażona wąską ścieżką między zaroślami do wejścia dla służby u nasady wschodniego skrzydła. On jednak świetnie wiedział, gdzie na nią czekać.

- Ladacznica! Suka! - huczał zza zamkniętych drzwi. - Wynoś się, zanim zwymiotuję na twoją rozpustną gębę!

- Mab! - zawołała. - Mab!

- Nie waż się wymieniać imienia mojej córki, suko!

Kiedy okrążywszy skrzydło, wybiegła na kuchenne podwórko, chcąc się dostać do wejścia dla służby, ujrzała czekającego tam Mullana.

- Na tyłach także wszystkie drzwi są zamknięte - powiedział. - Musisz szukać schronienia u szanowanych ludzi. Pozwól, że zawiozę cię do wikarego.

- Tak! - wysapała. - Wikary przywiezie mnie tu z powrotem, a wtedy Richard będzie musiał mnie wpuścić do domu! Nie odważy się krzyknąć na duchownego!

- Wsiadaj do powozu. Zaraz wrócę.

- Nie, nie odchodź! - pisnęła błagalnie, chwytając go za rękę. - Nie zostawiaj mnie. Ruszajmy od razu! - Zaczęła go ciągnąć w stronę bryczki.

- Halloran powiedział, że twój mąż wciągnął do domu Lolly i uwiązał ją przed kominkiem w salonie. Muszę...

- Nie! - pisnęła histerycznie. - Jedź ze mną!

Ruszyli w kierunku dziedzińca. William musiał przystawać i czekać na nią, ponieważ szła bardzo wolno, na miękkich nogach, oglądając się bez przerwy. Pochlipywała przy tym jak małe dziecko. Gdyby mroczne niebo nad nimi było tego wieczoru usiane gwiazdami, na pewno by zmarzli. Ale wiosną niebo nad Mount Talbot często bywało zasnute tak gęstymi chmurami, że nawet silny wiatr nie mógł ich rozwiać. Robiło się wtedy ponuro w całej okolicy i właśnie takiego wieczoru, niezbyt zimnego, ale bardzo mrocznego, Marianne została wyrzucona z domu.

Z każdą minutą popadała w coraz silniejszą histerię. Kiedy Mullan uznał, że nie przetrzyma drogi główną aleją do Ballygall, nie pozostało nic innego, jak oprzeć dyszel powozu o kamienny murek na mostku, po czym usadowić ją wygodnie na siedzeniu i opatulić grubym zimowym płaszczem. Wyprzęgnięte konie wprowadził między drzewa i pozwolił im się paść w niskiej trawie.

Sam pobiegł drogą w ciemności, minął obozowisko żebraków przy Wielkiej Bramie i pierwsze zabudowania śpiącego miasteczka, aż dotarł do stojącej na uboczu od strony Fair Green chaty Tadhga Colleya.

- Mój związek z panią Talbot został odkryty - rzekł. Colley z wściekłości huknął dłonią w stół.

- I co mamy teraz począć z tymi ludźmi, Williamie?

- Kto może mi dać godziwą cenę za gospodarstwo po ojcu?

- Może coś dostaniesz od Hurleya, ale na pewno nie będzie to godziwa zapłata. Ma pod dostatkiem pól uprawnych do wzięcia za darmo.

- Jeśli zdobędę jakieś pieniądze, pomożesz jej i mnie dostać się na statek?

- Jaki będziesz miał pożytek z takiej kobiety w Ameryce? Przecież ona nie dotrze nawet do Sligo o własnych siłach! Żadna z tych damulek nie nadaje się do pracy. - Colley skrzywił się z obrzydzeniem. - Mogę ci już teraz dać pieniądze, żebyś wynosił się stąd do diabła na własną rękę.

- Chciałbym, żeby urodziła mi dziecko - mruknął błagalnym tonem Mullan.

- Dziecko? Z taką kobietą?! - bąknął osłupiały Colley. - Williamie, przecież będziesz mógł założyć własną rodzinę w Ameryce...

Rozległo się stukanie do okna. Colley podszedł, odchylił zasłonkę i wyjrzał na zewnątrz.

- To Tracy - rzekł.

Wszyscy trzej zasiadali w jednej ławce, kiedy mieli po dziesięć lat, a do miasteczka przyjeżdżał jeszcze regularnie wędrowny nauczyciel.

- William! - zawołał Tracy, wchodząc do pokoju. - Dziedzic wezwał dodatkowych konstabli z Roscommon. Posłał też po ludzi Coby'ego. Zabrali twoje ubrania i buty. Są gotowi skarżyć cię przed sądem o pierwszym brzasku...

- A mój pies? Co z Lolly?

- Twój pies... - Tracy urwał nagle, po czym dodał ciszej: - Williamie, w Ameryce jest pod dostatkiem psów.

Mullan chwycił go za rękę.

- Daj mi słowo, Michaelu, że zaopiekujesz się panią Talbot! Nie pozwól, żeby Talbot zamknął się z nią sam na sam w pokoju. W ciągu dnia Marianne znajdzie się w straszliwym położeniu...

Zamilkł. Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie Colley zdjął z półki szkatułkę, otworzył ją kluczykiem, który nosił na łańcuszku przy zegarku, przeliczył banknoty i położył je przed Mullanem, ten zaś złożył je starannie i schował do wewnętrznej kieszeni kapoty. Jeszcze przez jakiś czas trzej mężczyźni stali, spoglądając na siebie w milczeniu. W końcu William ostrożnie wyjrzał na zewnątrz, lecz na ulicy za domem było spokojnie. Dopiero gdy zamknął drzwi za sobą, ze środka chaty doleciał stłumiony jęk Tadhga Colleya, który nie zdołał dłużej pohamować szlochu.

14

Kiedy skończyłam pisać, zasnęłam kamiennym snem. Obudziłam się w piątkowe przedpołudnie i od razu przystąpiłam do porządkowania domku. Ustawiłam pośrodku saloniku wielki worek na śmieci i wrzucałam do niego wszystko, co nie należało do gospodarza. Jakoś nazbierało mi się tego sprzątanego, pomyślałam z goryczą - najpierw w suterenie przy Euston Road, a teraz tutaj. Przez długie lata zostawiałam pieniądze hotelowym pokojówkom, zabierałam tylko swoje ręczniki z łazienki, zanim się wymeldowałam. Sama zresztą miałam podobne wspomnienia z okresu, gdy mieszkałam u Joanie i chodziłam do pracy z gromadą latynoskich dziewcząt - bez pośpiechu przetaczałyśmy swoje wózki po korytarzach hotelu, jakbyśmy były staruszkami, i na cały głos opowiadałyśmy sobie o ostatnich potańcówkach, przekrzykując muzykę, gdyż w sprzątanym pokojach wszyst-

kie włączałyśmy radia. Nigdy nie robiłam porządków, nawet w biurze! Nie miałam odwagi niczego tknąć na swoim biurku, skoro wiecznie było na nim mnóstwo rzeczy Jimmy'ego.

Zaczęłam zamiatać w korytarzyku przy drzwiach wejściowych, ale podniosła się tak wielka chmura kurzu, że zrezygnowałam. Postanowiłam, że zostawię pani P.J. pieniądze na sprzątaczkę, kiedy będę się rozliczać za rozmowy telefoniczne.

Ta myśl przypominała mi, że miałam przeprowadzić kilka rozmów, by znów nadać tempa mojemu życiu.

Aleksa nie było w biurze.

Zadzwoiłam do Betty z działu administracyjnego.

- Jak długo Alex będzie jeszcze na urlopie, Bet?

- Nie wiadomo, Kathleen. Na razie czuwa dniami i nocami przy matce w jakimś domu opieki. Mam numer telefonu, który ci mogę przedyskutować, ale nawet po kierunkowym trudno mi się zorientować, gdzie to jest. Zresztą, nic się tu nie dzieje, Alex zostawił wszystkie sprawy we wzorowym porządku. Mam całą stertę teczek, wyraźnie posegregowanych i opisanych, a do kopii każdego zlecenia dołączył kontakt do wykonawcy. Ten facet jest naprawdę wzorowo zorganizowany.

- Nie sądzę, by którykolwiek mężczyzna uznał to za komplement - odparłam.

- Pracowałam w różnych firmach i dobrze wiem, ile jest roboty po tych najbardziej zabieganych.

Alex okazał się wyjątkowo małomówny. Z nawyku zapytał, co u mnie słychać i jak się posuwa praca nad powieścią, ale dość szybko głos mu się zaczął łamać.

- Ona nikt nie w oczach, Kathleen. Aż do dzisiejszego ranka liczyłem na to, że specjaliści jej pomogą, chociażby zabiorą z powrotem na oddział intensywnej opieki. Ale właśnie wróciłem z rozmowy z lekarzem. Powiedział, że w ciągu paru najbliższych dni, o ile nie zdarzy się żaden cud...

- Gdzie jesteś? Masz tam kogoś znajomego?

- Kathleen, nie jestem nawet pewien, czy ona mnie jeszcze poznaje.

- Tak mi przykro, Alex.

- Lekarz powiedział wprost, że powinienem się już z nią pożegnać. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom! Przez całe moje życie byliśmy razem, rzadko kiedy się rozstawaliśmy... Jakbyśmy byli tylko we dwoje, bo ojca ledwie pamiętam. I nigdy, przenigdy się nie kłóciliśmy, Kathleen. Nie musieliśmy nawet podnosić na siebie głosu...

- Posłuchaj, Alex...

Miałam już na końcu języka pytanie: Czy to na pewno zawsze wychodzi na zdrowie? Ale w porę się ugryzłam.

- Wiesz, że lekarze mogą się mylić.

- Daj spokój, Kathleen. Matka jest pod opieką jednego z ekspertów w dziedzinie geriatric. Pamiętasz ojca Gervase, który celebrował mszę żałobną po śmierci biednego Jimmy'ego? Ten lekarz jest jego bliskim przyjacielem, tylko dlatego spotkało mnie to szczęście, że mogłem oddać matkę pod jego opiekę. Tu nie przyjmują każdego chętnego. To prywatne hospicjum... - Urwał nagle. Przez telefon doleciało mi kilka stłumionych

zdań. - Muszę już kończyć, Kathleen. Zaczyna się właśnie obchód. Będę w kontakcie. Albo lepiej zadzwoń do biura...

W smutnym nastroju odłożyłam słuchawkę. Alex przeżywał obecnie najtrudniejszy okres w życiu, a ja nie wiedziałam, gdzie on jest. Zresztą, nawet gdybym wiedziała, i tak niewiele mogłabym dla niego zrobić. Nie należałam do rodziny. Prawdopodobnie od tamtejszych specjalistów i księży mógł usłyszeć tylko puste słowa pociechy. Ciekawa byłam, ile każą mu zapłacić za opiekę nad matką w tym prywatnym hospicjum.

Nie ulegało wątpliwości, że jest pogrążony w skrajnej rozpacz. Traktowałam go trochę jak dziecko, mimo że był mężczyzną w średnim wieku. W każdym razie zawsze odznaczał się dziecięcą naiwnością i łatwowiernością. Podejrzewałam, że gdy nadejdzie pora, jego rozpacz po śmierci matki będzie typowa dla niepełnoletnich chłopców pozbawionych nagle opiekuna. Gdy wtedy, w pociągu, Alex mnie boleśnie zranił, po raz pierwszy pomyślałam, że byłoby dobrze, gdyby i on sam poczuł się podobnie urażony. Teraz zapewne czekał go silny wstrząs, gdy odkryje naturę tak dotkliwego zranienia. Ja miałam już w tym zakresie spore doświadczenie. Wychowując się w Shore Road, chcąc nie chcąc, wyrobiłam w sobie mechanizm odpornościowy.

Nora. Tak długo trwałam bez ruchu przy telefonie, że aż zbłąkany wróbel wskoczył z werandy przez otwarte drzwi, dopiero tu spostrzegł, gdzie się zapędził, i z łopotem skrzydełek poderwał się w powietrze. Podniosłam słuchawkę. I tak czekały mnie spore kłopoty, jeśli Nora się dowie, że minęły już trzy lub cztery dni od mojej wizyty u Danny'ego i Annie. Z utęsknieniem wyczekiwała wszelkich wieści z Kilcrennan, Shore Road i gospodarstwa wujka Neda. Na pewno by nie zrozumiała, dlaczego natychmiast po powrocie nie pobiegłam do telefonu, żeby jej o wszystkim opowiedzieć. Z drugiej strony nie mogłam jej nie zawiadomić, że mimo oporów odwiedziłam jednak brata.

Na szczęście w Nowym Jorku była dopiero szósta rano.

Zadzwoiłam do jej biura i nagrałam na automatycznej sekretarce entuzjastyczną wiadomość o tym, że Danny, Annie i Lilian mają się dobrze, w starym gospodarstwie nic się nie zmieniło, ale Kilcrennan jest teraz sporym miastem i wszyscy tam pytali o nią...

- Nie odwiedziłam tylko grobu rodziców - dorzuciłam na zakończenie, wiedząc doskonale, że ani trochę nie będzie mi tego miała za złe. Do dzisiaj nie umiała im wybaczyć. Wyznała kiedyś, iż tak skutecznie odstraszyli ją od małżeństwa, że przez lata nie chciała mieć nawet chłopaka, a co dopiero męża. Od tamtej pory często nazywałam ją „A-co-dopiero-Nora”.

Zadzwoiłam do Caro. Ledwie podniosła słuchawkę, poinformowała mnie zadyszana, że właśnie leci do biblioteki, bo musi jeszcze coś sprawdzić przed najtrudniejszym egzaminem, który będzie zdawała po południu.

- Długo nie dawałaś znaku życia - powiedziała ironicznie. - Właśnie podziwiam te wspaniałe kwiaty, jakie przysłałaś, by mi dodać otuchy w czasie tej koszmarnej sesji egzaminacyjnej.

- Och, wybacz, Caro! Na śmierć zapomniałam. To już tak dawno!...

Bardzo chciałam jej powiedzieć, że byłam zaabsorbowana, gdyż spotkałam na promie pewnego mężczyznę, z którym spędziłam dwie cudowne noce. Na pewno by to zrozumiała. Lecz nagle coś mnie ścisnęło za gardło. Pomyślałam, żeby się przyznać do zdenerwowania przed wizytą u brata i jego rodziny. Mogłam rów-

niez powiedzieć, że bez reszty pochłonęło mnie zbieranie materiałów w sprawie Talbotów i próby ostatecznego ustalenia, ile dawny romans znaczy dla mnie samej.

- Naprawdę muszę lecieć. Przyznam jednak, że nie rozumiem, co chciałaś powiedzieć przez to: „Już tak dawno”. W końcu rozmawialiśmy tydzień temu.

- Niemożliwe!

- Owszem. Dzwoniłaś z jakiegoś hoteliku, podyktowałaś mi nawet swój numer. Mówiłaś, że poznałaś uroczą bibliotekarkę...

- Wielkie nieba! I to było w ubiegłym tygodniu?

- Zgadza się - odparła Caroline.

- Rety!

- Na pewno wszystko w porządku?

- Tak, oczywiście...

Załatwiłam telefony. Zniosłam bagaże do samochodu i jeszcze raz sprawdziłam. Wszystko w porządku. Poza szkicem powieści.

No i poza Shayem. Kto by pomyślał, że byłam dla kogoś uosobieniem Irlandii. Czyżby dlatego, że uznał mnie za pół jawę, a pół sen? Stałam w drzwiach sypialni i obrzuciłam ją szybkim spojrzeniem: posłane łóżko, białe deski sufitu, małe okienko.

Niezależnie od tego, co się stanie - powiedziałam w duchu, próbując się nie śmiać z własnego patosu - nikt mi nie odbierze wspomnień z tych dwóch nocy spędzonych z Shayem.

Przyszło mi na myśl, że do tej sytuacji bardzo pasuje stara rosyjska modlitwa ludzi opuszczających swoje domy. Ta sypialnia była błogosławiona. I błogosławiony był letniskowy domek zagubiony pośród pustkowi. A gdy wjechałam na szczyt wzgórza, zatrzymałam wóz, opuściłam szybę i popatrzyłam na panoramę skalistego wybrzeża obmywanego przez ocean. On także - ginący na horyzoncie w mlecznej mgiełce letniego deszczu, równie płaski jak dzieląca mnie od niego wyżyna - cały ten przepiękny samotny przestwór też był błogosławiony.

Natomiast niebo było pełne życia. Znad horyzontu nadciągały ciemne, podszyte deszczem chmury, ale bliżej, gdzie nad sąsiednie wzniesienia wystawała dzwonnica kościoła w Mellary, przeświecało jeszcze słońce. Przeszedł krótki deszcz i zaczęło się szybko rozjaśniać. Zewsząd dobiegały ledwie słyszalne szmery roślinności pospiesznie otrząsającej się z kropel wody. Były tak ciche, że całkowicie zagłuszył je warkot uruchamianego gdzieś na polu traktora. Kiedy umilkł, szmery znów się nasiliły. Ziemia wracała do stanu równowagi. W ciszy tego omytego, odświeżonego dnia rozległ się śpiew kosa.

Wyjechałam na szosę i pełnym gazem skierowałam się do Ballygall. Przynajmniej tego dnia mogłam w radiu posłuchać dżezowej orkiestry zamiast muzyki ludowej czy gadania.

W rozmowie Caroline sprawiała wrażenie naprawdę urażonej, a przecież należała do osób nie okazujących tego po sobie. Najwyraźniej była bardzo podenerwowana egzaminami, skoro odważyła się powiedzieć wprost, co myśli. Rzecz jasna, nigdy wcześniej nie przechodziła tak poważnej próby. Jej pierwszy dyplom, nawet nie wiem, gdzie uzyskany, był raczej formalnością. W dodatku nigdy na dobre nie pracowała, bo zajęcie w redakcji popularnonaukowej należało uznać za żart. Czyżby więc naprawdę miała mi za złe, że zapomniałam o

jej egzaminach? W pewien sposób sprawiało mi to radość, oznaczało bowiem, że coś dla niej znaczyłam. Nie powiedziała, co naprawdę zadecydowało, iż poczuła do mnie sentyment już tamtego dnia, kiedy zostałam wyrzucona przez Hugona z mieszkania. Nie miałam odwagi ją o to pytać. Wydawało mi się jednak, że przez te wszystkie lata nie słyszałam od niej ani jednego krytycznego słowa o sobie. Nawet gdy na jakiś czas nasze stosunki oziębły, zarówno rozstanie, jak i późniejsze powtórne zbliżenie potraktowała jak coś zupełnie naturalnego. Ja natomiast nie potrafiłam zapomnieć, jak oparta ramieniem o ściankę plastikowej budki telefonicznej na lotnisku w Oslo gadałam do słuchawki i gadałam w nadziei, że mimo wszystko Caroline mi wybaczy...

Kiedy w jej życiu pojawił się Ian, można było sądzić, że zamieniła się w Ewę, a on jest pierwszym mężczyzną, jakiego zobaczyła po skosztowaniu jabłka - w ogóle jedynym mężczyzną w boskim dziele stworzenia. Całkowicie oszalała na jego punkcie, jakby był niezwykłym smakołykiem, którego jej od urodzenia zabraniano. Pamiętam, że gdy porzuciła pracę, poznawszy go, pomyślałam, że chyba nigdy nie zaznałam prawdziwej wolności, skoro nie oszalałam tak samo na punkcie Hugona. Bo ja zawsze musiałam pracować. Nawet ktoś tak szalenie bezpretensjonalny jak Caroline musi mieć pieniądze na spełnianie swych zachcianek.

Ale kiedy pojawił się Ian, Caro całkiem zapomniała o moim istnieniu. Mieszkałyśmy razem ponad rok i wierzyłam już, że jesteśmy serdecznymi przyjaciółkami, gdy nagle zaczęła mnie traktować jak powietrze. Ian pochodził gdzieś z północy, był rozwiedzionym nauczycielem o czarnych oczach i włosach, chudym i kościstym, o przyklejonym do twarzy uśmiechu przypominającym rybi pysk - całkowitym przeciwieństwem wesołego i rubasznego, siwowłosego i zaróżowionego sir Davida. Caroline przez jakieś trzy miesiące chodziła z nim do łóżka przy każdej nadarzającej się sposobności. Czasami słyszałam dobiegające z sypialni stłumione jęki, a niekiedy nawet szlochy. Którejś nocy wracałam z kuchni i mijając otwarte drzwi, spostrzegłam ją siedzącą na łóżku, w pomarańczowych kuchennych rękawiczkach gumowych, z rękoma uniesionymi wysoko nad głową. Nie wiedząc czemu - może ze względu na podobieństwo sytuacji, ciemnego korytarza, uchylonych drzwi sypialni i dużego łóżka - przypomniałam sobie wtedy mamę, chociaż ani razu nie byłam świadkiem intymnych kontaktów moich rodziców. Za to ilekroć ojciec przyjeżdżał do domu, matka zaczynała się zachowywać jak niewolnica. Widok poniżonej, upodlonej przyjaciółki sprawił, że przeszył mnie dreszcz. Od tamtej pory częściej odwiedzałam irlandzki pub na rogu, gdzie pod czujnym okiem bardzo energicznego, klnącego jak szewc barmana mogłam siedzieć w spokoju nad książkami. Czasami jednak wcale nie czytałam. Siedziałam tylko ze wzrokiem utkwionym przed siebie, jak większość tamtejszych stałych bywalców, mimo że byli emigrantami jeszcze z lat pięćdziesiątych, znacznie starszymi ode mnie.

Pewnego piątkowego ranka Caroline wyszła z pokoju ubrana tylko w za dużą bawełnianą koszulkę i przechodząc, żeby nastawić wodę w czajniku, dotknęła mego ramienia. Zaczęłam się pospiesznie zastanawiać, na jaki temat zagać rozmowę, gdy nagle spostrzegłam, że ona płacze.

Wyznała, że jest w ciąży.

- Zrób mi kubek herbaty, dobrze? - poprosiła. - A przy okazji... - Odwróciła głowę - ...wsyp do niej jakąś truciznę. Muszę podjąć decyzję. Czy mam zmusić Iana, żeby się ze mną ożenił, czy też usunąć ciążę.

Obeszłam stół, kucnęłam obok niej i pogładziłam ją po twarzy.

Szybko cofnęła głowę.

- W dodatku muszę zdecydować jak najszybciej. To już chyba dziewiąty tydzień. Powiedział, żebym postąpiła według własnego uznania. Z nim zawsze tak jest. Mama... - Uśmiechnęła się smutno, gdyż utrzymywały jedynie sporadyczne kontakty - ...jest już w drodze, mamy dzisiaj zjeść razem lunch. A tata przylatuje jutro.

Wynikało stąd, że już powiedziała o ciąży rodzicom.

- Co to za facet, który zostawia los własnego dziecka w rękach dziewczyny, jakby nie miał nic wspólnego z jej zajściem w ciążę? - rzuciłam.

- Posłuchaj - burknęła Caroline. - Daruj mi tego rodzaju gadki. Kocham go. To wszystko.

- Kochasz go?! Pozwól, że zacytuję Borgesa: „Miłość jest religią stworzoną do czczenia omylnego bóstwa”. Chyba ci to czytałam...

- Ale ja nie wyznaję wiary w aborcję.

Nie miałam pojęcia, jak daleko mogę się posunąć. Chciałam zwymyślać Iana na czym świat stoi. Pragnęłam zawieźć Caroline do szpitala. Takie zero odebrało jej cały urok i radość życia! Ona jednak wcale nie oczekiwała ode mnie rady.

Czy miałam jej przypomnieć, że on chyba ani razu nie odwiedził dwójki swoich dzieci z pierwszego małżeństwa? Albo powiedzieć, że sposób, w jaki chodzi z nim do sypialni, kojarzy mi się z moją matką, która była najbardziej nieszczęśliwą ze znanych mi osób? Nie. Caro zapewne spojrzalaby na mnie z ukosa i zapytała: „Z twoją matką? Ja ci się z nią kojarzę?” I nie umiałabym się z nią nawet spierać, bo zawsze mnie rozbijała naiwnością. Mogłam więc tylko okazać, jak bardzo chcę jej pomóc.

Obchodziłyśmy urodziny tego samego dnia i znacznie wcześniej zaklepałam dla nas dwa miejsca na weekend w pewnym uzdrowisku. Sam ten fakt, że nie bałam się w tajemnicy przed nią zrobić rezerwacji, świadczył wyraźnie, jak głęboko byłam przekonana, że Caroline mnie naprawdę lubi. Próbowałam ją więc teraz namówić na ten wyjazd, mimo że sytuacja się odmieniła. Powiedziałam, że pobyt jest już opłacony, chociaż tak nie było. Nie zareagowała. Dodałam zatem, że pewnie i Ianowi dobrze zrobi kilkudniowe rozstanie, bo będzie miał okazję się przekonać, jak smakuje samotność. To poskutkowało.

Jeszcze tego samego ranka poszłam do pokoju Caroline, żeby pomóc jej się spakować, chociaż bałam się tam nawet oddychać z obawy, że mogę poczuć jego zapach.

- Gdzie twój kostium kąpielowy, Caro?

- Po co? Przecież i tak nie będę pływać?

- Może jednak? Na wszelki wypadek go zapakuję. A gdzie masz krem do opalania? W tej kosmetyczce jest już wszystko, czego będziesz potrzebowała?

I tak to się ciągnęło, jakbym miała do czynienia z osobą w głębokim szoku.

Kiedy wieczorem zobaczyłam, jak idzie przygarbiona przez halę dworca w stronę peronu, z którego odchodził pociąg do Canterbury, aż mnie coś ścisnęło w dołku. Przecież nie była chora. To przez ten związek z Ianem zaczęła nagle tak powłóczyć nogami.

Okazało się, iż wspólnie z rodzicami zdecydowała, że powinna wyjść za Iana, ale gdy do niego zadzwoniła ze stacji, jak tylko wysiadłyśmy z pociągu, nie uzyskała żadnej odpowiedzi. Nie mogłam nic zrobić w tej sytuacji. Nic też dziwnego, że wcale jej nie ucieszył pobyt w uzdrowisku, chociaż zdarzało się, iż na krótko

odzyskiwała pogodny nastrój; na przykład uśmiechnęła się do mnie szeroko przez całą długość zatłoczonego basenu jacuzzi, po czym rzuciła:

- To bardzo relaksujące, prawda?

W sobotę co najmniej dziesięć razy dzwoniła do domu, w którym Ian wynajmował pokój. Nie powiedziałam ani słowa. Dopiero gdy ułożyłyśmy się w małżeńskim łóżu i zgasiliśmy światło, nie zdołałam się powstrzymać.

- Nie rób tego! Nie wychodź za niego! Nic dobrego ci z tego nie przyjdzie! To zwykły szczur! Nie miał nawet odwagi ci powiedzieć, co robił przez cały dzień. Łobuz! W końcu kto wpadł na pomysł, żebyś zaszła w ciążę? Nie próbował cię w żaden sposób przed tym uchronić!

- Ale ja go potrzebuję, Kathleen! - powiedziała ze szlochem. Leżała skulona na swojej połowie łóżka. Wyciągnęła rękę pod kołdrę i położyła ją na moim ramieniu, jakby chciała sprawić, że nagle wszystko zrozumiałam.

- Wcale go nie potrzebujesz! Masz własne pieniądze i troskliwych rodziców, a ja zrobię dla ciebie wszystko. Będę się zajmowała dzieckiem albo brała je od ciebie na weekendy... Jak ci będzie wygodniej. Wynajmiemy większe mieszkanie i poszukam jakiejś pracy mniej absorbującej niż „The English Traveller”. Uwierz mi, nic dobrego cię z nim nie czeka, Caroline. Wiem to. Czuję to przez skórę. Będiesz z nim nieszczęśliwa...

- Mało mnie to obchodzi - bąknęła. - Mogę nawet być nieszczęśliwa, bo szaleję za nim. Ty pewnie w ogóle nie potrafisz tego zrozumieć, Kathleen. Dla mnie wcale się nie liczy, jaki on jest.

Jej słowa zawisły w powietrzu.

Obie usnęłyśmy, a nazajutrz rano obchodziłyśmy urodziny. Nie wstając z łóżka, odśpiewałyśmy sobie nawzajem „Sto lat”. Skończyłyśmy wtedy po dwadzieścia pięć lat.

Musiałam zwracać baczniejszą uwagę na prowadzenie auta, bo gdy uwolniłam się od wspomnień o Caroline, minęła dobra minuta, nim się zorientowałam, że jestem jeszcze trzydzieści kilometrów od Ballygall. Wjeżdżałam właśnie na wysoką przełęcz między pasmami wzgórz, gdzie panowała całkowita cisza mącona jedynie pluskiem spływającego po trawiastym zboczu i między omszałymi głazami strumienia wpadającego do przydrożnego rowu. W miejscu tej szosy prawdopodobnie ciągnął się kiedyś bity trakt, a poniżej przełęcz, na brzegach strumienia i nad spienioną sadzawką, stały zapewne chaty wieśniaków. Cały krajobraz tonął w jednobarwnej zjadliwej zieleni, jeśli nie liczyć ciemnych granitowych skał. Zapragnęłam jak najszybciej wydostać się stamtąd, wrócić do ulicznych latarń, wielkomiejskiego ruchu, współczesnych zabudowań. Brakowało mi też ciepła atmosfery hotelu Bertiego, gdzie ludzie przynajmniej znają moje imię, a dwóch niesfornych urwisów biega ciągle po korytarzach... Ta wyżyna przełęcz okazała się jednak stosownym miejscem do przypomnienia sobie, jak za młodu odkrywałam istnienie szorstkości niemal pod każdą gładką powierzchnią - jak zdradziłam Hugona, który mnie bardzo kochał, a ojciec Caroline, z pozoru urzekający starszy pan, wykorzystywał mnie dla swojej przyjemności. I jak, ogólnie rzecz biorąc, znów znalazłam się na ulicy, kiedy Caroline, niby najlepsza moja przyjaciółka, zakochała się w Ianie. Jednakże nigdzie wokół siebie nie mogłam odnaleźć prawdziwej miłości. W każdej róży kryło się jakieś robactwo.

Koniec przyjaźni z Caro nastąpił nagle i niespodziewanie. Miałam ledwie parę tygodni na znalezienie nowego dachu nad głową i wyprowadzenie się z Hampstead. Przyszłoby mi to łatwo, gdybym chciała wrócić do studenckiego trybu życia w wynajętym pokoju. Ale tym razem wolałam pójść na swoje. Wyczerpały mi się zapasy życiowego optymizmu. Bałam się wszystkiego. Opieka, jaką roztoczyła nade mną Caroline, znaczyła dla mnie o wiele więcej, niż potrafiłam przyznać. Odnosiłam nawet wrażenie, że nasze wzajemne stosunki nie były w pełni zrównoważone, co wtedy składałam jeszcze na karb odmiennych narodowości. Na przykład Caro nie tylko podobała mi się z wyglądu, byłam nią wręcz zachwycona. Pamiętam, iż niekiedy musiałam się aż strofować w myślach, że jestem tak samo zepsuta jak jej ojciec, sir David. W końcu bez wahania zaczął mnie obmacywać, podczas gdy nigdy nie zachowywał się tak samo w obecności angielskich koleżanek córki. W dodatku ja obserwowałam ją z taką uwagą, jakiej nigdy bym nie poświęciła czy to Amerykance, czy Francuzce. Jakby była moim przeciwieństwem...

Ale moje prawdziwe uczucia do niej pozostawały tak głęboko ukryte, że nawet sama nie poznałam ich do końca. Kiedy musiałam się od niej wyprowadzić, łąziłam bez końca po Londynie nękana zgryzotą, której nie potrafiłam bliżej określić. Bardzo mi zależało na tym, żeby znaleźć sobie samodzielne lokum, gdzie nie będę narażona na dalsze kłopoty. Kiedy pan Vestey postanowił mi pomóc, byłam gotowa całować go po rękach. Naprawdę chciałam zapłacić w ciemno za suterенę w Bloomsbury. On jednak dał mi klucze i kazał najpierw obejrzeć mieszkanie, a gdy ujrzałam te mroczne, ciche pomieszczenia, od razu uznałam, że to idealne dla mnie mauzoleum.

Zapewne nikt by się tego wszystkiego nie domyślił, obserwując z boku mnie i Caroline. Po powrocie, ostatniego wieczoru przed wyprowadzką, wspólnie dolażyłyśmy wszelkich starań, aby doprowadzić mieszkanie w Hampstead do porządku. Caro ścisnęła swoje długie złociste włosy gumką i obie krzątałyśmy się, na cały głos śpiewając piosenki z *Klubu Samotnych Serc Sierżanta Pieprza* nadawane przez jakąś stację, którą udało nam się złapać w jej małym tranzystorku. Zostało po nas tylko trochę rozmazanych plam na ścianach, ale wsiałyśmy do metra zmęczone i zadowolone z własnej roboty. Kiedy przyszło nam się rozdzielić na stacji Warren Street, przez dobrą minutę stałyśmy, obejmując się wzajemnie wśród tłumu pasażerów. Tak dużo chciałam jej jeszcze powiedzieć, a przede wszystkim to jedno: Wiesz, jak bardzo cię kocham.

Poczułam się nagle stara i zgorzkniała, gdy uświadomiłam sobie, że nie wypada tego mówić. Bo czy ona w ogóle chciała to usłyszeć? A jeśli tak, to cóż owa deklaracja mogła dla niej znaczyć? Dlatego nic nie powiedziałam. Popłakałam się tylko, jadąc dalej metrem. Podejrzewałam, że już nigdy więcej się nie spotkamy.

A przecież do dziś znam życie Caroline w najdrobniejszych szczegółach! Niemalże miałam ją przed oczyma, jak siedzi nisko pochylona nad książką, przygotowując się do poniedziałkowej obrony pracy magisterskiej. Wszystkie moje rzeczy zostały w jej londyńskim domu. Miałam u niej zamieszkać po powrocie do Anglii. I rozmawiałam z nią dziś rano. Jakbyśmy zawsze tylko tak serdecznie rozmawiały i unikały poruszania ważnych życiowo spraw, od początku mając powściągliwość we krwi. I jakbym przed laty nie doszła do wniosku, że jej małowówność wynika ze wspaniałego towarzyskiego usposobienia, podczas gdy moja jest następstwem typowej dla emigrantki skrytości, co oczywiście jest moim problemem, a nie jej. Bo Caroline nie ponosiła najmniejszej winy za to, że lubię ją o wiele bardziej niż samą siebie.

Wreszcie pod kołami rozległ się znajomy zgrzyt żwiru na podjeździe The Talbot Arms. Nie było ani jednego samochodu. Jaki to dzień? Czyżby goście weselni już się rozjechali? Stare psisko śpiące na szerokim pierwszym stopniu schodów przypominało z daleka stertę porzuconych ciuchów. Przechodząc, poklepałam delikatnie brązowy łeb, na co jedyną reakcją było lekkie uniesienie jednej powieki, spod której wyłonił się skrawek białka gałki ocznej. W recepcji panował bodaj jeszcze większy porządek niż poprzednio, co - mimo eleganckiego wnętrza - od razu nasunęło mi na myśl kuchnię w starym domku wujka Neda. Zza zasłonki oddzielającej dyżurkę dolatywał głos z włączonego przenośnego telewizora. Bertie chyba znów oglądał jakiś serial.

Siedział w fotelu, a blask padający z ekranu podkreślał jego zasepioną minę. Trzymał na kolanach Joego tulącego mu się do piersi.

- Coś się stało, Bertie?

- Kathleen! - Zaszurał kapciami, próbując szybko poderwać się na nogi.

- Nie wstawaj. Siedź.

Opadł z powrotem na fotel, a ja przysunęłam sobie krzesło. W telewizji transmitowano rozgrywane w Słowenii zawody w slalomie narciarskim. Zawodnicy w błyszczących kaskach startowali z małej chatki na szczycie i szusowali w dół pozornie płaskiego ośnieżonego zbocza usianego tyczkami. Za każdym razem, gdy kolejny narciarz wyskakiwał z punktu startowego, w górze ekranu pojawiał się zegar odliczający od zera.

Siedzieliśmy w milczeniu przez trzy lub cztery minuty, aż Joe przysnął na kolanach dziadka. Gdzieś z głębi budynku doleciał dzwonek telefonu, a następnie głos Elli rozmawiającej z kimś w korytarzu.

- Ukryłem się tu, żeby trochę odpocząć - rzekł w końcu Bertie. - Uprzedziłem wszystkich, żeby dali mi spokój.

- Mnie też potrzebny odpoczynek - odparłam. - Ale najpierw muszę się zobaczyć z panną Leech.

- Zostawiła dla ciebie list. Leży tam, na biurku. Dziś wieczorem wyjeżdża do Dublina. - Spojrzał na mnie ze smutkiem w oczach i dodał grobowym głosem: - Nie czuje się dobrze. Wszyscy się o nią martwimy. Już wcześniej jeździła do szpitala Saint Luke na konsultacje u onkologa. Sądzi, że nikt o tym nie wie, ale siostra kobiety prowadzącej u mnie księgowość, która pracuje w centrali telefonicznej szpitala, ma baczenie na wszystkich pacjentów z naszego miasteczka.

- To rak? Gdzie?

- Na macicy.

- Nie da się go usunąć?

- To zależy, czy są już przerzuty...

- Ile ona ma lat?

- Siedemdziesiąt pięć. Kiedy udzielała wywiadu „Northwestern Herald” po zorganizowaniu wystawy z okazji rocznicy Wielkiego Głodu, powiedziała, że jest po sześćdziesiątce. Taki babski wykręt. Nan ukrywa swój wiek, bo nie zamierza iść na emeryturę. Ale ja znam prawdę, bo wychowywaliśmy się po sąsiedzku, a gdy uczyłem się w bibliotece, mając zamiar pójść do college'u, była dla mnie ideałem kobiety. Więc możesz sobie wyobrazić, jak długo już się znamy z Nan. Zawsze podziwiałem też jej stroje. Chodziła wtedy w długich spódnicach, prostych, rozciętych z boku. Pamiętasz tę modę? Nie, jesteś za młoda, żeby pamiętać. W każdym razie

między Nan Leech a mną jest dwanaście lat różnicy, prawie co do dnia. A wydaje mi się, że minęło już ze sto lat od czasu, kiedy ja byłem dwunastolatkiem. Tylko nie rozmawiaj z nią na temat raka, Kathleen! Byłaby gotowa zabić każdego, kto piśnie choć słowo o jej chorobie. Mnie zdradziła tajemnicę, ponieważ karmiłem tego cholernego kota pod jej nieobecność. A dzisiaj odwiozę ją do szpitala. I pewnie będę musiał potem odebrać. Wiesz, jak jest z naszą służbą zdrowia, Kathleen. Możesz liczyć na to, że cię zabiorą karetką na badania, ale na pewno nie odwiozą z powrotem, bo jeszcze mogłabyś umrzeć w drodze.

Zaśmiałam się krótko i on uśmiechnął się niewyraźnie.

Jeden z zawodników przewrócił się i poleciał w dół zbocza, przyginając slalomowe tyczki do ziemi.

- Cześć, skarbie - odezwałam się do Joego. Popatrzył na mnie wielkimi oczami.

- Nie ma już Spot - powiedział. - Jej pan ją zabrał do swojego domu.

- Nie bój się, niedługo wróci... - Bertie urwał nagle, spojrział na mnie i uśmiechnął się szeroko. - Już wiem, co zrobimy! - rzucił radośnie. - Wynajmiemy dla ciebie dom Feliksa! On jutro znów wyjeżdża, już zapowiedział, że podrzuci nam psa z powrotem. Martwiłem się, bo w niedzielę wieczorem przyjeżdżają nauczyciele na zjazd, a oni zawsze robią straszny rwetes. Gdyby ta głupiutka Spot była tu w tym czasie...

- Spot wcale nie jest głupiutka, dziadku! - zaprotestował Joe. - Kiedy Ollie raczkował w ogródku i zaczęła się przeciskać pod furtką na ulicę, szczekała i szczekała.

- Podaj mi moje okulary, synku - zwrócił się do niego Bertie. - Zaraz poszukam numeru Feliksa.

- A kto to jest Felix? - zapytałam.

- Mój przyjaciel. Jest architektem, prawie nigdy nie ma go w domu. Obecnie pracuje, zdaje się, w Brazylii, i chce się tam ożenić, jeśli można mu wierzyć. Ma dom przy drodze, niedaleko stąd. Mogłabyś tam nocować i zająć się Spot. Pamiętasz tę małą suczkę teriera? Jest trochę rozpieszczona, ale spokojna. Do nas przyjeżdżałabyś na obiady, jeśli zechcesz...

- Chwileczkę, Bertie - odparłam. - Przecież to jest hotel. Nie przyszło ci nigdy do głowy, żeby pozwolić gościom tu zamieszkać, zamiast rozsyłać ich po całej okolicy?

- A nie podobało ci się w Mellary?

- Nawet nie umiem wyrazić, jak bardzo.

- No to zaczekaj, aż zobaczysz dom Feliksa. Zaufaj mi. Zjazd nauczycieli potrwa tylko cztery dni, później będziesz mogła tu wrócić.

Otworzyłam list od panny. Leech.

Szanowna panno de Burca.

W ręce mojego młodszego kolegi, Declana, wpadł pewien dokument, będący rodzajem broszury napisanej przez Johna Pageta, radcę w służbie królewskiej, w jakiś sposób spokrewnionego z żoną Richarda Talbota. Niestety, miałam okazję tylko pobieżnie ją przerzucić, lecz wygląda na to, że autor dość przekonująco dowodzi w niej niewinności pani Talbot wobec wszelkich zarzutów stawianych jej przez męża. Chyba zgodzi się pani, że to raczej nieoczekiwany zwrot wydarzeń. Z przyjemnością porozmawiam z panią na ten temat w przyszłą środę, kiedy wrócę do Ballygall. Bardzo żałuję, że ze względów osobistych nie będę chwilowo dostępna nawet pod telefonem.

Owa broszura zapewne krążyła obiegiem, ale nigdy nie została opublikowana. Prawdę powiedziawszy, to duża rzadkość i bardzo się cieszę, że udało mi się ją zdobyć dla tutejszego archiwum w Ballygall. Z tego też powodu została zaliczona do cennych starodruków i może być udostępniana wyłącznie w czytelni. Istnieje możliwość wykonania jej fotokopii, wcześniej będę musiała jednak zasięgnąć fachowej rady naszych kolegów z wydziału konserwacji Instytutu Bibliotekarstwa w Dublinie.

Załatwiłam pani możliwość zapoznania się z tą broszurą w sobotę, począwszy od godziny dziesiątej.

Otrzymałam pani kartkę z cytatem H. Jamesa i muszę przyznać, że w pełni się z nim zgadzam nie tylko co do powieści historycznych, ale fikcji beletrystycznej *per se*. Błaga rzeczywiście jest *mot juste*. Jednakże wierzę głęboko, że nie odnosi pani tych uwag do pisarstwa jako takiego.

N. Leech

- Wracam za chwilę! - zawołałam i wybiegłam przez ogród na ulicę.

Kwiaciarka zamykała już sklep, ale pokazałam jej na migi, że mam bardzo pilną sprawę, mimo że próbowała się ukryć za wysokimi dzbanami pełnymi ciętymi kwiatów.

- Niestety... - zaczęła, uchylwszy drzwi.

- Chodzi mi tylko o kwiaty dla panny Leech z biblioteki - powiedziałam szybko. - Proszę, oto pieniądze! - Wsunęłam jej kilka banknotów w rękę. - Mogą być róże, stokrotki... Byle nie różowe. Chciałabym tylko dołączyć krótki liścik.

Wpuściła mnie i podała mały kartonik.

- Ale będę je mogła dostarczyć dopiero po zamknięciu sklepu.

- Może być. W takim razie proszę je zanieść nie do biblioteki, lecz do jej mieszkania.

Panno Leech!

Z niecierpliwością czekam na okazję do rozmowy, gdy tylko znajdzie pani dla mnie czas. Na razie będę w miejscu zwanym domem Feliksa, który Bertie zamierza dla mnie wynająć. Z góry przepraszam za pewne odstępstwa od faktograficznej ścisłości.

Caitlín de Búrca

Gdyby wiedziała, na co sobie pozwoliłam! Mogłam z jej strony oczekiwać wyłącznie skrajnej dezaprobaty dla opowieści, którą już zaczęłam snuć wokół rozvodu Talbotów.

Zdażyłam umieścić w niej nazwisko Pageta, gdyż już się na nie natknęłam - w *Protokole* wyszczególniano, że oprócz ojca jedynymi żyjącymi krewnymi Marianne Talbot byli właśnie Pagetowie i nie kto inny jak pan Paget wysledził kryjówkę okrytej hańbą krewniaczki w Windsorze. Lord kanclerz komentował ten fakt, gdy po odkryciu niewierności Marianne jej mąż nakłonił wielebnego McClellanda do wywiezienia jej, a w zasadzie ukrycia przed całym światem, najpierw w Dublinie, a potem w Windsorze. Sędzia nadmienił też - choć muszę przyznać, iż dość oględnie - że wobec choroby ojca Marianne dalsi krewni, właśnie Pagetowie, powinni zostać poinformowani o całej sytuacji, aby mogli w razie konieczności zapewnić jej odpowiednie schronienie. Ale nigdzie w *Protokole* nie precyzowano, w jaki sposób Marianne była spokrewniona z Pagetami. Dlatego,

korzystając z poetyckiej swobody, pozwoliłam sobie napisać o ciotce Paget. Zresztą, ile innych faktów musiałam nagiąć do własnych potrzeb? Jeśli panna Leech odkryje dowolność, z jaką potraktowałam *Protokół*, mogę oczekiwać od niej wyłącznie skrajnej dezaprobaty. Nie potrafiłam przewidzieć, z jakiego punktu widzenia najmocniej się sprzeciwi - jako historyk, irlandzka patriotka czy jako kobieta. Na razie jednak mało mnie to obchodziło. Niech w przyszłości do woli wyżywa się na mnie, byle tylko zdrowie jej na to pozwoliło.

Wracając powoli do hotelu, w myślach zmówiłam za nią modlitwę. W podobnych sytuacjach zawsze przychodziło mi to z łatwością, gdyż kierowałam się czymś w rodzaju kobiecej solidarności - jakbym w nagłej potrzebie musiała zadzwonić do nieznanej osoby, z którą łączy mnie tylko to, że nasze dzieci chodzą do jednego przedszkola.

Pamiętaj, Najłaskawsza Matko... - urwałam nagle, gdyż mimo woli zaczęłam mamrotać te słowa pod nosem, wpojono mi bowiem głęboko, że modlitwy należy odmawiać na głos. Zwolniłam jeszcze kroku i zmrużyłam oczy, aby łatwiej się skupić. W wyobraźni ujrzałam pannę Leech stojącą na poboczu szosy, na wprost zburzonego domu, i szczupłą dłonią w czerwonej mitynce pokazującą miejsce, gdzie kiedyś znajdowały się drzwi.

Pamiętaj, Najłaskawsza Matko, że nigdy się nie zdarzyło, by ktoś uciekający się pod Twą obronę, błagający o Twą pomoc lub szukający Twego wstawiennictwa pozostał bez wsparcia. Obróć więc, Najłaskawsza Matko... - Nie, to nie tak. Może: Najświętsza Królowo? Czy to nie tak samo, jak w *Memorare*? Zresztą, jakie to ma znaczenie? - Obróć więc Twe łaskawe spojrzenie na nas wszystkich, a w szczególności na pannę Leech. Oszczędź jej wszelkich cierpień. A także na Aleksa, o którym sobie właśnie przypominałam, i na jego matkę stojącą nad grobem. Ponadto proszę, pomóż Caroline podczas egzaminów, ponieważ ich wyniki tak wiele dla niej znaczą. I pomóż mi zdecydować, co mam zrobić z własnym życiem. A potem wskaż nam, błędzącym, owoc żywota Twojego, Jezusa... - Nie, to zdecydowanie źle. Ale przecież to naprawdę jest bez znaczenia, na miłość boską: wszystkie modlitwy są do siebie podobne! - Miłosierna, Ukochana, Cudowna Panienko Maryjo, módl się za nami Najświętsza Matko Boża, abyśmy byli godni zapowiedzi Chrystusa.

15

Nazajutrz wybrałam się do biblioteki, żeby przeczytać broszurę Pageta.

Kiedy mężczyzna prowadzący czytelnię wstał zza biurka i poszedł na górę, by ją przynieść, poczułam gwałtownie narastające podniecenie jak dziecko przed przyjęciem urodzinowym. Podpisałam rewers i poszłam z broszurą do stolika między regałami. Odnosiłam wrażenie, że parzy mnie w palce. Obróciłam ją w dłoniach. Potem na krótko przytknęłam do policzka. Winnoczerwona obwoluta pokrywała odbarwione smugi, wierzchnia okładka była niemal całkiem oderwana od grzbietu. A przecież mało kto powinien zaglądać do tej broszury od chwili jej oprawienia. Wyblakły stempel z boku strony tytułowej głosił: „Biblioteka Queen's College, Leicester, Dar autora”. Z trudem nakłoniłam palce do przerzucenia cienkiej chropowatej kartki. Kiedy uzmysłowiłam sobie, że papier nie został nawet równo przycięty i prawdopodobnie jestem w ogóle pierwszą osobą, która zamierza dokładnie przeczytać cały tekst, aż zrobiło mi się ciepło z radości.

Talbot kontra Talbot. Omówienie faktów.

„Uważam ją za niewinną od wszelkich zarzutów i sformułowałem tę opinię w głębokim przekonaniu, w pełni świadom, iż owe zarzuty zostały wysunięte przez osoby całkowicie niegodne zaufania i, JAK MNIEMAM, SĄ WYNIKIEM HANIEBNEJ ZMOWY”.

John Paget, radca Jej Królewskiej Mości.

Londyn

Wydane drukiem przez C. Roworth and Sons, Bell Yard, Temple Bar. 1854

Cóż za szumne oświadczenie! - pomyślałam, tłumiąc śmiech. Czyż rodzinna lojalność nie jest wspaniałą rzeczą? Nawet przez chwilę nie spodziewałam się, że zdołają mnie przekonać jakiegokolwiek argumenty przytaczane przez pana Pageta.

Do głowy mi nie przyszła ewentualność, iż Marianne i Mullan wcale nie byli kochankami. W końcu sprawa rozwodowa była dwukrotnie szczegółowo rozpatrywana - najpierw w Sądzie Eklezjastycznym w Dublinie, a potem przez Izbę Lordów w Westminsterze. Co więcej, tego ranka, kiedy wielbny McClelland usiłował ją wypowiadać, Marianne nie zaprzeczyła, iż dopuściła się cudzołóstwa. Właśnie dlatego ojciec nawet nie usiłował jej bronić, gdy wikary wszystko mu opowiedział. I dlatego też nikt nie zadawał pytań dotyczących jej nagłego zniknięcia.

Zresztą gdyby Marianne wyparła się romansu, istniał przecież materiał dowodowy. Halloran i Finnerty, a więc majordomus i lokaj, przyłapali ją w izbie Mullana. Mary Anne Benn mówiła o butelce wina, którą pani Talbot dała stajennemu. Dwóch świadków na własne oczy widziało tę parę na sianie w stajni. Purcell widział ich na sofie w saloniku, kiedy obejmowali się czule. Bridget Queeny zauważyła, jak szli w głąb sadu. Na Boga, Maria Mooney widziała ich w łóżku! Gdybym nawet podawała w wątpliwość opinie lordów z Komisji Prawnej, nie mogłam lekceważyć zeznań świadków. Bo i czemu wszyscy mieliby kłamać? Dlaczego Richard miałby kłamać?

Zaczęłam czytać i równocześnie robić notatki.

Już po kilku minutach ręka trzęsła mi się tak bardzo, że ledwie potrafiłam utrzymać długopis.

Odchyliłam się na oparcie krzesła i zamknęłam oczy, żeby uspokoić nerwy, jeśli chciałam w pełni pojąć wymowę argumentów przytaczanych przez Pageta w roku... Nagle zrozumiałam znaczenie daty tejże publikacji, która mogła się jeszcze liczyć dla oskarżonej. W roku 1854 małżeństwo znajdowało się już w separacji orzeczonej przez irlandzki Sąd Eklezjastyczny, przed którym Marianne reprezentował jedynie obrońca z urzędu, ale nie rozpoczęła się jeszcze procedura rozwodowa przed parlamentem w Westminsterze. A zatem istniała wtedy jeszcze szansa, że odkrycia Pageta mogą wpłynąć na bieg spraw.

Dlaczego zadał sobie ten trud? Przecież Marianne nie mogła mu nawet podziękować. Kiedy ją w końcu odnalazł w windsorskim przytułku, jak sam mówił, był do głębi poruszony przejawami obłędu, potulnością i załkaniem. A więc tylko rycerskość kazała mu stanąć w jej obronie. Ten wniosek był dla mnie pierwszym zaskoczeniem, jeszcze nim zaczęłam zgłębiać argumenty Pageta. Bo to, że była obłąkana - ściśle rzecz biorąc - zaledwie siedem miesięcy po tym, jak Richard i wielbny McClelland ukryli ją przed całym światem, całkowicie odmieniło moje spojrzenie na Marianne. Do tej pory w swoich rozważaniach w ogóle nie dochodziłam do tego etapu. Sądziłam, że była kobietą dobrze zbudowaną i silną, okazem zdrowia, jak Kate Winslet z *Titanica*.

Przede wszystkim widziałam w niej biedną młodą dziewczynę wywiezioną z Anglii na dzikie irlandzkie odludzie, nad którym cierpienia Wielkiego Głodu wisały niczym przekleństwo, do tego stopnia spragnioną czułości, by nawet w tych warunkach nie stronić od życia zmysłowego. Żadne prawo ani norma lub obyczaj, żadne przeszkody formalne nie mogły jej powstrzymać od prób zaspokojenia potrzeb młodego ciała z Williamem Mullanem. Wyobrażałam sobie wstydliwie spuszczone wzrok i skromne maniery, ale zarazem pełne czerwone wargi i jędrne ciało, zdolne rozrywać od środka wszelkie sprzączki, zapinki i guziki tych wykwintnych strojów, którymi było skrzepowane.

Możliwe, że Marianne faktycznie była taka za młodu, kiedy John Paget ją dobrze znał, dlatego podjął się jej bronić, poruszony żalonym widokiem tego, co z niej zrobiło małżeństwo oraz pobyt w Irlandii. Zaczął podniosłym tonem:

Zaświadczam, że poczynając od miesiąca sierpnia 1852 roku, nie ustawałem w wysiłkach uzyskania informacji dotyczących potwornych oskarżeń wniesionych przeciwko Odpowiedzialnej [używał tego niezwykle, archaicznego określenia oskarżonej, jakby skazana już Marianne wciąż jeszcze stała przed sądem], do których to wysiłków skłaniało mnie absolutne przekonanie o całkowitej niewinności Odpowiedzialnej, jak też przekonanie, iż owe oskarżenia są materią fantazji i fałszu, oraz zaświadczam, że wierzę także w doskonałą niewinność Odpowiedzialnej, ponieważ żyjąc przez prawie jedenaście miesięcy do dziś pod jednym dachem, w codziennych i cegodzinnych spotkaniach ani razu nie zauważyłem najslabszego śladu, słowa bądź działania sprzeciwiającego się najpełniejszej czystości i delikatności umysłu, a co jest dla mnie najbardziej przekonujące, wcale nie postrzegłem objawów choroby tegoż umysłu. Odpowiedzialna ani razu nie powiedziała mi, że jest niewinna, wątpię jednakowoż, czy miała jakąkolwiek świadomość tego, iż jest o coś oskarżana.

Zatem była do tego stopnia obłąkana, że nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, kim jest i gdzie się znajduje!

Ale jak to się stało, że moja kwitnąca pożądliva Marianne dostała obłądu?

Zgodnie z wyjaśnieniami Johna Pageta w pełni świadomie doprowadził ją do tego stanu Richard Talbot.

Autor broszury sięgnął do zeznań składanych pod przysięgą przed Sądem Eklezjastycznym - materiału dowodowego, z którym sędziowie z Izby Lordów musieli się zapoznać, tyle że w *Protokole* w ogóle się do niego nie ustosunkowywali, a ja nawet na oczy go nie widziałam.

Stąd też nie wiedziałam, że pokojówka imieniem Hall, przybyła wraz z Marianne do Irlandii, zeznawała, co następuje:

Doskonale znam Richarda Talbota, czyli Wnioskującego, jak też Marianne McCausland, po mężu Talbot, to znaczy Odpowiedzialną. Mieszkałam z panią Talbot jako jej osobista pokojówka do czasu, aż musiałam opuścić Mount Talbot na krótko przed zachorowaniem jej córki. Przez cały czas mego pobytu w Mount Talbot byłam świadkiem, jak Wnioskujący traktował Odpowiedzialną z obojętnością, lekceważeniem i oziębłością. Niejednokrotnie widziałam, jak Wnioskujący uchyla się od odpowiedzi na zadane pytanie. Zostałam zaangażowana jeszcze w Londynie i przed naszym wyjazdem do Irlandii Odpowiedzialna poprosiła mnie o zakup kilku potrzebnych jej artykułów. Wykonałam polecenie, ale musiałam w tym celu wydać pięć szylingów z własnych pieniędzy. Obiecała mi zwrócić je z pierwszych pieniędzy, jakie dostanie. Wyruszyliśmy w podróż, a mój dług nie został spłacony.

Okolo trzech miesiacy po naszym przybyciu do Mount Talbot otrzymałam od niej 3 szylingi i 6 pensów w dwóch zapłatach. Przy każdej okazji wyrażała żal z powodu braku środków na zwrot całego długu. Pozostałego szylinga i 6 pensów dostałam dopiero w wieczór poprzedzający mój wyjazd z Mount Talbot. Zapłaciła mi trzema monetami czteropensowymi, które wzięła od dziecka, a dziewczynka nie była chętna oddać je matce i mówiła, że nigdy nie dostanie ich z powrotem. Ostatnie 6 pensów pani Talbot zwróciła mi w znaczkach pocztowych. Wiem o tym i zaświadczam, że Odpowiedzialna do tego stopnia była pozbawiona możliwości korzystania z pieniędzy, iż często musiała pożyczać je od służby we dworze na zakup koniecznych artykułów odzieżowych. Zostałam zwolniona ze służby najwyraźniej przez Wnioskującego, który w ogóle nie chciał na przyszłość zatrudniać osobistej pokojówki Odpowiedzialnej.

Nigdy i przy żadnej okazji nie widziałam Odpowiedzialnej w poufalej rozmowie z Williamem Mullanem. Nigdy i przy żadnej okazji podczas mego pobytu w Mount Talbot, ani na polecenie Odpowiedzialnej, ani też z innej przyczyny, nie zanosila mięsa, jaj czy innych artykułów, ani wina, z Mount Talbot do izby Williama Mulla. Nigdy nie spostrzegłam, aby Odpowiedzialna miała wolę bądź sposobność posyłania lub dawania takich artykułów komukolwiek, skoro sama nie miała do nich dostępu na własne potrzeby.

Widywałam po wielekroć, iż jej posiłek przez kilka dni z rzędu składał się jedynie z plastra suszonego mięsa, a do picia nie miała nic prócz piwa, niestosownego nawet dla szanującej się służby, i często skarżyła mi się na brak odpowiedniego pożywienia.

Mój Boże! - pomyślałam. Od chwili przyjazdu do Irlandii bez przerwy zastanawiałam się nad warunkami, jakie panowały tu podczas głodu - zachodziłam w głowę, jak było to bolesne i czy po zakończeniu etapu desperackich prób żywienia się korzonkami, dzikimi jagodami bądź gnijącymi ziemniakami zrezygnowani ludzie po prostu kładli się na ziemi i czekali na śmierć. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że pani mieszkająca w wielkim domu także mogła odczuwać brak pożywienia! A przecież każdy żebrak wyciągający do niej rękę, kiedy wychodziła z kościoła wielebnego McClellanda i kierowała się do swego powozu, ten wycieńczony, bosi obdartus mógł odczuwać takie samo ściskanie w dołku, jak owa wspaniale ubrana dama!

John Paget dalej cytował fragmenty zaprzysiężonych zeznań, z których każde obalało w pył jakąś cząstkę wymyślonego przeze mnie świata żarliwych namiętności:

Nie uważałam Odpowiedzialnej za osobę silnego charakteru; ogólnie rzecz biorąc, była przygnębiona i po wielekroć obserwowałam u niej ślady płaczu...

Zatrudniając mnie [pan Talbot], oznajmił w jej obecności, że potrzebna mu osoba zdolna zająć się zarządzaniem całego domu, ponieważ, jak rzekł, pani Talbot jest jeszcze dzieckiem i na niczym się nie zna...

Te słowa padły z ust zarządcy, który przybył do Mount Talbot mniej więcej rok po Marianne. Kończył zaś swoje zeznania następująco:

...zaświadczam, że prowadzenie się, postawa i ogólne zachowanie pani Talbot było skromne i przyzwoite, całkowicie stosowne, jak na damę przystało; moim zdaniem ze wszech miar nieprawdopodobne były jej niewłaściwe maniery i zaprawdę wierzę, że w ogóle nie była do tego zdolna. Toteż trudno mi dać wiarę, aby Odpowiedzialna mogła być winna nagannego i karygodnego związku z Williamem Mullanem.

Paget cytował też fragment zeznań szlachetnie urodzonej damy, bliskiej znajomej Marianne - jedynego świadka należącego do klasy wyższej - która kilkakrotnie odwiedzała Talbotów w ich posiadłości:

Pyt. Kiedy przebywała pani z wizytą, jak układały się stosunki między panią a panem Talbot, wedle pani spostrzeżeń?

Odp. Były bardzo tkliwe, mniemam jednak, że on nadzwyczaj lekceważył jej ubiory, podobnie jak całe gospodarstwo. Naprawdę lekceważył żonę. Rzekłabym, że ją szczególnie zaniedbywał. Jej stroje były wprost uderzające. Marianne nigdy nie miała dla siebie żadnych pieniędzy.

Pyt. Jeśli mi wiadomo, pani Talbot w chwili zamążpójścia otrzymała od swego ojca pięć tysięcy funtów?

Odp. To prawda, ale nie mogę powiedzieć, bym za mojej pamięci widziała u Marianne jakiegokolwiek pieniędzy w jej posiadaniu.

Pyt. Czy w czasie, kiedy pani widywała panią Talbot bez pieniędzy, pan Talbot podejmował jakichś myśliwych?

Odp. Tak. Gościł dwóch myśliwych...

Bardzo mnie zaciekało sformułowanie: „tkliwe stosunki”. Jak należało je traktować w świetle pozostałych zeznań? Czyżby Marianne była tak oddana mężowi, iż traktowała narzucone sobie niedostatki jako oznaki jego miłości? Czyżby przy obcych odzywał się do niej czule, a na osobności traktował obraźliwie, jakby już wtedy planował doprowadzić ją do obłędu? Tylko dlaczego miałyby to robić? Po co Richard organizowałby prawdziwą kampanię w celu doprowadzenia żony do załamania nerwowego?

Ponieważ, jak dowiedziałam się z dalszej części, otrzymał w spadku Mount Talbot jedynie pod tym warunkiem, że będzie miał syna!

Zatem musiał się uwolnić od Marianne, aby poślubić inną kobietę. To dlatego separacja mu nie wystarczyła. Potrzebował prawnego dziedzica majątku. A jedynym sposobem w tamtych czasach na uzyskanie rozwodu z niewinną kobietą było wymuszenie na niej przyznania się do cudzołóstwa, popartego zeznaniami fałszywych świadków ze służby.

Sądziłam do tej pory, że *Protokół* zawiera omówienie całego materiału dowodowego przedstawionego podczas obu procesów, w Irlandii i Anglii. Dopiero teraz mogłam się przekonać, iż każdy z trzech lordów trybunału na swój sposób rekonstruował zdarzenia i na tej podstawie podejmował decyzję, a co za tym idzie, preferował oczywiście te zeznania, które uzasadniały jego stanowisko. Właśnie dlatego w *Protokole* przytaczano głównie materiał dowodzący winy Marianne, całkowicie pomijając bądź tylko pobieżnie omawiając zeznania przemawiające na jej korzyść. Natomiast John Paget zwracał opinii publicznej uwagę na dowody niewinności kuzynki. Zatem jedynym powodem, dla którego nie natknęłam się dotąd na owe zeznania, było przeświadczenie lordowskiego trybunału o winie oskarżonej.

Na przykład sprzątaczką zeznawała pod przysięgą:

Zaświadczam, że pewnego dnia, kiedy mieszkałam w Mount Talbot, idąc do jadalni po odbiór poleceń, usłyszałam, jak pan Talbot w rozmowie z goszczącym u niego, lecz nieznanym mi dżentelmenem, mówił: „Och! Pani Talbot jest zbyt delikatną istotą, aby mieć więcej dzieci”. Rozmowa natychmiast się urwała, gdy weszłam do pokoju. Zaświadczam także, iż Wnioskujący odnosił się oziębło i nieczule do pani Talbot. Wiem, że nie dawał jej żadnych pieniędzy w czasie mej służby na dworze.

Wstałam i poszłam w głąb biblioteki, za ostatni rząd regałów.

Dlaczego Richard Talbot zamknął żonę w przytułku pani Trueman do czasu uzyskania rozwodu? Dlaczego chciał ją ukryć przed całym światem, skoro przyznawała się do cudzołóstwa? Czy to możliwe, że wtedy jeszcze każda litościwa dusza musiałaby poznać, iż Marianne jest zbyt zgnębiona, aby mieć orientację, do czego się przyznaje?

Stopniowo i ja zaczynałam wierzyć w jej niewinność.

John Paget pisał, że składane pod przysięgą zeznania przeciwko pani domu, a więc historie opowiadane przez służbę, Mary Anne Benn, Marię Mooney i pozostałych, *...są niewiarygodne lub wręcz nierealne. W każdym słowie wyczuwa się sztuczność. Wszak przez lata całkowitym milczeniem otaczano sprawy, które, gdyby zdarzyły się w rzeczywistości, musiałyby stać się tematem licznych plotek, co jest jasne jak słońce...*

Cytował wypowiedzi innych ludzi ze służby, mieszkających w Mount Talbot w tym samym okresie, które stały w jawnej sprzeczności z epizodami branymi pod uwagę przez lordów z Komisji Prawnej przy orzekaniu wyroku. Na przykład niejaka Hester Keogh zeznawała, że razem z panią Talbot zeszła do piwnicy po wino, *...lecz był tam jedynie winny ocet malinowy. Pani Talbot zabrała jedną butelkę i wróciwszy z tym octem do swej sypialni, poprosiła mnie o przyniesienie gorącej wody, gdyż pragnęła sporządzić coś do picia dla córki, uskarżającej się na ból...*

Nie było w domu wina? - pomyślałam w osłupieniu. Jak to możliwe? Przecież butelka wina była jednym z głównych elementów najbardziej erotycznych szczegółów zeznań!

Inny świadek mówił:

Zaświadczam, że córeczka pani Talbot opowiadała mi na kilka miesięcy przed chorobą, iż matka zaprowadziła ją do izby Mullana, aby jak najszybciej wysuszyć jej przemoczone pończochy.

Jeszcze inny:

Zaświadczam, że każda osoba wchodząca do rzeczonej izby Mullana nad stajnią musiała być widoczna z okien pokoi mieszkalnych oraz gabinetów we dworze. W tym celu winna przejść przez dziedziniec, na który wychodziły okna pokoi mieszkalnych, jak też korytarza przeznaczony dla służby. Zaświadczam także, iż rzeczona izba Williama Mullana byłaby najgorszym miejscem pobytu, gdyby pani Talbot miała jakieś nieczne zamiary. Nie wierzę, by ktokolwiek mógł wyjść bocznymi drzwiami z głównego holu w Mount Talbot, przejść furtką wiodącą na dziedziniec stajenny rzeczonego majątku, minąć komórkę na uprzęż i wejść schodami do izby, w której sypiał William Mullan, nie będąc zauważonym bądź to z okien pokoju lokaja, bądź z pralni lub innych pokoi zajmowanych przez służbę. Rzadko się zdarzało, aby w komórcie na uprzęż nikogo nie było, a w szczególności łowczego bądź jego syna, jako że w rzeczonej komórcie trzymali w wielkiej skrzyni łasice do polowania.

Okazało się, że dwóch naocznych świadków, którzy jakoby widzieli panią Talbot z Mullanem na sianie w stajni, pod krzyżowym ogniem pytań przed sądem zaczęło się beznadziejnie płatać. Nawet przychylność sędziów nie wpłynęła na ich kontuzję. W broszurze znalazła się wypowiedź radcy prawnego:

Nigdy jeszcze nie widziałem równie odpychających i nieszczęśliwych spojrzeń oraz nie słyszałem bardziej niesatysfakcjonujących i podejrzanых wypowiedzi niż u tych dwóch ludzi zeznających pod przysięgą. Dreszcz mnie przenika na myśl, że od zeznań takich lajdaków może zależeć czyjeś życie lub śmierć...

Ci dwaj składali swoje zeznania, jak pisał John Paget, z *pełnymi przebiegłościami minami na twarzach*. Nie będąc samemu Irlandczykiem, w dalszej części autor wyluszczał otwarcie, że Richard Talbot bez trudu mógł

wnieść każde oskarżenie przeciwko Marianne właśnie dlatego, że mieszkali w Irlandii, a Irlandczycy są przecież znani jako urodzeni kłamcy, gotowi zeznać wszystko, za co im się zapłaci.

A co z posyłaniem całusów za pośrednictwem dziecka? Jak się okazało, były to sugestie radcy prawnego Richarda

Talbota nakłaniającego służącą, która została usunięta z Mount Talbot, aby je sobie koniecznie przypominała. Przed sądem jednak była służąca zeznała:

Zaświadczam, że w miesiącu kwietniu tegoż roku radca pana Talbota przysłał po mnie do majątku lady Ashbrooke w Castle Durrow, gdzie podówczas pracowałam jako pokojówka. Powiedział, że inni świadkowie widzieli, jak pani Talbot na dziedzińcu posłała córkę, aby pocałowała Mullana, po czym sama całowała dziecko, i wyjaśnił przy tym, że pani Talbot chciała tym sposobem posłać i odebrać pocałunek Mullana za pośrednictwem córki.

Odparłam mu, że nigdy czegoś takiego nie widziałam, mimo że prawie bez przerwy towarzyszyłam swej pani i jej córce...

John Paget tak to podsumował:

...Kiedy radca opowiedział o tym Margaret Hall, przekroczył swoje obowiązki i nie zachował koniecznej dyskrecji. Jako że powiedział nieprawdę. Jeśli pani Talbot faktycznie posunęła się do tak ordynarnego i głupiego czynu, jeśli odważyła się prostytuować własne dziecko w celu zaspokojenia żądzy, to dlaczego oskarżyciel nie wezwał świadków tegoż zdarzenia? Owa sugestia zatem była jedynie potwornym i bezpodstawnym fałszem.

A co z małżeńską zdradą, do której miało jakoby dojść w łóżku Marianne według zeznań Marii Mooney? I w tym zakresie John Paget wyrażał się drwiąco na temat prawdomówności irlandzkiego świadka:

Jak wynika z zeznań pana Quirka, Maria Mooney przy innej okazji mówiła w miejscu publicznym, że poświadczy niewinność pani Talbot za jednego funta (co w jej własnej ocenie musiało niewątpliwie być ekwiwalentem uroczystej przysięgi prawdomówności składanej na Nowy Testament); oświadczyła ponadto, iż „wy-rządza się piekielne zło, co łatwo można udowodnić”. Przed sądem jednakże pani Mooney zeznała, że o niewinności swojej pani zapewniała wszystkich z wyjątkiem Quirka, ponieważ nigdy w życiu z nim nie rozmawiała i „w ogóle nigdy nie widziała tego człowieka w piwiarni Kelly'ego”.

Autor broszury z wielką satysfakcją wytykał Marii Mooney kłamstwa, przeciwstawiając im takie zeznania:

Wielce szanowana osobista pokojówka pani domu przysięga, iż doskonale pamięta sytuacje, do których odnosi się Mooney, oświadczając przy tym, że za każdym razem, gdy w sypialni na piętrze miał się odbywać domniemany akt cudzołóstwa, „pani Talbot przebywała w bibliotece i słuchała recytowanych przez córkę wyuczonych lekcji, hymnów bądź modlitw, jak to miała w zwyczaju każdego wieczoru przed pójściem do łóżka”.

A Bridget Queeny, która jakoby widziała w saloniku panią Talbot sam na sam z Mullanem? Została zwolniona ze służby za to, że nie chciała robić masła na polecenie pana domu i była podejrzewana o wynoszenie różnych rzeczy do swojej rodziny mieszkającej nieopodal.

A Mary Anne Benn? To przecież ona przyniosła na żądanie pani Talbot szklanek mleka do bawialni i ujrzała tam Mullana. Została zwolniona ze służby bez podania konkretnych przyczyn, za *klótniwość i gadatliwość...*

Zaczęłam zestawiać odmienne zeznania i różne tony wypowiedzi, dzieląc je na dwie kategorie, świadczące o winie bądź niewinności oskarżonej.

Po pierwsze, istniały dowody niewłaściwego traktowania Marianne przez Richarda.

Po drugie, większość zeznań świadczyła wyraźnie o charakterach i wiarygodności służby.

Wreszcie po trzecie, znane były szczegóły z ostatniego dnia pobytu Marianne razem z dzieckiem we dworze, jak też skierowanej przeciwko niej agresji i ewidentnego terroryzowania prowadzącego do załamania nerwowego. Nie będąc w pełni władz umysłowych, nie mogła się sama bronić, stąd też uznana została winną. Już w chwili wyrzucenia z domu musiała być przynajmniej chwilowo obłąkana. Ostatnia doba pobytu Marianne w Mount Talbot, pieczołowicie zrekonstruowana przez Johna Pageta, najwyraźniej dowodziła prawdziwego charakteru Richarda Talbota. Fakty obciążały go do tego stopnia, że aż trudno było nie wierzyć, że traktował żonę jak sadysta.

I ja podsumowałam wydarzenia z dziewiętnastego i dwudziestego maja 1852 roku.

Wyglądało na to, że motorem wszelkich poczynań był Halloran, niedawno zatrudniony majordomus. Dlatego ważne wydało mi się pytanie, kim w istocie był ten człowiek. Uderzyło mnie, że jego przeszłość stanowi jeden gigantyczny chaos obejmujący powrót z Ameryki do Irlandii w roku 1847, a więc w okresie Wielkiego Głodu. Nie mogłam się powstrzymać i przepisałam do notatnika listę jego wcześniejszych pracodawców, mimo że nie mieli żadnego znaczenia w historii Marianne, ale z pewnością znacząca była ich liczba. Większość zaliczała się do ginącej już wtedy klasy protestanckich rodzin posiadających na własność ziemię bądź prowadzących handlowe interesy w Irlandii przed uzyskaniem niepodległości. Nosili angielskie lub anglo-irlandzkie nazwiska rodów, których prawdopodobnie jedyny kontakt z takimi jak de Burca sprowadzał się do stosunków między panem a sługą bądź pracodawcą a pracownikiem.

Mogłam sobie wyobrazić, ile kłopotów pokrętna kariera Hallorana musiała przynieść jego kolejnym zwierzchnikom; przetrawiałam w myślach rodzaje demonów, jakie nim kierowały, i rozmyślałam ze współczuciem o tym dziwnym partnerstwie, które połączyło go z podobnym wyrzutkiem, Finnertym, nie mogłam tylko zrozumieć przyczyn okrucieństwa wobec Marianne. Nie znalazłam żadnej wskazówki, aby kiedykolwiek mogła mu wyrządzić jakąś krzywdę. Dlaczego więc Halloran przeprowadził jej upadek? Z zazdrości o względy, jakimi cieszył się u niej Mullan? A może i on, i Finnerty, i zapewne także Richard Talbot po prostu gardzili kobietami? Stosunek Richarda do Marianne przez cały okres małżeństwa pozwalał wnioskować o pogardzie. O Finnertym nie wiedziałam nic poza tym, że ilekroć w dokumentach pojawiała się nazwisko Hallorana, on również był wymieniany. Paget pisał:

W ciągu pięciu ostatnich lat Halloran aż dziewięć razy zmieniał pracodawców. Trzy miesiące służył u pana Blackburna. Trzy miesiące u pana Pollocka (został wydalony za pijaństwo). Trzy miesiące u pana Plulgate'a (także wydalony za pijaństwo). Sześć miesięcy u pana Verschoyle'a. Sześć miesięcy u pana Gabbeta. Cztery dni u pana Studdarta. Tydzień u pułkownika Smitha (ponownie wydalony za pijaństwo). Sześć miesięcy u pana Brennana. Był zatem w służbie przez dwadzieścia siedem miesięcy i jednaście dni na sześćdziesiąt miesięcy owych pięciu lat. Nie chce odpowiedzieć na pytanie, czy służbę u pana Gabbeta otrzymał na podstawie fałszywych referencji. Przyznaje się do znajomości z mężczyzną o nazwisku Maginnis, nie chce jednak powiedzieć, czy to od niego uzyskał sfałszowane referencje. Odmawia także odpowiedzi na pytanie, czy również u pana

Studdarta otrzymał pracę na podstawie fałszywych referencji. Ale potwierdza, że został skazany na trzy miesiące pobytu w Richmond Bridewell za fałszerstwa i że wstąpił na służbę u pana Talbota zaledwie miesiąc po wyjściu z więzienia...

Karę więzienia zakończył niespełna miesiąc przed wstąpieniem na służbę u pana Talbota, gdzie pracował ledwie kilka tygodni - do czasu otrzymania zwolnienia za pijaństwo...

Jak to możliwe, żeby ktoś tego pokroju osiągnął taką pozycję, by trzymać los Marianne w swoich rękach?

Tegoż majowego popołudnia majordomus - jak zwykle w towarzystwie nieodłącznego lokaja, Finnerty'ego - udał się do szynku tuż za murami posiadłości. Sprzątaczką zeznawała:

Halloran oświadczył mi, że kupił Mullanowi miarkę ponczu i pił go u Kelly'ego, mając rozkaz sprowadzić go z powrotem do Mount Talbot.

Słudzy zaprowadzili pijanego Mullana do jego izby. Potem zaczęli łązić za Marianne spacerującą z córką, aż zauważyli, że kieruje się do pokoiku nad stajnią. Paget pisał:

Zostało dowiedzione, iż pani Talbot miała zwyczaj, bądź to w towarzystwie dziecka, bądź jednej z pokojówek, od czasu do czasu wizytować wszystkie pokoje zajmowane przez służbę, aby się upewnić, że jest tam zachowana czystość i porządek (wydaje się, iż stałe nadzorowanie obyczajów służby domowej w Irlandii było koniecznością)...

Zamknęli Marianne w izbie Mullana, a następnie wezwali Richarda. Ten zaś oskarżył żonę o cudzołóstwo i zabrał dziecko.

Pokojówka zeznawała:

Pan Talbot przed wyjazdem z Mount Talbot zostawił na skrawku papieru bardzo małą (nie wystarczającą nawet na jeden posiłek) porcję herbaty i kilka grudek cukru dla pani Talbot. Kiedy weszłam do jej pokoju na piętrze, płakała; przejawiała wszelkie symptomy głębokiej rozpacz i załamania psychicznego. Powiedziała mi, że zapewne oszaleje. Finnerty i Halloran pozamykali wszystkie drzwi i nie pozwalali nikomu zobaczyć się z panią Talbot.

John Paget relacjonował:

Pan Talbot spakował rzeczy i udał się z dzieckiem do administratora majątku, któremu zostawił 20 funtów na wydatki związane z usunięciem pani Talbot z domu, małą porcję herbaty i cukru dla niej na śniadanie oraz 9 funtów i 12 szylingów należnej zapłaty za służbę Mullana.

Pan Talbot sprawiał wrażenie człowieka działającego w szoku, ale zdumiewająco spokojnego i opanowanego...

Zatem Richard zostawił Marianne - zabrawszy jej dziecko - zamkniętą na noc w sypialni w wielkim domu, pod okiem dwóch niebezpiecznych łajdaków, jak też w towarzystwie Mullana, który był prawdopodobnie zbyt pijany, aby jej pomóc. Jako główny argument świadczący o niesłusznym oskarżeniu Paget przytaczał metody, jakimi Marianne była tej nocy terroryzowana - zwłaszcza przez Hallorana, którego pokojówka nieraz widziała przy łóżku pani, trzymającego ją za nogi (co nasuwa podejrzenie o gwałt) - w celu doprowadzenia jej do obłędu. Podsumowywał:

W środku dnia bez żadnego ostrzeżenia ta niewinna, słaba, będąca jeszcze dzieckiem kobieta została nagle brutalnie oskarżona o cudzołóstwo przez męża w obecności trzech służących; zabrano jej dziecko, z którym nie rozstawała się nawet na krótko od chwili jego narodzin; została zamknięta pod nadzorem oskarżającego ją człowieka; nakłaniano ją, aby opuściła majątek razem z domniemanym kochankiem; pozostawiona w towarzystwie pijanych Hallorana, Finnerty'ego i Mullana musiała znosić pogrożki Hallorana. Sprzeciwiała się gwałtownie, mówiąc o swej niewinności i siłą próbując odzyskać dostęp do męża. Kiedy to nie dało rezultatu, zagroziła, iż rzuci się z okna.

Jej cierpienia trwały osiemnaście godzin do czasu przybycia pana McClellanda, miejscowego proboszcza, który - jak sam mówi - od razu zaczął jej robić „wymówki za zbrodniczy związek z Mullanem”.

McClelland zajął się organizacją jej wyjazdu. Tymczasem po raz ostatni na scenę wkroczyła złowieszcza para, Halloran i Finnerty:

Peter Conboy, będący stróżem w Mount Talbot, przysięga, iż po południu tegoż dnia, około pół godziny przed odjazdem pani Talbot, wpuścił przez bramę na teren majątku Hallorana i Finnerty'ego: obaj byli tego podchmieleni, „zataczali się, podchodząc do bramy”. „Finnerty nic nie powiedział, tylko się uśmiechał. A Halloran zapytał, czy pani Talbot już wyjechała. Odpowiedziałem, że jeszcze nie. Na to on: «Cóż, jeśli się nie wyniesie, póki się nie uwalę, to ją wywlokę stamtąd jak psa»”.

John Paget zeznał ponadto, że tuż przed odjazdem Marianne Halloran usiłował skraść jej kufer z ubraniami załadowany przez zarządcę majątku do powozu, jako że znaleziono go w jego komórce.

Po przeczytaniu broszury byłam gotowa w całości przyjąć argumenty Johna Pageta. Nietrudno było postradać zmysły po tym wszystkim, co spotkało Marianne Talbot. Osiemnaście godzin! Bez ukochanej córki! W tym świetle trudno było dać wiarę w jej tak zwane wyznanie. Niewiarygodne wydawały się również wszelkie zeznania świadczące przeciwko niej.

Znów wstałam, podeszłam do wysokiego okna w głębi sali i wyjrzałam na stłoczone dachy i boczne uliczki Ballygall.

W całej tej sprawie niektóre rzeczy nadal wydawały mi się dziwne.

Chociażby to jedno zdanie, z pozoru mało istotne, które jakby wśliznęło się do podsumowania Johna Pageta:

...nakłaniano ją, aby opuściła majątek razem z domniemanym kochankiem...

A trochę wcześniej Paget pisał:

Wygląda na to, iż Halloran i Finnerty działali wedle założenia, że jeśli tylko będzie to możliwe, mają wyprawić swoją panią ze dworu RAZEM Z MULLANEM, a 20 funtów miało posłużyć temu właśnie celowi.

O co więc chodziło? Oczywiście byłoby najwygodniej dla Richarda Talbota, gdyby Marianne uciekła z Mullanem; oszczędziłoby mu to kłopotów i wydatków związanych z koniecznością ukrycia jej, przedstawiania sprawy przed sądem i unikania podejrzeń wszystkich Johnów Pagetów tego świata. Na jakiej podstawie jednak sądził, że jest to możliwe? Czyżby naprawdę podejrzewał żonę o niewierność? W jakim stopniu prawdopodobna była ucieczka Marianne od męża?

Nie mogłam w to uwierzyć. Nikt nie podawał w wątpliwość jej macierzyńskiej miłości. Na pewno nie zostawiłaby córki. Wszyscy świadkowie, których Paget cytował, zeznawali pod przysięgą, iż nie istniał żaden

powód do podejrzeń, że Marianne kiedykolwiek brała pod rozwagę możliwość nawiązania romansu, nie mówiąc już o zdradzie małżeńskiej.

Czy nie mógł jednakże istnieć - mimo wszelkich barier klasowych - jakiś rodzaj całkiem niewinnej, pełnej współczucia sympatii ze strony człowieka, który opiekował się jej końmi, kierował powozem i prowadził jej córeczkę na osiołku? Czy Mullana nie mógł poruszyć sposób, w jaki ją potraktowano? Czy *nie próbował przynosić jedzenia, gdy widział, jak mąż wszystkiego jej skąpił?* Może po prostu grubianie w rodzaju Richarda Talbota i Hallorana źle pojęli jego troskliwość?

Nie było szans, aby poznać prawdę.

Przynajmniej na razie musiałam się zgodzić z trzeźwymi wywodami Johna Pageta w tej najbardziej poruszającej dla mnie kwestii:

Owej straszliwej nocy, kiedy objawił się odrażający spiszek przeciwko pani Talbot, porzuconej przez męża i narażonej na najgorsze zniewagi palających pożądaniem pijanych sług, kiedy zostawione przez niego pieniądze podsycaly atmosferę trwogi gromadzącej się nad jej głową przez osiemnaście godzin, aby zmusić ją do rzucenia się w ramiona człowieka, z którym wedle pomówień łączyła ją gorąca namiętność - czy zdecydowała się z nim uciec? Nie.

To jedno słowo jest wystarczającym dowodem jej niewinności i głębi potwornej winy tych, którzy ją oskarżyli.

W czytelnicy kilkakrotnie to robiło się ciemniej, to znów się rozjaśniało, ale ja byłam zbyt pochłonięta, by zwracać na to uwagę. Wreszcie staruszek wstał zza biurka, podszedł i rzekł cicho, kładąc mi dłoń na ramieniu:

- Proszę wybaczyć, ale niedługo zamykamy. W soboty pracujemy krócej.

Nie chciałam jeszcze oddawać broszury. Marzyło mi się, aby mieć ją przy sobie, dopóki wszystkiego nie przemyślę i nie wyrobię własnej opinii o przedstawionych w niej faktach.

- Czy będę mogła jeszcze raz do niej zajrzeć? - spytałam szeptem.

- Proszę się z tym zwrócić do panny Leech - odparł. - Obawiam się, że teraz muszę zamknąć broszurę w sejfie.

Rozejrzałam się, aby mieć pewność, że nikt na mnie nie patrzy, po czym ukradkiem pocałowałam wypłowiałą obwolutę - za wszystkie zamknięte w niej tragedie.

Następnie oddałam broszurę i na miękkich nogach wyszłam z biblioteki.

Zatrzymałam się na szczycie schodów i spoglądając na rynek Ballygall, oddychając głęboko rześkim wieczornym powietrzem, czekałam parę chwil - jak zawsze po wyjściu z biblioteki - by oderwać się od tego, o czym przed chwilą czytałam, i powrócić do realnego świata. Było ciepło, czuło się już nadejście lata. Przez plac, obok rozsypującej się bramy majątku Mount Talbot, powoli przesuwawa się kolumna samochodów wjeżdżających na parking supermarketu.

Uświadomiłam sobie nagle z silnym dreszczem emocji, że nie tylko stoję przed biblioteką, w której czytałam o minionych zdarzeniach. Właśnie tu się to wszystko rozegrało! Biblioteka znajdowała się w dawnym gmachu sądu, w którym bywał Richard Talbot pełniący funkcję sędziego okręgowego. Zapewne chodził po tych samych wyszlizganych kamiennych stopniach. I dokładnie przez tamtą bramę po drugiej stronie rynku wyjeżdżał z dworu powóz z pohańbioną Marianne, szczelnie opatuloną w płaszcz, w towarzystwie wielebnego

McClellanda, siedzącego zapewne jak najdalej od niej. Kiedy konie klusem dotarły aleją do bramy, woźnica ściągnął lejce, wyprowadził je na ulicę, po czym strzelił z bata i skręcił w prawo, ruszając w długą podróż do stacji kolejowej. A Marianne z pewnością popatrzyła wtedy po raz ostatni na ten rynek oczyma podkrążonymi od płaczu po stracie ukochanej córki, własnego bezpieczeństwa i rodzinnego szczęścia. Musiała z całej siły nerwowo splatać palce na kolanach. Teraz zaś, rozmyślając o tym, nie potrafiłam ocenić, co w jej życiu mogło być bardziej tragiczne - oszołomienie owym koszmarem, który całkowicie odmienił jej życie, jeśli była niewinna, czy też rozpacz po rozstaniu z córką oraz ukochanym, którego miłowała ponad wszystko, jeśli była winna.

Tak czy inaczej, nie zmieniało to faktu, że w roku 1848 powozem Talbota zaprzężonym w dumnie kroczące rumaki wjechała na ten rynek przybyła z Anglii młoda kobieta, zdrowa, pełna sił, dobrze urządzona i bezpieczna - siedząca obok niańki trzymającej na kolanach jej małą córeczkę. Być może głośno westchnęła ze współczuciem na widok żebraków tłoczących się przed bramą majątku, zbyt wycieńczonych nawet na to, by podnieść głowy i spojrzeć na skręcający w aleję powóz. Ostatecznie to byli żebracy jej męża. Zapewne skrzywiła się też z niesmakiem. Ja zawsze się krzywiłam, ilekroć w Afryce lub Azji wychodziłam w zapadającym zmierzchu przed nędznie oświetloną halą lotniska i od razu spostrzegałam czy to sunącego w moim kierunku, zapierającego się rękoma o ziemię beznogiego kalekę, karła ciągnącego mnie za rękaw, wyciągającą rękę niewidomą kobietę, czy też obdarte dzieci sprytne niczym szczury.

W dniu przybycia Marianne nikt nie mógł przewidzieć, że zaledwie cztery lata później będzie wyjeżdżała tą samą bramą jako kobieta upadła, co najmniej tak samo nieszczęśliwa, jak otaczający powóz nędzarze, a zapewne jeszcze bardziej od nich zdesperowana. Być może i wtedy ją błagali: „Zrób coś dla nas, pani! Pomóż nam!”. Ona zaś nie miała się do kogo zwrócić o współczucie.

I dlaczego została doprowadzona do tego stanu? Co Richard Talbot na tym zyskał? Odebrał jej dziecko i pozbawił wolności, skazując ją na dożywocie w windsorskim przytułku. Najpierw tylko z braku serca, a potem już w pełni rozmyślnie, krok po kroku, terroryzował ją, póki nie postradała zmysłów. Z majątku pozostały tylko porośnięte bluszczem mury, ogrody zamieniły się w gęszcz zarośli, a podwórza w błotniste bajora. W miejscu wielkiego sadu rozciągał się pas zachwaszczonych nieużytków ze zdziczałymi krzewami za pordzewiałą furtką ogrodzenia. Dom zniknął z powierzchni ziemi. Zniknęły pola uprawne. O Talbotach nie pamiętał dziś nikt z uśmiechniętych irlandzkich rodzin stojących w kolejce do supermarketu, z dziećmi w bejsbolowych czapczkach wychylającymi się z okien samochodów i machającymi do przechodniów.

Doprowadzając żonę do szaleństwa, Richard Talbot pragnął zapewnić sobie bogactwo i rozślawić swój ród. Ale wymierzona jej kara na nic się nie zdała. Talbotowie już wówczas znajdowali się na drodze wiodącej poza nawias historii zarówno Irlandii, jak i całego świata. Poświęcenie biednej Marianne nie zapobiegło jego upadkowi. Zniszczył żonę, okazało się jednak, że ma to takie samo znaczenie, jak rozdeptanie motyla. Na końcu broszury John Paget informował czytelników, że Marianne mieszka w jego domu od chwili, gdy uwolnił ją z przytułku w Windsorze, i że *pośród ruin jej intelektu nie da się odkryć żadnego śladu płochości i nieczystości, bo wszystko tam jest po dziecinnemu jasne i proste...*

Nie ma żadnych trwałych miast! Na wspomnienie tego cytatu z Biblii mimowolnie zacisnęłam pięści. Zbiegłam po schodach i ruszyłam truchtem ulicą, aż torebka z ciężkim notatnikiem obijała mi się o biodro. Pragnęłam jak najszybciej znaleźć się w jasno oświetlonej przytulnej kuchni Bertiego. Chciałam powiedzieć

wszystkim - Aleksowi, Bertiemu, Caroline, Norze: No, zgadnij! Tylko zgadnij! Ona była niewinna! Marianne Talbot wcale nie była libertynką! Tylko posłuchaj!

Ale jedyną osobą, z którą mogłam porozmawiać tego wieczoru, okazał się Bertie. Podekscytowana, nie przewidziałam bynajmniej jego reakcji.

- Moja historia Talbotów zabrnęła w ślepią uliczkę - powiedziałam. - Wygląda na to, że ona wcale tego nie zrobiła.

- Czego?

- Nie dopuściła się cudzołóstwa ze służącym.

- Bogu niech będą dzięki - odrzekł z pasją Bertie i się przeżegnał.

Zareagował spontanicznie.

Ośluśniałam. Nie przyszło mi nawet do głowy, że dla wierzących katolików śmierć wcale nie musi oznaczać końca udręki biednej Marianne, która nadal może odbywać karę za grzechy popełnione w życiu doczesnym, na tamtym świecie skazana na cierpienie przez całą wieczność.

Kiedy wieczorem w swoim pokoju włączyłam laptopa, żeby zapisać moje spostrzeżenia, jak zwykle kątem oka dostrzegłam własne odbicie w starym poszarzałym lustrze. Ilekroć wyławiałam jakiś ruch w przestrzeni tego bezkresnego akwarium, tylekroć wyobrażałam sobie, że po drugiej stronie lustra znajduje się Marianne usiłująca nawiązać ze mną kontakt. Porozdzielałam wszystkie cytaty na trzy kategorie: zeznania służby, poświęcające winę bądź niewinność oskarżonej; stosunek Richarda do Marianne; wydarzenia ostatniego dnia jej pobytu w Mount Talbot.

Później utworzyłam czwartą kategorię: William Mullan. Po namyśle, chcąc mu okazać odrobinę szacunku, dopisałam przed nazwiskiem: Szanowny.

Kiedy John Paget zainteresował się sprawą swojej zniesławionej kuzynki, wyruszył na jej poszukiwania do Irlandii - nie wiedział wtedy jeszcze, że przebywa ona w odosobnieniu w Windsorze. Rankiem czternastego sierpnia 1852 roku zapisał:

Rozmawiałem na podwórzu gospody w Athlone z człowiekiem, który przywiózł nas tu poprzedniego dnia. W trakcie rozmowy okazało się, że ów mężczyzna, nie mogący żadnym sposobem wiedzieć o celu naszego przyjazdu, znał Mullana. Wyznał, że rankiem dwudziestego maja Mullan, który zjawił się na tymże podwórzu gospody w Athlone, opowiedział mu o awanturze w Mount Talbot, tłumacząc, iż przyczyniła się do niej „zła wola i niechęć reszty służby”; mówił, że córeczka państwa wybiegła bez butów na podwórze, aby nakarmić kurczęta, a gdy ojciec ją skrzyczał, że przemoczy nogi, pani Talbot zaprowadziła dziecko do jego izby, żeby tam wysuszyć jej pończochy przy ogniu, on tymczasem czyścił swoje rzeczy w drugim końcu pokoju; powiedział: „Nigdy nie myślałem o swojej pani więcej niżli ty, panie”.

Nigdy wcześniej nie natknęłam się na nic bardziej zbliżonego do opinii samego Mullana.

Myłam zęby w łazience, kiedy poraziło mnie nagle skojarzenie.

Jeśli naprawdę nic nie było pomiędzy Marianne i Williamem, to dlaczego pojechał za nią na Dominick Street w Dublinie? Co napisał w zaadresowanym do niej liście? I po co później stał na ulicy, czekając na odpowiedź? Dlaczego w ogóle zadał sobie trud odszukania jej, skoro chciał jedynie dowieść swej niewinności?

Wróciłam do pokoju i sięgnęłam po notatki dotyczące Mullana.

W *Protokole* lord kanclerz wyszydział wniosek Richarda, który domagał się od Mullana dwóch tysięcy funtów rekompensaty za poniesione straty.

Jest to odszkodowanie jedynie nominalne. Oskarżony wyjechał do Ameryki i sądząc po jego życiowej pozycji, nie mógłby zapłacić nawet dwóch tysięcy pensów.

Jednakże John Paget ukazywał jego wyjazd w zupełnie innym świetle:

Po bezskutecznych próbach uzyskania możliwości rozmowy ze swoją panią Mullan zwrócił się o pomoc do adwokata w celu obrony przed oskarżeniami o zbrodnicze działania wniesionymi przeciwko niemu przez jego pana; i temuż adwokatowi przedstawił niewinność jego pani, i swoją własną, podobnie jak poprzednio opowiadał znajomemu woźnicy. Zmuszony był jednak zrezygnować z obrony, przekonawszy się, że wszystkie pieniądze, jakie mógłby uciulać na ten cel, są śmiesznie małe w porównaniu z kosztami obrony przed sądem. Dlatego też wstąpił na pokład statku, który miał go wywieźć z ojczyzny, a żegnając się wcześniej z krewnymi, szczerze i z wielkim naciskiem deklarował niewinność swojej pani.

Położyłam się do łóżka.

Skąd Paget mógł to wiedzieć? - pomyślałam, ułożywszy się wygodnie. Z kim rozmawiał? A może to tylko taka *licentia poetka* na zakończenie opowieści? Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że wypytywani przez niego Irlandczycy mogli mu mówić tylko to, co, ich zdaniem, chciał usłyszeć? Zatem pewne było jedynie, że Mullan wyemigrował. Ja sama wkraczałam na pokład promu i żegnałam się z ojczystym krajem, mając dwadzieścia lat. Niczego jednak nie pamiętałam. Nie zauważyłam nawet, kiedy wyszliśmy z portu, tak bardzo byłam pełna rozgoryczenia i łez, oszołomiona wódką..

Usłyszałam w holu na dole ciężkie stapania Bertiego i brzęk żelaznej sztaby blokującej drzwi wejściowe - sztaby McClellanda. Przyszło mi do głowy, że może odzyskam klarowność myśli, jeśli się wyniosę z tego domu, gdzie nienawidzący Marianne proboszcz chodził po tych samych parkietach, dotykał tych samych boazerii i tak samo zamykał na noc okiennice. Tak, przewodniczka mogła mi tylko pomóc. Felix był najwyraźniej człowiekiem młodym, trzeźwo myślącym, otwartym na świat, a więc w jego domu z pewnością nie kryły się żadne duchy w lustrze. Poza tym czekała tam na mnie Spot, przyjacielski terier, z którym powinnam czuć się bezpiecznie.

Usiłowałam się oderwać od smutnych rozważań, ale wciąż wypływały z mej pamięci wspomnienia tamtych chwil, gdy jeszcze jako młoda dziewczyna po raz pierwszy kartkowałam kserokopię *Protokołu*, leżąc w łóżku ukochanego - wydawało mi się wtedy, że Marianne i Mullan byli namiętными kochankami, tak samo jak ja i Hugo. Do tej pory nie mogłam się uwolnić od wizji Mullana czekającego na tonącej w mroku dublińskiej Dominick Street. Okna w kamienicach w stylu króla Jerzego, do których z pewnością zaliczał się Coffey's Hotel, były na tyle nisko osadzone i wysokie, że jeśli Marianne stanęła w jednym z nich - pochylając się do kochanka czy wykrzykując imię Mab - z ulicy musiał ją widzieć niemal całą. Jej sylwetka wypełniłaby okno, jak gdyby zamknięta w ramach portretu. A i ona musiałaby go spostrzec, gdyby popatrzyła w dół. To byłoby najgorsze, tak widzieć się nawzajem od stóp do głów, rozdzielonych pozornie tylko wąską uliczką i kilkoma tafiami szkła, a nie bezdusznymi zapisami prawa służącymi rozdzieleniu kobiety i mężczyzny, wszelkimi konwenansami i wszelkimi możliwymi względami praktycznymi.

Co na ten temat było w *Protokole*? List Mullana został przekazany w ręce pana McClellanda pełniącego funkcję jej opiekuna, on zaś przeczytał, natychmiast go zniszczył, nie pozwalając jej go zobaczyć. Marianne bardzo chciała przeczytać list. Potem wyraziła chęć spotkania się z Mullanem. Utkwiło mi w pamięci użyte przez sędziego sformułowanie, że *zapałała gorącym pragnieniem* zobaczenia Williama - po czym poprosiła jeszcze o coś więcej, powiedziała: „...bardzo bym chciała wyjechać razem z nim do Ameryki”. Czy wpadła na ten pomysł dopiero w ostatniej chwili, kiedy już wszystko utraciła i nie widziała dla siebie żadnej przyszłości w ojczyźnie? Czy też od dawna marzyła o wyjeździe z Mullanem? A może awanturnicy z jej otoczenia, Halloran i Richard Talbot, zaszczepili ten pomysł w jej mętnym umyśle, pragnąc, by właśnie tak postąpiła?

Muszę jeszcze poczekać, orzekłam w duchu. Pozwolę sobie wypocząć według zasady sprzeczności, jaką doradzał Keats. Negatywne umiejętności: „Kiedy człowiek jest w stanie znieść niepewność, tajemnicę czy wątpliwości bez irytującego odwoływania się do logiki bądź zdrowego rozsądku...”

Zmusiłam się jednak, żeby jeszcze wstać z łóżka i wpisać ostatni cytat. Umieściłam go na samym początku mojej opowieści, przed pierwszym jej zdaniem.

W *Protokole* nadmieniono, że po kilku dniach spędzonych w Coffey's Hotel Marianne została przeniesiona do schroniska przy Rathgar Road na przedmieściach Dublina, gdzie przebywała pod opieką pielęgniarki. Zakładałam, że wywieziono ją z hotelu po to, by nie znalazł jej ani Mullan, ani ktokolwiek inny, kto by jej szukał. Ale według zeznań właścicielki schroniska przyczyną była choroba pani Talbot.

Pielęgniarka, która jej strzegła przy Rathgar Road, została wezwana do Izby Lordów w celu złożenia zeznań, podobnie jak właścicielka schroniska.

Wyjaśniła ona, że próbowała ustrzec Marianne przed rozmową z gospodynią, gdyż ta była nadzwyczaj spostrzegawcza. *Zabraniałam pani Talbot chodzić na herbatę do kobiety, u której wynajmowałyśmy pokój w Rathgar i która o wszystko wypytywała...* Jej podopieczna jednak kontaktowała się z właścicielką i ta w zeznaniach powiedziała, że Marianne rozmawiała z nią bardzo szczerze i wyraziła się, że była - co moim zdaniem świadczyło o stosunkach intymnych - ze stajennym.

Ujęłam to w formie pytania i odpowiedzi:

Sędzia: *Nazwała go stajennym?*

Gospodyni: *Tak, ze stajennym. Mówiła, że poszła z nim, a on jej powiedział, że mógłby mieć z nią dziecko, gdyby zechciała z nim zostać. Dodała, iż jego objęcia były czulsze niż objęcia męża... Pani Talbot wyznała też, że bardzo pragnęłaby mieć kogoś kochanego, choć muszę powiedzieć, że niezbyt pojmuję, co przez to rozumiała.*

Zależało mi właśnie na tym ostatnim zdaniu. Co prawda, jego znaczenie pozostawało trochę niejasne, ale ja je rozumiałam. Byłam dumna, że mogłam zacytować wypowiedź samej Marianne. I robiła na mnie wrażenie prostota tej wypowiedzi. Właścicielka schroniska nie mogła pojąć, co pani Talbot miała na myśli. A przecież ta żywa, prawdziwa kobieta - bez względu na to, winna czy nie, zdrowa czy obłąkana - wypowiedziała wówczas słowa płynące prosto z serca: *Chciałabym mieć kogoś kochanego.*

Obudziłam się dręczona pytaniem, czy Marianne Talbot kochała męża. To jasne, że Richard nie mógł sam wymyślić opisanej ze szczegółami sytuacji, w której posłała dziecko, by ucałowało innego mężczyznę, po czym sama je pocałowała. A jeśli znał ją tak dobrze, ponieważ Marianne wysłała Mab właśnie do niego? Więc może naprawdę go kochała, skoro zdecydowała się wykorzystać córkę w roli posłańca? Miałam wrażenie, że młoda małżonka mogła się uciec do takiego wybiegu, zwłaszcza że spotykała się z obojętnością czy nawet wrogością.

Przyszło mi do głowy, że coś takiego pasowałoby do mojej matki. W każdym razie nie mogłam jej posądzać o afektację. Była tak samo milcząca wobec męża, jak i wobec innych ludzi.

Ulegała mu jednak. No i wytrwała przy nim do końca.

Poszłam pod prysznic. Ustawiłam trochę za zimną wodę, lecz po namyśle postanowiłam jej nie zmieniać.

Wszystko wskazywało na to, że Marianne przebywała w swoim pokoju najdłużej, jak mogła. W przestronnej sypialni na pewno było jeszcze zimniej niż w naszym domu w Shore Road. Znacznie zimniej. W wielkich ziemiańskich dworakach było tyle pustej przestrzeni, że nigdy nie dało się odpowiednio ogrzać pomieszczeń. Nawet latem powietrze w ogromnych salach czy też w wysoko sklepionych korytarzach musiało być wiecznie chłodne. Palono wprawdzie w kominkach, ale bryły torfu żarzącego się w płytkich paleniskach oddzielonych masywnymi kutymi kratami dawały niewiele ciepła, a wilgotne trzaskające szczapy... Zaraz! Wcale nie jest pewne, czy Richard pozwalał palić w sypialni żony. Jeśli specjalnie dbał o to, by odczuwała niedostatek żywności, równie dobrze mógł jej wydzielać opał.

Może dlatego tę biedną kobietę przyciągał ogień palący się w izbie Williama.

„Córka przemoczyła pończochy, Mullan!” - mogła zawołać piskliwym, spiętym głosem. - „Chcemy je wysuszyć przy twoim piecyku!”.

A potem próbowała ukryć drżenie ramion, stojąc razem z córką przy gorejącym ogniu i z ulgą spoglądając na płomienie, których czerwony blask kładł się na jej bladych policzkach, a przyjemne ciepło rozchodziło się po całym ciele...

Moja matka przez pięć nocy w tygodniu mogła się w łóżku ogrzać jedynie własnym oddechem. Jej miejsce pośrodku wygniecionego materaca wcale nie było wygrzane, chociaż spędzała w łóżku dużo czasu. Wychładzało się za dnia, kiedy w całym domu słychać było jedynie kapanie wody z kranu w kuchni i tykanie wielkiego budzika ojca stojącego na półce nad piecem, gdy przebywało się tam samemu. Dobrze o tym wiedziałam, bo pod nieobecność matki - już nie pamiętam, czy wtedy poroniła, czy urodziła kolejne martwe dziecko - zakradłam się do sypialni rodziców, stanęłam przy łóżku i zaczęłam nasłuchiwać, co ona może słyszeć. Do pokoju nie docierał nawet szum morza, a przynajmniej tamtego dnia go nie słyszałam.

Mama przynajmniej nie musiała się odzywać. Nikt nie odwiedzał naszego domu, wyłączwszy wujka Neda oraz panią Bates, jeśli coś złego działo się z dziećmi. A zatem musiała być straszliwie samotna. Łatwo się było tego domyślić po sposobie, w jaki wyobrażała sobie bohaterów czytanych książek czy też oglądała telewi-

zję, z wyczekiwaniem i olbrzymim zaciekawieniem, jakby osobiście coś ją łączyło z tymi postaciami. Pamiętam, że gdy nadawano *Opowieść filadelfijską*, nabrałam obaw, że w ogóle przestanie oddychać. Zapewne nikt wtedy na nią nie patrzył, oprócz mnie, rzecz jasna. Ale dzieci się nie liczą.

Do jakiego stopnia Marianne była przywiązana do Mab? Czy córka naprawdę wszystko dla niej znaczyła? Nawet wtedy, gdy dorastała? Na pewno Mab była dla niej tym, czym ja byłabym dla mamy, gdybym nie miała rodzeństwa? Matka Sharon była dla mnie bardzo miła - często ścierała zmywakiem plamy z mojego szkolnego mundurka i wyciągała kawałki szynki z sałatki przygotowanej dla córki do porannej herbaty, żeby zrobić mi kanapkę. W takich sytuacjach ze szczególną goryczą myślałam o własnej matce. Wiecznie leżała w łóżku. Doprowadzała nas do szaleństwa swoim milczeniem. Za to gdy się już odezwała, miała coś ważnego do powiedzenia. Na przykład któregoś dnia oznajmiła, że Anna Karenina postąpiła słusznie, rzucając się pod pociąg, bo nie zostało jej nic innego, skoro Wroński ewidentnie zaczynał mieć jej dosyć. Pewnie trzeba by bardzo długo czekać, żeby matka Sharon powiedziała coś podobnego.

Kiedy wstawiałam w swoim mieszkaniu w suterenie, zazwyczaj szłam nago do kuchni i przygotowując sobie kubek mocnej herbaty z mlekiem, włączałam program trzeci w radiu, żeby posłuchać muzyki i dowiedzieć się, która godzina. Po wiecznej szarówce w pokoju trudno było ocenić porę dnia, a ja specjalnie unikałam patrzenia na zegarek, próbując odgadnąć godzinę. Bywało to o bardzo różnych porach; niekiedy miałam noce tak zawałone robotą, że kładłam się do łóżka dopiero o świcie; kiedy indziej wstawiałam o szóstej trzydziści czy siódmej. Często siadałam w fotelu z kubkiem herbaty i papierosem, by powoli oswoić się z nowym dniem. Bardzo mnie cieszyło, że los pozwolił mi mieszkać samej. Mogłam robić, co mi się żywnie podobało. Sama wybierałam muzykę w radiu. Jeśli nadymiłam w pokoju, to też tylko z własnego wyboru. Byłam pewna, że mnóstwo samotnych kobiet czyni swoje nieszczęśliwe życie znośnym jedynie poprzez dogadzanie sobie w wielu drobnych codziennych sprawach. Za to mężatki! Uff! Kiedy mężowie wracają z pracy, muszą odważnie prostować plecy niczym kelnerki podejmujące swoje obowiązki po krótkiej przerwie. Gdy Richard Talbot wkra-
czał do holu Mount Talbot, a za nim ciągnęła sfora psów myśliwskich, zapewne ciskał swoją szpicrutę na stół. Mój ojciec, przyjeżdżając do Shore Road około siódmej w piątkowe wieczory, najpierw ostrożnie i z pietyzmem wystawiał z bagażnika swoje rzeczy, a dopiero później witał się z nami. Następnie szedł z mamą do łóżka.

Któregoś razu Nora zapytała:

- Wiesz co, Kathleen?

- Co?

- Ona go jednak musi lubić.

- Zwariowałaś?

- To jedyne wytłumaczenie.

Było to w niedzielne popołudnie, kiedy rodzice zamknęli się w sypialni, a my zmywałyśmy naczynia w kuchni.

Przyjrzałam mu się wtedy uważnie, kiedy wyszedł z pokoju koło piątej. Czoło mu błyszczało od potu. Był w samych skarpetkach.

- Tato - mruknęła do niego Nora, która odrabiała lekcje przy kuchennym stole.

- Nie chcę słyszeć żadnego „tato” - odparł dość łagodnie. - Jestem zajęty.

Włączył radio, ustawił na gazecie cztery lakierowane pantofle i zaczął je starannie pastować na przyszły tydzień.

Mój kontakt z Caroline zerwał się po wyprowadzce z wynajmowanego mieszkania. Dotarły do mnie tylko wieści, że urodziła dziecko, któremu dała na imię Nat, i że we troje zamieszkali gdzieś na południowym brzegu Tamizy. Wreszcie przypomniała sobie o mnie, ale dopiero po czterech latach.

Nawet nie tyle się postarzała, ile pobladła, jakby była wycieńczona.

- On mnie rzucił - oznajmiła od progu. Oczy miała podkrążone od płaczu.

Nie zapytała nawet, co u mnie słyhać i jak mi się powodzi. Tylko od razu o tym przekłętym Ianie.

- Któregoś dnia zaproponował, żebyśmy wyszli na obiad. Wczoraj minęło trzy miesiące. Nie, przedwczoraj. Ucieszyłam się, bo rzadko wychodziliśmy z domu. Nie lubił zostawiać Nata samego na noc. No i w połowie obiadu wstał i rzekł po prostu: „Odchodzę od ciebie”. Zresztą, nie to jest najistotniejsze, Kathleen. Z rozstaniem bym się jeszcze pogodziła. Wyobraź sobie jednak, że nie powiedział nic więcej. Tylko odchodząc już od stolika, odwrócił się i dodał: „Nigdy cię nie kochałem. Nigdy”.

Przez wiele miesięcy słuchałam jej z cierpliwością, na jaką mnie było stać. Staralam się nawet rezygnować z niektórych wyjazdów. Siadałam przy stoliku w mojej suterenie, a Caroline zajmowała miejsce w fotelu tak blisko, że niemal stykałyśmy się kolanami.

Bardzo to przeżywała, aż mnie ścisnęła w dołku, jak na nią patrzyłam.

- Czuję się tak, jakby ktoś mi polał serce kwasem - mówiła. - I ten kwas ciągle się wżera.

W stosunku do niej idealnie pasowało powiedzenie, że była jedną wielką udreką. Wyniszczała ją ta sama moc, która kiedyś napełniła jej duszę uwielbieniem dla Iana.

Mogłam jej pomóc jedynie, powtarzając w kółko, że cierpienie kiedyś przeminie, ból przejdzie.

- Kiedy? Kiedy?

- Chyba nie sądzisz, że sprawię, iż będzie to trwało krócej niż musi, Caroline! Żebym nie wiem jak tego chciała.

Nat usadawiał się wygodnie między kolanami matki, ilekroć tylko zdążyła usiąść w fotelu. Rozdziwiał buzię z niezadowolenia i spoglądał na mnie z wyraźną urazą wielkimi oczami spod długich rzęs. Starał się jak mógł wypełnić sobą tę niewielką udostępnioną mu przestrzeń. Wiercił się bez przerwy, przesiadał z jednej nogi matki na drugą, usiłował się na nich huścić.

- Ja chcę do parku, mamó! Chodźmy do parku! - Caroline reagowała zazwyczaj dopiero po pewnym czasie.

- Ubieraj się, za minutę wychodzimy. No więc, co o tym sądzisz, Kathleen? Myślisz, że mnie kochał, tylko...

- Jezu! Caroline! Skąd mam wiedzieć?! Skoro ten łobuz powiedział, że nigdy cię nie kochał, należałoby sądzić, że została w nim jakaś resztką ludzkich uczuć.

Małżeństwo odcisnęło na niej jednak niezatarte piętno, bo popatrzyła na mnie z takim samym jawnym wyrzutem jak Nat. Nie wolno było powiedzieć jednego złego słowa o Ianie.

- Chodź, Nat - rzuciła, jakby to on się guzdrał. - Która godzina, Kathleen? Mam spotkanie...

Tamtej jesieni wyjechałam na krótko do Australii. Zadzwoiła do mnie w dniu mego powrotu.

- Kathleen! Gdy wróciłam do domu z zakupów u Sainsbury'ego, on na mnie czekał. Pierwszą rzeczą, która go zainteresowała, było to, dlaczego pozwoliłam ojcu zmienić samochód, nie zasięgnąwszy jego rady. Myślałam, że chce do nas wrócić! W każdym razie zaprowadził Nata do saloniku, włączył mu w telewizji filmy rysunkowe, a mnie dosłownie zawlókł na piętro, rzucił na łóżko i... Och, Kathleen! Nie masz pojęcia, jak było cudownie!

- I niech mi ktoś powie, że małżeństwo nie jest interesujące - odparłam. - Najwyraźniej tam, gdzie przebywał, wyczuł, że odzyskujesz dobry humor, więc wrócił, żeby cię znowu pogrążyć.

- Daj spokój, Kathleen. Potem wyskoczył z łóżka i oznajmił, że musi lecieć. Wybiegłam za nim na schody i złapałam go za rękę. Bojąc się, żeby Nat niczego nie usłyszał i nie wyszedł z pokoju, zapytałam cicho: „Jak możesz tak po prostu wyjść po tym, co się przed chwilą stało między nami?”. „A co się stało?”, spytał. „No, jak to?”, mruknęłam, naprawdę zmieszana, ale wydusiłam z siebie: „Przecież się kochaliśmy, uprawialiśmy wspaniałą seks”. „Według moich standardów to nie był seks, rzucił, to było jak ledwie satysfakcjonujące kichnięcie”.

Po tym zdarzeniu całkowicie zamknęła się w sobie. Najwyraźniej wystraszyłam jej matkę, bo całkowicie zaskoczyła Caroline propozycją, że zabierze na jakiś czas Nata do swego domku na wsi, żeby ona mogła odpocząć.

- Czy to nie cudowne, Kathleen? Mama mówi, że wszyscy jej przyjaciele potrafią się bawić z dziećmi, chociaż to nieprawda. Powiedziała, że może nawet przyjechać do miasta po małego, jeśli się boję długiej podróży samochodem.

I wtedy, po raz pierwszy od wielu miesięcy, uśmiechnęła się tak jak kiedyś.

- Och, Kathleen! Nat wreszcie pozna swoją babcie! Na pewno nie będzie mu tam niczego brakowało. Nat, skarbie, będziesz mógł w końcu poznać babcie!

Trzymałam go wtedy na kolanach. Obróciłam chłopca do siebie i dodałam:

- Nadchodzą twoje szczęśliwe dni, brzdącu.

To była jedna z tych rzeczy, o które bardzo chciałam zapytać psychoanalityka, bo wreszcie zdobyłam się na odwagę i zamówiłam wizytę - oczywiście nie podczas pierwszej rozmowy, ale nieco później, jak zdążymy się już trochę poznać. Co zamienia kobietę w wycieraczkę do butów? Co sprawia, że nagle dostrzega w innym, całkiem przeciętnym człowieku zapierającego dech w piersiach goliata? I skąd się bierze to straszne cierpienie po rozstaniu z ciemnym człowiekiem? Czy tego typu związki nie są trwałe, bo po prostu stoją w jawnej sprzeczności z codziennością? Moja matka była emocjonalnym odpowiednikiem wygasłego wulkanu... Oczywiście nie mogła odejść od męża z powodu ubóstwa, kolejnej ciąży, warunków w Irlandii. Zresztą i tak nie miałyby dokąd pójść. Czy gdyby jednak odeszła albo gdyby on ją porzucił, doszłaby kiedykolwiek do siebie jak Caroline?

Caro jednak trwała w rozpacz przez lata. Wcale nie było pewne, czy faktycznie doszła do siebie, ponieważ ukrywała prawdziwe uczucia za doskonałą imitacją dobrze wychowanej typowej przedstawicielki swojej klasy. Dopiero po długim czasie zdecydowała się wyjechać na wycieczkę do opery w Weronie z adwokatem należącym do jej towarzystwa. Ale z tego, co mi wiadomo, nie poszła z nim do łóżka. Nawet nie umiałam sobie

wyobrazić, że jeszcze z kimkolwiek to zrobi. A przecież była taką wspaniałą dziewczyną! Błyskotliwą, uroczą... Z chęcią zapytałabym psychoanalityka, czy to możliwe, żeby jakaś niepowetowana strata z dzieciństwa mogła uczynić człowieka aż tak wrażliwym na cierpienie. A może to wyobraźnia pozwala odbierać czyjaś wrogość jako rodzaj biologicznego wyzwania? Czy też raczej taki nadmiar uczuciowości jest formą narcyzmu?

Teraz już nie potrzebowałam fachowca, by odpowiedzieć sobie na te pytania. I nie pomógł mi w tym żaden potajemny trening. Teraz, gdy wracałam pamięcią do tamtych rozważań - myjąc zęby i ubierając się w tym samym zalanym słońcem zielonym pokoju w hotelu Bertiego - doszłam do wniosku, że udzielanie wyjaśnień drugiej osobie byłoby w równym stopniu olbrzymim błędem, jak i zaślepieniem. Bo teraz po prostu nie przyjąłabym na wiarę żadnej wersji tego świata wymyślonej przez psychoanalityka. Okrzepłam wyjątkowo szybko, w czasie mniej więcej równym mojej krótkiej znajomości z Shayem. Czułam się wtedy raczej uziemiona, jak to się potocznie mówi. Niewiele było rzeczy, o których miałam w pełni wyrobione zdanie. Uważałam na przykład, że czas jest trzecią stroną każdego związku, a więc w tym świetle w romansie Marianne z Mullanem najważniejsze było to, że trwał on trzy lata, stąd należało raczej wnioskować o miłości, a nie o wielkiej namiętności. Albo to, że mama i tata nie rozmawiali ze sobą i nie żartowali, jak ja z Shayem, musiało zmrażać duszę świadomością, że obok w łóżku leży osoba, która się w ogóle nie odzywa. Albo na przykład to, że jeśli byliśmy kochani w dzieciństwie, sami nauczyliśmy się kochać, z czego następnie wynikała potrzeba bycia kochanym. Nie miałam najmniejszej wątpliwości, że nagłe zacieśnienie kontaktów z matką było jednym z głównych elementów, które pomogły Caroline wyjść z dołka.

Nigdy o tym nie mówiła, a i ja nie zwracałam jej na to uwagi. Wtedy jeszcze sądziłam, że brak matczynej miłości w dzieciństwie, jak w jej wypadku, czyni człowieka szalenie wrażliwym na to wszystko, co ani trochę nie jest dla niego dobre. Potem, gdy się dorasta, zyskuje się przekonanie, że człowiek został pozbawiony czegoś, bo na to nie zasłużył. Nigdy nie wymagałam od nikogo tego, czego Caroline ode mnie - nie prosiłam, by ktokolwiek wysłuchiwał moich żalów i skarg po rozstaniu z Hugonem. Zwyczajnie usunęłam się w cień, żeby zapomnieć o miłości, jakby chodziło o jakiś straszliwy wypadek, który nie powinien się nikomu przydarzyć po raz drugi; no cóż, wpadłam do jamy pełnej żmij i dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, że ta jama tkwi we mnie samej.

Sądziłam też, że gdybym ja urodziła dziecko, dobrze bym wiedziała, jakich błędów nie wolno mi popełnić. Kochałabym je całym sercem, żeby mogło iść przez życie z uśmiechem i opanowaniem. Okazało się jednak, że nie wszystko ze mną jest w porządku. Kiedyś zobaczyłam na wystawie w którymś z muzeów w Waszyngtonie niemowlęce ubranko zrobione z całej, miękko wyprawionej foczej skóry. W czymś takim trzymało swoje dzieci plemię Inuitów mieszkające za kręgiem polarnym - taki miniaturowy kombinezon przypominający współczesne śpioszki, z doszytymi kieszeniami na rączki i nóżki. Wystarczyło włożyć do środka niemowlę i zasnurować rzemieniami rozcięcie z przodu. Pod pupę maleństwa podkładano kępkę mchu, a gdy została zabrudzona, łatwo ją było zmienić na inną. Widok tego niecodziennego becika od razu nasunął mi w myślach obraz niemowlęcia o chwiejącej się główce, gaworzącego i wymachującego rączkami i nóżkami. Niemalże czułam jedwabisty dotyk jego skóry na idealnie półkolistych różowych pośladkach. Właśnie wtedy, stojąc przed gablotą na wystawie, ostatecznie pogodziłam się z myślą, że coś takiego, jak dziecko Kathleen, nigdy nie

przyjdzie na świat, jakby te dwa słowa do siebie nie pasowały. Nawet się tym specjalnie nie przejęłam. Gdy opuszczałam dom rodzinny, niezbyt lubiłam małe dzieci.

Dopiero w późniejszym wieku zaczęły na mnie robić wrażenie nowo narodzone istoty. Byłam poruszona samym cudem narodzin, jak też małymi istotkami, ich rozmiarami, bezradnością i otwartością wobec całego otaczającego świata. Kiedyś w oceanarium Shedd w Chicago aż się popłakałam z zachwytu nad młodym waleniem, bielugą, baraszkującym jak samotny tancerz w wielkim basenie z mętną wodą. Jego biała skóra była jeszcze silnie pomarszczona w tych miejscach, gdzie po wyjściu z łona matki jak gdyby rozsuwał się niczym automatyczna teleskopowa parasolka. Podpłynął do tafli szkła i spojrzał na mnie niewinnymi ślepkami przypominającymi owoce czarnej porzeczki...

Jednocześnie z wiekiem coraz częściej zadawałam sobie pytanie o cel mojej egzystencji, skoro nie jest nim urodzenie dziecka. Co zrozumiałe, przy okazji zadawałam sobie też pytanie, jak to możliwe, iż żaden z miliardów mężczyzn na tym świecie nigdy nie zapragnął mieć ze mną dziecka. Przyszło mi na myśl, że może właśnie z tego powodu jestem bezpłodna - bo nikt nawet nie zechciał mnie zapłodnić.

W tajemnicy przed Jimmym poszłam na kilka dni do szpitala, aby poddać się testom na płodność. Wcałe nie próbowałam wtedy z nikim konkretnym zająć w ciążę, byłam jednak coraz bardziej zaniepokojona.

Ostatniego dnia pobytu w szpitalu zostałam wezwana na rozmowę do gabinetu starszego specjalisty.

- Sądzymy, że są to ślady po dawnej infekcji - rzekł, wskazując jakieś punkty na zdjęciu rentgenowskim moich jajników. - Czy to możliwe, że w dzieciństwie przechodziła pani nie zdiagnozowaną infekcję gruźliczą?

- W dzieciństwie mogłabym się pewnie nabawić nawet trądu, a w domu rodzinnym nikt by tego nie zauważył - odparłam.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Czy kiedykolwiek będę jeszcze mogła mieć dziecko? - zapytałam.

- My bardzo nie lubimy słowa: nigdy - rzekł.

Zaraz po wyjściu na ulicę cisnęłam całą torbę z moimi szpitalnymi rzeczami do kosza na śmieci i pojechałam taksówką prosto do biura. Gdybym wtedy musiała wrócić do swojej sutereny, pewnie przeżyłabym załamanie nerwowe. I kiedy tylko wkroczyłam do biura - co wcale nie przyszło mi z łatwością, gdyż byłam obołała po badaniach - ujrzałam nadąsaną Roxy, a siedzący naprzeciwko Alex z zapalem perorował jej o znaczeniu ortografii i interpunkcji, o tym, że dokumentnie sknociła tekst, który Jimmy i Kathy napisali z taką starannością, on zaś z nie mniejszą starannością zredagował. Kiedy ich mijałam, podał mi przez ramię plik zatwierdzonych rachunków z ostatniej podróży, uśmiechnął się i ciągnął:

- Po prostu musisz uważnie czytać tekst, który przepisujesz, Roxanne. Jesteś bardzo inteligentną dziewczyną, tylko nieuwważną...

W sali było bardzo ciepło, razem z obłokami przesuwanymi się za półksiężycowatym oknem do środka wpadał skądś zapach goździków. Roxy, najwyraźniej chcąc się uwolnić od konieczności wysłuchiwania reprimendy, zapytała szybko:

- Nastawić ci wodę?

Geranium w doniczce było obsypane koralowymi kwiatami. Jimmy podniósł głowę i popatrzył na mnie. Musiałam być bardzo blada, gdyż uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy. Sądził, że wzięłam tych kilka dni urlopu, żeby spędzić je z jakimś facetem.

Niedługo potem z przyjęcia na pokładzie czyjegoś jachtu pojechałam do domu z uroczym mężczyzną, którego tam poznałam. Nie miałam złudzeń, że dla niego jest to mniej więcej tak samo ważne, jak zajęcia na sali gimnastycznej, ale czułam się strasznie samotna. I w jego dusznej sypialni, z masywną żelazną kratą w oknie, uprawialiśmy seks na łóżku wodnym. Czułam się prawie jak w szpitalu, gdy plastikowa powłoka szczelnie przykleiła mi się do pleców. Facet był atletycznej budowy, pochylał się nade mną, wsparty na dłoniach, i napierał niemal z całej siły.

Jak to musi śmiesznie wyglądać, pomyślałam. Że też właśnie w ten sposób robi się dzieci...

Prawdę powiedziawszy, to właśnie było najgorsze. Uświadomiłam sobie, że od dawna igrałam z niebezpieczeństwem postrzegania miłosnego aktu jako pantomimy.

Nigdy nie miewałam podobnych skojarzeń, przebywając z dziećmi. Tylko raz, w Berlinie, gdy szykowałam artykuł o nowych muzeach, przystanęłam na ulicy przed kioskiem z gazetami przy stacji Ku'damm, kiedy moją uwagę przyciągnęły okładki wystawionych czasopism pornograficznych. Ukazywały same wielkie biusty. Na jednym zdjęciu blondynka podtrzymywała dłońmi olbrzymie piersi tak, żeby sutki sterczały prosto do obiektywu. „Wielkie cyce!”, zachęcał podpis, „Obejrzyj je i possij!”. Przed kioskiem jak wmurowany stał zapatrzony turecki robotnik, który trząsał się z zimna.

Spojrzałam na tę blondynkę na okładce, potem na niego. Wreszcie na siebie.

Zapragnęłam nagle poczuć w całym ciele ten przemożny, niepohamowany dreszcz pożądania oraz tęsknotę do jego zaspokojenia i zarazem zaspokojenia drugiej osoby. Ale nie miałam na to żadnych szans.

Był wtedy luty albo marzec. Zapamiętałam metalicznie szare niebo ponad bezlistnymi drzewami i swoją skłonność do płaczu nad własnym osamotnieniem, chociaż mroźny wiatr wszystkim wyciskał wtedy z oczu łzy.

Nie mam matki i nie mogę być matką, myślałam z żalem.

Tym bardziej zapragnęłam tu i teraz skosztować seksu. Owe gigantyczne biusty na okładkach na mnie też podziały. Ale zaraz skojarzyłam sobie, że moja matka musiała mnie też karmić piersią - bo i tak było - na co poczułam obrzydzenie. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak mężczyźni mogą traktować piersi jako obiekt erotyczny, całkowicie zapominając o ich fizjologicznym macierzyńskim przeznaczeniu. Wtedy w Berlinie znów powrócił do mnie mój odwieczny dylemat: jak to możliwe, że matka przytulała nas do piersi w niemowlęctwie i karmiła własnym mlekiem, by już po kilku latach traktować z całkowitą obojętnością, gdy siadaliśmy do lekcji przy kuchennym stole i bojąc się odezwać choćby jednym słowem, samymi spojrzeniami próbowaliśmy ją zachęcić, żeby ugotowała coś do jedzenia? Wydawało mi się najokrutniejszą ironią losu, że właśnie macierzyństwo ją zabiło. Bo każdy musi przyznać, że bardzo wiele zależy od kobiecego łona! Marianne Talbot nie zostałaby wyrzucona z domu i doprowadzona do obłędu, gdyby miała zdrową macicę i urodziła Richardowi syna, zabezpieczając mu w ten sposób dziedzictwo Mount Talbot. I Caroline nie musiałaby znosić aż takiej udreki, gdyby po ciąży nie zostały jej pokryte zmarszczkami sińce pod oczyma, które Ian skwitował stwierdzeniem, że guzik go obchodzi, skąd się wzięły.

A ja? Wciągnęłam brzuch, żeby zasunąć suwak dzinsów. Wyobraziłam sobie ten niewielki skurczony narząd w głębi mego ciała.

Podobny do ły. Bo macica ma kształt ły.

W realnym życiu, w maju 1852 roku, Marianne Talbot z każdą upływającą godziną musiała coraz wyraźniej zdawać sobie sprawę, że odebrano jej córkę na zawsze. A to oznaczało cierpienie. Przynajmniej ja to nazywam cierpieniem. Jak gdyby za życia została strącona do piekła. Zatem jej otępiały umysł mógł wnioskować, że skoro znalazła się w piekle, to w celu pokuty za grzechy, a skoro została ukarana, to musiała być winna. Może dlatego ani razu niczemu nie zaprzeczyła. Jak na wstępnym przesłuchaniu, gdy na pewnym etapie każdy zaczyna powtarzać: „Zgadza się, proszę pana. Tak jest. Jak pan sobie życzy”.

Na odwrocie tylnej okładki notatnika zapisałam cytaty z broszury Johna Pageta dotyczący winy i obłędu. Kiedy autor oddał odnalezioną krewniaczkę na szczegółowe badania lekarskie, wszyscy specjaliści orzekli u niej chorobę umysłową. Wcale nie byli zaskoczeni, znali wiele obłąkanych kobiet. Zapisany przeze mnie cytat pochodził z wypowiedzi największego autorytetu pośród tych lekarzy, który tak komentował szaleństwo Marianne:

W swojej zawodowej praktyce poznałem damę wyjątkowego charakteru, która w końcu zabiła się pod wpływem ataku maniakalnego, stwierdziwszy, że jest winna wielokrotnych zbrodniczych kontaktów intymnych z mężczyzną mojej profesji, mimo że widziała go tylko raz bądź dwa razy w życiu. Inna młoda dama w przeddzień zamążpójścia oznajmiła w ataku obłędu, że została uwiedziona przez przyszonego męża i że jest z nim w ciąży. Kiedy się uspokoiła, badanie wykazało, iż to, co mówiła, było w całości urojeniem. W trzecim przypadku również młoda dama mieszkająca ze swoim wujostwem wielokrotnie miewała urojenia i twierdziła między innymi, że mężczyzna z domowej służby uwiódł ją i często z nią sypiał. Gdy i ona wróciła do zmysłów, stało się powszechnie wiadome, iż były to jedynie urojenia. Udzielam konsultacji lekarzowi z przytułku dla obłąkanych w Hanwell, gdzie przebywa 500 szalonych kobiet. Osobiście poznałem wiele spośród pacjentek tego przytułku, kobiet zamężnych, które utrzymywały, że ostatniej nocy przed rozmową ze mną różni mężczyźni, czasem nawet wymieniani z nazwiska, przychodzili nocą do ich pokojów i mieli z nimi intymne kontakty...

Biedne siostrzyczki!

Kobiety z przytułku dla obłąkanych utrzymujące, że odbywały wyimaginowane stosunki seksualne, i Marianne, której wina mogła być tak samo wyimaginowana, moim zdaniem zasługiwały na specjalny rodzaj współczucia. Coś realnego próbowało się z nich wydostać na zewnątrz - jakaś siła życiowa usiłowała poprzez ich wyobraźnię dać znać o swym istnieniu. Wszystkie naśladowały bowiem ten niedościgniony ideał kobiety, wpojony im w dzieciństwie: lubieżnej po nocach, ale w świetle dziennym utrzymującej swój seksualizm w ryzach, okazując wstyd i pogardę dla siebie samej.

Oczywiście to, że kobiety z przytułku w Hanwell oraz Marianne przetrzymywana w willi Johna Pageta uznano za obłąkane, nie świadczyło wcale, że cała reszta nas jest zdrowa umysłowo. Działania tychże kobiet, jak też moje i wielu innych, które dotąd poznałam, były wariacjami na jeden temat. Zaślepienie miłością, chodzenie do łóżka w zamkniętych pokojach z mężczyznami poznanymi w barze, pokazywanie swoich ciał, przysięgi małżeńskie składane wbrew wszelkiej logice okrutnym kochankom, dni czynione znośnymi dzięki środkom uspokajającym, pocałunki dawane z silnie zaciśniętymi powiekami. Jak niewiele dzieliło to wszystko

od mamrotania biednej wariatki z przytułku w Hanwell o posuwającym ją ogrodniku czy też od samotnej leżki uronionej przez starszą damę leżącą w czystej pościeli w domu starców, kiedy przez radio Madame Butterfly śpiewała ekstatycznie o tym wspaniałym dniu, gdy Pinkerton po nią wróci. Jeśli nawet wydawałyśmy się bezpiecznie schowane w sejfie małżeństwa, i tak kierujące nami marzenie o spełnieniu i doskonałości mogło nas ponieść - niczym owieczki zapędzone przez wściekłego psa na skraj przepaści - do straszliwego upadku w otchłań.

Zesłam do kuchni na śniadanie. Ollie czołgał się w poprzek dywanu jak wyrzucony na piasek krab w kierunku... Spot! A więc wróciła!

Terier natychmiast podbiegł i wykonał swój rytualny taniec - ocieranie się łebkiem o moją łydkę. Miał białą łatkę w połowie długości ogona pokrytego czarną sierścią, którym wymachiwał z bezgranicznym entuzjazmem.

- Felix znów wyjechał - rzekł Bertie - ale powiedział, że będziesz mile widziana w jego domu. Zawiozę cię razem ze Spot trochę później, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nauczyciele powinni zacząć się zjeżdżać wczesnym popołudniem. Już na dzisiejszy wieczór zaplanowali pierwszą sesję dyskusyjną, jak nazywają te zebrania. Też mi sesja! Raczej powinni to nazwać zabawą w szkołę!

W cieniu drzew, na końcu hotelowego ogrodu, w zarośniętej chwastami prowizorycznej zagrodzie, zrobionej ze starej żelaznej furtki i desek z rozebranej szopy, trzymane były dwie kaczki. Wzięłam Olliego na rękę i razem z Joem poszłam obejrzeć te kaczki. Słońce mocno grzało i niemal wyczuwało się, jak w jego promieniach rozwija się trawa i krzewy o gałęziach nadal szorstkich i oślizłych po zimie. Stanęliśmy pod wierzbą szumiącą młodymi, jeszcze niebieskawymi listkami, a obie kaczki ustawiły się do nas profilem i kwakały zaciekle. Wszystko dokoła było takie czyste i świeże - światło dnia, listki na wierzbie, pulchne rączki dziecka, miękka czarna ziemia pod moimi stopami. Staliśmy wśród podrygujących plam słonecznych, a Ollie radośnie szczebiotał do kaczek.

Owa sielska scenka musiała wyglądać pięknie, a mimo to poczułam narastające we mnie obrzydzenie. Nie chciałam być jej elementem. Wkrótce poczułam tak dotkliwą odrazę, że błyskawicznie postawiłam małego na ziemi. Cóż ja porabiałam w tym otepiającym miejscu, wśród ludzi, których życie upływało tak powoli? W dodatku ogarnięta sentymentem do dzieci, psów i całej reszty? Potrzebowałam czegoś stylowego! Chociażby kilku ciętych uwag Jimmy'ego! Albo ironii jako takiej. Kafelki, którymi od zewnątrz wyłożone były kuchenne drzwi hotelu, skojarzyły mi się z parkietem w madryckim hotelu Palm Court Ritza. Przypomniałam sobie, jak kroczyłam po nim, wyperfumowana i umalowana, w swojej najpiękniejszej sukni, kierując się w stronę mężczyzny, który na mój widok wstał od stolika w restauracji, zastawionego szkłem i świecami. To była suknia od Jaspera Conrana. Szczegóły nie miały większego znaczenia - chociażby to, że ów mężczyzna był prawdziwym autokratą i miał zwyczaj wtrącać katalońskie słówka, doskonale wiedząc, że nie zrozumie ani jednego. Liczyła się tylko moja wspaniała wieczorowa suknia i perfumowane powietrze w cudownej sali oraz ten moment, kiedy podchodziłam do stolika w pantofelkach Rity Hayworth, czując się jak prawdziwe dzieło sztuki - osoba wykształcona, reprezentacyjna, światowa, bystra... Och, jakże mi tego teraz brakowało!

Ponownie wzięłam Olliego na rękę i ruszyliśmy z powrotem do domu. Tylko czy naprawdę chciałabym jeszcze raz przeżyć tamten wieczór w hotelu Ritza, gdyby było to możliwe? Nie. Przynajmniej nie za bardzo.

Dziesiątki krajów, setki restauracji, tysiące posiłków - ile z nich faktycznie wspominałam z radością? Zaczęłam sobie przypominać śniadania na balkonach, pikniki w lasach, maleńkie jak naparstki filiżanki aromatycznej kawy w jaskrawo oświetlonych barach... Ulubione potrawy.

Nagle poczułam dreszcz, jeszcze zanim z pamięci wypłynęło klarowne wspomnienie. Letni wieczór i kilka stolików przed parterowym baraczką na nabrzeżu, oddzielonym od niego niskim żywopłotem, światła kołyszących się na fali zacumowanych jachtów, obrus przypięty pinezkami do stolika, by nie porwała go bryza wiejąca znad Adriatyku. I nas troje. Moi ukochani przyjaciele. Drogi Jimmy i drogi Alex. Obiad, który jedliśmy razem w Trieście, w cudownej atmosferze beztroskiego szczęścia, dwa lata temu. Mimo że nazajutrz rano musiałam uciekać.

Jimmy pewnie zajrzał do mojego pokoju w hotelu, żeby mnie ściągnąć na śniadanie, i domyślił się, że wyjechałam. W każdym razie odnalazł mnie na stacji kolejowej, nie zamierzając w ogóle szukać gdzie indziej. Komicznie rozpląszczył nos przyklejony do szyby przedziału, w którym siedziałam skulona, niepomna niczego. Podał mi przez uchylone okno jakieś czasopismo ilustrowane, potem butelkę wody mineralnej i opakowanie owoców kandyzowanych.

- Jedziesz do Wenecji? - zapytał bezgłośnie.

Skinęłam głową. Wszystkie pociągi z Triestu zdawały się kursować do Wenecji.

Próbowałam za wszelką cenę pohamować cisnące się do oczu łzy. W głowie mi się nie mieściło, że biegł za mną po ulicach i obleciał sklepy na dworcu. Po chwili wagony załomotały i pociąg z brzękiem ruszył wzdłuż peronu. Jimmy znów otworzył usta i powiedział coś bezgłośnie. Odniosłam wrażenie, że było to:

- Uważaj na siebie.

Nasza trójka z „TravelWrite” została zaproszona na międzynarodowy zjazd współpracowników „NewsWrite” w hotelu Colomba d'Oro w Trieście, mimo że przez lata nikt się nami specjalnie nie interesował i pozwalano nam spokojnie robić swoje na naszym londyńskim poddaszu. Dlaczego więc nagle sobie o nas przypominano? Alex orzekł: bo nasza praca cieszy się wielkim uznaniem. A Jimmy zawsze powtarzał, że jednym z głównych powodów, dla których trzyma się „TravelWrite”, jest to, że nie musi się spotykać z kierownictwem.

No i jakimś sposobem ludzie z działu kadr wybrali właśnie nas do seminarium zatytułowanego „Przygotowania do milenium”. Jak na ironię wybrano dosyć niezwykle miejsce, szykowny hotel pełen atłasów i złocień, w którym nie było nawet basenu czy siłowni. Ale nowojorski zarząd, hołdując „otwarcie się na wschód”, postanowił zrobić ten gest w stronę naszych nowych węgierskich i słoweńskich kontaktów. Grupa Niemców, którzy przybyli na zjazd terenowymi samochodami z napędem na cztery koła, wybierała się później na polowanie. Były to same rosłe chłopiska mówiące podniosłym tonem i kręcące się nerwowo po hotelowym foyer w wysokich brązowych butach oraz sportowych strojach z zamszu i sztruksu. Donośnie i gardłowo zaśmiewali się z własnych dowcipów. Byli tak pewni siebie jak przerośnięte dwulatki.

- To nie w porządku, że nasz biedny, przerażony Alex będzie musiał przemawiać do takich ludzi - odezwałam się do Jimmy'ego.

- Masz rację - odparł. - Miejmy tylko nadzieję, że nie zapomni języka w gębie.

W sali balowej, z szeregiem wysokich okien obwiedzionych złotymi ramami i sutymi zasłonami z purpurowego aksamitu, przeprowadzaliśmy wstępne przesłuchania mowy Aleksa. Przez karbowane szyby widać

było jedynie zamazane sylwetki ludzi przechodzących pod budynkiem, a co kilka minut za oknami przesuwał się cień przejeżdżającego tramwaju. Zmusiliśmy Aleksa, żeby przetrenował także wejście zza jednej z tych zasłon, odliczył sześć kroków, przystanął, uśmiechnął się szeroko i zaczął: „Dobry wieczór, przyjaciele i koledzy, a przede wszystkim bratni architekci wielkiego projektu Opisywania Tego Wspaniałego Świata”. Mylił się raz za razem. Gdyby nie był blady jak ściana, pewnie skręcalibyśmy się ze śmiechu.

- Początkowo myślałam, że nie da rady wydusić z siebie ani słowa z tej nadętej przemowy - odezwałam się do Jimmy'ego, gdy Alex zarządził przerwę na kawę. - Dopiero później pojęłam, że nie może mówić, bo te słowa tak wiele dla niego znaczą.

Miał przemawiać zaledwie przez pięć minut, i to w ostatniej godzinie zebrania. Wydrukowaliśmy mu najważniejsze punkty wystąpienia wielką czcionką na dużych arkuszach papieru: Nowi podróżnicy przywiezła ze swych wypraw takie same skarby, jak ich starsi koledzy. Szacunek dla dziedzictwa kulturowego mostem pomiędzy starymi i nowymi czasami. Alex w kółko ponawiał próby. Kiedy wychodził na środek parkietu, spoglądałam na jego cień na lakierowanej podłodze. Na zewnątrz przetaczały się tramwaje. Dopingowaliśmy go na wszelkie sposoby.

- Dobra, całkiem nieźle, Alex. Ale spróbuj jeszcze raz. Patrzył na nas z desperacją w oczach. W końcu jednak załapał: Tak więc, przyjaciele, wkraczając w to milenium, w którym globalny biznes będzie coraz bardziej zdany na łaskę abstrakcyjnej rzeczywistości elektroniki, musimy rozszerzać, a nie ograniczać nasz projekt Opisywania Realii Tego Świata. Zatem radujmy się z tego, co mamy, i witajmy z otwartymi ramionami to, co będzie. Dziękuję za uwagę.

- Boże Wszechmogący! - mruknęłam do Jimmy'ego. - Skąd mu przyszedł do głowy taki bełkot?!

- Ciii! On jest z niego bardzo dumny.

- Chodźcie ze mną do pokoju - rzucił Alex, gdy do jego wystąpienia zostało tylko pół godziny.

Jimmy poszedł z nim do łazienki, żeby jeszcze raz przesłuchać mowy, kiedy szef będzie się golił. To było coś, co zawsze lubiłam w wyglądzie Aleksa - ten czarny cień przebijający się przez bladą skórę późnymi popołudniami, jakby w środku kipiało znacznie więcej życia, niż można by sądzić po jego szczupłej sylwetce i przeredzonych ciemnoblonde włosach.

Czułam się nieswojo w jego pokoju. Nie chciałam podglądać żadnych jego sekretów, mimo że od bardzo dawna próbowałam go lepiej poznać. Wielokrotnie prosiłam, by poszedł ze mną na lunch fundowany przez wydawców moich artykułów czy też na środowiskową cocktail party albo przynajmniej wyskoczył na drinka ze mną i Jimmym, na zimne piwo letnim wieczorem bądź grzaną whisky, kiedy na błyszczących od deszczu ulicach wiecznie panował mrok, gdy wychodziliśmy z biura. Ale zawsze odmawiał. Nie wiedzieliśmy o nim nic poza tym, że mieszka z matką. Nigdy nie mówił ani o żadnej kobiecie, ani o przyjacielu, czy choćby jakimś domowym zwierzęciem. Co dziwniejsze, wzięwszy pod uwagę niezwykle zdolności rachunkowe Roxy, z których korzystali bodaj wszyscy pracownicy budynku, nie wiedzieliśmy nawet, dokąd Alex wyjeżdża na wakacje. Zawsze wracał z urlopu w tym samym, odrobinę za dużym garniturze, jakby w ogóle nie ruszał się z miejsca.

W pokoju hotelowym usiadłam na sofie naprzeciwko łóżka. Po prawej, pod oknem wpuszczonym głęboko w mur, stał rzeźbiony stolik, na nim leżał niewielki oprawny w skórę folder podręczny ze zdjęciami, a obok dwie lub trzy książki w wydaniu kieszonkowym. Przez całą długość pokoju nie mogłam odczytać tytułów

na grzbietach. Słyszałam dobiegające z łazienki zdania odczytywane monotonnym głosem przez Jimmy'ego. Zdawałam sobie sprawę, że mogę podejść do okna i niby wyglądając na ulicę, sprawdzić tytuły. Nie zrobiłam tego jednak. Byłoby to wścibstwo. Nie chciałam mącić Aleksowi takiego dnia. Wolałam zostać jedynie przyjaciółką, która dobrze mu życzy. Dlatego zostałam na miejscu, a później podreptałam za tamtymi dwoma z powrotem na dół do sali konferencyjnej.

- No cóż, przynajmniej się nie zbłądził. Jak na tak wstydliwego faceta, odwalił kawał dobrej roboty - mruknął Jimmy, kiedy po zakończeniu przemówienia Alex usiadł pośród burzy oklasków. Miał na sobie całkiem nowy garnitur, będący, zdaniem Jimmy'ego, jeszcze większym nieporozumieniem niż te, które nosił na co dzień.

- Masz rację - odparłam. - Co zabawne, widać było po jego minie, że mówi całkiem szczerze.

Ledwie Alex zdążył zająć z powrotem miejsce, najważniejszy z prezesów zarządu zdobył się na małe przedstawienie - wstał, przetruchtał niemal przez całą szerokość sali, pochylił się nad nim i szepnął parę słów gratulacji. Skutek był taki, jakby podłożył pod krzesłem Aleksa parę lasek dynamitu. Zanim zdołaliśmy go odnaleźć w sąsiedniej sali, gdzie organizatorzy zaprosili nas przed obiadem, miał już zaczerwienione policzki i błyszczące oczy; rozmawiał z którymś z tych zwalistych Niemców i opróżniał kieliszek z sherry w takim tempie, jakby nie zamierzał doczekać jutra.

- Najdrożsi! - zawołał na nasz widok.

Odstawił kieliszek, objął nas za ramiona i ucałował serdecznie w policzki. Niemiec zrobił tak zdziwioną minę, jakby miał przed sobą wariata. Ostatecznie widzieliśmy się we trójkę nie dalej niż godzinę temu.

Ech - chociaż ten wieczór skończył się fatalnie, dla mnie był wspaniały.

To właśnie Alex, ten wzór obowiązkowości, zaproponował:

- Wynośmy się stąd i zjedzmy coś na własny rachunek!

Był czerwiec, mimo późnej pory panował upał. Zbiegliśmy po schodach i pod wielkim łukiem barokowej bramy dostaliśmy się na plac wychodzący na morze. Ruszyliśmy wzdłuż szeregu promów, jachtów i drobnicowców kołyszących się na powierzchni zielonej wody i szarpiących grube cumy krzyżujące się na wyslizganych betonowych płytach nabrzeża.

- *Jules et Jim* - powiedziałam ze śmiechem. - Ja mogę być Jeanne Moreau.

Chyba nigdy wcześniej nie byłam tak szczęśliwa. Bodaj ten jeden jedyny raz udało mi się znaleźć złoty środek między uznaniem siebie za najmądrzejszą i najbardziej kompetentną osobę na świecie a zachowaniem pogody ducha i otwartości serca. Nie tylko kochałam obu mężczyzn, z którymi byłam, ale kochałam również siebie, swoje włosy rozwiewane przez wiatr znad morza, szczupłą talię i czerwone sandały, i idealnie do nich dopasowany lakier na paznokciach. Wzięli mnie za ręce, bym łatwiej przeskakiwała przez poruszające się cumy. Musieliśmy stanowić ciekawy obrazek, gdy tak zaśmiewaliśmy się w głos owego letniego wieczoru nad brzegiem morza, ponieważ jakiś mężczyzna aż przystanął, obrzucił nas spojrzeniem i mruknął pod nosem coś w rodzaju *carina*, jakby chciał posmakować mojej radości.

Potem przebiegliśmy między samochodami przez zatłoczoną ulicę i zajęliśmy stolik przed restauracją mieszczącą się w parterowym baraku.

- Wina! - zakomenderował Alex. - *Vino!*

Ledwie podłubaliśmy widelcami w porcjach łykowatej smażonej ryby, za to wypiliśmy mnóstwo wina, wciąż prosząc kelnera o więcej grissini; później zamówiliśmy *crème caramel*, zatem zjedliśmy przynajmniej po jajku, żeby nie pić całkiem na pusty żołądek, po czym poprosiliśmy o sambuca.

- *Con la mosca?* - zapytał kelner. - Bzzz! - Zatrzepotał dłońmi w powietrzu, naśladując szybki ruch skrzydełek.

Jimmy popatrzył na niego zdziwionym wzrokiem.

- Pyta, czy ma być z muchą. Bo mam nadzieję, że chodzi o muchę, a nie moskita.

- Tag! - Włoch pokiwał głową i uśmiechnął się szeroko. - Mufa!

Na powierzchni sambuca w szklaneczkach położył po ziarenku kawy.

- Mufa! - powtórzył, wskazując palcem.

- To rzeczywiście wygląda jak mucha - przyznał Alex.

- Pamiętacie wieśniaka z *Volpone* - wtrąciłam, uradowana. - Nie nazywał się przypadkiem Mosca? Czy to nie wspaniałe nazwisko dla wieśniaka?!

Obaj mężczyźni popatrzyli na mnie. Moi mężczyźni! - poprawiłam się z dumą w myślach.

Kelner zapalił mocny likier w szklaneczkach, w płomieniach ziarenka kawy błyskawicznie się opaliły. Mogliśmy teraz zdmuchnąć ogień i wypić sambuca mające delikatny kawowy aromat.

Omawialiśmy wystąpienie Aleksa pod każdym możliwym względem, przez co jego sukces z minuty na minutę wydawał się coraz donioślejszy. A przy tym tak się rozsmakowaliśmy w sambuca, że nie mogliśmy się doczekać, kiedy znów zapłonie ogień w szklaneczkach. Powtarzało się to kilka razy.

Nie wiem, co się potem stało. Mogłam zapytać Jimmy'ego, przynajmniej o naszą drogę powrotną z restauracji do hotelu, ale cała sprawa była dla mnie zbyt bolesna, by do niej wracać. Nie przeraziło mnie, że obudziłam się w półmroku, w łóżku obok Aleksa, z zaschniętym gardłem, śmierdzącym oddechem i obolałym pęcherzem, w samej spódnicy podciągniętej nad biodra, chociaż i to było wystarczająco paskudne. Przeraziłam się, ujrzawszy, że Alex wcale nie śpi, tylko leży bez ruchu na wznak, z głową na poduszce i wzrokiem utkwionym w suficie. Po jakimś czasie mruknęłam: - O rety!...

Siliłam się na swobodę w nadziei, że oboje zdołamy to jakoś obrócić w żart. Ale on się nie odezwał, nawet nie drgnął. Zwlokłam się więc z łóżka, jakbym dostała po twarzy.

Bluzka, stanik i majtki leżały skotłowane na krześle. Zaczęłam się ubierać, ale kiepsko mi szło, bo za nadto się spieszyłam i za bardzo trzęsłam. Trwało to całą wieczność. I przez całą tę wieczność od strony łóżka nie doleciał żaden odgłos. Wreszcie odszukałam torebkę i wyszłam na korytarz. W dodatku portier musiał mnie odprowadzić do mojego pokoju, gdyż nie wiedziałam, co zrobiłam z kluczem. Starał się być bardzo uprzejmy.

Kiedy usłyszałam, że hotel budzi się do życia, na długo weszłam pod prysznic, a potem, wciąż roztrzęsionymi rękoma, zrobiłam sobie bardzo gruby makijaż. Zażyłam całą aspirynę, jaką miałam, lecz i to nie uwolniło mnie od tępego bólu potylicy i karku. Szacowałam, że wypłam chyba z butelkę wina. Ale później przedstawiliśmy się na likier...

Żołądek podchodził mi do gardła na myśl, że znów będę się musiała pokazać Aleksowi. Musiałam jednak zejść na dół na śniadanie. W bufecie stała długa kolejka. Od razu zauważyłam Aleksa trzymającego się

trochę na uboczu. I zrobiłam to, co jeszcze poprzedniego dnia wydawałoby się całkiem naturalne: podeszłam do niego, splatając trzęsące się dłonie za plecami.

Aż się cofnął. Wyraźnie odskoczył do tyłu, kiedy się zbliżyłam, jakby zobaczył samego szatana. I popatrzył na mnie z przerażoną miną. W jego spojrzeniu wyczytałam więcej nienawiści niż zmieszania.

Otworzyłam już usta, żeby powiedzieć coś na przywitanie, ale w osłupieniu nie zdołałam wydusić nawet jednego słowa. Odwróciłam się i wybiegłam. Znalazłam wolne miejsce w pociągu do Wenecji, jeszcze zanim mogłam znowu normalnie oddychać.

Przyjazd Jimmy'ego na stację przynajmniej pomógł mi się wypłakać. Nim dojechałam najdalej, jak tylko mogłam do Wenecji, a stamtąd do Lido i wreszcie na sam przylądek - byłam już zdolna do tego, by otworzyć na oścież okno w wysoko sklepionym hotelowym pokoiku o wyblakłych ścianach i wystawić twarz do słońca.

Przecież znaliśmy się od tylu lat! - powtarzałam żałośnie w myślach. Nie potrafił zachować się po przyjacielsku? Cóż jest takiego strasznego w tym, że kobieta i mężczyzna idą do łóżka? Na miłość boską, przecież nie chodziło o nic innego, jak odrobinę nadziei w pierogu między dwojgiem bliskich sobie ludzi w średnim wieku!

Obarczył mnie winą za wszystko: czułam to po jego zachowaniu w łóżku. Nie winił siebie ani nas. Tylko mnie. Lecz nawet jeśli inicjatywa leżała po mojej stronie...

No cóż, na pewno tak było. W końcu on nigdy nie chciał nawet wyskoczyć ze mną na drinka, dlaczego więc ni stąd, ni zowąd miałby zapragnąć pójść ze mną do łóżka?

Ech, do diabła z tym! Przecież nic się nie stało! Nie miałam zamiaru się upijać. I nie zamierzałam doprowadzić do takiej sytuacji. Poza tym nie zrobiłam mu nic złego! Jakim trzeba być nędznikiem, żeby nie odezwać się ani jednym słowem albo przynajmniej nie ucisnąć mi ręki, aby wszystko zostało tak, jak jest?

Nagle poraziła mnie myśl - czy na pewno mogło pozostać jak dawniej? Nie. Zapewne byłabym śmielsza w stosunku do niego. A to już poważna sprawa. Przecież pracowaliśmy razem od osiemnastu lat. Czyli była to poważna sprawa, skoro wyładowaliśmy w łóżku, przynajmniej częściowo rozebrani, nawet jeśli do niczego między nami nie doszło...

W całym ciele, podobnie jak w sercu, odczuwałam skutki szoku. Stąd też nie potrafiłam ocenić, czy coś między nami było. Byłam zeszywniała i obolała, niczym przepuszczona przez maszynkę.

Mogłam się jednak założyć, że inicjatywa leżała po mojej stronie.

Ale nawet w tej sytuacji...

I tak w kółko. Bez chwili przerwy.

Wenecja na początku czerwca zbliża się do ideału. Już wcześniej miałam okazję ją zwiedzić, na początku mej podróżniczej pracy, choć przyjechałam tu na własny koszt, gdy Caroline wyjechała na Boże Narodzenie do Hongkongu. Zasiadałam wtedy skulona przy ledwie ciepłym kaloryferze w tanim pokoiku hotelowym od podwórza, z lodowatą kamienną posadzką, i rozmyślałam, użalając się nad sobą, że jestem równie biedna jak Mary McCarthy, kiedy opisywała Włochy. I marzyłam, by pisać równie błyskotliwie jak ona. Jak zwykle koncentrowałam się na tym, czego mi brak, zamiast cieszyć się z tego, co mam: srebrzystoszare światło przesącza-jące się przez mgłę wiszącą nad laguną, swobodę jedyne- go turysty na promie płynącym na wyspę Torcello,

spacer wśród ściętych mrozem ogródków warzywnych i po moście nad kanałem przypominającym czarną wstęgę pod litą taflą lodu, wreszcie bazylikę, w której przez obłoczki pary wydobywającej się z ust ledwie widziałam wspaniałą mozaikę przedstawiającą Sąd Ostateczny.

Teraz zatrzymałam się w jednym z wielkich hoteli na Lido, w pokoju z zamglonymi lustrami, antycznymi dywanami i długimi muślinowymi zasłonami, którego balkon znajdował się na poziomie opierzonych czubków drzew tamaryszku ocieniających taras w dole. A przed tarasem fale leniwie omywały plażę. Postanowiłam, że po powrocie z miasta zjem obiad właśnie na tym tarasie, spoglądając na ciemne wody laguny oddzielone jasnym pasem równiutko zagrabionego piasku. Świece na stoliku stojące w podstawkach z grubego szkła będą rozsiewały złotawy blask. A wcześniej wykorzystam czas na zwiedzanie. Pojadę na przykład do Carpaccios, zawsze tętniących życiem i pełnych radości. Albo pójdę cichymi uliczkami, zaglądając po drodze do każdego napotkanego kościoła, aż dotrę do dawnego getta, gdzie wysokie czynszowe kamienice są tak samo obskurne jak wtedy, gdy na noc zamykano w nich weneckich Żydów. Mogłam sobie usiąść na wielkim placu, zamówić kawę i ciastko u Floriana, płacąc kartą kredytową „TravelWrite”, i patrzeć na ludzi, gołębie oraz refleksy świetlne na fasadzie Bazyliki Świętego Marka. Mogłam kupić w księgarni *Na skrzydłach gołębic*, znaleźć jakiś zaciszny placyk, usiąść na wyslizganych schodach i przeczytać część poświęconą Wenecji przy pluśku wody w fontannie, okrzykach bawiących się dzieci, stłumionych nawoływaniach gondolierów pływających po kanałach poza zasięgiem wzroku. Zresztą, wcale nie musiałam niczego zwiedzać, mogłam, ot tak, popływać przed hotelem. Wystarczyło pójść przez cichą dzielnicę willową do najbliższego centrum handlowego, żeby kupić kostium kąpielowy, a po wyjściu z morza ułożyć się na leżaku i skupić na tym, jak kropelki wody wysychają na ciele w przyjemnym odświeżającym upale wczesnego lata.

Wszystkie te wspaniałości wydawały mi się jednak niczym, ponieważ zostałam zraniona przez mężczyznę. A ściślej, sama się zraniłam przy pomocy mężczyzny. W każdym razie stała się rzecz niewłaściwa w kontakcie z mężczyzną. O, do diabła! Nawet nie umiałam zaklasyfikować tego, co się naprawdę stało! I nie wiedziałam, czy w ogóle coś się stało!

Próbowałam się skontaktować telefonicznie z Jimmym.

- Wszyscy goście „NewsWrite”, madame, udali się na przyjęcie w ratuszu, skąd mają pojechać na obiad do zamku Miramar. Jeśli pani sobie życzy, przekażę wiadomość...

Miramar! Przecież tam mieszkał Rilke! Zwinęłam się w kłębek na olbrzymim łożu. Och, żeby być poetką, jak on! To byłoby wspaniałe! Myśleć górnolotnie! Widzieć sprawy życia, śmierci i miłości na wylot, w zachwycających formach, i nie być dłużej zaściankowym przeciętniakiem, mającym tyle wyobraźni, żeby zagiąć parol na własnego szefa, a potem rozpaczać nad swoim poniżeniem, za mało jednak, aby pojąć tajemnicę ludzkiej egzystencji, jak Rilke. Utkwiła mi w pamięci pewna uwaga, jaką przeczytałam w poświęconym mu artykule - „posiadł gorzką świadomość własnej słabości, z której płynęła jego siła”. No więc czemu ja nie mogłam być tak samo świadoma?...

I wtedy wybuchnęłam śmiechem, chociaż wciąż jeszcze ocierałam łzy. Już się przyzwyczaiłam do twojego sarkania przy każdej nadarzającej się okazji! - powiedziałam sobie w duchu. Ale żeby płakać z tego powodu, że nie jesteś geniuszem, to już przechodzi ludzkie pojęcie!

Już wiem, co zrobię, pomyślałam, siadając na łóżku. Przeczytam Rilkego. Nie sięgałam po niego od lat. Zaraz pojedę do księgarni w Wenecji i sprawdzę, czy nie mają jakiegoś tomiku po angielsku.

Poderwałam się na równe nogi i poszłam do łazienki, żeby zmyć z twarzy ślady płaczu. Bardzo mnie ucieszył pomysł lektury Rilkego. Sądziłam, że jego poezja znacznie bardziej podziela na mnie, starą babę, niż na jakiegokolwiek mężczyznę. Przyszło mi nawet do głowy, żeby przeciąć zieloną lagunę oddzielającą mnie od weneckich wspaniałości hotelową motorówką.

Poczułam znów ochotę do życia, zostawiając na kiedy indziej rozmyślenia nad tym, jak mam się pokazać w biurze.

Szykowałam już sobie wymówki na dłuższą nieobecność w pracy. Rozważałam jakąś chorobę, która pozwoliłaby mi wziąć parotygodniowy urlop. W końcu złożyłam niespodziewaną wizytę Norze w Nowym Jorku. Od niej wybrałam się do Kalifornii, tłumacząc, że mam przygotować materiał o muzeum Getty'ego. Wreszcie z restauracji w Los Angeles już po raz drugi tego dnia zadzwoniłam do Jimmy'ego. Westchnął ciężko i mruknął:

- Wracaj, Kathleen. Jesteś równie samotna bez nas, jak my bez ciebie.

- Wy? - zapytałam zdziwiona.

- Przynajmniej ten jeden raz posłuchaj mnie uważnie. Zachowujesz się nie tylko egoistycznie, ale i śmiesznie. Różne rzeczy nie przytrafiają ci się same z siebie, powinnaś wiedzieć, że masz na nie również spory wpływ. Wydaje ci się, że nie robisz żadnego wrażenia na ludziach, ale to nieprawda.

- W takim razie daj mi słowo honoru, że będziesz czekał na mnie w holu i razem wejdziemy do biura, dobrze? Tylko tego pierwszego dnia.

- Nie wyglupiaj się - rzucił.

- Poprawię się! - przyrzekłam. - Zamierzam podjąć kroki...

- Ja także - przerwał mi - zamierzam podjąć kroki w celu poprawienia ciebie.

Alex zachował się bez zarzutu, jakby w ogóle nic się nie stało - do tego stopnia, że aż zaczęłam się zastanawiać, czy w istocie nie zareagowałam zbyt gwałtownie. Jeszcze od czasu do czasu wypływał z mej pamięci widok jego twarzy w zaciemnionym pokoju hotelowym, z szeroko otwartymi oczami, ze wzrokiem wbitym w sufit, ale ponieważ był taki jak dawniej, zaczęłam stopniowo uważać to wspomnienie za wytwór wyobraźni. Bo rzeczywiście, w biurze zachowywał się tak samo jak przedtem, był uczynny i małostkowy, nieokrzesany i rzetelny. Gdyby Jimmy nie umarł i gdybyśmy się nie zbliżyli ze sobą po raz drugi wieczorem po pogrzebie, zapewne nigdy bym nie poznała przyczyn jego milczenia tamtej nocy w hotelu. Jak większość kobiet do dzisiaj nie zrozumiałabym, a pewnie byłabym wręcz przestraszona tym, jak wielki dystans może dzielić instynktowną szczodrość ciała i wszelkie wypływające z tego dobro.

Pojechałam za Bertiem krętą drożyną, tak wąską, że krzaki szorowały o drzwi auta, przez monotonnie nudne torfowisko. Kiedy nagle mineliśmy ostry zakręt, moim oczom ukazało się owalne, obrzeżone trzciniami jezioro położone na dnie płytkiej trawiastej kotlinki. Było prześliczne. Potem samochód Bertiego zniknął. Dopiero po chwili spostrzegłam, że nie ma żadnej bramy ani alejki dojazdowej. Droga skręcała prosto pod dom Feliksa przez wyrwę w zboczu i niewielką łączkę porośniętą gęstą sprężystą trawą.

Poniżej, u wylotu płytkiego parowu, zaledwie kilka metrów od brzegu jeziora, stał budynek, który przypominał chylący się ku ruinie kamienny dom farmerski. Pola otaczające dolinę były upstrzone plamami ostrokrzewu, bliżej zaś rosły dwie duże wisienki. Kremowobiałe płatki kwiatów osypywały się na ciemnoszare dachówki domu, soczyscie zieloną trawę, a nawet na gładką taflę wody przy brzegu. Spot wyskoczyła z auta i głośno szczekając, popędziła w dół zbocza. Drzwi w kamiennym murze prowadziły na oszkloną werandę z balkonikiem wysuniętym ponad przybrzeżne trzciny. Z niej po kilku stopniach schodziło się na parter mieszczący sypialnię i łazienkę. Później wyszliśmy z powrotem na werandę i zewnętrznymi drewnianymi schodami poszliśmy obejrzeć salonik i resztę pomieszczeń na piętrze.

- No i co?! - zapytał Bertie z satysfakcją w głosie. - A nie mówiłem?! Czyż tu nie jest wspaniale?!

- Na Boga, Bertie. Co za odmiana! W Mellary czułam się, jakbym mieszkała tam od wieków. W domku o grubych ścianach było tak przytulnie. Mogłam usiąść przed nim i rozmyślać do woli. O sztormach, właścicielach ziemskich, rozmaitych mieszankach whisky z portem czy piwem. Zresztą samo życie tam przysparzało wielu atrakcji. Ilekroć wychodziłam z koszykiem po torf, robiło mi się żal tych mężczyzn, którzy go wykopywali, i kobiet zmuszonych na nim gotować. Ale to miejsce jest jak nie z tego świata.

- Felix sam zbudował ten dom przy pomocy paru chłopców z okolicy. Można tu znaleźć świetnych fachowców, tylko gorzej ich nakłonić, żeby zechcieli ruszyć tyłek z miejsca.

Odprowadziłam go z powrotem do samochodu ścieżką ułożoną z płaskich kamieni.

- Nawet te kamienie Felix sam zbierał nad brzegiem jeziora - rzekł Bertie. - Przed Głodem była tu cała wioska. Wydaje się, że ludzie mieszkali w tej dolince, kiedy jeszcze na świecie królowały dinozaury. Kiedyś Felix znalazł drewnianą łyżkę, która liczyła sobie tysiąc lat.

- Myślisz, że za sto lat komuś zechce się wykopywać z ziemi plastikowe wyciskaczki do cytryn? Czy kogoś będzie jeszcze obchodziło, jak my żyliśmy?

- Rozchmurz się, Kathleen. A gdybyś nie mogła się rozchmurzyć, wystarczy, że podniesiesz słuchawkę, a zaraz przyjadę z pomocą. Zresztą, ta zgraja nauczycieli na szczęście wyniesie się za kilka dni.

- Dzięki za wszystko, Bertie. A szczególnie za to, że pozwalasz mi się zaopiekować psem.

Cała dolinka była tak przepelniona światłem, że gdy próbowałam sobie wyobrazić mieszkających tu kiedyś ludzi, widziałam ich jak na negatywie - ciemnoszare sylwetki z białymi plamami twarzy, z tobołkami na ramionach wędrujące powoli ścieżką wokół jeziora, schodzące po zboczach okolicznych wzgórz, wyłaniające się z pozostawianych na pastwę losu chat ze świeżo upieczonymi bochnami chleba zawiniętymi w ścierki, opuszczającymi w milczeniu ziemię swoich przodków. Dla nich emigracja oznaczała przede wszystkim koniec

głodu, nie przypominali już dzieci z obozów koncentracyjnych, wygłodniałych do tego stopnia, że zjadały kartonowe plakietki identyfikacyjne, jakby pochłaniały własne nazwiska. Lecz Irlandczycy tak samo tracili własną tożsamość, kiedy wyruszyli z ojczyzny przez tę łączkę za domem Feliksa i zdawali się na łaskę losu, rozpoczynając podróż w nieznane.

Światło wlewało się także do domu. Początkowo nie zauważyłam, że nad zabudowaną werandą od strony jeziora część dachu także jest oszklona. Nigdy się nie spodziewałam, że wyląduję w takiej odludnej irlandzkiej dolince, nie mając nic do roboty. Przez całe życie działałam według jakiegoś planu. Teraz nie czekała mnie już żadna podróż. Nie musiałam z Roxy omawiać wydatków, spisywać rozkładów kursowania promów, drukować map z sieci komputerowej, robić telefonicznych rezerwacji, szykować notatek z wcześniejszych artykułów o danym miejscu, sprawdzać różnicy czasu, kupować obcej waluty, pakować bagażu. Już nigdy więcej. Nie mogłam się już nawet skontaktować z Jimmym. „Cześć, skarbie!”. „Muszę zrezygnować z wypadu do Ambon, bo chrześcijanie tłuką tam właśnie muzułmanów i vice versa”. „Włożyłaś garsonkę od Valentino?”. „Podróż harleyem-davidsonem okazała się wielką pomyłką. Spadło dwieście milimetrów deszczu w ciągu jednego dnia i spod kół ciężarówek tryskały takie fontanny wody, że przemoczyliśmy nawet skórzane kurtki”. „Jak twój kręgosłup?”. „Wpuścili nas do ogrodu Moneta tuż po świcie”. „Zobaczymy się w poniedziałek...”

Początkowo ogarnęła mnie panika. Czym miałam zapełnić czas? Jeśli zostawię na stoliku parę funtów, mogę do woli rozmawiać przez telefon. Tylko do kogo zadzwonić? Na pewno nie do Nory: na Manhattanie było teraz południe, a w niedzielę o tej porze kobiety z jej środowiska po powrocie z nabożeństwa szykowały obfite obiady. Omal nie zaczęłam znów palić z ciągłego napięcia, gdy podczas mojej ostatniej wizyty przed kilkoma laty, po tym ciosie, jaki Alex zadał mi w Trieście, uczestniczyłam w takim obiedzie u Nory. Zaserwowała bajgle z jakiejś wyjątkowej piekarni, tylko jej znanej w całym Lower East Side, sok ze świeżych pomarańczy i ogromne steki z zasmażonym na nich jajkiem, które strasznie smakowały równo dającym sobie w gaz zwalistym Amerykanom pochodzenia irlandzkiego. Wcześniej pozakrywała sofę i fotele plastikowymi pokrowcami, żeby nikt nie poplamiał mebli, a na wszystkich blatach porzładała obrusy, bieżniki, serwety i serwetki, oczywiście wszystkie z wyhaftowanymi w rogach inicjałami NB.

Jej salon był całkowitym przeciwieństwem skromnie urządzonej pomieszczeń w domu Feliksa. Przypominał jeden wielki przestwór jasnobieżowego syntetycznego pluszu i niezwyklej lampek z terakoty.

- To mieszkanie jest warte milion - powiedziała. Udałam zaskoczenie.

- Naprawdę. Może nawet więcej. Masz okazję zasmakować Ameryki, gdzie każdy może zrobić duże pieniądze.

- Ja bym nie potrafiła.

- Na pewno byś potrafiła, gdybyś nie była taką snobką. Obrzuciła mnie pogardliwym spojrzeniem. Zapomniałam już, jaka potrafi być szorstka.

- Nie wątpię, że byś potrafiła - dodała. - Jesteś mądrzejsza ode mnie. Tyle że większość osób budzi w tobie antypatię, prawda? A w interesach takie podejście jest niedopuszczalne.

- Na szczęście nie prowadzę żadnych interesów - odparłam pośpiesznie.

- Wiem. Właśnie z tego powodu.

Odyskałam dobry nastrój kilka minut później, gdy wprowadziła mnie do pokoju gościnnego. Przypominał istną dżunglę roślin doniczkowych i rozmaitych bibelotów.

- Sama go urządziłam - powiedziała radośnie. - W dawnym stylu. Jest bardziej europejski, niż powszechnie się tutaj uważa. Chciałam w ten sposób nawiązać do starego kraju.

- Jakiego starego kraju?

- Irlandii.

- Przecież tam nigdzie nie uświadczysz perkalu.

- Och, nie chodzi o szczegóły. Bardziej o wrażenie ogólne.

Spodobała mi się ta uwaga. Zapragnęłam jak najszybciej powiedzieć o tym Jimmy'emu. Ale z drugiej strony, w pewnym sensie ją podziwiałam. Podświadomie mrużyła oczy i wydymała wargi, kiedy oceniała swoje otoczenie. Sprawiała wrażenie przenikliwego obserwatora. Zadowolonego z siebie. Ale obie pochodziłyśmy przecież ze starego rodu drobnych irlandzkich farmerów. Nic więc dziwnego, że patrzyła na swoje mieszkanie tak, jakby z dumą spoglądała na własne pole czy stado bydła. Bo i czemu nie miałyby wyglądać jak wieśniak, któremu dobrze się powiodło na targu?

Z kim więcej mogłabym porozmawiać? Alex był poza zasięgiem, pozostawało mi jedynie czekać, aż zadzwoni do hotelu i dostanie od Bertiego mój nowy numer telefonu, a i Betty z działu administracyjnego mogła mieć o nim jakieś nowe wiadomości dopiero w poniedziałek. Do Caro także wolałam zadzwonić rano, żeby wychodząc z domu na kolejny egzamin, miała świeżo w pamięci moje najlepsze życzenia. Gdyby panna Leech wróciła ze stolicy, miałabym wreszcie z kim pogadać na temat broszury Pageta. Jeśli jeszcze wróci w pełni sił...

Włączyłam laptopa i przejrzałam ostatnie zapiski. Był to cytat z wypowiedzi Marianne w Rathgarze o tym, że chciałyby mieć kogoś kochanego. Następnym krokiem w jej prawdziwym życiu była podróż w towarzystwie wielebnego McClellanda do Anglii, gdzie czekało ją zamknięcie w windsorskim przytułku. Kiedy pomyślałam o tej długiej, upływającej w milczeniu podróży, aż nakazałam jej w duchu: Uciekaj! Natychmiast! Ale ona była już wtedy biedną szaloną damą w obszernych krynolinach. A jeśli nawet nie szaloną, to w każdym razie stojącą na progu obłędu. Może faktycznie nie do końca postradała zmysły, dopóki nie znalazła się pod kluczem - bo z jej punktu widzenia miało to być uwięzienie do końca życia. Postanowiłam jednak zostawić Marianne w spokoju do czasu rozmowy z panną Leech. Zaczęłam się więc rozglądać po bibliotecze Feliksa w poszukiwaniu interesującej książki.

W końcu jednak po żadną nie sięgnęłam, uznawszy, że znalazłam się w wyjątkowym miejscu i wyjątkowo mam czas dla siebie. Dlatego do nocy, a potem przez cały następny dzień i jeszcze jeden robiłam to, na co nigdy dotąd nie mogłam sobie pozwolić, to znaczy nic. Tamtego pierwszego wieczoru poszłam pod prysznic w łazience wspaniale wykończonej zielonymi i błękitnymi kafelkami, idealnie dopasowanymi odcieniem do widoku za oknem, skąd przez szklane drzwi i werandę mogłam obserwować kurkę wodną i sznureczek jej przychówku, płynącą zygzakiem między trzciniami. Znajdowało się w niej marmurowe krzesło, na którym można było usiąść, a strumienie wody wytryskiwały z wielu miejsc pod różnymi kątami. Włosy wymyłam Feliksa szamponem z algami firmowanym przez markowego męskiego fryzjera z Mediolanu. Potem otworzyłam puszkę tuńczyka. Połowę ułożyłam na chlebie z masłem dla siebie, a resztę wystawiłam na blaszanym talerzyku za kuchennymi drzwiami na płaskich kamieniach podwórka. Trzy wychudzone popielatoszary, na wpół zdzi-

czale koty początkowo ostrożnie skradały się do jedzenia, ale zakosztowawszy tuńczyka, zaczęły baraszkować w wysokiej trawie pod schodami prowadzącymi na piętro - łapały się za uszy i ściagały, to znikając, to znów pojawiając się na terenie oświetlonym przez chylące się ku zachodowi słońce, wśród wydłużających się cieni, miękkich jak wstęgi jedwabiu. Kiedy włosy mi wyschły na powietrzu, starannie rozczesałam każdy najdrobniejszy loczek, aż zrobiły się niezwykle puszyste. Gdy w nocy coś mnie obudziło i podniosłam głowę, żeby sprawdzić, czy Spot leży przy łóżku, odgarniając włosy z twarzy, wciąż czułam bijący od nich piękny zapach letniej doliny.

Nazajutrz pogoda zmieniała się jak w kalejdoskopie. Raz cały dom zalewało jaskrawe światło, to znów pograżał się w cieniu chmur gnanych wiatrem po niebie, by po chwili na nowo rozgrzewać się w promieniach słońca. Po południu wszystko się uspokoiło niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wiatr przycichł do leciutkiej bryzy, a przeszklony dom zatonął w złotawym blasku. Siedziałam na werandzie, Spot spała u moich stóp. Ilekroć się pochylałam, by pogłaskać ją po łebku, czułam ciepło bijące od nagrzanego słońcem sierści. Niebo zamieniło się w rozległy przestwór nieskalanego błękitu. Przypomniały mi się pokrycia dachów wielu meczetów w Iranie, takich właśnie czystobłękitnych, połyskujących niczym wąski pas nad horyzontem, między niebem wypalonym przez słoneczny żar do białości a murami betonowych bloków, rudawymi od pustynnego piasku. Tutaj niebo przypominało właśnie taką kopułę meczetu, tyle że przenicowaną do wewnątrz, pod którą żywa zieleń pól i łąk sprawiała wrażenie nadzwyczaj czystej - kopułę, pod którą przechowywano samą esencję wczesnego lata. Ze zdwojoną mocą czułam każdy ruch, sprężystość trawy na łące pod stopami i ciepłe powiewy wiatru rozwiewającego włosy. Z przyjemnością wciągałam do płuc rześkie, jak gdyby świeżo wyprodukowane powietrze. Słyszałam poszczególne warstwy dźwięków, poczynając od donośnego śpiewu skowronków wysoko nad ziemią, a skończywszy na poszumie trzciny na brzegu jeziora i cichego pluskania fal omywających brunatny skrawek nagiej ziemi przed domem.

Kiedy słońce zapadło w gęstwinę różowych i szkarłatnych smug nad horyzontem, uwiłam sobie gniazdko z poduszek na schodach werandy i patrzyłam, jak koty baraszkują wokół żywopłotu. A gdy pociemniało, ułożyłam się razem ze Spot na sofie i włączyłam telewizor. Jakaś kobieta z Teksasu zamordowała instruktora gry w golfa. Tajwańska opera. Długa dyskusja na temat ekonomicznych implikacji słabych notowań jena.

Potem ściągnęłam materac na odkrytą część werandy i położyłam się spać, gdy panowała jeszcze szarówka. Ciemniejące jezioro wydawało się kołysać na wietrze zaledwie parę metrów ode mnie. Pewnie gdzieś indziej bałabym się nocnych stworzeń, ale tutaj, po wielu godzinach osvajania się z bliską obecnością wody i łąk dookoła, czułam się już jak jeden z elementów tej doliny. Po czarnej powierzchni jeziora majestatycznie przepłynął łabędź, kiedy leżałam wygodnie na poduszkach i czekałam na koniec słuchanej właśnie sonaty fortepianowej Schuberta - tej ostatniej, którą kończył pisać, wiedząc już, że niedługo umrze. Od czasu śmierci Jimmy'ego wozila ten kompakt ze sobą niczym fetysz. Nigdy nie miałam go dość. Słuchałam sonaty, żeby sprawdzić, czy zdołam w muzyce wychwycić kształt śmierci. Albo raczej pogodzenie się Schuberta ze śmiercią, czynione w imieniu własnym, ale i wszystkich istot śmiertelnych.

Wiele razy próbowałam rozmawiać z Jimmym o muzyce, ale on się nią nie interesował. Często puszczałam mu różne fragmenty tej sonaty, nie mając żadnych przeczuć, że go stracę. Kiedyś powiedziałam:

- Ta muzyka przedstawia doświadczenie konania, jak gdyby śmierć dotknęła człowieka i została przez niego zrozumiana w jednej przedłużającej się chwili pożegnania z życiem. Moim zdaniem na tym właśnie polega krzepiąca rola muzyki, na przedstawianiu doświadczeń wykraczających poza zakres naszego pojmowania przy jednoczesnym zachowaniu nad nimi kontroli. Co o tym sądzisz, Jim?

- Kiedy umarł mój ojciec - odparł - na pogrzebie zagrano na akordeonie *You'll never walk alone*. Matka przed śmiercią zostawiła instrukcję, by podczas nabożeństwa odtworzono wybrane przez nią fragmenty z koncertu trzech tenorów w Rzymie. Więc raczej nie oczekuj od prostego chłopaka ze Scottsbluff w Nebrasce, że połapie się w tym, o czym mówisz.

- No cóż, Shore Road czy Kilcrenna też nie mogłyby się równać z Wiedniem...

Nieoczekiwanie dla samej siebie znów zaczęłam płakać. Szlochałam i szlochałam, aż całkiem zmoczyłam poduszkę i prześcieradło przy twarzy. Pomyślałam, że małe kurki wodne i wychudzone dzikie koty są pełne życia, tak jak być powinno. Tylko ludzie muszą się borykać z przeszłością i przyszłością. Ja mogłam się cieszyć wygodą tego gniazdka uwitego z materaca i poduszek, więc tym bardziej zrobiło mi się żal mojej biednej matki, gdy przypominałam sobie, jak bezskutecznie próbowała rozpaścić ogień w kuchni patykami przyniesionymi z plaży, zbyt przesiąkniętymi morską solą, by mogły się zająć płomieniem. Zrobiło mi się nawet żal ojca. Ten dom tutaj był taki piękny i napawający poczuciem bezpieczeństwa! Tymczasem tata, hołdujący starej irlandzkiej tradycji, zawsze noszący wyświechtany granatowy garnitur, witał sąsiadów z dumnie zadartą głową niczym potentat, a w domu wrzeszczał: „Wynoście się stąd wreszcie, do jasnej cholery!”, chcąc nas pogonić do kościoła. Nigdy w życiu nie zetknął się z takim luksusem. Ogolony, ubrany i przylizany, wytaczał się z naszej wiecznie zimnej łazienki z pordzewiałą wanną i wyslizganym linoleum na podłodze. Jakże gwizdałby z zapalem, biorąc kąpiel w olśniewającej łazience Feliksa! Irlandia za czasów moich rodziców marnowała swoich obywateli, jakby byli bezwartościowi. A ich dziadkowie, podobnie jak ludzie mieszkający nad tym jeziorem... Oni też mieli swoich Jimmych, których tracili. A raczej Jiminów. Tak samo po tysiącokroć ukochanych. W czasie podróży samochodem z Ballygall słuchałam w radiu miłosnej piosenki skomponowanej przez twórców, których duchy szeleściły teraz w trzcinach pod werandą. *Zaślubiłbym cię, nawet gdybyś nie miała żadnego wiana, ani krowy, ani jednego funta, moja ukochana. I w gorzkim smutku trwam, że ty i ja, moja ukochana, nie jesteśmy w Cashel, bo tu łóżkiem naszym tylko ta deska na wrzosach z płotu wyrwana...* A Marianne, wiecznie uwięziona pod licznymi warstwami szorstkiego płótna, fiszbinu i krochmalonego muślinu, nie mogła znać miękkiego dotyku bawełnianej bluzki i szortów oraz lakierowanych desek werandy pod bosymi stopami. Przecież i ja mogłabym większą część życia spędzić w równie pięknym domu, nie musząc w samotności, w tej mrocznej londyńskiej suterenie, obchodzić swoich dwudziestych piątych, trzydziestych, czterdziestych, czterdziestych piątych urodzin. Z wiekiem odczuwałam coraz cięższe brzemienie tego, że jeszcze nigdy na dobre nie zaznałam szczęścia.

To będzie koszmar na noc, pomyślałam. Stało się jednak inaczej. Powieki miałam jeszcze sklezione łzami, ale stopniowo szloch się uspokajał i tylko od czasu do czasu pojedyncza łezka staczała się po policzku, kiedy poczułam, że jestem głodna jak wilk. Obudziłam Spot wyciągniętą obok materaca, włożyłam sweter i razem poszliśmy do kuchni, gdzie przygotowałam tost z serem dla siebie, a drugi z sardynkami dla niej, po czym zjadliśmy, słuchając jakiejś kabaretowej piosenkarki z lat czterdziestych śpiewającej *Begin the beguine*. Dodat-

kowo nalałam sobie kieliszek doskonałego wina z całej kolekcji wspaniale schłodzonych butelek. Wtedy znów poczułam się wyjątkowo dobrze. Posprzątałam i razem wróciłyśmy na swoje posłania na werandzie.

- Teraz będzie nam tu jak u Pana Boga za piecem - odezwał się do Spot.

Na swoim pogrzebie wołałabym albo Schuberta, albo składankę melodii Cole'a Portera. Jeśli cokolwiek usłyszę. Zaskoczyło mnie, że nie mogę sobie przypomnieć, co grano podczas pogrzebu Jimmy'ego w stylizowanej na średniowieczną kaplicy sąsiadującej z krematorium. To Alex załatwił formalności. Zostawiłam wszystko w jego rękach. Tego dnia, gdy rano dowiedzieliśmy się o śmierci Jimmy'ego, razem z Roxy i Betty z naszego biura wypiliśmy mnóstwo dzinu w pubie, a potem wróciłam do domu i pogrążyłam się w lekturze. Alex dzwonił do mnie co jakiś czas i na bieżąco relacjonował, czego się dowiedział i co załatwił. Zawał. Kremacja. Odnalazł nawet ostatniego kochanka Jimmy'ego, okazało się jednak, że ma on AIDS i od roku leży w szpitalu w Miami. Dyrektor szpitala uznał, iż nie czuje się on na tyle dobrze, by poinformować go o śmierci przyjaciela, złożył jednak w imieniu własnym i całego personelu serdeczne kondolencje, dodając, że będzie im bardzo brakowało señora Jimmy'ego. Na wszystko odpowiadałam: „Tak. Tak”. Później z nikim się nie widziałam przez kilka dni. Trzy albo cztery.

A podczas pogrzebu wciąż byłam w szoku, pewnie dlatego nie pamiętałam żadnych szczegółów.

Kiedy Alex przyjechał po mnie i uświadomiłam sobie, że oboje ubraliśmy się na czarno, powiedziałam:

- Chyba jesteśmy kimś więcej, niż tylko jego znajomymi z pracy. Rodzice Jimmy'ego nie żyją, więc możemy się uznać za jego najbliższą rodzinę.

- Wy rzeczywiście byliście bardzo blisko związani. Jeździłaś z nim na święta do Ameryki i w ogóle... Między nami nigdy nie zrodziła się prawdziwa przyjaźń. Ale i ja bardzo często o nim myślałam. I on chyba o tym wiedział. - Odwrócił się i spojrzał mi w oczy. - Mam rację?

- Na pewno. Oczywiście, że wiedział. Przeciskaliśmy się w strugach deszczu straszliwie zapchaną Holloway Road w kierunku Highgate.

- Wydaje mi się, że w czasie pogrzebu zawsze pada - rzekł Alex.

- Nie wiem, bo nigdy dotąd nie byłam na pogrzebie.

- Naprawdę?

- Owszem. W każdym razie nikogo znajomego. Oczywiście widziałam wiele pogrzebów. Na przykład w Egipcie, gdzie tłum mężczyzn niosących zwłoki biegł truchtem ulicą i głośno wykrzykiwał..

- Jesteś katoliczką i nigdy nie byłaś na pogrzebie?!

- Co wiara ma z tym wspólnego? Po prostu nie chciałam wracać do Irlandii na pogrzeb matki, a z ojcem, który zmarł kilka lat temu, nic mnie nie łączyło.

- Więc może lepiej wyjaśnię ci parę rzeczy. Dzisiejsza uroczystość odbędzie się według kanonów High Church*, z kadzidłem i całą resztą, a komunia udzielana będzie na dwa sposoby, także z chlebem i winem. Myślę, że Jimmy'emu by się to podobało.

* High Church - odłam kościoła anglikańskiego, między innymi udzielający sakramentów według tradycyjnych reguł rzymskokatolickich (*przyp. tłum.*).

- O tak! Bardzo lubił wszelkie niezwykłości.

- Ale nie będę mógł siedzieć przy tobie, Kathleen - dodał, po czym zamilkł na dłużej, jakby zabrakło mu słów. - Prawdę powiedziawszy, będę asystował ojcu Gervase.

Oślupiałam. Dopiero po paru sekundach wydusiłam:

- Nie wiedziałam, że w Kościele protestanckim także są ministranci.

- Niezupelnie - mruknął.

- Więc kiedy praktykowałeś służenie do mszy?

- Prawdę mówiąc, znam to od zawsze. Kiedy byłem mały, mieszkaliśmy przy niewielkiej anglikańskiej fundacji. Na pewno wstąpiłbym do zakonu, gdyby nie umarł mój ojciec... Ale od czasu, gdy skończyłem osiemnaście lat, jestem laikiem. To rodzaj zanikającego stowarzyszenia. Nazywamy się Braćmi Zwiastowania. Złożyłem śluby, gdy miałem dwadzieścia jeden lat. Teraz już wiesz, gdzie spędzam wszystkie urlopy. Zamykam się w klasztorze.

- Jakie to śluby?

- Ubóstwa. Czystości. Posłuszeństwa. Zwyczajne...

Gdyby Jimmy mógł to słyszeć! W myślach powiedziałam mu o wszystkim, gdy Alex, ubrany w komżę, stał obok księdza z mosiężną czarą święconej wody, którą skrapiał trumnę.

I co ty na to, najdroższy Jimmy?! Kto by się domyślił, choćby i przez milion lat, że tak wygląda prawda?! On jest księdzem, przyjacielu! Mieliśmy szefa duchownego!

Po pogrzebie odbyła się skromna stypa w bufecie hotelu na Muswell Hill. Przyjaciele Jimmy'ego zbici w gromadkę przy barze wyglądali dość żałośnie, gdy ze smutnymi minami rozglądali się nerwowo dookoła. To wszczynali ożywioną rozmowę, to znów całkiem milkli. Prezes zarządu, przełożony Aleksa z „NewsWrite”, ciągle fundował kolejki drinków, chcąc zaimponować Caroline. Matka Roxy, która siedziała sztywno obok niej w kapeluszu przypominającym odwróconą miseczkę różowego budyniu, stanowiła zapowiedź tego, jak córka będzie wyglądała za jakiś czas.

Alex pochylił się w moją stronę i szepnął:

- Odwiozę cię do domu, kiedy tylko zechcesz.

Wszedł do mojej sutereny. Włączyłam dmuchawę grzejnika elektrycznego i otworzyłam butelkę szampana, bo nic innego nie miałam w lodówce, po czym usiedliśmy przy stole w kuchni. Przez cały wieczór co jakiś czas na zmianę pochylaliśmy nisko głowy i szlochaliśmy. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach. O świętach Bożego Narodzenia u państwa Becków w Scottsbluff, kiedy we czworo wykrzykiwaliśmy odpowiedzi na pytania padające w oglądanym teleturnieju, a Jimmy zazwyczaj złościł się na ojca, ale był naprawdę załamany po jego śmierci. O matce Aleksa, która wciąż szykowała mu śniadania, chociaż miała już osiemdziesiąt lat. I o pogrzebie mojej matki oraz o tym, że nie byłam w rodzinnym domu od czasu jej śmierci. Ale głównie o zakończonej uroczystości - o tym, że przestało padać, kiedy byliśmy w kaplicy, a po południu tak się rozpogodziło, jakby wreszcie nadeszła prawdziwa wiosna, i o tym, że na pogrzebie w ogóle nie było ludzi młodych ani dzieci, nikt nie wspominał o nich nawet jednym słowem.

- Na moim pogrzebie także nie będzie dzieci - rzekł Alex.

Powiedział to tak obojętnym tonem, że zrobiło mi się go strasznie żal.

Znacznie, znacznie później wypłynął temat tamtej nocy w Trieście. Jeśli dobrze pamiętam, Alex podjął go z własnej inicjatywy.

- Pamiętasz tamtą noc w hotelu, Kathleen? To był jeden jedyny raz w moim życiu. Nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć. Byłem tak zaskoczony. Poza tym czułem się niedobrze po tej ilości wina, jaką wypiliśmy. W dodatku ty nie pojawiałaś się później w biurze przez prawie dwa miesiące, ja zaś nie miałem odwagi z tobą porozmawiać... A tyle chciałem ci powiedzieć! To, co między nami zaszło, było takie miłe, takie cudowne! Kiedy tylko wytrzeźwiałem, powiedziałem w duchu Bogu: Nigdy aż do tej pory nie wiedziałem, czego się dla Ciebie wyrzekam.

Zaskoczyło mnie, że między nami jednak zaszło coś cudownego, ale wołałam mu o tym nie mówić. Uśmiechnęłam się tylko tajemniczo.

I nagle, jak zwykle psując nastrój, odparłam:

- No cóż, gdybyś chciał jeszcze kiedykolwiek tego zakosztować, Alex...

Szybko przyłożył mi dłonie do twarzy, tak jak robił to Jimmy, lekko uniósł głowę i pocałował w oba policzki.

- Bóg naprawdę istnieje - rzekł. - Nie czułaś, jak dzisiaj na nas wszystkich spływa Jego łaska? Nie jestem ani trochę tak błyskotliwy jak ty, Kathy. Mnie miłość do Niego pochłania cały czas.

Usłyszałam deszcz, jeszcze zanim poczułam go na twarzy. Gwiazdy zniknęły, a cała dolina jak gdyby głośno westchnęła z ulgą w ciemności, dopiero wtedy złowiłam szelest kropel zbliżającego się w moją stronę przez jezioro deszczu. W ostatniej chwili zdążyłam wciągnąć materac pod dach. Spot trochę powarczała, najwyraźniej niezadowolona z obudzenia jej w środku nocy, ale szybko się uspokoiła, gdy na nowo przygotowałam oba posłania tuż za przesuwanymi drzwiami, nie dalej jak metr od kropel spadających na deski werandy. Szmer deszczu podziałał hipnotycznie, prawie od razu ogarnęła mnie przemożna senność. Zanim jednak usnęłam, przypomniałam sobie jeszcze jedną rzecz z dnia pogrzebu Jimmy'ego.

Po zakończeniu mszy wyszłam przed kaplicę i stanęłam trochę na uboczu, żeby poczekać, aż Alex rozmieści gości w samochodach. Moją uwagę przyciągnęły dwa jaskrawo ubarwione ptaki siedzące na krzaku przy ścieżce. Z gałązek zwieszały się jeszcze połyskujące w słońcu krople deszczu. Ojciec Gervase w drodze do zakrystii przystanął obok mnie i także popatrzył na ptaki.

- To zięby - rzekł uradowany. - Ten mocniej ubarwiony to samczyk, jego wybranka jest bardziej szara.

- Czy to nie dziwne, że w społeczności ludzkiej sprawy mają się bardzo podobnie? - zapytałam. - Z wyjątkiem osób stanu duchownego, od biskupów i kardynałów, po zwykłych księży, takich jak ty, ojciec. Wy również macie swoje barwy rozpoznawcze, tyle że rezygnujecie z małżeństwa.

- Och, z pewnością każdy z nas także chciałby mieć żonę - odparł siwy kaznodzieja - ale może jest coś, czego pragniemy jeszcze bardziej.

Ludzie nawoływali się wzajemnie, z włączonego radia w furgonetce stojącej z otwartymi drzwiami nieco dalej przy ulicy dolatywała skoczna piosenka.

- No cóż - rzucił ksiądz, ruszając dalej. - Niech cię Bóg błogosławi.

- Bardzo dziękuję - odparłam. - Ale ja nie wierzę nawet w Boga.

- Znasz to stare powiedzenie? - spytał, zatrzymując się znowu. - Nie liczy się to, czy w Niego wierzysz, ale to, czy On wierzy w ciebie.

- Sama nie wiem, co robić - mruknęłam ku własnemu zaskoczeniu. - Mam dość pracy, a teraz jeszcze zmarł mój najlepszy przyjaciel. Nie potrafię zdecydować, czy powinnam dalej robić to, co umiem najlepiej, czy też zająć się czymś innym, zacząć od początku, mimo swojego wieku...

- Nie ośmieliłbym się dawać wskazówek tak pięknej kobiecie, która w dodatku nawet nie wierzy w Boga.

- Och, ojcie! - Zaśmiałam się krótko. - Proszę mnie jeszcze bardziej nie załamywać.

- Przecież żartowałem! To był tylko żart! Posłuchaj uważnie - dodał ściszym głosem. - Jest pewna rzecz, odkryłem ją jakiś czas temu na własny użytek. Zdecyduj się na to, co jest mniej pasywne, co pozwoli ci na maksymalną aktywność życiową. Będzie to zarazem bliższe ludzkiej natury.

- Czyżby Kościół anglikański płacił ojcu za udzielanie tego typu rad swoim parafianom? - zapytałam z uśmiechem.

- No właśnie! To wspaniały sposób zarabiania na życie!

- Czuję się tu jak na Barbadosie - powiedziała Caro, zadzwoniwszy do niej następnego ranka. - To moje najwspanialsze wakacje w życiu. Do tego w Irlandii! Spot już ciężko dyszy od upału, a przecież dopiero pora śniadania.

- Och, przestań! - jęknęła. - Ja do końca tygodnia muszę przesiadywać w szkolnej ławce jak uczennica.

- W takim razie poplotkujemy dłużej, kiedy wrócę. Wybierzemy się na koktajl do Savoyu i spróbujemy poderwać jakichś facetów...

- No wiesz, Kathleen?! - syknęła z udawanym oburzeniem.

Byłam bardzo dumna z siebie po odłożeniu słuchawki. Przynajmniej odważyłam się wspomnieć o mężczyznach w rozmowie z Caroline. Od czasu jej rozvodu i odnowienia naszej bliższej znajomości cenzurowałam wszelkie uwagi odnoszące się do istnienia dwóch płci.

Późnym popołudniem zmusiłam się do tego, żeby wstać z materaca na werandzie, wyłączyć odtwarzacz, do którego od rana łądowałam kompakty z nagraniami Freda Astaire'a, i pojechać do Ballygall, żeby zaopatrzyć się awaryjnie w jakieś lżejsze ubrania na ten upał. W Drapery Hall przy rynku nieustannie nucąca pod nosem dama sprzedała mi dwie bawełniane spódniczki z kartonowego pudła podpisanego czarnym markerem: Spódnice - Damskie - Różne. Potem przesunęła się za ladą ze dwa metry, do części umownie przeznaczonej na odzież młodzieżową, i wyciągnęła dwa T-shirty z pudła z napisem: Chłopięce - B. Duże. Zostawiłam torbę z zakupami w samochodzie i poszłam ulicą do tylnego wejścia hotelu, żeby dowiedzieć się o stan zdrowia panny Leech i przywitać ze wszystkimi.

- Kathleen!... Łap małego!

Oliver przesuwał się na pupie, energicznie pracując rączkami i nóżkami, jakby to były wiosła, i celując przez otwarte drzwi na podwórze. Jego matka rzuciła do zlewu garnek, który napelniała wodą, podbiegła i od tyłu poderwała dziecko na ręce. Ollie zaczął się wiercić i wyrywać, a po chwili wybuchnął płaczem.

- Biedne maleństwo! - rzekł Bertie, pochylając się nad chłopczykiem. - Mama była niedobra dla ciebie? To przez nią płaczesz?

- Coraz trudniej mi go upilnować, tato - poskarżyła się Ella.

- Tylko patrzeć, jak zaczniesz chodzić. Prawda, synku? No, chodź. Daj mi go. Weź herbatnika z puszki, Kathleen. Grubo polukrowanego. Zaraz go nauczymy chodzić. Ciebie uczyła twoja matka - rzekł z uśmiechem do córki - właśnie tu, w tej kuchni. I ani się obejrzelismy, kiedy wypadłaś za drzwi do ogrodu. Poruszałaś się jak Tarzan. Nigdy tego nie zapomnę.

Wszyscy wyszliśmy na podwórze. Usiadłam na ławeczce, a Spot ułożyła się obok moich nóg. Spod przymrużonych powiek spjrzałam na tę trójkę stojącą pod słońce na tle żywopłotu - dwie duże oświetlone na różowo sylwetki dorosłych i trzecią, dużo mniejszą, ale tak samo różową sylwetkę dziecka - jakbym patrzyła na modną w latach dwudziestych rodzinną fotografię. Albo fragment obrazu Poussina czy Cézanne'a... Ich głosy przycichły, gdy zamknęłam oczy, wystawiając twarz do słońca. Przypomniałam sobie... tak, pobyt na basenie pewnego upalnego dnia. W cieniu parasola pisałam wtedy na maszynie jakiś artykuł. To musiało być dość dawno temu, skoro podróżowałam jeszcze z walizkową maszyną do pisania. W basenie bawił się ojciec z dwójką opalonych na ciemny brąz dzieci, a ich matka, od olejku do opalania błyszcząca niczym foka, leżała na kocu i czytała czasopismo. Dzieciaki bez przerwy wołały: „Mamo, tylko popatrz!”, „Mamo, zobacz, co potrafisz!”, a mnie z każdą minutą coraz bardziej ściszało w dołku z obawy, że faceta zirytuje w końcu to domaganie się uwagi bardziej od matki niż od niego, i jeszcze zrobi coś paskudnego albo jej, albo któremuś z dzieci. Aż musiałam się stamtąd wynieść.

Ella postawiła przed sobą Olliego, przytrzymując go za krótkie pulchne rączki. Świetnie się prezentował na tle jej spódnicy. Zaczęła go ostrożnie prowadzić, delikatnie popychając kolanami i kołysząc przy tym lekko na boki, żeby pokazać, którą nóżkę ma wysuwać do przodu - najpierw jedną, potem drugą. Musiał się czuć bardzo bezpiecznie, mając za plecami oparcie jej nóg. Zabawnie marszczył przy tym czoło i wydymał wargi z wysiłku. Przez cały czas patrzył na kucającego przed nim dziadka, od którego dzieliło go zaledwie parę metrów miękkiej wysokiej trawy. I łakomym wzrokiem spoglądał na białego lukrowanego herbatnika trzymanego przez Bertiego w wyciągniętej ręce.

- Świetnie! Jeszcze trochę, Ollie! Bardzo dzielny z ciebie chłopak!

Położyłam dłoń na łebku Spot, żeby zatrzymać ją na miejscu. Trwałyśmy obie w bezruchu, w roli obserwatorów, podczas gdy Ella powoli prowadziła synka przed nami, kołysząc nim jak wiatr trzcinią i koncentrując całą uwagę na każdym jego ruchu. Ollie rwał się do przodu i gdy matka w końcu go puściła, zatoczył się raz i drugi w pełnym słońcu, po raz pierwszy zdany na własne siły w pozycji wyprostowanej. Przez ułamek sekundy wydawało się, że cały świat czeka tylko na niego, nawet kaczki pluskające się w starej blaszanej wannie w zagrodzie pod jabłónką nagle przestały kwakać. Zaraz jednak przewrócił się w trawę i zakołysał na brzuszku. Ale nie zdążył zapłakać, bo Ella natychmiast podniosła go na nóżki.

- Wspaniały chłopak! - powtarzał zachęcająco Bertie. - Najwspanialszy malec na całym świecie!

Obszerne śpiochy z pieluchą zsunęły się Olliemu do kolan. Popatrzył na nie z wyraźnym zdumieniem, po czym uniósł wzrok na matkę, jakby chciał jej dać do zrozumienia, żeby coś z tym zrobiła. Jednym płynnym ruchem uwolniła go od nich.

Znów poprowadziła go przed sobą. Jej ciemne palce silnie kontrastowały z białą skórą rączek. Niewielki zaokrąglony brzuszek wystający spod krótkiego kaftanika, różowe pośladki i malutki penis chyba po raz pierw-

szy ujrzały światło słoneczne. Teraz jednak malec wyraźnie nabrał pewności siebie. Ella puściła go po raz drugi, znów się zachwiał, ale pospiesznie chwyciła go z powrotem pod rękę. Nie upadł, więc chwilę później znowu go puściła. Krótkie serdelkowate nóżki utrzymały ciężar.

Pochylona nad nim matka delikatnie pomogła mu utrzymać równowagę i zaraz znowu puściła - tym razem się udało. Chwiejnym krokiem pokonał kilka metrów podwórka i padł w objęcia dziadka. Zrobił najwyżej pięć lub sześć małych kroczków, ale bezpiecznie dostał się z jednej pary opiekuńczych rąk do drugiej bez upadku.

- Wspaniale! No i widzisz, jaki z ciebie dzielny chłopak?!

Peanom pochwalnym nie było końca... Odchyliłam się na oparcie ławki, czując, jak opuszcza mnie mimowolne napięcie. Oto byłam świadkiem chwili zakończenia niemowlęstwa Olliego i początku długiego życia na własnych nogach. Czulałam się tak, jakbym i ja przekroczyła jakąś granicę. Jakaż absorbująca okazała się obserwacja pierwszych kroków dziecka! Bo po raz pierwszy znalazłam się wśród znanych mi ludzi, którzy uczą własne dzieci chodzić!

- Atli! - zawołał Ollie, obrócił się w moją stronę i ruszył do przodu, ale zaraz upadł i zaczął się niezdarnie gramolić na nogi.

- Zostaw Kathleen w spokoju, synku - rzekł Bertie. - Ona teraz musi iść na herbatę, żeby uczcić twój sukces.

O zachodzie słońca wyruszyłam ze Spot na długi spacer wąską bitą drogą. Scena w hotelowym ogrodzie głęboko zapadła mi w serce i wciąż ją wspominałam, idąc między zwartymi szeregami głogu upstrzonego kremowobiałymi kwiatkami. Przed nami, potrząsając ogonkami, skakały po ubitej trawie pliszki.

Wszystkim znanym mi ludziom, którzy są szczęśliwi, musiało się w życiu przytrafić to samo. Matki wprowadzały ich w szeroki świat. Stawały za nimi i wolno popychały do przodu na miękkich trzęsących się nóżkach, oni zaś doskonale wiedzieli, że są otoczeni wielką miłością i olbrzymią troską, więc nawet jeśli się przewrócą, nic im nie grozi. Wręcz przeciwnie, gdy się przewracali, otaczała ich jeszcze większa miłość. Stąd musiała wypływać pewność siebie charakteryzująca ludzi sukcesu. Mogli śmiało, bez lęku podejmować wszelkie ryzyko. Byli zdolni patrzeć i słuchać ze zdwojoną uwagą, nie trzymając niczego w rezerwie dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa - z lekko rozchylonymi ustami i błyszczącymi oczyma swobodnie przenosić wzrok z jednego rozmówcy na drugiego. I z całą otwartością patrzeć w oczy tych, których kochają, całkowicie zapominając o sobie. Bo nie musieli się obawiać zapomnienia. Nie musieli zdobywać się na wysiłek, aby mówić prawdę. W każdej sytuacji mogli być sobą. Właśnie ta ochronna otoczka miłości pozwalała im na szczerość.

Ja też umiem chodzić, powiedziałam sobie w duchu. Ale na tym kończyła się moja wiedza dotycząca nauki chodzenia. Gdybym nie była tym, kim pragnęłam być, co bym wówczas poczęła? Nie miałam żadnych opiekuńczych rąk, które uchroniłyby mnie przed upadkiem.

Aż przystanąłam na chwilę, tknięta pewną myślą. A jeśli moja matka wychowywała się w jakimś ośrodku? W którymś z tych rygorystycznych sierocińców, gdzie dostawało się różgi za zmoczenie w nocy pościeli? To by wyjaśniało, dlaczego nie miała pojęcia, że matki powinny kochać swoje dzieci...

Dość! - ofuknęłam się w myślach, zawracając w stronę domu tonącego w zapadającym zmroku. - Zostaw wspomnienia! Po prostu rób, co potrafisz! I staraj się robić to najlepiej, jak potrafisz!

18

Następnego ranka obudził mnie warkot samochodu nadjeżdżającego od strony parowu za domem.

Spot pognała schodami na dół.

Czekałam bez większego zainteresowania.

Nagle z końca werandy doleciał cichy łagodny męski głos:

- Kathleen? Obudź się! Gdzie jesteś, Kathleen? To był głos Shaya.

Pościel pokrywała drobna rosa, maleńkie kropelki wody wisiały nawet na włoskach ręki, którą wystawiłam spod kołdry. Kiedy uklękłam w moim gniazdku z poduszek na materacu, musiałam potrząsnąć głową i rosa z mych włosów osypała się na deski niczym cekiny.

Shay powitał mnie szerokim uśmiechem znad szczytu schodów.

- Nie wstawaj - powiedział. - Już mi weszło w krew szykowanie ci porannej herbaty. Gdzie jest czajnik? Sam chętnie się napiję. Ten starszy jegomość z hotelu dał mi bochenek domowego chleba, który właśnie wyciągał z pieca, gdy zajrzałem do kuchni, szukając ciebie. Mam nadzieję, że masz masło. Czy ktoś ci już mówił, że wyglądasz jak mała dziewczynka, kiedy tak leżysz w pościeli?

- Bertie wcale nie jest taki stary - odparłam. - Ma dopiero sześćdziesiąt trzy lata. Nie próbuj się przy nim odmładzać.

- Co za zuchwalstwo! Powinnaś powiedzieć: Kochanie, jak wspaniale znów cię widzieć!

- Kochanie, jak wspaniale znów cię widzieć! - powtórzyłam. - Swoją drogą, co ty tutaj robisz? Sądziłam, że przyjeżdżasz do Irlandii raz w miesiącu.

- A jak myślisz? Co tu robię?

Prawdę mówiąc, przysnęłam jeszcze, kiedy poszedł zaparzyć herbatę. Jego obecność traktowałam jak coś zupełnie naturalnego.

Spod chmur sfrunęła samotna mewa i przemknęła nad werandą, łypiąc na nas błyszczącym perełkowanym oczkiem.

- Coś podobnego! - odezwał się Shay. - Mewa! Tak daleko w głębi łądu!

Rzucił w jej kierunku kawałek skórki chleba.

- Pewnie myśli, że ten dom to łódź.

- Faktycznie, można się tu czuć jak na łodzi.

Kiedy wygrzebałam się spod kołdry i wstałam, żeby pójść pod prysznic, chwycił mnie w pasie, przyciągnął do siebie i na kilka sekund oparł czoło o mój brzuch.

- Chciałam się wykąpać - mruknęłam.

- Nie musisz. Uwielbiam twój zapach o poranku. Słyszysz? Nie kąp się.

Jak Tristan i Izolda, pomyślałam, myjąc zęby. Oszaleli na swoim punkcie na pokładzie statku płynącego do Kornwalii. Albo w *Brideshead revisited* ten... jakże mu było na imię? - czy nie kochał się z Julią po raz pierwszy na pokładzie transoceanicznego liniowca?

Kiedy wyszłam z łazienki, Shay uniósł brzeg kołdry, bym się z powrotem pod nią wsunęła i położyła obok niego. Pragnął mnie przytulić, a i ja byłam gotowa zanurzyć się w jego objęciach. Było mi zimno w nogi, choć wyszłam z pościeli tylko na krótko.

Och, my przecież także poznaliśmy się na statku! - pomyślałam uradowana. Na promie do Mellary Harbour!

- Moja piękna dziewczynka! Moje maleństwo! Moja mała lisica!

Powtarzał to w kółko, raz za razem, kiedy zaś ułożyłam głowę na poduszce, pochylił się i zapytał szepcąc:

- Czy mogę cię zmiażdżyć? Mogę cię zgnieść, Kathleen, aż będzie bolało? Zgódź się! Śmiało! Powiedz: tak!

Docierały do mnie odgłosy coraz bardziej zaniepokojonej Spot w miarę, jak nasze ruchy stawały się szybsze, a hałasy przybierały na sile. Kiedy wreszcie otworzyłam oczy, jak przez mgłę po fali silnej ekstazy dostrzegłam, że przestraszona suczka stoi tuż nade mną i czarnymi ślepkami wodzi po mojej twarzy, chcąc sprawdzić, czy nie potrzebuję jej ochrony.

- Wszystko w porządku - mruknęłam. - To mój przyjaciel, pan Shay.

Kiedy rytm naszych oddechów wrócił do normy, powiedziałam:

- Wiesz? To dziwne. Pomimo że... to, co robiliśmy, jest zachowaniem czysto zwierzęcym, czuję się nie-swojo ze świadomością, iż obserwowało nas niewinne zwierzę.

- Za to ja się czuję fantastycznie - odparł Shay. - Chyba jeszcze nigdy nie czułem się tak wspaniale.

- Pójdziemy popływać? - zapytał gdzieś koło południa, gdy oboje byliśmy już nieźle wymęczeni.

- Popływać? W Irlandii? W kwietniu?

- Te jeziora mają zaledwie po kilka metrów głębokości. Wystarczą dwa słoneczne dni, żeby woda się nagrzała. Dobrze o tym wiem, bo wychowywałem się w sąsiedztwie dwóch podobnych oczek wodnych.

Zeszliśmy więc nad jezioro. Zastanawiałam się, czy na początku, może nawet podświadomie, nie chciał mi dać do zrozumienia, jaki z niego macho, a ja szybko sprowadziłam go na ziemię uwagą o jego wieku. Niemniej bardzo mi się wtedy podobał. Byłam gotowa na większe poświęcenia dla niego niż tylko człapanie w rozpiętych sandałach po bujnej ostrej trawie w kierunku skrawka gołej ziemi na brzegu jeziora. Okazało się jednak, że woda faktycznie jest dość ciepła, więc zapewne miał rację. Zostawił swoje bokserki na kamieniu obok moich majtek i trzymając się za ręce, ostrożnie zaczęliśmy schodzić po żwirku między omszałymi otoczkami, aż dotarliśmy do mulistego podłoża wciskającego się między palce stóp. Przy dnie woda była wyraźnie chłodniejsza, lecz nie na tyle, żeby uznać ją za zimną. Stanowiliśmy jednak skrajne przeciwieństwo tych młodych par z filmików reklamowych, które radośnie wbiegają w fale oceanu. Shay miał ciemniejszą cerę od mojej, zwłaszcza na ramionach i twarzy, co było efektem pracy na wolnym powietrzu, ale i tak żadne z nas nie było opalone na brąz. Poza tym sunęliśmy powoli, noga za nogą, krzywiąc się i posykując. Musieliśmy się rozdzielić i zacząć pływać, kiedy woda sięgała nam zaledwie do kolan, tylko po to, by nie ranić sobie dłuższej stóp o

ukryte w mule kamienie. Całkowite zanurzenie się w wodzie było dla mnie takim szokiem, że aż zadzwoniłam zębami. Wstrząs jednak szybko minął i poczułam się rozkosznie w tej miękkiej bagiennej wodzie, brązowawej i jedwabistej w dotyku. Shay uśmiechnął się do mnie triumfalnie i popłynął w stronę przeciwległego brzegu. Energicznie rozchlapывał wodę, a przy tym jego oczy jak gdyby odzyskały niebieski młodzieńczy kolor. Ja popłynęłam leniwie żabką i na środku jeziora obróciłam się na wznak, by zanurzyć całe ciało w kilku centymetrach nagrzanej powierzchniowej warstwy wody. Bardzo przyjemnie było wystawić się na słońce, pozostając w lekko rozkołysanych falach. Woda była aż gęsta od drobin pływającego w niej torfu, obklejającego mi włosy, które robiły się coraz cięższe i sztywniejsze, jak kępa wodorostów.

- Kathleen! - Jego głos rozniósł się daleko nad wodą. Gdzieś na drugim brzegu donośnie zagwizdał kos.
- Wychodzę! Idę obejrzeć transmisję z meczu golfa...

Unosiłam się dalej bez ruchu, jakbym wisiała w satynowym hamaku. Uniosłam dłoń do oczu. Kropelki utrzymywały się na niej, jakby była naoliwiona, a moje palce od brązowej wody przybrały odcień kości słoniowej. Gdy zrobiło mi się chłodno, popływałam trochę kraulem tam i z powrotem, starając się nie za bardzo zbliżać do brzegu ożywiona, omywana falami na przemian cieplejszej i zimniejszej wody znad dna. Potem znowu zaczęłam się ostrożnie przedzierać przez muł w stronę plaży. Jeżeli ktokolwiek tu pływał przed nami, rozmyślałam, to zapewne tylko dzieci. *A Phádraig, fan orm! Tar isteach, a Mháire!* Niektóre z tych dzieci mogły jeszcze żyć w jakimś domu starców na Florydzie bądź w Michigan - roztrzęsione przesiadywały na werandach i pewnie mało komu przychodziło do głowy na ich widok, że one też kiedyś były pełne życia, biegały i pływały...

Później, gdy przytulona do Shaya oglądałam bez zainteresowania piłki wbijane do ostatnich dołków na polu golfowym, zaczął powoli wodzić dłonią po moim ciele. Skrzywiłam się, gdy wsunął mi rękę pod majtki, sięgając do włosów łonowych - sama nie lubiłam ich dotykać, były takie sztywne i sprężyste. Ale tego dnia woda w jeziorze zmiękczyła wszystko. I Shay, w zamyśleniu wichrząc palcami to moje futerko, objaśniał mi szczegóły rozgrywki Tigera Woodsa.

Potem odgarnął mi włosy z czoła i zanucił:

- *Z powrotem zabiorę cię, Kathleen, do domu, przez wodę wielką i wzburzoną, gdzie zostawiłaś swoje serce...*

- To piosenka napisana przez Amerykanina - wtrąciłam. - Z Illinois, jeśli się nie mylę. Był zawodowym tekściarzem i nic go nie łączyło z Irlandią. Niewiele osób o tym wie.

Wyprostował się na sofie.

- Niemożliwe! „Z powrotem zabiorę cię, Kathleen, do domu” napisał Amerykanin?

- Obawiam się, że tak. Nazywał się chyba Westender czy Westendorf... Tak, Westendorf.

- I po co mi o tym powiedziałaś? Zniszczyłaś moje złudzenia.

- To u mnie normalne.

Zadarł wysoko głowę i zaczął się śmiać.

- Co byś wolał? - zapytałam, gdy transmisja dobiegła końca i wysłuchaliśmy nawet fachowej dyskusji ekspertów analizujących przebieg gry. - Zostać ze mną w łóżku na zawsze czy grać w golfa jak Tiger Woods?

Spuścił głowę i spoglądając na swoje palce, zaśmiał się wstydliwie. Po chwili spojrzął na mnie łobuzerskim wzrokiem i odparł:

- Gdybym umiał grać tak jak on, miałbym wszystko, czego dusza zapagnie.

Było dopiero wczesne popołudnie, ale uprzedził zawczasu:

- Będę musiał wyjechać o czwartej. - Kiedy się odwróciłam do niego ze zde gustowaną miną, dodał: - Mogłem się wyrwać tylko na jeden dzień. Nikt nie wie, że wyjechałem do Irlandii. W dodatku straciłem mnóstwo czasu w hotelu, czekając, aż ktoś się obudzi.

- I czego się po mnie spodziewasz? Że będę w nieskończoność siedziała na tych schodach z nadzieją, że znów wpadniesz przy okazji?

- Daj spokój - mruknął. - Przecież wiesz, że tak nie jest.

- Więc jak jest? - Chciałam rzucić mu to prosto w twarz, ale wyszło niemal błagalnym tonem. - W jakiej mnie stawiasz pozycji?

- Posłuchaj, Kathleen. - Przytulił mnie i pocałował żarliwie. - Jesteś dorosła. Znasz sytuację. Moja żona... Aż trudno mi sobie wyobrazić lepszą matkę. Żyje niemal wyłącznie dla córek...

- Mogę się założyć, że już o nas wie - odparłam lodowato.

- Niemożliwe.

- A jednak.

Spojrzął na mnie z ukosa, jakby chciał uciąć: Moja żona nie powinna cię w ogóle obchodzić.

- Tak, chyba masz rację. Zdaje się, że coś przeczuwa.

Zaprowadziłam go na przeciwległy koniec pola opadającego w stronę jeziora, gdzie na brzegu porośniętej trawą skarpy wyrastało cierniste drzewko stojące na masie poskręcanych grubych korzeni. W zagłębieniu pod nim widać było pokryte mchem kamienne podwaliny jakiegoś zburzonego kiedyś domu. Między pierwiosnkami leżała zostawiona przeze mnie łopata.

- Szukałam tu porcelanu. Felix ma całą kolekcję i chciałam mu dorzucić parę ładnych egzemplarzy. A zaczęłam kopać właśnie tutaj, bo kamienie wskazują, że znajdowały się tu zabudowania.

Od razu wiedział, o co mi chodzi.

- Wokół mojego rodzinnego domu było mnóstwo takich odłamków - odparł z uśmiechem, sięgając po łopatę. - Nikt nie przykładał do nich żadnej wartości, dopóki pewna Szwedka nie otworzyła w miasteczku sklepu z pamiątkami i nie zaczęła ich szlifować oraz nawlekać na srebrne łańcuszki. Wyglądały naprawdę wspaniale. Kupiłem u niej trzy pierwsze naszyjniki.

Zaczął grubymi palcami wyciągać z ziemi i układać na trawie fajansowe skorupy, resztki zdobionych niebieską farbą naczyń stołowych.

- Szukam również dudinek, małych glinianych fajek, w których kiedyś głównie kobiety paliły tytoń.

- Och, jest kilka takich w domu mego ojca. Mógłbym ci jedną przywieźć...

- Dokąd? - zapytałam. - Gdzie chcesz mi ją przywieźć? I kiedy?

Znów w mym głosie zabrzmiały piskliwe tony.

- Powiadomię cię, jak będę gotów - odparł.

Przestał odwracać łopatą ziemię, wyprostował się i spojrzał na mnie. Popatrzyłam mu prosto w oczy. Sprawiał wrażenie zmęczonego życiem, otyłego i niesympatycznego. Ale było to mylne wrażenie wynikające z połączenia jego atletycznej budowy z niewinną miną, jakby wbrew jego woli, dokładnie odzwierciedlającą nastroj. Zebrałam włosy gumką, którą chyba dopiero teraz zauważył, gdyż uśmiechnął się i rzekł:

- Uwielbiam tę piosenkę: *Ściągnij gumkę z włosów*. Dziwnym sposobem nasuwa mi na myśl całą resztę. Ty nie masz czegoś takiego, co by się kojarzyło... no, wiesz...

- Z seksem?

- Właśnie.

- Pamiętasz tę piosenkarkę, co śpiewała wcześniej w Spice Girls? Geri... jakoś tam.

- Geri Halliwell. Oczywiście, że pamiętam.

- Powiedziała kiedyś tłoczącym się przed nią fotoreporterom: „Jaką mnie chcecie, chłopcy? Mogę spełnić każde wasze życzenie. Na przykład zmienić się w dziesięciolatkę z wielkimi cyckami...” Moim zdaniem to bardzo podniecające.

Przez chwilę przyglądał mi się bez słowa, po czym odłożył łopatę i zaczął się otrząpywać z kurzu.

- No więc? - spytałam. - Chcesz wiedzieć, jaka jestem naprawdę? Czy też wolisz, żebym zawsze udawała słodką idiotkę?

Musiałam go zaskoczyć, bo minęła dobra minuta, nim znów się poruszył i przysiadł w trawie na wprost mnie. Odezwał się głosem znacznie twardszym niż do tej pory:

- Myślałem o tobie dzień i noc. Nie ma w tym żadnej przesady. Czasami aż nie mogłem uwierzyć, że jesteś prawdziwa, i tylko to mnie powstrzymywało. Taka kobieta jak ty... co miałaby robić z takim mężczyzną jak ja? Powiedz mi szczerze. Czego się spodziewasz po kimś takim jak ja?

Udzieliłam najprostszej odpowiedzi z możliwych.

- Nie wiem.

- Pytam poważnie, Kathleen. Dlaczego wybrałaś właśnie mnie?

- Przecież nie jestem jakąś wielką...

- Daj spokój, Kathleen - przerwał mi. - Dobrze wiesz, o czym mówię. Więc co ty robisz ze mną?

- Dlaczego w kółko o to pytasz? A co ty robisz ze mną?

- Och, na miłość boską! Kto by nie chciał być z tobą, gdybyś tylko dała mu szansę? Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Ale ja? Nawet ogrodnik ze mnie marny.

- Chodzi o to, że nie byłam z nikim związana od bardzo dawna... Nie cierpię o tym mówić. Chciałabym być kimś, mieć więcej szczęścia, rozumiesz? Tak czy inaczej, przy nikim nie czułam się tak, jak przy tobie, od czasów młodości. Taka jest prawda.

Przez chwilę przyglądał mi się podejrzliwie, wreszcie cmoknął z niechęcią.

Ani trochę mi nie wierzył.

Siląc się na spokój, podniosłam łopatę i wbiłam ją w ziemię przed sobą. Poczułam się pewniej, wiedząc, że jego zdaniem byłam tak cudowną istotą, że po prostu musiałam mieć wspaniałe życie uczuciowe.

Ale powiedziałam mu szczerą prawdę. Pominęłam jedynie milczeniem cały ten gorzki żal i wstyd, jakiego musiałam się nałykać przez wszystkie zmarnowane lata.

Coś sprawiło, że byłam gotowa na spotkanie z nim, pomyślałam. Nie wierzyłam jednak, abym kiedykolwiek zdołała dotrzeć, co to było. Prawdopodobnie wiązało się to z pobylem w Irlandii, z rozgrzebywaniem wspomnień, między innymi o chłopakach, których podrywałyśmy razem z Sharon i przytulałyśmy się do nich w tańcu, lecz również z tym, że on był szczęśliwym mężem i kochającym ojcem, a ja byłam całkiem wolna, bo nie miałam gdzie mieszkać, zrezygnowałam z pracy i straciłam Jimmy'ego, więc czułam się już całkiem niezdolna do miłości i angażowałam się emocjonalnie w dawny romans między Marianne i Mullanem. Ale nie potrafiłam rozsądzić, który z tych czynników zadecydował.

- Jedyne, czego jestem teraz zupełnie pewna - powiedziałam, wbijając wzrok w ziemię - jest to, że znów chcę iść z tobą do łóżka. Nic więcej. Ale to dla mnie bardzo ważne pragnienie.

- Wspominałem cię każdego ranka, goląc się przed lustrem - rzekł. - Od tego się zaczynało. Miałem straszną ochotę wtulić twarz... - Wyciągnął obie ręce w stronę mego biustu i obrócił dłonie ku górze - ...dokładnie tutaj. Mógłbym całować twe piersi bez końca...

- Więc zrób to. - Zaśmiałam się krótko, biorąc go za rękę.

- Czy mogę jeszcze coś powiedzieć poważnie?

- Tak.

- Jesteś naprawdę piękną kobietą.

Po raz czwarty w życiu przyjąłem to bez zastrzeżeń. Dumna jak paw, ruszyłam krokiem księżniczki z powrotem do domu.

Kiedy siedzieliśmy przy stole, pijąc ostatnią kawę, zaskoczył mnie poważnym bezosobowym tonem i znacznie wyraźniejszym brytyjskim akcentem niż zazwyczaj. Pewnie w ten sposób rozmawiał ze swoimi klientami.

- Pisziesz tę powieść, o której wspominałaś? Historię skandalicznego rozwodu z ubiegłego wieku?

- No cóż, prawdę powiedziawszy, muszę jeszcze wiele spraw przemyśleć. Właśnie zamierzałam na to poświęcić cały dzisiejszy dzień.

- Niemniej zamierzasz coś na ten temat napisać?

- Nie jestem pewna.

- Ale jesteś pisarką? To znaczy... pisaniem zarabiasz na życie?

- Tak.

- I mogłabyś pisać w dowolnym miejscu? Zaśmiałam się z jego napuszonego tonu.

- Wszędzie, gdzie można się podłączyć do prądu.

Zmarszczył brwi i zaczął powoli, z jeszcze większą powagą:

- Chcę cię o coś poprosić. Zastanów się, czy przypadkiem nie mogłabyś zamieszkać gdzieś po drodze z lotniska w Shannon do Sligo. Chyba zdołałbym przekonać żonę, że dobrze by było zająć się bliżej interesem ojca, bo w końcu któregoś dnia go po nim odziedziczymy. Mógłbym wtedy przyjeżdżać do Irlandii co miesiąc. Gdyby wszystko poszło po mojej myśli, mielibyśmy dla siebie jedną czy dwie noce, może nawet trzy. Tyle że nie umiałbym dokładnie określić terminu aż do ostatniej chwili, ponieważ sam prowadzę swoją firmę, a trudno jest przewidzieć, jaka robota się trafi. Ale na pewno wygospodarowałbym parę nocy. I mielibyśmy co najmniej jeden dzień...

Aż ciarki mnie przeszły. Popatrzyłam na niego takim wzrokiem, jakbym go widziała po raz pierwszy w życiu. Spoglądał mi prosto w oczy.

- Poza tym mógłbym ci choć trochę pomóc finansowo, gdybyś tego potrzebowała. Nie byłoby z tym żadnego problemu.

Znowu popatrzył na mnie wyczekująco. Po chwili dodał:

- Nie mam pojęcia, ile to miałyby szansę trwać, ale przez kilka lat na pewno dalibyśmy radę. To tyle, jeśli przemawia ci to do serca. Mógłbym ci również pomagać przy domu, tam, gdzie zamieszkasz. No wiesz, opróżniać szambo, strzyc trawę...

Wyraźnie się zarumienił, zmieszany.

- Nie wiem, co jeszcze powiedzieć - syknął. - Tylko tyle sobie przećwiczyłem. Nie chcę dłużej być zdany na przypadek, próbując się z tobą zobaczyć. Poza tym zależy mi, żeby zrodziło się między nami coś trwalszego. Jeśli spełnisz moją prośbę... - Ujął moje dłonie, zamknął oczy i dokończył czystym, dźwięcznym głosem: - ...przysięgam na wszystkie świętości, że cię nie zawiodę.

Szybko uniósł moje ręce i przyłożył je sobie do serca.

- Wiem, że to mało zachęcający układ dla kogoś takiego jak ty, Kathleen. Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? Ale to wszystko, co mogę ci ofiarować, nie rujnując życia kilku osobom. Dlatego, jeśli przyjmiesz tę propozycję, na pewno cię nie zawiodę. Będiesz dla mnie jedyną osobą na świecie.

Przez pewien czas nie mogłam wydusić z siebie słowa. Wspominałam tych wszystkich mężczyzn, pokazujących mi zdjęcia swoich dzieci i psów, i tych, z którymi spędziłam noc, a potem dzwoniли i przebąkiwali: „Przepraszam, ale właśnie poznałem kogoś, kogo naprawdę polubiłem” - jakbym należała do osób, których nie da się naprawdę polubić, ani takich, których zdjęcia można pokazywać znajomym. I oto nagle byłam proszona...

- Shay - powiedziałam cicho. - Jak określiłbyś taki związek, w którym byłabym dla ciebie jedyna na świecie?

- Proszę - szepnął ledwie słyszalnie. - Błagam, kochana.

Trzymaliśmy się za ręce w absolutnej ciszy. Moje dłonie były o wiele delikatniejsze niż jego, a przecież dłonie zdradzają wiek bardziej niż cokolwiek innego.

- Muszę już jechać - dodał.

Nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca.

- Jaki dzisiaj dzień? - zapytałam szeptem.

- Wtorek.

- W takim razie do piątku. Podejmę decyzję do piątku. Zadzwoń do mnie.

Rozejrzał się za telefonem i z kieszeni marynarki wiszącej na krześle wyjął mały notesik z ołówkiem. Włożył okulary i spisał numer z aparatu. Kiedy przechodził za moimi plecami, delikatnie uniósł mój koński ogon i na dłuższą chwilę przytknął wargi do karku. Potem puścił włosy i pocałował mnie w czubek głowy. Siedziałam jak skamieniała. Z zewnątrz doleciały jego ciężkie kroki na drewnianych schodach, a później odgłos uruchamianego silnika samochodu. Warkot szybko ucichł. Pies, który do tej pory spokojnie spał pod stołem, fuknął głośniej, jakby zaniepokojony tymi hałasami, ale się nie obudził.

Nie chciałam na razie rozważać propozycji Shaya. Był dopiero wtorek, więc miałam na to całą środę, czwartek i piątek. Czasu było pod dostatkiem, żeby wszystko przemyśleć. Tylko spokojnie i bez emocji, nakażałam sobie w duchu. Wyobraź sobie, że jesteś w niebezpieczeństwie. Na przykład w pokoju hotelowym w nędznej mieścinie na skraju dżungli i wiesz, że recepcjonista na dole jest pijany, ty zaś słyszysz podejrzaną hałas na balkonie... Trzeba zachować maksymalną czujność. Nie! Najpierw coś zjeść. Pozmywać. Przeprowadzić zaplanowane rozmowy telefoniczne.

Wyniosłam aparat na podest pod zadaszeniem, ale na zewnątrz zrobiło się już zimno. Nad horyzontem za wzgórzami chmury zbierały się w zadziwiającym tempie. Próbowalam przyglądać się jednej z nich, jak z rozmytej smugi pary zmienia się w grubą poduchę i powoli wtapia w rosnący wał, ale tajemnicze przemiany na niebie zachodziły zbyt szybko. Wróciłam do środka. Nazywano to pompatycznym sofizmatem - teorią, że natura sympatyzuje z ludzkimi dramatami, że podczas ukrzyżowania Chrystusa niebo jakoby całkiem poczerwiano. Może i teraz dzień kończył się przedwcześnie, ponieważ Shay odjechał.

Staralam się bardzo ostrożnie przebierać w myślach.

Propozycja Shaya tkwiła tuż pod powierzchnią świadomości, niczym gra świateł, dźwięki muzyki i fascynacja oglądaną operą. Próbowalam ciekawie zajrzeć za kurtynę...

Och, przecież mogłam to wszystko mieć! Mogłam to zobaczyć! Nowy komputer na biurku w zalanym słońcem pokoju, za oknem bujna trawa i stare drzewa dookoła... chyba małej plaży. Uwielbiałam plażę w cieniu drzew. Mogłabym trzymać dowolnie wiele kotów i ze dwa psy, żeby się nie nudziły. No i ptaki! Oczywiście nie w klatce, ale przylatujące i siadające na parapecie kuchennego okna, gdzie sypałabym dla nich karmę. Czerwonobrzuche rudziki. Nic by mnie nie obchodziło, że ludzie traktują mnie jak znikowaną na punkcie zwierząt starą pannę - moje ciało, poczynając od pomarszczonej szyi, byłoby wciąż zaróżowione i jędrne od miłości, o czym wiedziałyby jedynie Shay. Zawsze bym miękła w jego obecności. O określonej porze każdego miesiąca moje ciało obracałoby się w stronę jego przyjazdu niczym słonecznik. No i powinnam mieć bramę, choćby dla samej przyjemności nasłuchiwania, jak samochód się przed nią zatrzymuje, kierowca wysiada, zostawiwszy silnik na jałowym biegu, a mnie ręce zaczynają się trząść na dźwięk otwieranej bramy.

Mieć zegar z ciężarkami na łańcuszkach,

Wahadłem wędrującym w przód i w tył,

I kredens z porcelaną całą w groszki,

Niebieskie i brązowe, błysk i styl.

Krzętałabym się tam przez dzionek cały,

Podłogę myła, szorowała piec,

A potem znów na półkach ustawiała

Mój błysk i styl, niebieskich groszków moc...

Czekałabym na niego z wszelkimi nowinami. „Popatrz, Shay! Mam cały tuzin piskląt w jednym pudle. Spójrz! Zakwitła magnolia w rogu za stodołą. A widzisz ten siny ślad na mojej łydce? Czy to przypadkiem nie żylak?”. On zaś mówiłby: „Chodź tu, kochanie. Lepiej cię pocałuję”.

Jak na inteligentną kobietę, powiedziałam sobie srogo, masz zbyt cikliwe marzenia!

I co z tego? Czy ktoś kiedyś słyszał o inteligentnych marzeniach?

Z kim mogłabym pogadać?

Siedziałam na krześle w saloniku pogrążonego w ciszy domu i widziałam przez okna w dachu nad werandą, iż gromadzące się chmury zapowiadają nadejście wieczoru. Czułam się bardziej ożywiona niż zwykle, jakby Shay pobudził soki krążące mi pod skórą, jak też samą skórę, której dotykał. W mięśniach nienawykłych do takiego wysiłku odczuwałam zmęczenie, ale docierały do mnie wszystkie bodźce - nawet z podbicia stóp, które całował, klęcząc na podłodze, z karku i czubka głowy, jak gdyby pamiętających lekki nacisk na poduszkę, gdy Shay dźwignął się na rękach, usiadł i podniósł mnie za biodra, układając sobie moje nogi wokół pasa.

Jimmy. Przypomniałam sobie jego podniosły ton, którym mówił o poważnych sprawach. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że usłyszawszy o propozycji Shaya, natychmiast by zapytał: „Jest koło sześćdziesiątki? Szczęśliwie żonaty dziadek? I ty zamierzasz osiąść na jakimś przeklętym irlandzkim odludziu, żeby czekać na takiego faceta?!“.

Ale teraz nawet bym nie chciała z nim rozmawiać na ten temat.

Powinam się przespać. Pomyśleć o czymś innym. Wrócić do zwykłego codziennego życia i zaczekać, aż odpowiedź dla Shaya sama się zrodzi w głowie. Powinam wrócić do historii Talbotów. Jeśli się okaże, iż nie istnieją inne dokumenty, będę musiała sama zawyrokować, co się naprawdę stało, na podstawie *Protokołu* oraz broszury Pageta. I to już niedługo. Ale najpierw trzeba o tym porozmawiać z panną Leech. Tak więc nie mam nikogo, nie licząc ducha Jimmy'ego, z kim mogłabym omówić propozycję Shaya...

Otrzeźwiałam. Dlaczego? Z jakiego powodu nie mam nikogo, by o tym porozmawiać?

A co z Alekssem? Jemu mogłam zaufać w sprawach prywatnego życia. Ale nie mogłam go w to wciągać. Od razu by pomyślał... No cóż, wiele przemawiało za tym, aby mu nie mówić. Przede wszystkim wolałam go nie wtajemniczać, że poszłam do łóżka z całkiem nieznanym mężczyzną. To by go zabolalo. Oczywiście, mnie też nie było to obojętne, tyle że ja już do tego przywykłam, on zaś byłby zaskoczony. Mógłby zapytać: „Jeśli tak bardzo mu zależy, aby być z tobą, to dlaczego nie poprosi żony o rozwód“?. A gdybym odpowiedziała, że nie chcemy nikogo krzywdzić, ponieważ będziemy razem tylko przez jeden weekend w miesiącu i jego żona o niczym się nie dowie, pewnie spojrzalby na mnie z powątpiewaniem. I nawet gdyby nie powiedział, to na pewno by pomyślał, że to zwykły wykręt, skoro tłumaczę, że nie ma nic złego w naszych poczynaniach, dopóki nikt o nich nie wie. Przez wiele lat wspólnej pracy często siadałam naprzeciwko niego i próbowałam mu wyperswadować to czy tamto, znałam więc dobrze ten jego powątpiewający wzrok. Szczerze mówiąc, byłam nawet bardzo dumna, kiedy marszczył czoło i spoglądał melancholijnymi piwnymi oczyma, wcale mnie nie widząc. Jak choćby wtedy, gdy obiecałam hinduskiemu taksówkarzowi, że „Travel Write“ pokryje koszty przewiezienia zwłok jego ojca z londyńskiej kostnicy do Varanasi i spalenia ich na tamtejszych świętych schodach. Albo wtedy, gdy zaproponowałam, żebyśmy z Jimmym udawali młodą parę, by sprawdzić, jak naprawdę wyglądają specjalne miesiące miodowe organizowane dla bogaczy na Karaibach. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, aby ktoś pokroju Aleksa złożył kobiecie taką propozycję, jak to zrobił Shay. Ja jednak dobrze wiedziałam, że Shayowi zależy przede wszystkim, by jak najwięcej bliskich mu osób było możliwie najszczęśliwszych. Oczywiście, nie wyłączając jego samego.

Musiałam też zachować ostrożność w rozmowie z Caroline. Za dobrze mnie znała. Potrafiła wyczuć nawet drobny ślad radości w moim głosie, gdybym na przykład myślała akurat o czekającym mnie szczęściu -

nocach w domku stojącym w brzozowym zagajniku, z labradorem śpiącym u mych stóp przy rozpalonym kominku, wśród zapachu hiacyntów i narcyzów wyrastających wiosną z cebulek w miseczkach, i zasłuchanej w zbliżający się warkot samochodu Shaya podjeżdżającego do bramy. Ilekroć pozwalałam sobie zerknąć w tę cudowną przyszłość, w moim głosie bez wątpienia pojawiała się śpiewna nuta. Caro natychmiast by ją wyłowiła. Była bardzo wyczulona na tym punkcie. Nie widziałam najmniejszego sensu, by rozmawiać z nią o propozycji Shaya. Z pewnością przyjęłaby ten pomysł z bardzo dużą rezerwą. Odruchowo postawiłaby się w sytuacji żony Shaya, na niego patrząc jak na Iana, szukającego wymówki, żeby się z nią rozejść. Pewnie by tego nie powiedziała, może nawet nie przyznała się przed sobą, ale jak nic zasypałaby mnie lawiną argumentów przeciwko takiemu rozwiązaniu. „Czemu ty miałabyś się dla niego przeprowadzać do Irlandii? A co z twoim własnym życiem? Bo przecież masz własne życie! Mieszkasz w Londynie. Miałyśmy się zacząć uczyć grać w brydża, nie pamiętasz? A co z Alekssem? Co z podróżami...” Krótko mówiąc, poczułaby się urażona. Ta myśl powstrzymała mnie przed dalszymi rozważaniami. Już tyle czasu minęło od chwili, kiedy podjęłam decyzję, że z nas dwóch to ja wezmę na siebie rolę suplikantki, i to teraz po raz pierwszy mogłam naprawdę urazić Caroline. Tak, mogłam jej sprawić ból, powtórzyłam w duchu z namysłem. Na pewno poczułaby się skrzywdzona, gdybym wyjechała i zamieszkała tutaj.

Annie w ogóle nie musiałam brać pod rozwagę. Ona święcie wierzyła w moc małżeńskiej przysięgi. Tylko tyle. Od razu poczułaby niechęć i pogardę do Shaya. A tym samym do mnie, skoro zdecydowałam się być z takim mężczyzną. Nie, ona nie mogła się o niczym dowiedzieć! Powinnam jej tylko wyjaśnić, że postanowiłam osiąść na emeryturze w Irlandii. Pewnie czułaby się wtedy zobligowana do tego, by mnie często odwiedzać. Musiałabym uprzedzić, by wcześniej zapowiadała wizyty, jeśli miałam zachować wszystko w tajemnicy. Tyle że w Irlandii nie sposób zachować tajemnicy... Nie wolno mi było ani słowem wspomnieć, że przeorganizowałam swoje życie na potrzeby seksu, bo wtedy padłaby jak rażona gromem. Zresztą nie chodziło tylko o seks, ale o namiętność! „Też mi coś!” - mknęłaby z pogardą.

Bertie uznałby to za życie w grzechu. Może ustrzegłby się przed poważną krytyką, ale z pewnością powiedziałby coś w rodzaju: „Dlaczego lepiej nie zajmiesz się czymś pożytecznym, Kathleen? Na przykład tresurą psów pasterskich. To dobry interes. Mogłabyś też wiele nauczyć Ellę i chłopców. Bo przecież masz rozległą wiedzę”. Niemniej włączyłby mnie do modlitw, które odmawiał codziennie przed pójściem do łóżka w pokoiku przy kuchni. Święcie wierzył w istnienie grzechu i kary za grzechy, więc z obawy o moją duszę pewnie żarliwie by się za mnie modlił.

No właśnie, a co z moją duszą, skoro już doszłam do tego? Czy w takim życiu duchowo czułabym się dobrze, nawet według moich własnych standardów?

Przecież miałaś się na razie nie zastanawiać nad tą propozycją! Jest zdecydowanie za wcześnie! Nawet nie położyłaś się jeszcze spać.

Ale natłok myśli nie dawał mi spokoju.

Nora setnie by się ubawiła, drwiąc ze mnie. „Rety! Co za szczęściarz! Chylę nisko czoło przed każdym, kto potrafi w ten sposób zorganizować sobie życie! Z jednej strony żoneczka i kochane córki, a z drugiej kochanka, do tego stopnia przerażona, że już nigdy nie znajdzie sobie faceta do łóżka, iż gotowa zamieszkać w

chatce na odludziu! A jego nie będzie to kosztowało ani pensa! Pewnie jeszcze zaoszczędzi, łącząc spotkania z kochanką z wizytami u ojca!"

Przed Norą także powinnam utrzymać wszystko w tajemnicy.

W takim razie wymyśl coś innego! - nakazałam sobie w duchu. Ale co?

Nagle poczułam w głowie pustkę.

Nie, to nie pustka. Po prostu odpychasz od siebie to, co przed chwilą odkryłaś. Nie możesz podejmować takiej decyzji w oderwaniu od wszystkiego, dlatego nie powinnaś jej podejmować sama. Zawsze myślałaś, że jesteś samotna i nie masz nikogo oprócz Jimmy'ego. Teraz się przekonałaś, jak jest naprawdę. Nikt nie jest samotną wyspą na oceanie.

Otworzyłam butelkę wina i opróżniłam pierwszy kieliszek w ciągu trzech minut. Potem jeszcze raz przejrzałam kompakty Feliksa. Nie miał niczego takiego, czego chciałabym teraz posłuchać. Na przykład uwerwury *Tristan* dla uczczenia promu, na którym poznałam Shaya. Albo Mahlera. Wielkiego Mahlera. Mógłby być nawet któryś z tych starych pompacyjnych koncertów fortepianowych, przy których mama zamierała bez ruchu, słuchając radia Eireann. Rachmaninow. Czajkowski. Fortepianowe solówki toczące się pod prąd orkiestry, wznoszące się na heroiczne wyżyny, po czym opadające nerwowo do najniższych ponurych brzmień. Zawsze słuchała tego z wypiekami na twarzy. Była prawdziwą romantyczką. Na pewno by powiedziała: „Kochasz tego człowieka? A on kocha ciebie? Więc zrób to”.

Czemu odwołujesz się do swojej żalösnej matki po radę? Od kiedy stała się dla ciebie wzorcem do naśladowania? Umarła, mając mniej lat, niż ty teraz. Może byś się zastanowiła, jak na twoim miejscu postąpiłaby matka Teresa z Kalkuty? Albo Germaine Greer? Albo Jane Eyre? Albo Colette? Ta ostatnia miała siedemdziesiąt dziewięć lat, kiedy spisała swoje trzy ostatnie życzenia: Zacząć wszystko od początku. Zacząć wszystko od początku. Zacząć wszystko od początku.

Widzisz? - powtórzyłam w myślach. Wybierz takie rozwiązanie, którego nie będziesz potem gorzko żalowała. Masz całkowitą swobodę w wyborze takiej drogi życiowej, jakiej pragniesz.

Rzecz jasna, Shay nie ma tej swobody. Nie jest wolny.

To prawda, ale jego małżeństwo to jego sprawa. Sam musi zdecydować, jak powinien postąpić w stosunku do swoich najbliższych.

Czy to oznacza, że w ogóle nie muszę się martwić o ludzi, których nie znam? Jak polski wieśniak z czasów wojny, który patrząc na załadunek jego żydowskich sąsiadów do pociągu przed wywózką do Treblinki, wzruszył ramionami i mruknął: „To nie moja sprawa”?

Och, przestań być taka melodramatyczna! A może jego żona chce, żeby on miał romans?

Spotkałaś kiedykolwiek kobietę, która by chciała, żeby jej mąż miał kochankę?

Ociężale dźwignęłam wycieńczone ciało z krzesła i poszłam pod prysznic. Ale z radością odbierałam to fizyczne zmęczenie będące wynikiem jego wizyty. Tylko jak długo mogłam odczuwać skutki pieszczot? Dwa dni? Trzy?

Uznałam, że cokolwiek zdecyduję, nie będę się tym zamartwiać. Mogę być smutna tylko wtedy, gdy sprawy przybiorą tragiczny obrót.

Uśmiechnęłam się do swego odbicia w lustrze niczym zwariowana Doris Day, aby podkreślić to niezłomne postanowienie. Szczerze powiedziawszy, byłam nawet zdumiona, że coś takiego przyszło mi do głowy. W dotychczasowym życiu istniał pewien rytm, do którego przywykłam: tak bardzo przystosowałam się do znoszenia cierpień, że utraciłam wiarę, iż w moim życiu wydarzy się cokolwiek istotnego, co mnie uszczęśliwi. Pograżałam się w nieszczęściu, potem użalałam się nad sobą, że jestem nieszczęśliwa, wreszcie ogarniała mnie pogarda, że to robię. Co sprawiło, że nagle stałam się zdolna, by wyrwać się z tego rytmu? Jak to możliwe, że właśnie teraz - w tej niezwyklej sytuacji pełnej gorących uczuć, ale i zapowiedzi głębokiego żalu - dostrzegłam możliwość czerpania satysfakcji niezależnie od tego, na co się zdecyduję? Prawdopodobnie to seks nastawił mnie aż tak pozytywnie. W każdym razie to, co jawiło mi się nową perspektywą, było tylko efektem burzy hormonów, a ta musiała przeminąć...

Takie rozważania dominowały w jednej części mego umysłu. Za to w innej gromadził się strach.

- Jimmy - mruknełam, usadowiona wygodnie pod prysznicem. - Wiesz doskonale, że ani ty, ani ja nawet przez chwilę nie troszczylibyśmy się o rodzinę, przyjaciół czy pracę, ba, o siebie nawzajem, gdybyśmy spotkali w życiu idealnego kochanka.

Ale Jimmy nie odpowiadał.

- Mam prawie pięćdziesiątkę, Jimmy. Dwa dolne zęby z przodu mi się chwieją. Po mocnej kawie serce wali jak młotem. Muszę farbować włosy. Nawet gdyby znalazł się mężczyzna, który będzie mnie chciał, kiedy skończę pięćdziesiątkę albo nawet sześćdziesiątkę, to ja już go nie będę chciała. Jak do tej pory pójdę do łóżka z każdym, kto mnie o to poprosi, lecz sam dobrze wiesz, jak to jest, Jimmy. Pustka. Piekielna samotność. Mam wyjątkową szansę zachować jeszcze trochę wigoru i energii u boku prawdziwego kochanka, z którym będę mogła pozostać do czasu, aż poznamy się tak dobrze, że po przebudzeniu obrócimy się tylko i połączymy nawzajem z taką łatwością, z jaką ostryga prześlizguje się między wargami, żeby potem znów zapaść w sen, jakbyśmy stali się jednością. W ten sposób razem się zestarzejemy, mając do siebie takie zaufanie, że potrafimy po niedzielnym lunchu iść od razu do łóżka, podszczypując się nawzajem i chichocząc, śmiać się ze słabości własnych pęcherzy, impotencji czy obwisłych brzuchów, skoro wspólnie czerpiemy bez umiaru ze źródła rozkoszy. Miałam dwadzieścia trzy lata, kiedy straciłam Hugona, i czterdzieści dziewięć, gdy znów się otworzyłam dla innego mężczyzny. Między jednym a drugim minęło ćwierć wieku! Jak te kwiaty z głębi tropikalnej dżungli, co zakwitają tylko dwa razy w ciągu ludzkiego życia. Minęło tyle czasu, którego nic mi nie wróci, Jimmy! I może nie będę już miała absolutnie nic, aż do śmierci, jeśli się teraz nie zdecyduję!

Zamilkłam na chwilę, po czym zawołałam:

- Jimmy? Czy widziałeś kiedyś szkice Hockneya przedstawiające jego jamniki? Długie jak parówki? Owinięte wokół siebie w czasie snu? Z jaką miłością malował te ich niewinne komiczne uściski! Więc my też będziemy tacy, Shay i ja... Jimmy?

Mogłam go wołać choćby na całe gardło. Dookoła panowała martwa cisza, nie licząc szumu i bulgotania wody pod prysznicem.

Po pewnym czasie odzyskałam spokój. Ale sięgając po ręcznik, pochwyciłam kątem oka odbicie pośladek w dużym całościennym lustrze. Na jednym z nich odznaczał się grubą smugą żółknący siniak. A pierś? Odwróciłam się szybko. Tak. Zostały ślady po jego wargach, a nieco wyżej na białej skórze znikające za-

czervenienia po uszczyptnięciach. W najgłębszych zakamarkach duszy, nieznanym absolutnie nikomu, nawet mnie samej, poczułam tak wielką satysfakcję jak dzikie zwierzę stojące nad upolowaną zdobyczą. Omal nie zaryczałam głucho - jestem jego, zostawił na mnie swoje ślady, stałam się jego własnością, jego kobietą... Zaraz jednak oprzytomniałam. Co sprawiło, że poczułam dumę na widok tych znaków na skórze? Skąd się wzięła radość, jakby to były jakieś odznaczenia, na które uczciwie zasłużyłam? Przecież w gruncie rzeczy nie przynoszą mi żadnego zaszczytu. Jeżeli nawet uprawialiśmy seks z maksymalnym zaangażowaniem, na jakie nas stać, to w końcu chodziło o czysto zwierzęce oddanie. Nie miało to nic wspólnego z oddaniem wobec innych ludzi. Jego kłamstwa, oszukiwanie żony. Moje sekrety.

Wiele lat temu, gdy byłam dorastającą dziewczyną i po wygraniu konkursu eseistycznego na temat „Piękno tego świata napawa mnie smutkiem” pojechałam z mamą do Dublina, robiłyśmy zakupy w domu towarowym Clery's przy O'Connell Street. Na parterze kupiłam wtedy nabłyszczane rajstopy dla Nory i piłkarskie getry dla Danny'ego. Dopiero potem weszłyśmy na piętro do działu odzieży damskiej, gdzie mama chciała przymierzyć nową tanią sukienkę. Doskonale zapamiętałam maleńką przymierzalnię z kotarą na żelaznych kółkach i stojące przed nią poobtłukiwane, oblażące ze złotej farby krzesło, na którym usiadłam, podczas gdy starsza sprzedawczyni wprowadziła mamę do środka, powiesiła wybrane przez nią sukienki na wieszaku, po czym wyszła i dokładnie zasunęła kotarę.

Po chwili mama wyszła boso na wyliniały dywan, żeby pokazać mi się w granatowej bawełnianej sukience ze wzorem przedstawiającym czarne jagody i różowe kwiaty, z niemodnym wykładanym kołnierzykiem i rękawami długości trzech czwartych. Jej się podobała, ale ekspedientka podpowiedziała, by włożyła inną. Mama zniknęła z powrotem w przymierzalni, do której nie zamierzała wpuszczać ani mnie, ani sprzedawczyni. Podejrzywałam, że wstydzi się swojej bielizny. Ale wśród przymierzanych sukienek znalazła się jedna, która chyba podobała jej się najbardziej, bo gdy wyszła w niej zza zasłonki, uniosła rąbek i ukloniła się lekko najpierw mnie, potem ekspedientce, niczym dawna modelka. Ta sukienka miała krótkie rękawy, czego mama najwyraźniej nie zauważyła.

I wtedy spostrzegłam ślady na jej ramieniu. Całkiem świeże. Żółto-fioletowo-czarne siniaki. Pochwyciła moje spojrzenie, zerknęła na swoje ramię, odwróciła się błyskawicznie i zniknęła w przymierzalni.

Kupiła sukienkę z długimi rękawami, chociaż musiała na nią wydać wszystkie swoje pieniądze.

Jeszcze raz przyjrzałam się znikającym śladom. Patrzyłam na nie z zachwytem, przypominając sobie objęcia Shaya. Mimowolnie pochyliłam głowę jak gdyby w głębokim ukłonie.

Nagle rzuciłam ręcznik i wybiegłam z łazienki do saloniku, wołając:

- Spot! Spot! Żarcie! Szybko!

W mojej wyobraźni zrodził się karykaturalny obraz, który chciałam jak najszybciej od siebie oddalić. Matka w milczeniu wyciągała ku mnie posiniaczoną rękę, ja zaś obracałam się do niej bokiem i wyciągałam swoją, aby porównać ślady na ciele.

Byłam zarumieniona ze szczęścia, jakie przeżywałam we śnie, który rozpląnął się bez śladu, gdy naza- jutrz rano obudził mnie dzwonek telefonu. Przeskoczyłam nad Spot i podniosłam słuchawkę.

Dzwoniła Betty z „TravelWrite”.

- Jesteś wreszcie! - zawołała. - Wreszcie zdołałam cię znaleźć. Alex czeka w jakiejś budce telefonicznej, aż oddzwonię i podam mu twój nowy numer. Sądząc po jego głosie, jest w oplakany stan. Nie odchódź nigdzie, Kathleen.

Kiedy Alex dodzwonił się po paru minutach, w słuchawce rozległ się tak głośny huk ruchu ulicznego, że omal mnie nie ogłuszył. Już zapomniałam, jaki hałas panuje w wielkim mieście.

- Zostało mi już tylko parę impulsów na karcie magnetycznej - wycedził tak powoli, że miałam kłopot, by go zrozumieć. - Straciliśmy ją, Kathleen! Wczoraj. Moi bracia powiedzieli, że była to najpiękniejsza śmierć, z jaką się do tej pory zetknęli.

- Tak mi przykro, Alex. Chyba jesteś strasznie zmęczony. Skąd dzwonisz, kochany?

- Z klasztoru...

Pip. Pip. Pip. Zostało tylko kilka sekund. Wrzasnęłam, przekrzykując sygnał:

- Mogę przyjechać na pogrzeb, Alex? Gdzie się odbędzie? A może nie chcesz, żebym przyjeżdżała?

- Bracia nie lubią obcych pod swoim dachem...

- To znaczy kobiet?! Ale przecież twoja matka...

Połączenie zostało przerwane. Czekałam jeszcze jakiś czas przy telefonie, ale nie zadzwonił drugi raz.

Ucieszyło mnie, że starsza pani w końcu odeszła. Odciągała Aleksa od życia, samolubna stara kwoka. To z powodu wierności jej koszmarnym sandwiczom z opiekacza nigdy nawet nie spróbował tych wspaniałych rzeczy, jakie Roxy i Jimmy przynosili do biura w porze lunchu. Ale to świadczyło, jak kompletnie zagubiony będzie bez niej. Tak osamotniony, jak małe dziecko z sierocińca. Teraz całą władzę nad nim mieli przejąć braciszki. Człostkowi durnie. Ci dwaj, którzy byli na pogrzebie Jimmy'ego, naprawdę nazywali się bodajże Sid i Les, ale zwracali się do siebie Ojciec Taki i Ojciec Owaki. Ten z gębą w kolorze serwatki był zdaje się Ojcem Edwardem Spowiednikiem. I kręcili się bez przerwy w swoich habitach, które sami sobie zaprojektowali najwyraźniej pod wpływem filmów Cecila DeMille'a. Nie mogłam sobie wyobrazić, że taki porządny facet jak Alex wpadnie w łapy tej pseudogejowskiej bandy rodem z powieści Iris Murdoch. Większość zwyczajnie nienawidziła kobiet. A przynajmniej się ich bała. A Alex nigdy jeszcze nie miał swojej szansy - jak przekonałam się tamtego wieczoru podczas rozmowy przy kuchennym stole, nigdy nie miał dziewczyny, nie był w Paryżu ani nie kosztował lampki schłodzonego szampana w upalny dzień na piaszczystej plaży. Wtedy powiedział mi też, że nie umie pływać, bo choć nieraz jako mały chłopak wyjeżdżał z matką na wczasy nad morzem, to ona strasznie się denerwowała, gdy wchodził do wody.

Mniej bym się przejmowała, gdyby chodziło o prawdziwy zakon, oświadczyłam w duchu, po czym wybuchnęłam śmiechem, gdy dotarło do mnie brzmienie tych słów. I co tu mówić o uprzedzeniach katolików! To straszne, ile powalających z nóg stereotypów zostaje w człowieku jeszcze długo po tym, jak wreszcie zdoła na

dobrze się uwolnić od rodzimej wiary. Oczywiście, zakony anglikańskie również potraktowałabym poważnie. Tylko ci samozwańczy Bracia Zwiastowania się do nich nie zaliczali. Ojca Gervase'a, naczelnego szamana na pogrzebie Jimmy'ego, uznałam wówczas za uroczego staruszka, kiedy razem ze mną przyglądał się ziębom i udzielał mi dobrych rad. Ale tego ranka byłam tak wzburzona, że nawet on budził we mnie sprzeciw. W moich oczach stał się parodią błyskotliwego mędrca. Mogłam się założyć, że naprawdę miał na imię Cecil. I tacy ludzie mieli przejąć władzę nad Alekssem, w którym nie było za grosz fałszu, by urobić go na swoje kopyto...

Zaczęłam krążyć z kąta w kąt. Obserwująca mnie Spot kręciła łebkiem jak kibic na meczu tenisa. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca w tym domu. Zresztą zaczynałam mieć go dość. Przy brzydkiej pogodzie, tak jak dziś, przeszkłone ściany sprawiały, że człowieka ogarniało przygnębienie.

Pomodliłam się jednak za Aleksa. Uklękłam, oparłam czoło o sofę obitą cielecą skórą i poprosiłam w duchu, by Ten, kto czuwa nad nami, miał go w swej opiece i nie pozwolił mu się zanadto pogrążyć w smutku, by nieco złagodził jego samotność po stracie matki i uchronił go od wszelkiego zia... Pamiętałam ostatnią modlitwę, którą odmawiałam za pannę Leech udającą się do Dublina na badania onkologiczne. Odmówiłam więc tę samą modlitwę po raz drugi, tak za Aleksa, jak i za nią. Nagle przypomniałam sobie, że jest środa, zatem panna Leech powinna już wrócić do Ballygall.

Pamiętaj, Najłaskawsza Matko, że nigdy się nie zdarzyło, by ktoś uciekający się pod Twą obronę, błagający o Twą pomoc lub szukający Twego wstawiennictwa pozostał bez wsparcia... Włączyłam do tej modlitwy także Shaya. Obróć więc, Najłaskawsza Matko, Twe spojrzenie... Włączyłam też siebie. Ja również potrzebowałam pomocy. Odnosiłam takie wrażenie, jakby nic w mej duszy się nie poruszyło przez dziesięciolecia, lecz teraz wieczna zmarzlina zaczynała tajać, musiałam więc coś zrobić z tymi trupami, które stopniowo wyłaniały się spod lodu.

Wyszłam na podest. Zdziczałe koty bawiły się na skraju pola nad jeziorem. Trawa zrobiła się soczysta po deszczu, który spadł o świcie, nagle i bez uprzedzenia, jakby dzień zapłakał krótko przed obudzeniem. Na własny użytek ochrzciłam koty imionami elfów ze *Snu nocy letniej*, chociaż były wychudzone, dzikie i wcale nie takie ładne. Ale potrafiłam zidentyfikować tylko jednego, najmniejszego, czyli Ciemkę. Co dziwniejsze, właśnie on podkraść się bliżej schodów, gdy piłam pod zadaszeniem kawę, przez chwilę kręcił się w pobliżu, jakby demonstrując na swym pięknym perłowszarym futerku ciemniejsze smugi wilgoci, aż wreszcie zwinął się w kłębek i zasnął.

Kiedyś w Tel Awiwie, gdy byłam bardzo nieszczęśliwa i nie mogłam zasnąć, stałam przy oknie w nie swoim pokoju hotelowym i wyglądałam na wstający świt. Przede wszystkim czekałam, aż mieszkający tam mężczyźni zapadną w głęboki sen, żebym mogła się wyśliznąć na korytarz. Usychałam z pragnienia. Nie chciałam nawet myśleć o minionej nocy, pełnej gorzkich żali i wyrzutów. Tymczasem w dole światło dnia rozlewało się powoli po dachach przysadzistych białych domów, stojących łukiem nad zatoką. Nieco odsunięty od ulicy znajdował się tam wielki basen kąpielowy i mimo że był w cieniu hotelu, już o tej porze na wszystkich torach zapaleni pływacy rytmicznie młócili ramionami wodę. Sposób, w jaki sztywno trzymali nad powierzchnią głowy w gumowych czepkach, wskazywał wyraźnie, że są to ludzie starsi. Musieli być bardzo zdeterminowani.

Słońce sięgnęło wreszcie trawnika za basenem. Mały kotek skradał się tam ostrożnie pod krzewami rosnącymi wzdłuż hotelowego muru. Po chwili wyszedł na odkryty teren i nagle poczuł na sobie żar promieni

słonecznych. Zrobił jeszcze parę kroków, wyprężył grzbiet, po czym ułożył się wygodnie na ziemi i zapadł w sen.

Chciałabym być taka jak on, pomyślałam. Niech wolno mi będzie żyć w ten sam sposób!

To myśli o Aleksie przypomniały mi tamtą scenę. Bo Alex był podobny do kota. Zawsze chadzał własnymi ścieżkami.

Potrafię jednak docenić dobroć u innych ludzi, oznajmiłam w myślach, jakbym pragnęła się zarekomendować do roli niewidzialnego arbitra.

Nie wiedziałam, co z sobą zrobić do czasu, aż będę mogła zadzwonić do biblioteki. A jeśli lekarze zatrzymali pannę Leech w szpitalu? Bertie powiedział, że ona nie czuje się dobrze, a miał przy tym bardzo zadowolony minę. Postanowiłam więc pojechać do hotelu, żeby dokładniej go wypytać.

Byłam tak pełna obaw, że po zatankowaniu samochodu na stacji za supermarketem zostawiłam go na parkingu i poszłam ulicą wzdłuż wysokiego muru będącego niegdyś ścianą dworskich czworaków. Kiedy jeźdźnia na krótko opustoszała i uznałam, że nikt mnie nie widzi, przycisnęłam obie dłonie do szorstkich kamieni muru tak silnie, aż zabołało. Tylko jeden Bóg wiedział, że były świadkiem znacznie większych tragedii, niż można sobie wyobrazić. Wchłonęły tak niewyobrażalną rozpacz, że dałoby się nią obdzielić miliony ludzkich istnień. Ale to były dawne tragedie. Tych murów dotykały kościste palce ludzi głodujących i konających z głodu, którzy wymarli i odeszli w przeszłość.

Skończyły się tragedie, powtórzyłam w myślach.

Faktycznie, w hotelu Bertiego panował radosny nastrój. Ollie, z ubłoconą buzią i rączkami, chwiejnym krokiem przemierzał trawę na kuchennym podwórku, a Spot, która wesoło biegała wokół mnie od chwili, gdy tylko wypuściłam ją z samochodu, natychmiast pobiegła mu towarzyszyć. Obie kaczki kwakały w swojej zagrodzie. Ella przy stole w kuchni pisała list. A Bertie wyszedł z pokoiku na tyłach recepcji z szerokim uśmiechem na ustach.

- Co to za facet, który dobijał się tu w poszukiwaniu ciebie bladym świtem? - zapytał.

- Tato! - skarciła go Ella. - To nie twój interes!

- Stary przyjaciel - odparłam pewnym głosem. - Gdybyście pozwolili mi zostać w tym tak zwanym hotelu, a nie rozsyłali mnie po całej okolicy, żaden z moich znajomych by się wam nie naprzykrzał.

- Ta nauczycielska szarańcza wyjeżdża już jutro, więc wytrzymaj jeszcze jedną noc, Kathleen. Poczęstuj się kawałkiem szarlotki. Śmiało, to ci poprawi humor. Pół blachy zaniósłem wczoraj wieczorem Nan Leech, ale jeszcze trochę zostało.

- Jak ona się czuje?

- Wyglądała na załamana, kiedy ją odbierałem z pociągu. Nie wszedłem jednak z nią na górę, więc nie miałem okazji, żeby się dokładnie przyjrzeć. Powiedziała tylko, że zalecono jej, aby zupełnie zrezygnowała z pracy, dobrze wypoczęła i nabrała sił. Zresztą, bardzo się ucieszyła z powrotu do domu, ponieważ w szpitalu nie mogła zasnąć, nie czując w nogach łóżka swego kota. No i bardzo ją uradował prezent ode mnie.

- Jaki prezent? - spytałyśmy z Ellą równocześnie.

- Telefon komórkowy! Kupiłem dwa, jeden dla siebie. Facet w sklepie wszystko mi objaśnił. Teraz Nan będzie mogła ze mną rozmawiać, kiedy tylko zapragnie.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, bardzo z siebie zadowolony.

Stąd też nie byłam przygotowana, że usłyszę w słuchawce tak słaby, schorowany głos, kiedy zadzwoniłam do panny Leech z pokoiku Bertiego. Powiedziałam, co mi pierwsze przyszło na myśl, a co było jeszcze efektem rozmyślań o angielskich zakonnikach Aleksa.

- Czytała pani Iris Murdoch, panno Leech?

- Czytałam książkę jej męża o opiece nad nią w ostatnich latach życia. Muszę przyznać, że mam dla niej wiele szacunku. Podziwiałam ich oboje, ją za walkę z Alzheimerem, jego za opiekę nad żoną, dopóki sobie nie uświadomiłam, iż ona z pewnością nie zdawała sobie sprawy ani z jednego, ani z drugiego.

- Jest pani pierwszą znaną mi osobą, która wyraża podziw dla kogoś dotkniętego chorobą Alzheimerera.

- Przecież nie o to chodzi, panno de Burca. Sądzę, że każdy rozsądny człowiek powinien darzyć podziwem ludzi stopniowo tracących pamięć na stare lata.

- Panno Leech - zaczęłam ostrożnie. - Nie wiem, jak pani się czuje, ale czy mimo nawału pracy nie zechciałaby pani dzisiaj wyjść ze mną na krótko? Trochę za późno na lunch, lecz mogłybyśmy zjeść razem obiad. Albo przynajmniej wpaść gdzieś na herbatę. Oczywiście nie musimy rozmawiać o skandalu Talbotów, ale jak pani zapewne sama rozumie, ta sprawa wymaga szerszego przedyskutowania. Może nawet bardziej luźnej rozmowy, niż formalnej dyskusji. Szczególnie teraz, gdy broszura Johna Pageta przewróciła wszystko do góry nogami.

- Ależ oczywiście! To znakomity pomysł. Będę czekała przed wejściem do biblioteki punktualnie o wpół do trzeciej. Jeśli mam być szczerą, zamierzałam prosić, aby w miarę możliwości jak najszybciej zawiozła mnie pani do Mount Talbot. Bertie mówi, że zostały tylko zabudowania gospodarskie. Ale ja nigdy tam nie byłam. Po prostu nie chciałam oglądać majątku, nawet gdy moi koledzy ze szkoły każdego lata jeździli tam na rowerach i buszowali w ruinach dworu. A było to dość krótko po wyjeździe ostatnich Talbotów.

- Naprawdę nigdy tam pani nie była?!

- Wychowałam się w rodzinie republikańskiej - odparła szczerze. - Szkoda nam było czasu na grzebanie w śmieciach po naszych ciemnychzielnach. Poza tym Leechowie na pierwszym miejscu stawiali szacunek u swoich rodaków. W młodości zawsze miałam porządne buty i kokardę we włosach.

- No cóż, postaram się. Podjedziemy od tylnej bramy. Pokażę pani coś ciekawego...

- Zatem o wpół do trzeciej. I proszę pamiętać, że punktualność jest domeną królów.

Schodziła po schodach powoli, niepewnym krokiem, trzymając się poręczy. Była ubrana w bordowy zakiet, a spod kapelusika jak poprzednio wysuwały się kosmyki włosów. Twarz miała stężałą i wybladłą, ale uśmiechała się samymi kącikami ust do całego rynku, do tego pochmurnego i parnego dnia, jak również do mnie.

- Zadzwoniłam do Cecila Coby'ego, żeby zapytać, o której serwuje się herbatę w Coby Castle Hotel - powiedziała, kiedy zajęłyśmy miejsca w samochodzie. - Wściekł się! Zdaje sobie sprawę, że doskonale wiem, iż jego rodzina nie ma nic wspólnego z tym hotelem.

- Wydawało mi się, że przeciwności losu łagodzą ludzkie charaktery.

- Nie mój - odparła. - A mogę się założyć, że i nie twój.

- Nie przyszło pani do głowy, żeby zapytać pana Coby'ego o Talbotów?

- On nie jest panem, lecz parem, tyle że te wszystkie szumne tytuły jakoś nigdy nie chcą mi przejść przez usta. Powiedział, że Talbotowie to hołota. Użył dokładnie tego określenia. Podobno zawsze udawali katolików, choć wcale nimi nie byli.

- Do diabła z nim! - rzuciłam, ruszając spod ostatnich świateł drogą prowadzącą na zachód. - Nie tylko z nim, ale z całą tą anglo-irlandzką szlachtą. Zresztą, z jakąkolwiek szlachtą, jeśli chodzi o ścisłość!

- Nie zachowuj się jak prostytutka. To do ciebie nie pasuje. Chociaż muszę przyznać, że wy, wszystkie feministki, słabo się orientujecie w polityce klasowej. Doskonale i w szczegółach potraficie analizować podziały władzy między mężczyznami i kobietami, ale na tym koniec. A już całkiem zdajecie się gubić w sprawach dotyczących władzy w życiu publicznym, jak też w życiu prywatnym...

- Boże, panno Leech! - jęknęłam. - Czy mogłaby pani to wyjaśnić?

- Szkoda mojego trudu.

Szosa prowadziła wzdłuż kamiennego muru dawnego majątku. Po jakiejś minucie poruszyłam temat, który, jak sądziłam, i jej nie powinien dawać spokoju.

- Chyba zdążyła się pani dokładnie zapoznać z broszurą Pageta, prawda? Nie sądzi pani, że jest nad wyraz przekonująca?

Jeszcze przez chwilę panowało milczenie, wreszcie odparła powoli:

- Rzeczywiście nad wyraz.

- Kiedy tu przyjechałam, byłam całkowicie pewna, że Marianne i Mullana łączył namiętny romans.

- Mniej więcej - mruknęła wymijająco.

Staralam się coś wyczytać z jej miny, ale wpatrywała się prosto przed siebie z tak samo stężoną twarzą, której bladość silnie kontrastowała z ciemnym żakiem.

- Od dzieciństwa tego nienawidziłam - powiedziała, wskazując mur posiadłości. - I pomyśleć, że zbudowali go nasi zniewoleni rodacy.

- Chce pani zmienić temat? - zapytałam.

- Porozmawiamy na temat galimatiasu Talbotów później.

- Och, panno Leech! Proszę mnie nie zadręczać!

- Mam dla ciebie pewien dokument, bez wątpienia kończący tę sprawę. Pokażę ci go przy herbacie. Znalazł go Declan. To pierwsza strona z pewnej londyńskiej gazety o krótkotrwałym żywocie z początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Zwykłego brukowca, mówiąc dzisiejszym językiem.

- I co? - spytałam niecierpliwie. - Była winna zdrady czy nie?

- Później - powtórzyła.

Zwolniłam przed Wielką Zachodnią Bramą Mount Talbot. Ktoś otworzył na oścież zardzewiałe kute skrzydła, skręciłam więc z szosy w alejkę, gdy nagle zza muru wyłonił się Garda i ruchem ręki nakazał mi się zatrzymać. Ruszył powoli przed maską, wyciągając notes i długopis, jakby zamierzał spisać mój numer rejestracyjny, ale panna Leech szybko opuściła szybę, wychyliła się i rzuciła:

- Brendan Buckley! Co ty tu robisz?!

- Och, panna Leech! Jak się pani miewa?! - Błyskawicznie schował notes za plecy, żeby go nie zobaczyła. - Proszę wybaczyć, panno Leech, ale sierżant polecił mi spisywać wszystkie samochody, których nie znam osobiście, a to wóz z wypożyczalni. Gdybym jednak wiedział, że to pani...

- Coś się stało?

- Kilka dni temu dostaliśmy poufną informację, że w piwnicy na wino w ruinach dworu, do której można się dostać tunelem, jacyś ludzie z IRA urządzili sobie strzelnicę. Wygląda na to, że ćwiczyli się tam w strzelaniu. Znaleźliśmy tarcze porozwieszane na ścianach i pełno łusek na podłodze...

- I co? Zorganizowaliście zasadzkę? - wtrąciłam.

- Nie. Czterech chłopaków jest już w areszcie w Dublinie, a ja i jeszcze jeden policjant zabezpieczamy tylko miejsce przestępstwa.

- Chciałyśmy podjechać na dawny dziedziniec stajenny. Możemy się tam dostać?

- Och, panno Leech. Pani może tu chodzić wszędzie. Chris, stojący na posterunku w ruinach, na pewno panią przepuści. Chris Byrne. Zna go pani?

- Jak się miewa pani Byrne? A co u twojej ciotki, Brendan?

Rozmawiali przez kilka minut, w końcu pojechaliśmy dalej mroczną alejką, istnym tunelem między wybujałymi wawrzynami.

Kiedy dojechałam tak blisko furtki prowadzącej na dziedziniec stajenny, jak tylko było to możliwe, zatrzymałam samochód na porośniętej trawą brukowanej drodze, wysiadłam i otworzyłam przed nią drzwi.

- Stajnie są za tą furtką - powiedziałam.

- I przywiozłaś mnie tu tylko po to, żeby pokazać stajnie? - zapytała, nie ruszając się z miejsca i opierając głowę o zagłówek, żeby spojrzeć mi w oczy.

Uprzytomniłam sobie, że może po prostu nie mieć siły, żeby wysiąść z samochodu.

- Proszę spojrzeć! - Odwróciłam się i ruszyłam w stronę kamiennego łuku nad furtką, chcąc ukryć nękające mnie strapienia. - Tutaj!

Odsunęłam pędy bluszczu.

Popatrzyła na piękną statuetkę przedstawiającą młodzieńca z łukiem.

- Kupidyn - mruknęła, po czym zaśmiała się głucho.

Usiadłam w otwartych drzwiach samochodu, z nogami na bruku, i spoglądając na poszarzałą ceglana ścianę stajni oraz dachówki, na których rozpanoszył się mech, odezwałam się do niej przez ramię:

- Panno Leech, chciałabym panią o coś zapytać, jeśli można, nawet jeżeli pani zdaniem nie ma to wiele wspólnego ze sprawami, o których do tej pory rozmawiałyśmy. Naturalnie może mi pani przerwać w dowolnym momencie, gdyby nie miała pani ochoty dalej słuchać. Nie odpowiedziała.

- Powiedzmy, że to problem czysto teoretyczny. Nadal milczała.

- Otóż chciałam zapytać, jeśli się pani nie obrazi... a nawet nie tyle zapytać, ile porozmawiać, dosyć luźno... Więc tak przedstawię sytuację. Panno Leech, gdyby niezależna, dobrze wykształcona, samotna pięćdziesięcioletnia kobieta poznała pięćdziesięciosiedmioletniego mężczyznę, szczęśliwie żonatego, po czym przekonali się wspólnie, że jako kochankowie są dla siebie stworzeni, i ten mężczyzna poprosiłby kobietę, żeby przeniosła się bliżej miejsca, które służbowo regularnie odwiedza, by mogli dyskretnie spędzać razem

dwie albo trzy noce w miesiącu, co dałoby się bez trudu zorganizować, czy doradzałyby jej pani przyjęcie tej propozycji?

Przez dłuższy czas milczała. Lecz kiedy w końcu odparła, jedyną zmianą w jej sposobie mówienia było to, że użyła najbardziej osobistego zdrobnienia mego imienia.

- To bardzo ważne pytanie, Cait. - Znow zamilkła, ale zaraz dodała: - Dlatego że nasuwa pewną liczbę innych, nie mniej ważnych pytań.

Najwyraźniej nie potrafiła powiedzieć niczego, co by mi zesłało spokój duszy.

- Ciekawa jestem, jak wygląda życie upływające na czekaniu - wtrąciłam. - Bo nawet gdybym zajmowała się pisaniem, uprawianiem ogródka czy podróżowaniem, i tak byłoby to przede wszystkim czekanie.

Byłam w pełni świadoma tego, że zaczęłam mówić w pierwszej osobie.

- Gdyby ten mężczyzna był wolny, czy ożeniłby się z tobą? - zapytała.

- Wątpię. Ma córki i wnuczeta oraz niezłe prosperującą firmę w Anglii. Nie wierzę, by chciał do tego dodawać drugą kobietę... Poza tym na pewno by cierpiał po śmierci żony. A i ja nie mam ochoty wychodzić za mąż. Bo i czego miałabym szukać w małżeństwie? Nie widzę się w roli przybranej babci gaworzącej do jego wnucząt. Nie znam go za dobrze, ale nie sądzę, byśmy mieli wiele wspólnych tematów do codziennych rozmów.

- Co się stanie, jeśli jedno z was, powiedzmy, zachoruje?

- Tak, wiem. Cały ten układ straci rację bytu, prawda? W gruncie rzeczy byłby to marny układ, naprawdę podły. Ale ja na dobre utknęłam w koleinach tego świata, w którym żyłam do tej pory. One są głęboko we mnie. Bardzo pragnę mieć stałego kochanka! Nie zależy mi na szlachetności. Poza tym powinna pani wiedzieć, że jestem głęboko przekonana, iż zachodnia cywilizacja będzie musiała wkrótce wyrosnąć z takich rzeczy, jak romantyczna miłość. Co krok spotykałam skrzywdzone dzieci, które straciły jednego czy drugiego rodzica. W ten sposób wciąż rośnie liczba samotnych kobiet. Zresztą mężczyzn także, jak podejrzewam, tyle że kobiety... Chyba tysiące z nich natychmiast zgodziłyby się na taki układ, jaki Shay mi zaproponował, bo czują się całkowicie niepotrzebne. Jednakże musi być coś lepszego...

- Bertie przez lata opiekował się mną z takim poświęceniem, że aż trudno mi uwierzyć - odparła panna Leech. - Mogłam z nim porozmawiać o każdej codziennej drobnostce. Dostosowywałam się do jego depresji, tak jak on dostosowywał się do moich napadów złości. Między nami nawet banały są dobrym tematem do rozmowy.

- Tylko czy zdecydowałyby się pani poświęcić jego towarzystwo? Czy zamieniłaby pani Bertiego na kochanka, który sprawia, że... nawet nie potrafię tego opisać... że zaczynam promieniować kobiecością, mówiąc całkiem szczerze.

- Tak - rzuciła szybko. - Wybrałabym tę kobiecą promiennosc.

Przez jakiś czas milczałyśmy.

- Nikt nie wierzy - zaczęła z namysłem - że takie układy, na jaki ty i ten mężczyzna chcecie się zdecydować, będą trwałe ściśle według wyznaczonych początkowo reguł. Każdy w głębi serca uważa, iż w końcu dostanie coś więcej.

- Naprawdę nie chcę niczego więcej. Co najwyżej czterech dni zamiast dwóch lub trzech. Po prostu nie umiałabym przeżywać wszystkiego aż tak intensywnie, gdybym była z nim dłużej.

- Aha. To mi nasuwa pewien bardzo istotny wniosek. Oznacza bowiem, że w waszym związku jest coś sztucznego.

- Powiedziałabym raczej - magicznego.

- Sama mówisz, że twoje życie kręciło się wokół czekania.

- To prawda, ale i teraz czekam! Żyję nadzieją, że ponownie się z nim zobaczę! Kilka lat temu rzuciłam palenie i musiałam wyperswadować sobie przekonanie, że teraz czas będzie się rozciągał w nieskończoność, jeśli nigdy więcej nie wolno mi sięgnąć po papierosa. Teraz mogłabym to samo przenieść na jego wizyty...

- Ale w twoim życiu czekanie byłoby znacznie ważniejsze niż w jego. Wygląda na to, że jest coraz bardziej zapracowany. Bardziej produktywny, jeśli wolno mi się tak wyrazić. Z drugiej strony, ośmielę się zawyrokować, że ma mniej wyobraźni.

- To niczego nie zmienia. Jest żonaty. Nawet gdyby jego żona nigdy się o nas nie dowiedziała, i tak wy rządzałybyśmy jej wielką krzywdę, odciągając go, całkiem dosłownie, od codziennego życia rodzinnego. I odwracając jego uwagę. Moim zdaniem nie ma większego znaczenia, czy kilka razy w miesiącu chodzi do łóżka z kimś, z kim nie jest związany węzłem małżeńskim. Ale podkopywanie życia rodzinnego to całkiem inna sprawa... Mój ojciec wracał do domu w piątkowe wieczory zatopiony we własnych myślach i choć go nie lubiliśmy, to i tak bardzo nas to bolało. Każdy instynktownie wyczuwa, gdy bliska mu osoba jest myślami gdzieś bardzo daleko, a nie z nim. Żona Shaya nie umiałaby rozgryźć, co się z nim dzieje.

- Gdybyś była na jej miejscu, wcale nie lekceważyłabyś tego, z kim on sypia. I jeszcze jedno, Cait. Powinnaś sobie uświadomić, że zaspokojenie żądz jest doskonałą wymówką do wszelkich innych aktów zdrady.

- Wahałabym się tak samo, nawet gdyby nie miał żony. Chodzi o to, panno Leech, że bardzo chcę zmienić swoje życie, co już mówiłam, gdy tylko się poznałyśmy. Bardzo mi na tym zależy. Chcę żyć lepiej niż do tej pory. Dlatego się zastanawiam, czy życie namiętnością może odmienić codzienność. Czy potrafię przestawić się na życie przyszłością, podporządkować wszystko temu, co nastąpi? Czy też zacznę trwać w zawieszeniu aż do jego przyjazdu, kiedy będzie się dla mnie liczyło wyłącznie tu i teraz.

- Tak, rozumiem. Rzeczywiście przy nim żyłabyś pełnią życia, ale po jego wyjeździe wszystkie dni byłyby stracone. - Więc teraz rozumie mnie pani, panno Leech? Wreszcie wiem, czemu służy małżeństwo. To jedyny układ obejmujący zarówno całą osobę, jak i całe życie.

- Tak - odparła. - Widzę, że od początku mogłabyś być dobrą katoliczką. Rozwiązania ludzkich dylematów, jakie podsuwają wielkie religie, są, ogólnie rzecz biorąc, bardzo sensowne.

- Ale przecież powiedziała pani, że i pani zgodziłyby się na taką propozycję!

- Owszem - powtórzyła. - Gdybym otrzymała taką propozycję w twoim wieku, przyjąłabym ją bez wahania. Mogłabym czytać i pisać, czekając na niego. I powiem ci coś jeszcze. Wierzę, iż byłabym bardzo, ale to bardzo szczęśliwa.

- Jedziemy! - rzuciłam, siadając za kierownicą. - Musimy się napić herbaty. Niedobrze mi się robi od tego ciągłego rozważania wszystkich za i przeciw. Poza tym chcę wiedzieć, czy Marianne Talbot zrobiła to, czy nie. Nie mogę się doczekać, żeby przeczytać ten artykuł, który znalazł Declan.

Wyjechałyśmy z Mount Talbot szosą prowadzącą przez wielkie torfowisko w kierunku Coby Castle Hotel. Zauważyłam, że panna Leech zasnęła, dopiero gdy usłyszałam cichutkie pochrapywanie. Nawet we śnie trzymała się prosto, jak zawsze. Ale gdy dojechałyśmy do plantacji drzewek iglastych i skręciłam w boczną drogę, wiodącą między zagajnikami brzoź i kasztanowców okrytych młodymi liśćmi, gdzie młode samosiejki przesłaniały widok między pniami starszych drzew, znów się odezwała:

- Jeśli cię to pocieszy, Cait, znalazłaś się w doborowym towarzystwie. Przecież sam wielki John Keats, kiedy umierał na stateczku przybijającym do brzegów Włoch, gorzko żałował, że nie zdążył się pokochać z Fanny Brawne. Powiedział do przyjaciela: „Powiniennem być ją posiąść, kiedy jeszcze mogłem”. Dodał, że wówczas pisałby jeszcze lepsze wiersze, byłby lepszym człowiekiem, czy też dorobił się fortuny. „Powiniennem być ją posiąść, kiedy jeszcze mogłem”. A William Yeats? Można by sądzić, że wynosił się ponad wszystko. Ale kazał sobie robić zastrzyki z małych gruczołów, a któregoś ze swoich kochanek w starszym wieku powiedział, cytując: „Na koniec wreszcie stanę się grzesznikiem. Na łożu śmierci będę rozmyślał o tych wszystkich nocach, które traciłem w młodości”. No i oczywiście jest jeszcze Marvell: „W zacisznym grobie spokój błogi, ale przytulić nie ma tam kogo”.

Zatrzymałam się na wysypanym żwirem podjeździe przed frontowym wejściem hotelu, nim zdążyła dokończyć przeglądu reszty angielskiej poezji.

Był to wielki stos czerwonych cegieł zwieńczony wieżyczkami i blankami.

- Blanki! Mój Boże! - syknęłam, wprowadzając pannę Leech do obszernego holu. - Czyżby spodziewali się tu czyjś najazdu?

Czułam, że nogi się pod nią uginają. Chcąc ukryć zmieszanie, dodałam:

- Proszę sobie tylko wyobrazić, że Richard i Marianne Talbotowie mogli chodzić po tych samych posadzkach, kiedy przyjeżdżali tu na bal albo kolację.

Brakowało jej oddechu, żeby odpowiedzieć. Zatrzymałam się więc i po minucie ruszyliśmy dalej, noga za nogą.

- Trzydzieści kilometrów od najbliższych sąsiadów! - ciągnęłam jak najęta. - Jak Marianne mogła się rozerwać? Jak młoda angielska dama nawykła do zbytków mogła tu sobie ułożyć życie, choćby nawet w najlepszych czasach? Polowanie na lisy chyba w ogóle nie wchodziło w grę na tutejszych torfowiskach.

Weszłyśmy do mrocznej sali restauracyjnej, gdzie na stolikach przykrytych lnianymi obrusami stało szkło i kryształowe cukiernice, a obok buteleczki z keczupem. W mieszczącej się na tyłach łoży półkoliste wysokie okna wychodziły na trawnik opadający ku brzegowi i przysadzistą świątynię na wysepce pośrodku jeziora. Kilkunastoletni chłopiec ustawiał tu barykadę z odwróconych do góry nogami krzesel wokół licznej rodziny w milczeniu trącej się kieliszkami wódki. W wózku obok spało niemowlę o silnie zaróżowionej buzi. Poza tą grupą w sali nie było innych gości. Młoda kelnerka powiodła szeroko ręką.

- Proszę siadać, gdzie panie sobie życzą.

Nagle z zaplecza niemalże wybiegł kierownik sali w eleganckim garniturze.

- Panna Leech! Nan Leech! Coś podobnego! Dlaczego nie uprzedziła pani o swojej wizycie? Och, jakże miło panią widzieć! To prawdziwy zaszczyt!

- Cait - powiedziała panna Leech z uśmiechem - to Paddy. Kiedyś prowadził pub obok biblioteki, ale jak widać, znalazł sobie lepszą pracę.

- Proszę! Może tutaj? Albo tutaj? Gdzie panie sobie życzą. Noeleen, przynieś kartę win! A może woli pani dzbanuszek herbaty, panno Leech? Albo sherry? Czy pani przyjaciółka napije się ginu z tonikiem? Proszę pozwolić, zaopiekuję się pani żakiem. Jest pani taka drobna... Mamy nowy gatunek kawy z ekspresu, którą właśnie wypróbujemy. Noeleen, przynieś z sali balowej podnóżek dla panny Leech... i poduszkę, żeby mogła się wygodnie oprzeć. Może skusicie się, drogie panie, na sandwicza? Mamy w kuchni bardzo ładną porcję pieczonego kurczaka. Jest też smażony łosoś. Wczoraj wyłowiony z naszej rzeki, tylko proszę o tym nikomu nie mówić. A może wolą panie po kawałku tortu?...

Ostatecznie miałyśmy całą salę dla siebie, panna Leech usadowiła się najwygodniej, jak tylko to możliwe. Zamówiła wędzonego pstrąga, ale nawet go nie skubnęła. Tylko od czasu do czasu pociągała wino maleńkimi łyżkami. Sprawiała jednak wrażenie zadowolonej. Wyciągnęła z kieszeni żakietu nowy telefon komórkowy, lecz nie umiała się nim posługiwać. Toteż Noeleen w jej imieniu zadzwoniła do Bertiego, żeby powiedzieć, gdzie jego podopieczna będzie przez najbliższe pół godziny.

- Bardzo się o mnie troszczy - wyjaśniła panna Leech. - A ja nie lubię, gdy się martwi. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - I wołałabym, żebyś ty również się nie zamartwiała, Cait. Mogłabyś być moją córką, więc powiem szczerze, co myślę. Bardzo wysoko cenię miłość fizyczną, być może zbyt wysoko, bo nigdy jej nie zaznałam. W każdym razie bardzo bym jej pragnęła dla swojej córki. Ale to znaczy, iż życzyłabym ci stałego towarzystwa w życiu, a nie gościa. Kogoś, na kim mogłabyś polegać w razie, gdybyś potrzebowała opieki. Kogoś, z kim mogłabyś dzielić wszystko, co w tobie najlepsze. Ponieważ jesteś dobrą dziewczyną. Uczuciową.

Pochyliłam się nad talerzem i udawałam, że jem, chcąc ukryć, jak bardzo mnie poruszyły te słowa.

- Shay przedstawił mi najlepszą propozycję, jaką kiedykolwiek dostałam. W zasadzie to jedyna propozycja. Umieram ze strachu na myśl, że już nigdy nie otrzymam żadnej innej.

- Wszystko musi mieć korzenie w naszym dzieciństwie. Sięgają niewiarygodnie głęboko i daleko. To jedna z tych spraw, o których chcę podyskutować z Bogiem, gdy będę mu dziękowała za szczęśliwe dzieciństwo, które jednakże uczyniło ze mnie oschłą nudziarę. Wiesz, jest jedna oczywista sprawa, dopiero teraz, na stare lata, pojmuję ją całkiem wyraźnie.

Spojrzałam na nią. Włosy w stylu Alberta Einsteina, żywe czarne oczy, szpiczasty nos. Gdyby nie ta bladeść na twarzy...

Położyła drobną dłoń na mojej.

- Świat jest piękny - wyjaśniła. - W każdym najdrobniejszym szczególe jest po prostu piękny.

- Przepraszam - rzuciłam. - Wracam za minutę. Pobiegłam do łazienki, usiadłam przed lustrem i rozpłakałam się.

Kiedy wróciłam, kierownik sali, Paddy, ustawiał przenośny grzejnik elektryczny przy nogach panny Leech.

- Mam podać kawę, moje panie? Dla pani ze śmietanką, panno Leech. Oczywiście, pamiętam. I po kieliszeczku likieru? Dla wyrównania poziomu cukru we krwi? A może odrobinę koniaku?

Zrozumiałam, że muszę się streszczać. Z jednej strony strasznie chciałam wrócić do tematu Talbotów i zobaczyć ten artykuł znaleziony przez Declana, z drugiej - równie mocno pragnęłam usłyszeć, co jeszcze może powiedzieć o Shayu i o mnie. Zwłaszcza o mnie.

Przez chwilę myślałam, od czego zacząć.

- Nie znasz przypadkiem kogoś, kto chciałby kota? - zapytała panna Leech. - Muszę znaleźć opiekuna dla swego kota. Bertie go nie weźmie z powodu tego wstrętnego starego psa. Tyle razy mu radziłam, żeby go komuś oddał, ale nie chce o tym nawet słyszeć.

- Myślałam, że jest pani bardzo dumna ze swego kota. Słyszałam, że nie może pani wręcz usnąć, nie czując go w nogach łóżka.

- Nie chciałam o tym wcześniej mówić, ale jutro wyjeżdżam do hospicjum w Galway. Tylko dlatego trochę sobie dzisiaj pozwoliłam. W hospicjum na pewno naszprycują mnie środkami przeciwbólowymi.

Byłam wstrząśnięta, lecz usiłowałam zachować swobodny ton.

- Przecież pozwolą pani tam trzymać kota! Troskliwie opiekują się również zwierzętami domowymi...

- Nie - ucięła krótko.

- Dlaczego? - spytałam odruchowo, chociaż w głębi serca doskonale ją rozumiałam.

- To już nie potrwa długo. Byłabym nie w porządku wobec kota.

Po chwili milczenia szepnęłam:

- Mogę mu zapewnić wspaniałe schronienie. Uśmiechnęła się szeroko.

- Zatem, panno de Burca, wypada mi podziękować Opatrzności, która zesłała ciebie do biblioteki w Ballygall.

Dostrzegłam Bertiego. Wszedł z holu i rozglądał się dookoła.

- Wracając do mego zesłania do biblioteki w Ballygall - rzekłam, z coraz większym trudem zachowując panowanie nad sobą. - Kiedy zamierza pani ujawnić tajemniczy artykuł prasowy na temat pani Talbot?

- Jego autor, kimkolwiek był, osobiście pofatygował się w te strony po tym, jak uznano panią Talbot winną i udzielono jej mężowi rozwodu. Cześć, Bertie! Ucięłyśmy sobie z Kathleen miłą pogawędkę. Napijmy się brandy! Noeleen, możesz nam podać trzy lampki brandy? Zresztą powinnyśmy złożyć to zamówienie wcześniej. Jak myślisz, czy na tamtym świecie Irlandczycy zdołają się wreszcie uwolnić od angielskiej protekcjonalności? Posłuchajmy tego! - Wyciągnęła z kieszeni żakietu złożoną kartkę. - Bertie, przeczytaj na głos. Tylko ty potrafisz to zrobić z cudownym londyńskim akcentem.

Szeroko uśmiechnięty, rozłożył kartkę i zaczął czytać tonem, w którym kryła się pogarda do wszystkiego:

Mount Talbot stoi przy drodze wiodącej znikąd i donikąd. Rozległy przestwór jeziora Lough Aree skłania podróżników do skierowania się na północ lub południe, toteż trudno pojąć, jak ktokolwiek oprócz pogańczy pędzących owce lub krowy z północnych pastwisk na wielki targ w Ballynasloe może się znaleźć na moście nieopodal Mount Talbot, pod którym wody rzeki Aree, rozbudzone ze swej zwykłej ospałości przez niezwykłą przeszkodę, płyną na pewnym odcinku zauważalnym nurtem.

Torfowiska, zdające się bezkresnymi, na których zagrzebane w ziemi istoty ludzkie żyją niczym psy preriowe albo króliki, niskie wzgórza pocięte granicznymi murami z kamienia, doliny będące jeziorami zimą i ba-

gnami w ciągu lata, ciągną się na wiele mil we wszystkie strony, a wrażenie jałowego pustkowia mącą jedynie schludne posterunki, gdyż obecność eleganckich policjantów konnych zachowujących wojskową postawę przypomina człowiekowi w tym kraju gwałtu i przemocy, że istnieje gdzieś prawo i cywilizacja.

Podczas przejazdu przez Ballygall (zapewne najbardziej odległe, melancholijne i znękanę nędzą ze wszystkich irlandzkich miast) uwagę przykuwa kościół parafialny Mount Talbot, w którym wielebny William McClelland jest proboszczem. Irlandzką milę dalej po lewej stoi zajazd (pamiętny szynk Kelly'ego, gdzie Finnerty i Halloran spili Mullana), a po prawej zaczyna się wysoki kamienny mur ogrodzenia z masywną kutą żelazną bramą wiodącą do majątku Mount Talbot House, posepnego zameczku w stylu współczesnego gotyku. Jego ciemnoszare ściany rozbrzmiewają wciąż echem z nocy 19 maja, kiedy to rozlegały się krzyki bardziej przenikliwe od tych, które „wstrząsnęły murami Berkeley” - krzyki matki rozdzielonej z dzieckiem, żony gwałconej przez służących jej męża...

Bertie przerwał i dorzucił od siebie:

- Temu facetowi najwyraźniej ani trochę się tu nie podobało.

- Ciekawa jestem, co to są „mury Berkeley” - wtrąciła panna Leech.

- No, ładnie! - syknęłam ze złością. - Napisał o ludziach żyjących jak „psy preriowe”, prawda? Zagrzebanych w ziemi na torfowiskach? A przecież to było zaraz po Wielkim Głodzie! Zaledwie pięć lat po najgorszej klęsce! Wyobraźcie to sobie! Na torfowiskach, zagrzebani w ziemi jak króliki! Na pewno chodziło o ludzi eksmitowanych z domów. A on śmie się na nich krzywić! Sami widzicie, z jakim spotykaliśmy się współczuciem! Nic dziwnego, że konaliśmy z głodu, zostawieni sami sobie!

- Uspokój się, Cait - odparła panna Leech. - Za chwilę czeka cię jeszcze większy szok. Proszę, czytaj dalej.

Podawała mi odbitkę kserograficzną.

- Ten artykuł musiał jakiś czas czekać na druk - dodała - bo są tu cytaty z *Protokołu Trybunału Sędziowskiego Izby Lordów*. Ale wygląda na to, że w końcu nic nie zostało wycięte z tekstu tego dociekliwego dziennikarza...

Zaczęłam czytać na głos, próbując naśladować angielski akcent Bertiego:

Szanowni lordowie, wielebny pan Sargent, który w owym czasie asystował wielebnemu McClellandowi, widział pana Talbota wyjeżdżającego z Mount Talbot, postanowił więc skorzystać ze sposobności i sprawdzić, co to za krzyki. Otóż zeznał on, co następuje. Wszedł do holu, otworzył znajdujące się po prawej stronie drzwi do bawialni i, jak sam opisuje, osłupiał, widząc to, czego nie będę opisywał w szczegółach, powtórzę tylko, że zobaczył panią Talbot leżącą na wznak na podłodze, piętami w kierunku drzwi, z głową obróconą w bok, oraz mężczyznę klęczącego w luźnym ubraniu, najwyraźniej pomiędzy jej nogami, częściowo obnażonymi, i że ów mężczyzna był ubrany w kurtkę myśliwską, a resztę odzieży miał porozpinaną bądź spuszczoną.

Spojrzałam na pannę Leech.

- To dość oczywista sytuacja - mruknęłam. - Tyle że i ten opis jest mętny, podobnie jak zeznania dwóch naocznych świadków, którzy jakoby widzieli przez stajenne okno Marianne leżącą z Mullanem na sianie. Aż jestem zdziwiona, że w artykule pominięto milczeniem tamtą relację.

- Czytaj dalej - powtórzyła.

Lord kanclerz: Całkowicie mi wystarczy, że wielbny pan Sargent ujrzał panią Talbot na podłodze w opisanej sytuacji. Będę jednak usilnie nalegał i dopytywał się, czy jest wystarczająco pewien, że była to pani Talbot. Świadek odpowiada: „Jest mi niezmiernie przykro, ale zmuszony jestem przyznać, iż nie mam najmniejszych wątpliwości, że kobietą na podłodze była pani Talbot”. Później jeszcze powtarza: „Nie mam najmniejszych wątpliwości w tej materii i z żalem muszę to powiedzieć. Moim zdaniem jednak to nie Mullan klęczał na podłodze”.

Przeczytałam ostatnie zdanie jeszcze raz:

- Moim zdaniem jednak to nie Mullan klęczał na podłodze.

Zdumiona podniosłam głowę na pannę Leech. Ale ona nie mogła mi w niczym pomóc. Na jej wargach błąkał się pośpny uśmiezek satysfakcji. Ruchem ręki nakazała czytać dalej.

Ciągnęłam już znacznie mniej pewnym głosem:

... to nie Mullan klęczał na podłodze. Ale co się tyczy pani Talbot, wielbny Sargent widział ją wyraźnie i jest wykluczone, aby mógł się pomylić. Zatem ów dżentelmen widział panią Talbot; znał ją i jest przekonany, że wie także, kim była ta druga osoba, jednakże nie chce tego ujawnić.

Znów podniosłam głowę i posłałam pannie Leech błagalne spojrzenie.

- Ta druga osoba? - powtórzyłam, ledwie zdolna do wydobycia z siebie głosu. - Więc był jakiś inny mężczyzna?

- Jak to inny mężczyzna? - zapytał Bertie. - Myślałam, że jednak nie zadawała się z nikim obcym. Była niewinna, prawda?

- *Wielbny Sargent* - odczytałam jeszcze raz powoli - *jest przekonany, że wie także, kim była ta druga osoba, jednakże nie chce tego ujawnić.*

- Dobry Boże! - jęknął Bertie.

Wygląda na to, że zbliżając się do domu, został zaatakowany przez psa i musiał się przed nim schronić w środku, więc w pośpiechu otworzył pierwsze drzwi w holu, bez pukania, tu zaś stał się świadkiem sytuacji, która winna podzielać na każdego mężczyznę. Trwało to ledwie moment, ale w takich chwilach upływają całe wieki, kiedy to wystarczy jedno spojrzenie, jeden moment, by się upewnić, cóż znaczy ta sytuacja. Jest niemożliwością, aby mężczyzna, ujrawszy to, co on zobaczył, nie był pewny tego, na kogo patrzy. Świadek mówi, iż nie może potwierdzić, że tym mężczyzną był Mullan. W istocie pan Sargent stanowczo potwierdza, iż nie był to Mullan.

To zdanie przeczytałam po cichu kilkakrotnie.

Po owym zdarzeniu pan Sargent udał się do pana McClellanda, proboszcza parafii, i zakomunikował mu ten fakt. Pan McClelland porozumiał się z panią Talbot, po czym znów spotkał się z panem Sargentem i oświadczył, że jego zdaniem byłoby lepiej nie poruszać więcej tej kwestii.

- Czyżby więc ksiądz o wszystkim wiedział? - zapytałam. - Od samego początku, kiedy Richard powiadomił go o romansie żony z Mullanem? Nic dziwnego, że natychmiast uznał jej winę i zabrał ją do Coffey's Hotel! Nic dziwnego, że tak gorliwie współdziałał w zamknięciu jej w Windsorze!

Artykuł kończył się następująco:

Mimo woli muszę dojść do konkluzji, że pan McClelland doskonale wiedział, kto w tej sprawie dopuścił się małżeńskiej zdrady, wiedział, że cudzołóstwo nie było udziałem stajennego Mullana, a po rozmowie z panem Sargentem zyskał dodatkowe informacje utwierdzające go w przekonaniu, kim była owa osoba. W każdym razie jestem całkowicie przeświadczony, że William Mullan nie był jednym z aktorów opisaney sytuacji.

- Zatem wiedział nawet, kto to był! - odezwałam się do panny Leech. - No więc kto? Jakiś goszczący we dworze oficer? Przyjaciel pana domu, który przyjechał z sąsiedniego hrabstwa, odpowiadając na pilne wezwanie? Lord Coby? A może sędzia wizytujący swój rewir?

- W każdym razie musiał to być ktoś z tej samej klasy. I najwyraźniej Richard o niczym nie wiedział. Gdyby jej kochankiem nie był ktoś z tej samej klasy, zostałaaby ukarana tak samo, jak za ucieczkę od męża z irlandzkim służącym.

Przeczytałam ostatnie zdanie:

Oto jawny, opisany przez naocznego świadka przypadek cudzołóstwa, jaki wydarzył się w Mount Talbot, ukazujący nieszczęsną kondycję grzechu, w który popadła pani domu, równocześnie demonstrująca swój afekt i poważanie dla Mullana.

- Och, nie! - jęknęłam. - Równocześnie! Była z tym tajemniczym mężczyzną, mając już wcześniej romans z Mullanem!

- Weź sobie tę odbitkę, Cait - powiedziała panna Leech. - Jestem zmęczona. Ale to wiele wyjaśnia, prawda? Z jakiegoś powodu wierzę, iż opisano tu prawdziwy epizod.

- Ja również - przyznałam. - Pozostaje tylko pytanie, czy Mullan wiedział o jej związku z tym mężczyzną. A jeśli tak, to czy poczuł się zdradzony.

- Musiał wiedzieć - wtrącił Bertie. - Służba zawsze wszystko wiedziała.

- A może ona wcale nie była kochanką Mullana? Tylko z jakiego powodu miałby potem jechać za nią do Dublina?...

- Rozbawiła mnie ta historia, która w końcu okazała się tak bardzo współczesna - powiedziała panna Leech sennym głosem. - Ponieważ mi przypomina modną, okrzyczaną literaturę, jaka ostatnio trafia do biblioteki: wygląda zupełnie inaczej, w zależności od tego, jak na nią patrzeć. Nie wiadomo, w co wierzyć. Nasi czytelnicy oczywiście tego nie cierpią. Ciągłe się na to uskarżają, jakby służby biblioteczne były odpowiedzialne za modę literacką. Ale w tym wypadku jest jeszcze coś dziwnego. Na przykład, dlaczego wielebny Sargent udał się do Mount Talbot, wiedząc, że gospodarz wyjechał? I od kiedy to psy obronne... ty powinienesz wiedzieć to najlepiej, Bertie... zaganiają obcego do domu, zamiast trzymać go z dala od niego?

Oboje z Bertiem otworzyliśmy już usta, żeby odpowiedzieć, kiedy wykrzyknęła:

- Wcale mnie to nie obchodzi! Ani trochę! Jestem zmęczona. Proszę, Bertie, zawieź mnie do domu. Jestem tak bardzo zmęczona.

Wstaliśmy pospiesznie.

Kierownik sali musiał nas obserwować zza otwartych drzwi do kuchni, bo gdy tylko Bertie delikatnie ułożył kapelusik na głowie panny Leech, Paddy, kelnerka i jakiś chłopak w białym fartuchu niemalże biegiem ruszyli w naszą stronę. Chłopak niośł mały tort z kilkoma wetkniętymi weń, zapalonymi i już powyginanymi świeczkami. Krokiem marszowym podeszli do naszego stolika. Paddy wyciągnął zza pleców butelkę szampana.

Na lukrowej polewie tortu, gęsto upstrzonej kroplami parafiny, widniał zrobiony niewprawną ręką napis wykonany różowym kremem: *Panna Leech*.

- A to z jakiej okazji? - zdziwiła się.

- Bez okazji - oznajmił Paddy. - Dla uczczenia pani wizyty w Coby Castle.

W piątkę wzniesiliśmy toast za zdrowie panny Leech - Paddy, który sprawiał wrażenie straszliwie zmieszanego, chłopak z kuchni, Bertie i ja. Wszyscy doskonale wiedzieliśmy, co się święci, poza drobną kelnerką, przekonaną, że to przyjęcie.

- Jak podczas urodzin - powiedziała panna Leech, siląc się na uśmiech. - Brakuje tylko jubilata.

Odwróciła się szybko w stronę Bertiego, wspięła się na palce i stołową serwetką otarła mu łzy z twarzy.

Obiecałam, że nazajutrz rano zadzwonię do niej w sprawie kota.

Jej ostatnie skierowane do mnie słowa wcale nie były pożegnaniem. Kiedy szliśmy przez hol w stronę wyjścia, rzekła:

- Nawiasem mówiąc, Cait, powinnaś trochę nadrobić braki z historii architektury. Ten dom pochodzi z lat osiemdziesiątych lub dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, zatem pan i pani Talbot nie mogli chodzić po tej posiadzce, jak to sobie wyobrażałaś.

Byłam jej wdzięczna. Nie powiedziała tego w formie wymówki, żebyśmy mogły się rozstać w nieco pogodniejszych nastrojach.

20

Ruszyłam w drogę powrotną do domu, wciąż mając żywo w pamięci opis zaczynający się słowami: *zobaczył panią Talbot leżącą na wznak na podłodze*. Czułam się tak, jakbym widziała tę scenę. To był obraz mnie samej, który skutecznie odsuwałam od siebie przez wiele lat - wyciągniętej na wznak na kafelkach podłogi w kuchni w Bloomsbury, ze swetrem i stanikiem podciągniętym pod brodę, z poczerwieniałą i wykrzywioną twarzą... patrzącą na twarz mężczyzny pochylonego nade mną, na której maluje się mieszanina zadowolenia z siebie i pogardy...

Nigdy nie miałam okazji tego do końca wyjaśnić, gdyż ani razu nie rozmawiałam z Caroline na ten temat. Na własny użytek usprawiedliwiałam się, że tamtego dnia przeżyłam silny wstrząs.

Odebrałam dokumenty podróżne przed wyjazdem do Laponii i wracałam do biura pieszo, mimo że był to paskudny grudniowy dzień, z wiatrem siekącym po twarzy. Wybrałam drogę na skróty przez Old Bailey, gdzie odbywał się wiec IRA. I wtedy zauważyłam ojca.

To był on! Albo ktoś bardzo do niego podobny. Stał obok tablicy opartej o ścianę. Tak się złożyło, że w tym momencie pozostał jedynym demonstrantem przed gmachem. Ulica była prawie całkiem pusta. Przechodziłam nie dalej jak trzy metry od niego, zdumiona i zaskoczona.

Mężczyzna ruszył w moją stronę, ale pospiesznie ukrył się za swą tablicą, jakby uczynił z niej swoją maskę. Miał na sobie zniszczony gabardynowy płaszcz przeciwdeszczowy, dokładnie taki, jaki miał ojciec. I takie same znoszone czarne pantofle.

Obrócił tablicę, jakby chciał mi pokazać wymalowane na niej hasła:

DOŚĆ ANGIELSKICH KŁAMSTW NA TEMAT IRLANDII!

UWOLNIĆ NIEWINNYCH LUDZI!

Po krótkiej chwili osłupienia szybko ruszyłam dalej.

Do dziś nie wiem, czy to naprawdę był ojciec. Może tylko tak mi się zdawało, bo właśnie tego popołudnia wspominałam mamę. Specjalnie poszłam przez miasto taką trasą, by zahaczyć o ulice i place kojarzące się z książką, którą kiedyś obie czytałyśmy, opowiadającą o życiu młodych ludzi mieszkających w ruinach zbombardowanego centrum Londynu zaraz po wojnie. To była powieść Rose Macaulay zatytułowana *Świat mojej dzicy*, bardzo romantyczna i dająca wiele do myślenia. Kiedy mama ją skończyła, powiedziała, że marzyła o tym, by znaleźć się w Londynie w czasie bombardowań. Czy w ogóle kiedykolwiek. Teraz nie zostały już prawie żadne ślady po zniszczeniach opisywanych w książce. Kiedy jednak stanęłam przy placu budowy i zajrzałam przez szczelinę w ogrodzeniu w głąb wykopów pod fundamenty, dostrzegłam odsłonięty fragment starej zburzonej wiktoriańskiej kamienicy - kominek rozplątany na pół, kawałek ściany pokrytej strzępami papierowej tapety, resztki schodów wiszących w powietrzu. Miałam wrażenie, że oglądam scenę powieści.

Jestem jedyną osobą na świecie, która wie, ile ten widok znaczyłby dla matki, pomyślałam. Poczułam się tak, jakby ona stała tuż obok mnie, w starym zimowym płaszczu Nory.

A dwadzieścia minut później zobaczyłam prawdopodobnie ojca.

Zaraz po powrocie do domu zadzwoniłam do Danny'ego, on jednak wyraził przekonanie, że to nie mógł być tata. Macocha na pewno by go nie puściła na demonstrację. Nie miał jednak całkowitej pewności.

Ledwie zdążyłam odłożyć słuchawkę, gdy zadzwonił telefon.

- Kto? - spytałam, nie wierząc własnym uszom.

- Ian Arbuthnot - powtórzył. Na szczęście nie przedstawił się jako mąż Caroline. - Jestem w mieście - oznajmił, chociaż nie miałam pojęcia, iż w ogóle wyjeżdżał - i chciałbym się z tobą zobaczyć. Jak rozumiem, często się spotykacie z Caroline. Martwię się o jej zdrowie psychiczne.

Zatkało mnie. Jeśli istniał jakiś powód do niepokoju o psychikę Caro, to wyłącznie związany z jego odejściem. W jakie bagno zamierzał mnie wciągnąć? Do tej pory przez lata zamieniałam z nim najwyżej kilka słów.

- Skąd masz mój numer? - zapytałam.

- Prawdę mówiąc, spisałem go z notesu Caroline.

- Po co?

- Przepisałem kilka numerów, kiedy się rozstawaliśmy. Jak już mówiłem, martwię się o nią. Chyba mam prawo wiedzieć, czy mój syn znajduje się pod opieką zdrowej osoby, prawda?

- Czyżbyś naprawdę podejrzewał Caroline o chorobę psychiczną? Bo jeśli tak...

- Och, na miłość boską, Kathleen! Naprawdę chciałem tylko porozmawiać w spokoju z kimś, kto tak samo jak ja troszczy się o nią, a przecież oboje wiemy, że nie należy do ludzi o mocnej psychice. Z takim ojcem, jak David, nikt nie miałby szansy nauczyć się odporności.

Jeszcze przez jakiś czas ciągnął ten temat. Zwróciłam uwagę, że podkreśla swoją familiarność, nazywając ojca Caroline po imieniu, nie używając jego tytułu. Miałam straszną ochotę powiedzieć, żeby przestał mi mydlić oczy swoją udawaną troską, wiedziałam jednak, że nigdy by mi nie wybaczył, gdybym to zrobiła.

- Możemy się spotkać za godzinę, o dziewiątej - odparłam - w którymś z pubów w okolicy British Museum. Później nie będę miała dla ciebie czasu.

Taka była prawda. Nazajutrz rano wyjeżdżałam do Laponii, by pisać artykuł o kilku rywalizujących ze sobą świętych Mikołajach.

- W każdym razie będziesz musiał sam sobie poradzić z tym bałaganem, jakiego narobiłeś w małżeństwie - dodałam, chcąc postawić jasno kwestię mego stanowiska w tej sprawie. - Wysłucham, co masz do powiedzenia, ale tylko dlatego, że jestem przyjaciółką Caroline.

Kiedy zadzwoniłam do Caroline, by podzielić się z nią szokującą nowiną, doskonale wyczułam po urywanych odpowiedziach, ile żalu po nieudanym małżeństwie nosi ciągle w sercu. Początkowo wcale nie chciała, bym się spotkała z Ianem. Dopiero potem zmieniła zdanie i wymusiła na mnie obietnicę, że zapamiętam dokładnie każde jego słowo, każdy gest, a nawet szczegóły ubioru, i że dam mu do zrozumienia, nie mówiąc wprost, iż jest teraz niezwykle szczęśliwa i wygląda znacznie lepiej, niż kiedykolwiek dotąd. Miałam jednak świadomość, że wspomnienia o nim wciąż zmrażają jej serce, bo w przeciwnym razie znacznie szybciej odzyskiwałyby spokój ducha z każdym upływającym miesiącem.

Pomyślałam, że stałam się dla niej nagle bardzo ważna tylko dlatego, że mam się z nim zobaczyć.

Dobrze znałam jego stosunek do kobiet. Caroline opowiadała mi na przykład, że pewnego razu poprosiła go o drobną kwotę, dziesięć czy dwadzieścia funtów. Wyjął z portfela banknoty, wyciągnął w jej kierunku i kazał jej uklęknąć, jeśli chce je dostać. Uczyniła to. Mnie jednak potraktował z całym szacunkiem, więc już po paru minutach się rozluźniłam. Podobało mi się w tamtym pubie. Gazowe lampki na ścianach zalewały salę ciepłym blaskiem, pozłacającym moją rękę na błyszczącym politurowanym stoliku, gdy sięgałam po kieliszek z winem. Tu jest naprawdę bardzo przyjemnie, powtarzałam w myślach.

- Pozwól, że zamówię drugą kolejkę, zanim zrobi się tłoczno - rzekł Ian.

To mi się także podobało.

Ciąg zdarzeń był całkiem przypadkowy. Tylko czy na pewno? W krótkim czasie opróżniłam dwa kieliszki wina, chociaż to nie musiało mieć decydującego znaczenia. Bez przerwy mówił o Caro - o tym, że nawet na chwilę nie chciała go spuścić z oczu i że bardzo trudno jest mieć za żonę córkę milionera bezgranicznie uwielbiającą ojca. W pewnej chwili barman zabrał nasze puste kieliszki i nieoczekiwanie znaleźliśmy się tuż obok siebie, gdyż otoczyła nas liczna grupa dziewcząt upychających się przy drugim końcu stolika i pokrzykujących: „Posuńcie się! Jeszcze trochę!”.

- Chodźmy stąd - zaproponował Ian. - Znasz jakieś inne ustronne miejsce, gdzie moglibyśmy pogadać w spokoju? Zdaje się, że mieszkasz gdzieś niedaleko, prawda?

Chcąc nie chcąc, zgodziłam się więc, żebyśmy poszli do mnie, ale najwyżej na pół godziny, potem muszę go wyrzucić, bo z samego rana przyjeżdża kierowca, który odwiezie mnie na lotnisko. Sądziłam jeszcze wtedy, że poświęcam się dla dobra Caroline, że muszę jedynie wysłuchać go uważnie do końca. Gdy wyszliśmy na ulicę, okazało się, że jest jeszcze zimniej.

- Boże! Co za pogoda! - rzuciłam, skręcając za róg, by na skróty jak najszybciej dostać się do mojej sutereny. Pobiegłam truchtem, z pochyloną i odwróconą w bok głową, chcąc uchronić twarz przed lodowatymi porywami wiatru.

- Daleko jeszcze? - wysapał mi tuż nad uchem. - Zamarzam na śmierć!

Oboje przebiegliśmy tych sto metrów dzielących nas od wejścia do kamienicy, zaśmiewając się w głos.

Objął mnie za ramiona, gdy wkładałam klucz do zamka, jak prawdziwy przyjaciel - jakby rzeczywiście chciał mnie osłonić szerokimi rękawami tweedowego płaszcza.

Wszystko było w porządku, dopóki mnie nie dotknął. Bo wtedy poczułem dreszcz. Było to niezależne od mej woli. Zadrżałam jak kobieta, która od dłuższego czasu nie zaznała objęć mężczyzny, a nie jak przyjaciółka Caroline spragniona objęć jej męża. Zadrżałam z tęsknoty. I on to wyczuł.

Zostawiłam włączone światło. Poszłam do kuchni i wyjęłam z lodówki butelkę wina, a gdy się odwróciłam, żeby coś powiedzieć, stał tuż za mną. Wziął ode mnie butelkę i nie oglądając się, po omacku odstawił ją na stół. Cały czas patrząc w moje oczy, rozpiął mi płaszcz. Nawet mnie nie pocałował. Wsunął dłonie pod sweter i ułożył na biodrach, żeby je trochę ogrzać, a po kilku sekundach przesunął w górę i ściągnął stanik z piersi. Cofnął się powoli i usiadł na stojącym z tyłu krześle, przyciągnął mnie i posadził na kolanach. Oboje nadal byliśmy ubrani, więc naciągnął sobie na ramiona połę mego płaszcza, jakby chciał nas przed kimś zasłonić. Potem jedną ręką podciągnął mi sweter pod brodę, a drugą ścisnął nagą pierś na wprost swojej twarzy. Wbrew mej woli nabrzmiały sutek znalazł się na wysokości jego ust. Otoczył go ciepłymi, wilgotnymi wargami. W mieszkaniu panowała absolutna cisza.

Potem zepchnął mnie na podłogę, aż rąbnęłam głową o kafelki. Poczułam się idiotycznie z obnażonymi sutkami sterczącymi ku górze. Były mokre od jego śliny. Zrobiło mi się zimno, więc szybko obciągnęłam sweter.

- Ładna z ciebie przyjaciółka! - syknął mi prosto w twarz, pochylając się nade mną.

Wstał i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Przez tyle lat ani razu nie wracałam myślą do tamtego zdarzenia. Przywołałam je z pamięci dopiero teraz, w drodze powrotnej przez rozległe torfowisko, potem wzdłuż muru Mount Talbot i dalej, z Ballygall do domu Feliksa. Domyślałam się, co w ten sposób chce osiągnąć ta sprytna część mnie troszcząca się o przetrwanie: podsunęła mi w wyobraźni wizję Marianne Talbot rozciągniętej na podłodze, po czym natychmiast skojarzyła to z dawnym wspomnieniem, żeby nie dopuścić do mnie myśli o pannie Leech.

Ale też po to, by uwolnić owo wspomnienie z odległego zakamarka pamięci, w którym je zagrzebałam. Ponieważ niosło ze sobą masę wrażeń, jakich pełne są wszystkie doznania spychane czym prędzej w niepamięć, zanim zdążymy je przeanalizować. Doskonale wiedziałam, że moje życie - w którym i tak nie było nic specjalnego poza pracą i biurem - od tamtego wieczoru, kiedy Ian był krótko w mej suterenie, wkroczyło w najbardziej wypełniony pustką okres. Wiedziałam, że osiadłam na mieliźnie i zmieniałam się w nadzwyczaj nieprzyjemną osobę. Zawsze miałam tę świadomość, bez względu na to, jak bardzo zdawałam się ożywiona i pewna siebie. Ulgę przynosiły mi tylko te nieliczne chwile, gdy szłam z kimś do łóżka - z kimś należącym do tego samego, znieawidzonego typu ludzi nieprzyjemnych. Ale i wtedy moje życie rozjaśniało się najwyżej na jeden dzień. A gorzki osad pozostał w duszy na długo po tym, jak udało mi się zapomnieć o Ianie. Wyczuwa-

łam go na co dzień, dopóki nie podjęłam decyzji, że całkowicie zmienię życie i nie zainteresowałam się bliżej historią Marianne Talbot i Williama Mullana.

I teraz uderzyło mnie pewne skojarzenie.

Może to wcale nie erotyka sprawiła, że historia Marianne nabrała dla mnie aż takiego znaczenia, podobnie jak tamtego wieczoru, kiedy spotkawszy się z Ianem, w najmniejszym stopniu nie oczekiwałam doświadczeń erotycznych. Albo inaczej: traktowałam seks jako drogę do pewnego stanu, którego podświadomie gorąco pragnęłam. Tenże stan - znany mi w najdrobniejszych szczegółach, bez którego nie potrafiłam żyć - oznaczał karę, desperackie pragnienie odpłaty za całe zło, jakiego się rzeczywiście dopuściłam, jak gdybym już przyszła na świat ze skazą. Od samego początku wiedziałam, że zamknięcie na resztę życia w windsorskim przytułku dla obłąkanych stało się dla Marianne Talbot odpłatą za namiętność. A mówiąc Ianowi, iż może wpaść do mnie na krótko, mimo udzielanych sobie w duchu pokretnych tłumaczeń, musiałam doskonale wiedzieć, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Nie byłam jednak w stanie zboczyć z tego szlaku wiodącego w kierunku mego prywatnego Windsoru. Bo według własnego najgłębszego przeświadczenia właśnie tam powinnam się znaleźć. Od czasu, gdy z własnej woli zburzyłam ten szczęśliwy dom, wznoszony dla mnie przez Hugona, mogłam żyć wyłącznie pośród ruin. Nie było innego wyjścia.

Tej nocy przytuliłam się do Spot. Pozwoliłam jej ułożyć się obok mnie w łóżku i bez końca głaskałam ją po łebku i grzbiecie. Nie mogłam niczego przełknąć. Dławiła mnie świadomość bliskiej śmierci panny Leech. I perfidii Marianne, o której już sama nie wiedziałam, co myśleć. Poza tym miałam sobie strasznie dużo do wybaczenia, jeśli w ogóle było to możliwe. Shay ani trochę nie znał tej Kathleen, która nie umie znieść własnego szczęścia, a ze wszystkich przeciwstawnych rad panny Leech wynikało tylko jedno - że decyzję w sprawie jej propozycji i tak muszę podjąć sama.

Gdzieś z pograżonego w ciemnościach jeziora doleciał głos kurki wodnej, dokładnie taki sam jak wcześniej, przypominający mimowolny jęk towarzyszący początkowi orgazmu. Ileż to światów poszło w zapomnienie, żeby ten dźwięk mógł się rozejść w powietrzu! Leżąc w łóżku, widziałam przez okno tylko jedną gwiazdę. Przypominałam sobie, jak panna Leech cytowała Keatsa, zatem poszłam w jej ślady: *Jasna gwiazdo! Uczyń mnie tak stałym jak twe piękno!*

Wyskoczyłam z łóżka. Zapomniałam o pewnej bardzo ważnej sprawie.

- Bardzo proszę, Annie - błagałam przez telefon. - Wasz Furriskey jest już bardzo stary. A to mógłby być kot Lilian. Jeśli się nie polubią albo tobie się nie spodoba, obiecuję, że przyjadę, zabiorę go i poszukam innego opiekuna. Proszę, Annie. Zresztą możliwe, że sama się nim zaopiekuję. Niewykluczone, że zamieszkam w Irlandii... Nie, jeszcze nie wiem. Być może gdzieś w okolicach Sligo. Ale na razie bardzo mi zależy, byś wzięła tego kota, ponieważ chciałabym jej jutro przekazać twoją decyzję. Tak niewiele życia jej zostało...

W końcu Annie oznajmiła, że jutro jest Wielki Czwartek, początek ferii wielkanocnych, a skoro Lil nie musi iść do szkoły, więc i ona może zostawić pralnię na głowie kierowniczkii i razem z córką przyjechać do Ballygall, żeby mnie odwiedzić i zabrać kota.

- Będziesz miała okazję obejrzeć ten dom, Annie! Jeszcze nigdy nie mieszkałam w tak wspaniałym domu!

- Przecież wynajmujesz go tylko na krótko.

- Aha - mruknęłam zdziwiona. - Ale co to ma do rzeczy?

- Na mnie nie robiłoby to żadnego wrażenia, skoro to nie mój dom.

Położyłam się z powrotem. Moja jasna gwiazda zniknęła za chmurą. Kilka minut później doleciał mnie stukot pierwszych kropel deszczu niczym odgłos czyichś pospiesznych kroków, który szybko przeszedł w monotony szum rześistego deszczu. Tej nocy towarzyszył mu jednak dziwny, ledwie słyszalny pogłos. Wsłuchana w niego, doszłam do wniosku, że jest to odgłos dużych ciężkich kropel, które uderzając z impetem w powierzchnię jeziora, odbijają się od niej i rozpryskują, po czym spadają po raz drugi.

Z samego rana obudził mnie telefon. W słuchawce rozległ się lekko zachrypnięty męski głos z silnym londyńskim akcentem.

- Czy pani jest tą dziewczyną, która pracuje ze starym Alekssem?

- Nic mu nie jest? Wszystko w porządku?

- No cóż. I tak, i nie. Nazywam się Ron, jestem jego sąsiadem. Prosił, żebym przekazał pani wiadomość. Jego matka zmarła przed kilkoma dniami, bynajmniej nie przedwcześnie, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Alex bardzo się o nią troszczył, ale miał z nią krzyż pański. Prawdę powiedziawszy, był z niej kawał jędzy, najogólniej rzecz biorąc.

- Wiem o wszystkim. Alex dzwonił do mnie i mówił o jej śmierci. Dlaczego teraz sam nie zadzwonił, tylko poprosił pana o przysługę?

- Minąłem go w drodze do domu - odparł Ron. - Ja wracałem, jak on wychodził. Był w towarzystwie tych typków z Hari Kriszna, z którymi od dawna się zadaje. Pakowali jakieś rzeczy do swojej furgonetki. Podbiegł do mnie i wcisnął mi w garść karteczkę z wypisanym numerem pani telefonu. Poprosił, bym zadzwonił i przekazał, że pogrzeb był wspaniały.

- Ale... to przecież nie ma żadnego sensu...

- To już zostawiam do pani oceny. Odniosłem jednak wrażenie, że zależało mu, by ci z Hari Kriszna nie widzieli tej kartki.

- To nie są wyznawcy Hari Kriszna, tylko angielscy zakonnicy.

- Tacy przebierańcy nie mogą być Anglikami.

- Ale może będzie mu teraz z nimi dobrze.

- Są całym jego życiem! - odparł. - Mieszkam tu od trzydziestu lat. Wychowałem swoje dzieci. I wątpię, czy Alex częściej wychodził wieczorami z domu niż dziesięć albo dwanaście razy w ciągu roku. Nawet święta Bożego Narodzenia spędzał tylko z matką przy kawałku pieczonego kurczaka. Ale ta banda pajaców chce teraz zająć jego dom, żeby powiększyć swój konwent, czy jak oni to nazywają. Matka Aleksa powiedziała mi to w zaufaniu jakiś rok temu. Podejrzewam więc, że znalazł się teraz pod silną presją.

- Tylko co ja mogę zrobić w tej sprawie?! - wykrzyknęłam. - Jak miałabym mu pomóc? Nie mam nawet pojęcia, gdzie jest ten klasztor. Zresztą sama nie znoszę tego typu... nudziarzy.

- To mi się podoba! Waleczna irlandzka natura! Właśnie dziewczyny z takim temperamentem potrzeba Aleksowi. Czy zastanę panią pod tym numerem, gdy następny raz go spotkam? Albo zróbmy inaczej. Podam swój numer, gdyby chciała pani się jeszcze czegoś dowiedzieć.

- Nie. Podyktuję panu numer do mojej przyjaciółki, Caroline. Cały czas jestem z nią w kontakcie. Proszę do niej zadzwonić albo przekazać Aleksowi, by do niej zadzwonił, kiedy się pokaże w domu. I... bardzo dziękuję, Ron. Naprawdę jestem panu bardzo wdzięczna.

Zaraz zadzwoniłam do Caro, żeby jej o tym opowiedzieć. No i oczywiście sprawdzić, czy jest w domu. Wysłałam z aparatem na podest schodów, żeby porozmawiać, wystawiwszy twarz do słońca, i spostrzegłam tłustego zajączka kicającego po polu za żywopłotem. To dobry znak, na szczęście, pomyślałam.

Wszystko było w porządku. Wreszcie mogliśmy swobodnie pogadać, jak zwykle robiłyśmy to mniej więcej raz w tygodniu od czasu, gdy ponownie się zeszłyśmy. Jakoś udało jej się przejść egzaminy. Zastanawiała się, czy nie przepisać nas na następny termin kursu brydża dla początkujących.

- A jak idzie praca nad książką o Talbotach?... Poważnie? Nie będzie żadnej powieści?... Nie wierzę, nigdy nie zarzucisz tego pomysłu, Kathleen!... Nat wyjechał na wyścig kolarski do Hiszpanii... Czekam teraz, aż rozwinie się mój nowy tulipan na grządce przed drzwiami. Nazywają go czarnym, ale w rzeczywistości powinien być bardzo ciemnopurpurowy... Wybieram się na Wielkanoc do Kornwalii, żeby pomóc matce w przygotowaniach do wioskowego przyjęcia.

Pod żadnym pozorem nie mogłam jej powiedzieć, że przypominałam sobie tamten epizod z Ianem. I tak nie uzyskałabym od niej szczerzej odpowiedzi, jakie to naprawdę ma dla niej znaczenie. Do dziś wołała nie rozmawiać na ten temat.

W drodze do moich świętych Mikołajów zadzwoniłam do niej z lotniska w Oslo. Mogłam jej o niczym nie mówić, ale podejrzewałam, że zrobi to Ian. Przez całą drogę zastanawiałam się, czy jest jakaś szansa, że utrzyma to w tajemnicy. Nie, nie było żadnej szansy. Pogodziłam się, że wcale mnie nie pragnął. Chciał tylko sprawdzić, czy zdoła sprawić, że będę gotowa pójść z nim do łóżka, by potem drwić ze mnie i szczyścić się przed Caroline, iż zrobił ze mnie idiotkę, i pokazać jej, że nie ma żadnej zaufanej przyjaciółki.

Ładna z ciebie przyjaciółka!

Dziwnym sposobem popchnęło mnie też ku temu wspomnienie ojca - albo też mężczyzny bardzo do niego podobnego. Walcząc z myślami, odkryłam, że ilekroć wypływa z mej pamięci widok tego samotnego demonstranta z tablicą, ogarniętego idiotyczną obsesją wobec Anglii, jakby w jej historii nie było ani śladu heroizmu, coś mnie aż ścisnęło w dołku.

Daj spokój, przecież to jeszcze nie koniec świata, powtarzałam sobie w duchu.

- Mam wrażenie - powiedziała Caroline, oparta ramieniem o plastikową osłonę automatu telefonicznego na lotnisku i przygarbiona, aby nikt postronny nie słyszał mego błagalnego tonu - że to powinno tylko zacieśnić naszą przyjaźń.

- Wreszcie cię rozumiem! - wykrzyknęłam do słuchawki, zdenerwowana jej milczeniem. - Wiem, jaką ma władzę. Mógłby zrobić wszystko, co mu się spodoba. Nie mam pojęcia, jak zdołałaś tak długo z nim wytrzymać, Caroline!

Czułam jednak, że jej myśli podążają zupełnie innym torem niż moje tłumaczenia. Po co w ogóle zaciągnęłam go do suterenu, jeśli rzeczywiście niczego nie oczekiwałam?

W każdym razie powiedziałam jej tylko, że Ian się do mnie dobierał.

Kiedy nadal się nie odzywała, rzuciłam:

- Nawet się nie pocałowaliśmy! Żadne z nas nie zdjęło ani jednej sztuki ubrania. Wszystko przez wino! A w dodatku byłam zdenerwowana, bo wydawało mi się, że widziałam ojca na ulicy wśród demonstrantów!

Podjęłam kolejną próbę:

- Przecież nie musiałam do ciebie dzwonić i opowiadać o naszym spotkaniu. Gdybym miała jakiegokolwiek zamiary wobec Iana, w ogóle bym cię nie zawiadomiła, że poprosił mnie o to spotkanie.

Usłyszałam tylko, że zmienił się jej rytm oddechu. To było już coś.

Lecz po chwili odłożyła słuchawkę.

Pieprzyć ich wszystkich! - pomyślałam. Całą tę zafajdaną angielską nację!

Ani razu nie powiedziała jednak, że nie chce mnie więcej znać. Sama tak sobie założyłam. Wykreśliłam ją ze swego życia, chociaż w ten sposób drastycznie ograniczałam liczbę swoich przyjaciół do jednego, Jimmy'ego. Na początku bardzo mi jej brakowało, ale z czasem prawie całkiem o niej zapomniałam. Nawet nie czułam się specjalnie w dołku, lecz jakbym stopniowo wysychała. Otaczała mnie pustka, w której się strasznie szamotałam. Szczęście daje człowiekowi stan równowagi i łatwo w nim bez wysiłku podejmować właściwe decyzje, ale gdy się uparcie walczy z brakiem życia, co i rusz odbiera się wszystko niewłaściwie.

Mniej więcej dwa lata temu poczułam pierwszy impuls pragnienia, by skontaktować się z Caroline. Ale nawet mnie samą zaskoczyła decyzja sięgnięcia po słuchawkę tego samego dnia, kiedy wróciłam do Londynu po kilkumiesięcznym pobycie w Ameryce, gdzie próbowałam uwolnić się od tej idiotki, jaką zrobiłam z siebie z Alekssem w Trieście. Czułam się wyjątkowo osamotniona po tak długiej nieobecności w biurze, ale nie z tego powodu zadzwoniłam do Caroline. Prawda była taka, że unikając kontaktów z Alekssem, spędziłam jakiś czas w Kalifornii, zdobyłam więc wspaniałą opaleniznę i czułam się nadzwyczaj pewna siebie. W dodatku wróciłam wieczorem, skonana po długim locie, i około szóstej byłam już tak skołowana, że nie potrafiłam zebrać myśli. Tak więc pomogło mi skrzyżowanie zmęczenia, oszołomienia i opalenizny. Zadzwoniłam bez wahania. Nawet mi się ręce nie trzęsły. Tak bardzo chciałam odzyskać przyjaciółkę, że nie bałam się najgorszych wymówek.

- Kathleen! - zawołała uradowana, mniej więcej tak samo jak zawsze, gdy ktoś do niej dzwonił. - Właśnie smażę wspaniałego świeżego łososia dla paru osób. Lubisz sos szczawiowy? No to wskakuj do taksówki.

I tak zrobiłam. Doskonale się złożyło, że właśnie przyjmowała gości. Siedziałam w jej wspaniałej kuchni, sączyłam doskonale wino przyniesione przez któregoś z gości i kiwając tylko głową, słuchałam dyskusji o koszmarnych emigrantach pracujących na czarno, lewicowych poglądach doradców rządu i stale rosnących cenach. Jedna z podpitych już nieco kobiet zaczęła długą tyradę na temat swej irlandzkiej sprzątaczkii, ale przyjąłam to z uśmiechem, nie komentując jej uwag.

- Tak mi przykro za tego wstrętnego babsztyla - zaczęła Caroline, gdy zadzwoniła do mnie nazajutrz rano.

- I tacy ludzie mianują się laburzystami - odparłam. - Przypomnij mi, abym na pewno nie przychodziła do ciebie na obiad, gdy zaprosisz torysów.

Tak to się odbyło. Dobrze, że wtedy oddzwoniła, bo nie wyszło na to, że się jej narzucam. Rozmawiałyśmy na temat jej planów zostania nauczycielką, ponieważ Nat był już w college'u. Od tamtej pory ani razu nie nawiązała do mego spotkania z Ianem, choć nadal go kochała. Na szczęście nie pokazywał się od lat. Caroline nigdy nie była zwolenniczką pełnej otwartości, więc do dziś nie wiedziałam, czy puściła tamten epizod w nie-

pamięć, czy też świetnie o nim pamiętała, tylko postanowiła mi wybaczyć. W takim wypadku wolałabym od niej usłyszeć, z jakiego powodu zechciała mi wybaczyć. Chciałabym się także dowiedzieć, czy ona kiedykolwiek zadzwoniłaby do mnie pierwsza, gdybym nie zadzwoniła do niej tamtego wieczoru po powrocie z Kalifornii. Ale poczucie winy nie pozwalało mi o nic pytać. Znałyśmy się od bardzo dawna, ale do tej pory nie całkiem ją rozumiałam. Jeśli nawet domyślałam się przyczyn niektórych jej decyzji, to i tak nie miałam pojęcia, czemu nadal chciała się ze mną przyjaźnić. A co ja naprawdę o niej myślałam?... Kiedy stosunkowo niedawno zaczęłam oceniać własne życie na podstawie wspomnień, uznałam, że przełomowym momentem było postanowienie o rezygnacji z dotychczasowego zajęcia, kiedy wstrząśnięta wróciłam z Manili. Ale co sprawiło, że Manila zrobiła na mnie takie wrażenie? W końcu stykałam się z nędzą i ludzkim wyzyskiem dziesiątki razy i zawsze ochoczo wracałam do pisania reportaży. Może przeszłam jakąś przemianę, która odmieniła moje spojrzenie na niektóre sprawy? I czy ten proces nie został zainicjowany, kiedy Caroline zgodziła się odnowić naszą znajomość, robiąc to w dodatku tak, jakby chodziło o najbardziej naturalną rzecz na świecie? Może w znacznie większym stopniu była aniołem, niż na to wyglądało?

W rannym programie telewizyjnym razem ze Spot obejrzałyśmy pokaz origami. Ściszyłam głos do końca i puściłam kompakt z piosenkami Freda Astaire'a. Obraz i dźwięk zupełnie do siebie nie pasowały.

- Każdą szczelinę trzeba zasypywać kruszcem - wyjaśniłam psu, cytując radę, jakiej udzielił Keats Shelleyowi. - Trzeba w życiu wszystko popakować.

A Felix miał najlepszą kolekcję nagrań z lat czterdziestych, jaką kiedykolwiek widziałam. Potem zadzwonił Bertie.

- Mam kota - powiedział. - Obawiam się jednak, że Nan już się z tobą nie zobaczy. Wczoraj w drodze powrotnej do domu wyznała mi, że dziś wyjeżdża do hospicjum. A ja się łudziłem, że nastąpi to dopiero za kilka miesięcy! Kiedy zadzwoniła dziś rano, przyznała się, że ma kaca po waszej wczorajszej libacji. Nawet mnie to nie zdziwiło, bo nigdy do tej pory nie widziałem, żeby wypła więcej niż odrobinę sherry. Powiedziała też, że już skontaktowała się z ludźmi z hospicjum i zgodzili się ją zabrać z domu, by mogła jak najszybciej ukoić smutki lekami przeciwbólowymi. To tyle. Zabrali ją karetką jakieś pół godziny temu. Nie mogę się z tym pogodzić. Nie miałem nawet okazji, żeby ją odwiedzić na stację.

- To wspaniała kobieta - odparłam. - Wolała wszystko załatwić na własną rękę. Nie chciała się z nikim żegnać.

- Tak myślisz, Kathleen? Po prostu wyszła z domu i wsiadła do karetki, jakby miała tu jeszcze jutro wrócić. Nawet nie zabrała sprzed drzwi butelki mleka.

- Jakbym widziała moją matkę. Po jej śmierci zostało, jak zawsze, niezasałane, skotłowane łóżko, jakby miała za chwilę wrócić i położyć się z powrotem. A na wieszaku w przedpokoju wisiał płaszcz z powypychanymi kieszeniami, jak gdyby ciągle trzymała w nich zaciśnięte pięści...

- Wracam do tego kota - rzekł, zrozumiawszy, że skończyłam na dobre. - Wiozłem cholernika w koszyku na tylnym siedzeniu samochodu, ale miauczał bez przerwy i tak się miotał, aż cały koszyk podskakiwał.

- Dziś ma przyjechać moja szwagierka z bratanicą, jestem z nimi umówiona na rynku w południe. Podjedziemy razem do hotelu i zabierzemy go.

- Szwagierka?! Siostrzenica?! Nigdy nie sądziłem, że masz jakąś bliższą rodzinę, Kathleen. Zawsze robiłaś wrażenie, jakbyś była na świecie sama jak palec.

- Do naszego przyjazdu wstaw koszyk do komórki za domem, Bertie. I daj kotu coś dobrego do jedzenia. Pomyśl, że jest w nim jakaś cząstka panny Leech. Bo po tylu latach spędzonych razem z nią na pewno tak jest. Zaśmiał się niepewnie, nerwowo.

- Posłuchaj, Bertie - dodałam, bo przyszło mi do głowy, że powinnam go uprzedzić. - Teraz, gdy panna Leech wyjechała, ja również się stąd wyniosę. Może już jutro. Nie wiem jeszcze, czy pojedę w okolice Sligo, żeby poszukać tam jakiegoś domu, czy wrócę do Anglii. W każdym razie mam dość leniuchowania, mówiąc całkiem szczerze. Stęskniłam się za pracą. Na razie nie mogę porozmawiać z szefem, bo nie ma go w biurze. Poza tym sama nie wiem, co dalej począć z tą historią Talbotów. Możliwe zatem, że to mój ostatni dzień w Ballygall, przynajmniej na jakiś czas. Nie masz nic przeciwko temu, żebym oprowadziła moich gości po Mount Talbot?

- Skądże znowu! Sam ich tam zawiozę, jeśli sobie życzysz. Nawet byłoby lepiej, żeby towarzyszył ci ktoś miejscowy, gdyż zrobiło się trochę zamieszania wokół ruin dworu.

- Co prawda, nie chce mi się wyjeżdżać, bo nie zdołałam ustalić, czy Marianne Talbot była wierna mężowi, czy nie. Ale sama niczego nie zdecyduję w tej sprawie.

- Po drugiej stronie majątku mieszka pewien staruszek, Curly Flannery, który znał tu wszystkich, nawet tych, co za młodu byli świadkami skandalu Talbotów. Ma już ponad dziewięćdziesiąt lat, ale może warto, byś z nim porozmawiała. Mógłbym zadzwonić do jego siostrzenicy, która się nim opiekuje.

- Och, Bertie! To byłoby cudowne! Będę ci bardzo wdzięczna.

- I nie zmienisz zdania w sprawie wyjazdu, Kathleen? Nie chcesz poczekać na powrót Nan?

- Myślisz, że ona wróci? - zapytałam po dłuższym wahaniu.

Nie odpowiedział.

Kręciłam się po całym domu Feliksa i po jego otoczeniu, zbierając i pakując swoje rzeczy. Słońce i drobne przelotne deszcze następowały po sobie tak szybko, że jeśli zaskakiwała mnie mokra od deszczu weranda, to jeszcze bardziej dziwił przy następnym wyjściu na zewnątrz widok całkiem suchych desek.

Gdziekolwiek się ruszyłam, Spot nie odstępowała mnie na krok. Kilkakrotnie musiałam ją przeproszać, bo ilekroć zdążyła się gdzieś ułożyć wygodnie, zamknąć oczy i zapaść w drzemkę, ja przechodziłam w inne miejsce, więc ona szła za mną i gdzie indziej układała się od nowa. Załadowałam kompakt Schuberta do wieży Feliksa i przesłuchałam go jeszcze raz. Miałam wrażenie, że kryształowo czyste dźwięki niosą się daleko w powietrzu i kładą na trawie, na zdziczałych kotach śpiących pod schodami werandy, trzcinach nad jeziorem i na wodzie. Dzisiaj wreszcie zyskałam przeświadczenie, że słyszę w tej muzyce pogodzenie się z nieuchronną śmiercią - całkowite pogodzenie, jeśli coś takiego jest możliwe.

Spot przypomniła mi tamten dzień, kiedy dowiedzieliśmy się o śmierci Jimmy'ego. Owego paskudnego ranka w pubie był czyjś pies, który patrzył na mnie dokładnie tak samo, jak teraz Spot. Razem z Roxy i Betty poszliśmy tam zaraz po otwarciu lokalu i od razu zaczęliśmy od dzinu. Nawet nie wiem, dlaczego właśnie od dzinu. Po pewnym czasie Roxy zaczęła się wściekać. Tamten pies, mały łaciaty terier, siedział spokojnie pod stolikiem bliżej wyjścia, przy którym jego właściciel sączył jakiś trunek w smudze padającego z okna bladego

zimowego światła słonecznego. Roxy wbiła sobie do głowy, że ten facet katuje psa, ona to widzi po jego oczach. Musiałyśmy telefonicznie uprzedzić jej matkę, że jedzie do domu w nie najlepszym stanie, po czym ostrożnie przeprowadzić ją obok tamtego stolika i zapakować do taksówki.

- Jimmy? - odezwałam się na głos. - I co ja mam zrobić? Co odpowiedzieć Shayowi, kiedy jutro zadzwoni? Wydawało mi się, że większość czasu w ostatnich dniach poświęciłam rozważaniu jego propozycji, roztrząsaniu wszystkich za i przeciw, ale jednocześnie wydarzyło się tyle innych rzeczy... A nigdy nie sposób pojąć wagi słowa: nigdy. Jeśli odrzucę propozycję Shaya, może już nigdy nie zakosztuję seksu. Jedno tylko wiem na pewno - już nigdy nie zobaczę panny Leech.

Ruszyłam przez łąkę, żeby zabrać łopatę zostawioną pod ciernistym krzakiem. Jeden z kotów nie uskokzył mi z drogi, jak czyniły to do tej pory. I wtedy zauważyłam, że to brzemienna kotka. Miała wielki, nienaturalnie rozepchnięty i ciężący jej brzuch, kontrastujący z wychudzoną sylwetką. Powłokła się wolno pod górę i schowała pod żywopłotem. Tworzące go krzewy miały jeszcze tak drobniutkie zielone listki, że zdawało się, iż gałęzie są całkiem nagie, tylko powietrze między nimi przybiera dziwny zielonkawy odcień.

Na zawsze zapamiętam tę dolinę, pomyślałam, chociaż właśnie ona skłoniła mnie do podjęcia decyzji o wyjeździe. To chyba ta przestrzeń i światło w domu Feliksa uzmysłowiły mi wyraźnie, jak mało mam tu do roboty. Kręciłam się tylko bez celu, czekając, aż panna Leech będzie się mogła ze mną zobaczyć...

Kręcić się bez celu. Czekać. Czy właśnie te słowa będą już na zawsze określały mój związek z Shayem? To ostre słowa i odstrasające, a przecież chwile spędzone wspólnie z nim mogłam określić tylko mianem szczęśliwych i radosnych...

Nieprawda. Wcale nie musiałabym się kręcić bez celu, gdybym stawiała przed sobą konkretne zadania. Bo osiedliwszy się w Irlandii, musiałabym pisać. Była to jedyna profesja, jaką mogłam wykonywać niezależnie od tego, gdzie mieszkam.

Tylko o czym pisać? Jak powinnam zakończyć opowieść o Marianne Talbot? Nie umiałam sobie wyobrazić, jak John Paget zinterpretowałby oskarżycielskie zeznania Sargenta. Pisał broszurę, opierając się na materiałach ujawnionych przed irlandzkim Sądem Eklezjastycznym. Relację wielebnego Sargenta mógł usłyszeć dopiero podczas rozprawy w Izbie Lordów, czyli dwa lub trzy lata później. Czy wówczas te zeznania do niego przemówiły? Niewykluczone, ponieważ nie mógłby już dłużej tłumaczyć wszystkiego spiskiem Richarda skierowanym przeciwko żonie. Sam Richard najwyraźniej nigdy nie wspominał o tym zdarzeniu. W dodatku

Paget nie mógłby nawet argumentować, że Sargent się pomylił i mężczyzną klęczącym na podłodze w bawialni był w rzeczywistości Mullan, skoro wcześniej wyrażał stanowcze przeświadczenie, że jego kuzynki nie łączył z Mullanem żaden romans. Więc jeśli i on, jej jedyny obrońca, w końcu zwrócił się przeciwko niej, sytuacja Marianne stała się nie do pozazdroszczenia - nawet jeśli stłumił w sobie niechęć i przed całym światem pozostał jej opiekunem. Miałyby wiele szczęścia, gdyby rzeczywiście była obłąkana. Tylko czy nawet szalona nie mogła się domyślić, że jego wiara w jej niewinność ustąpiła miejsca podejrzeniom?

Nie mogłam sobie poradzić z nawałem pytań, na które nie znalazłam jednoznacznych odpowiedzi. Bo jeśli na przykład twierdzenie Pageta o przykładości jej życia w małżeństwie było prawdziwe, to czy nie mogło dojść do tego, że złamana przez lata upokorzeń i niedożywienia, pozwalała się wykorzystywać? W takim wypadku scenę opisywaną przez Sargenta należałoby zakwalifikować jako gwałt. Ale może było całkiem inaczej.

Może faktycznie Marianne nawiązała gorący romans z Mullanem i - tak jak mnie się to zdarzało z Hugonem - poczucie własnej siły erotycznej rozbudziło w niej lekkomyślność, a ów mężczyzna klęczący między jej nogami był odpowiednikiem mojego Sashy? Albo miała romans z kimś z własnej klasy, a Bogu ducha winny Mullan stał się jedynie kozłem ofiarnym?

Moją uwagę przyciągnął jednak pewien zadziwiający szczegół. Otóż kiedy wielebny Sargent powiedział wielebnemu McClellandowi o tym, co widział, pastor poszedł najpierw porozmawiać ze swoją podopieczną, zanim nakazał Sargentowi o wszystkim zapomnieć.

Czy zatem nie on sam klęczał wtedy na podłodze bawialni? Jeśli to McClelland wykorzystywał Marianne, a potem poznał oskarżenia o romans z Mullanem, to nie dziwiła jego wyjątkowa gorliwość wobec pani Talbot - w ciemno uznał jej winę, pospiesznie wywiózł do Dublina, przeczytał i zniszczył list od Mullana. I przyglądał się w spokoju, jak biedna kobieta odchodzi od zmysłów, szuka swego dziecka za zasłonami, pod łóżkiem i w garderobie apartamentu w Coffey's Hotel. Następnie ukrył ją przy Rathgar Road, w końcu zaś odtransportował do Windsoru i przekazał w ręce strażniczki w przytułku. Co więcej, dał ojcu Marianne do zrozumienia, że faktycznie dopuściła się zdrady, a więc rozprawa przed Sądem Eklezjastycznym może się odbyć bez obrońcy. Nawet jeśli McClelland nie wykorzystywał Marianne seksualnie, jego nadzwyczaj podejrzane zachowanie pozwalało wnioskować, że co najmniej bardzo jej pożądał. Stąd też stał się jej kolejnym wrogiem, i to wyłącznie z powodu płci.

Cokolwiek zdarzyło się naprawdę, jeden fakt pozostawał bezsporny.

Wszystko skrupiło się na Marianne.

Ruszyłam na ostatni spacer wzdłuż jeziora. Pogoda się ustabilizowała, było słonecznie i dość ciepło - nie tak cudownie, jak pierwszego dnia mego pobytu w tym domu, ale i tak przyjemnie. Po kamiennych murkach rozdzielających niegdyś pola zostały tylko niskie, porośnięte trawą wały. Ale pod każdym z nich, niczym spieniona grzywa przed czołem morskiej fali, rosły kępki obsypanych kwiatami pierwiosnków.

Wyobraziłam sobie posępny dom w Windsorze oraz kobietę pilnującą zamkniętych tam szaleńców, gdy kurczowo ścisnęła palce Marianne. Ta zaś, nie pamiętając nawet własnego imienia i nie dostrzegając wokół siebie niczego poza uśmiechniętą buzią córeczki, patrzyła ze zdumieniem na obcą, która traktowała ją tak brutalnie.

- Gdzie masz obrączkę? - zapytała strażniczka.

- Obrączkę? - powtórzyła zdziwiona Marianne. Richard prawdopodobnie poinstruował wielebne

McClellanda, żeby jeszcze w dublińskim hotelu odebrał jej obrączkę. Niewykluczone, że proboszcz początkowo się temu sprzeciwił. Ale gdy pomyślał o grzechu, jakiego dopuściła się pani Talbot, kiedy wyobraził sobie jej lubieżne jęki w ramionach bydlaka, który bez wątpienia cuchnął bydlakiem, uczynił to z ochotą.

Tak więc owego ranka w pokoju hotelowym popatrzył na jej zapuchniętą od płaczu twarz.

- Twój mąż zażądał zwrotu pierścieni ofiarowanych ci w dniu ślubu, kiedy symbolizowały Najświętszy Sakrament i wszystko, czego od ciebie oczekiwał, a czego, jako twój mąż, mając pełne prawo tego oczekiwać, a czego ty okazałaś się niegodna.

Kiedy nie odpowiedziała, zbliżył się, gwałtownie chwycił mały rzeźbiony stolik do kawy i postawił przed nią. Ułożył na nim jej miękkie białe dłonie i powoli zaczął ściągać grubą złotą obrączkę, potem brylan-

towy pierścionek z lewej ręki, jak również piękny pierścień z kameą z wygrawerowanym herbem rodu Talbotów, który nosiła na prawym środkowym palcu. Skończywszy, wstał, lecz Marianne nadal siedziała bez ruchu.

- Możesz już zabrać ręce ze stolika - powiedział.

Nie zareagowała. Pochylił się więc, ułożył jej z powrotem dłonie na kolanach i odstawił stolik na poprzednie miejsce...

Zawróciłam w stronę domu. Nie widziałam żadnego sposobu na opisanie historii Marianne Talbot w powieści, która nie byłaby żalonym dramatem kostiumowym. Jak się okazało, życie potrafiło być bardziej melodramatyczne od powieści. W końcu miałam przecież podstawy, by zakładać również, że Marianne wcale nie oszalała, tylko musiała udawać obłąkaną, w przeciwnym razie znalazłaby się całkowicie poza nawiasem społeczeństwa. Szaleństwo było jej jedyną obroną, skoro wcześniej nie zaprzeczyła, że dopuściła się romansu z Mullanem. Tylko jako obłąkana mogła uchodzić za niewinną. Gdyby zachowała zdrowie psychiczne, kto by ją żywił i ubierał? John Paget nie okazałby jej cienia litości, gdyby nie był do głębi przekonany, że postradała zmysły. Gdzie miałyby się podziać, gdyby nie oszalała? Byłaby tylko upadłą i doszczętnie pohańbioną żoną i matką, kobietą, która - przynajmniej z punktu widzenia jej oskarżycieli - zadała się z irlandzkim sługą, a więc stworzeniem bardziej przypominającym psa preriowego niż ludzką istotę.

A skoro raz zaczęła symulować chorobę psychiczną, musiała przy tym wytrwać do końca życia.

To chyba wcale nie takie trudne, myślałam. Prawie jak seks. A w każdym razie pewna odmiana seksu. Wystarczy odpędzić od siebie wszystkie myśli i zachowywać się dziecinnie, wtedy można uwolnić się od cywilizacyjnych rygorów. Tylko czy po nocach w willi Pageta w Leicesterze Marianne nie dopuszczałyby do głosu zdrowego rozsądku?

Tego nie wiedziałam. Bo i skąd miałabym wiedzieć?

Zawołałam Spot, wskoczyłyśmy do samochodu i pojechałyśmy do Ballygall. Prowadziłam bardzo powoli, żeby się uspokoić. Cały problem mojego samotnego życia przy Euston Road polegał na tym, że otaczała mnie pustka. Jeśli upuściłam chusteczkę na podłogę, znajdowałam ją dokładnie w tym samym miejscu po powrocie z podróży. Na automatycznej sekretarce były nagrane trzy lub cztery wiadomości, ale w skrzynce nie czekał ani jeden list. Już dawno temu nauczyłam się wyrzucać całą pocztę do kosza, nawet jej nie przeglądając. Moje życie upływało w takim spokoju, jakbym za życia wstąpiła do grobu. Mogłam się pocieszać tym spokojem. Za to teraz... Shay miał jutro zadzwonić. Panna Leech stała w obliczu śmierci. Z pogrążonym w żałobie Alekssem straciłam kontakt. I jeszcze w dodatku jechałam na spotkanie z Annie. Rodzina! Na miłość boską, dwukrotnie w ciągu jednego miesiąca!

Nadmiar zdarzeń sprawiał, że zaczynałam tracić głowę.

Może powinnam rozpuścić wieści, że przenoszę się w okolice Sligo, aby pisać jedną z tych bestselerych powieści o kupnie i remoncie nowego domu, kiedy to dochodzi do wielu zabawnych sytuacji w kontaktach z uroczymi miejscowymi fachowcami? Nie. Kto by chciał osiąść w melancholijnej Irlandii zamiast w Toskanii czy Prowansji? Nie miałam tu żadnych kuzynów, a i miejscowi specjaliści na pewno wcale nie byli zabawni. W każdym razie ludzie piszący takie książki o nowych mieszkańcach w cudownym obcym kraju wiedli pogodnie beztroskie życie, pełne śmiesznych nieporozumień z małżonkami. Z pewnością nie musieli się ukry-

wać na jakimś odludziu i czekać na kolejną okazję spędzenia w łóżku kilku nocy miesięcznie z żonatym mężczyzną.

Poczułam ulgę, gdy ujrzałam wreszcie wieżę kościoła w Ballygall. Sprawy rozstrzygają się wyłącznie w miastach.

Annie i mała Lilian od razu poczuły się u Bertiego jak we własnym domu, czego nie dało się powiedzieć o pupilku panny Leech - wielkiej nastroszonej kotce o imieniu Rita, na którą wszyscy patrzyli z podejrzliwością, ponieważ nie chciała nic jeść od dwudziestu czterech godzin.

Usiadłam w kuchni, żeby wypić filiżankę herbaty. Spot zajęła miejsce pod stołem i jak urzeczona wpatrywała się w Ritę bezskutecznie usiłującą wleźć po zasłonce na karnisz.

Annie obierała jabłka, a Bertie szykował ciasto na szarlotkę. Rytmicznie kiwał przy tym głową, jakby chciał wyrazić swą aprobatę, że w końcu znalazłam się w towarzystwie normalnych ludzi. Ja sama odczuwałam dziwną mieszaninę niepokoju i satysfakcji, której powodem było to spotkanie z rodziną. Zwróciłam uwagę, że gdy na powitanie uściskałam Lil i zapytałam o Danny'ego, Annie nie odezwała się nawet słowem. Wyczułam, że coś jest nie w porządku. O nic jednak nie pytałam, gdyż nie miałam ochoty na złe wieści już na samym początku wizyty.

Ollie, niczym podskakująca piłka, zsunął się na pupie ze schodów, wbiegł do kuchni i na mój widok wykrzyknął radośnie:

- *Atli!*

Ale gdy rozłożyłam szeroko ręce, minął mnie łukiem, wdrapał się na sofę pod oknem i zaczął rozmawiać przez plastikowy telefon-zabawkę z kimś innym, także o imieniu Atli. Jakże miło było w tej przytulnej, swojskiej kuchni wypełnionej zapachami potraw Bertiego.

- Lilianko! Chodź tutaj - powiedziałam. - Stęskniłam się za tobą.

Na minutę wzięłam ją na kolana, żeby zapytać, który kot jest większy, Furriskey czy Rita. Po prostu chciałam ją poczuć przy sobie. Zobaczyć, jak biegnie do mnie i pyta: „Słucham?”.

Czy nie powinnaś przypadkiem zachowywać się trochę bardziej dystyngowanie, jak ktoś z wyższych sfer? - zapytałam ironicznie w duchu.

Ledwie wcisnęliśmy się wszyscy do starej toyoty Bertiego - Annie, ja, Lilian, mały Joe i Spot. Ale przynajmniej mieliśmy tym razem dojechać samochodem aleją do samego Mount Talbot. Chwilę temu zdołaliśmy pokonać główną bramę. Znaleźliśmy się wśród ugorów porośniętych kępami zbitej darni i ujrzeliśmy szeroki błotnisty szlak zrobiony buldożerem.

- To dzieło *Gardaí* - oznajmił Bertie. - Tych z Dublina, co przyjechali po facetów z IRA ćwiczących się w strzelaniu w piwnicach na wzgórzu. Nasi chłopcy przychodzili tu pieszo, tak jak my, Kathleen, w traperskich butach. Ale kiedy zjawili się ci ważniacy ze stołecznego Wydziału Specjalnego i zobaczyli ten teren, najpierw ściągnęli spychacz i kazali wyrównać koleiny, żeby dało się podjechać do samych schodów.

- Przecież IRA ogłosiła zawieszenie broni! - zdziwiła się Annie. - Boże wszechmogący!

- W zasadzie to nie był oddział IRA, ale jakieś inne ugrupowanie. Już zapomniałem, jak się nazywa. W każdym razie nie aprobeuje zawieszenia broni.

- Tu, w Ballygall?! Dobry Boże!

- Przyjechali z północy. Tylko jeden pochodził z tych okolic, jego ojciec wychowywał się w majątku. Dziadek był pastuchem we dworze, więc później razem z żoną zajęli kilka pomieszczeń na poddaszu stajni, gdzie dach za bardzo nie przeciekał. W każdym razie, gdy złapali tego uzbrojonego młodzieńca, jako swój adres podał Mount Talbot. Sędzia zapytał, czy dochodzi tam poczta, na co oficer *Garda* odparł, że na pewno nie. No więc sędzia nie wpisał do akt żadnego adresu.

- A kiedy po raz ostatni dostarczano tu pocztę? - spytałam.

- Po Richardzie była jeszcze jedna właścicielka majątku z rodziny Talbotów. Nie wiem, czy to była Mab, czy córka Richarda z drugiego małżeństwa, czy zupełnie ktoś inny. Ale pod koniec mieszkała tu jak szczur w norze, przynajmniej tak mówiono. Została sama, tylko ze starym lokajem. Oboje byli tak dziwni, jak para dwóch lewych butów. Podobno lokaj zawsze musiał stać na baczność za jej krzesłem przy stole w jadalni, mimo że nie mieli do jedzenia niczego poza kartoflami. Wyszła stąd tylko z jedną walizką w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim, dokładnie trzydziestego pierwszego marca, dzień przed wejściem w życie traktatu angielsko-irlandzkiego. Powiedziała: „To koniec. Wracam do Anglii”. Ale umarła jeszcze tego wieczoru w hotelu Shelbourne w Dublinie. A stary lokaj został przeniesiony do rodzinnej wiejskiej posiadłości.

- Ciociu Kathleen? - Lilian postukała mnie w ramię. - Ciociu Kathleen? Joe pyta, czy moglibyśmy pójść zobaczyć strzelby.

- Słyszałam, skarbie - odezwała się Annie. - I odpowiedź brzmi: nie.

Dotarliśmy do przerwy w murze, gdzie niegdyś znajdowała się zapewne kuta brama prowadząca na wewnętrzny dziedziniec i ogrody wokół domu. Całą jej szerokość przegradzała żółta policyjna taśma, a gdy Bertie zatrzymał samochód i wysiedliśmy, dało się zauważyć, że jest rozciągnięta na drewnianych palikach wielkim okręgiem wokół szczytu wzgórza, na którym stał kiedyś dwór. WSTĘP WZBRONIONY! WSTĘP WZBRONIONY! Omal nie parsknęłam śmiechem, kiedy Spot wyskoczyła z auta i pognała w tamtym kierunku, a Bertie i Annie krzyknęli równocześnie:

- Wracaj tu, Spot! Do nogi!

- Całe Ballygall zbiegło się, ledwie starsza pani wyjechała za bramę posiadłości - ciągnął Bertie. - Ludzie powyjmowali nawet szyby ze szklarni w sadzie. A wtedy rosły tam jeszcze śliwy, winogrona i orchidee. Powyrywali ze ścian szafy w garderobach, staszczyli je na dół, a potem zaczęli rozbierać schody. Mój wujek widział, jak świniopas ze swoim bratem dźwigają wielki stół bilardowy. Nie mam pojęcia, po co im był ten stół. W każdym razie jeszcze przez dłuższy czas różni się tu kręcili. Podczas sianokosów okoliczni wieśniacy przychodzili do ruin, żeby z kranów nalewać do wiader wodę pitną.

Szliśmy powoli w kierunku dzwonnicy i dziedzińca stajennego zboczem opadającym ku rzece. Lil i Joe z psem pobiegli przodem, aż spod ich bucików tryskały w powietrze krople wody z mokrej od deszczu trawy. Wzdłuż muru także wyrastały kępki pierwiosnków, a dalej, pod lasem, wyraźna niebieskawa połać świadczyła, że zakwitły też polne dzwonki. Doleciało stamtąd kukanie, które usłyszałam po raz pierwszy w tym roku. Dzieciaki wykrzyknęły:

- Kukułka! Kukułka!

Przez krótką chwilę mogłam sobie wyobrazić, jak wyglądały szczęśliwe dni w Mount Talbot, kiedy mała panienka tak samo biegała po parku pod czujnym okiem niani, a z piwnic i spichrzy dolatywał stłumiony śpiew pracującej służby.

Nie. Nigdy tak nie było.

- Pokażę im statuetkę za bluszczem - rzekł Bertie.

- A ja pójdę do kościoła - rzekłam. - Jeszcze go nie widziałam.

Poszłam dalej, przez otwartą furtkę wydostałam się poza teren majątku i stanęłam przed kościołem protestanckim. Nowa tablica na rozchwianej furtce informowała, że porządkowaniem starego cmentarza zajmują się pozbawieni zasiłku bezrobotni w ramach Krajowego Funduszu Pomocy Społecznej. W rogu pod płotem wznosiła się wielka sterta wykarczowanych ciernistych krzaków, młodych wawrzynów oraz cisów i widać było łaty świeżej zaprawy na frontonie utrzymanego w stylu egipskim mauzoleum będącego rodzinnym grobem Talbotów. Prowadzące do niego żelazne drzwi wyglądały tak, jakby na dobre przyrdzewiały do ramy.

Obok mauzoleum znajdował się świeżo oczyszczony grób z prostym krzyżem. Napis na tabliczce głosił:

WIEL. MCCLELLAND PROBOSZCZ TEJ PARAFII ZM. 1857

JA ZAŚ ŚMIAŁO SPOJRZĘ W TWE OBLICZE

Nakłaniała mnie, abym pozwolił rzeczonemu Mullanowi wejść na górę i się z nią zobaczyć, a kiedy odmówiłem, wraz zrezygnowała z pomysłu spotkania ze służką...

Tak zeznawał ten człowiek w sądzie.

A więc po co Mullan pojechał za Marianne, jeżeli nic go z nią nie łączyło? John Paget śmiało stawiał czoło tej niewiadomej:

Owa pokorna prośba, która spotkała się ze stanowczą odmową, gdyż świadectwo jej niewinności mogłoby wyniknąć w rozmowie prowadzonej W OBECNOŚCI PROBOSZCZA PARAFII, była zarazem ostatnim przeblyskiem zdrowego rozsądku, zanim ten ostatecznie poddał się, pękł i roztrzaskał!

To tłumaczenie było wiarygodne. Mullanowi faktycznie mogło zależeć tylko na tym, by oczyścić się z oskarżeń o cudzołóstwo i zdemaskować spisek uknuty przeciwko nim, a kiedy wielebny McClelland nie dopuścił do spotkania, Marianne ostatecznie postradała zmysły. Zaakcentowany wielkimi literami wniosek Pageta rzeczywiście dawał wiele do myślenia.

McClelland zmarł niedługo po uciążliwym skandalu Talbotów. Wyobraziłam sobie okoliczności jego śmierci.

Niewykluczone, że wielebny źle się czuł z powodu całego tego zamieszania wywołanego hańbą pani Talbot. Możliwe, że odbierał te zajścia jak koszmarny sen. Mimo to podpisał oświadczenie dla radcy prawnego Richarda Talbota, w którym oświadczał, że pani Talbot osobiście przyznała mu się do winy, tyle że nie pamięta dokładnie, gdzie to się wydarzyło. Jego zdaniem było to w zamkniętym powozie. W jakim powozie? Kiedy? Może i jemu mieszało się w głowie od czasu, kiedy zgodził się pomóc Richardowi w zniszczeniu Marianne? A może złapał jakiegoś wirusa w drodze do Windsoru - kiedy przeciskał się przez tłum na nabrzeżu, torując drogę idącej za nim i trzymającej go za rękaw kobiecie z twarzą zakrytą woalką - skoro w portach koczowali wówczas emigranci będący w różnych stadiach choroby? Nawet jeśli czuł satysfakcję z przekazania swej pod-

opiecznej do bezpiecznego przytułku, może po tej długiej podróży już nigdy nie wrócił w pełni do zdrowia? Stawił się co prawda jeszcze przed sądem, by zeznawać przeciwko Marianne, ale potem... Co było potem?

Gdzie mogłabym umieścić jego śmierć? Doszłam do wniosku, że Kościół Irlandzki na pewno miał swój własny szpital w Dublinie, którego personel był oswojony z przypadkami tajemniczej gorączki. W niskich białych salach tego przybytku musiało przebywać wielu misjonarzy, może nawet razem z żonami i dziećmi, cierpiących na różne choroby, jakich nabawili się podczas pełnienia boskiej służby w dalekich krajach. Wszyscy byli też oswojeni z bredzeniem konających. Nikt znajomy nie odwiedzał McClellanda przetrzymywanego w izolacie, nikt nie interesował się specjalnie jego wrzaskami, gdy wykrzykiwał czyjeś imię...

- Kathleen! Wracaj do nas!

Wyglądali tak niewinnie. Bertie w wełnianej czapce z pomponem, Annie w kurtce pożyczonej od Elli, wyraźnie na nią za dużej, i dzieciaki w jaskrawych kolorowych sweterkach.

- Przepraszam, Bertie. Zamyśliłam się. Pamiętasz, jak Paget pisał w swojej broszurze, że McClelland w rozmowie z jakimś tutejszym szlachcicem wyraził się, iż *ma nadzieję, że pani Talbot nie padła ofiarą spisku?* A komuś innemu, z kim Paget później rozmawiał, powiedział, że *służba w Mount Talbot była bardzo złym towarzystwem, które jego zdaniem spiskowało przeciwko swej pani.* Tak więc sam musiał mieć mnóstwo wątpliwości. Nie rozumiem tylko, dlaczego służba miałaby spiskować przeciwko Marianne.

- A dlaczego nie? - zdziwił się Bertie. - Kimże ona była dla nich? No, chodźmy. Musimy dojść do przeciwległej bramy, przy której mieszka Curly Flannery. Czeka na nas.

Ruszyliśmy dalej. Przystanąłam jeszcze na chwilę przy płocie cmentarza, by popatrzeć na kosa siedzącego w gnieździe uwitym na cokole omszałej statuetki anioła. Nawet tu cisza nie była zupełna. Zewsząd dolatywał szmer wiatru w koronach drzew przerywany gruchaniem dzikich gołębi, a z drugiego końca doliny wciąż dobiegało niezmordowane odliczanie kukułki: Kuku! Kuku!

Bramę po przeciwnej stronie majątku zwieńczał olbrzymi pseudogotycki kamienny łuk.

- Można by tu urządzić przyjemne mieszkanie - powiedziała Annie, wskazując zrujnowany barak dozorczy, ledwie widoczny zza gąszczu pokrzyw i bluszczu. - Dlaczego nikt się nie zainteresował odbudową?

- Wszyscy uważają Mount Talbot za feralne miejsce. Nikt nie chciałby tu mieszkać.

Po przeciwnej stronie muru, między bitą drogą a skrajem torfowiska, na oczyszczonym skrawku terenu stał nowoczesny pudełkowaty biały domek otoczony przystrzyżonym szmaragdowym trawnikiem.

Jakaś kobieta ochoczo otworzyła drzwi, nim zdążyliśmy zapukać.

- Proszę! Proszę bardzo! - powiedziała. - Siadajcie! Zaraz podam herbatę! Ach, dobrze się składa, że mam też lemoniadę dla dzieci! Na pewno bardzo się ucieszy z waszej wizyty. To wspaniały człowiek. Niech go Bóg błogosławi. Nie bierze żadnych leków poza aspiryną, a ma już dziewięćdziesiąt dwa lata. Pozwala sobie tylko na parę kropel whisky przed snem. Zgadza się, wujku Curly?! - ryknęła staruszkowi prosto do ucha.

Flannery był łysy jak kolano. Był także zupełnie ślepy i najwyraźniej nie dosłyszał. Trzymał się jednak prosto w swoim wózku inwalidzkim ustawionym przy elektrycznym grzejniku, szeroko uśmiechnięty, czysty i schludny, podobnie jak cały pokój.

- A któż to taki, Maisie? - zapytał. - Kto nas odwiedził?

- Bertie z hotelu! - wykrzyknęła. - I dwie panie z Ameryki! I jeszcze dwoje dzieci, niech ich Bóg błogosławi! Chcą usłyszeć twoje opowieści o starych czasach!

- Wcale nie jesteśmy... - zaczęłam.

- Bach! Bach! - niespodziewanie zahuczał Flannery, wyciągnąwszy ręce, jakby trzymał w nich karabin. - Bach! Bach! - Po chwili dodał: - Przez długi czas nie wracaliśmy do domów! Ciągłe w ruchu! Niech żyje Michael Collins!

- Curly to wielki człowiek, odznaczył się w Wojnie o Niepodległość - wyjaśnił Bertie. - Razem z bratem wykradli wszystkie materiały wybuchowe z magazynu Sądu Okręgowego i wysadzali nimi jeden most za drugim. - Odwrócił się do staruszka i zapytał głośno: - A co było wcześniej, panie Flannery, kiedy zrobiło się zamieszanie wokół Talbotów?!

- Chcecie usłyszeć o Talbocie?! Czy to nie on sam ściągnął sobie na głowę wszystkie kłopoty?! To był największy łotr spod ciemnej gwiazdy, jaki stąpał po naszej ziemi!

- Zapytaj go, czy ktokolwiek z okolicznych mieszkańców może jeszcze coś wiedzieć o rozwodzie Talbotów - zwróciłam się do Bertiego.

Panna Flannery przyniosła tacę z herbatą i próbowała wygodnie usadowić wujka w fotelu z filiżanką w rękach. Okazało się jednak, że staruszek słyszał moje pytanie.

- No pewnie, że pamiętają! - odparł, nie zważając na to, że spodeczek upadł mu na podłogę. - Był tu w majątku pewien człowiek o nazwisku Quirke i tenże Quirke musiał jechać do Londynu, żeby zeznawać przeciwko żonie Talbota, za co dostał od adwokata, pana Bennetta, tyle pieniędzy, że starczyło mu na krowę. Od tamtej pory wszyscy nazywali tę jego krowę Bennettynką! I pewnie nawet nie wiesz, Bertie, że inny człowiek - nazwiskiem Molloy - też zeznawał w sądzie przeciwko pani Talbot, a kiedy później Johnny Molloy, jego wnuk, startował w wyborach do naszego parlamentu, już po drugiej wojnie światowej, i na wiecach wyborczych prosił ludzi, żeby głosowali na niego, to go wyśmiewali i krzyczeli: „Lepiej się zamknij, kundelku Talbota!”. Właśnie tak, kundelku Talbota!

Zaśmiał się gardłowo na to wspomnienie.

- A co z Mullanem? - zapytałam. - Stajennym z dworu?

Pan Flannery jednak albo nie chciał odpowiedzieć, albo nic o nim nie wiedział. Pospiesznie zjadł podany mu kawałek placka z owocami, popijając herbatą, po czym siostrzenica dokładnie zgarnęła mu wszystkie okruszki z eleganckiej kamizelki, którą miał pod marynarką.

- Talbotowie mieli bryczkę dwumiejscową i drugą czteromiejscową - ciągnął radośnie - i faeton ze składanym daszkiem, i dorożkę, i powozik na dwa konie, no i wóz towarowy, którym przyjeżdżali do miasta raz czy dwa razy na tydzień.

Mojego dziadka, jak był młody, przyuczali do kierowania tym wozem.

- Panie Flannery - powiedziałam. - Przepraszam, że pana męczę...

- Ależ nic podobnego! - wtrąciła Maisie. - Jego nigdy nie męczy takie gadanie!

- Mógłby mi pan powiedzieć, czy za pańskiej młodości mieszkało w tej okolicy dużo Irlandczyków? Czy służba na dworze mówiła po irlandzku?

- Sam nie znałem irlandzkiego - odparł. - Nauczyłem się trochę dopiero, gdy walczyliśmy o naszą wolność. Jak panowali tu Brytyjczycy, dostawaliśmy bity, kiedy ktoś się odezwał po irlandzku. Ale wszyscy starsi po domach tylko tak mówili. A jak byłem chłopakiem, w samym Cloonacurrag stało ze trzydzieści domów. Teraz już nie ma ani jednego. Mieszkali tam dobrzy ludzie, co musieli chodzić po cztery mile na mszę, przez łąki i bagna, no to zbierali się w domu mego dziadka i tam odmawiali swoje pacierze. Głównie modlitwę różańcową. Do tego większość odmawiała ją po irlandzku. Maisie! Daj Bertiemu czegoś mocniejszego!

- Czy rozmawiali kiedyś między sobą o klęsce głodu? Przez dobre pół minuty panowała cisza. Wreszcie pan

Flannery odparł z namysłem:

- W tych rejonach nie było głodu. Znow zapadła cisza.

Wyglądało na to, że staruszek zapadł w drzemkę. Zaczęliśmy się już na palcach zbierać do wyjścia, gdy nieoczekiwanie wykrzyknął:

- Maisie! Pokaż paniom z Ameryki mój medal!

Wyraziliśmy podziw dla srebrnego orderu, który dostał od rządu za bohaterską postawę w czasie Wojny o Niepodległość, i ponownie zmuszeni do grzecznej odmowy „kropelki czegoś mocniejszego”, wyszliśmy z domu.

Annie ruszyła z dziećmi przodem przez rozsypującą się bramę.

- Starsi ludzie często zaprzeczają, że była klęska głodu - rzekł cicho Bertie. - W ogóle nie chcą o tym rozmawiać.

Lepiej zbywać milczeniem takie nieszczęścia. Kiedyś słyszałem, jak moja matka rozmawiała szeptem z sąsiadką. Tamta była pokojówką w Mount Talbot w okresie, gdy wszystkich nakłaniano, by jechali do Londynu zeznawać przeciwko pani Talbot, i ona pojechała, i musiała zostawić swoje dziecko u sąsiadów. Nie było jej kilka miesięcy, a w tym czasie dziecko bez przerwy płakało, dzień i noc. Przestało płakać, ledwie wróciła i stanęła nad kołyską. I jeszcze tej samej nocy umarło.

Dotarliśmy na skraj brukowanego dziedzińca. Zimny wiatr przyginał do ziemi wybujałe pokrzywy skrywające stertę zardzewiałych narzędzi rolniczych i porozwalanych drewnianych tacek.

- Wtedy wszyscy mówili, że na tym majątku ciąży klątwa - ciągnął. - Krążyły plotki, że tego wieczoru, gdy proboszcz wywiózł panią Talbot, mieszkająca we dworze stara niania, którą posadzano o czary, powiedziała: „Niedługo po pokojach tego domu będą latały wrony!”. No i proszę...

Wskazał szczyt wzgórza. Samotna dzwonnica górująca nad stajennym dziedzińcem Mount Talbot ostro rysowała się na tle nieba.

- Rzeczywiście latają tam wrony - dokończył.

Bertie poczęstował nas swoją szarlotką do herbaty. Joe i Lilian rozsiedli się na sofie w kuchni i oglądali *Króla Lwa* z kasety wideo. Rita ułożyła się między nimi.

- Dokąd się teraz wybierasz, Kathleen? - zapytała Annie. - Zamierzasz zostać gdzieś wystarczająco długo, żeby złapać oddech? Zresztą, od trzydziestu lat nigdy nie wiem, gdzie przebywasz, więc i teraz nie ma większego sensu pytać cię o plany. Pamiętaj tylko, że nikt z nas nie młodnieje. A to mi przypomina... że powinniśmy się już zbierać! Danny przez cały dzień musiał sobie radzić sam. Lilian! Chodź już! Musimy jechać! Zapakuj kota do koszyka i weź jego jedzenie.

- A co z domem Feliksa, Annie? Tak bardzo chciałam ci go pokazać.

- Nie, Kathleen. Naprawdę musimy już jechać.

- Mamo, dopiero zaczyna się najciekawsze...

- Przykro mi, skarbie, ale nie chcę jechać taki kawał drogi po ciemku. Zapytaj, czy Joe będzie mógł do ciebie jutro zadzwonić i opowiedzieć, co się dalej stało z lwem. A teraz idź już i wstaw rzeczy kota do samochodu.

- Mamo, Joe zaraz się rozpłacze...

- Na pewno się nie rozpłacze - wtrąciłam - ponieważ Spot musi tu zostać, gdy ja wyjeżdżam. Spot nie pozwoli mu płakać.

Bertie wyszedł z dziećmi na podwórko. Uśmiechnęłam się do Annie, gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły.

- Jeszcze raz dziękuję, kochana, że zgodziłaś się zaopiekować kotem. I powiedz mojemu bratu, że o niego pytałam.

- Dopiero co wyszedł ze szpitala - oznajmiła spokojnie.

Stała nade mną i patrzyła na mnie z góry, co sprawiło, że ciarki przeszły mi po plecach. Ale w jej spojrzeniu nie było ani śladu wrogości.

- Od roku już nie pił - wyjaśniła - ale jak dostał pieniądze od ciebie...

- Co?!

- Dostał tyle pieniędzy, Kathleen, że wystarczyły mu trzy dni, żeby znowu wylądować w szpitalu. Upija się w samotności, w komórce za domem. Do mnie się w ogóle nie odzywa. Zdarza mu się to najwyżej raz czy dwa razy w roku, ale wtedy jest strasznie. W końcu zaczyna chorować i musi po niego przyjechać karetka ze szpitala. Znają go tam od dawna. Można się tylko pocieszać, że to pijaństwo nie trwa długo. Potem wszystko wraca do normy. Powinnaś mnie była poprosić o radę. Powiedziałabym ci.

- O czym? - spytałam zdziwiona.

- Danny ma mnóstwo problemów, Kathleen. Ostatniej rzeczy, jakiej potrzebował, był twój czek na tysiąc funtów. Ta jego eksperymentalna hodowla... Nawet ja nie wiem, ile pożyczek wziął pod zastaw gospodarstwa, ale za to wiem dobrze, jak trudno nam związać koniec z końcem. Od niego nigdy byś się tego nie dowie-

działa. Jest bardzo dumny. Ale kiedy nie choruje, jest najlepszym człowiekiem na tym świecie. Naprawdę bardzo go kochamy. Wszyscy go kochają. Sama dobrze wiesz, Kathleen, jaki potrafi być miły...

- To nie jego wina, Annie. W ogóle nie miał dzieciństwa...

- Nie musisz mi tego tłumaczyć. Wasza matka była najbardziej samolubną i leniwą kobietą, jaką znałam. Powinno się takim odbierać prawo do opieki nad dziećmi. Musisz wiedzieć, iż Danny do dzisiaj czuje się tak niepewnie, że nie umie nawet wystawić czeku na swoje nazwisko. Tylko dziewczęta w waszej rodzinie jakoś sobie radzą, co napawa mnie nadzieją, bo Lilian też jest dziewczynką. Ale nawet jeśli ty potrafiłaś się ustawić w życiu, Kathleen, to nie masz prawa zjawiać się nagle po tylu latach i szastać dokoła pieniędzmi, nie wiedząc prawie nic, co się naprawdę dzieje!

- Masz rację - odparłam szeptem.

- Wiem, że chciałaś jak najlepiej, Kathleen - dodała spokojniejszym tonem, choć wyraz jej twarzy nie zmienił się ani trochę. - Wiem, że masz dobre, zacne serce. Lecz kiedy on zacznie pić, będzie pił niezależnie od tego, czy ma pieniądze, czy nie. Postąpiłaś bezmyślnie, Kathleen. Po prostu bezmyślnie.

- Ale...

Zająknęłam się, nie znajdując słów. W gardle mi zaschło ze zdumienia. Miała jednak rację: Nie słuchałam jej, będąc z wizytą w domu. A wszystko przez to, że nie mam doświadczenia w kontaktach z ludźmi, powiedziałałam sobie w duchu. Przez tyle lat żyłam w samotności, w ogóle nie musiałam myśleć o innych. Chciałam to wyznać Annie, ale widziałam po jej minie, że targają nią sprzeczne uczucia. Po chwili usiadła obok mnie na krześle, pochyliła się nad stołem i zajrzała mi w oczy. Tylko ciężko westchnęła. Pragnęła mi dać do zrozumienia, że wcale nie chce mnie dłużej karcić, bo obie jedziemy na tym samym wózku. Przez jakiś czas siedziałyśmy tak w milczeniu, aż wreszcie mój puls zaczął wracać do normy. Dobrze się stało, że przemilczałam swoje marne tłumaczenia. Zabrzmiałyby śmiesznie w porównaniu z jej tragedią.

Starannie dobierając słowa, powiedziałam:

- Nie umiem wyrazić, jak mi przykro, że wyrządziłam mu krzywdę.

- Kathleen, on był pokrzywdzony, jeszcze nim zaczęłaś chodzić. Miał zaledwie szesnaście lat, kiedy zmarła wasza matka, i musiał opiekować się Seanem. Pamiętasz Seana? Wiecznie chorował. Ja byłam jeszcze młodsza i zupełnie nie miałam cierpliwości do tego nieszczęsnego dzieciaka, niech mi Bóg wybaczy. A Dan ciągle usiłował zrozumieć swoją matkę. Do dzisiaj miewa koszmary senne...

- Mamo!

- Już idę, kurczaczku!

- Mamo, naprawdę nie możemy tu zostać? Wujek Bertie mówi...

- Nie.

- Ale wujek Bertie...

- To nie jest twój wujek.

- Ale...

- Nie. Idź, pożegnaj się z Joem i Olliem.

Annie podniosła głowę i spojrzała na mnie ze zrozumieniem.

- Mówiłam ci zupełnie szczerze, że dzięki Bogu miałam szczęśliwe życie. Nie chciałabym żyć inaczej. I nie zamieniłabym Danny'ego na żadnego innego mężczyznę na świecie. Więc nie miej mi za złe, że powiedziałam prawdę. Pewne sprawy powinnyśmy stawiać między sobą otwarcie. Bo chcę, żebyś częściej przyjeżdżała do domu. Na pewno pomogłoby to Danny'emu, gdyby miał przy sobie taką siostrę. Pełną życia. No i Lil byłaby dumna z takiej cioci. Oboje z Danny'm bardzo tego pragniemy, wspólnie doszliśmy do tego wniosku po twoim wyjeździe. Nikt się nie może z tobą równać w Kilcrennan.

- Będę przyjeżdżać - odparłam - jeśli zawsze mi powiesz, gdy coś zrobię źle. Obiecuj mi to, Annie. Obiecujesz?

Wyszłam przed dom, żeby się z nimi pożegnać, ale zaraz wróciłam biegiem po swój aparat, poprosiłam Lil, aby jeszcze wysiadła z samochodu i wzięła Ritę na ręce, po czym zrobiłam zdjęcie dla panny Leech. Dzieciaki uśmiechały się do obiektywu, a kot wpił się pazurkami w sweterek Lilian i wyciągnął, jakby specjalnie chciał zademonstrować swoje niezwykle umięśnione i długie tylne łapy, przypominające nogi indyka okryte gęstym futrem.

Po powrocie do domu Feliksa aż nie mogłam uwierzyć, jak martwe i obce wydają mi się wszystkie sprzęty bez Spot krążącej pracowicie wokół moich nóg. Postanowiłam puścić jakąś muzykę, ale nie miałam już ochoty na żadne nagrania z lat czterdziestych i byłam zbyt wstrząśnięta, żeby znów słuchać Schuberta. Miałam wrażenie, że mimo całego swego piękna i mądrości w jakiś sposób drwi ze śmierci mojej matki. Wobec tej muzyki taka niczym nie wyróżniająca się osoba jak ona zdawała się kimś jeszcze pośledniejszym, równie tępym i ociężałym po śmierci, jak za życia.

Dopiero teraz zrozumiałam, jak bardzo Danny przeżył jej chorobę i zgon. Na jego oczach życie rodzinne się rozpadało, choć bezskutecznie próbował je ratować. A przecież był wtedy nastolatkiem, do tego skrajnie lekceważonym.

Nigdy nie próbował się wynieść z domu, nawet wtedy, gdy najpierw uciekła Nora, a potem ja. Jak gdyby nie mógł opuścić rodziny, dopóki ojciec nie zauważy jego istnienia. W wieku lat piętnastu rzucił szkołę i podjął pracę w warsztacie samochodowym na brzegu Kilcrennan. Ale wtedy jeszcze był kimś, gdyż grał w miejscowej drużynie piłkarskiej. To było całe jego życie. Ojcowie innych chłopców głośno skandowali numery zawodników, gdy rozgrywki wchodziły w decydującą fazę, hucznie wiwatowali zwycięstwa, wybiegając na boisko, i krzyczeli do mikrofonu w lokalnej stacji radiowej. A wszystkie matki odwiedzały ten sam pub, gdzie tańczyły w grupie i śpiewały piosenki kibiców, żeby podreperować trochę fundusze drużyny, i potem rozbiegały się po całej sali z głośnym śmiechem. Tymczasem zdolności Danny'ego były w domu całkowicie ignorowane. Ojciec, zagorzały przeciwnik piłki nożnej, tak głęboko wierzył, iż prawdziwym sportem narodowym jest futbol gaelijski, a piłka nożna została zaszczipiona przez Anglików, że gdy klub Danny'ego chciał wynająć boisko futbolu gaelijskiego na jakiś mecz dobroczynny, uruchomił przeciwko temu wszystkie swoje kontakty w dublińskich kręgach zwolenników tradycji irlandzkiej.

Mimo to Danny ciągle mieszkał z rodzicami. Nie był do tego zmuszony, bo chodził już wtedy z Annie i mógł się do niej przeprowadzić. Samodzielny pokój proponowała mu nawet żona jego szefa, która w pralce wirnikowej prała jego stroje piłkarskie. On jednak uparcie trzymał się rodziców, mimo że musiał sam sobie szykować posiłki, a często gotować także dla Seana. Matki wtedy już nic nie obchodziło.

Wiedziałam o tym, bo kilka razy o dziewiątej rano w niedzielę dzwoniłam z Trinity College do pubu w Shore Road, ale pani Bates powtarzała, że matka już nie przychodzi, ojciec zjawia się sam, bez niej. Jeśli nawet przestała już chodzić w niedzielę do pubu, pomyślałam, to musi przeżywać poważne załamanie.

Gdyby choć raz zechciała podejść do telefonu w sklepie i poprosiła, żebym wróciła do domu, natychmiast bym to zrobiła. Wiodłam wtedy radosny studencki żywot i nie miałam ochoty przygnębiać się starymi smutkami. Poza tym musiałam zarabiać na utrzymanie. W Londynie w okresie świątecznym prawie wszystkie hotele płaciły poczwórną stawkę za sprzątanie. Nawet jeszcze teraz, krążąc niespokojnie po saloniku Feliksa, ledwie świadoma tego, że powierzchnia jeziora staje się coraz bardziej srebrzysta w zapadającym zmierzchu, utwierdzałam się w przekonaniu, że postąpiłam słusznie. Miałam pełne prawo rozpocząć samodzielne życie. Tylko że wszystko zostało na głowie Danny'ego. Ja zaś odwróciłam się do niego plecami.

Znalazł matkę na podłodze w kuchni. Opowiadał mi o tym, kiedy się spotkaliśmy podczas mego dwudniowego pobytu w Kilcrennan, kiedy ona leżała w szpitalu. Wyszedł z warsztatu trochę wcześniej i przyjechał do baru naprzeciwko szpitala. To było w piątek, około czwartej czy piątej po południu. Zapamiętałam tak dobrze, gdyż myślałam wtedy bez przerwy, że niedługo ojciec zjawi się w domu i na pewno od razu przyjedzie do szpitala.

W pubie nikogo oprócz nas nie było, pomijając barmana otoczonego skrzynkami pełnymi butelek. Panował taki ziąb, że zostaliśmy w płaszcach.

- Leżała na podłodze - zaczął Danny. - Sean chyba jeszcze spał w sąsiednim pokoju. Zobaczyłem ją, jak tylko wszedłem do kuchni...

- Jak była ubrana?

Podniósł głowę i spojrzał na mnie zdziwiony. Trudno mu było o tym opowiadać, w ogóle rzadko z kimś rozmawiał. Miał kręcone włosy. Próbował je zaczesywać gładko nad oczami, w stylu Beatlesów, ale rudawa grzywka uparcie odstawała ku górze, odsłaniając biegnące równoległe do linii brwi łukowate zakola, mające typowy kształt skrzydełek motyla, dokładnie tak, jak u mamy.

- Widocznie dopiero co wstała z łóżka - rzekł. - Miała na sobie ten stary szlafrok w kwiatki. Leżała twarzą do dołu, cała nocna koszula z tyłu była przesiąknięta krwią. Kiedy ją obróciłem na wznak, zobaczyłem, że z przodu też jest zakrwawiona. Jej twarz miała dziwny kolor.

- Oczy miała otwarte?

- Tak, otwarte, ale chyba nic nie widziała.

Pobiegł do sklepu naprzeciwko. Tommy Bates zadzwonił po karetkę, a pani Bates przybiegła razem z nim. Ściągnęła kapę z łóżka Danny'ego i owinęła nią mamę. Zaczęła szybko pakować do torby podróźnej niezbędne rzeczy. Wrzuciła pękatą torebkę mamy i szczoteczkę do zębów z półki nad zlewem.

- Gdzie matka trzyma ubrania? - zapytała.

- Wszędzie, gdzie popadnie - odparł.

- Spodziewała się dziecka?

- A skąd miałbym to wiedzieć?

W szafie w sypialni wisiały tylko garnitury ojca. Pani Bates wygrzebała jakieś części garderoby z wielkiej sterty ubrań w szafce kredensu. Danny dorzucił kryminal z nocnego stolika i popękane pantofle, w których ostatnio matka chodziła.

Jej buty zawsze mnie wkurzały. Przed wyjściem do pubu starannie czesała włosy, szminkowała wargi i wkładała ten elastyczny czarny golf, w którym naprawdę nieźle wyglądała. Ale buty...

- Była wciąż przytomna, gdy układali ją na noszach - rzekł Danny. - Płakała. Podejrzewam, że mogła coś powiedzieć, tylko nie chciała. Pojechałem do pracy. Pani Bates wzięła Seana do siebie.

To Nora mnie zawiadomiła. Zadzwoiła z Nowego Jorku i jakimś cudem złapała mnie w pobliżu automatu telefonicznego przy pokoju Związku Studentów Trinity College.

- Mama jest w szpitalu Regina Coeli w Kilcrennan. Wujek Ned do mnie dzwonił. Już rozmawiałam z dyżurną pielęgniarką, która powiedziała, nie pytając o nic matki, że lepiej, abyśmy wróciły do domu.

- Jak miałabym wrócić? Nie mam grosza przy duszy.

Ta wiadomość zupełnie mnie zaskoczyła. Właśnie próbowałam zdecydować, jaką pracę wybrać, żeby zarobić więcej pieniędzy. Z drugiej strony od Kilcrennan dzieliło mnie tylko półtorej godziny jazdy pociągiem.

- Ja nie wracam - wycedziła Nora. - Cóż to za różnica, czy ona jest zdrowa, czy umierająca. I tak nic dobrego by z tego nie wynikło. Ta kobieta przez całe życie nie powiedziała ani jednego słowa i nie zrobiła ani jednej rzeczy z pożytkiem dla mnie. W dodatku zadawała się z tą starą świnią. Gdybym przyjechała, musiałybyśmy się i z nim zobaczyć. Miałabym wydawać tysiąc dolarów i ruszać w długą podróż do Irlandii, żeby mi się bebechy wywróciły na jego widok?

- A gdyby ona cię o to poprosiła?

- To co innego. Gdyby poprosiła, wtedy bym przyjechała.

Zapozyczyłam się aż do wysokości moich miesięcznych dochodów, miałam więc sporo forsy. Stacja mieści się na wzgórzu za miastem, toteż na skraju Kilcrennan zostawiłam po drodze swoje rzeczy w wynajętym pokoju. Właścicielka domu zapytała:

- Przypadkiem nie przyjaźniłaś się kiedyś z Sharon Malone?

Odparłam szczerze, że nie widziałyśmy się już od dawna.

- Bo właśnie wyszła za jednego z bliźniaków Moranów. Wiedziałam o tym.

- Kiedyś aż miło było na nią popatrzeć. Przyznałam jej rację.

- O każdej porze możesz sobie zagotować wody na herbatę. I zapomnij o automacie telefonicznym, przychodź tu i korzystaj z mojego aparatu. Nie martw się, twoja mama wyzdrowieje. Właśnie wybieram się do miasta, więc zapalę w kościele świeczkę w jej intencji.

Potrzebowałam trochę czasu, żeby się zorientować w sytuacji. Ale kiedy nazajutrz po południu spotkałam się z Dannym w barze naprzeciwko szpitala, wiedziałam już dostatecznie dużo, aby mu parę spraw wyjaśnić. Sam nie miał pojęcia, co się stało, i chyba bał się kogoś zapytać.

Okazało się, że matka, która chwyciła moją dłoń poszarzałymi palcami, kiedy dotknęłam jej twarzy, wydeła wargi i bardzo długo ją całowała, była w piątym miesiącu ciąży, a miała raka macicy. Raz za razem przekonywałam się, jak bardzo cierpi z powodu tego raka. Ledwie zaczęłam mówić, że przyniosę szczotkę i uczeszę jej włosy, zwinęła się na łóżku w kłębek, a z głębi jej piersi popłynął nieludzki krzyk. Twarz miała

popielatoszarą, a w oczach czaił się strach. Na czoło bez przerwy występowały jej kropelki potu. Zaczęłam już podejrzewać, że dzieje się z nią coś niedobrego, kiedy podbiegła pielęgniarka, ale nie dała jej żadnych leków przeciwbólowych.

- Zaczekaj, kochana - szepnęłam do matki. - Zaraz się dowiem, co ci jest i jak można ci pomóc.

Pobiegłam korytarzem za pielęgniarką.

Nie od razu jednak wszystko do mnie dotarło, choć się starałam. Przez całe popołudnie pierwszego dnia biegałam jak szalona. Rozmawiałam z siostrą przełożoną, kapelanem, nawet z farmaceutą prowadzącym aptekę po sąsiedzku, który był jednocześnie przewodniczącym szpitalnej komisji etyki. Ganiałam po całym mieście. W końcu wylądowałam w pubie naprzeciwko domu Malone'ów, gdzie zaczęłam opróżniać jeden kieliszek za drugim, aż ktoś wezwał ojca Sharon i ten odprowadził mnie do wynajętego pokoju i przykazał gospodyni, by nie dopuszczała mnie do telefonu. Siedziałam z nią przy stole w kuchni i zanosila się od płaczu, omal nie wpadłam w histerię.

Danny'emu musiałam wszystko tłumaczyć. To był katolicki szpital, gdzie nikt nie śmiał uczynić niczego, co mogłoby zaszkodzić dziecku. Nie było mowy o przerwaniu ciąży. Dlatego matce nie zrobiono nawet prześwietlenia, a morfinę podawano tylko w takich dawkach, by nie miało to negatywnego oddziaływania na płód. Dziecko musiało się dalej rozwijać, nawet jeśli wraz z nim miał się rozwijać rak matki.

- Dlaczego? - zapytał naiwnie Danny.

- Ponieważ tak przykazał papież - odparłam.

- Ale... po co?

- Bo tacy jak on starcy twierdzą, że byłoby to równoznaczne z zastrzeleniem człowieka z pistoletu. Gdyby kuracja mamy doprowadziła do śmierci płodu, który nosi w łonie, mogłoby to zostać uznane za rodzaj aborcji.

Danny aż się zaczerwienił. W roku 1970 w Irlandii nikt nawet nie śmiał wspominać o aborcji.

- Ale to dziecko nawet jeszcze nie jest dzieckiem - mruknął. - A w ten sposób może umrzeć i ono, i matka.

- Za to razem pójdą do nieba - rzuciłam. Nawet Danny zrozumiał, że mówię ironicznie.

Ordynator nie zgodził się przyjąć mnie w swoim gabinecie.

- W tej sprawie liczy się tylko głos pani ojca - oświadczył przez telefon. - Jeśli chce pani dyskutować, proszę rozmawiać z nim.

Mimo to stanęłam przed drzwiami gabinetu i zaczęłam się dobijać, nie zważając na ludzi siedzących w poczekalni ani na sekretarkę obrzucającą mnie nienawistnym spojrzeniem zza biurka.

- Ile życia jej zostało?! - krzyczałam przez drzwi. - Proszę mnie wpuścić, panie Daly! Nie będę tu sterceć przez cały dzień! Mam inne pilne sprawy! Chcę tylko wiedzieć, jak długo to potrwa! Panie Daly? Jak długo?

Teraz mogłam tylko podziwiać tamtą dziewczynę. Może już nie dziewczynę, miałam przecież dwadzieścia lat. Ale imponowało mi, że niczego się nie bałam, mimo że byłam dzieckiem dwojga ludzi, z których każde na swój sposób lękało się wszelkich autorytetów. Jediną osobą, jakiej się w życiu bałam, był mój ojciec. Widziałam, jak chłostał Danny'ego skórzanym paskiem, gdy ten miał dziewięć lat. Pobiegłam wtedy aż do go-

spodarstwa wujka Neda, żeby się poskarżyć. I choć zawsze uwielbiałam Neda, musiałam się pogodzić z tym, że brakowało mu odwagi, by sprzeciwić się własnemu bratu. Powiedział mi wtedy: „Każdy jest odpowiedzialny za swoją rodzinę. Nikt nie ma prawa się wtrącać w sprawy między mężem, żoną i dziećmi”.

Więc kto miałby nam wtedy pomóc? Inne kobiety? Mama nie miała przyjaciółek. Na siostry ze szkoły zakonnej nie było co liczyć. Na panią Bates także. Zatem do kogo miałabym się zwrócić? Zresztą, skąd mogłam wiedzieć, czego naprawdę pragnie matka? Sądząc po trybie jej życia, po tym, jak zawsze przyjmowała wszystko z obojętnością, ilekroć ojciec na nią wrzeszczał, była gotowa znieść dużo więcej. Z wyjątkiem... Nie mogłam zapomnieć tego jej krzyku...

Tego pierwszego wieczoru siedziałam długo w kuchni pani O'Connor, u której wynajęłam pokój. Zrobiła mi herbaty i pozwoliła się wypłakać. Nie protestowała nawet, gdy krzyczałam i waliłam pięściami w stół. Pamiętam jej minę, pełną współczucia i rozpaczy niemal równie głębokiej, jak moja. Jej dzieci powinny już dawno iść do łóżka, sama musiała rano wstać do pracy, a mimo to cierpliwie siedziała przy mnie. Próbowałam jej wyjaśnić, że mama nigdy nie miała urlopu, bez przerwy krzątała się w domu, i teraz umierała bez żadnej przyczyny, tak młodo, osierocając dzieci, nim zdążyła się doczekać z ich strony pomocy na starość, a wszystko tylko dlatego, że była kobietą w kraju rządzonym przez fanatycznych staruchów.

- Te ich nienarodzone dzieci! - krzyczałam. - Te ich prawa narzucane matczynym łonom! Mogłabym się nawet pogodzić z jej śmiercią, gdyby nie krzyczała tak przeraźliwie z bólu...

I tak przez cały wieczór.

Kiedy wreszcie powlokłam się do swego pokoju, pani O'Connor przysypiała już na siedząco. Powiedziała, że zapewne taka była wola boża, czym na dobre zamknęła mi usta.

Następnego dnia byłam roztrzęsiona i z trudem zdołałam wygrzebać się z pościeli. Pojechałam taksówką do Shore Road, ale kazałam kierowcy poczekać, dopóki się nie upewnię, że ojca nie ma w domu. On jednak i tym razem nie zamierzał rezygnować ze swoich przyzwyczajzeń. Nigdy nie zmieniał planów, nawet gdy mama wcześniej lądowała w szpitalu po swoich poronieniach. Danny siedział z Seanem w kuchni. Przez kilka ostatnich dni mógł ze sklepu Batesów brać na kredyt wszystko, co mu się zamarzyło.

- Jezu! Najwyższa pora, Kathleen! - rzucił na mój widok. - Już myślałem, że nikt się nie zjawi! Muszę lecieć do warsztatu. Mam kupę roboty.

- Nazywam się Sean - powiedział mój młodszy brat, niespełna pięcioletni. Miał sandałki włożone odwrotnie niż należało. Nie widział mnie prawie od dwóch lat.

- Czy mama poszła do nieba? - zapytał. Nie odpowiedziałam.

- Czy to też twoja mama?

- Nie poszła jeszcze do nieba. Wczoraj z nią rozmawiałam.

Dopiero później uświadomiłam sobie, że skłamałam. Matka nie odezwała się do mnie ani jednym słowem. Po raz ostatni odezwała się tamtego dnia, przed moim wyjazdem do college'u, gdy dawała mi kryształowy naszyjnik i przestrzegała, bym nie wpakowała się w żadne kłopoty bez względu na to, co będę robić. Przez dłuższy czas wierzyłam, że powiedziała coś jeszcze tamtego dnia w szpitalu, ale teraz wydaje mi się, iż tylko z jej oczu i miny płynął bezgłośny krzyk: „Pomóżcie mi!”, który odebrałam tak, jakbym go słyszała.

Nie wiedziałam, od czego zacząć. Miałam okropnego kaca. Zdjęłam Seanowi sandaalki i włożyłam je właściwie. Dlaczego on w ogóle chodzi zimą w sandaalkach? Był bardzo dzielnym malcem, do tego grzecznym i spokojnym, tylko co miałam z nim zrobić, do diabła? Poszliśmy na spacer z boczem wzgórza w kierunku sklepu Batesów. Musiała być bardzo silna fala, ponieważ rozlegał się stłumiony huk bałwanów nacierających na skalisty klif i wąski pas kamienistej plaży. Dwukrotnie, wychodząc z domu i wracając, zerknęłam przez otwarte drzwi na łóżko w sypialni rodziców. Do tej pory zawsze była w nim mama. Nawet jeśli nie spisywała się najlepiej w roli matki, to przecież zawsze tu była od chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzałam ten świat. Jak znudzony wartownik kręcący się wokół swego posterunku.

Sean od razu przykleił się do nogi pani Bates. Najwyraźniej tylko udawał zaufanie do mnie. Kiedy poszła do kuchni, by przygotować dla niego słodką bułeczkę i mleko, stanęłam w przejściu, żeby z nią porozmawiać.

- Nawet gdyby twój ojciec poprosił w szpitalu o usunięcie ciąży, to co miałyby zrobić z waszą matką? To jasne, że nie wolno jej teraz zostawiać samej.

- Mógłby ją umieścić w domu opieki.

- W domach opieki nie zajmują się chorymi na raka.

- No to mógłby ją przynajmniej zawieźć do Dublina na zabieg w szpitalu protestanckim.

- W szpitalach protestanckich także nie przeprowadza się aborcji. Poza tym nie wiadomo, czy aborcja nie przyspieszyłaby jej śmierci.

- Ale na pewno można by jej wtedy podać morfinę. Gdyby pani słyszała, jak ona krzyczy z bólu!

Pani Bates chciała mnie objąć i przytulić, ale zrobiło mi się niedobrze. Ledwie zdążyłam do łazienki, dostałam torsji. Potem przemyłam twarz zimną wodą.

- On ją odwiedza w szpitalu? - zapytałam, kiedy wróciłam z łazienki. - To znaczy... Czy odwiedzał ją wcześniej, kiedy nie mogła donosić ciąży?

- Och, tak, oczywiście - odparła.

- I o czym wtedy rozmawiali?

- Nie sędzę, żeby w ogóle rozmawiali - powiedziała wyraźnie zmieszana. - Mój mąż też się nigdy nie odzywał w podobnych sytuacjach.

Przez okno za jej plecami zobaczyłam autobus z Kilcennan jadący w stronę wyasfaltowanego placu nad samym morzem, gdzie zawracał. Zatrzymywał się tam tylko na minutę czy dwie i zaraz ruszał w kurs powrotny. Konduktor jednak wysiadał, żeby wypalić papierosa na tym najdalej oddalonym od cywilizacji przystanku.

Pani Bates zauważyła, że chcę wybiec ze sklepu.

- Uspokój się, Kathleen... - zaczęła, lecz natychmiast urwała.

Popatrzyliśmy na siebie i wyczytałyśmy w swoich twarzach wszystko, co było do powiedzenia. W każdym razie ja miałam nadzieję, iż ona się domyśla, że za żadne skarby nie mogę tu zostać. Naprawdę nie mogłam. Siedząc już w autobusie, pomyślałam, że w tamtej chwili na jej twarzy malowało się głównie współczucie. Bo pani Bates zawsze nas żałowała.

Kiedy siedzieliśmy w barze i tłumaczyłam wszystko Danny'emu, nie powiedziałam, co zamierzam, choć nadal byłam cała roztrzęsiona. Wcale nie kierowałam się wspaniałomyślnością, po prostu uważałam, że mam większe szanse porozmawiać z ojcem, gdy będę z nim sam na sam. Poprosiłam Dana, żeby zaczekał w pubie na mój powrót, i pobiegłam do szpitala. Było krótko po siódmej. Już po paru minutach zauważyłam w wahadłowych drzwiach ojca, z błyszczącą jak zawsze nalaną i rumianą twarzą, w okularach zsuniętych prawie na czubek nosa. Na granatowy garnitur narzucił beżowy płaszcz, niósł teczkę i małą papierową torbę.

- Kupiłem parę śliwek dla twojej matki - rzekł, ruchem głowy wskazując tę torbę, kiedy zastąpił mi drogę.

- Muszę z tobą porozmawiać - rzuciłam.

- Nie wątpię. Jestem w mieście dopiero od pół godziny, a już doszły mnie różne słuchy z pewnych kręgów. Domyślam się, że nie jesteś zadowolona z opieki w tym szpitalu, prawda?

Wyminął mnie i ruszył korytarzem.

- Nie jestem zadowolona z ciebie - odparłam.

Czułam się nieswojo, mówiąc do jego pleców w obecności tylu ludzi na korytarzu. Nie usłyszałam dobrze, ale zdaje się, że mruknął:

- Bardzo mi przykro, madame.

- Ona strasznie cierpi.

- Sam to widzę.

- Gdybyś mógł ją przenieść do innego szpitala, niekatolickiego...

Stanął gwałtownie, odwrócił się i pochylił w moją stronę.

- A niby dlaczego miałbym to robić?

- Ponieważ tylko w katolickim obowiązuje reguła, że przede wszystkim należy chronić dziecko...

- Posłuchaj - przerwał mi ponownie - bo nie zamierzam powtarzać. To moje dziecko, tak samo jak ty. I ma dokładnie takie same prawa jak ty. Twoja matka jest moją żoną. Braliśmy ślub w kościele katolickim i jeśli Bóg pozwoli, zostaniemy pochowani na katolickim cmentarzu...

- Podam cię do sądu - wypaliłam.

- Zrób to. Będzie niezła zabawa.

Skinął głową ochroniarzowi, którego postawiono przed drzwiami sali mamy.

- To ona - rzekł, wskazując mnie palcem. - Proszę jej więcej nie wpuszczać pod żadnym pozorem.

Wróciłam do Danny'ego i wszystko mu opowiedziałam. Potem czekałam na zewnątrz i poszłam za ojcem na parking. Gdy otwierał drzwi samochodu, podbiegłam od tyłu. Walnęłam go kolanem w brzuch i kopnęłam w kostkę. A gdy rozdziawił gębę ze zdumienia, wetknęłam w nią palce, wyciągnęłam górną sztuczną szczękę i rzuciłam na ziemię. Poczerwieniał z wściekłości. Ja zaś poczułam obrzydzenie, że musiałam go dotknąć. Cofnęłam się o krok, splunęłam na niego i uciekłam w głąb parku.

- Jesteś biała jak ściana - rzekł Danny.

- Wracasz do domu? - zapytałam.

- Jasne. Muszę - wyjaśnił ze smutkiem. - Nie mogę zostawić Seana u pani Bates.

- Kiedy będziesz się widział z mamą?

- W poniedziałek, jak tylko wyjdzie ze szpitala.

Barman dał mi szarą kopertę. Wypisałam na niej wielkimi literami:

MAMO, JEŚLI CHCESZ, BYM CIĘ STĄD WYWIOZŁA, ZROBIĘ TO, TYLKO POWIEDZ DANNY'EMU. NORA MA PIENIĄDZE. BYŁAM W DOMU, TAM WSZYSTKO W PORZĄDKU. I MNIE SIĘ DOBRZE POWODZI W DUBLINIE. WYZDROWIEJ SZYBKO.

Powstrzymałam się przed napisaniem, że ją całuję albo kocham. Moje uczucia do niej były zdecydowanie różne od miłości. Podpisałam tylko:

TWOJA KATHLEEN.

Danny spojrzął na mnie wielkimi szarymi oczami matki.

- Naprawdę nie możesz zostać dłużej? - zapytał z łamiącą serce pokorą w głosie.

Odpowiedziałam, że nie mogę.

Następnego ranka pani O'Connor przyniosła mi śniadanie do łóżka. Zdarzyło się to po raz pierwszy w moim życiu. Zjadłam, nie wychodząc spod kołdry. Później poszłam do łazienki i starannie wymyłam twarz, żeby poprawić sobie samopoczucie, myśląc bez przerwy o tej tacy ze śniadaniem, i o maleńkiej solniczce i pieprzniczce do gotowanego jajka. W dodatku czytałam przy śniadaniu *Mansfield Park*, gdyż była to jedyna książka, jaką ze sobą zabrałam. Fanny Price także przeżywała trudny okres, lecz Edmund bardzo ją kochał. Tymczasem ja nie miałam nawet chłopaka. Bardzo chciałam, by ktoś mnie teraz przytulił. A jeszcze bardziej chciałam, żeby ktoś mnie wyciągnął z tej gigantycznej maszyny, w której ugrzęzła mama, zawsze taka milcząca, zapłakana. No i pragnęłam uciec od poczucia winy - jadłam śniadanie w łóżku, w przyjemnym różowym pokoju, gdy tymczasem Danny musiał męczyć się z ojcem i zajmować Seanem.

Od dawna - chyba jeszcze na długo przedtem, nim zaczęłam z Sharon oglądać się za chłopakami - głęboko wierzyłam, że gdzieś tam czeka na mnie kochanek, który mi we wszystkim pomoże. Niestety, sama musiałam się zachowywać jak mężczyzna! Rozmyślałam o tym z żalem, bo miałam wrażenie, że patrząc na świat oczami mężczyzny, muszę uznać, iż mogę liczyć tylko na siebie. Naprawdę mało mnie łączyło z kobietami, bo kobiety zazwyczaj mają kogoś, kto się o nie troszczy.

Spakowałam rzeczy, przeliczyłam pieniądze, jakie mi zostały, i odniosłam tacę z naczyniami do kuchni.

- Będą mi potrzebne wszystkie pieniądze, jakie mam - powiedziała pani O'Connor. - Czy mogę pani zapłacić za pokój kiedy indziej? Jeszcze dzisiaj wyjeżdżam do Anglii.

- Naprawdę? Myślałam, że uczysz się w college'u w Dublinie.

- Nie wracam do college'u.

- Przecież dostałaś podobno stypendium! Musisz skończyć naukę. Już tak niewiele zostało do zakończenia!

- Nie chcę mieszkać w Irlandii. Nawet nie zamierzam dopuścić, by moja noga kiedykolwiek tu stanęła.

- Och, na miłość boską! Skoro wszyscy dajemy tu sobie jakoś radę, to czemu ty nie możesz?

Widocznie domyśliła się prawdy po mojej minie, bo od razu posmutniała.

- Nie martw się o pieniądze - dodała. - Zapłacisz, kiedy będziesz mogła.

Zrobiła mi nawet kanapki z szynką na drogę - z wiejskiego chleba własnego wypieku, pokrojonego najcieniej, jak się tylko dało, i posmarowanego żółtą musztardą, zawinięte w pergamin. Była szczerze przejęta, gdy zbierałam się, by iść na stację kolejową. Powtarzała w kółko:

- Ona wyzdrowieje. Zobaczysz, że wyzdrowieje. Bóg jest miłosierny...

To była zwykła ucieczka, ale żadne inne rozwiązanie nie przyszło mi do głowy. Zresztą, cały czas czułam pieczenie kciuka skaleczonego o sztuczne zęby ojca. Ale też przyznałam w duchu: Kto by pomyślał, że przyniesie mamie śliwki? Na pewnym odcinku za Kilcrennan linia kolejowa prowadzi tuż nad brzegiem morza. Tego popołudnia gładka powierzchnia wody upstrzona była krostami padającego deszczu. Wkrótce pociąg przyspieszył, grube krople rozpląszczyły się na szybie, rozmazały w smugi i jak gdyby otoczyły wagon nieprzejrzystym kokonem.

Kiedy z brzękiem i piskiem hamulców wtoczyliśmy się do jaskini dublińskiego dworca, zaczekałam, aż reszta pasażerów wyjdzie z przedziału. Dopiero potem ruszyłam peronem w stronę przystanku, skąd kursowały autobusy do portu promowego. Jeszcze nie całkiem sobie uświadomiłam, na co się porywam, bo nie do końca wierzyłam, że matka umrze. Do diabła z nimi wszystkimi! - myślałam. Pieprzę tę całą zafajdaną, zabiją deskami dziurę!

Specjalnie zostawiłam kanapki z szynką na siedzeniu w przedziale. Do dziś nie umiałam sobie wytłumaczyć, dlaczego to robiłam. Może chodziło mi o to, że chciałam się uwolnić od wszelkich przejawów współczucia i zdać na własne siły tak dalece, jak to możliwe.

Okazało się to skuteczne, nawet bardzo długo. Na dobre zostawiłam za sobą Kilcrennan i Shore Road. Jakiś miesiąc później, ledwie wróciłam do pensjonatu Joanie, zadzwonił ojciec z pytaniem, czy przyjadę na pogrzeb matki. Nie podeszłam do telefonu. Następnego ranka przeprowadziłam się z pensjonatu do służbówki w hotelu, w którym pracowałam, żeby nikt więcej nie próbował ze mną rozmawiać na ten temat.

Z nikim nie utrzymywałam kontaktu, ale Danny jakimś cudem zdobył mój numer telefonu.

Zadzwonił jakiś rok później z wiadomością, że ojciec zamierza się ożenić z pielęgniarką z tego szpitala, w którym zmarła mama. Aż mnie zatkało.

- Nawet mu się nie dziwię - dodał. - Sean ciągle choruje. Ktoś musi się nim opiekować. A ja chcę się przeprowadzić do Annie, żeby poodkładać trochę pieniędzy na nasz ślub.

Nora także opowiedziała się po stronie ojca.

- Jeśli jakaś kobieta chce za niego wyjść, Kathleen, to już wyłącznie jej sprawa. Zresztą, z naszą matką i tak od dawna żył jak z trupem.

Ledwie mogłam pohamować wściekłość, gdy wyrażała się w ten sposób o mamie. Wolałam jednak, żeby o tym nie wiedziała. Nie chciałam jej sprawiać satysfakcji.

Ale mój bunt nie był w pełni skuteczny, skoro ojciec ożenił się po raz drugi. Sean umarł, mając sześć i pół roku. Kiedy się o tym dowiedziałam, wspominałam ze smutkiem te jego drobne dziecięce nóżki, na które z takim uporem odwrotnie wkładał sandaalki. W końcu przypomniałam sobie także o pani O'Connor i wysłałam jej dwadzieścia funtów z serdecznymi przeprosinami. Przy okazji dopadły mnie wyrzuty sumienia i postanowiłam być konsekwentna, powysyłałam więc wszystkie kwoty, na jakie się zadłużyłam w Dublinie, pracując jako kelnerka. I zostałam bez grosza przy duszy.

Sprzątałam w hotelach i roznosiłam drinki w pubie, a jednocześnie studiowałam dziennikarstwo na Politechnice Londyńskiej, gdzie zdobywałam nowych przyjaciół. Nie miałam stałego miejsca zamieszkania, ale byłam młoda i niewiele sobie z tego robiłam. Przyjęłam zasadę, aby nigdy nie myśleć o domu i nigdy nie wspominać Irlandii. Postanowiłam też w ogóle nie wdawać się w politykę i religię, ani nawet nie czytać gazet, bo skoro mord na biednej schorowanej kobiecie, jaką była moja mama, stanowił efekt dwóch tysięcy lat rozwoju Kościoła i państwa, licząc od Chrystusa, to ja nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. Z całą mocą przestrzegałam narzuconych sobie reguł. Wybrałam pisanie reportaży podróżniczych, ponieważ była to, jak sądziłam, jedyna odmiana dziennikarstwa, która nie wymagała ode mnie wiary w cokolwiek. Jeśli w ogóle mogłam mówić o swoim wkładzie w walkę z niesprawiedliwością społeczną, stało się nim uczestnictwo w ruchu wyzwolenia kobiet, chociaż byłam zapewne najbardziej chimeryczną i targaną wątpliwościami feministką pod słońcem. Oczywiście, zwracałam uwagę na przejawy niesprawiedliwości, nie dopuszczałam jednak, by miały one wpływ na moje życie. Po każdej podróży wracałam do sutereny, rozpakowywałam rzeczy, otwierałam butelkę wina i zaczynałam porządkować notatki. Do czasu pobytu w Manili. Może wtedy widok dwóch małych dziewczynek i niemowlęcia pod brudnym żywoplotem na środku ruchliwej alei obudził w mej podświadomości skojarzenia ze mną, Dannyem oraz Seanem.

Po ślubie Danny i Annie przyjechali na tydzień do Londynu w ramach miodowego miesiąca. Poszłam ich odwiedzić w hotelu. Annie została w pokoju, żebym mogła spokojnie porozmawiać z bratem.

- Oddałeś mamie list ode mnie? - zapytałam. Było to trzy lata po jej śmierci.

- Nie. Już się z nią więcej nie zobaczyłem. Umieścili ją w izolatce i zabronili odwiedzać.

Po dłuższej chwili spytałam:

- Ojciec był na waszym weselu?

- Oczywiście. Wygłosił nawet mowę.

Danny popatrzył na mnie z błyskiem satysfakcji w oczach i dodał:

- Przeżywa teraz ciężkie chwile. Druga żona krótko go trzyma. Szkoda tylko, że nic dobrego nie wynikło z tego dla Seana.

- Proszę - powiedziałam, kładąc przed nim na barze ślubny prezent, który dla nich kupiłam. - Przeprós Annie, że nie mogłam na nią poczekać. Powiedz, że zbyt dużo...

Szybko zsunął się z wysokiego barowego stołka i objął mnie ramionami.

- Uważaj na siebie - rzekł.

Wróciłam wtedy do domu, to znaczy do mieszkania Hugona na południowym brzegu Tamizy, ale nie powiedziałam mu, gdzie byłam. Trafiła mnie najgorsza zgryzota w moim życiu - skoro matka nie dostała mojego listu, mogła być przekonana, przez te ostatnie trzy tygodnie życia, jakie jej zostały, że i ja ją opuściłam.

Nigdy nie mówiłam nikomu o okolicznościach śmierci mamy. A Jimmy'emu, na przykład, nigdy nie opowiadałam też o Seanie. Bo nie miałam pojęcia, jak zapobiec temu, żeby nawet przez chwilę nie kojarzył śmierci Seana ze scenami z powieści Dickensa. Ojca przedstawiałam wyłącznie jako postać karykaturalną, ogarniętą manią irlandzkości. A matkę zamknęłam głęboko w sercu. Zawsze ogarniało mnie zdenerwowanie, ilekroć rozmawiałam. Na każde wspomnienie budził się we mnie nieproporcjonalnie wielki żal. Trzymałam się

jednak tych wspomnień, tak jak trzymałabym się jej miłości, gdyby mnie kochała. Od czasu jej śmierci prowadziłam drugie sekretne życie.

Nieprawda! - powiedziałam sobie teraz stanowczo. Całkiem o niej zapomniałaś. W każdym razie od tej pory powinnaś zapomnieć.

Salonik w domu Feliksa skojarzył mi się nagle z pustą, rzęsiście oświetloną sceną. Nocny mrok widoczny przez oszkloną część dachu i werandę całkowicie odgradzał świat zewnętrzny. Czułam się jak klejnot zamknięty w przeznaczony tylko dla niego szkatułce, podczas gdy sama byłam szkatułką dla klejnotu zamkniętego wewnątrz mnie - mego serca.

I niech tak już zostanie.

Sądziłaś, że jesteś jedyną osobą, która dobrze zna gorycz cierpienia, odezwałam się do siebie w myślach. Tymczasem, jeśli nawet za późno, to jednak w końcu dowiedzielaś się prawdy.

Kiedy wysiadłam z pociągu, zostawiwszy kanapki pani O'Connor na siedzeniu w przedziale, pojechałam autobusem do Dun Laoghaire. Miałam jeszcze dużo czasu do odejścia promu pocztowego do Holyhead. Stał już przy nabrzeżu, ale pasażerów mieli wpuszczać na pokład dopiero za godzinę. Poszłam więc do najbliższego pubu. Ciężar spadł mi z serca, kiedy znalazłam się w wypełnionym gwarem przestronnym wnętrzu. Poczulałam się tak, jakbym dołączyła do grona uszczęśliwionych wyrzutków. Wielki jak stodoła lokal był wypełniony po brzegi, oprócz mniejszych i większych gromadek znajdowali się tam również ludzie samotni, jak ja. Każdą enklawę między przepierzeniami w dusznej i zadymionej sali okupowało odrębne świętujące plemię złożone z mężczyzn, kobiet, dzieci i bagaży; stoliki były zastawione kieliszkami, szklaneczkami i butelkami od coca-coli, zawałone opakowaniami po herbatnikach, torebkami i papierkami od cukierków, a wszystko to niemal pływało w rozlanych napojach. Przy kontuarze, przekrzykując zgiełk, ludzie wołali na barmana, który związał się jak w ukropie, chcąc obsłużyć wszystkich przed odejściem promu. Znalazłam odrobinę wolnego miejsca za liczną grupą mężczyzn urzędujących najbliżej wyjścia.

- Na co masz ochotę, skarbie? - zwrócił się do mnie jeden z nich przez ramię.

- Na wódkę.

Zaraz stanął przede mną pełen kieliszek, a potem cała butelka lemoniady do popicia. Po paru minutach, gdy następny z nich fundował kolejkę, dostałam drugi kieliszek. Nawet nie próbowali ze mną rozmawiać, głośno dyskutowali między sobą, zajęci głównie pospiesznym wlewaniem w siebie alkoholu. Po prostu panowała ogólna atmosfera braterstwa. Nikt na nic specjalnie nie zważał.

I nie spotkałam już później nikogo z tej grupy. W ostatniej chwili ruszyliśmy całą gromadą na nabrzeże. Było już ciemno, dzieci płakały, a ktoś z tłumu zaintonował piosenkę.

Potem gęsiego powoli przeciskaliśmy się przez wąskie przejścia, gdzie lodowaty wiatr od morza smagał przez szczeliny między deskami, zanim dotarliśmy do trapu. Na promie było już bardzo dużo rodzin, ludzie siedzieli wszędzie, na pokładach, we wszystkich zakamarkach. Dzieciaki ganiały tam i z powrotem środkowym korytarzem, skakały po żelaznych schodkach, podbiegały do swoich matek otoczonych stertami bagaży, pochylających się nad niemowlętami w wózkach. Niektórzy już spali na wykładzinie bądź tylko leżeli, odprowadzając podejrzliwymi spojrzeniami przestępujących nad nimi bądź przeciskających się obok nowo przybyłych. W barze mężczyźni czekali w milczeniu przy kontuarze. Żelazna krata była opuszczona, ale za nią, w półmroku,

krzątał się już barman, przygotowując wszystko do całonocnej pracy. Wreszcie promem zatrzęsło, syrena zawyla przeciągle i widoczne za oknami światła na nabrzeżu zaczęły się powoli przesuwać do tyłu. Panowała martwa cisza. Nikt się głośno nie zegnał z Irlandią. Dopiero gdy wyszliśmy z portu, statek zakołysał się na falach otwartego morza, krata powędrowała w górę i barman zaczął serwować drinki, rozległy się wiwaty.

22

Ostatniego ranka mego pobytu w szklanym domu nad jeziorem niebo było usiane drobnymi perłowymi obłoczkami. Wróble ćwierkały w ciernistych żywopłotach, a zza moich pleców, ze szczytu dachu, rozległ się przenikliwy świst jaskółki stanowiący kwintesencję wiosny. Powietrze wypełniały przeróżne zewy, krzyki i urywane świergoty. To była dolina ptaków, a nie Feliksa. Przyszło mi do głowy, że powinnam się bliżej zainteresować ptakami. Przecież nigdy bym nie pomyślała, że te dwa różne ptaszki, jeden bogato ubarwiony, a drugi szary, które widziałam przed kaplicą w dniu pogrzebu Jimmy'ego, to para zięb, gdyby mi tego nie wyjaśnił ojciec Gervase. Zapewne w pobliżu jego klasztoru kręciło się mnóstwo ptaków. Choć z drugiej strony miałam przecucie, że nie jest to wcale typowy klasztor poza miastem, raczej znajduje się gdzieś w pobliżu rodzinnego domu Aleksa.

Nie chciałam blokować telefonu, skoro dzisiaj miał do mnie dzwonić Shay. Przyszło mi jednak do głowy, iż powinnam zawiadomić sąsiada Aleksa, Rona, że nie zastanie mnie już pod tym numerem.

Siedziałam na najwyższym stopniu schodów i piłam kawę. Kiedy wstałam, ten sam co poprzednio szary zając wyskoczył spod schodów i bez pośpiechu pokicał w górę zbocza. Byłam zachwycona. Uważałam, że zające, tak samo jak mewy, przynoszą szczęście. Jeśli więc ujrzałam zająca, to tak, jakbym została pobłogosławiona na początku tego doniosłego dnia.

- Boże! Jak wspaniale, że dzwonicz! - ucieszył się Ron. - Interesująca cię osoba właśnie tu jest! Tak, zgadza się, Alex! Moja żona szykuje właśnie temu biedakowi śniadanie. Poszedłem z samego rana i go tu przyciągnąłem. Wiedzieliśmy, że wrócił do domu w środę wieczorem, ale zdziwiło nas, że wczoraj przez cały dzień nie wychodził po zakupy, a roznosiciel nie zostawia mu już nawet mleka przed drzwiami. Dzwoniłem, lecz nie otwierał. Przeskoczyłem więc przez żywopłot na tylne podwórko i zobaczyłem go przez okno, jak siedział przy stole w kuchni. - Urwał na chwilę, po czym dodał szeptem: - Biedak jest straszliwie załamany. Straszliwie.

Alex podszedł do telefonu, ledwie jednak mógł wydobyć z siebie głos. Musiałam powtórzyć kilka razy:

- To ja, Kathleen. Alex! Mówi Kathleen! Nagle zaczął gadać jak najęty.

- Czy opowiadałem ci kiedyś, jak byliśmy razem w Broadstairs? Nie? To niesamowite! Jak mogłem ci nie opowiadać? No więc matka miała taką małą torebkę ze skórzanych łątek. Nie, nawet nie skórzanych, Kath... Jak się nazywa to tworzywo podobne do plastiku, co od zużycia rozdziela się na warstwy, a pod spodem jest rodzaj grubego szorstkiego płótna? No i w tej torebce miała trzy banknoty dziesięcioszylingowe. Powiedziała mi: „Alexander, jak zapłacimy gospodyni za pokój, zostanie nam jeszcze na herbatę co drugi dzień i co drugi na kolację”. Podczas obiadu ściągała panierkę z ryby, rybę oddawała mnie, a sama zjadała tylko panierkę. Ale któregoś dnia gospodyni zapłaciła mi szylinga za to, że zniosłem jej do piwnicy worki z węglem, które dostawca

zrzucił przed bramą. Kupiłem za tego szylinga dwie porcje smażonej ryby na kolację i dopiero wtedy matka zjadła rybę, a ja zrozumiałem, dlaczego...

- Alex! - próbowałam mu przerwać. - Czy ty w ogóle spałeś?

- Tego dnia, gdy po skończeniu studiów ruszałem na rozmowy kwalifikacyjne, szukając pracy, powiedziała: „Alexander, twój ojciec był prawdziwym dżentelmenem, ale miał pewną słabość, która przyczyniła się do wielu cierpień, chciałabym więc, abys mi obiecał, że nigdy nie poczuję od ciebie zapachu alkoholu”. I tak doskonale mnie rozumiała! Nie miałem przed nią tajemnic! Kiedy wróciłem do domu z narady w Trieście, nawet nie spytała, jak wypadło moje przemówienie. Powiedziała tylko: „Obawiam się, Alex, że piłeś”. Po jakimś czasie dodała, że wszystkie moje sukcesy zawodowe pójdą na marne, gdy pójdę w ślady ojca. Oczywiście, nie tłumaczyłem jej, jak mizerne są moje sukcesy zawodowe. Nawet podczas konferencji w Trieście, gdy ktoś zaczął mówić o kompilowaniu książek z adresami e-mailowymi, Bobby Pick z działu kadr rzucił: „Po co? Stary Alex i tak nie zrezygnuje ze swego gęsiego pióra i pergaminu!”. Wtedy wszyscy popatrzyli na mnie. Ale jej o takich rzeczach nigdy nie mówiłem. Tylko mnie miała w życiu, oczywiście po Bogu. Kiedy byłem mały, często mi opowiadała o sercu, które samotnie wyruszyło w drogę. Było jak wielki czerwony termofor, tyle że krwawiło. „To serce nie może się w nikim schronić, ponieważ jest sercem matki, zbyt dużym, by się zmieścić w ciele jednej kobiety!” - mówiła.

I nagle zaczął płakać.

- Alex! Przestań!

- A kiedy indziej...

- Zamilcz! - krzyknęłam. - Chcę, żebyś został u Rona! Słyszysz?

- U Rona? Przecież jestem u Rona.

- Tak, wiem. Zostań u niego, dopóki nie przyjadę.

- Nie mogę - odparł mniej więcej normalnym głosem. - Jaki dziś dzień? Muszę wracać do klasztoru na Wielkanoc.

- Proszę, Alex. Posłuchaj mnie, kochany. Nie ruszaj się stamtąd, dopóki nie porozmawiamy. Proszę, czekaj na mnie u Rona. Będę jeszcze dzisiaj wieczorem. Proszę... Chcę porozmawiać o tobie i o sobie, o wspólnym krótkim urlopie...

- Ależ Kathleen...

- Daj mi teraz Rona. I koniecznie zczekaj na mój przyjazd, bo inaczej nigdy ci tego nie daruję!

Następnie poprosiłam Rona, żeby go jakoś zatrzymał.

- Spróbuj mu dać potajemnie jakiś środek nasenny. Przyjadę dziś wieczorem i zajmę się nim. Najchętniej bym go gdzieś wywiozła, zadbała, żeby się dobrze odżywił, chodziła z nim na spacer do czasu, aż znów będzie zdolny podejmować samodzielne decyzje.

- Rozkaz! - odparł Ron.

- Tylko o niczym nie mów tym pokretnym zakonnikom, gdyby się tam pojawili. Ukryj przed nimi Aleksa.

- Tak jest! Bez odbioru!

Chłopak z wypożyczalni samochodów na lotnisku w Shannon przeczytał mi rozkład lotów do Londynu i zarezerwowałam miejsce w samolocie startującym o osiemnastej. Następnie zadzwoniłam do Caroline, żeby poprosić ją, aby udzieliła gościny mnie i Aleksowi. Poniewczasie uświadomiłam sobie, że powinnam zrobić to wcześniej, zanim podjęłam decyzję o nagłym powrocie do Anglii.

- Z Aleksa został strzęp człowieka - powiedziałam. - Pomijając wszystko inne, prawdopodobnie jest śmiertelnie zmęczony. Jeśli naprawdę chce wstąpić do zakonu, Caro, to ja go nie powstrzymam, ale przynajmniej pomogę mu odzyskać formę psychiczną.

- Będziecie tu bardzo mile widziani - odparła. - I jestem pewna, że dobrze mu zrobi rozmowa z serdeczną przyjaciółką. Nie ma nic lepszego od wypoczynku, prawda? Sama chętnie bym wzięła parę dni wolnego po egzaminach, ale Nat, jak zwykle, nie ma dla mnie czasu.

- Och, Caroline...

Co mogłam powiedzieć? Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby zaproponować jej wspólny wyjazd. Zaśmiałam się nerwowo, gdy odłożyłam słuchawkę. Nawet ja nie byłam w porządku wobec Caroline.

Postanowiłam wreszcie odejść od telefonu. Nie zapomniałam o nim jednak. Miałam świadomość stojącego na stoliku aparatu, nawet gdy wyszłam z saloniku, żeby spakować swoją torbę czy połamać resztkę chleba i rozsypać okruchy na trawie za domem dla zwierząt. Napełniłam blaszany talerz mlekiem i wrzuciłam do niego całą puszkę tuńczyka. Ale dzikich kotów nie było w zasięgu wzroku. O tej porze zawsze gdzieś znikają.

Musiałam jeszcze raz skorzystać z telefonu. Ale tym razem krótko, przykazałam sobie w myślach. Zadzwoniłam do Bertiego, żeby zawiadomić go o wyjeździe do Londynu.

- Wybieram się do hospicjum - oznajmił posępnym głosem. - Z Nan nie jest dobrze.

- Będę się za nią modlić - obiecałam, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy. Ostatecznie, to nie mogło jej nijak zaszkodzić.

- Przecież nie jest za późno, ma jeszcze szansę na remisję! - rzekł. - Może upłynie jeszcze sporo czasu, nim porzucimy wszelką nadzieję. Mam rację, Kathleen?

- Niewykluczone - odparłam, siłąc się na swobodny ton, żeby nie wyczuł, co naprawdę myślę. - Znajdziesz chwilę czasu, Bertie, żeby wystawić mi rachunek? Muszę wracać do Anglii dziś wieczorem. Mój przyjaciel jest w kiepskim stanie...

- Ten, co się tu dobijał któregoś ranka?

- O kim mówisz?

- O tym facecie, który cię szukał. Dałem mu dla ciebie chleb z rodzynekami własnego wypieku...

- Aha. Nie, mówiłam o kim innym.

- No to się cieszę, bo ten mi wyglądał na żonatego.

- Na miłość boską, Bertie! Nawet gdybym musiała wracać do niego, i tak nie powinno cię to obchodzić.

- Powiedzmy - odparł stanowczo. - Jestem w tym wieku, że mógłbym być twoim ojcem. I trochę znam się na ludziach. Wiem, jak się sprawy mają.

- Ten, z którym muszę się zobaczyć, jest angielskim mnichem! Anglikańskim zakonikiem! Czy to ci wystarczy?

- To nie są porządni zakonnicy.

- Nie sądziłam, że jesteś pruderyjny. Powinieneś się wstydzić. Dajesz zły przykład Olliemu.

Odczekałam jeszcze pół godziny, ale Shay nie zadzwonił. No właśnie, już zawsze by tak było - ja nic nie mogłabym zrobić, zmuszona do wiecznego czekania na jego następny krok. I to niezależnie od okoliczności. Przypomniała mi się powieść Alice Munro o pewnej parze, która spędzała ze sobą cudowne chwile, on jednak musiał wyjechać. Ale obiecał, że na pewno wróci. Ona kupiła piękną nową pościel, przygotowała wspaniałą kolację. Lecz on się nie zjawił. Po dłuższym oczekiwaniu wsiadła do samochodu i ruszyła w drogę przez całą Kanadę, chcąc zabić swój ból. Ostatecznie rozpoczęła nowe życie. Dopiero po latach dowiedziała się przypadkiem, że on poważnie zachorował i długo cierpiał, nim umarł. Shay także mógłby zachorować czy umrzeć, a ja nawet bym o tym nie wiedziała.

Musiałam się zbierać, jeśli chciałam zdążyć na samolot. Nie zostało mi już zbyt dużo czasu.

Czas.

Jak umrę, nic mnie już nie będzie obchodziło. A mam przecież prawie pięćdziesiątkę. Dawno minęłam połowę drogi.

Przytrzasnęłam sobie palec, otwierając ciężkie drzwi stajni podczas mej pierwszej wizyty w Mount Talbot. Od tamtej pory obserwowałam, jak czarny siniak powoli wędruje pod paznokciem ku czubkowi palca. Już niedługo się go pozbędę. Ale ta jego wędrówka odmierzała czas upływający dla mego ciała. Przypomniałam sobie dwie młode dziewczyny, które stały na brzegu rynku w Mellary podczas uroczystości upamiętniającej powstanie z 1798 roku. Szczupłe i roześmiane, ciągle rozglądały się za chłopakami. Obie miały na nogach idiotyczne buty - grube podeszwy na masywnych wysokich koturnach z cieniutkimi paskami na wierzchu. Ja bym nigdy czegoś takiego nie włożyła. Nie zdołałabym przejść w nich na drugi koniec pokoju.

Co mnie czeka? Na pewno siebie znienawidzę. Przyrośnięta do parkowej ławki stara panna w kapelusiku, cytując Henry'ego Jamesa. Ale Shay i tak by mnie pragnął, nawet na starość. Przesuwałby dłońmi po moim więdnącym ciele. I nie musiałabym się przed nim ukrywać w ciemnościach. Pochylony nade mną, jakby przeprowadzał inwentaryzację, podnosiłby moją nogę i całował żarliwie. Pomagałby mi się zestarzeć, obsypując pieścizotami moje zmarszczki, żyłaki i poskręcane reumatyzmem palce.

A jednak podjęłam już decyzję. Stopniowo rodziła się we mnie. Nie zaważył na niej taki czy inny argument, po prostu jedna szala wagi mego serca przechyliła się nieco bardziej niż druga. I gdy w końcu uświadomiłam sobie, jak mam postąpić, była to reakcja czysto rozumowa, bo w głębi duszy wiedziałam to od dawna. Kiedy Annie powiedziała mi, że jestem pełna życia - że Danny'emu potrzebna jest siostra pełna życia, taka jak ja - powiedziałam sobie odruchowo: Aha, bardzo się cieszę, że nie zdążyłam wyrzucić swej żywotności na śmietnik. A wczoraj, pod cmentarzem Mount Talbot, gdy reszta towarzystwa już poszła pod górę, a ja zostałam jeszcze na ścieżce przy płocie, przyglądałam się kosowi siedzącemu spokojnie w gnieździe wciśniętym w kącik na cokole, pod omszałą statuetką anioła. Zwiesił lekko łepkę na piersi i śmiało odwzajemniał moje spojrzenie czarnymi perełkowatymi ślepkami. Wtedy niczym żaglowiec sunący majestatycznie po wodach mego umysłu, z pamięci wypłynęło wspomnienie tamtego dnia przed kaplicą po kremacji zwłok Jimmy'ego, gdy przyglądałam się z bliska dwóm ptakom skaczącym po gałęziach krzewu. To były zięby. Wówczas ów niepoprawny stary księżulek, który przystanął obok mnie na ścieżce, by na nie popatrzeć, poradził mi: „Zdecyduj się na to, co jest mniej pasywne, co pozwoli ci na maksymalną aktywność życiową. Będzie to zarazem bliższe ludzkiej naturze”.

Miał rację.

Musiałam wybrać aktywne życie. Nie mogłam go zamienić na wieczne oczekiwanie. Bo czekanie to za mało, by poświęcać na nie bezcenne życie.

A ja bym przecież tylko czekała. Niezależnie od tego, gdzie bym była i co robiła. Upodobniłabym się do Marianne.

Ona błagała męża o herbatę i cukier, ja błagałabym swego kochanka, by uwolnił mnie z okowów czasu. Żyłabym wyłącznie dla niego, dla tych rzadkich spotkań. Bez własnego życia, ani dobrego, ani złego. I mnie pożądlive ciało wciągnęłoby w pułapkę bez wyjścia. I kto wie, czy moje życie nie stałoby się w końcu podobne do życia mojej matki, tak jak linia włosów Danny'ego do złudzenia przypominała jej włosy. Nawet bym się nie mogła pokazać razem z Shayem, podobnie jak moja matka z ojcem. I zapewne nie mielibyśmy o czym ze sobą rozmawiać. Stworzylibyśmy sobie nasz własny przytułek windsorski, nasze własne Shore Road. To prawda, że żylibyśmy chwilami spędzonymi ze sobą, ale przecież reszta czasu przeciekałaby nam przez palce. I w tym czasie byśmy się zestarzelili. Nie byliśmy Tristanem i Izoldą. I nie umarlibyśmy z namiętności. Prędzej udomowiona namiętność umarłaby w nas, a dla tego, co po niej zostanie, na pewno nie warto żyć.

Nie. Moja odpowiedź brzmiała: nie.

Nie wiedziałam jednak, jak mu to powiedzieć. Zrobiło się w pół do pierwszej, a przecież musiałam jeszcze wpaść do hotelu Bertiego. Może odwołać rezerwację i polecieć następnym samolotem?

Nie. Albo zgodnie z zapowiedzią zjawisz się u Caro na kolacji, albo zapomnisz o korzystaniu z jej pomocy. Albo zabierzesz Aleksa od Rona, jak obiecałaś, albo w ogóle nie będziesz się w to mieszać. Albo zaczniesz się wreszcie liczyć z innymi ludźmi, albo wrócisz do wcześniejszej nędznej diety.

Wiedziałałam, że aparat w domu Feliksa jest wyposażony w automatyczną sekretarkę, ale nie chciałam zostawiać bardzo osobistej wiadomości dla Shaya, bo mógłby ją odebrać ktoś inny, kto nawet przypadkowo wybierze ten numer. Nie chciałam też zostawiać wiadomości oschłej, urzędowej, bo w końcu jego propozycja nie była ofertą handlową. Wtedy, na polu, pod ciernistym krzakiem, gdy prosił mnie, bym dostosowała swe życie do jego możliwości, aż dygotał z podniecenia. Zatem musiała to być wiadomość osobista, ale zawoalowana. Tylko jeśli Shay nie zrozumie, co mu chcę przekazać... Nie. Musi zrozumieć. Musi.

Znalazłam w kolekcji Feliksa właściwy kompakt - *Hity roku 1946* - i zaczęłam go odsłuchiwać, dopóki nie odnalazłam szukanego kawałka. Piętnastosekundowy fragment piosenki zawierał tych kilka linijek tekstu, o który mi chodziło. Ustawiłam płytę i zatrzymałam odtwarzanie. Potem ustawiłam aparat telefoniczny mikrofonem do kolumny głośnikowej i jednocześnie puściłam kompakt oraz uruchomiłam zapis automatycznej sekretarki. Na koniec jeszcze sprawdziłam. Wybrany kawałek piosenki nagrał się idealnie.

Rozejrzałam się jeszcze po domu, żeby się z nim pożegnać. Musnęłam palcami rączkę czajnika w kuchni, ponieważ Shay na pewno jej dotykał. Później zamknęłam oczy i przeciągnęłam dłońmi po swoim ciele. Przełknęłam żal i przerażenie, które nagle zaczęło we mnie wzbierać. Ruszyłam przez kolejne pokoje, w progu każdego zatrzymując się na parę sekund, by je zapamiętać. Wreszcie przekręciłam klucz w zamku i obrzućwszy ostatnim tęsknym spojrzeniem jezioro na dnie doliny, po raz ostatni bez skutku przywołałam koty do miski z mlekiem, po czym ruszyłam do samochodu. W ciągu tych paru dni, jakie tu spędziłam, w wysokiej trawie zdążyły rozkwitnąć stokrotki. A pod ziemnym wałem, obok pokrytych mchem starych kamiennych podwalin,

otwierały się już pierwsze dzwonki. Gdyby jeszcze Shay zadzwonił! Na całą podróż starczyłoby mi brzmienie wymawianego z uczuciem mojego imienia: Kathleen. Może nawet byśmy się umówili na jeszcze jedno spotkanie, gdyby mu na tym zależało? Ale nie miałam się już nigdy dowiedzieć, czy zadzwonił, czy nie. I czy tak jak ja myślał o tych kilku ostatnich spędzonych wspólnie dniach.

Do Ballygall było około dwóch kilometrów przez łąki i pola, lecz gdzieś w połowie drogi wyjeżdżało się na szeroką szosę biegnącą prościutko niczym autostrada. Dobrze wiedziałam z książek na temat klęski głodu, że był to zagubiony w dziczy fragment autostrady, której budowę rozpoczęto w ramach prac interwencyjnych, by umożliwić głodującym biedakom zarobienie uczciwego grosza. Nie było tu żadnego ruchu, postanowiłam więc zrealizować szalony pomysł, który przyszedł mi do głowy. Wyjechałam na środek tej szosy rozpaczy i zwolniłam do 10 kilometrów na godzinę, aż w duchu dopasowałam rytm marsza żałobnego. Wyobraziłam sobie, że ciągnie się za mną niewidoczna linia - wypływa z mego serca, przenika przez podłogę auta i asfalt nawierzchni i sięga aż do warstwy kamieni ubijanych z ziemią wzdłuż grzbietu wzniesienia trupiobladyymi rękoma tych biedaków sprzed stulecia. Pracy wystarczyło wtedy tylko dla części głodujących, więc pozostali w desperacji zajmowali się szykowaniem tłuczni dla wybrańców, mając nadzieję, że i oni dostaną kiedyś zapłatę. Zdarzało się to nagminnie, ale nigdy nie było dla nich pieniędzy. Nawet ten drobny szczegół z całej historii Wielkiego Głodu sprawiał, że serce się we mnie ścisnęło.

Zapamiętaj to sobie, pomyślałam. Bo dzieje się tak do dzisiaj. Wszędzie tam, gdzie ludzie cierpią głód.

Zjechałam na lewo i przyspieszyłam. Miałam jeszcze kawał drogi przed sobą.

Emigranci, którzy opuszczali ten kraj z tobołkami na ramionach, musieli przechodzić obok ludzi budujących drogi w ramach prac interwencyjnych. Na pewno znali się nawzajem. Wyruszający na tułaczkę pewnie zatrzymywali się, by zamienić parę słów, pożegnać się, pobłogosławić. Były to ostatnie dni istnienia wspólnoty narodowej, zanim dokonał się ostateczny podział na tych, co wyjechali, i tych, co zostali. Tylko William Mullan, który musiał już wtedy płacić cenę swej znajomości z Marianne, uciekał do Ameryki w panice, bez pożegnania i błogosławieństwa.

W Protokole zostały zapisane słowa lorda kanclerza:

Pan Talbot bez trudu uzyskał korzystny wyrok w sprawie odszkodowania za poniesione straty, ale jest to odszkodowanie jedynie nominalne. Oskarżony wyjechał do Ameryki i sądząc po jego życiowej pozycji, nie mógłby zapłacić nawet dwóch tysięcy pensów.

Taka była prawda. Richard wygrał w sądzie sprawę o odszkodowanie, toteż Mullan, nie mając grosza przy duszy, musiał uciekać do Ameryki. Ale mogłam jedynie spekulować, w jakim stanie ducha się wówczas znajdował i jaki los spotkał go za oceanem.

Na dobrą sprawę w ogóle nie miałam pojęcia, co się naprawdę zdarzyło w Mount Talbot. I pewnie na zawsze miało to pozostać tajemnicą. Brakowało zbyt wielu elementów tej układanki. Kiedy wspominałam, jak przekręcałam klucz w zamku, żeby wpuścić Iana do mojej sutereny, i jak potem jego zimne dłonie wśliznęły się pod mój sweter, mogłam powiązać te szczegóły z winem wypitym w pubie, z lodowatym wiatrem, który skłonił nas, aby ze śmiechem pobiec do domu, z poruszeniem, w jakie wprawił mnie widok demonstranta bardzo podobnego do mego ojca. Ale w tym wypadku, dysponując jedynie starymi pożółkłymi kośćmi bez grama ciała na

nich, opisywanie poczynań Marianne, Richarda oraz Williama Mullana byłoby po prostu surrealistyczne, całkowicie oderwane od rzeczywistości.

Owszem, mogłam wybrać, w co wierzę w historii Talbotów. I pewnie nawet musiałam dokonać takiego wyboru.

Ale w co mogłam jeszcze wierzyć tego dnia, gdy na zawsze zrywałam z najwspanialszym kochankiem - w głębi serca sparaliżowana strachem, że już nigdy nie zaznam fizycznej rozkoszy - jak nie w to, że Mullan naprawdę kochał Marianne, a ona kochała jego? Zresztą, mówiąc szczerze, nie widziałam żadnego innego powodu, dla którego miałby jechać za nią do Coffey's Hotel i pisać list, niż ten, że chciał ją prosić, by uciekła razem z nim do Ameryki. I wierzyłam, że wyjechał z kraju w takim samym stanie ducha, w jakim ja się teraz znajdowałam, rozpamiętując to wszystko, co tracę razem z Shayem - pełna tęsknoty, niepewności, gorzkiego żalu i pożądania wciąż tak silnego, że na samo brzmienie głosu kochanka serce zaczynało się tłuc w piersi, jakby pragnęło się wyrwać na zewnątrz.

Z pokoiku Bertiego na tyłach recepcji zadzwoniłam do domu Feliksa. Wszystko działało, automatyczna sekretarka odtworzyła moje nagranie. Usłyszałam chrapliwy głos

Waltera Hustona śpiewającego wybrany przeze mnie fragment *Wrześniowej piosenki*:

...Lecz dni się skracały,

Kiedy nadszedł wrzesień,

Gdy liście płomieniem

Rozpaliła jesień,

Więc nie miałem czasu

Na tęskne czekanie...

Rozległ się sygnał.

Piosenkarz sprawiał wrażenie zmęczonego, jakby ochrypł od długich wyjaśnień. I wyraźnie akcentował słowo: czas. A melodia w tonacji molowej, brzmiąca niemal ironicznie, powinna Shayowi podsunąć myśl, że oboje musimy wreszcie pogodzić się z tym, że jesteśmy dorośli.

W kuchni ucałowałam na pożegnanie Ellę i jej chłopców, obiecując, że niedługo znów ich odwiedzę - może na Pierwszą Komunię Joego. Bertie ociężale poczłapał za mną ścieżką, gdy na oślep ruszyłam z powrotem do samochodu.

- Nie są tego warci, moja droga - rzekł, obejmując mnie czule i przytulając do szorstkiego wełnianego swetra, delikatnie poklepując po plecach, jakbym była dzieckiem. - Jestem jednym z nich, więc możesz mi wierzyć.

- On był naprawdę cudowny - odparłam. - Przy nim czułam się taka szczęśliwa...

- Jasne. A ja jak dam sobie teraz radę bez Nan? Niedługo Elli chłop wróci z zagranicy i wtedy będą się snuli rozmarzeni po całym domu. W dodatku między mną i Nan nigdy nic nie było. Najwyżej trzymałam ją za rękę.

- Ale ty masz przynajmniej wnuków... - bąknęłam nieśmiało.

Przez dłuższy czas nie odpowiadał, wreszcie rzucił krótko:

- Tak.

Prowadziłam jak w transie. Ilekroć obracałam kierownicą, zmieniałam ułożenie ciała czy poruszałam stopą opartą o pedal gazu, świadomość jak gdyby wynurzała się nad powierzchnię, powoli i ociężale, i zaraz znowu znikała, nim zdążyłam się jej uczepić, a w mej duszy ponownie narastał ciągły lament. Kiedy puściłam jedną ręką kierownicę i oparłam ją na nodze pod bawełnianą spódnicą, poczułam jedwabistą gładkość wewnętrznej strony uda. Na brzuchu obwisła skóra była miękka, na kolanie twarda i szorstka. Ale wszędzie ciepła, bo pod nią pulsowało moje życie. Wyczuwałam jego vibracje. Jakże byłyby intensywne, gdyby skóry dotykały inne palce, zwłaszcza tamte, grube i silne, ściskające mocniej, przesuwające się tu i tam, z wyraźnym zamiarem, ale i wycuciem, niczym saper powoli sondujący grunt - gdyby dotykał mnie ktoś szczerze pragnący poznać moje kształty.

Na miejscu Williama Mullana zostałam przy koniach. Nie dlatego, że się na nich znał, i nie dlatego, że zawsze było przy nich mnóstwo zajęć. W końcu wielu Irlandczyków zajmowało się końmi po obu stronach frontu w amerykańskiej wojnie domowej - karmili je, podkuwali, opatrywali rany. Ale dlatego, że zawsze mógł oprzeć czoło o koński kark, zaplatać grzywy w warkocze; dotykiem dłoni mógł je uspokajać, a naciskiem ud i kolan oraz uderzeniami pięt nakłaniać do galopu. Miałam nadzieję, że znalazł sobie pracę dżokeja - tor wyścigowy w Saratodze, otwarty zaledwie kilka lat po jego ucieczce do Stanów, znajdował się niezbyt daleko w głąb lądu od portów, w których lądowali emigranci - ponieważ konie wyścigowe są najpiękniejsze ze wszystkich, a gdy nabierają prędkości, położywszy po sobie uszy, perfekcyjnie wykonują to, do czego zostały stworzone. Mógł się z łatwością dostać do Saratogi i znaleźć schronienie w którymś z baraków stojących na tyłach placów do ujeżdżania i stajni.

Wyjeżdżał z Irlandii tylko z tym, co miał na sobie. Podobnie jak ja, gdy wyruszałam do Londynu, zostawiwszy Danny'ego z Seanem w Shore Road i matkę w szpitalu w Kilcrennan. I oboje opuszczaliśmy Irlandię z własnej woli, jak większość emigrantów. Być może miał większe szanse, choćby tylko statystycznie, znalezienia życiowej partnerki w Nowym Świecie. Ale na pewno jeszcze o tym nie myślał, wchodząc po trapie na pokład statku. Bo emigranci odpływali w takim stanie, w jakim ja się dziś znajdowałam - całkowicie niezdolni do rozważań o tym, co ich czeka, świadomi wyłącznie tego, co utracili.

Kiedy Marianne zniknęła z Coffey's Hotel, Mullan musiał się poczuć kompletnie zagubiony. Nie mógł wiedzieć, że zamknięto ją w przytułku dla obłąkanych w Windsorze. Na pewno dręczyła go świadomość, że była Angielką. Jeśli nawet nie wierzył, że wykorzystała go jedynie dla rozrywki, to przecież nie miał pojęcia, jakie życie wiodła przed przyjazdem do Mount Talbot. Mógł się jedynie domyślać, że urządziła się teraz wygodnie gdzieś w Anglii, w jakimś wielkim domu odpowiednim dla tej warstwy społecznej, do której należała. Wśród podobnych mu uciekinierów na statku nawet przez myśl mu nie przeszło, do jakiego stopnia została pohańbiona. Bo on pośród swoich nie doświadczył hańby, choć z pewnością nigdy nie zostało mu wybaczone, że głośny skandal, jaki wywołał jego romans z angielską szlachcianką, wydarzył się właśnie w tamtym okresie. Ludzie ciągle grzebali swoich najbliższych w przydrożnych rowach, gdyż w tej części kraju nie było mowy o zdobyciu trumny, gdy tymczasem zobaczono wtedy po raz pierwszy, jak schodził do piwnicy i korytarzykiem obok komórki na drewno kierował się do składziku zboża, osłaniając dłonią płomień świecy.

Nie mógł też wiedzieć, co się stało z listem, który przesłał jej do hotelu. Na pewno podejrzewał, bezskutecznie czekając na odpowiedź, że po prostu nie chciała nań odpowiedzieć.

Szykowałam się duchowo do zostawienia moich bohaterów tam, gdzie urywał się po nich wszelki ślad w historycznych zapiskach. Wielebny McClelland spoczywał w grobie na cmentarzu w Mount Talbot. Obląkana Marianne była całkowicie zdana na łaskę Pageta w jego willi w Leicesterze. A William Mullan przebywał w Ameryce. Jadąc na lotnisko i usiłując nie myśleć o sobie, zdobyłam się na odwagę uzupełnienia w wyobraźni niektórych szczegółów tego obrazu. Dopiero potem podjęłam ryzyko powrotu do rzeczywistości. Wyprostowałam się za kierownicą, pochyliłam do przodu i zapatrzyłam na drogę. Dookoła, jak okiem sięgnąć rozciągał się bezkres zieleni, ale mnie to nie interesowało. Co będzie ze mną? Znów poczułam ukłucie strachu. Gdybym się nie zaparła mocniej plecami o oparcie fotela, żeby przywołać na powierzchnię świadomość mego ciała, ta niczym fala przewaliłaby się przez moje wnętrze i runęła w otchłań, w samo jądro bólu.

Mój żal był natury czysto fizycznej. Znałam Shaya tak samo, jak Marianne Mullana. Wyłącznie cieleśnie. Każde z nas czworga musiało zostawić w Irlandii zarówno wspomnienia, jak i nadzieję na wielkie namiętne uczucie.

W owym czasie w Ameryce wszyscy Irlandczycy uważnie zaglądali w twarze rodakom, szukając znajomych sprzed exodusu. Kilka lat po tym, jak Mullan podjął pracę w stajni wyścigów konnych, pewna kobieta z Ballygall została główną barmanką w jednej z wielkich tawern niedaleko źródeł pod Saratogą. Latem bywało tam wielu podróżnych, lecz jesienią klientelę stanowili głównie pracownicy torów wyścigowych. Któregoś wieczoru zjawił się również Mullan i zamówił piwo. Obsłużwszy go, barmanka, oddalając się, niby mimochodem rzuciła przez ramię:

- *Bhfuil fhios agat, tá aithne agam ortsa!*

Powiedziała to jednak obojętnym tonem, ani trochę zalotnie.

- Skąd mnie znasz? - zapytał, gdy przechodziła obok jego stołka.

- Przez krótki czas byłam pokojówką we dworze, kiedy ty się prowadzałeś z panienką. - Pochyliła się bliżej i półgłosem dodała kilka zdań po irlandzku. - Jak moja matka się o wszystkim dowiedziała, zabrała mnie ze służby.

Wbił wzrok w ziemię. Był mężczyzną jeszcze dość atrakcyjnym dla kobiet, a wieści o otaczającym go skandalu tylko dodawały mu uroku.

- To, co o mnie gadają, to nieprawda - odparł.

- Ach, wcale nie żałuję, że stamtąd odeszłam. Teraz mam własny dom. Moje dziewczynki mogą się uczyć w porządnej szkole. Jaki los by je czekał, gdybym została w Irlandii?

- Dostałaś od matki jakieś nowe wieści? - zapytał.

- Majątek popada w coraz większą ruinę. I zamknęli już Szkołę Narodową, ledwie zdążyli ją otworzyć. Nie mają kogo uczyć.

- To co, nie ma już dzieci w Irlandii? - zdziwił się Mullan.

- Przez wiele lat kobiety w ogóle nie rodziły. Z powodu niedożywienia. Ze mną było to samo, nie krwawiłam przez dwa lata po Głodzie.

- Nie wiedziałem o tym.

- Wszyscy zostaliśmy ukarani. Czy jakiś inny naród spotkało coś podobnego - najpierw zaraza kartofli, potem gorączka i wysiedlenia?

- Za co to zostaliśmy ukarani?

- Och, za wszystko. A skąd ja mam wiedzieć, za co?

Dopił resztkę piwa i zapytał cicho, siląc się na obojętny ton:

- Czy pani Talbot umarła?

- Dlaczego miałyby umrzeć? Śmierć nie spotyka tak wcześnie ludzi, którzy przez całe życie nie tknęli się żadnej roboty.

Na razie powodziło mu się dobrze. Miał stałą pracę w stajni Whitneya przy ujeżdżaniu źrebaków czystej krwi. Wraz z pracą dostał mały służbowy domek, jego pierwszy własny dom w życiu. Stał na skraju brzozowo-sosnowego zagajnika. Ale teraz, mając własne gniazdko i godziwe zarobki, myślał o niej częściej niż do tej pory. Wspominał Marianne, kiedy odbierał miskę gorącej zupy w stołówce, gdy kładł się wieczorem do łóżka, gdy wyczuwał dym w powietrzu i przy wielu innych okazjach. Prawdę mówiąc, powiedział sobie pewnego razu, kiedy jakaś kobieta przytuliła się do niego zalotnie w tawernie: myślę o niej niemal bez przerwy.

Starał się. Oczyszczył spłachetek ziemi przed domem i w równiutkich grządkach zasadził kartofle. Później posadził jeszcze rządki kapusty i dwa rządkie marchewki. Dorobił się fotela na biegunach stojącego przy piecu i wygranej na jarmarku pękatej lampy naftowej pomalowanej w różę. Miał też harmonię, chociaż ledwie potrafił na niej zagrać parę najprostszych melodii, które grywała jego matka. Ale w zimowe wieczory siedział z harmonią godzinami, z mozołem celując grubymi palcami w drobne guziki. Marianne zwykła mawiać, że jego palce mają działanie magiczne, lecz sprawdzało się to wyłącznie wtedy, gdy był z nią. Tylko jednego żałował: że nie ma psa. Tym się wyróżniał. Był jedynym mężczyzną mieszkającym w lesie bez psa.

W sosnowym zagajniku mieszkały nieznanne mu ptaki, które odzywały się dziwnie kobiecymi piskliwymi głosami. To przez nie w końcu napisał list:

Szanowna Pani.

Upraszam, by Pani do mnie napisała. Myślę o Pani w każdej godzinie. Nie tknąłem żadnej kobiety, więc jeśli Pani rozważy swój przyjazd tutaj, utrzymam Panią bez trudu. Moglibyśmy mieć dziecko. Jeśli przyjedzie Pani do Saratoga Springs w stanie Nowy Jork, spotkają Panią wszelakie dowody miłości i przywiązania, jakie do Pani żywię.

Wysłał ów list zaklejony w drugiej kopercie pod adresem Tadhga Colleya, prosząc go, by dołożył starań, odszukał miejsce pobytu Marianne Talbot i przekazał jej list.

Po pięciu miesiącach dostał ten list z powrotem zawinięty w papier, na którego odwrocie Tadhg napisał:

Wszyscy mieszkamy tu dobrze. Dom twojej matki się zawalił, ale Hurley na łące za nim wypasa trochę zwierząt i mówi się, że będzie osuszał cały tamten koniec doliny. Dwór też popada w ruinę, tylko pani Benn i Finnerty z rodziną mieszkają jeszcze pod schodami. Halloran zniknął bez śladu. Chodziły plotki, że biskup chce wykupić majątek dla zakonnic, co teraz są w starym gmachu sądu, ale są kłopoty ze znalezieniem prawnego właściciela, skoro potwierdziła się śmierć pana Talbota.

Nie dowiedziałem się, dokąd wysłać twój list, ani też nie wierzę, żeby z tego wynikło dla ciebie coś dobrego. Twój przyjaciel.

Po tym William Mullan zaczął częściej się upijać z innymi pracownikami torów wyścigowych. A kiedy był pijany, bardzo często śpiewał swoją ulubioną piosenkę - wchodził na ławkę, uciszał całą kompanię i prosił,

aby go posłuchała. Piosenka nosiła tytuł *Pożegnanie emigranta*, a nauczył się jej, jak sam mawiał, od pewnego Szkota.

- Ten Szkot to był kawał łotra! - wykrzykiwał. - Przychodził do naszego baraku i prosił ludzi, żeby w mieszał się między pracowników kończących robotę, których dźwięk dzwonu wzywał na obiad, tylko po to, by ich wyklinał i przeganiał ze stołówki inny Szkot, co miał z nim na pieńku. I namawiał do tego ludzi, co prowadzali najlepsze konie na giełdę...

Takie historie zawsze sprawiały, że Irlandczycy wznosili wiwaty i łomotali kuflami o stoły. A w tym towarzystwie Mullan znany był już z podobnych opowieści i z tego, że zawsze zalewał się łzami, kończąc swoją piosenkę:

*... Już do wypłynięcia jest nasz statek gotów,
z kamratami mymi na wzburzone morza.
Śnieżnobiałe żagle na wietrze łopoczą,
wkrótce go uniosą na wodne przestworza.
Nie zapomnij, miła, i nie smuć się więcej,
Prawym ja i nie chcę łudzić cię nadzieją.
Oddam ci swą rękę i oddam swe serce,
Więc żegnaj, kochana, i o mnie pamiętaj.*

Barmanka z Ballygall wyszła po raz drugi za mąż, otworzyła pensjonat w Filadelfii i całkiem o nim zapomniała.

Lecz wiele lat później, gdy składała świeżo upraną pościel na stole w jadalni, usłyszała jego nazwisko w rozmowie kilku mężczyzn grających w karty na werandzie pod oknem.

- Tak, William Mullan - powtórzył któryś. - Ten sam, co posuwał angielską panienkę ze dworu.

- I co z nim?

- Już nie żyje, świeć Panie nad jego duszą. Widziałem nekrolog w gazecie.

Reszta powtórzyła cicho: „Świeć Panie nad jego duszą”, po czym wszyscy znów zajęli się grą.

Mullan skonał na ścieżce przecinającej polankę w brzozowym zagajniku. Kiedy koledzy ze stajni zaczęli go szukać, znaleźli zwłoki leżące na ziemi, jak gdyby wpatrzone w pochmurne jesienne niebo, z szeroko rozrzuconymi rękoma i zwróconymi ku górze dłońmi, prawie niewidocznymi w wysokim mchu. Wiatr zasypywał polankę pożółkłymi suchymi liśćmi. Leżący wśród nich Mullan wydawał się jeszcze bardziej samotny, niż był od wyjazdu z ojczyzny.

Zatem i William Mullan mnie opuścił, dotrzymawszy mi towarzystwa w podróży przez pół Irlandii. Ostatecznie skończyłam ze wszystkimi swymi bohaterami. Odstawiłam samochód na parking wypożyczalni i oddałam kluczyki w biurze. Owo nasienie posiane głęboko we mnie jeszcze w młodości, gdy Hugo rzucił na łóżko kserokopię *Protokołu*, a które jakimś cudem wykiełkowało w ciemnościach mego życia, teraz rozkwitło i zwiędło. I nieważne, że w końcu nie powstanie z niego powieść.

Lekkim krokiem weszłam do budynku terminalu. Gdybym nie miała żadnych planów, poczułabym się całkowicie wolna. Może wręcz jak nowo narodzona. Patrzyłam na kręcących się po sali pasażerów, niczym Rip Van Winkle - jak na obce istoty, o których muszę się wiele dowiedzieć. Spodobało mi się to. Poczulałam ulgę i

wyraźną sympatię do uśmiechniętych czy wręcz śmiejących się ludzi, jak również do tych, co ze zmarszczonymi brwiami spoglądali na zegarki bądź zerkali w napięciu na automatyczne drzwi i rozchmurzali się cudownie, dostrzegłszy w nich znajomą, podążającą w ich kierunku osobę. Cała ta sala była przepelniona gorącymi uczuciami, choć niekoniecznie pełna zakochanych par.

Na stanowisku wypożyczalni samochodów poprosiłam o kartkę, żeby zostawić notatkę dla kobiety, która obsługiwała mnie w dniu przyjazdu. Za kontuarem cicho grało radio, jakiś tenor śpiewał *Pieśń kwiatów: Ce fleur que tu m'avais jeté... Carmen, je t'adore*. O Boże! To było dla mnie jak cios w serce. Ta tęsknota. Musiałam się przed nią jakoś zabezpieczyć, uchronić na przyszłość, znaleźć jakiś sposób, by radzić sobie z marzeniami i żalem. Czy Shay dzwonił do domu Feliksa? Co pomyślał, odebrawszy wiadomość, jaką mu zostawiłam? Och, gdyby podszedł teraz do mnie, wziął pod rękę i zaprowadził do najbliższego hotelu! Nie! Dostyc! Musiałam być dziś wieczorem w Londynie!

Napisałam:

Żegnam. Przykro mi, że pani nie zastałam. Gdyby nie perspektywa pogrzebu pewnej starszej pani, już bym się cieszyła myślą o następnej wizycie. Z żalem zwracam audi. Niekiedy w tej podróży czułam się jak w niebie, wręcz anielsko, jak w tej piosence, chociaż sądziłam, że niebo jest nie dla mnie. Kathleen.

Potem kupiłam w sklepiku mapę Europy, przeszłam do poczekalni, rozpostarłam ją i zaczęłam oglądać. Dokąd mogłabym zabrać Aleksa, gdyby zgodził się wyjechać z kraju?

Startowały samoloty do Ameryki. Przez megafony wywoływano pasażerów odlatujących do Nowego Jorku, Bostonu, Chicago, znów Nowego Jorku...

Nora była bardzo zaradna. Ja miałam obecnie tylko jedno, i to krótkotrwałe zadanie - pomóc Aleksowi - bez tego moje życie byłoby bezgranicznie puste. Ale ona powinna zdobywać nagrody za wypełnianie sobie czasu. Wraz z przyjaciółmi bez przerwy albo organizowała przyjęcia dla Amerykanów pochodzenia irlandzkiego w takich miejscach jak Waldorf, albo sponsorowała wiece przedwyborcze, urządzała turnieje golfa z aktorami i biskupami, uczestniczyła w okolicznościowych obiadach w śródmiejskich hotelach bądź brooklyńskich restauracjach z politykami mającymi na imię Pat, Aloysius lub Mike. Wiecznie pełniła na przykład funkcję honorowej sekretarki honorowego skarbnika takiego czy innego irlandzkiego klanu w Stanach Zjednoczonych. Współpracowała z inwestującymi w nieruchomości milionerami, prawnikami, prezesami browarów, hurtownikami produktów żywnościowych, administratorami bogatych diecezji. Opowiadała mi ze szczegółami, jak to Chuck zadzwonił do niej w ostatniej chwili, żeby powiedzieć, że nie jest specjalnie zadowolony z perspektywy spotkania z Danem po tym, jak wynikły problemy z pasażem handlowym w Rockaway, i jak musiała zadzwonić do Ala, największego udziałowca banku Dana, przebywającego właśnie w klubie, by mu oznajmić: „Jesteś mi to winien, Al”, i jak prałat Horgan dowiedział się o tym, co zrobiła, bo na Bankiecie Najświętszego Serca w Misji Bangalore powiedział Adeli: „Słyszałem, że Nora znów się miesza w sprawy mojej parafii”...

Boston. Wyjście numer 4 do Chicago. Startuje właśnie samolot na lotnisko Kennedy'ego...

Nie mogłabym żyć ani tak jak ona, ani z nią. Powinnam jednak zaczerpnąć choć trochę z tej energii - to znaczy „pracy” - jaką zapelniała swoje życie. Henry James napisał: „Nie obawiajmy się nigdy, że będziemy za dobrzy, jeśli jesteśmy tylko wystarczająco towarzyscy”. Otóż to. Gdybym się postarała, wcale nie musiałabym znowu skończyć w suterenie. Jeżeli nawet bogate życie towarzyskie pozytywnie oddziaływało na moralną

wrażliwość Nory, to przecież ledwie skrywało dzikość charakteru, z jaką wkroczyła w dorosłość. Rety! Znów to samo! Jimmy powtarzał wielokrotnie, że bez względu na to, jak bardzo się staram dobrze mówić o Norze, niemal odruchowo już po trzech zdaniach zaczynam na nią pomstować.

Pochyliłam się nad mapą Europy. Dokąd mogłabym zabrać Aleksa? W jakieś ciche i spokojne miejsce z dobrym jedzeniem. Może we Włoszech byłaby teraz przyjemna pogoda? Gdybyśmy na przykład polecieeli do Bolonii, tam wynajęli samochód i pojechali na południe... Owszem, taka wyprawa powinna być ciekawa, zwłaszcza gdybyśmy podróżowali bez pośpiechu i zwiedzali wszystko po drodze, tak samo, jak przed laty zwiedzałam Grecję. Zatrzymalibyśmy się w jakimś pięknym starym gospodarstwie zajmującym się agroturystryką, położonym wśród łąk u podnóża Apeninów. Przed obiadem schodzilibyśmy do wioski, w kawiarence przy ryneczku zamawiali campari i oglądali *passaggiata*, gdy ośnieżone szczyty po drugiej stronie doliny stopniowo nikną w atramentowym mroku nocy. Och, gdybym mogła tam pojechać z Shayem! Właśnie o tej porze roku, tuż przed nastaniem upalnego lata. Kiedy cała roślinność aż błyszczy od krążących w niej soków, winorośla okrywają się połyskliwymi młodymi listkami, gałęzie śliw giną z oczu obsypane kwiatami, w trawie i szmaragdowym mchu rozkwitają całe polacie fiołków, wśród pól czerwienieją maki, na tle czarnej ziemi w ogródkach zielenieją karczochy, cebula i młody szpinak, a wszystko to aż pulsuje życiem. Gołębie z łopotem skrzydeł podrywają się z dachów. A nocą w sadach pohukują sowy.

Alex niewiele miał z tego życia. Pewnie trzeba by mu tłumaczyć jak dziecku: to jest wróbel, tam jaskółka, koniczyna, żabi skrzek. Jednym z powodów, dla których tak się związał z zakonnikami, było to, że chyba nigdy nie obserwował uważnie przyrody. Musiałabym go także zapoznawać z różnymi potrawami. Schłodzone wino i szparagi, crostini, jagnięcina z rusztu, tarta migdałowa i kremowe sery. Między koronami drzew ledwie zauważalnie przemykałyby nietoperze, gdy wracalibyśmy do domu błyszczącą od rosy drogą. I rozmawialibyśmy o pracy, ale nie o śmierci ani religii. Wysłuchiwałabym w pełnym skupieniu jego wspomnień o matce. A to nie byłoby takie łatwe. Już dziś rano, kiedy zaczął jak najęty paplać o niej przez telefon, ledwie się powstrzymałam, by nie rzucić ze złością: Alex! Przecież to tylko twoja matka, na miłość boską! Nie była żadną Marią Curie. Nie była świętą Teresą z Avili...

Poderwałam się z miejsca, uświadomiwszy sobie, że zaczyna we mnie grać irlandzka krew. Niemal biegiem pognałam do automatu. Tak, Nora odebrała telefon w swoim mieszkaniu.

- Nigdy nie uczciłyśmy pamięci własnej matki, Noro!

Dopiero teraz to zrozumiałam. Powinnyśmy były przyjechać na jej pogrzeb. Okazać jej szacunek. A nie przyjechałyśmy dlatego, że obie nienawidziłyśmy ojca. I wyszło na to, że on był dla nas ważniejszy od szacunku dla niej.

- Ależ ja nie miałam dla niej za grosz szacunku. Do dzisiaj nią gardzę.

- Nieprawda! Dobrze wiesz, że to nie była jej wina. Nie miała dostępu do środków antykoncepcyjnych ani pieniędzy, nie miała wykształcenia, tylko słabe zdrowie i głowę wiecznie napchaną romansami...

- Przecież mogła mu się sprzeciwić! - odparła Nora. - Mogła przynajmniej co jakiś czas ruszyć dupę z łóżka i zrobić nam śniadanie! Była bardzo złą...

- Nawet jeśli była złą matką, my i tak powinnyśmy traktować ją z szacunkiem! Miałyśmy obowiązek pojechać na jej pogrzeb. Mogłyśmy porozmawiać o niej z ludźmi, którzy ja znali. Naprawdę powinnyśmy były

to zrobić, Noro! Koniecznie! Teraz, gdy obie jesteśmy w średnim wieku, musimy zapomnieć o urazach z przeszłości. Dla naszego własnego dobra. A jednym ze sposobów na to jest szacunek dla rodziców, bo bez tego nie będziemy szanowały same siebie. Należy im się szacunek choćby tylko z tego powodu, że byli naszymi rodzicami!

Usłyszałam jej pogardliwe prychnięcie, ale śmiało ciągnęłam dalej:

- Matka Aleksa też była koszmarną starą wiedźmą, ale on mimo to rozpacza po jej śmierci. Bo tak należy, i koniec. Jeżeli umiera osoba, która dała ci życie...

„...lot EI67 do Londynu, wyjście dziesiąte...”

- Kathleen? Daj mi spokój! Wyluzuj! Mam jej po dziurki w nosie. Tak samo jak twoich wyrzutów sumienia.

- Tu nie chodzi tylko o nią, Noro. Także o ojca! Przecież on nas spłodził. Powinniśmy były pojechać również na jego pogrzeb. Jesteśmy tylko ogniwami w długim łańcuchu...

„...pasażerowie proszeni są do wyjścia dziesiątego...”

- Muszę już lecieć - rzuciłam. - Jeszcze do ciebie zadzwonię.

- Kathy... - zaczęła, ale szybko odwiesiłam słuchawkę.

Kto wie, co się dzieje w ludzkich głowach? - pomyślałam, patrząc na plecy osób stojących przede mną w kolejce do wyjścia z kartami pokładowymi w rękach. Na pewno nikt, patrząc tak samo na mnie, nie mógł się domyślić, że modłę się w duchu: Oby naprawdę istniało niebo. I oby mama w nim była. Zasłużyła sobie na to, bo miała takie ciężkie życie. Nigdy nie wychodziła z domu, a pewnie bardzo by tego chciała. Spodobałoby jej się w hotelach. Proszę, niech znajdzie się teraz dla niej nagroda za wszystkie cierpienia. Za pojedynczy kran z zimną wodą, zawsze rozsypany na podłodze cukier, małe ciemne okna i deszcz. Mamo, jeśli wciąż istniejesz w jakimś świecie, znajdź sobie miejsce, które ci się spodoba, gdzie nie będzie już lodowatej obojętności, jaka otaczała cię za życia.

Ja ci wybaczam. Bo nasze drogi się teraz rozchodzą. Ja muszę się zestarzeć, co tobie nie było dane. I muszę patrzeć, jak Marianne powoli umiera we mnie. To najstraszniejsze ze wszystkiego. A nikt mnie przed tym nie ostrzegł.

Start. Przycisnęłam nos do okienka, żeby tym razem nie stracić niczego z chwili wyjazdu. Z podróży do Anglii. Jak Marianne. Bez własnego domu, jak Marianne. Bez dziecka, jak Marianne. Bez kochanka. Bez pracy. Siedzący obok mężczyzna uśmiechał się przyjaźnie. Odpowiedziałam mu uśmiechem. Chyba dotąd byłam naprawdę szalona. Och, Najlaskawsza Matko. Daj mi zapamiętać Shaya tak długo, jak to tylko możliwe, i spraw, aby ten przypływ energii, tak silnej, że zdołałaby unieść samolot w powietrze, pozwolił mi przetrzymać czas bez niego.

To przecież taki piękny mały kraj! Czy nie tak powiedział któryś z pierwszych kosmonautów, spoglądając na Irlandię, najbardziej zieloną wyspę na naszym globie? Samolot leciał ponad wzgórzami pociętymi szachownicą pól uprawnych. W dolinach między nimi kryły się niewielkie tajemnicze jeziora. Wzbijaliśmy się coraz wyżej ponad wyspą przypominającą olbrzymi zielony klejnot. Nagle wlecieliśmy w chmury i na parę chwil otoczyła nas nieprzenikniona szara poświata, ale zaraz narodziliśmy się na nowo wśród nieskalanego błękitu nieba. Pomiędzy dwoma światami.

W brzozowych zagajnikach otaczających teren wyścigów konnych w Saratodze mieszkały liczne stada saren. Mullan zwykle wstawał o świcie, ruszając do pracy w stajni. I idąc ścieżką przez polankę, łowił kątem oka, jak spłoszona sarna podnosi głowę, odwraca się i umyka susami po osrebrzonym rosą zielonym poszyciu między szeregami drzew. Uciekające sarny zawsze pokazywały mu swoje lusterka na zadkach, niekiedy czysto białe, niekiedy beżowe. I w takich chwilach nieodmiennie z jego pamięci wypływały wspomnienia nagich posładków Marianne, kiedy odwracała się od niego leniwie na posłaniu ze swych sukien i halek.

Tymczasem do Mount Talbot, gdy stara dama władająca tym, co pozostało z majątku Talbotów, wyjechała razem ze swym jedynym lokajem, przybiegli ludzie z Ballygall i zaczęli łupić dwór, zabierając nawet to, co do niczego nie mogło im się przydać. Potem stopniowo szyby w oknach zaczęły pękać od wiatru i słońca i wylatywać z brzękiem przez nikogo nie słyszczanym podczas zimowych zawiei, stare zasłony przegniły w sypialniach na piętrze i w wielkim domu rozpanoszyło się zniszczenie, zasypując odłamkami szkła i suchymi liśćmi dębowe parkiety. Wreszcie zniknął ze wszystkich pomieszczeń swąd dymu z palonego torfu i lamp naftowych. A czyste świeże powietrze, które je zapełniło, oznaczało zarazem śmierć tego domu.

William Mullan nie skonał w samotności. Kiedy wczesnym rankiem pewnego jesiennego dnia przewrócił się na leśnej polance, z mgły rozwiewającej się powoli w promieniach stojącego nisko słońca wynurzyły się sarny zwabione soczystą trawą przy ścieżce. Wiedział, że są wszędzie dookoła, gdy życie z niego odpływało. Kiedy ludzie ze stajni odnaleźli go, wydawał się taki samotny. Ale on w chwili śmierci widział nad sobą jej nagie ciało, białe piersi poruszające się z cudowną gracją to tu, to tam. Sarny nie odeszły z polanki, dopóki nie wyzionął ducha.